

Murray N. Rothbard

## **O nową wolność. Manifest libertariański**

Tytuł oryginału: *For a New Liberty. The Libertarian Manifesto*

Tłumaczenie z angielskiego: Witold Falkowski

Korekta: Katarzyna Łańcucka

Podstawa tłumaczenia: oryginał angielski dostępny na stronie internetowej Instytutu im. L. von Misesa:

[www.mises.org](http://www.mises.org)

Copyright © 1973, 1978 by Murray N. Rothbard, and 2002 online edition by The Ludwig von Mises Institute

Copyright © 2003 for this edition by Witold Falkowski and Fundacja Odpowiedzialność Obywatelska

Copyright © 2004 for the Polish translation by Witold Falkowski

Książkę (z wyłączeniem ostatniego rozdziału) publikujemy za zgodą Wydawcy.

Fundacja Instytut Ludwiga von Misesa

[www.mises.pl](http://www.mises.pl)

To Joey,  
still the indispensable framework

## SPIS TREŚCI

### *Wstęp*

- 1 *Korzenie libertarianizmu: rewolucja amerykańska i klasyczny liberalizm*

### **CZĘŚĆ I: LIBERTARIAŃSKIE KREDO**

- 2 *Własność i wymiana*

- 3 *Państwo*

### **CZĘŚĆ II: LIBERTARIANIZM A PROBLEMY WSPÓŁCZESNOŚCI**

- 4 *Problemy*

- 5 *Praca przymusowa*

- 6 *Wolność osobista*

- 7 *Szkolnictwo*

- 8 *Opieka społeczna i państwo opiekuńcze*

- 9 *Inflacja i cykl koniunkturalny: krach paradygmatu Keynesowskiego*

- 10 *Sektor publiczny I: Rząd w gospodarce*

- 11 *Sektor publiczny II: Ulice i drogi*

- 12 *Sektor publiczny III: Policja, prawo i sądy*

- 13 *Ochrona środowiska, ekologia i wzrost*

- 14 *Wojna i polityka zagraniczna*

### **CZĘŚĆ III: EPILOG**

- 15 *Strategia dla wolności*

*Dodatek: ruch libertariański*

## Wstęp

Gdy ukazało się pierwsze wydanie tej książki (1973), nowy ruch libertarian w Ameryce był w powijakach. W sześć lat później, w niebywałym tempie, ruch ten rozrósł się i dojrzał. Dlatego w tym wydaniu, oprócz uaktualnienia i wyraźniejszego zarysowania stanowiska, największe zmiany znajdują się w części dotyczącej ruchu libertarian. Rozdział 1 pierwszego wydania, „Nowy ruch libertariański”, zdezaktualizował się i został zastąpiony przez dodatek, w którym przedstawiono zarys złożonej struktury współczesnego ruchu, uzupełniony komentarzem. Nowy rozdział 1, „Korzenie libertarianizmu”, wychodząc naprzeciw palącej potrzebie, przedstawia zwięzłe tło historyczne amerykańskiej i zachodniej tradycji wolnościowej. Opowiada o jej sukcesach i porażkach, przygotowując grunt pod omówienie jej odrodzenia w obecnej postaci. Dodano rozdział 9, traktujący o ważnych zjawiskach inflacji i cyklu koniunkturalnego oraz o roli rządu i wolnego rynku w wywoływaniu i łagodzeniu tych bolączek. Wreszcie, końcowy rozdział na temat strategii uzupełniłem o prezentację i uzasadnienie przeświadczenia, jakie ostatnio mi towarzyszy, że wolność zwycięży, że będzie czynić wielkie postępy, zarówno w niedalekiej przyszłości, jak i w dłuższej perspektywie, że – jednym słowem – teraz właśnie nadchodzi czas wolności.

Powstanie tej książki zawdzięczam pierwszemu jej wydawcy, Tomowi Mandelowi, który przewidział wzrost zainteresowania ideami libertarianizmu, jaki ostatnio obserwujemy. Bez niego nie narodziłby się pomysł książki ani ona sama. Przy powstawaniu obecnego, poprawionego, wydania, niezwykle pomocny był wydawca *Libertarian Review*, Roy A. Childs, Jr, który zasugerował niezbędne zmiany. Chciałbym też podziękować za wszystkie bezcenne wskazówki Dominikowi T. Armentano z wydziału ekonomicznego Uniwersytetu w Hartford, wydawcy *Inquiry*, Williamsonowi M. Eversowi, wydawcy *The Literature of Liberty*, Leonardowi P. Liggio. Nieocenioną rolę w przygotowaniu niniejszego wydania odegrał bezgraniczny entuzjazm Waltera Mickleburgha; niezastąpiona też była pomoc, zachęta i rada prezesa Instytutu Katona w San Francisco, Edwarda H Crane’a III.

MURRAY N. ROTHBARD

*Palo Alto, California*

*Luty 1978*

## Rozdział 1: Korzenie libertarianizmu: rewolucja amerykańska\* i klasyczny liberalizm

W wyborach w 1976 roku kandydaci Partii Libertariańskiej, Roger L. MacBride (na prezydenta) oraz David P. Bergland (na wiceprezydenta), otrzymali razem 174 000 głosów w trzydziestu dwóch stanach. W rankingu sporządzonym przez poważny periodyk *Congressional Quarterly* ledwo opierzona Partia Libertariańska została sklasyfikowana jako trzecia siła polityczna w Ameryce. O tym, jak wyraźny jest wzrost poparcia dla tej nowej partii, może świadczyć fakt, że w jej założeniu w 1971 roku brała udział garstka członków zgromadzonych w jednym pokoju pewnego domu w Kolorado. W rok później libertarianie starali się o prawo do wystawienia swojego kandydata na prezydenta i uzyskali je w dwóch stanach. A teraz są trzecią partią w USA.

Jeszcze bardziej znamieny jest fakt, że Partia Libertariańska osiągnęła ten sukces, odwołując się do nowego kredo ideologicznego – do „libertarianizmu”. W ten sposób po raz pierwszy od stu lat na amerykańskiej scenie politycznej pojawiła się partia zainteresowana pryncypiami, a nie miejscami pracy i forszą z państwowego koryta. Różne autorytety i politolodzy powtarzali nam niezliczoną ilość razy, że geniusz ustroju Stanów Zjednoczonych i ich systemu

---

\* Inaczej: wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1776 – 1783) (*przypis tłumacza*).

partyjnego polega na tym, że nieobecna jest w nich ideologia i że podporządkowane są „pragmatyzmowi” (łagodne słowo na określenie poświęcenia się bez reszty okradaniu nieszczęśliwych podatników z pieniędzy i miejsc pracy). Jak więc wyjaśnić fenomen zadziwiającego wzrostu popularności nowej partii, która otwarcie i żarliwie głosi ideologię?

Jednym z możliwych wyjaśnień jest to, że Amerykanie nie zawsze byli pragmatykami i nie zawsze odżegnywali się od ideologii. Przeciwnie, historycy dochodzą do wniosku, że sama rewolucja amerykańska nie dość, że kierowała się ideologią, to była rezultatem przywiązania do zasad i instytucji wolnościowych. Rewolucjoniści amerykańscy byli przesiąknięci wiarą w libertariańskie credo, oddani ideologii, która nakazywała im położenie na szali swojego życia, majątków i świętego honoru w walce przeciwko próbie odebrania im praw i swobód przez rząd brytyjski. Historycy od dawna spierają się o precyzyjne ustalenie przyczyn rewolucji amerykańskiej. Zadają sobie pytanie, czy były one natury konstytucyjnej, ekonomicznej, politycznej czy też ideologicznej. Teraz rozumiemy, że rewolucjoniści, będąc libertarianami, nie widzieli sprzeczności między prawami moralnymi i politycznymi z jednej strony, a wolnością ekonomiczną z drugiej strony. Przeciwnie, postrzegali wolności obywatelskie i wolność moralną, niezależność polityczną i swobodę handlu i produkcji jako aspekty jednego doskonałego systemu, który Adam Smith miał nazwać, w tym samym roku, w którym podpisano Deklarację Niepodległości, „oczywistym i prostym systemem naturalnej wolności”.

Libertariańskie credo było owocem ruchów należących do „klasycznego liberalizmu”, rozwijających się w siedemnastym i osiemnastym wieku na Zachodzie, w szczególności czerpało z idei rewolucji angielskiej w XVII wieku. Mimo że radykalny ruch wolnościowy odniósł w kraju swych narodzin, Wielkiej Brytanii, tylko częściowy sukces, to odegrał tam jednak istotną rolę w rewolucji przemysłowej, uwalniając przemysł i produkcję od dławiących je ograniczeń kontroli państwa i wspieranych przez rząd\* cechów miejskich. Ruch klasycznego liberalizmu oznaczał bowiem dla całego zachodniego świata potężną wolnościową „rewolucję” skierowaną przeciwko, moglibyśmy powiedzieć, staremu łaadowi – *ancien régime*’owi, który panował nad poddanymi przez stulecia. U zarania nowoczesności, na początku XVI wieku, ów stary reżim narzucił władzę absolutnego centralistycznego państwa oraz króla, który z bożej łaski sprawował rządy, oparte na jeszcze starszej sieci feudalnych monopolii ziemskich oraz cechów kontrolujących i ograniczających wolność miast. Rządy centralne (i lokalne) przyznawały wybranym producentom monopolistyczne przywileje w produkcji i handlu i rozwijały paraliżującą sieć systemu kontroli i podatków. W rezultacie Europa pogrążyła się w stagnacji. Przymierze nowego, biurokratycznego, prowojennego państwa z uprzywilejowanymi przedsiębiorcami – alians, któremu historycy nadadzą później miano „merkantylizmu” – oraz z klasą rządzących panów feudalnych zbudowało podwaliny starego ładu, któremu przeciwstawił się w XVII i XVIII wieku ruch klasycznych liberałów i radykałów.

Celem klasycznych liberałów było urzeczywistnienie wolności jednostki w jej wszystkich, powiązanych wzajemnie, aspektach. Projektowany przez nich system ekonomiczny miał zapewnić radykalne obniżenie podatków, wyeliminowanie kontroli i sterowania. Uwolniona energia, przedsiębiorczość i rynek miały zaowocować twórczością, produkcją i wymianą, z której odnosiłyby korzyści jednostki i ogół konsumentów. Przedsiębiorcy mieli wreszcie swobodnie konkurować, rozwijać produkcję, tworzyć. Zrzucone miały być kajdany kontroli krępującej obrót ziemią i kapitałem oraz stosunki pracy. Ukrócenie grabieży i tyranii uprawianej przez króla i jego totumfackich miało być zagwarantowane przez wolność osobistą i swobody obywatelskie. Państwo nie miałoby prawa narzucać wyznania ani mieszać

---

\* Pod pojęciem „rząd” (ang. *government*) należy rozumieć ogólnie ludzi pełniących służbę w różnych instancjach władzy państwowej, a także samą instytucję państwa (*przypis tłumacza*).

się do spraw religii, zapewniając zgodną koegzystencję przedstawicieli różnych wyznań, a także bezwyznaniowców. Religia, odwieczna przyczyna krwawych wojen, w których różne sekty walczyły o sprawowanie kontroli nad państwem, przestałaby stanowić zarzewie konfliktów. Nadrzędną wartością w polityce zagranicznej stałby się dla nowych klasycznych liberałów pokój. Odwieczne dążenie władców i państw do powiększania potęgi i pomnażania mamony miało być zastąpione pokojową polityką zagraniczną i nieskrępowaną wymianą handlową między wszystkimi narodami. A ponieważ źródłem wojen mogły być zawsze chętne do ekspansji armie i flotyllie wojenne, to zastąpiono by je lokalną ochotniczą milicją, obywatelami w cywilu, których zadaniem byłaby wyłącznie obrona własnych domów i posiadłości sąsiadów.

Jak więc widzimy, dobrze znane zagadnienie „oddzielenia Kościoła od państwa” było zaledwie jednym z wielu wzajemnie powiązanych wątków, które można pogrupować jako kwestie: „oddzielenia ekonomii od państwa”, „oddzielenia prasy i wypowiedzi od państwa”, „oddzielenia ziemi od państwa”, „oddzielenia wojny i spraw wojskowych od państwa”. W gruncie rzeczy chodziło o oddzielenie państwa od wszystkiego.

Państwo miało się skurczyć do bardzo skromnych rozmiarów i rozporządzać małym, prawie niezauważalnym, budżetem. Klasyczni liberałowie nie rozwinęli nigdy teorii systemu podatkowego, ale zawzięcie zwalczali każdą podwyżkę podatków i każdy nowy podatek. W Ameryce dwukrotnie doprowadziło to, lub niemal doprowadziło, do wybuchu rewolucji (podatek stempowy, podatek herbaciany).

Pierwszymi teoretykami klasycznego liberalizmu byli Lewelerzy\* w czasie rewolucji angielskiej oraz filozof John Locke u schyłku XVII wieku. Ich śladami podążali Prawdziwi Wigowie („True Whigs”), czyli wolnościowa opozycja wobec Zachowawczych Wigów („Whig Settlement”) – reżimu rządzącego osiemnastowieczną Wielką Brytanią. John Locke rozwinął pojęcie przysługujących każdej jednostce uprawnień naturalnych do dysponowania swoją osobą i własnością; zadania rządu były ściśle ograniczone do ochrony tych uprawnień. W inspirowanej filozofią Locke’a Deklaracji Niepodległości czytamy: „dla ochrony tych uprawnień ustanawia się wśród ludzi rządy, które otrzymują od rządzonych mandat do sprawowania władzy. Ażeby, gdy tylko jakiś rodzaj rządu sprzeniewierza się tym zadaniom, ludzie mieli prawo go zmienić lub znieść (...)”.

Locke’a czytano powszechnie w koloniach w Ameryce, ale jego abstrakcyjne idee nie były obliczone na podburzenie ludzi do rewolucji. To zadanie spełnili w XVIII wieku radykalni zwolennicy Locke’a, którzy pisali w sposób bardziej popularny, demaskatorski i z większą żarliwością. Rozwiązania filozoficzne odnosili do konkretnych zagadnień związanych z rządem, zwłaszcza rządem brytyjskim w tamtych czasach. Najważniejszym tekstem należącym do tego nurtu były „Listy Katona” – seria artykułów prasowych publikowanych na początku lat dwudziestych XVIII wieku w Londynie przez Prawdziwych Wigów, Johna Trencharda i Thomasa Gordona. Podczas gdy Locke pisał o ciśnieniu rewolucyjnym, które może być wykorzystane w przypadku naruszenia przez rząd wolności, to Trenchard i Gordon wskazywali, że rząd *zawsze* dąży do ograniczenia praw jednostki. Według „Listów Katona” historia ludzkości jest odzwierciedleniem niedającego się zażegnać konfliktu pomiędzy władzą i wolnością. W tym sporze władza (rząd) wykazuje się ciągłą gotowością do powiększania zakresu swoich kompetencji kosztem praw i swobód jednostki. Dlatego też, jak głosi Katon, władza musi być ograniczona do skromnych rozmiarów, a ludzie powinni być wobec niej zawsze niechętni i czujni, aby nigdy nie dopuścić, by przekroczyła wyznaczone jej ściśle granice:

---

\* Levelers – angielska sekta purytańska działająca w czasie wojny domowej w Anglii. Nazwę zawdzięcza prawdopodobnie wyznawanej przez siebie zasadzie równości (level – równy) (przypis tłumacza).

Z doświadczenia oraz na podstawie niezliczonych przykładów wiadomo, że ludzie, gdy raz posiadą władzę, zrobią wszystko, nawet najpodlejsze i najgorsze rzeczy, żeby się przy niej utrzymać; niemal nigdy się nie zdarza, by ktokolwiek pod słońcem oddał władzę, jeśli tylko może dzięki niej zarządzać wszystkim według swego upodobania. (...) Wydaje się pewne, że Bóg tego świata, lub Bóg ludzi na nim żyjących, nie kieruje ani motywami stojącymi za pozostawianiem przy władzy, ani – za jej oddaniem. To sama natura władzy sprawia, że przekracza ona granice, przemieniając się z władzy wyjątkowej, powierzonej na określony czas i do wykonania określonych zadań, we władzę ciągłą, sprawowaną przez cały czas, nawet tam, gdzie nie ma do tego powodu. Władza nigdy dobrowolnie nie rozstaje się z żadnym przywilejem. (...)

Niestety! Władza narusza wolność każdego dnia, odnosząc znaczne sukcesy. Nie można już niemal mówić o jakiegokolwiek równowadze między nimi. Tyrania zawładnęła prawie całym światem i, uderzając w korzenie i konary rodzaju ludzkiego, przemienia Ziemię w jedną wielką jatkę. I dalej będzie dokonywać dzieła zniszczenia, aż do czasu, gdy zniszczy samą siebie albo nie będzie już miała czego niszczyć<sup>1</sup>.

Takie przestrogi znajdowały podatny grunt u kolonistów amerykańskich, którzy wielokrotnie przedrukowywali „Listy Katona” i rozpowszechniali we wszystkich koloniach aż po czasy rewolucji. Taka głęboko zakorzeniona postawa doprowadziła do powstania, jak trafnie to ujął historyk Bernard Bailyn, „reformatorskiego libertarianizmu radykalnego” („transforming radical libertarianism”) rewolucji amerykańskiej.

Rewolucja stanowiła bowiem nie tylko pierwszą udaną próbę zrzucenia jarzma zachodniego imperializmu i wyzwolenia się spod władzy największego wówczas mocarstwa. Ważniejsze było to, że po raz pierwszy w historii Amerykanie obwarowali system sprawowania rządów licznymi ograniczeniami i restrykcjami, które znalazły swój wyraz w konstytucjach stanowych, a zwłaszcza w prawach dotyczących swobód obywatelskich (*bills of rights*). We wszystkich nowo powstałych stanach wprowadzono zasadę bezwzględnego rozdziału państwa od Kościoła i wolności wyznania. Wyeliminowano pozostałości feudalizmu, znosząc przywileje majoratu i pierworództwa. (Pierwszy stanowił, że wszystkie posiadłości ziemskie po zmarłym mają pozostać na zawsze w jego rodzinie; uniemożliwiało to sprzedanie przez spadkobierców części ziemi i rozdrobnienie majątku. Drugi decydował o tym, że wyłącznym spadkobiercą z mocy prawa był najstarszy syn).

Nowy rząd federalny, utworzony zgodnie z Artykułami Konfederacji, nie miał prawa nakładać na ludność żadnych podatków. Jakiegokolwiek istotne rozszerzenie kompetencji rządu wymagało jednomyślnej zgody wszystkich rządów stanowych. Przede wszystkim zaś, kierując się zasadą ostrożności i podejrzliwości, ściśle określono uprawnienia rządu dotyczące spraw wojskowych i warunków wypowiedzenia wojny. Osiemnastowieczni libertarianie rozumieli bowiem, że wojna, stojące pod bronią armie i militarizm zawsze służyły poszerzaniu władzy państwa<sup>2</sup>. Zdobycze amerykańskich rewolucjonistów podsumował Bernard Bailyn:

---

<sup>1</sup> Zobacz: Murray N. Rothbard, *Conceived in Liberty*, vol 2, „Salutary Neglect”: *The American Colonies in the First Half of the 18th Century* (New Rochelle, N.Y.: Arlington House, 1975), s. 194. Zobacz też: John Trenchard and Thomas Gordon, *Cato's Letters*, w: D. L. Jacobson, ed. *The English Libertarian Heritage* (Indianapolis: Bobbs-Merrill Co., 1965).

<sup>2</sup> O wpływie libertarianizmu na rewolucję amerykańską traktują m.in. następujące pozycje: Robert A. Nisbet, *The Social Impact of the Revolution* (Washington, D.C.: American Enterprise Institute for Public Policy Research, 1974). O wpływie na Europę traktuje ważna praca Roberta R. Palmera, *The Age of the Democratic Revolution*, vol. I (Princeton, N.J.: Princeton University Press, 1959).

Modernizacja amerykańskiej polityki i rządu w trakcie rewolucji i po jej zakończeniu miała charakter szybkiego i radykalnego wcielenia w życie programu, który po raz pierwszy ogłosiła opozycyjna inteligencja (...) za panowania Jerzego Pierwszego. Angielscy opozycjoniści, w swojej walce z ustalonym porządkiem społecznym i politycznym, musieli poprzestać na dobrych chęciach i marzeniach. Amerykanie tymczasem, którzy byli społeczeństwem pod wieloma względami nowoczesnym i którzy korzystali z wywalczonej swobody politycznej, mogli te same marzenia wcielić w życie. Angielska opozycja agitowała bezskutecznie za ograniczonymi reformami. (...) Przywódcy amerykańscy natomiast podjęli zdecydowane kroki w celu systematycznego wprowadzenia w życie radykalnych idei wolnościowych w ich najczystszej postaci. Nie napotkali przy tym większego sprzeciwu ze strony społeczeństwa.

W trakcie tych przemian wnieśli oni do amerykańskiej kultury politycznej (...) najważniejsze idee radykalnego osiemnastowiecznego libertarianizmu i wcielili je w życie. Pierwszą z tych idei jest wiara, że władza jest złem, być może koniecznym – ale złem. Władza prowadzi do niedającej się wykorzenić korupcji; trzeba ją zatem kontrolować, trzeba ograniczać i zawężać pole jej działania do minimum niezbędnego dla utrzymania porządku publicznego. Konstytucje na piśmie, rozdzielenie władz, gwarancje swobód obywatelskich (*bills of rights*), ograniczenia dla władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej, restrykcje dotyczące zastosowania przymusu i prowadzenia wojny – wszystko to jest wyrazem głębokiej nieufności wobec władzy. Nieufność ta znajdowała się w sercu ideologii rewolucji amerykańskiej i towarzyszy nam do dziś jako nieprzemijające dziedzictwo<sup>3</sup>.

W ten oto sposób, mimo że ideologia klasycznego liberalizmu narodziła się w Anglii, to w Ameryce w pełni się rozwinęła i przybrała radykalną postać. Tutaj też znalazła swe ucieleśnienie na największą w dziejach skalę. Kolonie amerykańskie były bowiem wolne od feudalnego monopolu ziemskiego i rządzącej kasty arystokratów, która w Europie trwała okopana na swoich pozycjach. Ameryką zarządzili kolonialni urzędnicy brytyjscy i garstka uprzywilejowanych kupców. Gdy rozpoczęła się rewolucja i gdy obalono władzę Brytyjczyków, stosunkowo łatwo było ich usunąć. Dlatego też klasyczny liberalizm zyskał bardziej powszechne poparcie i napotkał mniejszy opór instytucjonalny w koloniach amerykańskich niż w swojej kolebce. Ponadto Ameryka była geograficznie izolowana. Dzięki temu rewolucjoniści nie musieli się obawiać interwencji armii państw ościennych czy kontrewolucyjnych rządów, jak miało to miejsce na przykład w przypadku Francji.

### ***Po wojnie o niepodległość***

Jak widać, Ameryka zawdzięcza swe narodziny rewolucji prawdziwie libertariańskiej, powstaniu przeciwko imperium, przeciwko opodatkowaniu, monopolowi handlowemu, regulacjom, militaryzmowi i władzy wykonawczej. Konsekwencją rewolucji było narzucenie rządowi ograniczeń nigdzie dotąd niespotykanych. Chociaż pochod liberalizmu nie napotkał w Ameryce instytucjonalnego oporu, to od samego początku ze strony wpływowych elit, zwłaszcza bogatych kupców i wielkich plantatorów, zaczęły się pojawiać dążenia do przywrócenia restrykcyjnego „merkantylnizmu” brytyjskiego z wysokimi podatkami, kontrolą i nadawanymi przez rząd przywilejami monopolistycznymi. Te grupy chciały silnego, centralnego, a nawet imperialnego rządu, czyli życzyły sobie powrotu systemu brytyjskiego, tyle że bez Wielkiej Brytanii. Te konserwatywne i reakcyjne siły po raz pierwszy pojawiły się

---

<sup>3</sup> Bernard Bailyn, "The Central Themes of the American Revolution: An Interpretation", w: S. Kurtz and J. Hutson, eds., *Essays on the American Revolution* (Chapel Hill, NC.: University of North Carolina Press, 1973), s. 26 – 27.



w czasie rewolucji. Później powstała z nich Partia Federalistów i federalistyczna administracja w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku.

Jednakże w XIX wieku wolnościowy impet nie tracił na sile. Ruchy Jeffersona i Jacksona, partie Demokratyczno-Republikańska i Demokratyczna wyraźnie dążyły do faktycznego wyeliminowania rządu z życia Ameryki. Miał to być rząd bez stałej armii i marynarki wojennej, bez długów i bez federalnych podatków bezpośrednich i akcyzy, a także praktycznie bez cła importowego. Podatki i wydatki miały być utrzymywane na bardzo niskim, niezauważalnym poziomie. Taki rząd nie zajmowałby się organizowaniem robót publicznych ani rozwojem gospodarczym kraju. Nie sprawowałby kontroli i nie narzucał regulacji, nie miałby wpływu na pieniądze ani na banki i nie przyczyniałby się do wzrostu inflacji. Byłby to „rząd, który prawie nie rządzi”, jak ujął to zwięźle H. L. Mencken. Po objęciu przez Jeffersona urzędu prezydenta, gdy poszedł on na ustępstwa wobec federalistów (być może w zamian za głosy federalistów, które pozwoliły przełamać impas w kolegium elektorskim) i gdy, z pogwałceniem konstytucji, zakupione zostało terytorium Luizjany, ruch jeffersonistów osłabł. Ale przyczyną jego osłabienia było przede wszystkim imperialistyczne dążenie do wojny z Wielką Brytanią za drugiej kadencji Jeffersona. Doprowadziło ono do wojny i do ustanowienia systemu jednopartyjnego. Niemal cały program etatystycznych federalistów został wcielony w życie: wysoki budżet wojskowy, bank centralny, cła ochronne, podatki federalne, roboty publiczne. Przebywający na emeryturze Jefferson, przerażony tym obrotem rzeczy, pogrążył się w rozmyślaniach w Monticello i zachęcił młodych polityków Martina Van Burena i Thomasa Harta Bentona do założenia nowej partii – Partii Demokratycznej. Miała ona zawrócić Amerykę z drogi nowego federalizmu i odnowić ducha programu jeffersonistów. Gdy ci dwaj młodzi przywódcy zwrócili się jeszcze o pomoc do Andrew Jacksona, narodziła się nowa Partia Demokratyczna.

Plan wolnościowców – zwolenników Jacksona – był następujący: przez osiem lat prezydentem miał być Jackson, przez następnych osiem – Van Buren, a przez kolejnych osiem – Benton. Po dwudziestu czterech latach zwycięskiej demokracji w stylu Jacksona ideał nierządzącego rządu Menckena byłby osiągnięty. To marzenie miało szansę się ziścić, bo Partia Demokratyczna stała się szybko największą partią w kraju. Mnóstwo ludzi było zaangażowanych po stronie wolnościowej sprawy. Jackson sprawował urząd przez osiem lat, co doprowadziło do likwidacji banku centralnego i zmniejszenia długu publicznego. Z kolei w czasie kadencji Van Burena odseparowano rząd federalny od systemu bankowego. Wybory w roku 1840 miały jednak nienormalny przebieg. Van Buren został w nich pokonany za sprawą bezprecedensowej, demagogicznej kampanii wyborczej w nowoczesnym stylu, którą opracował jej szef Thurlow Weed. Zastosował on po raz pierwszy wszystkie znane nam dobrze chwytły: demagogiczne hasła, odznaki, piosenki, pochody itd. Dzięki tym zabiegom urząd objął grubiański i mało znany wig, generał William Henry Harrison. To był czysty przypadek. W 1844 roku demokraci mogli odpowiedzieć podobną kampanią i ich kandydat byłby skazany na sukces. Triumfalny marsz Jacksona miał oczywiście kontynuować Van Buren. Ale wtedy zdarzyło się coś bardzo złego: Partię Demokratyczną podzielił stosunek do niewolnictwa, a raczej kwestia wprowadzenia niewolnictwa na nowy obszar. Powtórna nominacja prezydencka Van Burena nie doszła do skutku z powodu rozłamu w szeregach partii. Spowodowała go różnica stanowisk w sprawie przyłączenia do Unii Republiki Teksasu jako stanu akceptującego niewolnictwo. Van Buren był przeciw, Jackson – za, co było wyrazem poważniejszego pęknięcia w Partii Demokratycznej. Ciężki antywolnościowy błąd libertariańskiego programu Partii Demokratycznej, jakim było przyzwolenie na niewolnictwo, doprowadził do zupełnego rozkładu partii i jej libertarianizmu.

Wojna secesyjna nie tylko przyniosła bezprzykładny rozlew krwi i ogromne zniszczenia, ale stała się narzędziem walki politycznej w rękach praktycznie jednopartyjnego reżimu

republikańskich etatystów (byłych wigów). Oznaczał on: poszerzenie kompetencji rządu centralnego, wprowadzenie cel ochronnych, dotacje dla dużych przedsiębiorstw, inflacyjną walutę papierową, przywrócenie kontroli rządu federalnego nad systemem bankowym, rozbudowę polityki wewnętrznej, wysoką akcyzę i pobór oraz podatek dochodowy w przypadku wojny. Ponadto stany traciły prawo do secesji i względną niezależność od władz federalnych. Partia Demokratyczna powróciła do swoich wolnościowych ideałów, ale teraz miała przed sobą znacznie dłuższą i trudniejszą drogę do wolności.

Wyjaśniliśmy, dlaczego Ameryka jest krajem, w którym tradycje wolnościowe mają najgłębsze korzenie. Te tradycje do tej pory są obecne w naszej politycznej retoryce i wyrażają się w pełnych rezerwy, indywidualistycznych poglądach większości ludzi na rolę rządu. W Ameryce grunt dla wskrzeszenia wolnościowych ideałów jest żyźniejszy niż gdziekolwiek indziej.

### ***Opór przeciwko wolności***

Jak więc widzimy, gwałtowny rozwój ruchu wolnościowego i Partii Libertariańskiej w latach siedemdziesiątych XX wieku opierał się na głęboko zakorzenionej tradycji, którą Bernard Beilyn nazwał „nieprzemijającym dziedzictwem” rewolucji amerykańskiej. Ale jeśli to dziedzictwo jest tak ważne dla amerykańskiej tradycji, to dlaczego sprawy przybrały niewłaściwy obrót? Dlaczego pojawia się potrzeba nowego ruchu libertariańskiego, który by się upomniął o realizację amerykańskiego marzenia?

Próbując odpowiedzieć na to pytanie, musimy sobie przede wszystkim zdać sprawę z tego, że klasyczny liberalizm śmiertelnie zagroził politycznym i ekonomicznym interesom klas rządzących, które były beneficjentami starego ładu: królom, szlachcie i arystokracji ziemskiej, uprzywilejowanym kupcom, wojsku, biurokracji państwowej. Pomimo trzech gwałtownych rewolucji – angielskiej w XVII wieku, amerykańskiej i francuskiej w XVIII – sukcesy liberalizmu w Europie były połowiczne. Dzięki silnemu oporowi przetrwały monopole ziemskie, ustalony porządek religijny i prowojenna polityka zagraniczna i wojskowa, a ograniczone prawa wyborcze przysługiwały tylko bogatym elitom. Liberałowie musieli się skupić na poszerzeniu praw wyborczych, gdyż dla obu stron było jasne, że wolność osobista leżała w interesie politycznym i ekonomicznym większości społeczeństwa. Co ciekawe, leseferyści byli do końca osiemnastego wieku nazywani „liberałami” lub „radykałami” (w przypadku bardziej stanowczych), a opozycja, która chciała zachowania lub powrotu starego porządku, była powszechnie określana mianem „konserwatystów”.

Konserwatyzm narodził się na początku XIX wieku, jako świadoma próba odwrócenia kierunku zmian zainspirowanych przez zniechęconego ducha klasycznego liberalizmu – rewolucji w Ameryce i Francji oraz rewolucji przemysłowej. Konserwatyści, pod wodzą dwóch reakcyjnych myślicieli francuskich de Bonalda i de Maistre’a, pragnęli zastąpić równouprawnienie rządami zorganizowanej hierarchii uprzywilejowanych elit, wolność osobistą i minimalny rząd – władzą absolutną i wielkim rządem, swobody religijne – teokratyczną władzą państwowego Kościoła, pokój i wolność handlu – merkantylistycznymi obostrzeniami i wojną w interesie państwa narodowego, przemysł i rzemiosło – starymi feudalnymi stosunkami. W miejsce nowego świata masowej konsumpcji i powszechnego wyższego standardu życia chcieli przywrócić stary porządek, w którym masy żyły na granicy egzystencji, a elita rządząca – w luksusie.

W połowie XIX wieku, a tym bardziej pod koniec XIX wieku, konserwatyści zaczęli sobie uświadamiać, że jeśli będą się otwarcie upierać przy postulacie unieważnienia rewolucji przemysłowej i jej dobrodziejstw, to ich sprawa będzie skazana na porażkę. Zrozumieli również, że protestując przeciwko poszerzeniu praw wyborczych, stawiają się w opozycji do większości społeczeństwa. Dlatego „prawe skrzydło” (określenie, które zawdzięczamy

przypadkowi z zakresu geografii parlamentarnej, mianowicie temu, że zwolennicy starego ładu w czasie Rewolucji Francuskiej zasiadali po prawej stronie sali) postanowiło zmienić front i zaktualizować swoje etatystyczne credo, wyrzucając z niego otwartą krytykę industrializmu i demokratycznych praw wyborczych. Nowi konserwatyści zastąpili szczerą nienawiść i pogardę dla mas społecznych obłudą i demagogią. „My też popieramy uprzemysłowienie i poprawę warunków życia. Ale żeby osiągnąć te cele, musimy w imię dobra publicznego sterować przemysłem, musimy wprowadzić zorganizowaną współpracę w miejsce wilczych praw wolnego rynku i konkurencji. A przede wszystkim zamiast kierować się szkodliwymi społecznie liberalnymi dogmatami dotyczącymi pokoju i wolnego handlu, powinniśmy mieć na uwadze narodowe interesy, które przemawiają za wojną, protekcjonizmem, wzmacnianiem imperium i potęgi wojskowej”. Dla przeprowadzenia tych wszystkich zmian konieczny był oczywiście rząd potężny, a nie rząd minimalny.

W ten sposób, pod koniec XIX wieku, powróciły etatyzm i wielki rząd, tym razem pod pozorem poparcia dla uprzemysłowienia i ogólnego dobrobytu. Powrócił stary porządek, ale tym razem jego beneficjanci zostali nieco przetasowani. Nie była już nimi szlachta, posiadacze ziemscy, armia, biurokracja i uprzywilejowani kupcy, tylko armia, biurokracja, osłabione ziemiaństwo, a przede wszystkim uprzywilejowani przemysłowcy. Wzorując się na kanclerzu Prus, Bismarcku, nowa prawica formowała kolektywizm oparty na wojnie, militarystyce, protekcjonizmie i przymusowych kartelach w biznesie i przemyśle. Była to olbrzymia sieć kontroli, regulacji, dotacji i przywilejów, które torowały drogę związkom wielkiego rządu z wybranymi faworyzowanymi częściami wielkiego biznesu i przemysłu.

Trzeba też było coś zrobić z nowym zjawiskiem olbrzymich rzesz pracowników najemnych w przemyśle – „proletariatem”. Przez cały wiek XVIII aż do połowy, a właściwie prawie do końca wieku XIX masy robotnicze opowiadały się za leseferyzmem, konkurencją i wolnym rynkiem. Czerpały z tego systemu korzyści: jako pracownicy – w postaci lepszych zarobków i warunków pracy; jako konsumenci – w postaci dostępności tanich i coraz bardziej różnorodnych produktów do nabycia. Nawet pierwsze związki zawodowe, np. w Wielkiej Brytanii, były wiernymi wyznawcami leseferyzmu. Nowi konserwatyści, pod wodzą Bismarcka w Niemczech i Disraeli’ego w Wielkiej Brytanii, osłabiali wolnościowego ducha robotników, wylewając krokodyły łzy nad dolą wielkoprzemysłowej klasy pracowniczej i nad niewystarczającą regulacją rynku przez kartele i nakazy. Wreszcie, na początku XX wieku, nowe konserwatywne „państwo korporacyjne” – dominująca forma systemu politycznego w świecie zachodnim wówczas i obecnie – wcieliło do rządu „odpowiedzialne”, korporacyjne związki zawodowe, a wielki biznes dopuściło do udziału w procesie decyzyjnym.

Żeby wprowadzić ten nowy system, stworzyć nowy porządek, który był unowocześnioną, podretuszowaną wersją *ancien régime*’u, nowe elity rządzące musiały dokonać olbrzymiej manipulacji na świadomości społeczeństwa, manipulacji, która dokonuje się po dziś dzień. Istnienie *każdego* rządu, od monarchii absolutnej do dyktatury wojskowej, opiera się na przyzwoleniu większości społeczeństwa, ale w przypadku rządu demokratycznego poparcie społeczne musi być bardziej bezpośrednie, wyrażane na co dzień. Żeby do tego doprowadzić, nowe konserwatywne elity rządzące musiały ogłupić społeczeństwo w sposób zasadniczo inny niż dotychczas. Teraz bowiem należało przekonać masy, że tyrania jest lepsza od wolności, że scentralizowany i obdarzony przywilejami feudalizm przemysłowy jest dla konsumenta lepszy niż rynek z wolną konkurencją, że centralny monopol musi być wprowadzony *w imię* zniesienia monopolu oraz że wojna i rozrost armii dla dobra elit rządzących leży tak naprawdę w interesie powoływanego do wojska, płacącego podatki, a często posyłanego na śmierć społeczeństwa. Jak tego dokonać?

W każdym społeczeństwie opinia publiczna jest kształtowana przez specjalistów od jej urabiania. Większość bowiem ludzi nie tworzy ani nie rozpowszechnia idei ani pojęć. Przeciwnie, ludzie mają raczej skłonność do przyjmowania koncepcji głoszonych przez klasę zawodowych intelektualistów, zawodowych handlarzy ideami. W całej zaś historii, jak zobaczymy dalej, despoci i klasy rządzące państwami przejawiali o wiele większe zapotrzebowanie na usługi intelektualistów niż pokojowo nastawieni obywatele wolnego społeczeństwa. Państwa potrzebowały urabiających opinię intelektualistów do przekonywania społeczeństw, że ich rządy są mądre, dobre i konieczne, że „cesarz ma szaty”. Aż do czasów najnowszych rolę takich intelektualistów pełniło duchowieństwo (albo szamani), strażnicy religii. Stare jak świat przymierze Kościoła z państwem było bardzo wygodne. Kościół nauczał swoje ogłupiałe owieczki, że król panuje z boskiego rozkazu, więc należy mu się posłuszeństwo. W zamian za to król kierował znaczną część dochodów uzyskiwanych z podatków do kościelnych skarbców. Dlatego właśnie tak ważny był rozdział państwa od Kościoła postulowany przez klasycznych liberałów. Nowy, liberalny świat byłby światem, gdzie świeccy intelektualiści mogliby zarabiać samodzielnie, bez państwowych subwencji, biorąc udział w grze rynkowej.

W celu wprowadzenia nowego porządku etatystycznego, neomerkantylistycznego państwa korporacyjnego, konserwatyści musieli doprowadzić do zawiązania nowego sojuszu pomiędzy państwem a intelektualistami. W czasach postępującej sekularyzacji oznaczało to sojusz z intelektualistami świeckimi, a nie duchownymi: z nowym gatunkiem profesorów, doktorów, nauczycieli i ekonomistów-technokratów, z pracownikami opieki społecznej, socjologami, lekarzami i inżynierami. Ten zmodernizowany sojusz zawiązywał się w dwóch etapach. Na początku XIX wieku konserwatyści pozostawili racjonalne argumenty liberałom, a sami odwoływali się do rzekomych zalet irracjonalizmu, romantyzmu, tradycji, teokracji. Podkreślając siłę tradycji i irracjonalnych symboli, konserwatyści wodzili społeczeństwo za nos, wmawiając mu, że władza powinna pozostawać w rękach uprzywilejowanej hierarchii oraz że państwu narodowemu wraz z jego machiną wojenną należy oddawać cześć. W drugiej połowie XIX wieku nowi konserwatyści przywdziali szaty adwokatów rozumu i „nauki”. Teraz nauka miała dowodzić konieczności zarządzania ekonomią i społeczeństwem przez „ekspertów”. W nagrodę za upowszechnienie tej wiadomości wśród ludu nowi intelektualiści otrzymali posady apologetów nowego ładu, planistów i kierowników skartelizowanej gospodarki i społeczeństwa, a także należny tym stanowiskom prestiż.

Żeby poddać opinię publiczną ideologii nowego etatyizmu, zagwarantować, że będzie ją można nakłonić do akceptacji dla swoich poczynań, zachodnie rządy końca XIX i początku XX wieku przejęły kontrolę nad edukacją, nad umysłami ludzi, a więc nad uniwersytetami i szkołami publicznymi. Wprowadzono obowiązek szkolny i otwarto sieć państwowych szkół. Szkoły były z premedytacją używane do wpajania uczniom posłuszeństwa wobec państwa i innych cnót obywatelskich. Upaństwowienie systemu edukacji powodowało, że nauczyciele i zawodowi pedagodzy stanowili jedną z najważniejszych inwestycji w rozwój etatyizmu.

Jedną z metod działania nowych intelektualistów etatystycznych było nadanie nowych znaczeń starym pojęciom i manipulowanie w ten sposób emocjami, jakie były z tymi pojęciami związane. Na przykład libertarianie leseferyści byli od dawna nazywani „liberałami”, a najbardziej ortodoksyjni i bojowo nastawieni spośród nich – „radykałami”. Nazywano ich też „progresistami”, bo głosili pochwałę rozwoju przemysłu, poszerzenia obszaru wolności i podniesienia standardu życia. Etatystyczni akademicy nowego chowu przywłaszczyli sobie te terminy i zaczęli nazywać samych siebie „liberałami” i „progresistami”. Swoim leseferystycznym przeciwnikom zaś przykleili łatkę „neandertalczyków” i „reakcjonistów”, oskarżając ich o staroświeckość i zacofanie.

Klasycznych liberałów zaczęto nawet nazywać „konserwatystami”, a nowym etatystom, jak widzieliśmy, udało się zawłaszczyć pojęcie „rozumu”.

Kiedy zdeorientowani liberałowie leseferyści nie odnaleźli się jeszcze w nowym etatyzmie i merkantyлизmie przedstawianym jako „progresywny” etatyzm korporacyjny, pod koniec XIX wieku pojawiła się kolejna przyczyna rozkładu klasycznego liberalizmu. Był nią rozwój nowego specyficznego ruchu – socjalizmu. Socjalizm narodził się w latach trzydziestych XIX wieku i znacznie się rozszerzył po roku 1880. Charakterystyczną jego cechą było to, że stanowił mieszkankę ideologiczną. Pozostawał pod wpływem obu poprzedzających go głównych ideologii, które były sobie przeciwstawne – z jednej strony liberalizmu, z drugiej – konserwatyzmu. Z klasycznego liberalizmu socjaliści wzięli otwarcie głoszoną akceptację uprzemysłowienia i rewolucji przemysłowej, początkową gloryfikację „nauki” i „rozumu” oraz, przynajmniej deklaratywne, przywiązanie do takich ideałów jak pokój, wolność osobista i poprawa standardu życia. Socjaliści rzeczywiście jako pierwsi, jeszcze na długo przed korporacjonistami, włączyli do swojej doktryny naukę, rozum i uprzemysłowienie. Ponadto nie tylko przejęli od klasycznych liberałów ich przywiązanie do demokracji, ale prześcignęli ich na tym polu, domagając się „rozszerzonej demokracji”, w której „wszyscy ludzie” zarządzaliby gospodarką i... sobą nawzajem.

Z drugiej strony, socjaliści przejęli przekonanie konserwatystów o potrzebie przymusu i konieczności wykorzystania państwa do osiągnięcia tych liberalnych założeń. Harmonijny rozwój przemysłu miał być osiągnięty przez wzrost siły państwa. Państwo miało się stać potężną instytucją, zarządzającą ekonomią i społeczeństwem w imię „nauki”. Nad każdym człowiekiem i jego własnością awangarda technokratów miała sprawować władzę w imieniu „ludu” i „demokracji”. Socjalistom nie wystarczała wywalczona przez liberałów wolność badań naukowych. Socjalistyczne państwo miało wprowadzić zasadę rządów sprawowanych przez naukowców. Nie wystarczało im, że liberałowie pozwolili robotnikom osiągnąć bezprecedensowy wzrost dobrobytu. Socjalistyczne państwo byłoby rządzone przez robotników, a raczej przez działających w ich imieniu polityków, biurokratów i technokratów. Nie byli usatysfakcjonowani głoszoną przez liberałów równością praw i równością wobec prawa. Socjalistyczne państwo miało taką równość za nic. Równość miała oznaczać pokraczną i nieosiągalną jednakowość *osiągnięć*, a raczej ustanowienie nowej uprzywilejowanej elity, nowej klasy, w imię wprowadzenia takiej niemożliwej równości.

Socjalizm był hybrydą, bo usiłował osiągnąć liberalne cele, takie jak wolność, pokój i harmonijny rozwój przemysłu, za pomocą narzucenia starych metod konserwatystów: etatyizmu, kolektywizmu i hierarchii przywilejów. Tymczasem cele te można osiągnąć tylko na drodze wolności i oddzielenia państwa od praktycznie wszystkiego. Ruch socjalistyczny był skazany na upadek i rzeczywiście *poniósł żalosną klęskę* w wielu krajach, w których przejął władzę w XX wieku. Sprowadził tylko bezprecedensowy despotyzm, głód i przeraźliwą nędzę.

Ale najgorsze było to, że ruch socjalistyczny, jako partia nadziei, radykalizmu i rewolucji w krajach Zachodu, zdołał zdystansować klasycznych liberałów w ich „lewicowości”. Liberałowie bowiem, w przeciwieństwie do obrońców *ancien régime*’u, którzy zajmowali miejsce po prawej stronie sali w czasie Rewolucji Francuskiej, zasiadali wraz z radykałami po lewej. Aż do narodzin socjalizmu klasyczni wolnościowi liberałowie *stanowili* „lewicę”, a nawet „skrajną lewicę”. Jeszcze w 1848 roku tak wojowniczy leseferysta jak Frederic Bastiat siedział w Zgromadzeniu Narodowym po lewej stronie. Klasyczni liberałowie pojawili się na Zachodzie jako partia radykalna, rewolucyjna, partia nadziei i zmian w imię wolności, pokoju i postępu. Liberałowie popełnili poważny błąd strategiczny, pozwalając się podejść socjalistom pozującym na „lewicowców”. W rezultacie liberałowie wylądowali w środku

między przeciwstawnymi obozami konserwatystów i socjalistów. Ponieważ libertarianizm nie jest niczym innym niż partią zmiany i poszerzania obszaru wolności, to zaniechanie pełnienia tej roli oznaczało w dużej mierze utratę racji bytu – jeśli nie w rzeczywistości, to przynajmniej w odbiorze społecznym.

Żadna jednak z tych rzeczy nie miałaby miejsca, gdyby liberałowie przeciwstawili się złu toczącemu ich od środka. Mieli oni możliwość pokazania – i niektórzy z niej skorzystali – że socjalizm jest ruchem chaotycznym, wewnętrznie sprzecznym, niby-konserwatywnym; że jest monarchią absolutną i feudalizmem z nową twarzą. Mogli głosić, że to oni są nadal prawdziwymi radykałami, niezłomnymi bojownikami wierzącymi w zwycięstwo wolnościowych ideałów.

### ***Zepsucie od środka***

Zamiast tego jednak, osiągnąwszy połowiczny sukces w walce z etatyzmem, klasyczni liberałowie stali się mniej radykalni. Skupili się bez reszty na doprowadzeniu walki z konserwatywnym etatyzmem do ostatecznego zwycięstwa, zamiast posłużyć się połowicznymi sukcesami jako odskocznią dla dalszych nacisków. Zaczęli tracić zapał do zmian i przywiązanie do czystości zasad. Zadowalali się utrzymaniem wywalczonych zdobyczy i w ten sposób z radykałów stali się konserwatystami – w tym sensie, że dążyli do zachowania osiągniętego *status quo*. Krótko mówiąc, liberałowie oddali szerokie pole do popisu socjalistom, którzy mogli teraz odgrywać rolę partii nadziei i radykalnych zmian. Umożliwili też korporacjonistom strojenie się w piórka „liberałów” i „progresistów”, pozostających w opozycji do „skrajnej prawicy” i „konserwatywnych” wolnościowych klasycznych liberałów. Ci ostatni bowiem pozwolili się zepchnąć na pozycje obrońców zastoju, braku jakiegokolwiek zmiany. Była to strategia głupia i nie do utrzymania w dynamicznej rzeczywistości.

Ale zwyrodnienie liberalizmu nie polegało wyłącznie na degeneracji postaw i strategii, lecz także na rezygnacji z pryncypiów. Liberałowie pogodzili się bowiem z przejęciem przez państwo kompetencji do decydowania o wojnie, z oddaniem w ręce państwa kontroli nad szkolnictwem, pieniędzmi, bankowością i drogami, czyli z przekazaniem państwu władzy nad wszystkimi kluczowymi dla społeczeństwa dziedzinami życia. Podczas gdy osiemnastowieczni liberałowie odnosili się wrogo do władzy wykonawczej i do biurokracji, to liberałowie dziewiętnastowieczni tolerowali, a nawet pochwalali wzmocnienie władzy wykonawczej i rozbudowę wyobcowanej oligarchicznej biurokracji.

Co więcej, zarówno pryncypia, jak i strategia były odpowiedzialne za odejście od „abolicjonizmu”, którego zwolennikami byli liberałowie w osiemnastym i na początku XIX wieku. Abolicjonizm głosi konieczność jak najszybszego odrzucenia niewolnictwa i każdej innej formy etatyzmu. Choć w praktyce natychmiastowa eliminacja państwa jest niemożliwa, to należy do niej dążyć jako do *jedynego moralnie słusznego* stanu. Wybór stopniowej eliminacji instytucji złej i korzystającej z przemocy, zamiast natychmiastowego pozbycia się jej, oznacza *zatwierdzenie* i usankcjonowanie tego zła i, tym samym, pogwałcenie libertariańskich zasad. Wielki abolicjonista i libertarianin William Lloyd Garrison wyjaśnia: „Z jak największą żarliwością domagajmy się natychmiastowej abolicji, mimo że – niestety – doprowadzi to tylko do abolicji stopniowej. Nigdy nie twierdziliśmy, że niewolnictwo zostanie zniesione z dnia na dzień; ale zawsze będziemy twierdzić, że z dnia na dzień zniesione być powinno”<sup>4</sup>.

---

<sup>4</sup> Według cytatu z: William H. Pease and Jane H. Pease, eds., *The Antislavery Argument* (Indianapolis: Bobbs-Merrill Co., 1965), s. xxxv.

Dwie kluczowe zmiany w filozofii i ideologii klasycznego liberalizmu przyczyniły się do jego upadku jako ważnej, postępowej i radykalnej siły, która mogła oddziaływać na sytuację w krajach Zachodu. Pierwsza i najważniejsza pojawiła się w pierwszej połowie XIX wieku i polegała na odejściu od filozofii prawa naturalnego i zastąpieniu jej technokratyczną doktryną utilitaryzmu. Zamiast wolności ufundowanej na moralnym imperatywie prawa każdego człowieka do dysponowania swoją osobą i własnością, czyli zamiast wolności jako celu wyznaczonego przez prawo i sprawiedliwość utilitaryzm wołał mówić o wolności jako najlepszej metodzie osiągnięcia niejasno definiowanego dobrobytu i powszechnego dobra. To przesunięcie od prawa naturalnego w kierunku utilitaryzmu miało dwa poważne następstwa. Po pierwsze, przyczyniało się nieuchronnie do naruszenia czystości celu i do naruszenia spójności zasad. Libertarianin – zwolennik prawa naturalnego, kierując się moralnością i sprawiedliwością, będzie bowiem bronił wiernie czystości celu. Tymczasem utilitarysta potraktuje wolność jako wygodny, praktyczny instrument do doraźnych zastosowań. Ponieważ wygoda i względy praktyczne są wartościami zmiennymi i ulotnymi, to utilitarysta, kierując się w ocenie poszczególnych przypadków chłodnym rachunkiem zysków i strat, z łatwością opowie się za etatyzmem, zdradzając w ten sposób podstawowe zasady. To właśnie przytrafiło się utilitarystom – zwolennikom Benthama w Anglii. Wychodząc od doraźnego libertarianizmu i leseferyzmu, coraz bardziej skłaniali się oni ku etatyzmowi. Przejawiało się to na przykład w ich dążeniu do wprowadzenia „skutecznej”, a co za tym idzie – silnej, administracji i władzy wykonawczej. Skuteczność była dla nich ważniejsza niż sprawiedliwość i prawo w jakimkolwiek rozumieniu i ostatecznie zajęła ich miejsce.

Po drugie – co jest równie ważne – rzadko się zdarza, żeby utilitarysta był radykalny, żeby z zapalem się domagał natychmiastowej eliminacji zła i przymusu. Utilitaryści, z ich umiłowaniem doraźnej korzyści, prawie zawsze sprzeciwiają się wszystkiemu, co byłoby radykalną zmianą i niosło ze sobą jakiejkolwiek niedogodności. Żaden utilitarysta nie był rewolucjonistą. Dlatego utilitaryści nigdy nie opowiadają się za natychmiastową abolicją. Abolicjonista musi być radykalny, bo chce wyeliminować zło i niesprawiedliwość jak najszybciej, a mając taki cel, nie można chłodno kalkulować i kierować się doraźnymi korzyściami. Dlatego też klasyczni liberałowie utilitaryści porzucili radykalizm i stali się zwykłymi zwolennikami stopniowych reform. Zostawszy zaś reformatorami, znaleźli się z konieczności w grupie państwowych doradców i ekspertów od skuteczności. Innymi słowy, musieli się rozstać z wolnościowymi zasadami i z libertariańską strategią przez te zasady dyktowaną. Utilitaryści skończyli jako apologety istniejącego systemu, piewcy *status quo*, a co za tym idzie, stali się podatni na krytykę ze strony socjalistów i postępowych korporacjonistów, którzy uważali ich za ciasnych konserwatywnych przeciwników zmian. W ten oto sposób z radykałów i rewolucjonistów, pozostających w skrajnej opozycji do konserwatystów, klasyczni liberałowie stali się tymi, przeciwko którym walczyli.

Choroba utilitaryzmu do dziś toczy libertarianizm. U zarania myśli ekonomicznej utilitaryzm przejął ekonomię wolnego rynku, na którą oddziaływali Bentham i Ricardo. Do dziś oddziaływanie to nie straciło na sile. Współczesna ekonomia wolnorynkowa pełna jest apeli o gradualizm. W pogardzie ma etykę, sprawiedliwość i spójne zasady. W każdej chwili gotowa jest porzucić wolnorynkowe pryncypia dla doraźnych korzyści. Z tych właśnie powodów intelektualiści postrzegają ekonomię jako zwykłą pochwałę niemal nienaruszonego *status quo*. I bardzo często ich zarzuty są słuszne.

Drugi zwrot w ideologii klasycznych liberałów nastąpił w końcu XIX wieku, gdy, na kilka przynajmniej dziesięcioleci, przyjęli oni doktrynę ewolucjonizmu społecznego, zwanego „darwinizmem społecznym”. Na ogół historycy etatyści mieszają z błotem takich leseferystycznych darwinistów jak Herbert Spencer czy William Graham Sumner. Zarzucają im, że są okrutnymi orędownikami ludobójstwa albo przynajmniej pozbywania się jednostek

społecznie „nieprzystosowanych”. Wiele elementów tej nauki polegało po prostu na przyobleczeniu społeczno-ekonomicznej ideologii wolnego rynku w modną wówczas formę ewolucjonizmu. Ale naprawdę istotnym niszczyielskim czynnikiem darwinizmu społecznego było nieuprawnione zastosowanie ewolucjonizmu do sfery społecznej. Skoro gatunki (lub, według późniejszych uściśleń – geny) podlegały na przestrzeni tysiącleci bardzo, bardzo powolnym zmianom, to liberałowie darwiniści społeczni doszli do wniosku, że należy poniechać idei rewolucji czy nagłej zmiany i siedzieć, czekając spokojnie na małą mutację, która nieuchronnie się pojawi w ciągu najbliższych eonów. Mówiąc krótko, społeczni darwiniści lekceważyli fakt, że liberalizm powinien przełamać potęgę rządzących elit za pomocą szeregu radykalnych zmian i rewolucji. Stali się więc konserwatystami i występowali przeciwko jakimkolwiek radykalnym działaniom, opowiadając się za możliwie najmniejszymi stopniowymi zmianami<sup>5</sup>.

Sam wielki libertarianin, Herbert Spencer, może posłużyć za fascynującą ilustrację takiej zmiany w klasycznym liberalizmie (w Ameryce odpowiednikiem jego przypadku jest William Graham Sumner). W pewnym sensie Herbert Spencer ucieleśnia wręcz upadek liberalizmu w XIX wieku. Spencer występował bowiem z początku jako niezwykle radykalny liberał, właściwie czysty libertarianin. Ale gdy jego duszę opanował wirus socjologii i darwinizmu społecznego, porzucił libertarianizm jako dynamiczny radykalny ruch mogący wpływać na historię, chociaż dalej był jego zwolennikiem w wymiarze czysto teoretycznym.

Spodziewając się ostatecznego zwycięstwa wolności w jej czystej postaci, zwycięstwa „umowy” nad „statusem”, przemysłu nad militarystką, Spencer widział to zwycięstwo jako nieuniknione, ale dopiero po tysiącach lat stopniowej ewolucji. W konsekwencji liberalizm przestał być dla niego walczącą radykalną doktryną. Swoją liberalizm Spencer sprowadził do marnej, konserwatywnej, epigońskiej działalności skierowanej przeciwko rozwijającemu się w tym czasie kolektywizmowi i etatyzmowi.

Chociaż podbudowany społecznym darwinizmem utylitaryzm był główną przyczyną filozoficznego i ideologicznego upadku ruchu liberalnego, to zdecydowanie najważniejszym katalizatorem jego degeneracji było to, że odszedł od pierwotnie rygorystycznych zasad: potępienia wojny, imperium i militarystki. W Anglii, pod koniec XIX i na początku XX wieku, liberałowie odeszli od antywojennego, antyimperialistycznego „anglocentryzmu” Cobdena, Brighta i szkoły manchesterskiej. Zamiast tego przyjęli doktrynę o obrzydliwej nazwie „liberalny imperializm” i razem z konserwatystami głosili ekspansję imperium, a razem z konserwatystami i prawym skrzydłem socjalistów – pochwałę niszczyielskiego imperializmu i kolektywizmu pierwszej wojny światowej. W Niemczech Bismarckowi udało się rozbić niemal zwycięskich do tej pory liberałów, zastawiając pułapkę idei zjednoczenia Niemiec krwią i żelazem. W przypadku obu krajów rezultatem było zaprzepaszczenie ideałów liberalizmu.

W Stanach Zjednoczonych partią klasycznych liberałów była przez długi czas Partia Demokratyczna, nazywana pod koniec XIX wieku „partią wolności osobistej”. Zasadniczo była to partia nie tylko wolności osobistej, ale też wolności gospodarczej. Przeciwdziałała się mężnie prohibicji, zakazowi handlu w niedzielę i przymusowi szkolnemu. Była zagorzałą

---

<sup>5</sup> Jak na ironię, w nowoczesnej wersji teoria ewolucji zarzuciła już koncepcję stopniowych zmian ewolucyjnych. Teraz przyjmuje się, że znacznie bliższa rzeczywistości jest teoria skokowego i nagłego przechodzenia gatunków od jednego stanu równowagi do następnego. Nosi ona nazwę teorii „zmian punktowych”. Jeden z przedstawicieli nowej teorii, profesor Stephen Jay Gould tak ją objaśnia: „Gradualizm jest filozofią zmiany, nie jest zaś wynikiem indukcji przeprowadzonej na podstawie obserwacji przyrody. (...) Ponadto, gradualizm zawiera silną domieszkę ideologii. Właśnie tym składnikiem ideologicznym, a nie trafności opisu zjawisk naturalnych, zawdzięczał w przeszłości swoje sukcesy. (...) Oddziaływanie gradualizmu jako ideologii należy tłumaczyć jego użytecznością. Posłużył on mianowicie za dogmatyczny argument liberałów przeciwko gwałtownym zmianom – nagle zmiany są wbrew prawom natury”. Stephen Jay Gould, „Evolution: Explosion, Not Ascent”, *New York Times* (22 stycznia 1978).



zwolenniczką swobody handlu, twardej waluty (eliminacja rządowej inflacji), oddzielenia bankowości od państwa i absolutnie minimalnej roli państwa. Demokraci uważali, że rządy stanowe powinny dysponować znikomą władzą, a rząd federalny – praktycznie żadną. W dziedzinie polityki zagranicznej Partia Demokratyczna kierowała się – choć mniej rygorystycznie – zasadami pokojowego współistnienia, antymilitaryzmu i anymperializmu. Jednakże libertarianizm, zarówno w zakresie wolności osobistej, jak i gospodarczej, został wyrugowany z Partii Demokratycznej, gdy kontrolę nad nią przejęło stronnictwo Bryana w roku 1896. Dwie dekady później Woodrow Wilson brutalnie zerwał z zasadą nieinterwencji. Interwencje i wojny rozpoczynały wiek śmierci i zniszczeń, wiek bitew i nowych despotyzmów, a także wprowadzenia nowego etatyzmu korporacyjnego we wszystkich krajach biorących udział w wojnie. Był to wiek państwa wojenno-opiekuńczego (*welfare-warfare State*) rządzonego przez sprzysiężenie wielkiego rządu, wielkiego biznesu, związków zawodowych i intelektualistów, o których mówiliśmy już wcześniej.

Ostatnim śladem po starym leseferystycznym libertarianizmie byli mężni wiekowi libertarianie, którzy zebrali się na początku wieku, żeby utworzyć Ligę Antyimperialistyczną. Liga miała się przeciwstawić wojnie USA z Hiszpanią i związanej z nią wojnie przeciwko Filipinom, które usiłowały uniezależnić się od obu tych krajów. Z dzisiejszej perspektywy może się wydawać dziwne, że antyimperialistą może być niemarksista, ale opozycji wobec imperializmu dali początek liberałowie leseferyści, tacy jak Cobden i Bright w Anglii i Eugen Richter w Prusach. Tymczasem Liga Antyimperialistyczna, pod przewodnictwem przemysłowca i ekonomisty Edwarda Atkinsona (i z udziałem Sumnera), składała się w większości z radykalnych leseferystów, którzy stoczyli już uprzednio boje o zniesienie niewolnictwa, o wolny handel, twardą walutę i minimalny rząd. Dla nich ostatnia bitwa z amerykańskim imperializmem była po prostu częścią i ukoronowaniem walki, którą toczyli przez całe życie – walki ze zniewoleniem, etatyzmem i niesprawiedliwością, z wielkim rządem w każdej dziedzinie życia – w kraju i w stosunkach międzynarodowych.

Prześledziliśmy zatrwającą historię staczenia się i upadku klasycznego liberalizmu, który nastąpił po jego powstaniu i częściowym zwycięstwie w poprzednich wiekach. Jaka jest więc przyczyna odrodzenia się i rozkwitu myśli libertariańskiej i ruchów wolnościowych w ostatnich latach, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych? Jakim cudem potężne siły i koalicje stojące za etatyzmem dopuściły do odrodzenia się ruchu libertariańskiego? Czy, podjęty w końcu XIX i w XX wieku, pochód etatyzmu nie powinien nas doprowadzić raczej na skraj przepaści, niż wywołać odrodzenie się konającego – zdawałoby się – libertarianizmu?

Zrozumieliśmy przyczyny, dla których libertarianizm zrodził się i przybrał najpełniejszą formę w USA, w kraju głęboko zanurzonego w wolnościowej tradycji. Ale nie odpowiedzieliśmy jeszcze na pytanie: dlaczego libertarianizm *w ogóle* się odrodził w ciągu ostatnich lat? Jakie współcześnie występujące czynniki przyczyniły się do jego zdumiewającego rozwoju? Z odpowiedzią na to pytanie musimy poczekać do końca książki, do czasu, gdy poznamy libertariańskie credo i zbadamy, jak się ono sprawdza w rozwiązywaniu największych bolączek naszego społeczeństwa.

## Część I

### Libertariańskie credo

#### Rozdział 2: Własność i wymiana

##### *Aksjomat nieagresji*

Libertariańskie credo opiera się na jednym centralnym pewniku: żaden człowiek, ani grupa ludzi, nie ma prawa do agresji skierowanej przeciwko osobie lub własności innego człowieka. Twierdzenie to można nazwać „aksjomatem nieagresji”. „Agresję” definiuje się jako zainicjowanie użycia lub groźbę użycia fizycznej przemocy przeciwko osobie lub własności innego człowieka. Agresja jest więc synonimem naruszenia praw.

Jeśli nikt nie ma prawa posuwać się do agresji, czyli jeśli każdy ma niepodważalne prawo do „wolności” od agresji, to tym samym libertarianin opowiada się kategorycznie za prawami powszechnie znanymi jako „swobody obywatelskie”: wolnością słowa, publikacji, zgromadzeń oraz prawem do podejmowania działań określanych mianem „przestępstw bez ofiary”, takich jak pornografia, zboczenia seksualne czy prostytutka (których libertarianin w ogóle nie uważa za „przestępstwa”, gdyż pod pojęciem „przestępstwa” rozumie brutalne naruszenie czyjejś nietykalności osobistej lub własności). Ponadto obowiązkową służbę wojskową traktuje jako praktykowanie na wielką skalę niewolnictwa, a wojnę, zwłaszcza jej współczesną formę, pociągającą za sobą masowe rzezie ludności cywilnej, uważa za całkowicie nieuprawnioną.

Wszystkie te poglądy są obecnie postrzegane jako „lewicowe”. Z drugiej strony, libertarianin, sprzeciwiając się naruszaniu prawa do prywatnej własności, równie stanowczo będzie się przeciwstawiał dokonywanej przez sterowanie, regulacje, dotacje lub zakazy ingerencji państwa w sferę własności prywatnej i wolnego rynku. Jeśli bowiem każdy ma prawo dysponowania swoją własnością, bez narażania się na agresywną grabież, to ma również prawo do przekazywania swojej własności (darowizny i spadki) i do jej zamiany na własność należącą do innych (swoboda umów i gospodarka wolnorynkowa) bez ingerencji z zewnątrz. Libertarianin opowie się za nieograniczoną własnością prywatną i swobodą wymiany, czyli za systemem „kapitalizmu leseferystycznego”.

A zatem – posługując się współczesną terminologią – można by określić poglądy libertarian na własność prywatną i gospodarkę jako „skrajnie prawicowe”. Libertarianin nie widzi niespójności w tym, że w niektórych kwestiach jest postrzegany jako „lewicowiec”, a w innych – jako „prawicowiec”. Uważa nawet, że *to właśnie jego* stanowisko w świetle zagadnienia wolności każdej jednostki jest spójne. Jak bowiem lewicowiec może być przeciwnikiem przemocy wojennej i poboru, a jednocześnie popierać przemoc w postaci podatków i kontroli rządowej? Jak z kolei prawicowiec może głosić swoje przywiązanie do idei prywatnej własności i wolnej przedsiębiorczości, a jednocześnie odnosić się przychylnie do wojny, poboru oraz zakazu praktyk i działań nienaruszających praw innych osób, ale uznanych przez niego za niemoralne? Jak prawicowiec może się opowiadać za wolnym rynkiem, nie dostrzegając niczego złego w olbrzymich subsydiach, interwencjach i marnotrawstwie przemysłu zbrojeniowego?

Libertarianin nie godzi się na jakąkolwiek indywidualną lub grupową agresję skierowaną przeciwko innym osobom i ich własności, a za głównego, dominującego i najważniejszego agresora naruszającego prawa jednostki na przestrzeni dziejów i obecnie uważa państwo. W odróżnieniu od innych myślicieli, zarówno lewicowych, jak i prawicowych czy centrowych, libertarianin odmawia przyznania państwu moralnej sankcji dla podejmowania przez nie działań, które niemal wszyscy uważają za niemoralne, nielegalne i przestępcze, gdy popełniane są przez jednostkę lub grupę osób. Krótko mówiąc, libertarianin obstaje przy zasadzie, by prawo moralne stosować do wszystkich podmiotów i nie czynić wyjątków dla żadnej jednostki ani grupy. Jeśli przyjrzymy się państwu takiemu, jakie jest, odartemu z jego pozornego majestatu, to zauważymy, że pozwala mu się, wręcz zachęca się je, do popełniania czynów, które nawet w opinii nielibertarian stanowią karalne przestępstwa. Państwo nagminnie dopuszcza się masowej zbrodni, którą nazywa „wojną”, a innym razem „tłumieniem działań wywrotowych”; państwo angażuje się w proceder niewolnictwa, zwanego „poborem”; państwo istnieje i utrzymuje się dzięki praktyce przymusowego złodziejstwa, które nazywa „opodatkowaniem”. Dla libertarianina nie ma znaczenia, czy za takimi praktykami opowiada się większość populacji. Istotna jest ich natura, czyli to, że wojna jest masowym morderstwem, pobór jest niewolnictwem, a podatki – grabieżą. Libertarianin, niczym dziecko z bajki, uparcie wskazuje, że cesarz jest nagi.

Od niepamiętnych czasów cesarz przywdziewał przeróżne pseudosząty podsuwane mu przez kastę intelektualistów danego kraju. W przeszłości intelektualiści ogłaszali poddanym, że państwo albo jego władcy są bogami, lub że są przynajmniej obdarzeni boskim autorytetem i w związku z tym to, co naiwnym oczom prostaczków może wydawać się despotyzmem, zbrodnią lub rabunkiem na wielką skalę, jest tylko przejawem dobroczynnego i tajemniczego oddziaływania bóstwa na świat polityki. W ostatnich czasach, gdy sankcja boskości stała się przeżytkiem, „nadworni intelektualiści” imperatora obmyślili jeszcze misterniejszą apologię: ogłosili społeczeństwu, że działalność rządu służy „wspólnemu dobru” i „powszechnej pomyślności”, że proces opodatkowania-finansowania wymaga tajemniczego, niezbędnego do utrzymania gospodarki w równowadze, pośrednictwa „rozdawcy”, oraz że państwo świadczy wiele takich „usług”, których obywatele nie podjęliby się dobrowolnie – ani za darmo, ani dla zysku. Libertarianin wszystko to odrzuca: traktuje te wyjaśnienia jako oszukańczy sposób na uzyskanie poparcia dla władzy państwa i utrzymuje, że wszelkie usługi świadczone przez rząd mogą być wykonywane o wiele lepiej i etyczniej przez przedsiębiorców indywidualnych lub spółki.

Dlatego za swój główny obowiązek edukacyjny libertarianin uważa głoszenie prawdy o rzeczywistej naturze państwa i uświadamianie jego nieszczęsnym obywatelom, że państwo nie ma żadnych znamion świętości. Posługując się wnikliwą argumentacją, wykazuje niezmordowanie, że nie tylko cesarz, ale także „demokratyczne” państwo jest nagie; że wszystkie rządy utrzymują się z wyzysku społeczeństw; i że ten wyzysk nie jest żadną obiektywną koniecznością. Stara się pokazać, że sam fakt istnienia podatków i państwa prowadzi nieuchronnie do podziału klasowego na wyzyskującą władzę i wyzyskiwanych rządzonych; wykazuje, że taki stan rzeczy nie jest bynajmniej obiektywną koniecznością. Próbuje unaocznic, że zadaniem nadwornych intelektualistów było zawsze wspieranie państwa przez stwarzanie mistyfikacji, która miała nakłonić społeczeństwo do zaakceptowania władzy państwa. Obnaża prawdę o tym, że owi intelektualiści w nagrodę za swoje usługi otrzymują udział we władzy i część mamony wyciśniętej przez władców z ogłupionych poddanych.

Przyjrzyjmy się na przykład instytucji podatków, które według niektórych etatystów są w pewnym sensie „dobrowolne”. Jeśli ktokolwiek wierzy w „dobrowolny” charakter podatków, niech spróbuje odmówić ich płacenia, a przekona się na własnej skórze, jak jest naprawdę. Analizując zagadnienie podatków, dochodzimy do wniosku, że spośród wszystkich osób i instytucji w społeczeństwie jedynie rząd zdobywa środki na swoje utrzymanie przy użyciu przemocy. Wszyscy inni otrzymują dochody *albo* w postaci dobrowolnych darowizn (noclegownie, organizacje charytatywne, kluby szachowe), *albo* jako uiszczoną dobrowolnie przez klientów zapłatę za swoje usługi lub wyroby. Gdyby ktokolwiek *inny* niż rząd próbował ściągać podatki, byłoby to niechybnie uznane za wymuszenie i zamaskowany bandytyzm. Tymczasem mistyczny nimb „suwerenności” do tego stopnia przesłonił prawdziwą naturę tego procederu, że tylko libertarianie są gotowi nazywać podatki po imieniu: zalegalizowanym i zorganizowanym złodziejstwem na olbrzymią skalę.

### ***Prawo własności***

Jakie argumenty stoją za tym, żeby libertariańskie credo o nieagresji przeciwko innym osobom i ich własności uznać za aksjomat? W tej sprawie libertarianie w istotny sposób różnili się i różnią nadal. Upraszczając, można powiedzieć, że są trzy główne typy argumentacji stojącej za aksjomatem libertariańskim. Odpowiadają one trzem rodzajom etyki: emotywej, utylitarystycznej i opartej na prawie naturalnym. Emotywiści utrzymują, że założenie dotyczące wolności i nieagresji trzeba poczynić na gruncie czysto subiektywnym, emocjonalnym. Chociaż silne uczucia mogą stanowić uzasadnienie własnych przekonań politycznych emotywistów, to pozostaną mało użyteczne dla innych. Emotywiści stawiają się poza domeną racjonalnego dyskursu i tym samym skazują swoją doktrynę na porażkę.

Utylityści, porównując konsekwencje ustroju wolnościowego ze skutkami działania innych systemów, dochodzą do wniosku, że wolność daje lepsze gwarancje osiągnięcia pożądanych przez wszystkich celów: harmonii, pokoju, dobrobytu itd. Nikt wprawdzie nie zaprzeczy, że do oceny zalet i wad jakichś teorii konieczne będzie badanie porównawcze ich skutków, jednakże z wielu powodów nie możemy przystać na etykę utylitarystyczną. Po pierwsze, utylitaryzm przyjmuje, że możemy dokonywać porównań pomiędzy możliwymi alternatywami i podejmować decyzje na podstawie ich dobrych lub złych *konsekwencji*. Ale jeśli uprawnione jest użycie sądów wartościujących w stosunku do *konsekwencji* wywołanych przez X, to dlaczego nieuprawnione miałoby być użycie takich sądów w odniesieniu do *samego* X? Czy w samym akcie, w jego naturze, nie zawiera się już coś, co można by określić jako złe lub dobre?

Inną trudnością w utylitaryzmie jest to, że niechętnie uznaje on jakąkolwiek zasadę za absolutne i konsekwentnie stosowane kryterium, do którego można by odnosić różne sytuacje rzeczywistego świata. Utylitarysta w najlepszym przypadku będzie traktował zasadę jako niewyraźną wskazówkę, cel dążeń, pewną skłonność, którą w dowolnej chwili można zlekceważyć. Na tym polegała główna słabość dziewiętnastowiecznych radykałów angielskich. Przyjęli oni doktrynę leseferyzmu osiemnastowiecznych liberałów, ale leżącą u podstaw ich filozofii koncepcję prawa naturalnego uznali za „mistyczną” i zastąpili „naukowym” utylitaryzmem. W konsekwencji dziewiętnastowieczni liberałowie leseferyści zaczęli używać pojęcia leseferyzmu raczej jako pewnego wyznacznika dla dążeń niż niewzruszalnego kryterium i coraz bardziej sprzeniewierzali się libertariańskiemu credo. Ta ocena może się wydać surowa, ale jest sprawiedliwa: nie można „wierzyć” utylitaryście, że kieruje się libertariańskim credo w każdym konkretnym przypadku. Znamienitym współczesnym tego przykładem jest zwolennik wolnego rynku profesor Milton Friedman. Friedman, podobnie jak jego klasyczni antenaci, opowiada się generalnie za wolnością i przeciwko interwencji państwa, ale w praktyce dopuszcza mnóstwo wyjątków. Wyjątki te podważają niemal zupełnie ogólną zasadę, a dotyczą przede wszystkim policji i spraw wojskowych, edukacji, podatków, opieki społecznej, problemów społeczności lokalnych (*neighborhood effects*), ustawodawstwa antytrustowego oraz pieniądza i bankowości.

Rozważmy skrajny przykład: Wyobraźmy sobie społeczeństwo, które jest święcie przekonane, że wszyscy rudzi są wysłannikami szatana i w związku z tym należy ich zabijać, gdy tylko gdzieś się pojawiają. Założmy następnie, że w każdym pokoleniu występuje tylko niewielka, statystycznie nieistotna, liczba rudych. Libertarianin utylitarysta będzie rozumował tak: „Chociaż mordowanie rudych jest godne ubolewania, to jednak liczba egzekucji jest niewielka; znakomita większość społeczeństwa, nie będąc ruda, odczuwa wielką satysfakcję na widok publicznej egzekucji rudego. Koszt społeczny jest znikomy, a nie-rudym daje to ogromną przyjemność; dlatego więc zabijanie rudych ma sens i jest uprawnione”. Libertarianin – zwolennik prawa naturalnego, kierujący się wyłącznie *sprawiedliwością* samego czynu, zareaguje przerażeniem, odrazą i stanowczym, jednoznacznym sprzeciwem. Będzie uważał takie egzekucje za całkowicie nieusprawiedliwione morderstwo i agresję przeciwko osobom, które nie dopuściły się agresji. Libertarianin „absolutysta” nie będzie w ogóle brał pod uwagę *konsekwencji* powstrzymania mordów na rudych, czyli pozbawienia większości społeczeństwa wielkiej przyjemności. Kierujący się poczuciem sprawiedliwości i przywiązaniem do spójności logicznej libertarianin – zwolennik prawa naturalnego chętnie się zgodzi, by nazywano go „doktrynerem”, czyli po prostu kimś, kto podąża niewzruszenie za wskazaniami wyznawanych przez siebie doktryn.

Zajmijmy się teraz prawem naturalnym, które w takiej czy innej formie stanowiło i stanowi fundament dla większości libertarian. Pojęcie „prawa naturalnego”, ufundowane na jeszcze większej strukturze „porządku natury”<sup>\*</sup>, jest kamieniem węgielnym filozofii politycznej. Teoria porządku natury opiera się na intuicji, że żyjemy w świecie, w którym mamy do czynienia z więcej niż jednym – a konkretnie z bardzo wieloma – bytami i że każdy byt ma wyraźne, odrębne właściwości, odmienną „naturę”, którą rozum ludzki może zgłębiać przy pomocy percepcji zmysłowej i władz umysłowych. Miedź ma odrębne własności i zachowuje się w określony sposób, podobnie żelazo, sól itd. Gatunek ludzki, tak jak otaczający go świat, ma również dającą się wyodrębnić naturę i może wchodzić w interakcje z innymi bytami. Mówiąc w największym skrócie, działanie każdego nieorganicznego lub organicznego bytu zdeterminowane jest przez jego własną naturę i przez naturę innych bytów, z którymi się styka. W szczególności, zachowanie roślin i przynajmniej niższych zwierząt określone jest przez ich naturę biologiczną lub przez ich „instynkty”, gdy tymczasem natura ludzka decyduje o tym, że człowiek, chcąc działać, musi sam stawiać sobie cele i dobrać metody ich osiągnięcia. Nie posiadając automatycznych instynktów, każdy musi poznać siebie i otaczający świat, świadomie wybierać wartości, zrozumieć związek między przyczyną i skutkiem; żeby utrzymać się przy życiu i rozwijać się, musi działać z nastawieniem na cel. Ponieważ ludzie mogą myśleć, czuć, oceniać i działać tylko jako jednostki, to każdy musi mieć zagwarantowaną wolność poznawania, wybierania, rozwijania zdolności i działania według posiadanej wiedzy i wyznawanych wartości. Tylko wówczas ma szansę zapewnić sobie warunki do przetrwania oraz dobrobyt. Taką drogę wskazuje człowiekowi jego natura;

<sup>\*</sup> Przez „prawo naturalne” (*natural rights*) Rothbard rozumie zapewne łacińskie *lex naturalis*, czyli system osobowych uprawnień i zobowiązań człowieka ustalonych i sformułowanych na drodze rozumowego poznania jego własnej natury; przez „porządek natury” (*natural law*) – łacińskie *lex aeterna*, czyli absolutny, wieczny i powszechny porządek natury ustanowiony przez Stwórcę. Prawo naturalne jest odwiecznym prawem Bożym zastosowanym do ludzi. (por. m.in. S. Świeżawski, *Święty Tomasz na nowo odczytany*, W drodze, 1995; *Katolicyzm A-Z*, Księgarnia św. Wojciecha, 1999) (*przypis tłumacza*).

ingerowanie w ten proces i wypaczanie go przy użyciu siły stanowi zasadniczą przeszkodę w zapewnieniu człowiekowi tego, co jest mu niezbędne do życia i do osiągnięcia dobrobytu. Siłowa ingerencja w poznawanie i dokonywanie wyborów przez człowieka jest więc z gruntu „antyludzka”; narusza naturalne prawo do zaspokojenia potrzeb człowieka.

Indywidualistów ich adwersarze oskarżali zawsze o to, że są „atomistami”, głoszącymi, iż każdy człowiek żyje w swego rodzaju próżni i myśli oraz podejmuje decyzje w izolacji od innych członków społeczeństwa. Tymczasem taki opis pasuje raczej do autorytarnych figurantów; niewielu jest indywidualistów – jeśli w ogóle tacy są – którzy byliby „atomistami”. Jest odwrotnie: indywidualiści uczą się od siebie nawzajem, współpracują i oddziałują na siebie, rozumiejąc, że jest to konieczne do przetrwania. Istotne jest jednak to, że ostatecznie każdy samodzielnie decyduje o tym, czyim się poddać wpływom, a czyjemu oddziaływaniu się przeciwstawić, albo czyje poglądy przyjąć najpierw, a czyje później. Libertarianin jest jak najbardziej za procesem dobrowolnej wymiany i współpracy pomiędzy wolnymi jednostkami; z odrazą jednak reaguje na użycie przemocy w celu zniszczenia takiej dobrowolnej współpracy i przymuszenia kogokolwiek do wybrania sposobu postępowania innego niż ten, który dyktuje mu własny rozum.

Libertariańskie stanowisko w kwestii prawa naturalnego najlepiej będzie przedstawić, dzieląc całe zagadnienie na trzy części. Zaczniemy od rozważenia podstawowego aksjomatu dotyczącego „prawa do samoposiadania”. Prawo do samoposiadania stanowi, że każdy – kobieta i mężczyzna – ma bezwarunkowe prawo do posiadania własnego ciała, wynikające z samego faktu bycia człowiekiem; oznacza ono prawo do pełnej kontroli nad swoim ciałem bez dopuszczenia przymusowej ingerencji ze strony innych osób. Ponieważ każdy człowiek musi myśleć, poznawać, oceniać i wybierać własne sposoby utrzymania się przy życiu i własne drogi rozwoju, to prawo do samoposiadania umożliwia mu działanie w tych istotnych dla życia sferach bez skrępowań i ograniczeń narzucanych przez innych.

Rozważmy konsekwencje *odmówienia* człowiekowi prawa do posiadania własnej osoby. Mamy wtedy do czynienia z dwiema możliwościami: albo (1) jakaś klasa ludzi *A* ma prawo do posiadania innej klasy *B*, albo (2) każdy ma prawo do posiadania równej części każdego innego. Pierwsza możliwość prowadzi do sytuacji, w której tylko klasa *A* ma prawa przynależne człowiekowi, podczas gdy klasa *B* to w istocie podludzie, którzy na takie prawa nie zasługują. Ale, jako że w rzeczywistości są ludźmi, to pierwsza możliwość okazuje się wewnętrznie sprzeczna, gdyż odmawia części ludzi należnych im praw naturalnych. Co więcej, jak się przekonamy, dopuszczenie, żeby klasa *A* posiadała klasę *B*, oznacza, że ma ona prawo tę klasę wyzyskiwać, czyli pasożytować na niej. Samo to pasożytnictwo uniemożliwia spełnienie niezbędnych do życia, podstawowych ekonomicznych warunków: produkcji i wymiany.

W przypadku drugiego rozwiązania, które można by nazwać „kolektywizmem partycypacyjnym” albo „komunizmem”, każdy człowiek miałby prawo do posiadania równej części każdego innego człowieka. Jeśli na świecie żyją dwa miliardy ludzi, to każdy ma prawo posiadać jedną dwumiliardową część każdej osoby. Po pierwsze, musimy stwierdzić, że pomysł ten zasadza się na absurdalnej idei, że każdy jest upoważniony do posiadania części każdego, ale nie ma prawa *posiadać samego siebie*. Po drugie, wyobraźmy sobie, jaką zdolność do przetrwania miałby tak urządzony świat: świat, w którym *nikt* nie może podejmować *żadnego* działania bez uzyskania wcześniejszej zgody, a właściwie otrzymania rozkazu, od *wszystkich* innych. Możemy być pewni, że w takim „komunistycznym” świecie nikt nie byłby w stanie robić czegokolwiek i rasa ludzka szybko by wyginęła. A skoro świat zerowego samoposiadania i stuprocentowego posiadania innych ściągnąłby na nasz gatunek śmierć, to wszelkie kroki czynione w kierunku takiego świata są również sprzeczne z prawem naturalnym, mówiącym o tym, co jest najlepsze dla człowieka i jego egzystencji na ziemi.

Wreszcie, świat kolektywizmu partycypacyjnego *nie może* funkcjonować w praktyce. Jest bowiem fizycznie niemożliwe, żeby bez przerwy każdy każdego miał na oku i w ten sposób urzeczywistniał swoje prawo do posiadania części każdego innego człowieka. W praktyce więc idea powszechnej i równej własności innych zostaje zastosowana tylko do wyspecjalizowanej grupy ludzi, którzy stają się tym samym klasą rządzącą. A ponieważ jakakolwiek próba ustanowienia władzy komunistycznej prowadzi automatycznie do rządów klasowych, to wracamy tym samym do sytuacji przedstawionej jako pierwsza możliwość.

Dlatego też libertarianin odrzuca obie te możliwości i przyjmuje, jako podstawowy aksjomat, powszechne prawo do samoposiadania, prawo należne każdemu z racji samego bycia człowiekiem. Większą trudność stanowi opracowanie teorii własności innych, pozaludzkich obiektów, czyli rzeczy znajdujących się na ziemi.

Stosunkowo łatwo jest orzec naruszenie prawa własności, gdy ktoś dopuszcza się agresji wobec czyjegoś prawa do posiadania własnej osoby: jeśli *A* dokonuje zamachu na *B*, to gwałci prawo *B* do dysponowania własnym ciałem. Ale w przypadku obiektów, które nie są ludźmi, problem jest bardziej złożony. Jeśli widzimy, że *X* zabiera zegarek *Y*, to nie możemy automatycznie stwierdzić, że *X* dopuszcza się agresji przeciwko prawu *Y* do posiadania zegarka. Czyż nie może się zdarzyć, że to *X* jest pierwotnym, „prawdziwym” właścicielem zegarka? Można wtedy o nim powiedzieć, że tylko odzyskuje swoją własność. Do rozstrzygnięcia potrzebujemy teorii uprawnionego posiadania (*theory of justice in property*), teorii, która nam powie, kto jest prawowitym właścicielem: *X*, *Y* czy może ktoś jeszcze inny.

Niektórzy libertarianie usiłują rozwiązać ten problem, utrzymując, że tytuł własności posiada ten, komu przyzna ją istniejący rząd. Nie zajmowaliśmy się jeszcze bliżej naturą rządu, ale na pierwszy rzut oka widzimy, że pogląd taki jest niedorzeczny: niewątpliwie dziwne się wydaje, że grupa odnosząca się od zawsze z podejrzliwością wobec wszelkich poczynań rządu nagle decyduje się dać rządowi prawo do określania i stosowania jakże ważnego pojęcia własności – podstawy i fundamentu całego porządku społecznego. W szczególności utylitaryści leseferystyczni uważają, że najprościej byłoby rozpocząć życie w nowym libertariańskim świecie od zatwierdzenia dotychczasowych tytułów własności; tych tytułów, które nadał rząd oskarżany o ustawiczną agresję.

Zilustrujmy to na hipotetycznym przykładzie. Przypuśćmy, że agitacja i naciski ze strony libertarian doszły już do takiego momentu, w którym rząd i jego różne agendy gotowe są zrzec się władzy. Dotychczasowe elity obmyślają jednak przebiegły fortel. Tuż przed swoją abdykacją rząd stanu Nowy Jork wprowadza w życie prawo, zgodnie z którym całe terytorium stanu przechodzi na własność rodziny Rockefellerów. Ustawodawcy z Massachusetts postępują analogicznie, a beneficjentem jest rodzina Kennedy. I tak dalej w każdym ze stanów. Rząd abdykowałby i ogłosił zniesienie podatków i restrykcyjnego ustawodawstwa, ale zwycięscy libertarianie zostaliby postawieni przed nie lada dylematem. Czy uznać nowo przyznane tytuły własności za pełnoprawną własność prywatną? Utylitaryści, nie mając żadnej teorii uprawnionego posiadania, a chcąc postąpić w zgodzie ze swoim postulatem akceptacji tytułów własności nadanych przez państwo, musieliby pogodzić się z nowym porządkiem społecznym, w którym pięćdziesięciu nowych satrapów zbierałoby podatki w formie jednostronnie narzuconego „czynszu”. Rzecz w tym, że *tylko* libertarianie – zwolennicy prawa naturalnego, wyłącznie ci libertarianie, którzy posługują się niezależną od dekretów rządowych teorią uprawnionego posiadania tytułów własności, mieliby podstawy do wyśmiania roszczeń nowych władców do prawa posiadania całego kraju i mogliby je z czystym sercem odrzucić jako nieważne. Jedynie na solidnym gruncie prawa naturalnego można, jak zauważył wielki dziewiętnastowieczny liberał lord Acton, uzasadnić krytykę rządowych praw i dekretów<sup>1</sup>. Jak więc wygląda kwestia tytułów prywatnej własności w świetle koncepcji prawa naturalnego? Teraz zajmijmy się tym zagadnieniem.

Udowodniliśmy, że każdy ma prawo do samoposiadania, czyli prawo posiadania własnego ciała i własnej osoby. Ale ludzie nie są ulotnymi duchami; nie są bytami samowystarczalnymi; utrzymują się przy życiu i rozwijają dzięki nieustannym zmaganiom z otaczającą rzeczywistością. Muszą na przykład zająć jakieś miejsce na ziemi; w celu przetrwania i utrzymania się, muszą przekształcić dane im przez naturę surowce w „dobra konsumpcyjne”, w rzeczy lepiej się nadające do użytku i do spożycia. Żywność trzeba wyhodować i zjeść; minerały trzeba wydobyć i zamienić na kapitał, a następnie na użyteczne dobra konsumpcyjne itd. Jak zatem należy rozdzielać tytuły własności do tych rzeczy?

Jako pierwszy przykład weźmy rzeźbiarza modelującego swoje dzieło z gliny i innych surowców; pominijmy na razie kwestię pierwotnego prawa własności do gliny i narzędzi rzeźbiarskich. Powstaje pytanie: *kto* jest właścicielem rzeźby, która wyłania się spod palców jej twórcy? Jest ona niewątpliwie „dziełem” rzeźbiarza nie w tym znaczeniu, że stworzył jej materię, ale że danej mu przez naturę materii – glinie – nadał inny kształt, zgodny z jego własnymi pomysłami i uformowany za pomocą jego rąk i energii. Trzeba by być dziwakiem, żeby w tak opisanym przypadku nie uznać rzeźbiarza za posiadacza prawa własności do swojego wytworu. Jeśli każdy człowiek ma prawo do posiadania własnego ciała i musi się zmagać z materią, żeby przetrwać, to rzeźbiarz ma niewątpliwie pełne prawo do posiadania wytworu swoich rąk i swojej energii, będących *przedłużeniem* jego osobowości. Odcisnął on bowiem osobistą pieczęć w surowym materiale przez

<sup>1</sup> Zobacz: Gertrude Himmelfarb, *Lord Acton; A Study in Conscience and Politics* (Chicago: Phoenix Books, 1962), s. 294–305. Por. również: John Wild, *Plato's Modern Enemies and the Theory of Natural Law* (Chicago: University of Chicago Press, 1953), s. 176.

„dodanie swojej pracy” do gliny, jak to ujął wielki teoretyk własności John Locke. A dzieło powstałe z jego własnego wysiłku stanowi ucieleśnienie idei i wizji rzeźbiarza. John Locke opisuje to w ten sposób:

(...) każdy człowiek dysponuje *własnością* swojej *osoby*. Nikt, oprócz niego samego, nie ma do niej żadnego prawa. Możemy więc powiedzieć, że *praca* jego ciała i *dzieło* jego rąk są jego własnością. Jeśli więc jakaś rzecz, którą wydobydzie ze stanu, jaki jej natura nadała i w jakim ją pozostawiła, zostanie połączona z jego pracą, czyli z czymś, co jest jego własnością, to ta rzecz staje się przez to jego własnością. Rzecz taka, wydobyta ze stanu, w jakim ją natura pozostawiła, przez tę pracę zostaje wzbogacona w sposób, który pozbawia innych ludzi powszechnego prawa do niej. Jako że praca jest bezsporną własnością tego, który ją wykonał, nikt poza nim nie może mieć prawa do rzeczy, do której ta praca została dodana (...)<sup>2</sup>.

Tak jak w przypadku posiadania przez ludzi własnych ciał, znów mamy do czynienia z trzema możliwościami: (1) albo wytwórca czy „twórca” ma prawo do własności swojego dzieła; (2) albo inny człowiek lub grupa ludzi ma prawo do własności tego dzieła, tj. może je sobie przywłaszczyć siłą bez zgody rzeźbiarza; (3) albo każdy człowiek na ziemi ma prawo do równego udziału we własności rzeźby – rozwiązanie „kolektywistyczne”. I znów powiedzmy jasno: nie ma chyba człowieka, który by nie uznał za potworną niesprawiedliwość konfiskaty własności rzeźbiarza, czy to przez jednego człowieka, czy przez wielu ludzi lub całą ludzkość. Jakim prawem mieliby to zrobić? Jakim prawem mieliby przywłaszczyć dzieło, będące owocem myśli i pracy jego twórcy? W tym ewidentnym przypadku prawo twórcy do posiadania tego, z czym połączył swoją osobowość i pracę, wydaje się oczywiste. (Tutaj również, podobnie jak w przypadku komunalnej własności osób, komunalna własność świata sprowadzałaby się w praktyce do oligarchii *nielicznych*, którzy zagarnialiby owoc pracy twórcy w *imieniu* „światowej społeczności”).

Najważniejsze jednak, że przypadek rzeźbiarza nie różni się jakościowo od *wszelkich* innych rodzajów produkcji. Człowiek lub ludzie, którzy wydobyli z ziemi glinę i sprzedali ją rzeźbiarzowi, nie są może tak „twórczy” jak rzeźbiarz, ale również są „wytwórcami”, też dołączyli swoje pomysły i technologiczne *know-how* do danej przez naturę ziemi i w rezultacie otrzymali użyteczny produkt. Oni również są „wytwórcami” i dodali do naturalnych surowców domieszkę swojej pracy, by przekształcić te surowce w pożyteczne usługi i towary. Takie osoby mają też prawo własności swoich produktów. Gdzie zatem rozpoczyna się ten proces? Sięgnijmy znów do Locke’a:

Ten, kto żywi się żołędziami, które sam zebrał pod dębem, albo jabłkami, które zerwał z drzew w lesie, oczywiście je sobie przywłaszczył. Nikt jednak nie zaprzeczy, że pożywienie należy do niego. Pytam więc, w którym momencie żołędzie i jabłka stały się jego własnością? Wtedy, gdy je strawił? Gdy zjadł? Czy gdy ugotował? A może gdy przyniósł do domu? Czy wówczas, gdy podniósł je z ziemi? Jasne jest, że jeśli ich początkowe zebranie nie było tą chwilą, to nic innego nie mogło nią być. To praca sprawiła, że owe jabłka lub żołędzie różnią się od tego, co wspólne. To ona dodała do nich coś ponad to, co miały od natury, wspólnej matki wszystkiego. Dzięki pracy nabył do nich osobiste prawo. Czy ktokolwiek powie, że nie ma do nich prawa, bo przywłaszczył je sobie bez zgody całej ludzkości? Byłoby więc kradzieżą sięgnięcie po coś, co należało do wszystkich? Gdyby ogólna zgoda była konieczna, człowiek ten zginąłby z głodu, pomimo wszelkiej obfitości, jaką Bóg go obdarzył. (...) A zatem, trawa, którą mój koń się pożywił, darń, którą mój sługa odciął, i kruszec, który wykopałem w miejscu, gdzie miałem prawo to zrobić na równi z innymi, stają się moją własnością bez nadania i zgody ze strony kogokolwiek. Moja praca, która wydobyła je ze wspólnego stanu, przypisała mi je na własność.

Gdyby potrzebne było wyraźne zezwolenie na przywłaszczenie sobie tego, co dane jako wspólne, dzieci i służący nie mogliby odciąć sobie plastra mięsa ze wspólnego kawałka, który dał im ich ojciec lub pan, bez oznaczenia należytą każdemu z nich części. Choć woda w źródle należy do wszystkich, któż jednak zaprzeczy, że woda w dzbanie należy już tylko do tego, kto jej zaczerpnął? To jego praca odebrała ją z rąk natury, gdzie była wspólna (...) i w ten sposób przypisała mu ją na własność.

<sup>2</sup> John Locke, *An Essay Concerning the True Original Extent and End of Civil Government*, W: E. Barker, ed., *Social Contract* (New York: Oxford University Press, 1948), s. 17–18.

Wszystkie cytaty z J. Locke’a tłumaczone w oparciu o: John Locke, *Dwa traktaty o rządzie*, tłumacza Zbigniew Rau, Warszawa, PWN, 1992 (*uwaga tłumacza*).

W świetle więc praw rozumu sarna należy do Indianina, który ją upolował. Uważa się, że dobro należy do tego, kto włożył w jego zdobycie swą pracę, choć uprzednio wszyscy mieli do niego prawo. I pośród tych, którzy się mienia cywilizowaną częścią ludzkości (...), to pierwotne prawo natury mówiące o początku własności, wciąż obowiązuje. Na jego mocy ryba złowiona w oceanie, tej wielkiej wspólnej wciąż własności wszystkich ludzi, czy ambra wydobyta z wysiłkiem ze wspólnego stanu natury, staje się własnością tego, który się o nią postarał<sup>3</sup>.

Jeśli każdy jest właścicielem swojej osoby i – co za tym idzie – swojej pracy i jeśli ta własność rozciąga się na wszystko, co „stworzył”, albo zebrał z nieużywanego dotąd, niczyjego „stanu natury”, to jak odpowiemy na ostatnie wielkie pytanie – pytanie o prawo do posiadania i kontrolowania *samej ziemi*? Jeśli zbieracz ma prawo do posiadania żołądź czy jagód, które zebrał, a rolnik – prawo do posiadania plonów zbóż czy brzoskwiń, to *komu* przysługuje prawo własności ziemi, na której te rośliny wzeszły? W tym właśnie punkcie Henry George i jego następcy schodzą z drogi, którą kroczyli dotąd razem z libertarianami, i odmawiają prawa do posiadania samej ziemi, tego *gruntu*, na którym wykonano te wszystkie prace. Georgianie argumentują, że jeśli każdy ma prawo do tego, co sam produkuje lub stwarza, to nikt oprócz natury lub Boga nie ma prawa wchodzić w posiadanie ziemi. Jednakże jeśli ziemia ma być w ogóle racjonalnie wykorzystywana jako bogactwo naturalne, to musi do *kogoś* należeć lub podlegać kontroli jednego człowieka lub grupy osób. I znów stajemy wobec wyboru jednej z trzech możliwości: albo ziemia należy do pierwszego jej użytkownika, człowieka, który pierwszy zebrał z niej plon; *albo* do grupy innych ludzi; *albo* też – do całego świata, przez równe częściowe udziały w każdym poszczególnym akrze. Wybór ostatniej opcji, którego dokonuje George, nie rozwiązuje jego dylematu moralnego: jeśli ziemia powinna należeć do Boga lub natury, to dlaczego wspólne jej posiadanie przez cały świat miałoby być bardziej moralne niż prawo indywidualnej własności? W praktyce znów okazuje się niemożliwe egzekwowanie prawa do posiadania jednej czteromiliardowej części każdego skrawka powierzchni Ziemi (jeśli, dajmy na to, światowa populacja wynosi cztery miliardy). W praktyce to oczywiście wąska oligarchia, a nie ludzkość jako całość, będzie miała prawo kontroli i własności.

Ale oprócz tej trudności wyrażonej w stanowisku georgian sposób wykazania na gruncie prawa naturalnego prawa własności ziemi jest taki sam jak w przypadku własności innych dóbr. Widzieliśmy bowiem, że żaden wytwórca *naprawdę* nie „stwarza” rzeczy; bierze tylko jakąś rzecz daną przez naturę i przy użyciu energii przekształca ją według swojego planu i zgodnie ze swoją wizją. A właśnie *tego* dokonuje pionier – „osadnik” – gdy bierze w posiadanie nieużywany wcześniej skrawek ziemi. Jak ten, kto wytwarza stal z rudy żelaza, przekształca tę rudę przy użyciu *know-how* i energii, i jak ten, kto wydobywa rudę spod ziemi, tak osadnik przekształca ziemię – karczując ją, grodząc, uprawiając i budując na niej. Pionier również zmienił swoją pracę i osobowością charakter ziemi danej przez naturę. Jest on tak samo uprawnionym posiadaczem, jak rzeźbiarz czy przedsiębiorca; jest takim samym „producentem” jak oni.

Co więcej, jeśli pierwotnie ziemia jest dana przez naturę lub Boga, to tak samo jest w przypadku ludzkich talentów, zdrowia, urody. Podobnie jak te atrybuty – ziemię oraz surowce naturalne otrzymali różni konkretni ludzie, a nie „społeczeństwo”. Wszystkie te bogactwa otrzymali poszczególni ludzie, a nie „społeczeństwo”, które jest abstrakcją i w rzeczywistości nie istnieje. Nie istnieje byt o nazwie „społeczeństwo”; są tylko oddziałujące na siebie jednostki. Mówienie zatem, że ziemię lub inną własność powinno wspólnie posiadać „społeczeństwo”, oznacza w istocie, że to grupa oligarchów – w praktyce rządowych biurokratów – powinna mieć do nich prawo, kosztem wyzyskiwanego twórcy lub osadnika, dzięki którym pierwotnie dany produkt zaistniał.

Ponadto, nie można *niczego* wyprodukować bez udziału ziemi, choćby jako miejsca. Nikt nie jest w stanie wyprodukować lub stworzyć czegoś samą swoją pracą; zawsze niezbędny jest również wkład w postaci ziemi lub surowców naturalnych.

Człowiek przychodzi na świat, mając tylko samego siebie i otaczający go świat – ziemię i ukryte w niej bogactwa dane mu przez naturę. Wydobywa te surowce i przekształca je w dobra bardziej mu potrzebne, wkładając w to swoją pracę, myśl i energię. Dlatego też, jeśli jednostka nie może posiadać ziemi, to tym samym nie może w pełni posiadać owoców swojej pracy. Rolnik nie może być właścicielem swoich plonów,

<sup>3</sup> Locke, *Civil Government*, s. 18–49. Chociaż Locke był znakomitym teoretykiem zagadnień dotyczących własności, to swojej teorii nie rozwijał i nie stosował w sposób całkiem spójny.



jeśli nie dysponuje własnością ziemi, na której wyrosły. A skoro jego praca jest nierozdzielnie połączona z ziemią, nie można odebrać mu jednej, nie zabierając drugiej.

Idąc dalej: jeśli producent *nie* ma prawa do owoców swojej pracy, to kto je ma? Trudno pojąć, dlaczego noworodek w Pakistanie miałby posiadać moralne prawo do częściowego udziału we własności kawałka ziemi w stanie Iowa, który ktoś właśnie przekształcił w pole zboża – i oczywiście vice versa w przypadku noworodka z Iowa i pola w Pakistanie. Ziemia w swoim pierwotnym stanie jest nieużywana i niczyja. Georgianie i inni kolektywiści ziemscy mogą sobie twierdzić, że *naprawdę* cała ludzka populacja jest właścicielem ziemi, ale jeśli jeszcze nikt jej nie wykorzystywał, to faktycznie nikt jej nie posiada i nie kontroluje. Dopiero pionier, pierwszy użytkownik tej ziemi, wykorzysta to pierwotne a bezcenne dobro do produkcji i dla dobra wspólnoty. Ciężko się doszukać podstaw moralnych, które kazałyby zabrać jego własność i oddać ludziom, których noga nigdy nie postąpiła w promieniu tysiąca mil od jego pola i którzy być może nie wiedzą nawet o istnieniu posiadłości, do której mieliby zgłaszać roszczenia.

Zagadnienie moralne z zakresu prawa naturalnego, z jakim mamy tu do czynienia, jeszcze wyraźniej występuje w przypadku zwierząt. Zwierzęta są w sensie ekonomicznym „ziemią”, jako że stanowią pierwotnie dane przez naturę bogactwo. Czy jednak odmówimy prawa do posiadania konia temu, kto znalazł go i udomowił? Czy ten przypadek różni się jakkolwiek od sytuacji zbieracza żołądzi i jagód, do których prawa własności nikt mu chyba nie odmówi? A przecież, w przypadku ziemi, jakiś pionier też bierze ją jako „dziki”, nieudomowiony grunt, by następnie „oswoić” go, wykorzystując pod użyteczne uprawy. Włożenie własnej pracy w uprawę ziemi powinno mu dawać tak samo oczywisty tytuł własności, jak w przypadku zwierząt. Locke powiada: „Jak wiele ziemi jakiś człowiek zaora, uprawi, obsieje i z jak wielkiego obszaru potrzebuje jej produktów, tak wielka jest jego posiadłość. To on, przez swoją pracę, wyłącza ją ze wspólnego posiadania”<sup>4</sup>.

Libertariańską teorię własności zrecznie podsumowali dwaj dziewiętnastowieczni ekonomiści francuscy, zwolennicy leseferyzmu:

Jeśli ktoś nabywa prawa do jakichś rzeczy, to tylko dzięki swojej aktywności, inteligencji i wolności; dzięki aktywności udaje mu się zawładnąć światem zewnętrznym; dzięki inteligencji kontroluje go i używa z pożytkiem dla siebie; dzięki wolności ustanawia zależność między nim a sobą i czyni go swoją własnością...

Czyż znajdzie się w cywilizowanym kraju gruda ziemi, liść, na których nie byłoby odcisnięte piętno człowieka? W mieście otoczeni jesteśmy przez dzieła wykonane ręką ludzką; chodzimy po równym chodniku albo wybrukowanej ulicy; to człowiek przekształcił błota w zdrową glebę, to on pokrył ją kamieniami, które przeniósł z odległych wzgórz. Mieszkamy w domach; to człowiek wydobył głazy z kamieniołomu, to on je ociosał, wyciął zarośla; to według jego planu przygotowano odpowiednio materiały i postawiono budynek z tego, co jeszcze niedawno było kamieniem i drzewem. Poza miastem działalność człowieka też jest wciąż widoczna; ludzie zaczęli uprawiać ziemię i całe pokolenia ją nawożyły i wzbogacały; człowiek swą pracą ujarzmił rzeki i sprawił, że ich wody dają urodzaj tam, gdzie dawniej siały tylko spustoszenie. (...) Wszędzie wyczuwa się pracę potężnej dłoni rzeźbiącej w materii i działanie inteligentnej woli, która nią kieruje, (...) by zaspokoić pragnienia ludzkiego rodzaju. Natura uznała swojego pana, a człowiek poczuł się w naturze jak w domu. Natura została *przystosowana* do potrzeb człowieka; *należy* do niego; stała się jego *własnością*. Ma do tej własności prawo; jest to prawo tak święte, jak święte jest prawo do korzystania z własnych zdolności. Natura należy do człowieka, bo w całości z niego się wywodzi i nie jest niczym innym niż jego emanacją. Przed nim nie było nic poza materią; od jego zaistnienia i dzięki niemu nastąpiło bogactwo, którym ludzie się wymieniają: przedmioty, które nabrały wartości przez ich wytworzenie, dostarczenie, wydobywanie lub samo przetransportowanie. Od portretu, w którego namalowaniu materia odgrywała być może najmniejszą rolę, po wiadro wody, zaczerpnięte z rzeki i dostarczone do konsumenta, bogactwo we wszystkich swoich postaciach zyskuje swą wartość tylko przez połączenie różnych jakości, a te jakości to także ludzka działalność, inteligencja, siła. Producent pozostawia część własnej osoby w rzeczy, która dzięki temu staje się wartościowa i może być postrzegana jako przedłużenie zdolności człowieka oddziałującego na świat zewnętrzny. Jako wolna istota człowiek należy do samego siebie; przyczyna, siła produktywna to on sam; skutek, tj. powstałe bogactwo, jest

<sup>4</sup> Locke, *Civil Government*, s. 20.

nadal nim. Kto się ośmieli odmówić mu prawa własności w tak oczywisty sposób potwierdzonego pieczęcią jego osobowości?...

Musimy więc powrócić do człowieka, stwórcy wszelkiego bogactwa. (...) To przez pracę człowiek odciska swoją osobowość w materii. To dzięki pracy bezładne nieużytki stają się żyznymi polami; to praca przekształca nieprzebyte dżungle w uporządkowane lasy; to praca, a ściślej mówiąc, praca wielu kolejnych pokoleń, dała z ziarna konopie, z konopi – nici, z nici – tkaninę, z tkaniny – odzienie; to ona przemienia wydobyty w kopalni paryt w elegancki brąz, który zdobi jakiś miejski plac, głosząc wszem i wobec myśl artysty (...).

Własność, ujawniona przez pracę, należy do praw człowieka, którego jest emanacją; podobnie jak on sam, jest nienaruszalna o tyle, o ile dysponowanie nią nie powoduje kolizji z innym prawem; podobnie jak on, jest indywidualna, gdyż bierze swój początek z niezależności jednostki i ponieważ jeśli nawet kilka osób było jej twórcami, to ostatni jej właściciel zakupił (za środki, które były owocem jego własnej pracy) pracę wszystkich wykonawców i pośredników, którzy mieli ją wcześniej: tak się najczęściej dzieje w przypadku artykułów przemysłowych. Kiedy własność zmienia właściciela, w wyniku kupna lub dziedziczenia, i przechodzi z rąk do rąk, jej kondycja nie ulega zmianie; wciąż stanowi owoc wolności człowieka wyrażającej się pracą, a bieżący jej właściciel ma takie same prawa jak producent, który wszedł w jej posiadanie z mocy prawa<sup>5</sup>.

### ***Spółeczeństwo i jednostka***

Mówiliśmy wyczerpująco o prawach jednostki; można się jednak zapytać, jakie są „prawa społeczeństwa”? Czy nie mają pierwszeństwa przed prawami jednostki? Libertarianin jest indywidualistą; uważa, że jednym z naczelných błędów teorii społecznej jest traktowanie „społeczeństwa” tak, jakby było ono rzeczywiście istniejącym bytem. „Społeczeństwo” jest czasem traktowane jako istota wyższa, quasi-boska, rządząca się własnymi nadrzędnymi prawami; innym znów razem – jako wcielenie zła, godne potępienia za wszelkie nieszczenia świata. Indywidualista utrzymuje, że tylko jednostki istnieją, myślą, czują, wybierają i działają; oraz że „społeczeństwo” nie jest istniejącym bytem, lecz po prostu określeniem opisującym grupę pozostających we wzajemnych związkach jednostek. Traktowanie społeczeństwa jako czegoś, co dokonuje wyborów i podejmuje działania, służy więc tylko zaciemnieniu obrazu i ukryciu rzeczywistych mechanizmów. Jeśli w małej społeczności skrzyknie się dziesięć osób, żeby rabować i wyzyskiwać trzy inne osoby, to będzie to ewidentny przykład zgodnego działania grupy jednostek przeciwko innej grupie. Jeśli tych dziesięciorgo kazałoby się nazywać „społeczeństwem” działającym w „swoim” interesie, to takie rozumowanie byłoby niechybnie wyśmiane; nawet tych dziesięć osób miałoby prawdopodobnie na tyle wstydu, żeby takich argumentów nie wysuwać. Jeśli jednak przypadek taki dotyczy większej grupy, to owo mętniactwo zaczyna funkcjonować jako poprawne rozumowanie, wyprowadzając ludzi w pole.

Zwodnicze używanie rzeczowników kolektywnych, takich jak „naród”, podobnych w znaczeniu do „społeczeństwa”, ostro napiętnował historyk Parker T. Moon:

Gdy ktoś wypowiada proste dwie sylaby „Francja”, to ma na myśli Francję jako jednostkę, pewien byt. Gdy (...) mówimy „Francja wysłała *swoje* wojska, żeby zdobyły Tunis”, to nie tylko sugerujemy, że Francja jest jednostką, ale sugerujemy, że ma osobowość. Ten sposób relacjonowania przesłania rzeczywistość i przedstawia stosunki międzynarodowe jako podniosłe dramaty, których aktorami są narody. Bardzo łatwo zapominamy wtedy, że prawdziwymi aktorami są mężczyźni i kobiety z krwi i kości, (...) że gdyby nie było słowa „Francja”, (...) to musielibyśmy opisać wyprawę na Tunis dokładniej, takimi mniej więcej słowami: „Pewne osoby spośród trzydziestu ośmiu milionów Francuzów wysłały trzydzieści tysięcy innych osób z rozkazem podbicia Tunisu”. Taki sposób opisanía wydarzeń natychmiast rodzi pytanie, a właściwie całą serię pytań. Kim są „pewne osoby”? Dlaczego wysłały te trzydzieści tysięcy do Tunisu? Dlaczego tamci posłuchali? Imperia budowane są przez ludzi, a nie przez „narody”. Nasze zadanie polega na tym, żeby dostrzec ludzi, działające, kierujące się swoimi interesami mniejszości, które są bezpośrednio zainteresowane w budowaniu imperium. Wówczas możemy przystąpić do analizy przyczyn, dla których większości godzą się ponieść wyrzeczenia i pójść na wojnę, wymuszoną potrzebą ekspansji imperium<sup>6</sup>.

<sup>5</sup> Leon Wolowski i Emile Levasseur, "Property", w: *Lalor's Cyclopedia of Political Science...* (Chicago: M. B. Cary & Co., 1884), III, s. 392–393.

Indywidualistyczny stosunek do „społeczeństwa” podsumowuje zdanie: „*Społeczeństwo*” to wszyscy oprócz ciebie. Gdy przedstawi się to zagadnienie w ten sposób, bez osłonek, to widać, dlaczego nadużywanie pojęcia „społeczeństwa” prowadzi do wniosku, że jest ono nie tylko superbohaterem, któremu przysługują superprawa, ale również superbandytą, na którego barki spada olbrzymia odpowiedzialność. Weźmy pod uwagę popularny pogląd, że to nie przestępca jest odpowiedzialny za swoje zbrodnie, lecz „społeczeństwo”. Weźmy przykład Smitha, który okradł lub zamordował Jonesa. Według „staromodnej” oceny to Smith jest odpowiedzialny za popełniony czyn. Według nowoczesnych liberalnych kryteriów odpowiedzialne jest „społeczeństwo”. Wygląda to na pogląd wyrafinowany i humanitarny, dopóki nie spojrzymy na problem z perspektywy indywidualistycznej. Wtedy zauważymy, że liberal\* w istocie twierdzi, iż wszyscy oprócz Smitha są odpowiedzialni za przestępstwo, w ich liczbie również Jones. Gdy wyrazić to jasno, wtedy widać całą absurdalność takiego podejścia. Jeśli jednak wyczarujemy fikcyjny byt o nazwie „społeczeństwo”, to wtedy argumentacja zyskuje pozory dorzeczności. Socjolog Arnold W. Green ujmuje to tak: „Musielibyśmy więc się zgodzić, że skoro społeczeństwo jest odpowiedzialne za przestępstwa, a przestępcy nie są za nie odpowiedzialni, to za odpowiedzialnych mogliby być uznani tylko ci, którzy żadnych przestępstw nie popełnili. Żeby kogokolwiek omamić tak oczywistym nonsensem, trzeba wyczarować diabła w postaci społeczeństwa, będącego ucieleśnieniem zła zupełnie oddzielonego od ludzi i ich uczynków”<sup>7</sup>.

Wielki amerykański pisarz libertariański Frank Chodorov dał wyraz takiemu postrzeganiu społeczeństwa, gdy pisał: „Społeczeństwo to ludzie”.

Społeczeństwo jest pojęciem zbiorowym i niczym więcej; jest wygodne, gdy chodzi o nazwanie większej ilości osób. Takimi pojęciami są również: rodzina, tłum, gang i dowolne inne określenie jakiegoś skupiska ludzkiego. Społeczeństwo (...) nie jest kolejną „osobą”. Jeśli spis powszechny wykazuje, że jest sto milionów ludzi, to jest ich dokładnie tyle, bo społeczeństwo nie może powodować przyrostu naturalnego, jako że nie ma zdolności prokreacyjnych. Pojęcie społeczeństwa jako metafizycznej osoby obnaża swoją słabość, gdy zauważymy, że społeczeństwo znika wraz z rozproszeniem się jego części składowych; tak jak w przypadku „miasta duchów” lub cywilizacji, o których dowiadujemy się z pozostawionych przez nie artefaktów. Gdy znikają jednostki, znika też całość. Całość nie ma niezależnego bytu. Używając kolektywnego rzeczownika z czasownikiem w liczbie pojedynczej, wpadamy w pułapkę wyobraźni; mamy skłonność do personifikowania zbiorowości i przypisywania jej własnego ciała i psychiki<sup>8</sup>.

### ***Wolna wymiana i swoboda umów***

Centralnym zagadnieniem libertariańskiego kredo jest absolutne prawo każdego człowieka do prywatnej własności: po pierwsze, do posiadania własnego ciała i, po drugie, do posiadania nieużywanych zasobów naturalnych, które jako pierwszy przekształci własną pracą. Te dwa aksjomaty, prawo do samoposiadania i prawo „pierwotnego przywłaszczenia” („*homestead*”), konstituują całkowity zestaw zasad systemu libertariańskiego. Cała doktryna libertariańska wywodzi się z tych centralnych założeń. Na przykład człowiek *X* posiada sam siebie i swoją pracę oraz farmę, którą przysposobił i na której uprawia zboże. Inny człowiek *Y* posiada ryby, które złowił; jeszcze inny *Z* – kapustę, którą posadził, i pole pod nią. Ale skoro człowiek ma cokolwiek, to ma też prawo oddać komuś lub wymienić swoją własność z kimś, kto również jest pełnoprawnym właścicielem jakiegoś dobra. Z logicznego prawa własności wynika uzasadnienie swobody umów i ekonomii wolnego rynku. A zatem, jeśli *X* uprawia zboże, to ma możliwość, i zapewne z niej skorzysta, żeby wymienić jego część na część ryb złowionych przez *Y* lub na część kapusty wyhodowanej przez *Z*. Jeśli *X* i *Y* zawrą dobrowolne umowy wymiany tytułów własności (albo *Y* i *Z*, względnie *X* i *Z*), to własność staje się pełnoprawną własnością drugiej osoby. Gdy *X* wymieni zboże na ryby należące do *Y*, wtedy

<sup>6</sup> Parker Thomas Moon, *Imperialism and World Politics* (New York: Macmillan, 1930), s. 58.

\* Określenie „liberal” ma we współczesnym angloamerykańskim znaczenie takie jak „socjaldemokrata” w języku polskim. Na określenie zaś tego, co rozumiemy pod pojęciem „liberal”, Rothbard używa zwykle terminu „klasyczny liberal”, „liberal leseferysta” (*przypis tłumacza*).

<sup>7</sup> Arnold W. Green, „The Reified Villain”, *Social Research* (Winter, 1968), s. 656.

<sup>8</sup> Frank Chodorov, *The Rise and Fall of Society* (New York: Devin Adair, 1959), s. 29–30.

te ryby stają się własnością *X* (i może on z nimi zrobić co mu się podoba), a zboże – własnością *Y* (z takimi samymi konsekwencjami).

Ponadto człowiek może wymieniać nie tylko materialne przedmioty, które są jego własnością, lecz także swoją pracę, której również jest właścicielem. *Z* może sprzedawać swoje usługi, polegające na kształceniu dzieci *X*, otrzymując w zamian część plonów rolnika.

Tak się składa, że gospodarka wolnorynkowa oraz wynikająca z niej specjalizacja i podział pracy jest najbardziej wydajną formą ekonomii, jaką zna człowiek. Zawdzięczamy jej industrializację i nowoczesną gospodarkę, na której opiera się cywilizacja. Jest to pomyślny utylitarystyczny rezultat istnienia wolnego rynku, ale dla libertarianina nie jest to główna przesłanka, na której opiera swój system. Główna przesłanka jest natury moralnej i ma swój fundament w obronie naturalnego prawa do własności prywatnej, którą przedstawiliśmy powyżej. Nawet gdyby się okazało, że społeczeństwo żyjące w systemie despotycznym, stale naruszającym prawa, jest bardziej wydajne niż żyjące w ustroju nazwanym przez Adama Smitha „systemem naturalnej wolności” („*the system of natural liberty*”), libertarianin broniłby mimo wszystko tego systemu. Na szczęście, tak jak w wielu innych dziedzinach, zasady utylitarystyczne i moralne oraz prawo naturalne i powszechny dobrobyt idą ze sobą w parze.

Gospodarka rozwiniętego rynku, z pozoru niezwykle skomplikowana, jest niczym innym jak olbrzymią siecią dobrowolnych, wzajemnych, dwustronnych transakcji, takich jak opisane wyżej wymiany pomiędzy hodowcami kapusty i zboża albo rolnikiem i nauczycielem. A zatem, kiedy kupuję za dziesięć centów gazetę, dochodzi do wzajemnie korzystnej dwustronnej wymiany: ja przenoszę na sprzedawcę gazet swoje prawo własności dziesięciocentówki, a on na mnie – swoje prawo własności gazety. Dokonujemy tej transakcji, ponieważ, w warunkach podziału pracy, uznaję, że gazeta jest dla mnie warta więcej niż dziesięć centów, a sprzedawca gazet woli mieć dziesięć centów niż gazetę. Kiedy z kolei prowadzę wykłady na uniwersytecie, to przedkładam otrzymanie pensji nad powstrzymanie się od wysiłku uczenia, a władze uniwersytetu dochodzą do wniosku, że wolą nabyć moje usługi dydaktyczne niż zachować dla siebie moje wynagrodzenie. Gdyby jednak sprzedawca gazet zażądał pięćdziesięciu centów za gazetę, mógłbym dojść do wniosku, że nie jest ona tyle warta; podobnie, jeślibym zażądał potrojenia swojej obecnej pensji, uniwersytet mógłby mi podziękować za moje usługi.

Wielu ludzi chętnie przyznaje, że prawo prywatnej własności i gospodarka wolnorynkowa są sensowne i zgodne z poczuciem sprawiedliwości; że rolnik powinien swobodnie ustalać najkorzystniejsze ceny swojego zboża, a pracownik otrzymywać za swoje usługi takie wynagrodzenie, jakie inni zechcą mu zapłacić. Ale jedno zwykle budzi sprzeciw: prawo dziedziczenia. Jeśli Willie Stargell jest dziesięciokrotnie lepszym i dziesięciokrotnie bardziej „wydajnym” piłkarzem niż Joe Jack, to prawo Stargella do dziesięciokrotnie wyższych zarobków nie budzi zastrzeżeń. Ale jakim prawem – słyhać protesty – ktoś, kto urodził się Rockefellerem, ma odziedziczyć znacznie więcej niż ktoś o nazwisku Rothbard? Libertariańska odpowiedź koncentruje się *nie* na spadkobiercy, czyli Rockefellerze-dziecku lub Rothbardzie-dziecku, tylko na spadkodawcy, osobie, która spadek przekazuje. Jeśli bowiem Smith, Jones i Stargell mają prawo do swojej pracy i własności oraz do swobodnej ich wymiany na podobne dobra należące do innych, to mają również prawo do *przekazania* swojej własności komukolwiek zechcą. Oczywiście w większości przypadków przekazują ją swoim dzieciom, czyli jako spadek. Jeśli Willie Stargell jest właścicielem swojej pracy i pieniędzy, które za nią otrzymuje, to ma prawo oddać te pieniądze Stargellowi-niemowlęciu.

W rozwiniętej gospodarce wolnorynkowej rolnik wymienia zboże na pieniądze; ziarno kupuje młynarz, który produkuje z niego mąkę; młynarz sprzedaje mąkę piekarzowi, który produkuje chleb; piekarz sprzedaje chleb hurtownikowi, a ten – sprzedawcy detalicznemu, który ostatecznie sprzedaje chleb konsumentowi. Na każdym etapie tej drogi producent może wynajmować pracowników, odpowiednio ich wynagradzając. Pojawienie się w tym bilansie pieniędzy jest procesem skomplikowanym, ale nie ma wątpliwości co do tego, że pieniądze są w tym przypadku pojęciowo równoważne z towarem lub grupą towarów, które wymienia się na zboże, mąkę itd. Zamiast pieniędzy można by zaoferować tkaninę, żelazo lub cokolwiek innego. Na każdym etapie tego procesu dochodzi do uzgodnionej, wzajemnie korzystnej wymiany tytułów własności.

Zaczynamy teraz rozumieć, jak libertarianin definiuje pojęcia „swobody” („*freedom*”) czy „wolności” („*liberty*”). Wolność to stan, w którym prawa jednostki do posiadania własnego ciała i uczciwie nabytej własności materialnej *nie* są naruszane, nie spotykają się z agresją. Ktoś, kto kradnie, dokonuje inwazji i ogranicza wolność ofiary tak samo, jak ktoś, kto bije inną osobę po głowie. Wolność i nieograniczone prawo

własności prywatnej są ze sobą ściśle związane. Z drugiej strony „przestępstwo” w ujęciu libertarianina jest aktem agresji przeciwko czyjemuś prawu do posiadania samego siebie lub dóbr materialnych. Przestępstwo oznacza naruszenie przy użyciu siły czyjejś własności, a co za tym idzie – wolności. Przeciwnieństwo wolności – „niewolnictwo” – jest stanem, w którym niewolnik ma ograniczone prawo samoposiadania lub jest go całkiem pozbawiony; jego osoba i produkty jego pracy są systematycznie zawłaszczane przez jego pana, który używa przy tym siły.

Libertarianin jest więc niewątpliwie indywidualistą, ale *nie* egalitarystą. Jedyną „równością”, za jaką się opowiada, jest równe prawo każdego człowieka do posiadania własnej osoby, do własności niewykorzystywanych surowców, które „zasiedzia”, i do własności dóbr, które otrzymał w drodze dobrowolnej wymiany lub darowizny.

### ***Prawa własności a „prawa człowieka”***

Na ogół liberałowie uznają prawo każdego człowieka do „wolności osobistej”, wolności myślenia, wypowiedzi, pisania i wchodzenia w takie osobiste „relacje” jak aktywność seksualna pomiędzy „wyrażającymi przyzwolenie dorosłymi”. Liberał utrzymuje, że jednostka ma prawo do posiadania swojego ciała, ale odmawia jej prawa do „własności”, tj. do posiadania przedmiotów materialnych. Tu ma swoje źródło charakterystyczny liberalny rozdźwięk pomiędzy uznawanymi „prawami człowieka” i odrzucanymi „prawami własności”. Tymczasem, według libertarianina, te dwa rodzaje praw są ze sobą nierozzerwalnie związane: albo są zarazem ważne, albo muszą być razem odrzucone.

Weźmy na przykład liberalnego socjalistę, który postuluje państwową własność „środków produkcji”, a jednocześnie uznaje „prawo człowieka” do wolności wypowiedzi i prasy. Jak ma być realizowane owo „prawo człowieka”, jeśli jednostkom tworzącym społeczeństwo odmawia się prawa do posiadania prywatnej własności? Jeśli, na przykład, rząd jest właścicielem całego papieru gazetowego i wszystkich drukarni, to jak będzie realizowane prawo wolności prasy? Skoro rząd dysponuje całym papierem, to może go przydzielać według swojego uznania. Wówczas „prawo do wolnej prasy” zamienia się w kpinę, a ponieważ rząd musi *jakoś* rozdysponować ograniczone zasoby tego papieru, to możliwość korzystania z wolności prasy, dajmy na to przez mniejszości czy antysocjalistycznych „wywrotowców”, będzie czysto iluzoryczna. Z taką samą sytuacją mamy do czynienia w przypadku „prawa do wolności słowa”. Jeśli rząd jest właścicielem wszystkich sal konferencyjnych, to będzie nimi dysponował według własnego upodobania. Albo jeśli ateistyczny rząd Rosji Sowieckiej nie przydzieli surowców do produkcji macy, to „wolność wyznania” staje się dla ortodoksyjnych żydów czystą kpiną; rząd może oczywiście argumentować, że ortodoksyjni żydzi nie są wystarczająco dużą grupą, żeby przeznaczać państwowe środki na produkcję macy.

Podstawowy błąd liberalnego oddzielenia „praw człowieka” od „praw własności” polega na traktowaniu człowieka jako eterycznej abstrakcji. Jeśli przyznajemy człowiekowi prawo do samoposiadania, do kontroli nad własnym życiem, to, w realnym świecie, musimy również respektować jego prawo do utrzymania się przy życiu, a więc do zmagania się z przeciwnościami, do przekształcania surowców, do własności ziemi i niezbędnych do produkcji surowców. Krótko mówiąc, jeśli jednostka ma korzystać ze swoich „praw człowieka” – albo z prawa własności swojej osoby – to musi mieć również prawo własności w świecie materialnym, czyli prawo do posiadania swoich wytworów. Prawa własności *są* prawami człowieka i stanowią niezbędny warunek realizacji praw człowieka, które postulują liberałowie. Prawo człowieka do wolnej prasy zależy od prawa człowieka do posiadania własnego papieru gazetowego.

W rzeczywistości *nie istnieją* prawa człowieka, które można by oddzielić od praw własności. Prawo człowieka do wolności zgromadzeń jest niczym innym niż prawem własności polegającym na możliwości wynajęcia lub kupienia sali konferencyjnej; prawo człowieka do wolności prasy to nic innego niż prawo do zakupu materiałów i wydrukowania ulotek albo książek, a następnie sprzedania ich każdemu chętnemu do ich nabycia. Nie istnieje żadne „prawo do wolności słowa” ani wolność prasy poza odpowiadającymi im prawami własności, które w każdym przypadku można wskazać. Co więcej, określenie, jakie prawa własności wiążą się z danym „prawem człowieka”, pozwoli na rozwiązanie każdego konfliktu powstałego na ich tle.

Rozpatrzmy klasyczny przypadek, w którym liberałowie uznają zwykle konieczność ograniczenia „prawa do wolności słowa” ze względu na „interes społeczny”. Chodzi o sytuację, którą streszcza słynna maksyma sędziego Holmesa: nikt nie ma prawa krzyknąć w zatłoczonym kinie „pali się”, jeśli nie ma po temu

rzeczywistych powodów. Holmes i jego zwolennicy wykorzystywali ten przykład do znudzenia, żeby udowodnić, że wszystkie prawa są względne i tymczasowe, a nie precyzyjne i absolutne.

Ale problem *nie* polega w tym przypadku na tym, że pewne prawa nie mogą być nadużywane, lecz na tym, że całe zagadnienie ujmuje się w kategoriach niejasnego, mętnego pojęcia „praw człowieka” zamiast w kategoriach praw własności. Załóżmy, że analizujemy ten problem w aspekcie prawa własności. Człowiek, który wywołał panikę bezzasadnym alarmem „pali się”, musi być albo właścicielem kina (lub jego przedstawicielem), albo kimś z widowni. Jeśli jest właścicielem, to dopuścił się oszustwa wobec swoich klientów. Przyjął od nich pieniądze w zamian za obietnicę, że obejrzą film, a tymczasem przerywa seans swoim nieuzasadnionym okrzykiem. Złamał w ten sposób zobowiązanie kontraktu i, tym samym, ukradł własność – pieniądze – swoich klientów, naruszając ich prawa własności.

Założmy teraz, że krzyknął ktoś z widowni, a nie właściciel. W tym przypadku osoba ta narusza prawo własności właściciela, a także wszystkich pozostałych osób z widowni, które zapłaciły za spektakl. Jako gość uzyskał prawo wstępu na teren czyjeś własności na konkretnych zasadach, m.in. zobowiązując się do nienaruszania dóbr należących do właściciela i niezakłócania seansu zaplanowanego przez właściciela. Jego złośliwe zachowanie narusza zatem prawa własności wszystkich widzów i samego właściciela.

Nie ma zatem żadnej potrzeby ograniczania praw jednostki w takich przypadkach jak fałszywy alarm przeciwpożarowy. Prawa jednostki *pozostają* absolutne; ale są to prawa *własności*. Człowiek, który złośliwie krzyknął w kinie „pali się”, jest niewątpliwie przestępcą, ale nie dlatego, że ze względów pragmatycznych, dla „dobra społecznego”, należy ograniczyć jego „prawo do wolności słowa”; jest przestępcą, ponieważ w sposób oczywisty i bezsporny naruszył czyjeś prawo własności.

## Rozdział 3: Państwo

### *Państwo jako agresor*

Myśl libertariańska kładzie więc główny nacisk na przeciwstawienie się wszelkiej agresji skierowanej przeciwko prawom własności jednostki. Kwestionuje jakiekolwiek naruszenie prawa jednostki do dysponowania swoją osobą oraz dobrowolnie nabytymi przedmiotami materialnymi. W odniesieniu do pojedynczych przestępców i gangów libertariańskie credo nie różni się niczym od powszechnej opinii. Niemal wszyscy ludzie i wszystkie teorie zgodnie potępiają takie przypadki naruszenia czyjeś własności i nietykalności osobistej.

Jednakże wypowiadając się nawet w tej bezspornej kwestii, dotyczącej ochrony ludzi przed agresją, libertarianie inaczej rozkładają akcenty. W wolnościowym społeczeństwie nie byłoby miejsca dla „prokuratora okręgowego”, ścigającego – nawet wbrew woli ofiary – przestępców w imieniu nieistniejącego „społeczeństwa”. Poszkodowany sam by decydował, czy wnieść skargę. Z drugiej strony, poszkodowany mógłby wnieść pozew bez konieczności przekonywania tegoż prokuratora okręgowego, że powinien sprawę rozpatrzyć. Co więcej, w libertariańskim systemie karnym – w przeciwieństwie do obecnie obowiązującego systemu – nie chodziłoby o to, żeby „społeczeństwo” wsadziło przestępcę za kratki. Akcent spoczywałby zdecydowanie na wyegzekwowaniu naprawienia szkód poczynionych przez sprawcę przestępstwa. W obecnym systemie ofiara nie otrzymuje rekompensaty za poniesione szkody, tylko płaci podatki, z których finansowane jest uwięzienie jej prześladowcy. Takie podejście zostanie uznane za oczywisty nonsens w świecie, który będzie się kierował zasadą ochrony praw własności i w którym pierwszeństwo będą miały prawa poszkodowanego.

Chociaż libertarianie w większości nie są pacyfistami, to nie mogliby zaakceptować obecnego systemu, który narusza *prawo* ludzi do bycia pacyfistami. Przypuśćmy, że Jones jest pacyfistą i zostaje napadnięty przez Smitha. Jeśli Jones, kierując się swoimi przekonaniem, nie przeciwstawi się czynnie napaści i nie zechce, żeby ścigano przestępcę, to po prostu nie wnieśli skargi i sprawa będzie zakończona. Nie będzie rządowej maszyny, która ściga i sądzi przestępców, nawet wtedy, gdy jest to wbrew woli ofiary.

Ale tym, co zasadniczo odróżnia libertarian od innych, jest ich pogląd na rolę państwa jako agresora, a nie różnice w podejściu do indywidualnie popełnianych przestępstw. Libertarianie uważają bowiem państwo za największego, odwiecznego i najlepiej zorganizowanego agresora naruszającego nietykalność osób i ich mienia na skalę masową. Dotyczy to *wszystkich* państw – demokracji, dyktatur, monarchii, czerwonych, białych, niebieskich i brunatnych.

Państwo! Jego rząd, jego władcy, jego urzędnicy zawsze byli ponad powszechnym prawem moralnym. „Dokumenty Pentagonu”<sup>\*</sup> to tylko jeden z ostatnich przykładów na to, jak powszechnie szanowani ludzie potrafią publicznie kłamać w żywe oczy. Takich przykładów historia dostarcza bez liku. Dlaczego? Powodem jest „racja stanu”. Służba dla państwa usprawiedliwia wszystkie postęпки, które są uważane za niemoralne lub niezgodne z prawem wówczas, gdy dopuszcza się ich „prywatna” osoba. Libertarianina można poznać po tym, że z żelazną konsekwencją i bezkompromisowo będzie stosował powszechne prawo moralne do osób pracujących w aparacie państwa. Libertarianie nie znają tu wyjątków. Państwo (a ściślej mówiąc, „członkowie rządu”) przez całe wieki ubierało swoją przestępczą działalność w piękne słowa. Od wieków inicjowało masowe mordy, nazywało je „wojną” i nobilitowało w ten sposób wzajemne wyrzynanie się tysięcy ludzi. Od wieków brało ludzi w niewolę, wcielając ich do sił zbrojnych i nazywając ten proceder „poborem” do zaszczytnej „służby dla kraju”. Od wieków dokonywało rabunku pod groźbą użycia broni, nazywając to „ściągnięciem podatków”. Jeśli chcielibyście wiedzieć, jak wygląda państwo i jego postęпки w oczach libertarianina, wystarczy, że wyobrazicie sobie państwo jako bandę kryminalistów. Cała libertariańska argumentacja staje się wtedy oczywista.

Przyjrzyjmy się, na przykład, jakie są istotne różnice między rządem a innymi organizacjami. Politolodzy i socjologowie często zacierają te różnice, opisując wszystkie organizacje i grupy jako hierarchiczne, oparte na strukturze, „rządowe” itd. Na przykład lewicowi anarchoi odrzucają *zarówno* państwo, jak prywatne organizacje, takie jak korporacje, ze względu na ich „elitarny” i „przymusowy” charakter. Tymczasem

<sup>\*</sup> „Pentagon Papers” – tajne studium dotyczące wojny w Wietnamie, wykonane na zlecenie departamentu obrony USA. W 1971 roku przedstawiciel departamentu Daniel Ellsberg przekazał kopie dokumentów prasie. Prezydent Nixon polecił pracownikom swojej administracji (tzw. hudraulikom – *plumbers*), żeby w przyszłości zapobiegali takim „przeciekom” (*przypis tłumacza*).

„prawicowy” libertarianin nie sprzeciwia się nierówności, a pojęcie „przymusu” stosuje tylko do przypadków użycia siły. Libertarianin widzi zasadniczą różnicę między rządem – czy to na szczeblu centralnym, czy lokalnym – a wszelkimi innymi instytucjami w społeczeństwie. A właściwie dwie zasadnicze różnice. Po pierwsze, każda inna osoba lub grupa otrzymuje wynagrodzenie, które pochodzi z dobrowolnych składek lub darowizn (jak w przypadku lokalnego klubu szachowego czy brydżowego), *albo* ze sprzedaży usług lub towarów na wolnym rynku (jak w przypadku właściciela sklepu, koszykarza, producenta stali itd.). *Tylko i wyłącznie* rząd uzyskuje swoje wynagrodzenie przy użyciu siły i przymusu – mianowicie grożąc konfiskatą lub więzieniem w przypadku, jeśli wpłata nie będzie dokonana. Tę wymuszoną daninę nazywa się „podatkiem”. Druga różnica polega na tym, że *tylko* rząd może użyć swoich funduszy do popełnienia gwałtu na obywatelach swojego lub innego państwa. Tylko państwo może zabronić pornografii, przymusić do wyznawania jakiejś religii, zamknąć ludzi w więzieniu za to, że sprzedają jakieś towary po wyższej cenie, niż rząd uważa za właściwą. Obie różnice można podsumować następująco: rząd, jako jedyna organizacja w kraju, może dokonywać agresji przeciwko prawom własności obywateli. Może wymuszać swoje finansowanie, narzucać zasady moralne i zabijać tych, z którymi się nie zgadza. Ponadto, każdy rząd, nawet najmniej despotyczny, większość swoich dochodów czerpał zawsze z przymusowego opodatkowania. Jednocześnie, w historii świata za przytłaczającą większość przypadków zniewolenia i zadawania śmierci odpowiedzialny jest rząd. Ponieważ, jak już wiemy, głównym przedmiotem krytyki libertarian jest każdy rodzaj agresji przeciwko prawom jednostki i prawom własności, to libertarianin z konieczności przeciwstawia się państwu, jako instytucji ze swej natury w najwyższym stopniu zagrażającej tym prawom.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego agresja ze strony państwa ma o wiele większe znaczenie niż agresja ze strony jednostek. Pomijając już fakt, że rządzący państwem dysponują większym potencjałem organizacyjnym i mogą zmobilizować potężniejsze środki do narzucenia swojej woli, należy zauważyć, że nie istnieje możliwość kontrolowania złodziejskich praktyk państwa. Możemy bronić się przed mafią, możemy odwołać się do państwa i jego policji, gdy potrzebna nam jest ochrona przed indywidualnymi przestępcami. Ale kto nas obroni przed samym państwem? Nikt. Kolejną bowiem cechą odróżniającą państwo od innych instytucji jest jego monopol na dostarczanie usług z zakresu ochrony. Państwo rości sobie wyłączność do prawa używania przemocy i podejmowania ostatecznych decyzji. Jeśli, na przykład, nie podoba nam się wyrok państwowego sądu, to nie możemy się odwołać od jego decyzji do żadnej innej instytucji.

W Stanach Zjednoczonych mamy, co prawda, konstytucję, która nakłada ściśle ograniczenia na niektóre funkcje rządu. Jak się jednak okazało w ubiegłym stuleciu, konstytucja nie może sama dostarczyć swojej interpretacji ani wymusić swojego przestrzegania. Interpretacji muszą dokonać *ludzie*. Jeśli zaś ostatnie słowo w kwestii interpretacji konstytucji ma rządowy Sąd Najwyższy, to ów Sąd będzie się nieuchronnie skłaniał ku umieszczaniu swojego „*imprimatur*” pod każdą interpretacją poszerzającą kompetencje rządu. Słynny system „kontrol i równowagi” („*checks and balances*”) oraz „podziału władz” w amerykańskich organach państwa jest marnej jakości, gdyż po dokładniejszej analizie okazuje się, że wszystkie rodzaje władz są ostatecznie częścią jednego i tego samego rządu i znajdują się w rękach tych samych ludzi.

Na temat właściwej państwu tendencji do przełamywania ograniczeń, nałożonych na nie przez konstytucję, proroczco pisał jeden z najświetniejszych amerykańskich politologów, John C. Calhoun:

Konstytucja w postaci spisane go dokumentu ma wiele istotnych zalet. Błędne jest jednak założenie, że same klauzule ograniczające kompetencje rządu zapobiegają nadużywaniu władzy przez dominującą partię, o ile nie wyposażą się ludzie w środki potrzebne do skutecznego egzekwowania tych ograniczeń. Partia pozostająca przy władzy (...) będzie wykorzystywała uprawnienia nadane jej przez konstytucję, ale nie będzie przestrzegała nałożonych na te uprawnienia ograniczeń. Jako główna siła i dominująca partia dla siebie nie będzie potrzebowała ochrony przed nadużyciem konstytucyjnych uprawnień (...).

Mniejsza lub słabsza partia będzie zmierzała w odwrotnym kierunku, uznając te ograniczenia za konieczne dla ochrony przed dominacją ze strony partii rządzącej. (...) Ale ponieważ nie będzie w stanie zmusić rządzącej partii do przestrzegania ram konstytucyjnych, to jedynym ratunkiem okaże się sformułowanie zapisów konstytucyjnych w bardzo restrykcyjnej formie. Temu z kolei sprzeciwi się partia dominująca, opowiadając się za konstytucją liberalną, której przepisy można by łatwiej interpretować na korzyść rządzących. Naprzeciw siebie staną więc dwie koncepcje; jedna będzie sprzyjała ograniczeniu, druga – poszerzeniu kompetencji rządu. Ale jakie znaczenie będą miały ograniczające władzę zapisy konstytucyjne, jeśli partia rządząca i tak zastosuje korzystną dla siebie



interpretację tych zapisów, a partia słabsza nie będzie miała środków, by przeforsować swoją koncepcję konstytucji? Wynik tak nierównej konkurencji jest przesądzony. Partia domagająca się większych ograniczeń zostanie pokonana. (...) Ostatecznym rezultatem tych zmagających będzie obalenie konstytucji (...), anulowanie wszystkich ograniczeń i przyznanie rządowi nieograniczonej władzy.

Wprowadzenie podziału władz i zapewnienie poszczególnym rodzajom władzy wzajemnej niezależności również temu nie zapobiegnie (...). Każdy rodzaj władzy i – oczywiście – cały rząd będzie pozostawał pod kontrolą większości. Oczywiście jest, że nawet jeśli ta większość będzie rozproszona wśród różnych instancji i agend rządowych, nie zmieni to ogólnej tendencji do nadużywania władzy przez dominującą siłę polityczną<sup>1</sup>.

Po co się jednak przejmować niedoskonałością ograniczeń nakładanych na uprawnienia rządu? Zwłaszcza w „demokracji”, którą tak często przywoływali w latach swojej prosperity amerykańscy liberałowie, zanim, w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku, do liberalnej utopii nie wkradły się wątpliwości. „Czyż my nie jesteśmy rządem?”. W wyrażeniu „My jesteśmy rządem” poręczny podmiot kolektywny „my” umożliwił zastosowanie ideologicznego kamuflażu, za którym kryje się naga rzeczywistość wyzysku. Na tym właśnie kamuflażu opiera się polityka. Jeśli bowiem *my* naprawdę *jesteśmy* rządem, to *cokolwiek* rząd uczyni jednostce, będzie działaniem nie tylko słusznym i pozbawionym znamion tyranii, ale wręcz „dobrowolnie” podjętym przez tę jednostkę. Jeśli rząd zaciągnął olbrzymi dług publiczny, który musi być spłacony przez opodatkowanie jednej grupy społecznej na rzecz innej grupy, to tę przykrą prawdę skrywa się za beztróskim stwierdzeniem, że oto „my mamy zobowiązanie wobec nas samych” (ale *kto* się kryje pod określeniem „my” i wobec *jakich* „nas”?). Osoba powołana do wojska albo wtrącona do więzienia za opozycyjne opinie „sama sobie to robi” i dlatego nie ma w tym nic niewłaściwego. Rozumując w ten sposób, musimy dojść do wniosku, że Żydzi zamordowani przez rządy nazistowskie, *nie* zostali zamordowani, tylko „popelnili samobójstwo”. Oni bowiem też *byli* rządem (wyłonionym w demokratycznych wyborach), więc działania podejmowane wobec nich przez rząd były w istocie ich dobrowolnymi działaniami. Gdy uznamy rząd za potulne i bezinteresowne przedstawicielstwo społeczeństwa, to musimy dojść do tak groteskowych wniosków.

Dochodzimy więc do konkluzji, że „my” *nie* jesteśmy rządem, a rząd to *nie* „my”. W żadnym ścisłym znaczeniu tego słowa rząd nie „reprezentuje” większości społeczeństwa, a nawet gdyby reprezentował i gdyby 90% ludzi podjęło decyzję, że należy zgładzić albo zniewolić pozostałe 10%, to i tak byłoby to morderstwem i niewolnictwem, a nie samobójstwem lub dobrowolnym oddaniem się w niewolę przez uciemiężoną mniejszość. Zbrodnia jest zbrodnią, agresja jest agresją, bez względu na to, jak wielu obywateli godzi się na takie praktyki. W pojęciu większości nie ma nic świętego. Tłum dokonujący samosądu stanowi przecież większość na swoim terenie.

Większość, gdy na przykład dopuszcza się linczu, staje się w sposób aktywny okrutna i agresywna. Tymczasem normalna, utrwalona postać państwa polega na rządach *oligarchicznych*. Są to rządy sprawowane przez despotyczną elitę, która zdołała przejąć kontrolę nad machiną państwa. Stoją za tym dwie przyczyny. Pierwszą jest nierówność i podział pracy, wynikające z natury ludzkiej. Ich konsekwencją jest „spizowce prawo oligarchii” odnoszące się do wszelkich działań człowieka. Drugą przyczyną jest pasożytnicza natura samego przedsiębiorstwa, jakim jest państwo.

Jak zaznaczyliśmy wcześniej, indywidualista nie jest egalitarystą. Indywidualista dostrzega olbrzymią różnorodność i niepowtarzalność ludzi. Różnorodność ta rozwinęła się wraz z postępem cywilizacyjnym i poprawą poziomu życia. Ludzie różnią się między sobą pod względem zdolności i zainteresowań, zarówno gdy należą do innych grup zawodowych, jak i wewnątrz danej grupy. Dlatego też w każdej grupie i w każdej dziedzinie życia, zarówno w przemyśle stalowym, jak i w organizacji klubu brydżowego, w trakcie realizowania każdego przedsięwzięcia wyłaniają się liderzy. Jest to garść osób najbardziej uzdolnionych i energicznych, za którymi podążają inni. Z taką sytuacją mamy do czynienia w przypadku każdej działalności, bez względu na to, czy jest ona pożyteczna czy złowroga (jak w przypadku organizacji przestępczych). Odkrycia spizowego prawa oligarchii dokonał włoski socjolog Robert Michels. Ustalił on, że Socjaldemokratyczna Partia Niemiec funkcjonuje według ściśle oligarchicznych i hierarchicznych zasad, mimo że posługuje się egalitarystyczną retoryką.

<sup>1</sup> John C. Calhoun, *A Disquisition on Government* (New York Liberal Arts Press, 1953), s. 25–27.

Drugą podstawową przyczyną oligarchicznej władzy państwa jest jego pasożytnicza natura, to, że utrzymuje się z owoców pracy, którą wykonują pod przymusem obywatele. Grupa osób żyjących z pasożytniczego wyzysku innych musi być stosunkowo niewielka. W przeciwnym bowiem wypadku łupiliby wszyscy wszystkich, co nie dawałoby zysku nikomu. Nikt nie naświetlił lepiej niewolniczej i pasożytniczej natury państwa niż niemiecki socjolog Franz Oppenheimer. Oppenheimer wskazał, że istnieją dwa wzajemnie wykluczające się rodzaje środków, za pomocą których człowiek może osiągnąć bogactwo. Pierwszy z nich, polegający na produkcji i dobrowolnej wymianie, to „środki ekonomiczne”. Drugi, polegający na rabunku z użyciem przemocy, to „środki polityczne”. Środki polityczne mają charakter czystego pasożytnictwa, ponieważ bazują na wypracowanej wcześniej produkcji, którą wyzyskujący konfiskują. W ten sposób produkcja ta, zamiast wzbogacić globalny dorobek społeczeństwa, zostaje społeczeństwu zabrana. Następnie Oppenheimer przechodzi do definicji państwa jako „organizacji środków politycznych” – czyli planowego procesu łupiestwa na danym terytorium<sup>2</sup>.

Indywidualna przestępczość jest działalnością sporadyczną i ryzykowną, a jej pasożytniczy charakter jest ulotny. Pasożytniczy tryb życia przestępcy, oparty na przemocy i grabieży, może być w każdej chwili przerwany przez skuteczny opór ze strony ofiary. Państwo daje legalne, uporządkowane, systematyczne instrumenty grabieży własności należącej do producentów. Kasta rządząca wie dzie spokojne, bezpieczne i względnie „bezkonfliktowe” życie pasożytów. Jak to obrazowo ujął świetny pisarz libertariański Albert Jay Nock, „państwo uzurpuje sobie prawo do monopolu na zbrodnie i korzysta z niego. (...) Zabrania morderstw, ale samo zajmuje się organizacją mordów na olbrzymią skalę. Karze przypadki kradzieży, ale samo bez żadnych skrupułów wyciąga łapy po wszystko, czego zapagnie – po własność swoich obywateli lub obywateli innych państw<sup>3</sup>.

Twierdzenie, że podatki są złodziejstwem i że w związku z tym państwo jest bandą rabusiów, może się wydawać w pierwszej chwili szokujące. Ale jeśli ktoś upiera się, że podatki są w pewnym sensie „dobrowolne”, szybko zweryfikuje swą opinię, gdy spróbuje ich nie płacić. Wielki ekonomista Joseph Schumpeter, bynajmniej nie libertarianin, pisze, że „państwo utrzymuje się z dochodów, które powstają w sferze prywatnej i dla prywatnych celów, a następnie, przy użyciu przymusu politycznego, są kierowane gdzie indziej. Teoria, która przedstawia podatki jako instytucję analogiczną do składek klubowych albo zakupu usług czy wynagrodzenia za leczenie, pokazuje tylko, jak bardzo wyobcowana jest ta dziedzina nauk społecznych<sup>4</sup>”. Wybitny wiedeński „pozytywista prawny” Hans Kelsen w swoim traktacie *General Theory of Law and the State* próbował zbudować teorię państwa i uzasadnienie jego istnienia w oparciu o podstawy ściśle „naukowe” i pozbawione wartościowania. Już na początku swojej książki doszedł on do kwestii spornej, do *pons asinorum* filozofii politycznej: Co decyduje o różnicy między dekretami wydanymi przez państwo a rozkazami herszta gangu? Kelsen odpowiada po prostu, że ustawy państwowe są „ważne”, i beztrudno przechodzi do następnych zagadnień, nie zadając sobie trudu, żeby wyjaśnić pojęcie owej „ważności”. Doprawdy, przydałoby się, żeby nielibertarianie zadali sobie trud i odpowiedzieli na następujące pytanie: Jak zdefiniować podatek, żeby odróżnić go od grabieży?

Odpowiedzi na to pytanie bez trudu udzielił wielki dziewiętnastowieczny indywidualistyczny anarchista i specjalista w dziedzinie prawa konstytucyjnego Lysander Spooner. Spoonerowska analiza państwa jako złodziejskiej szajki jest chyba najbardziej demaskatorskim tekstem, jaki powstał na ten temat:

Rzeczywiście, w *teorii* nasza konstytucja stanowi, że podatki są dobrowolne i że państwo jest rodzajem zakładu ubezpieczeń wzajemnych, w których biorą udział dobrowolni uczestnicy. (...)

Jednakże teoria naszego rządu różni się zasadniczo od faktów. W rzeczywistości bowiem rząd, podobnie jak rozbójnik, rozkazuje nam: „Pieniądze albo życie”. Większość podatków, jeśli nie wszystkie, ściągana jest pod taką groźbą.

<sup>2</sup> Franz Oppenheimer, *The State* (New York: Vanguard Press, 1926), s. 24–27 *et passim*.

<sup>3</sup> Albert Jay Nock, *On Doing the Right Thing, and Other Essays* (New York Harper & Bros., 1928), s. 145.

<sup>4</sup> Joseph A. Schumpeter, *Capitalism, Socialism, and Democracy* (New York Harper & Bros., 1942), s. 198 i 1980.

Oczywiście rząd nie napada ludzi na pustkowiu, nie wyskakuje z krzaków przy drodze i nie przetrząsa im kieszeni, przystawiwszy pistolet do skroni. Jednakże wcale nie przestaje być z tego powodu złodziejem i to tym bardziej podłym i godnym potępienia.

Rabuś bierze na siebie odpowiedzialność, ryzyko i konsekwencje swojego czynu. Nie udaje, że ma jakiegokolwiek prawo do twoich pieniędzy albo że zamierza ich użyć dla twojego dobra. Nie udaje, że nie jest złodziejem. Nie jest na tyle bezczelny, żeby oświadczyć, iż jest tylko „obrońcą”, który pobiera opłaty od uwielbiających go podróżnych, a w zamian zapewnia im ochronę, nawet jeśli jej nie potrzebują lub nie życzą sobie skorzystać z jego specyficznego systemu ochrony. Ma na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie wygłaszać takich oświadczeń. Co więcej, zabrawszy pieniądze, zostawia cię w spokoju. Nie depcze ci po piętach wbrew twojej woli. Nie narzuca swojego „suwerennego” zwierzchnictwa ze względu na „ochronę”, którą oferuje. Nie daje ci „ochrony”, każąc sobie bić pokłony i usługiwać, polecając robić to czy tamto, to znów zabraniając czegoś. Nie napada cię ponownie za każdym razem, kiedy potrzebuje pieniędzy lub przyjdzie mu na to ochota. Nie nazywa cię buntownikiem, zdrajcą i wrogiem ojczyzny, nie rozstrzeliwuje cię bez litości, jeśli próbujesz podważyć jego autorytet albo odmawiasz mu posłuszeństwa. Jest zbyt przyzwoity na to, żeby dopuścić się tych wszystkich oszustw, obelg i nieprawości. Po prostu, pozbawiwszy cię pieniędzy, nie usiłuje zrobić z ciebie głupka ani niewolnika<sup>5</sup>.

Jeśli państwo jest bandą rabusiów, to *kto* je tworzy? Elita rządząca składa się oczywiście z (a) pracującego w pełnym wymiarze *aparatu* – królów, polityków i biurokratów, którzy stanowią personel obsługujący państwo, oraz (b) grup, które zręczną manipulacją zdobyły przywileje, dotacje i inne korzyści gwarantowane przez państwo. Reszta społeczeństwa to obywatele, którymi państwo rządzi. Jeszcze raz odwołajmy się do Johna C. Calhouna, który doskonale rozumiał, że natura rządu sprawia, iż zawsze powstaną dwie klasy: tych, którzy są płatnikami *netto* podatków, oraz tych, którzy czerpią dochód *netto* z podatków („konsumentów podatków”). Będzie się tak działo bez względu na to, jak małe uprawnienia uzyska rząd i jak niskie będą obciążenia podatkowe oraz jak sprawiedliwe rozłożenie tych obciążeń. Przypuśćmy, że rząd wprowadza niski i równo rozłożony podatek w celu sfinansowania budowy tamy. To działanie powoduje, że pieniądze większości ludzi zaczynają płynąć do „konsumentów podatków” *netto* – do biurokratów kierujących przedsięwzięciem, do wykonawców i robotników budujących tamę itd. Im większa jest grupa podejmująca decyzje, kontynuuje Calhoun, tym większe będzie obciążenie podatkiem, tym bardziej się powiększy sztuczna nierówność między tymi dwiema klasami:

Stosunkowo niewielka grupa przedstawicieli i pracowników rządu stanowi część społeczeństwa, która ma wyłączność na otrzymywanie dochodów z podatków. Pieniądze ściągnięte od ludzi, o ile nie zostaną po drodze roztrwonione, trafiają do ich kieszeni w postaci funduszy na pokrycie różnych wydatków lub nakładów. Wydatki i podatki składają się na całą działalność fiskalną rządu. Są wzajemnie ze sobą powiązane. To, co zostanie zabrane społeczeństwu pod nazwą podatków, przekazywane jest tej części społeczeństwa, która ma otrzymać pieniądze w postaci nakładów. Ponieważ jednak otrzymujący stanowią tylko część społeczeństwa, to gdy weźmiemy pod uwagę obie strony procesu fiskalnego jednocześnie, zauważymy, że musi on powodować nierówność między płacącymi podatki a otrzymującymi dochody z tych podatków. Musi tak się dziać, chyba że to, co zostanie zebrane w postaci podatku, będzie następnie każdemu oddane; to jednak byłoby działaniem niczego nie zmieniającym, a więc absurdalnym. (...)

Nieuniknionym wynikiem tych niesprawiedliwych działań fiskalnych rządu jest więc podział społeczeństwa na dwie wielkie klasy. Jedną stanowią ci, którzy faktycznie płacą podatki i ponoszą cały ciężar utrzymywania rządu. Drugą zaś ci, którzy otrzymują swoje dochody jako państwowe nakłady, i którzy są w istocie utrzymywani przez rząd. Ujmując to krócej, następuje podział na płatników podatków i konsumentów podatków.

W rezultacie takiej polityki fiskalnej rządu pojawia się konflikt pomiędzy owymi klasami. Im bardziej rosną podatki i wydatki, tym większe zyski jednej klasy i straty drugiej i vice versa. (...) Każda podwyżka oznacza więc wzbogacenie i wzmocnienie jednej oraz pauperyzację i osłabienie drugiej<sup>6</sup>.

<sup>5</sup> Lysander Spooner, *No Treason, No. VI: The Constitution of No Authority* (1870, reprinted in Larkspur, Colo.: Pine Tree Press, 1966), s. 17.

Skoro wszystkie państwa są rządzone przez oligarchiczne stada sępów, to jak udaje im się utrzymać władzę nad całymi społeczeństwami? Odpowiedź, której ponad dwieście lat temu udzielił filozof David Hume, brzmi: w dłuższej perspektywie czasowej każdy rząd, czy to bardziej czy mniej dyktatorski, musi mieć poparcie większości obywateli. To nie oznacza oczywiście, że rząd został obrany „dobrowolnie”. Samo istnienie podatków i aparatu przymusu wskazuje na nacisk, jaki państwo musi wywierać. Poparcie większości nie musi też być wcale ochocze ani entuzjastyczne. Może ono polegać na zwykłym biernym przyzwoleniu i rezygnacji. Zestawienie obecne w znanym powiedzeniu o „śmierci i podatkach”<sup>6</sup> sugeruje bierną beznadziejną akceptację tego, że państwo z jego podatkami jest koniecznością.

Konsumenci podatków, czyli ci, którzy odnoszą korzyści z działań państwa, będą oczywiście bardziej pozytywnie do niego nastawieni niż bierni uczestnicy państwowego mechanizmu. Ale oni stanowią tylko mniejszość. W jaki więc sposób można osiągnąć uległość i przyzwolenie mas? I tu dochodzimy do centralnego zagadnienia filozofii politycznej – dziedziny filozofii, która zajmuje się polityką, czyli systematyczną przemocą. Tym zagadnieniem jest tajemnica obywatelskiego posłuszeństwa. Dlaczego ludzie są posłuszni dekretem i dlaczego zgadzają się na grabież dokonywaną przez elity rządzące? Konserwatywny pisarz James Burnham, o poglądach przeciwnych libertariańskim, podszedł do zagadnienia bardzo prosto, przyznając, że nie ma racjonalnego uzasadnienia dla posłuszeństwa obywatelskiego. „Ani pochodzenia, ani istnienia rządu nie da się uzasadnić w kategoriach czysto racjonalnych. (...) Dlaczego miałbym przyjmować, że prawowita władza powinna być dziedziczna albo demokratyczna, albo jeszcze inna? Dlaczego jakaś zasada wyłaniania władzy ma usprawiedliwiać to, że ktoś mną rządzi?”. Odpowiedź, jakiej udziela sobie sam autor, nie brzmi przekonująco: „Akceptuję tę zasadę, ponieważ, no... akceptuję, bo tak już jest i tak zawsze było”<sup>7</sup>. Przypuśćmy jednak, że ktoś *nie* zaakceptuje tej zasady. Co wtedy będzie znaczyć „tak już jest”? I dlaczego większość obywateli akceptuje tę zasadę?

### ***Państwo i intelektualiści***

Dlatego, że od czasu, kiedy istnieją państwa, ich władcy zawsze opierali się na sojuszu z klasą intelektualistów. Był on niezbędną podporą ich rządów. Większość ludzi nie tworzy abstrakcyjnych pojęć ani nie analizuje ich samodzielnie, lecz biernie naśladuje sposób myślenia rozpowszechniany przez grupę intelektualistów, którzy odgrywają w społeczeństwie rolę zręcznych „urabiaczy opinii”. Ponieważ właśnie urabianie opinii jest państwu niezbędnie potrzebne, to tworzy się podstawa do odwiecznego aliansu pomiędzy intelektualistami a klasą rządzącą w państwie. Sojusz ten opiera się na swoistym *quid pro quo*: z jednej strony intelektualiści wśród szerokich rzesz społeczeństwa rozpowszechniają ideę, że państwo i jego władcy są mądrzy, dobrzy, czasem nawet namaszczeni przez Boga, a w najgorszym razie konieczni i lepsi niż jakakolwiek dająca się pomyśleć alternatywa. Z drugiej strony, państwo, w podzięce za tę ideologiczną ornamentykę, przyjmuje intelektualistów w szeregi swojej elity rządzącej, daje im władzę, status, prestiż i bezpieczeństwo materialne. Ponadto intelektualiści obsadzają stanowiska w biurokracji, tworzą „plany” gospodarcze i społeczne.

Zanim nastała epoka nowoczesna, szczególną rolę, jako intelektualni posługacze państwa, pełnili duchowni. Uosabiali oni symbiozę potęgi wodza i szamana, tronu i ołtarza, która miała bardzo silne i złowrogie oddziaływanie. Państwo „ustanowiło” Kościół, przyznało mu władzę, prestiż i bogactwo wyciśnięte z poddanych. W zamian za to Kościół namaścił państwo sankcją boskości i wpoił tę wiarę społeczeństwu. W czasach nowożytnych, gdy argumentacja teokratyczna straciła dla wielu swój polor, intelektualiści przybrali pozę naukowych „ekspertów” i zajęli się wyjaśnianiem nieszczęsnemu społeczeństwu, że sprawy polityki – międzynarodowej i wewnętrznej – są zbyt skomplikowane, żeby zwracał sobie nimi głowę normalny człowiek. Tylko państwo wraz z korpusem swoich ekspertów, planistów, naukowców, ekonomistów i „szefów bezpieczeństwa narodowego” może się zmierzyć z tymi problemami. Zadaniem mas społecznych, nawet w ustrojach „demokratycznych”, jest zatwierdzanie i sankcjonowanie decyzji podejmowanych przez swych oświeconych panujących.

<sup>6</sup> Calhoun, *Disquisition on Government*, s. 16–18.

\* „Nie ma na tym świecie nic pewnego oprócz śmierci i podatków” – Benjamin Franklin (1706–1790) (*przypis tłumacza*).

<sup>7</sup> James Burnham, *Congress and the American Tradition* (Chicago: Henry Regnery, 1959), s. 6–8.

Z historycznego punktu widzenia unia państwa i Kościoła, tronu i ołtarza, była najskuteczniejszym narzędziem utrzymywania posłuszeństwa i zyskiwania poparcia poddanych. Burnham uważa, że poparcie było uzyskiwane dzięki oddziaływaniu mitu i tajemnicy: „W dawnych czasach, zanim tradycyjna mądrość ustąpiła naukowemu iluzjom, założycieli miast uważano za bogów lub istoty pół-boskie”<sup>8</sup>. Dla duchowieństwa władca był pomazańcem bożym, a w przypadku władców absolutnych – na przykład wschodnich despotów – nawet samym Bogiem. Kwestionowanie jego władzy lub opór przeciwko niej byłyby więc bluźnierstwem.

Ideologiczna broń, jaką posługiwało się przez wieki państwo i jego intelektualisci w celu nakłonienia poddanych do posłuszeństwa, była różnorodna i wyrafinowana. Jako doskonały oręż służyła siła *tradycji*. Im dłużej trwało jakieś państwo, tym większa była siła tej broni, ponieważ dynastia X lub państwo Y miało za sobą powagę wieków tradycji. Kult przodków zamienia się w ten sposób w kult władzy przodków. Siłę tradycji wzmacnia oczywiście starożytny *obyczaj*, który utwierdza poddanych w przekonaniu, że władza jest w rękach właściwych, uprawnionych do jej sprawowania osób. Politolog Bertrand De Jouvenel pisze o tym tak:

Zasadniczą przyczyną posłuszeństwa jest przyzwyczajenie, jakiemu ulega gatunek. (...) Władzę uważamy za zjawisko natury. Od najdawniejszych czasów historycznych decydowała ona o losach ludzkości. (...) Władcy rządzący (...) w dawnych czasach odchodzili, wskazując swoich następców i pozostawiając ślad w ludzkiej pamięci, który gromadził się przez następne pokolenia. Następujące po sobie rządy, które panowały przez wieki nad jednym społeczeństwem, można traktować jako kolejne wcielenia tej samej władzy<sup>9</sup>.

Innym potężnym orężem ideologicznym w rękach państwa jest deprecjonowanie *jednostki* i wysławianie przeszłej lub obecnej wspólnoty społecznej. Pojedyncze głosy sprzeciwu czy wątpliwości uznawane są za bluźniercze zamachy na mądrość przodków. Co więcej, każda nowa idea, niekoniecznie *krytyczna*, musi się *narodzić* jako opinia niewielkiej mniejszości. Dla zapobieżenia więc rozprzestrzenianiu się idei, które mogłyby podkopać poparcie większości dla swoich rządów, państwo będzie się starało zdusić taką ideę w zarodku, ośmieszając każdą opinię, która przeciwstawia się poglądom większości. Norman Jacobs opisał, w jaki sposób chińscy władcy despotyczni wykorzystywali religię jako metodę uzależniania jednostki od społeczeństwa sterowanego przez państwo:

Religia chińska ma charakter społeczny, podejmuje problemy związane z dobrem społeczeństwa, a nie jednostki (...). Religia jest zasadniczo narzędziem przystosowania i kontroli jednostki, a nie drogą osobistego rozwoju. Przystosowanie społeczne i kontrolę osiąga się przez edukację i szacunek dla przelożonych. (...) Szacunek dla przelożonych – starszych wiekiem, wykształceniem, doświadczeniem – jest etycznym fundamentem społecznego dostosowania i kontroli. (...) Wzajemna zależność władzy politycznej i religii w Chinach była tak silna, że odstępstwo od ortodoksji religijnej było równoznaczne z błędem politycznym. Ortodoksyjna religia zawzięcie zwalczała inne sekty, w czym wspierała ją władza świecka<sup>10</sup>.

Libertariański pisarz H. L. Mencken, z właściwym sobie poczuciem humoru i w pięknym stylu, opisuje ogólną skłonność rządu do tropienia i tępienia nieortodoksyjnych poglądów:

W nowej idei [rząd] dostrzega wyłącznie możliwość zmiany, a więc niebezpieczeństwo zamachu na swoje przywileje. Największe niebezpieczeństwo dla każdego rządu stanowi ten, kto potrafi myśleć samodzielnie, nie zważając na panujące uprzedzenia i tabu. Niemal na pewno dojdzie on do wniosku, że rząd, któremu podlega, jest nieuczciwy, szalony i nie do wytrzymania. Jeśli jest romantykiem, spróbuje to zmienić. A nawet jeśli sam nie jest romantykiem, to chętnie podzieli się swoim niezadowolaniem z tymi, którzy są romantykami<sup>11</sup>.

<sup>8</sup> Burnham, *op. cit.*, s. 3.

<sup>9</sup> Bertrand De Jouvenel, *On Power* (New York: Viking Press, 1949), s. 22.

<sup>10</sup> Norman Jacobs, *The Origin of Modern Capitalism and Eastern Asia* (Hong Kong: Hong Kong University Press, 1958), s. 161–163, 185. Doskonałą pracą nt. wszystkich aspektów despotyzmu wschodniego jest: Karl A. Wittfogel, *Oriental Despotism: A Comparative Study of Total Power* (New Haven: Yale University Press, 1957).

Dla państwa jest również niezwykle ważne, żeby ukazać swoje panowanie jako *nieuniknione*. Wówczas, nawet jeśli jest ono niepopularne (a zwykle mamy do czynienia z takim przypadkiem), to może liczyć na bierną rezygnację wyrażającą się w znanej maksymie o „śmierci i podatkach”. Jedną z metod jest powołanie się na determinizm historyczny: jeśli rządzi nami państwo X, to widocznie zdecydowały o tym nieubłagane prawa historii (albo wola boża, Absolut, czy siły wytwórcze), i pojedynczy mały człowiek nie jest w stanie zrobić niczego, co by zmieniło ten nieuchronny stan rzeczy. Państwo stara się też wpoić swoim obywatelom niechęć do demaskowania tego, co sugeruje tzw. „spiskowa teoria dziejów”. Śledzenie bowiem „spisków”, choć może prowadzić na manowce, oznacza zainteresowanie motywami i próbę ustalenia, kto jest osobiście odpowiedzialny za historyczne nieprawości rządzących elit. Tymczasem, jeśli za tyranię, przekupstwo, napaść zbrojną, będące efektem działania państwa, odpowiedzialnymi uczyni się nie konkretnych ludzi dzierżących władzę, tylko tajemnicze „siły społeczne” albo ogólnie niedoskonałą sytuację na świecie czy wreszcie *wszystkich* („wszyscy jesteśmy mordercami”, głosi jeden ze sloganów), to oburzenie ani protest przeciwko tym niegodziwościom nie będą miały sensu. Ponadto, skompromitowanie „teorii spiskowych” – a właściwie wszystkiego, co jest niezgodne z „determinizmem gospodarczym” – spowoduje, że obywatele łatwiej uwierzą, iż za agresywnymi działaniami państwa stoi motyw „powszechnego dobrobytu”.

Władza państwa wygląda więc na nieuchronną. Ponadto, wszelką alternatywę wobec obecnie istniejącego państwa przedstawia się w aurze grozy. Państwo roztacza przed obywatelami wizję chaosu, jaki by powstał, gdyby znikło. Pomija przy tym milczeniem fakt, że samo jest monopolistą w dziedzinie złodziejstwa i rozboju. Głosi się zamiast tego, że ludzie nie potrafiliby samodzielnie zapewnić sobie ochrony przed pojedynczymi przestępcami i rabusiami. Szczególnie skuteczne okazały się wielowiekowe zabiegi poszczególnych państw o to, żeby zaszczepić u swoich poddanych strach przed *innymi* państwami. W świecie, którego powierzchnia rozparcelowana jest pomiędzy różne państwa, podstawowa zasada i taktyka rządzących polega na identyfikacji instytucji państwa z terytorium, na którym panuje. Ponieważ ludzie w większości kochają swoją ojczystą ziemię, to identyfikacja tej ziemi i zamieszkującej ją populacji z państwem jest doskonałym sposobem na zaprzęgnięcie naturalnego patriotyzmu w służbę na rzecz państwa. Jeśli więc „Rurytania” zostanie zaatakowana przez „Walldavię”, najważniejszym zadaniem państwa Rurytanii i jego intelektualistów będzie przekonanie mieszkańców Rurytanii, że atak został przypuszczony na nich, a nie tylko na klasę rządzącą w ich państwie. W ten oto sposób wojna pomiędzy władcami zamienia się w wojnę między *narodami*. Każdy naród spieszy bronić swoich władców w błędnym przekonaniu, że to władcy stają w *jego* obronie. Wynalazek nacjonalizmu szczególnie dobrze sprawdził się w ostatnich stuleciach. Jeszcze nie tak dawno temu, przynajmniej jeśli chodzi o Europę Zachodnią, ogół poddanych uważał wojny za mało istotne potyczki między różnymi grupami panów i ich czeladzi.

Inną sprawdzoną i skuteczną metodą naginania poddanych do swojej woli jest napełnianie ich poczuciem winy. Wszelki wzrost osobistego bogactwa może być skrytykowany jako „nadmierna chciwość”, „materializm”, „zbytek”, a korzystna dla obu stron wymiana handlowa potraktowana jako „egoizm”. Jakoś zawsze kończy się to wnioskiem, że trzeba więcej środków skonfiskować sektorowi prywatnemu, by skierować je do pasożytniczego sektora „publicznego” lub państwowego. Apel do społeczeństwa o oddanie większej ilości środków jest często sformułowany jako poważne wezwanie elity rządzącej do większego „poświęcenia” dla narodu czy dla dobra wspólnego. Jednak jakoś tak się dzieje, że gdy naród ma się poświęcić i powściągnąć swoje „materialistyczne żądze”, ofiarność jest zawsze jednokierunkowa. *Państwo* się nie poświęca, tylko coraz więcej i więcej zabiera ze środków należących do obywateli. Wynika stąd praktyczna rada: gdy twój rząd głośno nawołuje do „poświęceń”, uważaj na swoje życie i portfel!

Cała ta argumentacja opiera się na podwójnej moralności, czyli stosowaniu innych kryteriów oceny wobec rządzących, a innych wobec całej reszty. Nikogo nie dziwi ani nie przeraża fakt, że przedsiębiorcy starają się osiągnąć jak największy zysk. Nikt nie widzi niczego złego w tym, że pracownicy porzucają pracę mniej opłacalną na rzecz lepiej płatnej. Zachowanie jednych i drugich uchodzi za normalne i właściwe. Ale gdyby ktokolwiek się ośmielił powiedzieć, że politycy i biurokraci kierują się *swoim* zyskiem, podniosłoby się larum i krzyk o „teorii spiskowej” i „deterministach ekonomicznych”. Według powszechnej opinii – oczywiście starannie kształtowanej przez samo państwo – ludzie zajmują się polityką i zostają członkami rządu z pobudek czysto altruistycznych, kierując się wspólnym dobrem obywateli. Czemu panowie zajmujący stanowiska w aparacie rządowym zawdzięczają tę szlachetną patynę wyższości moralnej? Może niejasnemu,

<sup>1</sup> H. L. Mencken, *A Mencken Crestomathy* (New York: Alfred A. Knopf, 1949), s. 145.

instynktownemu poczuciu obywateli, że państwo *jest* zaangażowane w proces systematycznego złodziejstwa i wyzysku i że tylko wyznawany przez państwo altruizm pozwala mu tolerować takie praktyki. Dostrzeganie w politykach i biurokratach ludzi mających takie same jak wszyscy potrzeby finansowe zdarłoby z drapieżnej paszczy państwa kaptur szlachetnego Robin Hooda. Stałoby się wówczas jasne, że – jak by powiedział Oppenheimer – zwykli obywatele osiągają dobrobyt pokojowymi, produktywnymi „środkami ekonomicznymi”, gdy tymczasem aparat państwa zaprzęgnięty jest do zorganizowanego przymusowego wyzysku za pomocą „środków politycznych”. Opadłyby z cesarza szaty jego rzekomej altruistycznej troski o dobro wspólne.

Argumenty intelektualne, których państwo od wieków używa dla „wypracowania przychylności” społecznej, można podzielić na dwie grupy: (1) argumenty mówiące o tym, że władza obecnego rządu jest nieunikniona, absolutnie konieczna i o wiele lepsza od nieopisanych nieszczęść wynikających z jej ewentualnego upadku; (2) argumenty mówiące o tym, że rządzący państwem są wyjątkowo wspaniałymi, mądrymi i przepełnionymi altruizmem osobami – o wiele wspanialszymi, mądrzejszymi i lepszymi niż ich prości poddani. W przeszłości ten ostatni argument przybierał formę twierdzenia, że władza pochodzi z „boskiego nadania”, albo że rządy sprawuje sam „boski władca” czy „arystokracja” ludzkiego rodzaju. W czasach współczesnych, jak zaznaczyliśmy wcześniej, argument ten odwołuje się nie tyle do boskiej akceptacji, ile do rządów cechu „naukowych ekspertów”, wyposażonych w niezwykłą wiedzę o tajnikach sterowania nawą państwa i o zakrytych dla zwykłego śmiertelnika faktach. W coraz większym zakresie używa się naukowego żargonu, zwłaszcza w naukach społecznych. Pozwala to intelektualistom snuć sieć apologetycznych teorii na temat władzy państwa, które swoim obskurantyzmem mogą z powodzeniem konkurować z dawnymi matactwami kleru. Gdyby, na przykład, złodziej próbował usprawiedliwiać swoją kradzież, mówiąc, że w gruncie rzeczy pomaga swoim ofiarom, wydając skradzione pieniądze w sklepach i przyczyniając się do rozwoju handlu detalicznego, zostałby niezwłocznie wygwizdany. Ale gdy tę samą teorię wyposaży się w Keynesowskie równania matematyczne i w sugestywne odniesienia do „efektu mnożnikowego”, staje się ona znacznie bardziej przekonująca dla wystrychniętych na dudka obywateli.

W ostatnich latach coraz większego znaczenia nabiera zawód „doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego”. Biurokraci zajmujący takie stanowisko nie są wyłaniani w procedurach demokratycznych, ale w każdej kolejnej administracji posługują się swoimi tajnymi ekspertyzami do planowania wojen, interwencji i zbrojnych awantur. Publiczna dyskusja na ich temat rozgorzała dopiero wtedy, gdy okazało się, jak skandaliczne błędy popełnili oni w czasie wojny w Wietnamie. Wcześniej robili co chcieli, nie przejmując się opinią społeczeństwa, które traktowali jak mięso armatnie służące do osiągnięcia własnych celów.

Pouczająca była debata publiczna prowadzona na początku roku 1951 pomiędzy „izolacjonistą”, senatorem Robertem A. Taftem, a jednym z wiodących intelektualistów bezpieczeństwa narodowego, McGeorgem Bundym. Pokazała ona, jaki stosunek do obu poruszanych tu zagadnień ma rządząca elita intelektualna. Bundy zaatakował Tafta za rozpoczęcie publicznej dyskusji na temat wojny w Korei. Bundy obstawał przy stanowisku, że podczas długich dekad ograniczonej wojny ze światem komunistycznym tylko wiodący przedstawiciele władzy wykonawczej byli w stanie wywierać naciski dyplomatyczne i odwoływać się do siły militarnej. Istotne było, utrzymywał Bundy, żeby odciąć opinię publiczną od jakiegokolwiek wpływu na politykę w tej dziedzinie i uniemożliwić otwartą dyskusję na temat wojny. Społeczeństwo, przekonywał, nie było niestety zaangażowane w obronę istotnych interesów narodowych, które dostrzegali zarządzający polityką; nie reagowało na zmieniającą się rzeczywistość. Bundy dodawał, że powinno się unikać wzajemnego obwiniania, a nawet analizowania, decyzji polityków, ponieważ społeczeństwo powinno akceptować ich decyzje bez zastrzeżeń. Taft natomiast ujawnił tajne procedury decyzyjne doradców wojskowych i specjalistów z pionu wykonawczego. Decyzje przez nich podejmowane były objęte ścisłą tajemnicą i nie mogły być publicznie dyskutowane. Ponadto podnosił zarzut, że „każdemu, kto ośmielał się zgłaszać jakieś zarzuty albo wręcz wysuwał pomysł publicznej debaty, przyklejano natychmiast łatkę izolacjonisty sabotującego jedność i jednomyślność obu głównych partii w polityce międzynarodowej”<sup>12</sup>.

W czasie, gdy prezydent Eisenhower i sekretarz stanu Dulles rozważali w prywatnych rozmowach udział w wojnie w Indochinach, inny wpływowy doradca bezpieczeństwa publicznego, George F. Kennan, pouczał

<sup>12</sup> Zobacz: Leonard P.iggio, *Why the Futile Crusade?* (New York: Center for Libertarian Studies, April 1978), s. 41–43.

obywateli, że „bywają sytuacje, kiedy społeczeństwo najlepiej czyni, pozwalając wybranemu przez siebie rządowi kierować bieżącymi sprawami i reprezentować je w stosunkach z innymi państwami”<sup>13</sup>.

Rozumiemy już, dlaczego państwo potrzebuje intelektualistów. Ale do czego intelektualiści potrzebują państwa? Mówiąc bez ogródek, los intelektualisty na wolnym rynku jest niepewny. Intelektualista, jak każdy uczestnik wolnego rynku, jest zależny od preferencji i wyborów czynionych przez miliony swoich współobywateli. Charakterystyczną zaś cechą tych obywateli jest niewielkie zazwyczaj zainteresowanie sprawami intelektu. Tymczasem państwo chętnie oferuje intelektualistom ciepłą, bezpieczną i stałą posadę w swoim aparacie, pewny dochód oraz splendor prestiżu.

Za symbol ścisłego sojuszu między państwem i intelektualistami może uchodzić zapalczywość, z jaką profesorowie Uniwersytetu Berlińskiego dążyli w dziewiętnastym wieku do utworzenia – jak ją nazwali – „intelektualnej straży przybocznej domu Hohenzollernów”. Nieco inny aspekt tego zagadnienia wyłania się z pełnej wściekłości reakcji marksistowskiego sinologa Josepha Needhama na cierpką krytykę despotyzmu starochińskiego, przeprowadzoną przez Karla Wittfogela. Wittfogel wskazywał, że poparcie dla systemu konfucjańskiego – gloryfikującego uczonych notabli zasilających szeregi rządowej biurokracji – miało istotne znaczenie dla utrzymania despotyzmu w Chinach. Needham odpowiedział z oburzeniem, że „cywilizacja, którą profesor Wittfogel tak zajadle krytykuje, potrafiła wynosić poetów i uczonych na stanowiska urzędnicze”<sup>14</sup>. Otóż właśnie dzięki temu, że całe zastępy dyplomowanych intelektualistów zasilają klasę rządzącą, totalitaryzm miewa się tak dobrze!

Liczne są w historii przypadki nabożnego i pełnego umizgów stosunku intelektualistów do władzy. Współczesnym odpowiednikiem „intelektualnej straży przybocznej domu Hohenzollernów” na gruncie amerykańskim jest postawa wielu liberalnych intelektualistów wobec osoby prezydenta. I tak, na przykład, dla politologa profesora Richarda Neustadta prezydent jest „jedynym, jakby królewskim symbolem Unii”. Doradca polityczny Townsend Hoopes napisał zaś zimą roku 1960, że „w naszym systemie tylko na prezydencie można polegać, jeśli chodzi o wyznaczanie zasad naszej polityki zagranicznej, czy o ogólnokrajowe przedsięwzięcia i zadania wymagające wyrzeczeń; tylko on może gwarantować ich skuteczną realizację”<sup>15</sup>. Nie było więc niespodzianką, że po iluś pokoleniach karmionych taką argumentacją Richard Nixon tuż przed wyborem na prezydenta tak przedstawił swoją wizję tego najwyższego w państwie stanowiska: „Musi on [prezydent] głośno wypowiadać życzenia narodu, wyznaczać mu cele i zaprowadzać porządku zgodnie z wolą społeczeństwa”. Zapatrywania Nixona na swoją rolę nieodparcie przywodzą na myśl koncepcję przedstawioną w Niemczech w latach trzydziestych XX wieku przez Ernsta Hubera w jego *Constitutional Law of the Greater German Reich*. Huber pisze, że głowa państwa „stawia wielkie cele do osiągnięcia, kreśli plany wykorzystania całej mocy narodu potrzebnej do realizacji wspólnych zamierzeń (...), nadaje życiu narodu głęboki sens i wartość”<sup>16</sup>.

Postawę i pobudki intelektualistów, pozostających w służbie dzisiejszego resortu bezpieczeństwa narodowego, w zjadliwym tonie opisał Marcus Raskin, który był członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego w czasie prezydentury Kennedy’ego. Używając określenia „inteligencji od hekatomby” („*megadeath intellectuals*”), Raskin pisze o nich, że:

ich najważniejszym zadaniem jest uzasadniać i przedłużać istnienie swoich pracodawców. (...) Dla usprawiedliwienia wysokiej produkcji bomb [termojądrowych] i pocisków rakietowych kierujący resortem wojskowym i przemysłem zbrojeniowym potrzebowali jakiejś teorii tłumaczącej konieczność ich użycia. (...) Potrzeba ta stała się szczególnie paląca w drugiej połowie lat pięćdziesiątych XX wieku, gdy zorientowani na cele ekonomiczne członkowie administracji Eisenhowera zaczęli się

<sup>13</sup> George F. Kennan, *Realities of American Foreign Policy* (Princeton: Princeton University Press, 1954), s. 95–96.

<sup>14</sup> Joseph Needham, "Review of Karl A. Wittfogel, *Oriental Despotism*," *Science and Society* (1958), s. 65. O poglądach przeciwnych do Needhama zobacz: John Lukacs, "Intellectual Class or Intellectual Profession?", w: George B. deHuszar, ed., *The Intellectuals* (Glencoe, 111.: The Free Press, 1960), s. 522.

<sup>15</sup> Richard Neustadt, "Presidency at Mid-Century," *Law and Contemporary Problems* (Autumn, 1956), s. 609–645; Townsend Hoopes, "The Persistence of Illusion: The Soviet Economic Drive and American National Interest", *Yale Review* (March 1960), s. 336.

<sup>16</sup> Cytat za: Thomas Reeves and Karl Hess, *The End of the Draft* (New York: Vintage Books, 1970), s. 64–65.



zastanawiać, dlaczego tyle pieniędzy, uwagi i zasobów poświęca się na produkcję broni, której użycia nie można usprawiedliwić. I tak zaczęły powstawać kolejne teorie formułowane przez „intelektualistów ds. obrony”, zarówno uniwersyteckich jak i pozostałych. (...) Potęga militarna będzie stale rosła, a oni będą stale uzasadniać, czemu tak musi być. Nie różnią się pod tym względem od większości specjalistów, którzy dla nagród, pieniędzy i prestiżu przyjmują punkt widzenia organizacji, która ich zatrudnia. (...) Nie są na tyle lekkomyślni, żeby kwestionować sens istnienia swoich pracodawców<sup>17</sup>.

Nie znaczy to wcale, że wszyscy intelektualiści byli zawsze „intelektualistami nadwornymi”, sługami i młodszymi współpracownikami rządzących. Jednakże na ogół taką właśnie rolę – przeważnie jako kapłani – pełnili w historii cywilizacji. Na ogół również rządy w tych cywilizacjach były jakąś odmianą despotyzmu. Zdarzały się jednak chlubne wyjątki, zwłaszcza w cywilizacji Zachodu. Intelektualiści bywali ciętymi krytykami i wrogami władzy państwa. Używali nieraz swoich zdolności intelektualnych do wypracowania systemów teoretycznych, które mogły stać się podstawą do walki o wyzwolenie spod państwowej dominacji. Tacy intelektualiści zyskiwali jednak na znaczeniu tylko wówczas, gdy mieli możliwość działania na niezależnym gruncie i nie byli związani z aparatem państwa. Gdziekolwiek państwo kontroluje wszelką własność, bogactwo i zatrudnienie, tam każdy jest od niego ekonomicznie uzależniony, co powoduje, że powstanie niezależnej krytyki jest bardzo trudne albo niemożliwe. To właśnie na Zachodzie pojawiło się grono opozycyjnych wobec państwa intelektualistów, gdyż tutaj władza była zdecentralizowana, a jej lokalne ośrodki miały własne zaplecze materialne i siłę roboczą, czyli podstawy niezbędne do uprawiania krytyki państwa. W Średniowieczu takimi niezależnymi centrami intelektualnej i czynnej opozycji był Kościół katolicki (jako oddzielony od państwa, jeśli nie niezależny od niego) i nowe wolne miasta. W późniejszych wiekach nauczyciele, duchowni i pamphletyści, żyjąc we względnie wolnym społeczeństwie, korzystali ze swojej niezależności od państwa i agitowali na rzecz dalszego poszerzenia wolności. Zupełnie inaczej było w okresie pełni despotyzmu w starożytnych Chinach, gdzie jeden z pierwszych filozofów wolnościowych, Lao-tsy, nie widział nadziei na osiągnięcie wolności w tym totalitarnym społeczeństwie w inny sposób, niż przez oddanie się kwietyzmowi i całkowitą ucieczkę od życia społecznego.

Decentralizacja władzy, oddzielenie państwa i Kościoła, rozkwit miast wyłamujących się z feudalnej struktury rządzenia oraz rozwój wolności obywatelskich sprawiły, że gospodarka w Europie Zachodniej rozwijała się szybciej niż w jakiegokolwiek wcześniejszej cywilizacji. Ponadto plemiona germańskie, a zwłaszcza celtyckie, które zastąpiły rozpadające się Imperium Rzymskie, miały strukturę o silnych cechach wolnościowych. Spory pomiędzy rywalizującymi członkami plemienia były w nich rozstrzygane przez starszyznę decydującą o istocie i sposobie stosowania prawa zwyczajowego. „Wódz” przejmował zwierzchnictwo na ogół tylko w czasie, gdy zbliżała się wojna z innym plemieniem. Plemiona nie prowadziły między sobą permanentnej wojny ani nie utrzymywały biurokracji wojskowej. W Europie Zachodniej, podobnie jak w wielu innych cywilizacjach, państwa tworzyły się nie na drodze dobrowolnej „umowy społecznej”, tylko przez podboje jednych plemion przez inne. Pierwotna wolność plemienia lub rolników była im odebrana przez najeźdźców. Z początku plemię, które zwyciężało, zabijało i łupiło pokonanych, po czym odjeżdżało. Później jednak zwycięzcy doszli do wniosku, że bardziej opłacalne będzie osiedlenie się wśród pokonanych rolników i rządzenie nimi, połączone z systematycznym i trwałym wyzyskiem. Okresową daninę ściąganą od podbitych poddanych zaczęto w końcu nazywać „podatkiem”. Mówiąc w uproszczeniu, naczelnicy ze zwycięskiego plemienia dzielili ziemię podbitych rolników pomiędzy różnych watażków. Ci osiedlali się na niej i pobierali od rolników feudalną „rentę czynszową”. Rolnicy stawali się często niewolnikami, a raczej przywiązanymi do ziemi chłopami pańszczyźnianymi. W ten sposób dostarczali panom feudalnym stałego źródła siły roboczej opartej na wyzysku<sup>18</sup>.

<sup>17</sup> Marcus Raskin, "The Megadeath Intellectuals", *The New York Review of Books* (November 14, 1963), s. 6–7. Zobacz też: Martin Nicolaus, "The Professor, the Policeman, and the Peasant", *Viet-Report* (June–July 1966), s. 15–19.

<sup>18</sup> Na temat typowej genezy państwa zobacz: Oppenheimer, *op cit*, Chapter II. Chociaż badacze tacy jak Lowie i Wittfogel (*op cit*, s. 324–325) dyskutują z tezą Gumpłowicza, Oppenheimera i Rustowa, że państwo powstawało zawsze w wyniku podboju, to przyznają, że podbój stanowił często składnik rozwoju wewnętrznego państw. Ponadto istnieją dowody na to, że w pierwszej wielkiej cywilizacji, jaką był Sumer, wolne i bezpieczne społeczeństwo istniało do czasu, gdy zagrożenie zewnętrzne zapoczątkowało rozwój stałej armii i biurokracji państwowej. Por.: Samuel Noah Kramer, *The Sumerians* (Chicago University of Chicago Press, 1963), s. 73 nn.

Można wymienić kilka spektakularnych przykładów powstania nowożytnych państw w wyniku podboju. Jednym z nich jest podbój chłopstwa indiańskiego w Ameryce Łacińskiej przez Hiszpanów. Zwycięscy Hiszpanie nie tylko założyli nowe państwo na podbitych ziemiach, lecz także rozparcelowali grunty Indian, rozdając je dowódcom, którzy odtąd pobierali rentę czynszową od uprawiających je rolników. Innym przykładem może być narzucenie nowej organizacji politycznej Saksonom w Anglii po zawojowaniu ich przez Normanów w roku 1066. Anglia została wówczas rozdzielona pomiędzy rycerzy normandzkich, którzy utworzyli w ten sposób państwo z feudalno-ziemskim systemem rządów nad podbitą społecznością. Dla libertarianina najciekawszym i na pewno najbardziej gorzkim przykładem powstania państwowości przez podbój było zniszczenie przez Anglię w siedemnastym wieku tradycyjnej wolnościowej społeczności Irlandii. Był to podbój, który doprowadził do powstania państwa imperialnego i do wygnania wielu Irlandczyków z ich ukochanej ziemi. Wolnościowe społeczeństwo Irlandii, które istniało przez tysiąc lat (o czym będziemy jeszcze mówić później), potrafiło przez setki lat opierać się angielskim podbojom dzięki temu, że nie miało własnego państwa, które mogłoby być pokonane i następnie użyte przez zwycięzców do panowania nad pierwotnymi mieszkańcami.

Podczas gdy zachodni intelektualiści opracowywali teorie, które miały służyć kontroli i ograniczeniu władzy państwa, każde państwo wykorzystywało swoich intelektualistów do odwracania znaczenia tych idei, tak by służyły ugruntowaniu i poszerzeniu ich władzy. Początkowo, na przykład, pojęcie „panowania królów z bożej łaski” było propagowane przez Kościół w celu *ograniczenia* władzy państwa. Jego sens był taki, że król nie mógł narzucać swojej woli w sposób arbitralny. Królewskie edykty musiały być zgodne z „prawem bożym”. Jednakże wraz z rozwojem monarchii absolutnej monarchowie nadali tej idei znaczenie przeciwne, mianowicie takie, że Bóg przystawia pieczęć swojej aprobaty na każdym działaniu króla; że król panuje na mocy „boskiego prawa”.

Również idea demokracji parlamentarnej zrodziła się jako sposób na kontrolę absolutnej władzy monarchy. Władzę króla ograniczał parlament, który decydował o przyznaniu mu dochodu z podatków. Gdy jednak parlament stopniowo przejął uprawnienia króla jako głowy państwa, sam stał się niekontrolowanym władcą państwa. W początkach dziewiętnastego wieku angielscy utylitaryści, opowiadający się za zwiększeniem wolności osobistej w imię społecznego pożytku i ogólnego dobrobytu, przekonali się, jak można ich idee wykorzystać do poszerzenia władzy państwa.

Jak pisze De Jouvenel:

Wielu piszących o teorii władzy opracowywało różne sposoby kontrolowania rządzących. Ale w rezultacie każda z tych teorii wcześniej czy później traciła swój pierwotny sens i stawała się odskocznią dla wspierania władzy. Do jej egzekwowania pojawiał się bowiem niewidzialny początkowo władca, z którym następnie identyfikowano samą władzę<sup>19</sup>.

Niewątpliwie najbardziej ambitną w historii próbą narzucenia ograniczeń władzy państwowej była Deklaracja Praw (*Bill of Rights*) i inne przepisy konstytucji USA, limitujące uprawnienia władzy. Zapisane w niej prawa, określające zakres władzy rządu, stały się podstawowym przepisem, który był przedmiotem interpretacji niezawisłych sędziów. Amerykanie wiedzą, jakie są kolejne odsłony tego procesu, stanowiące spełnienie proroczej analizy Johna C. Calhauna. Monopol państwa na władzę sądowniczą doprowadził w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat do nieuchronnego rozszerzenia kompetencji władzy państwowej. Jednakże tylko nieliczni – jak profesor Charles Black, który pochwała zresztą ten proces – przejrzyli naturę owego zjawiska. Mało kto zauważył, że państwo przekształciło władzę sądowniczą z instrumentu kontroli rządu w narzędzie służące usprawiedliwianiu jego działań w oczach opinii publicznej. Jeśli sądowe orzeczenie, uznające jakieś działanie rządu za „sprzeczne z konstytucją”, jest potężną bronią, to równie potężną może być orzeczenie o tym, że jest ono „zgodne z konstytucją”. Ogłaszając coś jako „zgodne z konstytucją”, rząd może zyskiwać akceptację obywateli dla poszerzania swojej władzy.

Profesor Black rozpoczyna swoją analizę od uwagi, że dla trwałości rządu niezbędna jest jego „legitymizacja”, czyli zasadnicza akceptacja jego poczynań ze strony większości. Akceptacja uprawnień rządu stanowi jednak poważny problem w takim państwie jak USA, gdzie „istotne ograniczenia wbudowane są w teorię, na której opiera się władza rządu”. Potrzebna jest więc metoda, pisze Black, dzięki której rząd przekonałby społeczeństwo, że rozszerzenie jego władzy jest w istocie „zgodne z konstytucją”. I to właśnie

<sup>19</sup> De Jouvenel, *op. cit.*, s. 27.

było, konkluduje, historycznym zadaniem władzy sądowniczej. Dla zilustrowania zagadnienia oddajmy głos samemu Blackowi:

Największym zagrożeniem [dla rządu] jest powszechne zniechęcenie i gniew w społeczeństwie, a następnie utrata autorytetu moralnego przez rząd. Trwa on wtedy dzięki sile inercji i brakowi jasnej alternatywy. Prawie każdy, kto ma do czynienia z rządem o konstytucyjnie określonych uprawnieniach, prędzej czy później spotka się z jakimś działaniem rządu, które, jego zdaniem, będzie wykraczało poza obręb jego uprawnień, lub będzie wręcz łamało zakaz podejmowania przezeń pewnych działań. Ludzie są powoływani do wojska, chociaż w konstytucji nie ma ani słowa o poborze. (...) Farmerowi mówi się, ile ma wyprodukować zboża, a on się dowiaduje, że nawet niektórzy poważni prawnicy uważają, iż takie samo prawo ma rząd do mówienia mu, ile powinien wyprodukować zboża, jak on – do wskazywania swojej córce kandydata na męża. Ktoś idzie do więzienia federalnego za mówienie tego, co mu się podoba, i przemierza celę recytując (...): „Zabrania się Kongresowi wprowadzania praw ograniczających wolność słowa.” (...)

Istnieje realna groźba, że każda z tych osób (a któż nie jest w ich liczbie?) porówna zasadę ograniczenia uprawnień rządu z rzeczywistością (jaką widzi), w której nie brak przypadków jawnego naruszenia tych ograniczeń. Wówczas taka osoba dojdzie do oczywistych wniosków na temat legalności działań rządu<sup>20</sup>.

Można to niebezpieczeństwo oddalić, dodaje Black, jeśli państwo przedstawi koncepcję, że *pewien* uprawniony urząd musi mieć decydujący głos w kwestiach dotyczących zgodności z konstytucją i że ten urząd musi należeć do samego rządu. Bo chociaż pozorna niezależność sądownictwa federalnego miała szczególne znaczenie dla podniesienia jego wyroków w oczach obywateli do rangi Pisma Świętego, to fakty są takie, że władza sądownicza stanowi nieodłączną część aparatu rządowego i jest nominowana przez władzę ustawodawczą i wykonawczą. Profesor Black przyznaje, że rząd postawił się w ten sposób w roli sędziego we własnej sprawie i naruszył tym samym podstawową zasadę prawną dotyczącą wszelkiego prawidłowego orzecznictwa. Ale Black nie przejmuje się zbytnio tym pogwałceniem reguł: „Władza państwa musi się kończyć tam, gdzie tak nakazuje prawo. Kto zaś wskaże ograniczenia i wymusi ich przestrzeganie na władzy państwowej, czyli największej potędze? No, oczywiście samo państwo przez swoich sędziów i prawa. Czyż trzeba powstrzymywać powściągliwego? (...) A mędrca nauczać? (...)”<sup>21</sup>. W ten sposób Black przyznaje, że aparatowi państwa przekazujemy wszystkie możliwe środki przymusu, że tej grupie półbogów oddajemy wszystkie kluczowe decyzje. Potem pozostaje nam zasiąść wygodnie i spokojnie czekać na nieprzebraną obfitość sprawiedliwości, która popłynie z tych instytucji – nawet jeśli w gruncie rzeczy występują jako sędziowie we własnej sprawie. Black nie widzi żadnej sensownej alternatywy dla tego narzuconego przez państwo monopolu sądownictwa. I w tym właśnie miejscu nasz ruch podważa jego tradycyjne poglądy i zapewnia, że istnieje rzeczowa alternatywa: libertarianizm.

Nie dostrzegłszy tej alternatywy, profesor Black w swojej obronie państwa popada w mistycyzm, stwierdzając w końcowej rozprawie, że osiągnięcie sprawiedliwości i legitymizacji w oparciu o błędne koło orzekania we własnej sprawie „zakrawa na cud”. W ten sposób liberał Black dołącza do konserwatysty Burnhama w jego ucieczce w świat cudów i potwierdza nasze podejrzenia, że za istnieniem państwa nie przemawiają żadne zadowalające argumenty racjonalne<sup>22</sup>.

Stosując swoje realistyczne poglądy dotyczące Sądu Najwyższego do znanego konfliktu pomiędzy Sądem a polityką Nowego Ładu w latach trzydziestych XX wieku, profesor Black strofuje swoich kolegów liberałów za krótkowzroczność prowadzącą do obstrukcji sądowej:

---

<sup>20</sup> Charles L. Black, Jr., *The People and the Court* (New York: Macmillan, 1960), s. 42–43.

<sup>21</sup> *Ibid.*, s. 32–33.

<sup>22</sup> Od obecnego u Blacka tonu samozadowolenia odbiega ostra krytyka konstytucji i władzy Sądu Najwyższego przeprowadzona przez politologa J. Aliena Smitha. Smith pisze, że „Zdrowy rozsądek nie pozwala oczywiście na to, by jakiś organ rządu wyznaczał sam sobie zakres władzy”. J. Alien Smith, *The Growth and Decadence of Constitutional Government* (New York: Henry Holt and Co., 1930), s. 87. Rzeczywiście, zdrowy rozsądek i „cuda” całkiem odmiennie kształtują poglądy na rolę rządu.

Obiegowe relacje na temat kontrowersji między Nowym Ładem a Sądem w pewnym sensie oddają prawdę, ale niewłaściwie rozmieszczają akcenty (...). Koncentrują się na trudnościach, a zapominają niemal, jak cała sprawa się zakończyła. Rezultatem dwóch lat zmagania było orzeczenie Sądu Najwyższego, które bez wprowadzania jakiegokolwiek zmiany do prawa, i bez wprowadzania zmian personalnych, *zatwierdziło prawomocność Nowego Ładu i całą nową koncepcję rządu amerykańskiego [wyróżnienie Blacka]*<sup>23</sup>.

W ten oto sposób Sąd Najwyższy uciszył dużą grupę Amerykanów, którzy mieli poważne wątpliwości konstytucyjne w związku z poszerzeniem uprawnień Nowego Ładu:

Oczywiście nie wszyscy byli usatysfakcjonowani. Serca fanatycznych wyznawców konstytucyjnie ustanowionego leseferyzmu pogrążyły się w historycznej tęsknocie za mrzonkami. Ale społeczeństwo nie ma już żadnych poważnych wątpliwości dotyczących uprawnień Kongresu do podejmowania decyzji gospodarczych. (...) Odwołanie się do Sądu Najwyższego było jedyną możliwością legitymizacji Nowego Ładu<sup>24</sup>.

Tak więc, nawet w Stanach Zjednoczonych, w jedynym kraju, gdzie konstytucja, przynajmniej w intencjach, narzuca rządowi ściśle i poważne ograniczenia, nawet tutaj konstytucja posłużyła za narzędzie do zatwierdzenia ekspansji władzy państwa, a nie do jej powstrzymania. Jak zauważył Calhoun, wszelkie zapisy określające granice uprawnień, ale pozostawiające rządowi interpretację zakresu swojej władzy, będą interpretowane jako sankcjonujące rozszerzenie tych uprawnień, a nie ich zawężenie. W głębokim sensie, idea skrzepowania władzy kajdanami spisanej konstytucji okazała się szlachetnym eksperymentem, który się nie powiódł. Pomysł ściśle ograniczonego w swych uprawnieniach rządu okazał się utopijny. Trzeba znaleźć inne, bardziej radykalne środki powstrzymania rozrostu agresywnego państwa. System libertariański rozwiązuje ten problem przez eliminację pojęcia rządu jako instytucji dysponującej monopolem stosowania przymusu na danym terytorium. Wtedy można liczyć na to, że uda się zahamować ekspansję rządu. Alternatywa libertariańska oznacza przede wszystkim powstrzymanie się od tworzenia monopolistycznego rządu.

Zagadnieniem społeczeństwa bezpaństwowego, społeczeństwa bez sformalizowanego rządu, zajmiemy się w następnych rozdziałach. Teraz przeprowadzimy tylko jeden pouczający eksperyment myślowy, który pomoże wyzwolić się od stereotypów i rozważyć argumenty przemawiające na korzyść państwa *de novo*. Spróbujmy przez chwilę abstrahować od tego, że – odkąd pamięć ludzka sięga – państwo miało monopol na policję i sądownictwo. Wyobraźmy sobie, że wszyscy zaczynamy od zera i że miliony takich jak my – już dojrzałych, ukształtowanych – zrzucano z jakiejś planety na Ziemię. Rozpoczyna się dyskusja o tym, jak zapewnić bezpieczeństwo (policję i usługi sądownicze). Ktoś proponuje: „Niech wszyscy oddadzą całą broń Joe’emu Jonesowi i jego krewnym. I niech Jones i jego rodzina rozstrzygają wszelkie spory między nami. Dzięki temu Jonesowie będą mogli nas chronić przed agresją i oszustwem ze strony innych. Gdy Jonesowie będą mieli całkowitą władzę i zdolność rozstrzygania sporów, wszyscy będziemy nawzajem chronieni. Zapewnijmy też Jonesom wynagrodzenie za ich usługi. Niech przy użyciu broni żądają tyle, ile zechcą”. W tej sytuacji nikt by takiej propozycji nie potraktował poważnie. Byłoby bowiem bardziej niż oczywiste, że nikt z nas nie byłby chroniony przed agresją czy kradzieżą ze strony samych Jonesów. Nikt więc nie byłby dość szalony, by na narzucające się pytanie: „Kto będzie trzymał straż nad strażnikami?”, odpowiedzieć tak, jak odpowiedział beztrudnie profesor Black: „Czyż trzeba powstrzymywać powściągliwego?”. Tylko dlatego, że jesteśmy od tysięcy lat przyzwyczajeni do istnienia państwa, na pytanie o bezpieczeństwo i obronę w społeczeństwie dajemy taką właśnie absurdalną odpowiedź.

Oczywiście państwo nigdy nie pojawiło się w wyniku takiej „umowy społecznej”. Jak podkreśla Oppenheimer, państwo rodziło się na ogół z przemocy i podboju. Nawet jeśli powstawało w wyniku wewnętrznych procesów, nigdy nie działało się to na zasadzie ogólnej zgody czy umowy.

Libertariańskie credo możemy więc przedstawić jako: (1) absolutne prawo każdego człowieka do posiadania własnego ciała; (2) równie niepodważalne prawo do posiadania i dysponowania zasobami materialnymi, które sam znalazł i przekształcił; a w konsekwencji: (3) absolutne prawo do wymiany i przekazywania praw własności każdemu, kto wyraża zgodę na ich wymianę lub przyjęcie. Jak widzimy, każdy z tych punktów

---

<sup>23</sup> Ibid., s. 64.

<sup>24</sup> Ibid., s. 65.

mówi o prawach *własności*, a nawet jeśli punkt (1) określilibyśmy jako prawa „osobiste”, to zobaczymy, że zagadnienie „wolności osobistej” wiąże się nierozzerwalnie z prawami własności lub swobody wymiany. Albo, mówiąc w skrócie, prawa dotyczące wolności osobistej i „wolności przedsiębiorczości” niemal zawsze przenikają się nawzajem i nie można ich od siebie oddzielić.

Widzieliśmy, że na przykład korzystanie z osobistego prawa „wolności słowa” niemal zawsze oznacza korzystanie z „wolności gospodarczej”, tj. wolności posiadania i wymieniać się własnością materialną. Zebranie, zwołane w celu skorzystania z wolności słowa, wymaga wynajęcia sali, dojazdu z wykorzystaniem dróg i środków transportu itd. Pokrewne prawo „wolności prasy” w sposób jeszcze bardziej widoczny wiąże się z kosztami druku, użycia maszyny drukarskiej, sprzedaży – mówiąc krótko z wszystkimi aspektami „wolności gospodarczej”. Ponadto, jak widzieliśmy na przykładzie wywołania alarmu przeciwpożarowego w zatłoczonym kinie, istnieje jasna wskazówka dotycząca tego, *czyje* prawo musi być chronione w danej sytuacji. Tej wskazówki dostarcza nasze podstawowe kryterium: prawo własności.

## CZĘŚĆ II

### Libertarianizm a problemy współczesności

#### Rozdział 4: Problemy

Dokonyamy teraz krótkiego przeglądu problemów trapiących nasze społeczeństwo i sprawdzimy, czy nie mają jakiegoś wspólnego mianownika.

*Wysokie podatki.* Wysokie i stale rosnące podatki dotyczą niemal wszystkich. Obniżają wydajność, zmniejszają motywację, zniechęcają do gospodarności i powodują, że pokłady energii ludzkiej pozostają niewykorzystane. Nasila się opór przeciwko federalnemu podatkowi dochodowemu. Rozwija się ruch odmowy płacenia podatków jako sprzecznego z konstytucją i stanowiących grabież. Jego przedstawiciele zakładają organizacje i czasopisma. Rośnie sprzeciw wobec olbrzymich stanowych podatków od nieruchomości. Rekordowa liczba 1,2 miliona Kalifornijczyków podpisała w czasie wyborów w roku 1978 petycję popierającą inicjatywę ustawodawczą Jarvis-Ganna. W petycji tej postulowano obniżenie podatku od nieruchomości o dwie trzecie, do jednego procenta, oraz wprowadzenie maksymalnych pułapów w wycenie nieruchomości. Ponadto, według inicjatywy Jarvis-Ganna, podatki byłyby zamrożone na poziomie jednego procenta, a ich podniesienie wymagałoby akceptacji dwóch trzecich *całego* elektoratu Kalifornii. Żeby zaś zapobiec podwyższeniu innego podatku (dla zrekompensowania redukcji podatku od nieruchomości), inicjatywa przewidywała, że podwyższenie jakiegokolwiek *innego* podatku stanowego wymagałoby akceptacji dwóch trzecich członków stanowej władzy ustawodawczej.

Jesienią 1977 roku dziesiątki tysięcy właścicieli domów w hrabstwie Cook w stanie Illinois wzięły udział w strajku, demonstrując przeciwko drastycznej podwyżce podatku od nieruchomości spowodowanej większymi wycenami.

Trzeba wyraźnie podkreślić, że opodatkowanie dochodów, nieruchomości i całej reszty stanowi absolutny monopol rządu. Żadna inna instytucja ani pojedynczy człowiek nie korzystają z przywileju ściągania podatków, osiągnięcia dochodów przy użyciu przemocy.

*Kryzys budżetów miejskich.* Poszczególne stany i hrabstwa w całym kraju mają trudności ze spłatą rat i odsetek od zaciągniętych olbrzymich długów publicznych. Nowy Jork jako pierwszy zaczął regulować swoje zobowiązania tylko częściowo. Kryzys budżetów miejskich jest rezultatem zbyt dużej rozrzutności władz w miastach. Nawet wysokie podatki wyciskane z mieszkańców nie starczą na pokrycie zbyt dużych wydatków. Wysokość wydatków miasta czy stanu zależy tylko od miejscowych władz. Znow więc okazuje się, że winny temu stanowi rzeczy jest rząd.

*Wojna w Wietnamie i inne interwencje zbrojne.* Wojna w Wietnamie była całkowitą klęską amerykańskiej polityki zagranicznej. Pochłonęła niezliczoną liczbę ofiar, doprowadziła kraj do ruiny, pochłonęła olbrzymie środki, by zakończyć się upadkiem popieranego przez Amerykę rządu w roku 1975. Klęska wojny wietnamskiej postawiła pod pręgierzem amerykańską politykę interwencjonizmu i była jedną z przyczyn wstrzymania przez Kongres interwencji w Angoli. Polityka zagraniczna jest oczywiście również dziedziną, w której monopol dzierży niepodzielnie rząd federalny. Wojnę prowadziły nasze siły zbrojne, na które monopol ma też ten sam rząd federalny. A więc rząd jest całkowicie odpowiedzialny za wojnę i błędy polityki zagranicznej we wszystkich ich aspektach.

*Przestępczość na ulicach miast.* Zauważmy, że przestępstwa tego rodzaju z definicji mają miejsce na ulicach. Niemal wszystkie ulice należą do rządu, a więc dysponuje on praktycznie monopolem na własność ulic. Na policję, której zadaniem jest chronić nas przed przestępcami, rząd ma również monopol. Sądy, które mają skazywać i karać przestępców, są również objęte przymusowym monopolem państwowym. Rząd kontroluje więc każdy najmniejszy aspekt problemu ulicznych przestępstw. Dlatego fiasko na tym polu należy zapisać w całości wyłącznie na konto rządu.

*Korki drogowe.* Mają one miejsce wyłącznie na szosach i ulicach należących do rządu.

*Przemysł zbrojeniowy.* Ten sektor gospodarki jest w całości dziełem rządu federalnego. Rząd podejmuje decyzje dotyczące wielomiliardowych wydatków na produkcję nadmiernych ilości broni, rząd rozdaje zamówienia z tym związane, rząd dotuje nieefektywność przez udzielanie gwarancji pokrycia kosztów produkcji (dzięki kontraktom typu *cost-plus*), rząd buduje fabryki, oddaje je w dzierżawę lub przekazuje na

własność wykonawcom zleceń. Oczywiście, ludzie związani z tym biznesem wywierają naciski na rzecz zachowania swoich przywilejów. Jednakże za mechanizm tych przywilejów i za marnotrawstwo środków, jakie ma miejsce w tym sektorze, odpowiedzialny jest wyłącznie *rząd*.

*Transport.* Kryzys w transporcie polega nie tylko na zakorkowanych ulicach, ale również na niszczących torach kolejowych, zbyt drogich przewozach lotniczych, przeciążeniu lotnisk w godzinach szczytu oraz zatłoczeniu deficytowego metra (np. w Nowym Jorku), któremu najwyraźniej grozi upadek. Tymczasem to rząd (na poziomie federalnym, stanowym i lokalnym) dotował nadmierną rozbudowę kolei w dziewiętnastym wieku i najdłużej w historii Ameryki utrzymywał rozbudowane regulacje dotyczące transportu kolejowego. Zgodnie z przepisami Głównego Inspektoratu Lotnictwa Cywilnego (CAB) linie lotnicze są skartelizowane i dotowane przez kontrakty pocztowe i niezależne lotniska. Lotniska przeznaczone do obsługiwanie prywatnych linii lotniczych należą do różnych agend rządu, głównie do władz lokalnych. Nowojorskie metro jest własnością państwa od dziesiątków lat.

*Zanieczyszczenie rzek.* Rzeki są niczyje, tzn. stanowią „dobro publiczne” należące do rządu. Największymi trucicielami rzek są zakłady kanalizacji należące do zarządów miast. I znów okazuje się, że rząd jest zarówno głównym trucicielem jak i niedbałym „właścicielem” zasobów.

*Niedobory wody.* W niektórych rejonach kraju brak wody jest zjawiskiem chronicznym, w innych, takich jak Nowy Jork, sporadycznym. Tymczasem to rząd – jako kontrolujący dobro wspólne – jest (1) właścicielem rzek, z których pobierana jest większość wody i (2) praktycznie jedynym dostawcą wody, jako właściciel zbiorników wodnych i wodociągów.

*Zanieczyszczenie powietrza.* Do rządu, jako właściciela sektora publicznego, „należy” też powietrze. Ponadto sądy, których wyłącznym właścicielem jest rząd, od pokoleń świadomie zaniedbywały ochronę naszych praw własności. Naruszone zostało mianowicie prawo do ochrony naszych ciał i naszych sadów przed zanieczyszczeniami przemysłowymi. Co więcej, duża część zanieczyszczeń pochodzi bezpośrednio z zakładów, które są własnością rządu.

*Niedobory i przerwy w dostawie energii.* W całym kraju władze stanowe i lokalne utworzyły obowiązkowe monopole na produkcję gazu i energii elektrycznej i nadały im przywileje. Prywatne zakłady użyteczności publicznej podlegają regulacjom, a ceny ich produktów ustalane są odgórnie przez agencje rządowe w taki sposób, żeby zapewnić stały dochód na tym samym poziomie. Mamy więc kolejny przypadek, w którym rząd jest twórcą monopolu i regulacji.

*Usługi telefoniczne.* Przyczyną coraz gorszego poziomu usług telefonicznych są również monopolistyczne przywileje dla zakładów użyteczności publicznej. Rząd ustala ceny, które gwarantują dochodowość. Podobnie jak w przypadku gazu i elektryczności nikt nie ma prawa konkurować z monopołem operatora telefonicznego.

*Usługi pocztowe.* Poczta od zawsze borykała się z poważnymi problemami finansowymi. W przeciwieństwie do prywatnych producentów towarów i usług sprzedawanych na wolnym rynku oferowała coraz droższe i coraz gorsze usługi. Klienci indywidualni, wysyłając przesyłki pierwszej klasy (listy ekspresowe – uwaga tłumacza) zmuszeni są dopłacać do usług drugiej i trzeciej klasy, z których korzystają klienci korporacyjni. Poczta to kolejna instytucja, która od końca XIX wieku jest państwowym monopołem. Gdy tylko mogły z nią konkurować, nawet nielegalnie, prywatne firmy doręczycielskie, to oferowały usługi lepsze i tańsze.

*Telewizja.* Telewizja nadaje nijakie programy i kłamliwe serwisy informacyjne. Radio i kanały telewizyjne są znacjonalizowane od pół wieku. Rząd federalny przyznaje kanały uprzywilejowanym licencjobiorcom i odbiera je, jeśli jakaś stacja nie podoba się Federalnej Komisji Łączności. Czy w tych warunkach można mówić o jakiegokolwiek wolności słowa i prasy?

*System opieki społecznej.* Opieka społeczna jest oczywiście wyłączną domeną rządu, w dużej mierze władz stanowych i lokalnych.

*Budownictwo.* Najbardziej jaskrawy – obok komunikacji – przykład porażki władz miejskich. Są jednak jeszcze inne dziedziny gospodarki ściśle związane z rządem. Rozwój miast jest kontrolowany i regulowany przez plany zagospodarowania przestrzennego. Prawo strefowe narzuciło budownictwu i gospodarce terenami niezliczone restrykcje. Podatki od nieruchomości zahamowały rozwój miast i spowodowały, że domy stoją niezamieszkane. Reguły dotyczące budowy domów ograniczyły możliwości wyboru technologii konstrukcji i przyczyniły się do wzrostu kosztów. W związku z renowacjami potężne dotacje otrzymali deweloperzy, a

wiele apartamentów i biurowców zostało zrównanych z ziemią, co spowodowało spadek podaży mieszkań i wzrost dyskryminacji rasowej. Ekspansywna polityka kredytowa spowodowała nadmierną rozbudowę przedmieść. Kontrole czynszów doprowadziły do braku mieszkań i zmniejszenia się podaży domów do wynajęcia.

*Strajki związków zawodowych i ograniczenia nałożone na pracodawców.* Związki zawodowe są utrapieniem i zagrożeniem dla gospodarki. Swoją siłę zawdzięczają licznym przywilejom przyznanym przez rząd, zwłaszcza przywilejowi nietykalności. Przede wszystkim trzeba tu wspomnieć o Ustawie Wagnera z roku 1935 (wcześniej obowiązującej), która zmusza pracodawców do negocjacji ze związkami za pośrednictwem „zespołu negocjacyjnego”. Jego kształt określa sam rząd.

*Edukacja.* Szkolnictwo publiczne, które uchodziło dawniej za świętość, niczym macierzyństwo albo flaga narodowa, stało się w ostatnich latach celem ataków ze wszystkich stron sceny politycznej. Nawet jego zwolennicy nie twierdzą, że w szkołach publicznych cokolwiek się *uczy*. Byliśmy ostatnio świadkami, jak sytuacja w szkołach publicznych wywoływała przemoc w tak różnych miejscach jak południowy Boston i Hrabstwo Kanawaha w Zachodniej Wirginii. Właścicielami szkół i ich zarządcami są, oczywiście, rządy stanowe lub lokalne, którym pomaga i których działania koordynuje rząd federalny. Szkolnictwo publiczne wspierają przepisy dotyczące obowiązku szkolnego. Zmuszają one wszystkie dzieci, aż do ukończenia szkoły średniej, do nauki w szkole publicznej lub prywatnej, ale autoryzowanej przez władze. Również szkolnictwo wyższe staje się w ostatnich dziesięcioleciach coraz bardziej zależne od rządu: wiele uniwersytetów jest własnością rządu, a pozostałe otrzymują stypendia, dotacje i zamówienia publiczne.

*Inflacja i stagflacja.* Stany Zjednoczone, podobnie jak inne kraje, od wielu lat mają problemy z chroniczną i rosnącą inflacją, której towarzyszy wysokie bezrobocie i która utrzymuje się w okresach poważnych i głębszych recesji („stagflacja”). Mechanizmy tych niepożądanych zjawisk wyjaśnimy później. Teraz wystarczy stwierdzić, że ich przyczyną jest stałe zwiększanie ilości pieniądza przez rząd mający w tej dziedzinie monopol (każdy, kto próbuje konkurować z rządem w zakresie emisji pieniądza, idzie do więzienia za fałszerstwo). Olbrzymia część pieniędzy krąży pod postacią czeków wystawianych przez banki pozostające pod całkowitą kontrolą rządu federalnego i Systemu Rezerwy Federalnej.

*Watergate.* Wreszcie sprawa bolesnego dla Amerykanów doświadczenia zwanego „afērą Watergate”. Oznaczała ona całkowite odbrązowienie urzędu prezydenta i federalnych urzędów, uważanych dotąd za święte, takich jak CIA i FBI. Naruszanie prywatnej własności, metody państwa policyjnego, oszukiwanie społeczeństwa, korupcja, regularne przypadki różnych przestępstw, których dopuszczał się Nixon, doprowadziły do usunięcia wszechpotężnego, jak się zdawało, prezydenta i całkowicie uzasadnionej utraty zaufania do wszystkich polityków i przedstawicieli rządu. Politycy często dają wyraz swojemu ubolewaniu z powodu tego nowego wszechobecnego braku zaufania, ale nie zrobili niczego, żeby przywrócić naiwną wiarę społeczeństwa z czasów przed afērą Watergate. Kiedyś liberalna historyczka Cecilia Kenyon besztła antyfederalistów – obrońców Artykułów Konfederacji i przeciwników konstytucji – za to, że byli „ludźmi małej wiary” w stosunku do instytucji rządowych. Można podejrzewać, że gdyby pisała te słowa po afērze Watergate, nie byłaby już taka naiwna<sup>1</sup>.

Oczywiście, afēra Watergate jest zjawiskiem związanym wyłącznie z działaniem rządu. Prezydent stoi na czele rządu federalnego, „hydraulicy” (patrz przypis tłumacza w poprzednim rozdziale) byli jego narzędziem, a FBI i CIA są również agencjami rządowymi. Zrozumiałe jest więc, że Watergate zachwiało zaufaniem do *rządu*.

Jeśli więc przyjrzeć się dokładniej głównym problemom trapiącym nasze społeczeństwo, ogniskom kryzysów i niepowodzeń, to we wszystkich widać jeden charakterystyczny, łączący je czynnik: rząd. W każdym z tych przypadków rząd ma całkowitą kontrolę lub decydujący wpływ na daną dziedzinę. John Kenneth Galbraith zauważył w swoim bestsellerze *Społeczeństwo dobrobytu* (*The Affluent Society*), że sektor rządowy był centrum narodowych klęsk. Ale z tego faktu wyciągnął dziwny wniosek, że w takim razie należy jeszcze więcej prywatnych środków przeznaczyć na rzecz sektora publicznego. Zupełnie zlekceważył tym samym fakt, że w ostatnim stuleciu, a zwłaszcza w ostatnich kilku dekadach, rola rządów – federalnego, stanowych i lokalnych – niepomrotnie wzrosła zarówno w wymiarze proporcjonalnym, jak i bezwzględny. Galbraith nie

<sup>1</sup> Cecilia M. Kenyon, "Men of Little Faith: The Anti-Federalists on the Nature of Representative Government", *William and Mary Quarterly* (styczeń 1955), s. 3–43.



stawia niestety pytania, czy podejmowanie działań, które *prowadzą* do tak licznych porażek, nie należy do natury rządu. Zbadamy główne niedomagania rządu i problemy z wolnością w naszym kraju, określimy przyczyny niepowodzeń i przedstawimy rozwiązania proponowane przez nowy libertarianizm.

## Rozdział 5: Praca przymusowa

Jednej rzeczy libertarianin musi powiedzieć szczerze i stanowczo „nie”. Jest nią *przymusowa praca* – niewolnicza służba – zjawisko stanowiące naruszenie najbardziej elementarnego prawa samoposiadania. „Wolność” i „niewolnictwo” były zawsze uważane za skrajne przeciwieństwa. Wolnościowiec, libertarianin, jest więc zdecydowanym przeciwnikiem niewolnictwa<sup>1</sup>. Można by powiedzieć, że sprawa jest na tyle oczywista, iż roztrząsanie jej byłoby dyskusją czysto akademicką. Ale czy na pewno? Niewolnictwo oznacza: (a) zmuszanie ludzi do wykonywania pracy, której żąda pan, i (b) wynagradzanie tej pracy samym utrzymaniem lub, w najlepszym razie, mniejszą ilością pieniędzy, niż niewolnik by otrzymał, pracując dobrowolnie. Praca przymusowa jest po prostu wynagradzana poniżej swojej wartości rynkowej.

Czy można zatem powiedzieć, że we współczesnej Ameryce rzeczywiście nie występuje niewolnictwo? Czy naprawdę przestrzegana jest trzynasta poprawka do konstytucji, zabraniająca niewolniczej pracy<sup>2</sup>?

### *Pobór do wojska*

Nie ma chyba lepszego przykładu niewolniczej służby niż system *poboru do wojska*. Każdy mężczyzna, gdy skończy 18 lat, musi się zgłosić do właściwej komisji rekrutacyjnej. Odtąd zawsze musi mieć przy sobie kartę powołania, żeby rząd federalny mógł go w dowolnej chwili wcielić do sił zbrojnych. Odtąd jego ciało i wola przestają do niego należeć. Musi wykonywać rozkazy rządu, może być zmuszony do zabijania innych i do narażania własnego życia. Czymże innym jest pobór niż świadczeniem przymusowych usług?

Uzasadnienie systemu powoływania do wojska przesiąknięte jest duchem utylitaryzmu. Rząd argumentuje tak: *Kto* będzie nas bronił w przypadku ataku z zewnątrz, jeśli nie zastosujemy przymusu i nie powołamy do służby naszych obrońców? Libertarianin ma wiele argumentów przemawiających za odrzuceniem takiego rozumowania. Po pierwsze, jeśli ty, ja i nasz sąsiad potrzebujemy obrony, to nie mamy moralnego prawa do użycia przymusu – bagnetu czy rewolweru – żeby wymóc na innych zapewnienie nam obrony. Powołanie do służby jest tak samo nieuprawnionym aktem agresji – porwaniem i ewentualnym morderstwem – jak spodziewany atak, przed którym mamy się bronić. Jeśli poborowi mają oddać swoje ciała i – w razie konieczności – życie w służbie „społeczeństwu” czy za „swoją ojczyznę”, to musimy zapytać: Czymże takim są „społeczeństwo” i „ojczyzna”, że w magiczny sposób usprawiedliwiają niewolnictwo? Otóż są to wszyscy mieszkańcy danego terytorium, *oprócz* tych, którzy zostali powołani do wojska. Słowa „społeczeństwo”, „ojczyzna” służą w tym przypadku do przysłonięcia faktu użycia przemocy w interesie konkretnej grupy ludzi.

Po drugie, pozostając na płaszczyźnie utylitaryzmu, trzeba zapytać, *dlaczego* konieczne jest powoływanie obrońców. Nikogo się nie powołuje do wolnego rynku, a jednak ludzie otrzymują na nim usługi i towary wszelkiego rodzaju, również te najbardziej potrzebne. Na wolnym rynku można się zaopatrzyć w pożywienie, mieszkanie, ubranie, opiekę medyczną itd. Dlaczego nie można by na nim wynająć obrońców? Codziennie przecież ludzie najmują się do niebezpiecznych zajęć. Strażacy, komandosi, piloci oblatywacze i... policjanci oraz prywatni ochroniarze i strażnicy. Dlaczego żołnierze nie mieliby być wynajmowani w ten sam sposób?

Mówiąc jeszcze inaczej, rząd zatrudnia niezliczone zastępy ludzi do wykonywania przeróżnych usług, od kierowców ciężarówek przez naukowców do sekretarek. Jak to się dzieje, że żadnej z tych osób nie trzeba na te stanowiska przymusowo powoływać? Dlaczego nie występuje „brak” chętnych do wykonywania tych zawodów i rząd nie musi się uciekać do przymusowego poboru, żeby obsadzić wakujące stanowiska? Idąc dalej, zauważmy, że nawet w samej armii nie ma mowy o „braku” oficerów ani o konieczności ich powoływania. Nikt nie powołuje do wojska generałów i admirałów. Odpowiedź na te pytania jest prosta: nie brak jest sekretarek, ponieważ rząd znajduje je na wolnym rynku i oferuje rynkowe wynagrodzenie. Nie brakuje generałów, bo dostają przyzwoite wynagrodzenie w postaci pensji, świadczeń i emerytur. Brak jest tylko prostych żołnierzy, bo ich wynagrodzenie, przynajmniej aż do niedawna, było nieporównywalnie niskie w stosunku do wolnorynkowego. Od lat, nawet jeśli się policzy wartość utrzymania, mieszkania i innych

<sup>1</sup> Jedynym wyjątkiem jest wymierzanie kary przestępcom, którzy sami pogwałcili czyjąś nietykalność lub wolność. W libertariańskim systemie taka kara polegałaby przynajmniej na zmuszeniu przestępcy do pracy w ramach zadośćuczynienia ofierze przestępstwa.

<sup>2</sup> Warto zauważyć, że – podobnie jak my w poprzednim przypisie – trzynasta poprawka czyni wyjątek dla więźniów skazanych za przestępstwa: „Niewolnictwo i praca przymusowa, wyłączając karę za sądownie stwierdzone przestępstwo, są zabronione w Stanach Zjednoczonych i w innych miejscach podległych jurysdykcji USA”.

usług, które otrzymują żołnierze za darmo, wynagrodzenie szeregowca jest równe mniej więcej połowie tego, które mógłby on otrzymać w życiu cywilnym. Czy w tej sytuacji może kogoś dziwić, że wciąż brakuje chętnych do wstąpienia do wojska? Od lat wiadomo, że zachętą do podjęcia ryzykownej pracy jest odpowiednio wysokie wynagrodzenie. Tymczasem rząd płaci tym ludziom połowę tego, co mogliby zarobić, nie będąc w wojsku<sup>3</sup>.

Szczególnie haniebną praktyką jest powoływanie do wojska lekarzy, którzy podlegają temu obowiązkowi do znacznie późniejszego wieku niż inni. Czy lekarze mają być karani za to, że zajmują się medycyną? Jak jest moralne usprawiedliwienie obciążania przedstawicieli tego ważnego zawodu dodatkowymi, uciążliwymi obowiązkami? Czy sposobem na zbyt małą liczbę lekarzy ma być ogłoszenie, że ten, kto zostanie lekarzem, musi się liczyć z powołaniem do wojska i to nawet w zaawansowanym wieku? Zapotrzebowanie sił zbrojnych na personel medyczny mogłoby zostać z powodzeniem zaspokojone, gdyby rząd zechciał wypłacać lekarzom w wojsku wynagrodzenie na poziomie rynkowym, uzupełniając je o rekompensatę z tytułu wykonywania szczególnie niebezpiecznej pracy. Gdy rząd potrzebuje fizyków nuklearnych lub doradców, to nie waha się wyznaczać im wysokich pensji. Czy lekarze należą do niższej kategorii ludzi?

## Armia

Pobór jest ewidentnym i jaskrawym przykładem pracy przymusowej. Jest jednak jeszcze jeden, bardziej subtelny, więc mniej widoczny, rodzaj niewolnictwa: struktura samej armii. Zauważmy, że w żadnej innej profesji nie stosuje się tak ostrych kar za odmowę wykonywania danego zawodu jak w wojsku, gdzie za „dezercję” grozi więzienie lub kara śmierci. Czy ktoś, kto porzuca pracę w General Motors, zostaje następnego ranka rozstrzelany?

Można argumentować, że w przypadku służby ochotniczej żołnierz czy oficer zgodził się pełnić służbę przez określony czas i ma wobec tego obowiązek pozostawania w wojsku aż do końca tego terminu. Ale całe pojęcie „terminu odbywania służby” stanowi jedną z przyczyn problemu. Wyobraźmy sobie, na przykład, że pewien inżynier podpisuje umowę z ARAMCO, zgodnie z którą ma wyjechać na trzy lata do Arabii Saudyjskiej. Po kilku miesiącach stwierdza, że warunki pobytu i pracy nie odpowiadają mu i rezygnuje. Być może uchybia w ten sposób moralnemu zobowiązaniu, ale nie łamie prawa, które nie może go zmusić do wypełniania moralnych zobowiązań. Czy rząd, który posiada monopol na środki przymusu, ma go siłą skłonić do dalszej pracy aż do upłynięcia terminu umowy? Jeśli tak, to byłaby to praca przymusowa i niewolnictwo. Pomimo bowiem, że inżynier ów złożył obietnicę przyszłej pracy, w wolnym społeczeństwie jego ciało nadal należy wyłącznie do niego. W praktyce, a także w świetle teorii libertariańskiej, inżynier zasługuje na krytykę za niedotrzymanie słowa i na to, by umieścić jego nazwisko na czarnej liście prowadzonej przez firmy naftowe. Można też od niego żądać zwrotu zaliczki, jeśli taką otrzymał od firmy. Ale *nie wolno* go uwięzić w firmie ARAMCO na trzy lata.

Jeśli tak jest w przypadku zatrudnienia w ARAMCO, albo w jakiegokolwiek innej firmie i w innym charakterze, to dlaczego miałoby być inaczej w przypadku pracy dla wojska? Jeśli ktoś podpisuje umowę na siedem lat i zrywa ją wcześniej, powinien mieć prawo odejść. Straci prawo do emerytury, zasłuży na moralne potępienie, trafi na czarną listę branży, ale nie może być więziony wbrew swojej woli.

Można zgłosić zastrzeżenie, że praca w siłach zbrojnych ma szczególne znaczenie i powinna podlegać obostrzeniom, które nie są potrzebne w innych branżach. Nie wdając się w dyskusję, czy praca w służbie zdrowia, w rolnictwie lub w transporcie nie jest równie ważna i nie powinna podlegać takim samym rygorom, sprawdźmy, jak ten problem wygląda w przypadku pokrewnego zawodu policjanta. Praca w policji ma takie samo, jeśli nie większe znaczenie niż praca w wojsku. Tymczasem ludzie co roku przychodzą i odchodzą z policji i nie próbuje się ich zmuszać do wykonywania pracy przez określony czas. A zatem, oprócz postulatu zniesienia poboru, libertarianie domagają się zniesienia instytucji *terminu* wykonywania służby i wynikającej z niej niewolniczej zależności. Niech siły zbrojne działają na takich samych zasadach jak policja, straż pożarna, komandosi, agencje ochrony itd., niech się uwolnią od plagi zbrodni moralnej polegającej na zmuszaniu do niewolniczej pracy.

Na armii jako instytucji ciąży jeszcze więcej grzechów, nawet gdyby była to armia całkiem ochotnicza. Amerykanie niemal zupełnie zapomnieli, że jednym z najważniejszych i najszlachetniejszych elementów ich tradycji była zdecydowana niezgoda na utrzymywanie „stałej armii”. Rząd, który dysponuje stałą, gotową na

<sup>3</sup> Por. James C. Miller III, ed., *Why the Draft?* (Baltimore: Penguin Books, 1968).

rozkazy armią, zawsze będzie miał pokusę, by jej użyć – i to użyć w celu agresji, interwencji, prowadzenia wojny. Pierwotną zasadą polityki amerykańskiej była koncepcja odparcia ewentualnej agresji przez pospolite ruszenie. Stała armia mogła powodować wyłącznie problemy i sprzyjać rozrostowi potęgi państwa. Patrick Henry w ciętej i proroczej krytyce projektu konstytucji, ogłoszonej podczas konwencji ratyfikacyjnej stanu Wirginia, tak przestrzegał przed stałą armią: „Kongres, mając kontrolę nad podatkami i posiadając uprawnienia do utworzenia armii oraz władzę nad siłami porządkowymi, w jednym ręku dzierży miecz, a w drugim kiesę. Czy będziemy bezpieczni, gdy oddamy mu i jedno, i drugie?”<sup>4</sup>.

Stała armia oznacza więc stałe zagrożenie dla wolności. Monopol na broń, tendencja do tworzenia i wspierania przemysłu zbrojeniowego, mającego zaopatrywać armię i wreszcie, jak pisze Henry, równie ważne prawo dysponowania środkami na finansowanie wojska – wszystkie te prerogatywy sprawiają, że istnieje stała groźba wzrostu liczebności i potęgi armii. Libertarianin sprzeciwia się istnieniu jakichkolwiek instytucji utrzymywanych z podatków jako należących do aparatu ucisku. Jednakże armia, skupiając w swoich rękach potęgę wszystkich nowoczesnych broni, jest instytucją wyjątkowo groźną.

### **Prawo antystrajkowe**

4 października 1971 roku, prezydent Nixon, powołując się na ustawę Tafta-Hartleya\*, uzyskał sądowy nakaz zawieszenia na 80 dni strajku dokerów. W ten sposób po raz dziewiąty wykorzystano tę ustawę do rozwiązania strajku dokerów. Kilka miesięcy wcześniej przewodniczący nowojorskiego związku zawodowego nauczycieli został skazany na karę więzienia za sprzeciw wobec zakazu strajku w instytucjach państwowych. Zmęczonemu społeczeństwu jest niewątpliwie na rękę, że oszczędza mu się niedogodności związanych ze strajkami w instytucjach publicznych. Jednakże rozwiązanie, jakim się posłużono, oznaczało po prostu przymus pracy. Pracownicy, wbrew swojej woli, musieli wrócić do pracy. W społeczeństwie, które sprzeciwia się niewolnictwu i pracy przymusowej, nie ma żadnego moralnego uzasadnienia dla prawnych lub sądowych działań zakazujących strajkowania ani żadnych podstaw do więzienia przywódców związkowych za sprzeciw wobec takich działań. System niewolniczy jest niezwykle wygodny dla właścicieli niewolników.

Strajk jest rzeczywiście specyficzną formą przerwania pracy. Strajkujący porzucają pracę, ale jednocześnie twierdzą, że w jakimś metafizycznym sensie nadal ją „posiadają”, mają prawo do zatrudnienia na swoich dotychczasowych stanowiskach i powrócą do zajęć, gdy ich postulaty zostaną spełnione. Ale odpowiedzią na te wewnętrznie sprzeczne zachowania i na wprowadzającą zamieszanie działalność związków zawodowych nie może być wprowadzanie przepisów antystrajkowych. Środkiem zaradczym byłoby usunięcie z prawa federalnego, stanowego i lokalnego przepisów, nadających specjalne przywileje związkom zawodowym. Wykreślenie tych przywilejów z ustawodawstwa byłoby zgodne z zasadami libertarianizmu i sprzyałoby uzdrowieniu gospodarki.

Przywileje te zostały wprowadzone do ustawodawstwa federalnego przede wszystkim na mocy ustawy Wagnera-Tafta-Hartleya przyjętej w roku 1935 i ustawy Norrisa-LaGuardii z roku 1931. Ta ostatnia zabrania sądom wydawania nakazów w sprawach dotyczących zamiaru użycia siły przez związki zawodowe. Pierwsza natomiast nakłada na pracodawców obowiązek negocjacji „w dobrej wierze” ze związkiem zawodowym mającym w zakładzie największe poparcie oraz zabrania im dyskryminowania w jakikolwiek sposób przywódców związkowych. Dopiero po wejściu w życie ustawy Wagnera i poprzedzającej ją ustawy NIRA w 1933 roku związki zawodowe stały się znaczącą siłą w Ameryce. Wówczas to, z organizacji skupiających około pięciu procent zatrudnionych, stały się potęgą gromadzącą ponad dwadzieścia procent pracowników. Oprócz tego ustawodawstwo stanowe i lokalne chroni związki zawodowe przed pociągnięciem do odpowiedzialności i nakłada na pracodawcę ograniczenia w zakresie zatrudniania łamistrąjków. Policja

<sup>4</sup> Arthur A Ekirch, Jr, *The Civilian and the Military* (New York Oxford University Press, 1956), s. 28. Ostrą krytykę zwierzchnictwa władzy wykonawczej nad armią zawiera również praca teoretyka jeffersonisty, Johna Taylora of Caroline, *An Inquiry into the Principles and Policy of the Government of the United States* (1814, rep. New Haven Yale University Press, 1950), s. 1–5 nn. O wpływie siedemnastowiecznych angielskich teoretyków libertarianizmu (w szczególności ich sprzeciwu wobec stałej armii) na rewolucję amerykańską traktuje praca Bernarda Bailyna, *The Ideological Origins of the American Revolution* (Cambridge Harvard University Press, 1967), s. 61–64. Zobacz też: Don Higgenbotham, *The War of American Independence* (New York Macmillan, 1971), s. 14–16.

\* Ustawa Tafta-Hartleya z 1947 roku – właściwie Ustawa o Stosunkach Między Pracownikami i Pracodawcami (*Labor-Management Relations Act*) – ograniczała i modyfikowała ustawę Wagnera z 1935 roku (*National Labor Relations Act*) i znosiła część zapisów ustawy Norrisa-LaGuardii z roku 1932 (*Federal Anti-Injunction Act*). Ustawa Tafta-Hartleya wprowadzała szereg regulacji dotyczących protestów pracowniczych, włącznie z ograniczeniami prawa do bojkotu i z zastrzeżeniem, że działacze zaangażowanego w spór związku zawodowego muszą wykazać, iż nie są komunistami (*przypis tłumacza*).

kieruje się zaleceniem, by nie interweniować w sytuacji, gdy pikiety związkowe używają przemocy wobec osób łamiących strajk. Wystarczy odebrać związkom zawodowym te przywileje i immunitety, by wróciły do swojego marginalnego znaczenia w gospodarce amerykańskiej.

Znamienny dla nurtu etatystycznego jest fakt, że gdy na fali oburzenia działalnością związków powstawała w roku 1947 ustawa Tafta-Hartleya, to rząd nie uchylił żadnego z tych przywilejów. Zamiast tego na uprawnienia związkowe, które sam wcześniej ustanowił, nałożył nowe ograniczenia. Gdy rząd ma możliwość wyboru, to ulega naturalnej skłonności państwa do powiększania swojej władzy, a nie do jej redukowania. Mamy więc do czynienia z dziwaczną sytuacją, w której rząd najpierw buduje siłę związków zawodowych, by następnie rozpaczliwie domagać się ograniczenia ich wpływów. Przypomina to amerykańskie programy w dziedzinie gospodarki rolnej, które polegają na tym, że jeden wydział departamentu rolnictwa płaci farmerom za *ograniczenie* produkcji, a jednocześnie inny wydział tego samego urzędu wynagradza ich za zwiększenie produkcji. Z punktu widzenia konsumenta i podatnika jest to oczywiście działanie irracjonalne, ale z punktu widzenia dotowanych rolników i rozwoju biurokracji jest to działanie jak najbardziej sensowne. Również z pozoru niespójna polityka rządu wobec związków zawodowych służy znakomicie poszerzaniu kontroli rządu nad stosunkami pracy, a także sprzyja rozwojowi ruchu związkowego w pożądanym kierunku. Ruch związkowy, zdominowany przez myślenie zgodne z oczekiwaniami władzy, staje się dzięki temu młodszym współnikiem w zarządzaniu gospodarką.

### **System podatkowy**

W pewnym sensie cały system podatkowy jest formą systemu niewolniczego. W szczególności gdy weźmiemy pod uwagę podatek dochodowy, to widzimy, że jego wysokie stawki oznaczają konieczność pracy przez dużą część roku – kilka miesięcy – za darmo, dla Wujka Sama. Dopiero później możemy spożytkować nasze pieniądze na wolnym rynku. W swej istocie niewolnictwo polega między innymi na pracy przymusowej za darmo lub za minimalne wynagrodzenie. Podatek dochodowy oznacza właśnie, że pracujemy w pocie czoła, by uzyskać dochód, którego dużą część rząd zabierze nam pod przymusem na własne potrzeby. Czymże to jest, jeśli nie przymusową pracą bez wynagrodzenia?

To, że podatek dochodowy potrącany jest *u źródła*<sup>\*</sup>, jest jeszcze bardziej jaskrawym przykładem stosowania przymusu pracy. Jak zauważyła przed laty odważna przemysłowiczka z Connecticut, Vivien Kellems, pracodawca zmuszony jest poświęcać czas, energię i pieniądze na obliczanie i przysyłanie podatków swoich pracowników do władz federalnych i stanowych, nie otrzymując za to żadnej rekompensaty. Jakie prawo moralne ma rząd, by zmuszać pracodawców do występowania w roli nieopłacanych poborców podatkowych?

Zasada pobierania podatku u źródła jest oczywiście tylko drobnym aspektem całego systemu federalnych podatków dochodowych. Gdyby nie to, że podatki są potrącane z wypłat pracowników systematycznie w małych ratach i stosunkowo bezboleśnie, rząd nie mógłby sobie pozwolić na wywindowanie podatków do tak wysokiego poziomu. Niewielu już ludzi pamięta, że system potrącania podatku u źródła został wprowadzony tylko na czas drugiej wojny światowej i miał przestać obowiązywać po jej zakończeniu. Jednakże, podobnie jak w wielu innych przypadkach despotycznego zachowania państwa, wyjątkowe środki podjęte na czas wojny stały się uświęconą zasadą amerykańskiego systemu.

Znamienne jest, że rząd federalny, wezwany przez Vivien Kellems do zbadania zgodności z konstytucją systemu pobierania podatku u źródła, uchylił się od odpowiedzi. W lutym 1948 roku panna Kellems, właścicielka niewielkiego przedsiębiorstwa w Westport w stanie Connecticut, ogłosiła, że odrzuca przepisy systemu potrąceń podatkowych i odmówiła dalszego odprowadzania podatku od wynagrodzeń swoich pracowników. Domagała się, żeby rząd federalny postawił ją w stan oskarżenia i żeby sąd mógł rozpatrzyć, czy system pobierania podatku u źródła jest zgodny z konstytucją. Rząd odmówił, ściągając jednocześnie z jej konta bankowego należną sumę. Panna Kellems złożyła więc pozew do sądu federalnego, żądając od władz federalnych zwrotu pieniędzy. Ostatecznie sąd w lutym 1951 roku wydał orzeczenie nakazujące rządowi zwrot jej pieniędzy. Nigdy jednak nie rozpatrzył zagadnienia zgodności przepisów podatkowych z konstytucją<sup>5</sup>.

<sup>\*</sup> Zasada ta obowiązuje w wielu krajach – w Polsce pracodawca jest również zobowiązany do przekazywania na konto urzędu skarbowego zaliczek na podatek dochodowy każdego pracownika i do przysyłania każdorazowo odpowiednich dokumentów (*przypis tłumacza*).

<sup>5</sup> Na temat sprawy Kellems zobacz: Vivien Kellems, *Toil, Taxes and Trouble* (New York: E. P. Dutton, 1952).

Indywidualnemu podatnikowi, oprócz samej przykrości płacenia, nie oszczędzono również upokorzenia związanego z koniecznością wypełniania formularzy podatkowych. On także jest zmuszony do pracy za darmo przy niewdzięcznym zadaniu obliczenia wysokości podatku, jaki ma odprowadzić do kasy państwa. On także nie może wystawić rządowi rachunku za pracę, którą wykonał na jego rzecz. Ponadto przepis zmuszający wszystkich do wypełniania zeznań podatkowych jest oczywistym naruszeniem piątej poprawki do konstytucji, która zabrania rządowi zmuszania kogokolwiek do składania zeznań na swoją niekorzyść. Jednakże sądy, występujące zwykle tak gorliwie w obronie piątej poprawki w przypadkach mniej drażliwych, nie zrobiły nic w przypadku, który dotyczy całej rozdętej struktury władzy. Gdyby został zniesiony podatek dochodowy albo przepisy o potrąceniach podatkowych lub też samooskarżycielskie zeznania podatkowe, rząd musiałby zredukować swoją władzę do poziomu, który obowiązywał szczęśliwie do początków dwudziestego wieku.

Podatek obrotowy, akcyza i podatek od imprez rozrywkowych również zmuszają podatników do nieodpłatnego wykonywania pracy. W tym przypadku wykonują ją sprzedawcy detaliczni, którzy pobierają podatek od konsumentów i przekazują go rządowi.

Wysokie koszty ściągania i przesyłania podatków mają jeszcze jeden mankament – kto wie, czy nie akceptowany świadomie przez władze. Nie są one wielkim obciążeniem dla dużych firm, ale dla małych przedsiębiorstw stanowią nieproporcjonalnie duży i często niemożliwy do udźwignięcia ciężar. Duży pracodawca z przyjemnością więc poniesie te koszty, wiedząc, że dla mniejszego konkurenta są one poważnym problemem.

### **Sądy**

System prawny i sądowiczy jest przesiąknięty pojęciem pracy przymusowej. Tak bardzo szanowana procedura sądowa opiera się na *wymuszonych zeznaniach*. Ponieważ dla libertarianina jest aksjomatem, że wszelki przymus – w tym wypadku przymus pracy – oprócz wyroków w sprawach karnych, powinien być wyeliminowany z życia społecznego, to jest dla niego również oczywiste, że zniesione powinny być zeznania pod przymusem. W ostatnich latach sądy były wprawdzie wyczulone na piątą poprawkę mówiącą, że podejrzany nie może być zmuszany do składania zeznań obciążających jego samego. Ustawodawca systematycznie jednak osłabia znaczenie tej poprawki, wprowadzając przepisy dotyczące świadka koronnego i programu ochrony przestępców zeznających przeciwko swoim kolegom. Ale przymuszanie kogokolwiek do składania zeznań w jakimkolwiek celu oznacza akceptację dla pracy przymusowej i jest w dodatku pokrewne porwaniu, ponieważ przesłuchiwany jest zmuszony do stawienia się przed sądem i wykonania pracy polegającej na składaniu zeznań. Nie chodzi tu wyłącznie o konieczność zniesienia ostatnio wprowadzonych przepisów chroniących świadka. Chodzi o wyeliminowanie *wszystkich* zeznań pod przymusem, włącznie z wzywaniem świadka i zmuszaniem go do składania zeznań. W przypadku świadka nie ma mowy o podejrzeniu go o dokonanie przestępstwa, więc używanie wobec niego siły – przeciw czemu do tej pory nikt nie zaprotestował – jest jeszcze mniej uzasadnione niż w przypadku zmuszania do zeznań oskarżonego.

W zasadzie powinno się uchylić prawo sądu do wzywania świadków pod groźbą kary, ponieważ oznacza ono przymus stawiania się przed sądem. Nawet oskarżony przestępca czy złoczyńca nie powinien być zmuszany do uczestnictwa we własnym procesie, ponieważ nie został jeszcze skazany. Jeśli – zgodnie z doskonałą wolnościową zasadą anglosaskiej tradycji legislacyjnej – do momentu udowodnienia mu dokonania przestępstwa oskarżony jest niewinny, to sąd nie ma prawa go zmuszać do uczestniczenia w swoim procesie. Nie zapominajmy bowiem, że *jedynym* wyjątkiem od zakazu pracy przymusowej, wprowadzonego przez trzynastą poprawkę, jest „orzeczona zgodnie z przepisami kara za przestępstwo”. Podejrzenie przestępstwa nie jest jeszcze orzeczeniem winy. Sąd może więc co najwyżej powiadomić oskarżonego, że odbędzie się w jego sprawie proces i *zaprosić* go do udziału w rozprawie. Jeśli oskarżony nie zechce skorzystać z zaproszenia, proces będzie się toczył *in absentia*, a oskarżony straci możliwość korzystnego dla siebie naświetlenia sprawy.

Zarówno według trzynastej poprawki, jak i w świetle zasad libertarianizmu, wyjątek należy uczynić dla skazanego wyrokiem sądowym przestępcy. Libertarianin uważa, że przestępca traci swoje prawa w takim stopniu, w jakim naruszył prawa innej osoby, i może być uwięziony i zmuszony do pracy. Jednakże w wolnym świecie inny będzie *cel* uwięzienia i odbywania kary. Nie będzie w nim „prokuratora okręgowego”, który w imieniu nieistniejącego „społeczeństwa” wnosi oskarżenie i egzekwuje karę. Prokurator będzie zawsze reprezentował *indywidualną ofiarę*, a kara będzie miała na celu zadośćuczynienie za wyrządzone jej

szkody. Zasadniczym celem odbywania kary będzie więc zmuszenie przestępcy do naprawienia szkody, którą poniosła ofiara. Taki system był praktykowany w koloniach amerykańskich. Zamiast, na przykład, więzić człowieka, który obrabował farmera, kazano mu terminować u pokrzywdzonego, czyli pracować „niewolniczo” przez tyle czasu, ile było potrzebne do pokrycia należności za szkodę. W Średniowieczu zadośćuczynienie ofierze było również głównym celem kary. Dopiero wraz ze wzrostem znaczenia państwa, władcy – królowie i magnaci – zaczęli w coraz większym stopniu ingerować w zasadę kary jako zadośćuczynienia. Kara zamieniła się w konfiskatę mienia przestępcy na rzecz suwerena, z pominięciem interesów nieszczęsnej ofiary przestępstwa. Zadośćuczynienie ustępowało miejsca karaniu za abstrakcyjne zbrodnie „przeciwko państwu”, a wymiar kary nakładanej przez państwo stawał się coraz surowszy.

Jak pisze profesor Shafer, „w miarę jak państwo monopolizowało wymiar sprawiedliwości, prawa pokrzywdzonych schodziły w ustawodawstwie karnym na coraz dalszy plan”. Lub, używając słów kryminologa z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, Williama Tallacka, „Coraz bardziej zachłanni magnaci i dostojnicy kościoła lekceważyli w coraz większym stopniu prawa pokrzywdzonego, aż wreszcie w znacznej mierze zawłaszczyli je sobie, nakładając na przestępcę podwójną karę. Konfiskowali mianowicie majątek złoczyńcy na swoje dobro zamiast na rzecz ofiary oraz skazywali go na więzienie, tortury, spalenie na stosie lub szubienicę”<sup>6</sup>.

Libertarianin nie sprzeciwia się wprowadzeniu kary pozbawienia wolności jako takiej, odrzuca jednak wiele spośród powszechnie dziś stosowanych praktyk systemu wymiaru sprawiedliwości. Jedną z nich jest długotrwały areszt w oczekiwaniu na postępowanie sądowe. Konstytucyjne prawo do „szybkiego procesu” nie jest arbitralnym zapisem, lecz ma skrócić do minimum czas pozbawienia wolności *przed* wydaniem wyroku za popełnienie przestępstwa. Ścisłe mówiąc, poza przypadkami przyłapania na gorącym uczynku, gdy dowody winy są oczywiste, *żaden* rodzaj więzienia przed wydaniem wyroku, a tym bardziej przed procesem, nie jest usprawiedliwiony. A nawet w przypadku przyłapania na gorącym uczynku trzeba wprowadzić do systemu zmiany, które zapewnią takie samo traktowanie policji i innych przedstawicieli władzy jak wszystkich pozostałych osób. Jak wykazemy poniżej, jeśli wszyscy mają podlegać temu samemu prawu karnemu, to wyłączenie spod jego działania przedstawicieli władzy daje im prawo do nagminnego stosowania przemocy. Policjant, który zatrzymuje i aresztuje przestępcę, i sędzia lub prokurator przetrzymujący obwinionego w więzieniu przed rozprawą i przed wydaniem wyroku – wszyscy oni muszą podlegać temu samemu prawu. Jeśli popełnili pomyłkę i oskarżony okaże się niewinny, to powinni ponosić taką samą odpowiedzialność jak każdy, kto porywa i więzi niewinną osobę. Nie usprawiedliwia ich wówczas immunitet, tak jak nic nie usprawiedliwia potwornych czynów, jakich się dopuścił porucznik Galley w My Lai podczas wojny w Wietnamie<sup>7</sup>.

Zwolnienie z aresztu za kaucją jest jakąś próbą rozwiązania problemu pozbawienia wolności przed procesem. Ma ono jednak tę wadę, że dyskryminuje biednych. Ta dyskryminacja utrzymuje się, pomimo że powstały instytucje pomagające w zebraniu odpowiedniej kaucji. Argument mówiący, że sądy są przeciążone i nie mogą zapewnić szybkich procesów, nie jest oczywiście żadnym usprawiedliwieniem tego systemu. Przeciwnie, immanentna niewydolność państwowego sądownictwa stanowi doskonały argument za jego zniesieniem.

Wyznaczenie kaucji zależy całkowicie od decyzji sędziego, który ma olbrzymią i prawie niekontrolowaną władzę w zakresie przetrzymywania ludzi w areszcie, zanim jeszcze w ich sprawie zostanie wydany wyrok. Jest to szczególnie groźne, gdy w grę wchodzi *obraza sądu*. Okazuje się bowiem, że sędzia ma niemal nieograniczoną władzę wtrącania ludzi do więzienia. Działając jako prokurator, sędzia i ława przysięgłych w jednej osobie, formułuje oskarżenie, „stwierdza winę” i ogłasza wyrok na oskarżonego, z pogwałceniem wszelkich reguł dotyczących przedstawiania dowodów, prowadzenia procesu i z naruszeniem podstawowej zasady prawa, mówiącej, że nie można być sędzią we własnej sprawie.

Reformy wymaga jeszcze jeden kamień węgielny systemu sądowniczego, który do tej pory umknął uwadze nawet libertarian. Jest nim *obowiązek zasiadania w ławie przysięgłych*. Jakościowo nie różni się on znacznie

<sup>6</sup> Stephen Schafer, *Restitution to Victims of Crime* (Chicago: Quadrangle Books, 1960), s. 7–8; William Tallack, *Reparation to the Injured and the Rights of the Victims of Crime to Compensation* (London, 1900), s. 11–12.

<sup>7</sup> Zabawna krytyka immunitetów przysługujących policji i władzom wymiaru sprawiedliwości znajduje się w: H. L. Mencken, "The Nature of Liberty", *Prejudices A Selection* (New York Vintage Books, 1958), s. 138–143.

od poboru wojskowego, choć oczywiście w każdym z tych przypadków inna jest skala zjawiska. W obydwu wypadkach mamy do czynienia z niewolnictwem, z wykonywaniem przez jednostkę pracy na rzecz państwa i na polecenie państwa. W obydwu wynagrodzenie jest na poziomie niewolniczym. Tak jak brak chętnych do służby wojskowej wynika z oferowania wynagrodzeń poniżej poziomu rynkowego, tak niewspółmiernie niskie płace dla członków ławy przysięgłych nie mogą zapewnić zainteresowania tą pracą, nawet gdyby zdecydowano się na „wolny nabór” przysięgłych. Ponadto przysięgli są nie tylko zmuszani do uczestniczenia w rozprawach i posiedzeniach ławy, ale niekiedy są zamykani na wiele tygodni i trzymani bez dostępu do aktualnych informacji z zewnątrz. Jak inaczej to nazwać niż przymusową pracą niewinnych ludzi?

Tu podniosą się głosy, że funkcja przysięgłego ma bardzo ważne znaczenie społeczne. Zapewnia bezstronny wyrok, którego nie gwarantuje sędzia. Sędzia jest bowiem częścią systemu państwowego, a więc ma skłonność do brania strony prokuratora. To wszystko prawda, ale właśnie dlatego, że ta funkcja jest taka ważna, powinna być pełniona przez ludzi, którzy podejmowaliby się jej z chęcią, dobrowolnie. Nie zapominajmy, że dobrowolnie wykonywana praca daje więcej satysfakcji i jest wydajniejsza niż praca niewolnicza. Zniesienie niewolnictwa przysięgłych powinno być jednym z założeń każdego programu libertariańskiego. Ani sędziowie, ani obrońcy nie podlegają poborowi. Nie powinni mu również podlegać sędziowie przysięgli.

Nie jest chyba przypadkiem, że w całych Stanach Zjednoczonych z obowiązku zasiadania w ławach przysięgłych wyłączeni są prawnicy. Ponieważ przepisy są ustalane niemal wyłącznie przez prawników, czyżbyśmy tu mieli do czynienia z przywilejem klasowym?

### ***Przymusowe leczenie psychiatryczne***

Jednym z najbardziej haniebnych rodzajów zniewolenia praktykowanych w naszym społeczeństwie jest szeroko rozpowszechniona przymusowa hospitalizacja pacjentów chorych psychicznie. W przeszłości mówiono otwarcie o tym, że jest to sposób na wyeliminowanie chorych psychicznie ze społeczeństwa. Dwudziestowieczny liberalizm narzucił normy z pozoru bardziej humanitarne, ale w istocie jeszcze bardziej podstępne. Teraz zamyka się tych nieszczęśników „dla ich własnego dobra”. Ta humanitarna retoryka umożliwia znacznie szersze stosowanie zasady, a przede wszystkim ułatwia krewnym pozbycie się problemu opieki nad chorym, uwalniając ich od poczucia winy.

W ostatnich latach libertariański psychiatra i psychoanalityk dr Thomas S. Szasz prowadził jednoosobową krucjatę przeciwko przymusowemu leczeniu psychiatrycznemu. Z początku wydawało się, że jest ona skazana na niepowodzenie, ale teraz zaczyna znajdować coraz więcej zrozumienia w środowisku psychiatrów. W licznych książkach i artykułach dr Szasz przedstawia obszerną i wyczerpującą argumentację przeciwko przymusowej hospitalizacji. Przekonuje, na przykład, że taki rodzaj leczenia w sposób zasadniczy narusza etykę lekarską. Zamiast spieszyć z pomocą pacjentowi, lekarz działa przeciwko niemu, tyranizuje go, służąc w ten sposób pomocą innym osobom – rodzinie pacjenta lub państwu. Przymusowa hospitalizacja, a tym bardziej przymusowa „terapia”, przyczyniają się raczej do pogłębienia i utrwalenia „choroby psychicznej” niż do jej wyleczenia. O wiele częściej, pisze Szasz, przymusowe leczenie jest sposobem na pozbycie się niewygodnego członka rodziny niż próbą niesienia pacjentowi prawdziwej pomocy.

Głównym argumentem na rzecz przymusowego leczenia jest twierdzenie, że pacjent może być „niebezpieczny dla siebie lub dla swojego otoczenia”. Na tej jednak zasadzie policja powinna wkraczać do akcji *nie* w momencie, gdy ktoś dopuszcza się aktu przemocy, lecz wtedy, gdy poweźmie przypuszczenie, że ktoś *może* się takiego aktu dopuścić w przyszłości. To zaś otwierałoby nieograniczone możliwości przed tyranią. Każdego można by uznać za potencjalnego sprawcę przestępstwa i zamknąć go na tej podstawie w więzieniu – nie za przestępstwo, lecz dlatego, że ktoś *doszedł do wniosku*, iż ktoś inny *być może* popełni przestępstwo. Ten sposób myślenia usprawiedliwia nie tylko pozbawienie wolności, ale *trwale* pozbawienie wolności *każdego* podejrzanego. Tymczasem podstawowa zasada libertarianizmu głosi, że każda jednostka ma wolną wolę i prawo wyboru i że nikt nie jest skazany na popełnienie przestępstwa, nawet jeśli statystyki i inne dane wskazują, że trzeba się liczyć z takim prawdopodobieństwem. Zgodnie z tą zasadą stosowanie przymusu wobec kogokolwiek, kto nie dopuścił się jawnego i faktycznego przestępstwa, tylko jest potencjalnym przestępcą, jest nieetyczne i samo stanowi akt przemocy i naruszenia prawa.



Ostatnio zapytano dr. Szasza: „Czy nie uważa pan jednak, że społeczeństwo ma prawo i obowiązek zająć się jednostkami uznanymi za ‘niebezpieczne dla siebie samych i innych’?”. Szasz udzielił przekonującej odpowiedzi:

Myślę, że pomysł „pomagania” innym przez więzienie ich i znęcanie się nad nimi należy do poglądów religijnych, tak jak kiedyś idea „ratowania” czarownic torturami i paleniem na stosie. Jeśli chodzi o „zagrożenie dla siebie samego”, to sądzę, podobnie jak John Stuart Mill, że dusza i ciało człowieka należą do niego samego, a nie do państwa. Każdy człowiek ma „prawo” zrobić ze swoim ciałem, co mu się podoba, dopóki nie zagraża to w żaden sposób innym ludziom ani nie narusza praw innych osób.

Jeśli chodzi o „zagrożenie dla otoczenia”, większość psychiatrów pracujących z hospitalizowanymi pacjentami przyznałaby, że jest ono czystym wymysłem. (...) Badania statystyczne dowodzą nawet, że chorzy psychicznie znacznie rzadziej łamią prawo niż normalna część społeczeństwa.

A prawnik – specjalista w sprawach wolności obywatelskich – Bruce Ennis dodaje:

Wiemy, że 85% byłych więźniów zostanie recydywistami i że największe prawdopodobieństwo popełnienia przestępstwa występuje wśród mieszkańców miejskich gett oraz młodocianych mężczyzn. Z najnowszych badań wiemy również, że chorzy psychicznie są statystycznie *mniej* groźni niż przeciętny obywatel. Jeśli więc naprawdę chodzi nam o zapewnienie bezpieczeństwa, dlaczego nie pozamykamy najpierw byłych więźniów, mieszkańców gett i młodocianych mężczyzn? (...) Pytanie Szasza brzmi: „Jakim prawem społeczeństwo zamyka osobę, która nie złamała prawa<sup>8</sup>”?

Leczonych przymusowo można podzielić na dwie grupy: tych, którzy nie popełnili przestępstwa, i tych, którzy je popełnili. Libertarianin opowie się za bezwarunkowym zwolnieniem tych pierwszych. Ale co zrobić z drugą grupą, z przestępcami, którzy z powodu niepoczytalności lub pod jakimś innym pretekstem uniknęli „brutalności” kary więzienia i zamiast niej otrzymują od państwa opiekę medyczną? W tym przypadku dr Szasz, jako pierwszy, przeprowadza druzgocącą krytykę dyktatu liberalnego „humanitaryzmu”. Po pierwsze, twierdzenie, że zamknięcie w państwowym szpitalu psychiatrycznym jest „bardziej humanitarne” niż więzienie, wydaje się śmieszne. Przeciwnie, osoba zakwalifikowana jako „chora psychicznie”, nie mając takich możliwości obrony swoich praw, jaka przysługuje więźniowi, będzie prawdopodobnie jeszcze bardziej bezbronna wobec despotyzmu władz. Upośledzony umysłowo jest zaszufładowany jako „nie-osoba”, kogoś, kogo nie trzeba traktować poważnie. Jak to żartobliwie ujął dr Szasz, „Przebywanie w państwowym szpitalu psychiatrycznym z każdego robi wariata!”.

Idąc dalej, musimy zakwestionować prawo do wyłączenia *kogokolwiek* spod działania prawa obiektywnego. Wyłączenie takie nie jest pomocą, lecz może mieć skutki negatywne dla potraktowanych w ten szczególnie sposób jednostek. Wyobraźmy sobie, że dwie osoby *A* i *B* dopuściły się takiej samej kradzieży i że normalną karą przewidzianą za ich przestępstwo jest pięć lat więzienia. Osoba *B* „unika” kary, ponieważ zostaje uznana za chorą psychicznie i przewieziona do państwowego szpitala. Liberał ma przede wszystkim na uwadze, że *B* może zostać za dwa lata zwolniony przez państwowego psychiatrę po uznaniu go za „wyleczonego” i „przywróconego do normalności”. Ale co się stanie, jeśli psychiatra nigdy nie uzna pacjenta za wyleczonego albo uzna go za zdrowego dopiero po upływie bardzo długiego czasu? Wówczas *B* z powodu zwykłej kradzieży może resztę życia spędzić zamknięty w szpitalu. W ten oto sposób „liberalna” koncepcja *wyroku o nieokreślonej długości*<sup>\*</sup> – skazania kogoś nie za obiektywne przestępstwo, lecz za to, jak państwo ocenia stan wewnętrzny przestępcy, jego chęć współpracy – usprawiedliwia tyranie i dehumanizację w najgorszej postaci. W dodatku jest to tyrania, która zachęca więźnia do udawania wobec państwowego psychiatry – którego słusznie uważa za swojego wroga – że jest już „wyleczony” i może wyjść z zamknięcia. Nazywanie tego proceduru „terapią” czy „rehabilitacją” jest okrutną kpiną z tych terminów. Traktowanie każdego więźnia zgodnie z przepisami obiektywnego prawa jest daleko bardziej usprawiedliwione i humanitarne.

<sup>8</sup> Cytat za: Maggie Scarf, "Dr. Thomas Szasz . . ." *New York Times Magazine* (October 3, 1971), s. 42, 45. Zobacz też m.in.: Thomas S. Szasz, *Law, Liberty, and Psychiatry* (New York: Macmillan, 1963).

<sup>\*</sup> *Indeterminate sentence* - wyrok bez dokładnego podania długości kary; długość kary zależy od sprawowania się więźnia (*przypis tłumacza*).

## Rozdział 6: Wolność osobista

### *Wolność słowa*

Wielu zagadnień związanych z wolnością osobistą nie da się oczywiście zaliczyć do problematyki „pracy przymusowej”. Do wolności słowa i prasy od dawna przywiązują dużą wagę tzw. „libertarianie obywatelscy”. „Obywatelscy” to znaczy tacy, którzy wolność gospodarczą i prawo prywatnej własności pozostawiają poza obszarem swoich zainteresowań. Ale, jak już zauważyliśmy, prawdziwa „wolność słowa” jest niemożliwa, jeśli nie zaliczy się jej do kategorii ogólnych praw własności przysługujących jednostce (ze *szczególnym* uwzględnieniem prawa do samoposiadania). Ktoś wywołujący fałszywy alarm przeciwpożarowy w kinie pełnym ludzi nie ma prawa tego robić, gdyż narusza w ten sposób umowne prawa własności przysługujące właścicielowi kina i widzom.

Pominąwszy jednak zastrzeżenie dotyczące naruszenia praw własności, niewątpliwie wszyscy libertarianie zgodzą się, że wolności słowa należy zdecydowanie bronić. Wolność mowy, druku i rozpowszechniania publikacji jest niezbywalnym prawem bez względu na to, jakiej dziedziny dotyczy wypowiedź. Libertarianie obywatelscy mają duże osiągnięcia na polu walki o te swobody. Szczególne zasługi w obronie wolności słowa położył sędzia Hugo Black, który na gruncie pierwszej poprawki do konstytucji przeciwstawiał się wprowadzeniu ograniczeń tej wolności przez rząd.

Są jednak dziedziny, w których nawet najbardziej żarliwi libertarianie obywatelscy wykazali się niekonsekwencją. Weźmy na przykład przypadek „podżegania do rozruchów”. Prowadzący wiec uznawany jest za winnego podburzania tłumu, gdy ten tłum rozpęta zamieszki i dopuści się różnych przestępstw przeciwko nietykalności osobistej i prawom własności. W naszym przekonaniu „podżeganie” można uznać za przestępstwo tylko wtedy, gdy odmówi się ludziom posiadania wolnej woli i prawa wolnego wyboru oraz przyjmie się założenie, że jeśli osoba *A* mówi osobom *B* i *C*: „Ty i ty, bierzcie się za organizowanie rozruchów”, to osoby *B* i *C* są w jakiś sposób zmuszone dopuścić się aktów bezprawia. Jednakże libertarianin, który wierzy w wolność woli, będzie utrzymywał, że „podżegacz” korzystał tylko ze swojego prawa do głoszenia poglądów, nawet jeśli jego sugestie były niemoralne i miały opłakane skutki. Nie powinien więc podlegać żadnej karze. Oczywiście, jeśli *A* weźmie również udział w zamieszkach i złamie prawo, to powinien być ukarany tak samo jak inni. Co więcej, jeśli *A* jest szefem organizacji przestępczej i mówi swoim kompanom: „Ty i on macie obrabować ten a ten bank”, to wówczas – zgodnie z przepisami o udziale pomocniczym w przestępstwie – będzie traktowany jako uczestnik, a nawet przywódca samego napadu.

Jeśli popieranie jakiejś idei nie może być uznane za przestępstwo, to również nie może nim być „zmowa na rzecz popierania idei”. Choć przepisów dotyczących zмовы niestety przybywa, to „zmowa” (czyli umowa) w sprawie dokonania jakiegoś czynu nie może być bardziej nielegalna niż sam ten czyn. (Właściwie „zmowy” nie można zdefiniować inaczej niż jako umowy dwóch lub więcej osób dotyczącej zrobienia czegoś, co nie podoba się prawodawcy<sup>1</sup>.)

Kolejną kontrowersyjną dziedziną jest prawo dotyczące zniesławienia i pomówienia. Powszechnie uważa się, że uprawnione jest ograniczenie wolności słowa w przypadku, gdy wypowiedź oparta na kłamstwie może zniszczyć czyjeś dobre imię. Przepisy dotyczące zniesławienia i pomówienia ustanawiają, innymi słowy, „prawo własności” swojego dobrego imienia. Jednakże „dobre imię” danej osoby nie może do niej należeć, ponieważ jest tylko i wyłącznie funkcją subiektywnych odczuć i poglądów innych osób. Skoro zaś nikt nie może „posiadać” umysłu i poglądów innych ludzi, to nikomu nie przysługuje prawo do posiadania „dobrego imienia”. Dobre imię danej osoby podlega cały czas zmianom w rytmie zmian poglądów i opinii reszty ludzi. Dlatego też wypowiadanie się przeciwko komuś nie może być uznane za naruszenie czyjegoś prawa własności, a zatem nie może podlegać ograniczeniom ani karze.

Podnoszenie przeciwko komuś fałszywych zarzutów jest oczywiście moralnie naganne, ale, jak już zostało powiedziane, *moralność* i *zgodność z prawem* są dwiema zupełnie różnymi kategoriami.

Ponadto, z pragmatycznego punktu widzenia, zniesienie przepisów dotyczących zniesławienia i pomówienia przyczyniłoby się do tego, że nie wnoszono by tak chętnie pozwów w sprawach słabo udokumentowanych. Teraz łatwo daje się wiarę oskarżeniom, ponieważ istnieje przekonanie, że jeśli oskarżenie byłoby fałszywe,

<sup>1</sup> Krytykę kryterium „oczywistego i faktycznego zagrożenia”, jako niewystarczającego do jednoznacznego odróżnienia udzielania poparcia jakiemuś działaniu od samego działania, przeprowadza Aleksander Meiklejohn w *Political Freedom* (New York: Harper & Bros., 1960), s. 29–50; oraz O. John Rogge w: *The First and the Fifth* (New York: Thomas Nelson and Sons, 1960), s. 88 nn.

to strona przeciwna wszczęłaby postępowanie o zniesławienie. W tym też znaczeniu dyskryminowane są osoby mniej zamożne, których nie stać na wytoczenie sprawy o zniesławienie. Co więcej, posługując się przepisami dotyczącymi zniesławienia, osoby zamożne mogą się sprzymierzać przeciwko swoim biedniejszym oponentom w celu uniemożliwienia im wygłaszania oskarżeń pod swoim adresem. Grożąc wytoczeniem sprawy o zniesławienie, zmuszają oponentów do milczenia, nawet jeśli ci mają w ręku dowody na prawdziwość swoich zarzutów. Paradoksalnie więc, w świetle dzisiejszych przepisów, osoba mniej zamożna może się łatwiej stać obiektem oskarżeń o zniesławienie i musi się bardziej pilnować z wygłaszaniem poglądów, niż gdyby przepisy o zniesławieniu i szkalowaniu nie istniały.

Na szczęście w ostatnich latach przepisy dotyczące zniesławienia uległy stopniowemu złagodzeniu. Można już ostro i zdecydowanie krytykować urzędników i osoby publiczne, nie narażając się na kosztowny proces ani karę.

Kolejnym rodzajem działalności, która nie powinna podlegać żadnym ograniczeniom, jest bojkot. Bojkot polega na tym, że jedna osoba lub grupa ludzi, korzystając z prawa do wolności wypowiedzi, nawołuje innych do powstrzymania się od kupowania jakiegoś produktu. Jeśli, na przykład, kilka osób zorganizuje z jakiegoś powodu kampanię przeciwko kupowaniu piwa XYZ, będzie ona polegała wyłącznie na przedstawieniu stanowiska i to na rzecz jak najbardziej legalnego działania, mianowicie na rzecz tego, by *nie* kupować tego piwa. Skuteczny bojkot może mieć nieprzyjemne skutki dla producentów piwa XYZ, ale mieści się całkowicie w granicach wolności słowa i prawa prywatnej własności. Producenci piwa muszą się liczyć z ryzykiem związanym z wolnością wyboru konsumentów, a konsumenci mają pełne prawo słuchać kogo chcą i poddawać się wpływom dowolnych osób. Tymczasem nasze prawo pracy stoi w sprzeczności z prawem związków zawodowych do organizowania bojkotu jakiejs firmy. W świetle prawa bankowego nielegalne jest również rozpowszechnianie pogłosek o niewypłacalności banku. Stanowi to ewidentny przykład przyznania przez rząd specjalnych przywilejów bankom. Polegają one na ograniczeniu wolności słowa, gdy przedmiotem wypowiedzi są banki.

Kwestią szczególnie drażliwą jest zagadnienie pikiet i demonstracji. Z prawa wolności słowa wynika oczywiście prawo do zgromadzeń – prawo do zbierania się i wyrażania opinii razem z innymi. Sytuacja się komplikuje, gdy ma się to odbywać na ulicach. Jest oczywiste, że pikietowanie staje się nielegalne, gdy polega – jak się często zdarza – na blokowaniu dostępu do prywatnego budynku czy przedsiębiorstwa lub na groźbie użycia siły wobec przekraczających blokadę. Jest też jasne, że strajki okupacyjne stanowią bezprawne naruszenie prywatnej własności. Ale nawet o „pokojoych demonstracjach” nie możemy powiedzieć, że są całkiem legalne, bo to, czy są legalne, zależy od rozstrzygnięcia ogólniejszego problemu, kto ma decydować o sposobie korzystania z ulic. Źródłem tego problemu jest fakt, że niemal wszystkie ulice należą do (lokalnych) władz. A władze, nie będąc prywatnym właścicielem, nie mają żadnych kryteriów wynajmowania ulic, więc każda ich decyzja w tej sprawie będzie arbitralna.

Przypuśćmy na przykład, że organizacja Przyjaciele Wisterii chce zorganizować na cześć Wisterii pochód, który przejdzie publiczną ulicą. Policja nie zgadza się na demonstrację, twierdząc, że spowoduje ona zablokowanie ulic i utrudnienia w komunikacji. Libertarianie obywatelscy od razu by zaprotestowali, utrzymując, że niesłusznie zostało naruszone prawo demonstrujących do „wolności wypowiedzi”. Ale policja też ma w ręku poważny argument: ulice mogą rzeczywiście zostać zablokowane, a rząd jest odpowiedzialny za utrzymanie płynności ruchu. Jaką więc podjąć decyzję? Niezależnie od tego, jak zdecyduje rząd, *któraś* grupa podatników będzie niezadowolona. Jeśli rząd zezwoli na demonstrację, to zmotoryzowani i piesi użytkownicy ulic zostaną pokrzywdzeni. Jeśli nie, to Przyjaciele Wisterii poczują się potraktowani niesprawiedliwie. W obu przypadkach sam fakt, że decyzję musi podjąć rząd, powoduje spór o to, jaka grupa podatników i obywateli ma skorzystać z zasobów należących do rządu.

Przyczyną niemożności rozwiązania tego problemu i powodem trudności z usunięciem jego prawdziwych przyczyn jest fakt, że ulice wszędzie należą do rządu i są przezeń kontrolowane. Chodzi o to, że *ten*, kto jest właścicielem jakichś zasobów, decyduje o tym, jak te zasoby mają być wykorzystywane. Właściciel drukarni decyduje o tym, co będzie w niej drukowane. Właściciel ulic decyduje, komu przyznać prawo do ich używania. Gdyby ulice miały prywatnego właściciela i Przyjaciele Wisterii poprosiliby o pozwolenie na przejście demonstracji jedną z nich, to wyłącznie do właściciela Piątej Alei należałaby decyzja, czy wynająć ją na potrzeby demonstracji, czy też utrzymać na niej normalny ruch. W świecie czysto wolnościowym, w którym wszystkie ulice miałyby swoich prywatnych właścicieli, to oni decydowałiby w dowolnej chwili o

tym, czy ulicę wynająć, komu ją wynająć i za jaką cenę. Wówczas stałoby się jasne, że nie chodzi tu wcale o „wolność słowa” czy „swobodę zgromadzeń”, tylko o zagadnienie z zakresu praw własności: o prawo pewnej grupy do złożenia propozycji wynajęcia ulicy oraz o prawo właściciela ulicy do przyjęcia lub odrzucenia tej propozycji.

### ***Wolność radia i telewizji***

W jednej istotnej sferze życia nie ma – i w obecnym systemie nie może być – mowy o realizowaniu wolności słowa i prasy w Ameryce. Chodzi o radio i telewizję. Wprowadzając w życie Ustawę Radiową z roku 1927, rząd federalny znacjonalizował fale radiowe. Tym samym rząd federalny nadał sobie tytuł własności do wszystkich kanałów radiowych i telewizyjnych. Następnie beczelnie, według własnego widzimisię, przyznał prywatnym stacjom licencje na korzystanie z tych kanałów. Z jednej strony stacje otrzymały licencje na używanie drogocennych fal radiowych za darmo, co na wolnym rynku byłoby niemożliwe. Otrzymały tym samym olbrzymią subwencję, z której chciałyby jak najdłużej korzystać. Z drugiej strony rząd federalny, przyznając licencje na korzystanie z fal radiowych, domaga się dla siebie prawa do drobiazgowej i stałej kontroli stacji. Nad każdą stacją wisi więc groźba nieprzedłużenia licencji lub nawet zawieszenia bieżącego zezwolenia. W rezultacie wolność słowa w radiu i telewizji staje się czystą kpiną. Każda stacja musi się stosować do poważnych ograniczeń i dostosowywać zawartość programów do wymagań Federalnej Komisji Łączności (FCC). Każda stacja zobowiązana jest do układania „wyważonych” programów, do przeznaczania określonej ilości czasu antenowego na podawanie informacji dotyczących działalności „usług publicznych”, udostępniania tej samej ilości czasu antenowego wszystkim kandydatom ubiegającym się o ten sam urząd publiczny, przestrzegania zasady równowagi w przedstawianiu poglądów politycznych, cenzurowania „kontrowersyjnych” tekstów nadawanych piosenek itd. Przez wiele lat żadna stacja nie miała prawa nadawania komentarza odredakcyjnego. Obecnie każda opinia musi być zrównoważona przez nadanie „odpowiedzialnie” sformułowanej opinii przeciwstawnej.

Ponieważ każda stacja i każdy nadawca musi się zawsze oglądać na FCC, swoboda wypowiedzi na antenie pozostaje czystą fikcją. Czy może zatem dziwić, że jeśli w telewizji w ogóle pojawia się jakiś kontrowersyjny temat, to zwykle jest on rozstrzygany na korzyść „establishmentu”?

Spółeczeństwo godzi się na tę sytuację tylko dlatego, że ma ona miejsce od samego początku działania radia komercyjnego na szeroką skalę. Ale jak by zareagowało na licencjonowanie, na przykład, całej prasy? Licencje przyznawałaby Federalna Komisja Prasy. Ona też miałaby prawo odebrać licencję w przypadku zamieszczenia „niestosownego” komentarza redakcyjnego albo niezadowolającego omówienia spraw publicznych. Czy nie stanowiłoby to niedopuszczalnego, sprzecznego z konstytucją złamania prawa wolności prasy? Albo wyobraźmy sobie, że wszyscy wydawcy książek mają być licencjonowani i nie przedłuża im się licencji, jeśli wydane przez nich książki nie podobają się Federalnej Komisji Książek. Chyba trudno to sobie wyobrazić. A jednak to, co wydaje nam się niedopuszczalne i totalitarne w przypadku prasy i wydawnictw, przyjmujemy za oczywiste w odniesieniu do mediów, które są obecnie najbardziej popularnym środkiem służącym do wyrażania opinii i przekazywania informacji: radia i telewizji. Tymczasem w obu przypadkach zasada powinna być dokładnie taka sama.

Po raz kolejny okazuje się, jak fatalne skutki wywołuje „demokratyczny socjalizm”, czyli pomysł, żeby rząd był właścicielem wszystkich zasobów i środków produkcji, a jednocześnie chronił i wspierał wolność słowa i prasy. Abstrakcyjna konstytucyjna gwarancja „wolności prasy” jest w społeczeństwie socjalistycznym pustosłowiem. Jeśli rząd jest właścicielem drukarni, papieru, maszyn drukarskich itd., to rząd – jako właściciel – *musi* decydować o przydziale tych środków i o tym, co za ich pomocą będzie drukowane. Będąc właścicielem ulic, rząd *musi* decydować o sposobie ich użytkowania, a będąc właścicielem drukarni i innych środków potrzebnych do realizowania wolności słowa, socjalistyczny rząd musi decydować o przydziale materiałów drukarskich, sal konferencyjnych, maszyn, samochodów ciężarowych itd. Rząd może publicznie oświadczać, że respektuje zasadę wolności prasy, a jednocześnie przydzielać farbę drukarską wyłącznie swoim zwolennikom. Wolność prasy znów okazuje się lipą, zwłaszcza że nie widać *powodu*, dla którego socjalistyczny rząd miałby oddawać te środki w ręce antysocjalistów. W tych warunkach problem prawdziwej wolności prasy jest nie do rozwiązania.

A jakie jest rozwiązanie w przypadku radia i telewizji? Proste. Radio i telewizję należy traktować dokładnie tak samo jak wydawców prasy i książek. Zarówno w świetle konstytucji, jak w świetle zasad libertarianizmu, rząd powinien całkowicie zaprzestać wpływania na środki masowego przekazu. Rząd powinien po prostu

sprywatyzować fale radiowe i oddać lub sprzedać poszczególne kanały prywatnym właścicielom. Kiedy prywatne stacje staną się prawdziwymi właścicielami swoich kanałów, uzyskają rzeczywistą wolność i niezależność. Będą mogły emitować dowolne programy, zgodnie ze swoimi upodobaniami lub z oczekiwaniami słuchaczy, i będą korzystać ze swobody głoszenia dowolnych opinii bez obawy odwetu ze strony władz. Będą też miały prawo sprzedać lub wynająć swoje zakresy fal, komu zechcą. Jednocześnie użytkownicy kanałów przestaną być sztucznie dotowani.

Ponadto, gdy kanały telewizyjne zostaną sprywatyzowane i staną się niezależne, wielkie sieci nie będą już mogły wywierać nacisków na FCC w celu wyeliminowania konkurencji ze strony płatnych nadawców telewizyjnych. Płatne stacje telewizyjne nie mogą stanąć na własnych nogach tylko dlatego, że FCC nie pozwala im swobodnie działać. „Darmowa TV” nie jest, oczywiście, naprawdę darmowa. Programy są finansowane przez ogłoszeniodawców, a ostatecznie płacą za nie konsumenci, pokrywając koszty reklamy wliczone w ceny produktów, które kupują. Można się zapytać, czy między pośrednim pokrywaniem kosztów reklam a bezpośrednim finansowaniem kupowanych programów jest jakaś różnica. Różnica polega na tym, że w pierwszym przypadku nie są to konsumenci tych produktów. Wykupujący, na przykład, reklamę telewizyjną jest zainteresowany w (a) dotarciu do jak największej widowni i (b) dotarciu do *określonej* grupy widzów, których dana reklama może zainteresować. Zawartość programów będzie więc skierowana do najmniejszego wspólnego mianownika widowni, przede wszystkim do tych widzów, którzy mogą być zainteresowani danym przekazem. A do nich będą należeć osoby, które nie czytają gazet i czasopism i umieszczanych w nich reklam. W rezultacie programom darmowych telewizji brak polotu; są one mdłe i monotonne. W przypadku telewizji płatnej, dla każdego programu poszukuje się jego rynku. Rozwijają się różne wyspecjalizowane rynki specyficznych grup widzów – podobnie jak różne dochodowe rynki specjalistyczne rozwinęły się w dziedzinie wydawniczej. Jakość programów oferowanych przez płatnych nadawców jest lepsza, ich oferta znacznie bogatsza. Wielkie sieci telewizyjne muszą sobie zdawać sprawę z potencjalnego niebezpieczeństwa konkurencji telewizji płatnych, skoro od lat wywierają naciski w celu ich wyeliminowania. Jednakże na prawdziwie wolnym rynku oba te rodzaje telewizji, a także telewizja kablowa i inne, nieznane jeszcze rodzaje telewizji, mogłyby oczywiście konkurować.

Często używanym argumentem przeciwko prywatnej własności telewizji jest to, że kanały telewizyjne są dobrem „rzadkim” i dlatego powinny być w dyspozycji rządu. Dla ekonomisty, który wie, że *wszystkie* zasoby są rare, taki argument jest śmieszny. Wszystko, co ma jakąś cenę na rynku, cenę tę zawdzięcza właśnie *temu*, że jest dobrem rzadkim. Za chleb, buty, ubrania płacimy jakąś cenę, *ponieważ* są dobrami rzadkimi. Gdyby nie były rare, tylko występowały w dowolnych ilościach, jak powietrze, byłyby za darmo i nikt by sobie nie zawracał głowy ich produkcją i przydziałem. W przypadku prasy rare artykułami są farba drukarska, papier, maszyny, ciężarówki itd. Im są radsze, tym wyższą osiągną cenę i odwrotnie. Ponadto, patrząc na zagadnienie znów pragmatycznie, kanałów telewizyjnych jest znacznie więcej niż tych, które są obecnie w użyciu. Podjęta dawno temu przez FCC decyzja narzucająca stacjom nadawanie w zakresie VHF zamiast UHF spowodowała, że kanałów jest znacznie mniej, niż mogłoby być.

Innym argumentem przeciwko prywatnej własności mediów radiowo-telewizyjnych jest obawa, że prywatne stacje zakłócałyby nawzajem swoje programy, co w praktyce powodowałoby, że nie można by ich odbierać. Ten argument za nacjonalizacją fal radiowych jest tak absurdalny, jak absurdalne byłoby domaganie się nacjonalizacji wszystkich samochodów albo całej ziemi ze względu na to, że ludzie mogliby wjeżdżać swoimi samochodami na tereny prywatne. W obu przypadkach do sądów należy określenie granic własności w sposób tak precyzyjny, żeby wszelkie ich naruszenie było oczywiste i podlegało karze. W przypadku własności ziemi procedury są wystarczająco precyzyjne. Chodzi o to, żeby tych samych precyzyjnych metod sądy użyły do określenia praw własności w innych sferach – w odniesieniu do fal radiowych, wody, złóż ropy naftowej. W przypadku fal radiowych polegałoby to na zdefiniowaniu pakietu technologicznego – tzn. określeniu położenia nadajnika, zasięgu nadawania, szerokości pasma nadawania – a następnie przyznaniu na własność tak określonego pakietu. Jeśli, na przykład, stacja radiowa *WXYZ* ma prawo do nadawania programu na częstotliwości 1500 kiloherców (z możliwością kilkuprocentowych odchyłeń), w promieniu 200 mil od Detroit, to inna stacja nadająca w tym samym miejscu na tych samych częstotliwościach podlegałaby karze za naruszenie praw własności. Jeśli sądy będą się wywiązywać z zadania określania tytułów własności i chronienia tej własności, to nie będzie powodu do obaw, że naruszenia praw własności będą w tej dziedzinie częstsze niż w jakiegokolwiek innej sferze.

Większość ludzi uważa, iż powodem nacjonalizacji fal radiowych było właśnie to, że przed ustawą radiową z roku 1927 stacje zakłócały wzajemnie swoje sygnały, co doprowadziło do chaosu i spowodowało, że konieczna była interwencja rządu, który wreszcie zrobił porządek i umożliwił rozwój radiofonii. To jest jednak legenda, a nie prawda. Naprawdę było *dokładnie na odwrót*. Kiedy ktoś nadawał na tych samych częstotliwościach, strona pokrzywdzona wносиła sprawę do sądu. Sąd przywracał porządek, z powodzeniem stosując do tej nowej sfery technologicznej – zdroworozsądkową teorię prawa własności – pod wieloma względami podobną do teorii libertariańskiej. Sądy zaczęły przyznawać tytuły własności fal radiowych ich *pionierskim* użytkownikom. Dopiero gdy rząd zorientował się, że może to oznaczać rozszerzenie prywatnej własności, pospieszył z nacjonalizacją fal radiowych pod pretekstem porządkowania chaosu.

Dla uzupełnienia tego opisu dodajmy, że na początku XX wieku radio było używane niemal wyłącznie do komunikacji na morzu – pomiędzy statkami lub między statkiem i lądem. Departament Żeglugi chciał wprowadzić regulacje, które zapewniłyby bezpieczeństwo żeglugi i pierwotna ustawa federalna z roku 1912 przewidywała tylko, że każda stacja radiowa będzie musiała uzyskać licencję od ministra handlu. Nie istniały w tej ustawie żadne przepisy określające zawartość emitowanych informacji ani mówiące o możliwości nieodnowienia licencji. Co prawda, gdy na początku lat dwudziestych rozpoczęto nadawanie publicznych audycji radiowych, minister handlu Herbert Hoover usiłował narzucić stacjom pewne ograniczenia. Jednakże orzeczenia sądu z lat 1923 i 1926 ukróciły te próby, odbierając rządowi prawo do wpływania na przydział licencji, do nieprzedłużania ich, a nawet do decydowania, na jakich długościach fal dana stacja ma nadawać<sup>2</sup>. Mniej więcej w tym samym czasie sądy były już w trakcie wypracowywania reguł dotyczących „pionierskiego” tytułu własności do fal radiowych. Jest to szczególnie widoczne w sprawie *Tribune Co.* przeciwko *Oak Leaves Broadcasting Station* (Circuit Court, Cook County, Illinois, 1926). Orzeczenie w tej sprawie mówiło, że operator istniejącej stacji, używając danego zakresu fal radiowych, nabył do nich prawo własności i tym samym nowo powstające stacje nie mają prawa zakłócać sygnału na jego częstotliwościach<sup>3</sup>. W ten sposób przywracano porządek za pomocą praw własności. Ale właśnie taki obrót rzeczy spowodował, że do akcji wkroczył rząd, by uprzedzić sądy w ich działaniach.

Orzeczenie w sprawie Zenitha w roku 1926 ukróciło kontrolę rządu nad nadawcami radiowymi i odebrało mu prawo do nieodnawiania licencji oraz nakazywało Ministerstwu Handlu wydawanie licencji każdej stacji, która będzie o nią zabiegać. Spowodowało to ogromne ożywienie na rynku radiofonicznym. W ciągu dziewięciu miesięcy po zapadnięciu tego wyroku powstało ponad dwieście nowych stacji. W tej sytuacji Kongres wprowadził w lipcu 1926 roku tymczasowe przepisy *uniemożliwiające* ustanawianie jakichkolwiek praw własności do częstotliwości radiowych oraz ograniczające ważność licencji do dziewięćdziesięciu dni. W lutym 1927 roku Kongres uchwalił ustawę powołującą do życia Federalną Komisję Łączności (FCC), która znacjonalizowała fale radiowe. Przysługiwały jej uprawnienia podobne do tych, które ma obecnie. Historyk prawa H. P. Warner wykazał, że celem oświeconych polityków *nie* było zapobieżenie chaosowi, tylko uniemożliwienie wprowadzenia prawa prywatnej własności fal radiowych, które rozwiązywałoby ten problem. Według Warnera „ustawodawcy i ludzie odpowiedzialni za zarządzanie telekomunikacją śmiertelnie obawiali się (...), że jakiegokolwiek skuteczne regulacje rządowe mogą zostać pokrzyżowane przez coraz szerzej stosowane prawo własności licencji i inne sposoby przyznawania zakresów fal. Obawiano się, że ustanowione zostaną umowy franszyzy wartości milionów dolarów, które będą obowiązywać bezterminowo”<sup>4</sup>. Ostatecznym rezultatem było ustanowienie równie wartościowych umów franszyzowych, tyle że przy użyciu praktyk monopolistycznych przez hojną Federalną Komisję Radiową (FRC), późniejszą FCC, a nie na drodze konkurencji pomiędzy pionierskimi nadawcami.

Spośród licznych przypadków bezpośredniego naruszenia wolności słowa, spowodowanego przez system licencji przyznawanych przez FRC i FCC, opiszemy dwa. Jeden miał miejsce w roku 1931, gdy FRC odmówiła odnowienia licencji panu Bakerowi, który miał stację radiową w stanie Iowa. W uzasadnieniu odmowy Komisja napisała:

<sup>2</sup> Orzeczenia w sprawach *Hoover* przeciwko *Intercity Radio Co.*, 286 Fed. 1003 (Appeals D.C., 1923); oraz *United States* przeciwko *Zenith Radio Corp.*, 12 F. 2d 614 (N.D. 111., 1926). Zobacz doskonały artykuł Ronalda H. Coase’a, „The Federal Communications Commission”, *Journal of Law and Economics* (październik 1959), s. 4–5.

<sup>3</sup> Coase, *Ibid.*, s. 31 n.

<sup>4</sup> Harry P. Warner, *Radio and Television Law* (1958), s. 540. Za: Coase, *op. cit.*, s. 32.

Niniejsza Komisja nie występuje w imieniu organizacji medycznych ani innych podmiotów, które nie podobają się panu Bakerowi. Informowanie opinii publicznej o ich domniemanych przewinieniach może być niekiedy uzasadnione, o ile ma odpowiednią formę. Jednakże przedstawiony raport pokazuje, że metody, jakimi się posługuje pan Baker, nie zasługują na miano szlachetnych. Dowodzi on, że w swoich programach pan Baker ustawicznie, w sposób nieodpowiedzialny daje upust swoim obsesjom, lansuje własne pomysły leczenia raka, informuje o swoich sympatiach i antypatiach, upodobaniach i awersjach. Narzucanie tych wszystkich tematów słuchaczom zdecydowanie nie świadczy o właściwym korzystaniu z licencji nadawczej przez pana Bakera. Wiele jego wypowiedzi ma charakter wulgarny, a nawet nieprzyzwoity. Z pewnością nie są one ani budujące, ani zabawne<sup>5</sup>.

Wyobraźmy sobie, jaki by się podniósł krzyk, gdyby na podobnej podstawie rząd federalny zamknął gazetę albo wydawnictwo.

Niedawno FCC wydała oświadczenie, w którym zagroziła, że nie odnowi licencji dla jednej z największych stacji radiowych na Hawajach, KTRG w Honolulu. KTRG przez około dwa lata nadawało codziennie kilka godzin programów wolnościowych. W końcu w roku 1970 FCC postanowiła rozpocząć długą procedurę przesłuchań zmierzających do nieprzedłużenia licencji. Właściciele stacji, obawiając się kosztów z tym związanych, zmuszeni byli przerwać nadawanie na dobre<sup>6</sup>.

### ***Pornografia***

Dyskusja między konserwatystami a liberałami na temat prawa zakazującego pornografii koncentruje się, z wolnościowego punktu widzenia, na zagadnieniach żałośnie odległych od właściwego tematu. Konserwatysta stoi na stanowisku, że pornografia jest poniżająca i niemoralna, a zatem powinna być zakazana. Liberałowie odpowiadają, że seks jest rzeczą dobrą i zdrową, więc pornografia może mieć tylko pozytywne oddziaływanie i że raczej należałoby zakazać przedstawiania scen przemocy w telewizji, filmach i komiksach. Żadna ze stron tego sporu nie dostrzega, że zagadnienie nie polega na tym, czy skutki pornografii są dobre, złe czy obojętne – choć ten problem może być sam w sobie interesujący – lecz na tym, czy powinna być zakazana czy też nie. Według libertarianina prawo – stosowanie siły w celu wymierzenia kary – w ogóle nie powinno tu mieć zastosowania, ponieważ nie można za jego pomocą zmuszać kogokolwiek do wyznawania jakiejś koncepcji moralności. Celem prawa nie jest czynienie ludzi dobrymi, szlachetnymi, moralnymi, czystymi czy sprawiedliwymi. Nawet jeśli egzekwowanie tak rozumianego prawa byłoby możliwe w praktyce – a wydaje się to wątpliwe – to w sprawach moralności każdy musi decydować sam. Celem prawa jest jedynie umożliwienie legalnego stosowania siły dla ochrony ludzi przed użyciem siły i naruszeniem ich nietykalności i własności. Jeśli jednak rząd odważy się zakazać pornografii, to *sam* złamie prawo, ponieważ naruszy przysługujące każdemu prawo własności zezwalające na produkowanie, sprzedawanie i posiadanie materiałów pornograficznych.

Nie ustanawiamy praw po to, żeby ludzie byli sprawiedliwi, nie ustanawiamy ich, żeby zmusić ludzi, by byli uprzejmi wobec sąsiadów i nie wrzeszczeli na kierowcę autobusu. Nie po to je wprowadzamy, by skłonić ludzi do uczciwego postępowania wobec swoich bliskich. Ani nie po to, by zmusić ich do przyjmowania określonej dawki witamin dziennie. Ani rząd, ani żaden urząd nie może wprowadzać przepisów wymierzonych przeciwko dobrowolnej produkcji i sprzedaży materiałów pornograficznych. Władze odpowiedzialne za stanowienie prawa nie mają nic do tego, czy pornografia jest dobra, zła czy też obojętna moralnie.

Podobnie jest w przypadku „pornografii przemocy”, która jest straszakiem liberałów. W zakres działań państwa nie może wchodzić rozstrzyganie, czy sceny okrucieństwa pokazywane w telewizji popychają kogoś do zbrodni, czy nie. Wprowadzenie zakazu produkcji filmów zawierających sceny okrucieństwa tylko z tego względu, że *mogłyby* one wywołać u kogoś chęć popełnienia przestępstwa, stanowi zaprzeczenie wolności woli człowieka. Jest też oczywiście pogwałceniem prawa do obejrzenia takiego filmu tych osób, które *nie*

<sup>5</sup> Decyzje FRC, Wykaz nr 967, 5 czerwca 1931. Za: Coase, *op. cit.*, s. 9.

<sup>6</sup> Najlepszym i najbardziej wyczerpującym opracowaniem dotyczącym możliwości zastosowania prawa prywatnej własności do radia i telewizji jest A. DeVany *et al.*, "A Property System for Market Allocation of the Electromagnetic Spectrum: A Legal-Economic-Engineering Study," *Stanford Law Review* (czerwiec 1969). Zobacz również: William H. Meckling, "National Communications Policy: Discussion", *American Economic Review, Papers and Proceedings* (maj 1970), s. 222–223. Od czasu ukazania się artykułu DeVany’ego, z powodu rozwoju telewizji lokalnej i kablowej zakresy częstotliwości są jeszcze łatwiej dostępne i pole dla potencjalnej konkurencji jeszcze szersze.

popelnia żadnej zbrodni.. Zakaz taki jest jeszcze mniej uzasadniony niż – o czym mówiliśmy wcześniej – wtrącenie do więzienia nastolatów z dzielnicy murzyńskiej tylko dlatego, że popełniają oni statystycznie więcej przestępstw niż przedstawiciele jakiegokolwiek innej grupy społecznej.

Jest również oczywiste, że zakaz pornografii stanowi naruszenie praw własności: prawa do produkowania, sprzedawania, kupowania i posiadania. Wydaje się, że konserwatyści, nawołując do wprowadzenia zakazu pornografii, nie widzą, iż kwestionują tym samym prawo własności, którego zwolennikami się mienią. Zakaz pornografii narusza też wolność prasy, która – jak widzieliśmy – stanowi szczególny przypadek ogólnego prawa własności prywatnej.

Czasami można odnieść wrażenie, że *beau ideal* wielu konserwatystów, a także liberałów, sprowadza się do tego, żeby wszystkich ludzi zamknąć w klatce i zmusić do postępowania zgodnego z zasadami, które sami uważają za moralne. Te klatki różniłyby się wyglądem, ale jednak byłyby klatkami. Konserwatysta zabroniłby niedozwolonych form seksu, narkotyków, hazardu i bezbożnictwa i zmusiłby wszystkich do postępowania zgodnego z jego wersją moralności i religijności. Liberał zakazałby filmów ze scenami przemocy, nieestetycznych reklam, futbolu i dyskryminacji rasowej, a w skrajnym przypadku zamknąłby wszystkich w „klatce Skinnera”<sup>\*</sup> i kazał słuchać jakiegoś oświeconego dyktatora liberalnego. Ale równie dobrze można by uznać wszystkich za podludzi i pozbawić ich najcenniejszego aspektu człowieczeństwa, jakim jest wolność wyboru.

Jak na ironię, zmuszając ludzi do tego, by byli „moralni”, czyli do moralnego *postępowania*, konserwatywni i liberalni miłośnicy klatek w rzeczywistości pozbawiają ludzi *możliwości* bycia moralnymi. Pojęcie „moralności” ma sens tylko wtedy, gdy moralne postępowanie jest dobrowolne. Wyobraźmy sobie, na przykład, że pewien pobożny muzułmanin chce skłonić jak największą liczbę ludzi do oddawania trzy razy dziennie pokłonów w stronę Mekki. Przypuszczalnie dla niego jest to akt nadzwyczaj moralny. Jeśli jednak użyje siły, by *zmusić* wszystkich do oddawania pokłonów w stronę Mekki, to odbierze człowiekowi jego wolność wyboru i – co za tym idzie – możliwość podjęcia moralnej decyzji.

Libertarianin, w przeciwieństwie do wielu konserwatystów i liberałów, nie chce nikogo zamykać w klatce. Chce tylko zapewnić wszystkim wolność; wolność postępowania moralnego lub niemoralnego, ale podyktowanego własną decyzją.

### ***Prawo dotyczące seksu***

W ostatnich latach liberałowie doszli szczęśliwie do wniosku, że „każdy akt pomiędzy dwiema (lub więcej) dorosłymi osobami, które się na niego zgadzają”, powinien być dozwolony. Szkoda, że liberałowie nie rozszerzyli tej zasady na handel i wymianę, bo wówczas staliby się niemal czystymi libertarianami. Wolnościowiec opowiada się bowiem za legalizacją wszelkich relacji pomiędzy dwiema „udzielającymi przyzwolenia dorosłymi osobami”. Liberałowie zaczęli się też domagać zniesienia pojęcia „przestępstwa bez ofiary”. Byłoby dobrze, gdyby jeszcze „ofiary” zdefiniowali precyzyjnie jako ofiarę przemocy.

Ponieważ seks jest aspektem życia w najwyższym stopniu prywatnym, to jest niedopuszczalne, żeby rządy zajmowały się ustalaniem norm i przepisów regulujących zachowania seksualne. Tymczasem jest to jedno z ulubionych zajęć państwa. Akty przemocy, takie jak gwałt, powinny być oczywiście zaliczone do przestępstw i traktowane tak jak każde inne użycie przemocy przeciwko innej osobie.

Wydaje się dziwne, że dobrowolne akty seksualne są często uznawane za nielegalne i ścigane przez państwo, podczas gdy gwałciciele są traktowani przez władze znacznie łagodniej niż sprawcy innych przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu. W wielu przypadkach ofiara gwałtu jest nawet traktowana przez stróżów prawa jak winowajca, co nigdy się nie zdarza w przypadku ofiar innych przestępstw. Najwyraźniej stosuje się tu niedopuszczalną podwójną miarę dotyczącą spraw seksu. Krajowy Zarząd Amerykańskiej Unii Wolności Obywatelskich wydał w 1977 roku oświadczenie:

Ofiary przestępstw na tle seksualnym powinny być traktowane tak jak ofiary innych przestępstw. Ofiary przestępstw na tle seksualnym spotykają się często z niedowierzaniem i poniżającym traktowaniem ze strony pracowników wymiaru sprawiedliwości i personelu medycznego. Takie traktowanie przejawia się w różny sposób, od formalnych wątpliwości i braku taktu do okrutnych i

<sup>\*</sup> Burrhus F. Skinner (1904–1990), psycholog amerykański, uważał, że zadaniem psychologii jest przewidywanie i kontrolowanie zachowań ludzi (*przypis tłumacza*).



raniących przesłuchań dotyczących życia osobistego ofiary i jej motywów działania. Takie uchybienie obowiązkom ze strony instytucji, których zadaniem ma być niesienie pomocy i zapewnienie ochrony ofiarom przestępstw, może się przyczynić wyłącznie do spotęgowania psychicznego urazu powstałego w wyniku samego przestępstwa.

Podwójna miara, jaką stosuje rząd, przestanie być praktykowana, gdy gwałt nie będzie traktowany jako osobna kategoria w prawie i w postępowaniu sądowym, lecz zostanie uznany za szczególny przypadek przestępstwa przeciwko zdrowiu i życiu. Bez względu na to, na jakie zasady powołuje się sędzia, pouczając ławę przysięgłych i jakie kryteria obowiązują przy dopuszczaniu dowodów, powinny one być takie same dla każdego przypadku.

Jeśli ma obowiązywać zasada wolności zatrudnienia i wolności osobistej, to powinno też obowiązywać prawo do uprawiania *prostytycji*. Prostytucja polega na dobrowolnej sprzedaży swojej pracy i rząd nie ma prawa zabraniać lub ograniczać takiej sprzedaży. Zauważmy, że wiele ponurych aspektów ulicznego handlu ciałem zostało spowodowanych zakazem prowadzenia domów publicznych. Jak długo burdele były zarządzane przez panie, których celem było pozyskanie stałych klientów, tak długo kwitła między nimi rywalizacja o zapewnienie najlepszej obsługi i wypracowanie sobie „marki”. Zakaz prowadzenia domów publicznych spowodował, że prostytucja przeniosła się na „czarny rynek”, gdzie usługi erotyczne oferowane są przez firmy-krzaki, co prowadzi do wielu niebezpieczeństw i powoduje ogólny spadek poziomu usług. Ostatnio policja nowojorska przeprowadza akcje przeciwko prostytucji, posługując się pretekstem, że nie jest już ona działalnością „bez ofiar”, ponieważ wiele prostytutek dopuszcza się przestępstw na swoich klientach. Jeśli mielibyśmy zakazać wszelkiej działalności, której wynikiem może być przestępstwo, to musielibyśmy wprowadzić prohibicję ze względu na częste bójkę w barach. Reakcja nie powinna polegać na wprowadzaniu zakazu dobrowolnej i zgodnej z prawem działalności, tylko na tym, żeby policja przyjęła do wiadomości, że prawdziwe przestępstwo nie zostało tu popełnione. Należy podkreślić, że opowiadając się za legalnością prostytucji, libertarianin w żadnej mierze nie opowiada się za samą prostytucją. Jeśli jakiś skrajnie purytański rząd zakazałby wszelkich kosmetyków, to libertarianin wzywałby do ich zalegalizowania bez względu na to, czy używanie kosmetyków uważałby za słusne czy nie. I odwrotnie, po ich zalegalizowaniu, kierując się względami etycznymi czy estetycznymi, mógłby rozpocząć kampanię przeciwko używaniu kosmetyków. Byłaby to jednak perswazja, nigdy przymus.

Jeśli w sferze seksu ma panować wolność, to powinna ona dotyczyć również *kontroli urodzeń*. Dla naszego społeczeństwa znamienne jest niestety, że kontroli urodzeń prawie nigdy nie uznaje się za legalną, gdy ludzie – w tym przypadku liberałowie – postulują, żeby była ona *przymusowa*. Oczywiście, jeśli moja sąsiadka urodzi dziecko, może to mieć na mnie wpływ – dobry lub zły. Ale w tym znaczeniu wszystko, co robi człowiek, może mieć skutki dla innych. Dla libertarianina nie stanowi to usprawiedliwienia dla użycia siły, które może być usprawiedliwione *jedynie* koniecznością powstrzymania lub ograniczenia czyjejś przemocy. Najbardziej osobistym prawem i najcenniejszą wolnością kobiety jest możliwość decydowania o tym, czy urodzić dziecko, czy nie. Skrajnym totalitaryzmem ze strony rządu jest odmawianie jej tego prawa. Ponadto, jeśli rodzice mają więcej dzieci, niż są w stanie utrzymać bez wyrzeczeń, to oni sami ponoszą konsekwencje urodzin kolejnego dziecka. Mają więc prawo wybrać zachowanie wypracowanego poziomu życia i zdecydować o nieposiadaniu kolejnego dziecka.

W ten sposób dochodzimy do bardziej złożonego zagadnienia, jakim jest *przerywanie ciąży*. Zanim libertarianin ostatecznie odrzuci „katolickie” argumenty przeciwko przerywaniu ciąży jako nieistotne, to musi je poważnie rozważyć. Istota tych argumentów – wcale nie „katolicka” w sensie teologicznym – leży w tym, że przerwanie ciąży powoduje zniszczenie życia człowieka, a zatem jest morderstwem i nie może pozostać bezkarne. Co więcej, jeśli przerwanie ciąży jest morderstwem, to katolik – lub ktoś inny o tych samych co on poglądach – nie może po prostu wzruszyć ramionami i powiedzieć, że „katolickie” poglądy nie powinny być narzucane niekatolikom. Morderstwo nie jest wyrazem preferencji religijnych. Żadna sekta nie może i nie powinna pod pretekstem „wolności religijnej” uniknąć odpowiedzialności za dokonane morderstwo, tłumacząc się, że takie są jej nakazy religijne. Podstawowym więc pytaniem jest: czy przerwanie ciąży należy uznać za morderstwo?

Większość dyskusji na ten temat grzęźnie w drobiazgowych sporach o to, *kiedy* powstaje życie ludzkie, kiedy i czy zarodek ma być uznany za żywy itd. W świetle pytania o *legalność* zabiegu przerywania ciąży (znów niekoniecznie tożsamą z jego *moralnością*) te dociekania nie mają znaczenia. Katolicki przeciwnik

przerywania ciąży domaga się, na przykład, żeby płodowi ludzkiemu przysługiwały takie same prawa jak każdemu człowiekowi, a więc również prawo do tego, by nie zostać zamordowanym. Ale są jeszcze inne okoliczności, które mają istotne znaczenie dla rozstrzygnięcia tego zagadnienia. Jeśli płód ludzki miałby korzystać z tych samych praw, co wszyscy ludzie, to postawmy następujące pytanie: Jakemu *człowiekowi* wolno przebywać bez pozwolenia, jako niechcianemu pasożytowi, w ciele innego człowieka? Tu leży sedno sprawy: w absolutnym prawie każdego człowieka, więc także kobiety, do dysponowania swoim ciałem. W momencie przerywania ciąży kobieta powoduje wydalenie ze swojego ciała niepożądanego bytu. Jeśli płód przy tym umiera, to nie podważa to argumentu, że nikt nie ma prawa żyć bez pozwolenia, jak pasożyt, wewnątrz lub na ciele innego człowieka\*.

Częsty kontrargument mówiący, że przecież kobieta pierwotnie chciała lub przynajmniej była odpowiedzialna za powstanie płodu w jej ciele, jest znowu nietrafny. Nawet jeśli matka pierwotnie chciała mieć dziecko, to będąc właścicielką swojego ciała, ma prawo zmienić zdanie i pozbyć się go.

Skoro rząd nie powinien karać dobrowolnej aktywności seksualnej, to nie może też dyskryminować ani faworyzować żadnej płci. Przepisy „akcji afirmacyjnej”<sup>\*</sup> są jawnym przykładem wprowadzenia dyskryminacji mężczyzn i innych grup pracowników lub w ogóle osób, których dotyczy system kwotowy. Tymczasem przepisy „chroniące” zatrudnienie kobiet tylko pozornie działają na ich korzyść, w rzeczywistości zaś podstępnie im szkodzą, zabraniając pracy w określonych godzinach i w określonych zawodach. Z mocy prawa zabrania się kobietom podejmowania samodzielnej decyzji, czy chcą pracować w pewnych zawodach i w rzekomo uciążliwych godzinach. W ten sposób rząd przeszkadza kobietom w konkutowaniu w tych dziedzinach z mężczyznami.

Program Partii Libertariańskiej z 1978 roku dosadnie i trafnie oddaje wolnościowe stanowisko wobec narzucanej przez rząd dyskryminacji na tle płci i innych rodzajów nierównego traktowania obywateli: „Żadne prawo jednostki nie może być złamane lub ograniczone ze względu na płeć, rasę, kolor, przekonania, wiek, pochodzenie lub orientację seksualną ani przez ustawodawstwo Stanów Zjednoczonych, ani przepisy stanowe i lokalne.”

### **Podśluchy**

Podśluchiwanie jest podłym rodzajem naruszenia prywatności i prawa własności i powinno być oczywiście zakazane jako działanie napastnicze. Nikt chyba nie uważa, że do zakładania podsłuchów powinny być uprawnione osoby prywatne. Wątpliwości powstają w momencie, gdy ktoś utrzymuje, że policja powinna mieć prawo do założenia podsłuchu osobom podejrzanym o przestępstwo. Jak bowiem inaczej schwytać przestępców?

Po pierwsze, z pragmatycznego punktu widzenia podsłuch jest na ogół nieprzydatny w przypadkach takich jednorazowych przestępstw jak włamanie do banku. Podsłuchy są najczęściej stosowane w przypadku „biznesu” opartego na działalności systematycznej i długotrwałej, na przykład w branży narkotyków i gier hazardowych. Po drugie, podtrzymujemy twierdzenie, że naruszenie własności osoby, która nie jest jeszcze skazana za przestępstwo, samo stanowi przestępstwo. Niewykluczone, że gdyby rząd zatrudnił dziesięciomilionową armię tajnych agentów do szpiegowania i zakładania podsłuchów wszystkim obywatelom, to ogólna liczba przestępstw zmalałaby. Podobnie jak zmniejszyłaby się przestępczość, gdyby aresztować wszystkich mieszkańców zakazanych dzielnic lub nastolatków płci męskiej. Czymże jednak byłby ten sukces w porównaniu z ogromem bezprawia, jakiego dopuściłby się w ten sposób rząd? Byłoby to ordynarne, zalegalizowane przestępstwo.

---

\* Wywód Rothbarda mający uzasadniać legalność zabijania płodu (tzw. przerywania ciąży) nie jest poprawny logicznie (opiera się na arbitralnym rozstrzygnięciu, że płód może być uznany za „pasożyta”). Trzeba jednak podkreślić, że Rothbard opowiadał się wyłącznie za legalnością aborcji, natomiast nigdy nie twierdził, że aborcja jest uzasadniona moralnie. Według Rothbarda poza matką płodu nie istnieje żadna instancja, która byłaby władna ingerować w relacje między rodzicami a dziećmi, więc również między matką a jej płodem. W szczególności nie jest do tego uprawniony państwowy sąd. Dlatego np. Rothbard, opowiadając się za legalnością aborcji, krytykował jednocześnie pro-aborcjonistyczne orzeczenie Sądu Najwyższego USA w sprawie Roe vs. Wade; SN nie miał w tej sprawie jurysdykcji, podobnie jak nie ma jej nikt poza samą ciężarną. Należy też dodać, że stanowisko Rothbarda nie jest typowe dla libertarian, a sam autor pod koniec życia coraz bardziej podkreślał znaczenie tradycyjnych norm moralnych i konieczność ich obrony przez libertarian, ale oczywiście bez posługiwania się w tym celu państwem. Por. H. H. Hoppe, *The Ethics of Liberty*, Murray N. Rothbard *Introduction by...*, New York University Press, 1998, s.XLI; wersja online: [www.mises.org/rothbard/ethics/hoppeintro.pdf](http://www.mises.org/rothbard/ethics/hoppeintro.pdf). (przypis tłumacza).

\* Akcja afirmacyjna (*affirmative action*)- programy, których celem jest zneutralizowanie skutków dyskryminacji różnych grup społecznych w przeszłości. Politykę afirmacyjną wprowadzono oficjalnie w USA ustawą o prawach obywatelskich w 1964 roku (przypis tłumacza).

Na rzecz argumentów policji można by zrobić jedno ustępstwo, choć zapewne policja nie byłaby nim usatysfakcjonowana. Uzasadnione jest naruszenie własności złodzieja, jeśli on ze swojej strony dokonał naruszenia czyjejś własności na dużo większą skalę. Przypuśćmy, że policja ustaliła, iż John Jones jest złodziejem biżuterii. Zakłada mu podsłuch i przedstawia nagrania jako dowód służący do skazania Jonesa. Możemy uznać, że założenie podsłuchu było w tym przypadku uzasadnione i nie powinno podlegać karze, ale *tylko wówczas*, gdy w przypadku udowodnienia przez Jonesa swojej *niewinności*, policjanci i sędziowie, którzy wydali polecenie założenia podsłuchu, *sami* będą uznani za *przestępców* i osadzeni w więzieniu za nieuprawnione posłużenie się podsłuchem. Wprowadzenie tej zmiany miałyby dwa pozytywne skutki: żaden policjant ani sędzia nie zdecydowałby się na zakładanie podsłuchu, jeśliby nie miał absolutnej pewności, że dana osoba rzeczywiście popełniła przestępstwo; policjanci i sędziowie ponosiliby wreszcie odpowiedzialność za złamanie prawa na równi z innymi. Oczywiście równouprawnienie wymaga, żeby przepisy odnosiły się do wszystkich. Dlatego naruszanie przez *kogośkolwiek* własności osoby niewinnej powinno być zakazane, bez względu na to, kto go się dopuścił. Policjant, który pomylił się i założył podsłuch niewinnej osobie, powinien być zatem uznany za tak samo winnego jak osoba prywatna, która założyłaby taki podsłuch.

### **Hazard**

Mało jest przepisów bardziej absurdalnych i niesprawiedliwych niż przepisy zakazujące hazardu. Po pierwsze, przepisy te, w ich szerokim rozumieniu, są niemożliwe do wyegzekwowania. Gdyby każdy zakład pomiędzy Jimem i Jackiem – o wynik meczu, wynik wyborów lub o cokolwiek innego – miał być nielegalny, to do wyegzekwowania prawa niezbędne byłyby potężne wielomilionowe zastępy gestapowców, które by nieustannie wszystkich inwigilowały i lokalizowały każdy zakład. Drugi potężny oddział superszpiegów musiałby pierwszemu deptać po piętach, żeby uzyskać pewność, że szpiedzy nie są przekupywani. Konserwatyści – w dyskusji o przepisach zakazujących niektórych zachowań seksualnych, pornografii, narkotyków itd. – lubią używać argumentu, że prawo zabraniające mordowania ludzi też nie jest stuprocentowo egzekwowane, a jednak nie przemawia to za zniesieniem *tego* przepisu. Ten argument lekceważy jednak ważny szczegół, mianowicie fakt, że znakomita większość ludzi, czyniąc instynktowne rozróżnienie w duchu wolnościowym, brzydzi się morderstwem, potępia je i nie ma z nim nic wspólnego; zakaz jest więc w dużym stopniu możliwy do wyegzekwowania. To zaś, że hazard jest przestępstwem, już nie wydaje się większości ludzi takie oczywiste i dlatego wiele osób go uprawia i – zgodnie z logiką – prawo staje się wobec tego zjawiska bezradne.

Ponieważ przepisy wymierzone przeciwko cichym zakładom są niemożliwe do wyegzekwowania, władze koncentrują się na wybranych *spektakularnych* formach hazardu. Ograniczają więc swoje działania do ruletki, zakładów bukmacherskich, gier „liczbowych”, czyli do dziedzin, w których hazard przybiera postać sformalizowaną. Mamy więc do czynienia z przedziwnym i niedającym się utrzymać rodzajem oceny etycznej: ruletka, wyścigi konne itd. są moralnie złe i muszą być ścigane przez zastępy policji. Tymczasem zakłady zawierane po cichu są moralnie uzasadnione i nie ma powodu, by w nie ingerować.

W stanie Nowy Jork rozwinął się z czasem szczególny rodzaj imbecylności: do niedawna wszystkie rodzaje zakładów w wyścigach konnych oprócz tych, które zawierano na samym torze, były nielegalne. Pytanie, dlaczego zawarcie zakładu na torze w Aqueduct czy Belmont miałyby być całkowicie zgodne z moralnością i prawem, a postawienie na te same konie u bukmachera za rogiem – grzeszne i obrażające najwyższy majestat prawa, przekracza możliwości pojmowania. Chyba że prawodawcy chodzi o zmuszenie biorących udział w zakładach do zwiększenia tłoku przed kasami wyścigów. Ostatnio powstał nowy pomysł. Miasto Nowy Jork samo zajęło się biznesem zakładów i stawianie na konie w punktach należących do miasta jest legalne, natomiast zakłady u prywatnych bukmacherów są nadal grzeszne i zakazane. W tym systemie chodzi oczywiście o nadanie specjalnych przywilejów torom wyścigowym, a następnie sieci punktów bukmacherskich należących do miasta. Poszczególne stany zaczynają finansować swoje wiecznie rosnące wydatki z dochodów z loterii. Dzięki temu ten rodzaj hazardu nabiera znamion działalności w pełni moralnej i godnej szacunku.

Na rzecz zakazu gier hazardowych podnosi się często argument, że jeśli biednemu robotnikowi pozwoli się na uprawianie hazardu, to przepuści on nieopatrnie swoją tygodniową płacę, pozostawiając rodzinę bez środków do życia. Pomijając fakt, że robotnik i tak może przepuścić wypłatę w zakładach z kolegami, należy zauważyć, że ten paternalistyczny i dyktatorski wniosek jest dziwaczny. Jest bowiem znacznie za daleko

posunięty. Jeśli musimy zabronić hazardu ze względu na to, że społeczeństwo mogłoby wydać za dużo pieniędzy, to dlaczego nie zakazemy sprzedaży wielu innych artykułów powszechnej konsumpcji? W końcu, jeśli robotnik ma przepuścić swoją wypłatę, to może to zrobić na wiele innych sposobów: może wydać za dużo na telewizor, wykwintny alkohol, sprzęt do baseballa i niezliczoną ilość innych towarów. Pomysł, żeby zabraniać komuś hazardu ze względu na dobro jego lub jego rodziny, prowadzi wprost do klatki totalitaryzmu, w której państwo-dobry tatuś każdemu mówi, co robić, jak wydawać pieniądze, ile łykać witaminek, i zmusza do posłusznego wykonywania swoich poleceń.

### ***Narkotyki i inne środki odurzające***

Argumenty za zakazaniem jakiegoś produktu lub działalności opierają się zasadniczo na tych samych dwóch przesłankach, na których oparte są argumenty za przymusowym leczeniem psychiatrycznym. Chodzi o to, żeby dana osoba nie wyrządziła krzywdy sobie, a także nikomu ze swojego otoczenia. Ciekawe, że uzasadniona groza, jaką budzą narkotyki, spowodowała, iż większość ludzi z pobudek irracjonalnych odnosi się z entuzjazmem do ich zakazania. Argumenty przeciwko zakazowi narkotyków i środków halucynogennych są jeszcze bardziej oczywiste niż argumenty przeciwko prohibicji, której idea została chyba na zawsze skompromitowana w ponurych latach dwudziestych. Bo chociaż narkotyki są niewątpliwie bardziej szkodliwe niż alkohol, to zakazywanie jakiegoś produktu ze względu na jego szkodliwość prowadzi wprost do totalitarnego więzienia, w którym zakazuje się ludziom cukierków i każe pić jogurt „dla ich własnego dobra”. Jeśli jednak chodzi o bardziej spektakularny argument dotyczący szkodliwości dla otoczenia, to alkohol zdecydowanie częściej niż narkotyki prowadzi do przestępstw, wypadków samochodowych itd. Narkotyki sprowadzają na człowieka nadzwyczajny spokój i czynią go bezwolnym. Istnieje oczywiście silny związek między uzależnieniem od narkotyków a przestępczością, ale jest to zależność *odwrotna* niż przywoływana w argumentacji na rzecz prohibicji. Narkomani dopuszczają się kradzieży, ponieważ zmusza ich do tego wysoka cena narkotyków, spowodowana zakazem ich sprzedaży! Gdyby narkotyki były legalne, ich podaż gwałtownie by wzrosła, a czarnorynkowe ceny i łapówki dla policjantów by znikły, więc ceny spadłyby do takiego poziomu, że nie dochodziłoby do większości przestępstw popełnianych teraz przez narkomanów.

Nie jest to, oczywiście, argument za prohibicją alkoholu. Zakazywanie czegokolwiek tylko dlatego, że *może* się stać przyczyną przestępstwa, jest nieuprawnione i stanowi zamach na prawa jednostki i prawa własności, zamach, który ma jeszcze mniejsze uzasadnienie niż aresztowanie wszystkich nastolatków płci męskiej. Jedynie popełnione przestępstwo powinno być karane i walka z przestępstwami popełnionymi pod wpływem alkoholu musi polegać na skrupulatnym ich wykrywaniu i karaniu, a nie na zakazie używania alkoholu. Będzie to również z korzyścią dla wykrywalności przestępstw, które *nie* zostały popełnione pod wpływem alkoholu.

W tej dziedzinie paternalistyczne podejście prezentuje nie tylko prawica. Znamienne, że chociaż liberałowie są na ogół zwolennikami legalizacji marihuany, a czasem też heroiny, to zwykle przychylają się do pomysłu zakazania papierosów, bo palenie papierosów powoduje często raka. Liberałom udało się już przeforsować rządowy zakaz reklamy papierosów w telewizji, który stoi w sprzeczności z tak cenioną przez tychże liberałów wolnością słowa.

Powtórzmy: każdy człowiek ma prawo wyboru. Można dowolnie szeroko głosić poglądy o szkodliwości papierosów, ale trzeba pozostawić ludziom wolność decydowania o własnym życiu. W przeciwnym razie można by równie dobrze zakazać wszelkich czynników rakotwórczych, na przykład noszenia zbyt ciasnych butów, niedopasowanych sztucznych szczęk, nadmiernego opalania się, a także jedzenia zbyt dużej ilości lodów, jajek i masła, które mogą być przyczyną chorób serca. A jeśli takie zakazy okażą się niemożliwe do wyegzekwowania, to logika podpowiada, by umieścić ludzi w klatkach, tak żeby zapewnić im odpowiednią ilość nasłonecznienia, właściwą dietę, wygodne buty itd.

### ***Korupcja w policji***

Jesienią 1971 roku Komisja Knappa zwróciła uwagę opinii publicznej na problem powszechnej korupcji w szeregach policji nowojorskiej. Poszczególne dramaty ludzkie nie mogą tu przysłonić zasadniczego problemu, z którego Komisja Knappa zdawała sobie doskonale sprawę. Praktycznie każdy przypadek korupcji, w którym brali udział policjanci, dotyczył działalności gospodarczej, która z mocy państwowych zakazów była nielegalna. A jednak mnóstwo ludzi, którzy korzystali z usług tych przedsiębiorstw i kupowali ich produkty, nie uważało, że ich właścicieli należy traktować na równi z mordercami, złodziejami czy zamachowcami. I

rzeczywiście w żadnym prawie przypadku nie chodziło o te ohydne przestępstwa. Niemal wszystkie natomiast polegały na tym, że policja przymykała oko w czasie, gdy ludzie zawierali normalną, dobrowolną transakcję.

Prawo zwyczajowe czyni rozróżnienie pomiędzy przestępstwem, które jest *malum in se*, oraz przestępstwem, które jest tylko *malum prohibitum*. *Malum in se* to przestępstwo, które społeczeństwo intuicyjnie uważa za zasługujące na potępienie i karę. Określenie to pokrywa się w dużej mierze z libertariańską definicją przestępstwa jako naruszenia czyjejś nietykalności osobistej lub własności. Takimi przestępstwami są: napaść, kradzież i morderstwo. Inne przestępstwa są przestępstwami tylko w wyniku rządowych dekretoów. Korupcja w policji ma miejsce właśnie w sferze tych na ogół bardziej tolerowanych przestępstw.

Korupcyjne zachowania policjantów mają miejsce tam, gdzie producenci dobrowolnie dostarczają konsumentom usług i towarów, których zabrania rząd: narkotyków, prostytucji i hazardu. Tam, gdzie niedozwolony jest hazard, policja ma przywilej wydawania indywidualnych zezwoleń na prowadzenie przedsiębiorstw zajmujących się hazardem. To tak, jakby policja miała prawo wydawania specjalnych licencji na prowadzenie takiej działalności i zajmowała się sprzedażą nieoficjalnych, ale bardzo pożądanых licencji po możliwie najwyższych cenach. Pewien policjant wyznał, że gdyby prawo było ściśle przestrzegane, to żadna budowa w Nowym Jorku nie mogłaby zostać ukończona. Tak dalece rząd oplótl branżę budowlaną siecią szczegółowych i niemożliwych do przestrzegania przepisów. Tak więc, świadomie czy nieświadomie, rząd działa w sposób następujący: najpierw zakazuje jakiejś działalności – narkotyków, hazardu, budowy lub czegoś innego, a następnie rządowa policja sprzedaje chętnym przywilej rozpoczęcia i prowadzenia takiej działalności.

Taki proceder musi doprowadzić co najmniej do podniesienia kosztów i bardziej ograniczonej podaży, niż miałyby to miejsce na wolnym rynku. Ale skutki są o wiele poważniejsze. Policja często sprzedaje nie tylko pozwolenie na prowadzenie biznesu, ale też w praktyce przywileje monopolistyczne. Właściciel hazardowego przybytku opłaca policjantów nie tylko za pozwolenie funkcjonowania, ale też za uniemożliwienie wejścia na rynek konkurencji. Konsumenci są więc skazani na korzystanie z usług monopolisty i pozbawieni korzyści, jakie daje wolna konkurencja. Nic więc dziwnego, że gdy na początku lat trzydziestych prohibicja została ostatecznie zniesiona, największymi przeciwnikami jej odwołania, poza grupami fundamentalistów i prohibicjonistów, byli zorganizowani przemysłowcy, którzy cieszyli się specjalnymi przywilejami uzyskanymi na mocy porozumienia z policją i innymi organami państwowego aparatu przymusu.

Droga do wyeliminowania korupcji wewnątrz policji jest więc prosta i skuteczna: znieść przepisy zakazujące podejmowania działalności gospodarczej i wymierzone przeciwko wszelkim „przestępstwom bez ofiary”. W ten sposób nie tylko udaremniona by została w ogromnej mierze korupcja, ale ponadto policja miałaby znacznie więcej czasu na zajmowanie się *prawdziwymi* przestępcami, naruszającymi nietykalność osobistą i własność. Taka jest w końcu podstawowa rola policji.

Problem korupcji w policji, a także zagadnienie korupcji w ogóle, należy umieścić w szerszym kontekście. Chodzi o to, że w *warunkach obowiązywania* niesłusznych i niesprawiedliwych przepisów zabraniających, ograniczających i nakładających podatki na określone rodzaje działalności, korupcja jest dla społeczeństwa bardzo korzystna. W niektórych krajach niemożliwe byłoby prowadzenie jakiegokolwiek przedsiębiorstwa bez korupcji, która całkowicie zneutralizowała państwowe zakazy, podatki i haracze. Korupcja oliwi tryby handlu. Rozwiązaniem nie jest więc biadolenie nad korupcją i zdawanie wysiłków w walce z nią, tylko zniesienie paraliżujących przepisów i praw, które powodują, że korupcja jest niezbędną.

### ***Przepisy dotyczące posiadania broni***

Liberałowie postulują wolność handlu i produkcji w przypadku większości dóbr, o których jest mowa w tym rozdziale. Konserwatyści natomiast domagają się rygorystycznych ograniczeń i kar dla łamiących prawo w tym zakresie. Tymczasem, z niewiadomych przyczyn, w przypadku prawa do posiadania broni role są odwrócone. Za każdym razem, gdy dochodzi do przestępstwa z użyciem broni, liberałowie ze zdwojoną siłą nawołują do surowych ograniczeń lub całkowitego zakazu posiadania broni przez osoby prywatne, a konserwatyści sprzeciwiają się im, powołując się na wolność jednostki.

Jeśli – jak utrzymują libertarianie – każdy ma prawo do dysponowania swoją osobą i własnością, to każdy ma również prawo do użycia siły w obronie własnej. Z jakichś jednak powodów liberałowie przez cały czas usiłują pozbawić niewinnych ludzi środków do obrony przed agresją. Pomimo że druga poprawka do

konstytucji zapewnia, iż „prawo do posiadania i noszenia broni nie będzie naruszane”, rząd systematycznie to prawo ogranicza. W stanie Nowy Jork, podobnie jak w większości pozostałych stanów, prawo Sullivana zabrania noszenia „ukrytej broni” bez pozwolenia wydanego przez władze. Surowym ograniczeniom tej niekonstytucyjnej ustawy podlega nie tylko noszenie broni. Rząd rozszerzył ten zakaz na niemal wszystkie przedmioty, które mogłyby uchodzić za broń – nawet takie, które mogą być użyte tylko w obronie własnej. W rezultacie potencjalnym ofiarom przestępstw nie wolno nosić noży, pojemników z gazem łzawiącym, a nawet szpilek do kapeluszy, a osoby, które użyły takich przedmiotów w obronie własnej, zostały przez władze ukarane. Ten złośliwy zakaz noszenia ukrytej broni pozbawił potencjalne ofiary jakiejkolwiek możliwości obrony przed napaścią w mieście. (Prawdą jest, że nie istnieje oficjalny zakaz noszenia broni *na wierzchu*, ale pewien człowiek, który chciał sprawdzić, jak działa ten przepis i wyszedł na ulice Nowego Jorku z karabinem u boku, został natychmiast aresztowany pod zarzutem „naruszania spokoju”.) Ponadto ofiary są tak skrępowane przepisami o „nieuprawnionym” zastosowaniu środków w obronie własnej, że przestępca automatycznie korzysta z olbrzymiej przewagi, jaką mu daje do ręki system prawny.

Trzeba powiedzieć jasno, że żaden fizyczny przedmiot nie służy *jako taki do napaści*. Każdy przedmiot, zarówno pistolet, nóż, jak i kij, może być użyty w celach agresywnych, do obrony i na wiele innych sposobów, które nie są związane z przestępstwem. Zakazywanie lub ograniczanie zakupu i posiadania broni palnej jest tak samo bezsensowne jak zakaz posiadania noża, kija golfowego czy kamieni. A jakim sposobem można zabronić posiadania tych przedmiotów? Jeśli nawet ich się zabroni, to jak wyegzekwować przestrzeganie takiego przepisu? Zamiast więc ścigać niewinnych ludzi za noszenie lub posiadanie różnych przedmiotów, prawo powinno się koncentrować na zwalczaniu i chwyтaniu prawdziwych przestępców.

Jest jeszcze jedna okoliczność, która wzmacnia naszą konkluzję. Jeśli posiadanie broni palnej ma być ograniczone lub zakazane, to nie można oczekiwać, żeby tymi przepisami przejmowali się zdecydowani na wszystko przestępcy. W związku z tym kryminaliści zawsze będą mogli kupić i nosić broń. Tylko ich ofiary będą musiały cierpieć na tym, że troskliwi liberałowie wprowadzają ustawy przeciwko broni palnej i innej. Podobnie jak legalne powinny być narkotyki, hazard i pornografia, tak dozwolona powinna być broń palna i inne przedmioty, które mogą służyć do samoobrony.

W ważnym artykule przeciwko kontroli posiadania krótkiej broni palnej (liberałowie nie lubią jej szczególnie) profesor Uniwersytetu w St. Louis, Don B. Kates Jr., karci swoich kolegów liberałów za to, że do problemu posiadania broni nie stosują takiego samego rozumowania jak w przypadku przepisów dotyczących marihuany. Zwraca uwagę, że w Ameryce jest obecnie ponad pięćdziesiąt milionów posiadaczy krótkiej broni palnej i że, opierając się na badaniach opinii i dotychczasowych doświadczeniach, należy się spodziewać, że od dwóch trzecich do osiemdziesięciu procent Amerykanów nie zastosowałoby się do prawa zabraniającego posiadania krótkiej broni. Podobnie jak w przypadku przepisów dotyczących seksu i marihuany nieuniknionym rezultatem byłoby ferowanie wysokich wyroków, ale tylko w niewielu wykrytych przypadkach. Powodowałoby to lekceważenie prawa i brak szacunku dla instytucji egzekwujących je. Prawo stosowano by wybiórczo wobec osób, które władzy się nie podobają. „Pilnowanie przestrzegania prawa staje się stopniowo sprawą przypadku, aż w końcu przepisy są stosowane tylko przeciwko tym, których policja szczególnie nie lubi. Nie trzeba chyba przypominać o ohydnej procedurze przeszukania i konfiskaty, którą stosuje policja i organy ścigania w celu zatrzymania osób łamiących te przepisy”. Kates dodaje, że „jeśli te argumenty brzmią znajomo, to prawdopodobnie dlatego, że są analogiczne do często używanych argumentów liberałów przeciwko przepisom zakazującym trawki”<sup>7</sup>.

Następnie Kates przeprowadza niezwykle trafną analizę tej dziwnej ślepoty liberałów:

Zakaz posiadania broni palnej jest pomysłem białych liberałów z klasy średniej, którzy mają przed oczami sytuację panującą w rejonach, gdzie mieszkają biedacy i mniejszości narodowe i w których policja zaniechała już wszelkich prób kontrolowania przestępczości. Liberałowie ci nie mieli też nic

<sup>7</sup> Don B. Kates, Jr., "Handgun Control: Prohibition Revisited", *Inquiry* (5 grudnia 1977), s. 21. Już teraz mamy do czynienia z eskalacją bezwzględności i zaostreniem metody przeszukania i konfiskaty. Nie tylko w Wielkiej Brytanii i wielu innych krajach, gdzie mają miejsce masowe rewizje w poszukiwaniu broni. W Malezji, Rodezji, Tajwanie i na Filipinach za posiadanie broni palnej grozi kara śmierci. Ale również w St. Louis w Missouri policja dokonała w ostatnich latach dosłownie tysięcy rewizji u Murzynów, wychodząc z założenia, że każdy Murzyn jeżdżący nowym samochodem musi mieć nielegalną broń. W Michigan 70% wszystkich spraw o posiadanie broni palnej zostało umorzonych w sądach apelacyjnych ze względu na stosowanie nielegalnych procedur rewizji. W Detroit pewien wysoki rangą policjant opowiadał się za zniesieniem czwartej poprawki, żeby umożliwić powszechne przeszukiwanie po wprowadzeniu w przyszłości zakazu posiadania krótkiej broni palnej. *Ibid.*, s. 23.

przeciwko wprowadzeniu w latach pięćdziesiątych przepisów dotyczących marihuany, na podstawie których dokonywano nalotów policyjnych na zakazane dzielnice. Są pełni troski, sami jednak mieszkają w patrolowanych podmiejskich osiedlach lub w strzeżonych przez ochroniarzy (nikt nie proponuje żeby ich rozbroić) apartamentowcach. Mogą się więc śmiać, że posiadanie broni to przecież „przeżytek z czasów dzikiego Zachodu”<sup>8</sup>.

Następnie Kates przytacza przykłady wzięte z życia, wskazujące na potrzebę posiadania broni palnej do samoobrony. W ciągu ostatnich pięciu lat w Chicago uzbrojeni cywile zabili z uzasadnionych powodów trzy razy więcej przestępców niż policja. Analizując kilkaset przypadków, w których dochodziło do walki z przestępcami, Kates zauważył, że cywile byli o wiele bardziej skuteczni niż policja: działając w samoobronie, zatrzymali, ranili, zabili lub odstraszyli przestępców w 75% przypadków, podczas gdy policjanci mogli się pochwalić sukcesami tylko w 61% przypadków. Prawdą jest, że ofiary, które bronią się, są bardziej narażone na zranienie niż te, które nie stawiają oporu. Ale Kates zwraca uwagę na to, że lekceważy się następujące czynniki: (1) gdy ofiara stawia opór, nie posiadając broni, ryzyko zranienia jest dla niej dwukrotnie większe niż wtedy, gdy broń posiada; (2) decyzja o tym, czy stawić opór, należy do ofiary i wynika z jej przekonań oraz okoliczności.

Biały inteligent, liberał z pokaźnym kontem bankowym, będzie się starał przede wszystkim uniknąć zranienia. Natomiast dla pracującego dorywczo robotnika albo klienta opieki społecznej, dla których kradzież oznacza pozbawienie rodziny środków do życia przez najbliższy miesiąc, ten czynnik nie musi być wcale najważniejszy. Nie musi on być również decydujący dla czarnoskórego sklepikarza, którego nie stać na ubezpieczenie od kradzieży i powtarzające się włamania zmuszają go do zamknięcia interesu.

Ogólnonarodowe badania przeprowadzone w 1975 roku wśród posiadaczy krótkiej broni palnej przez organizację Informacja dla Decyzji (*Decision Making Information*) wykazały, że największymi grupami osób, które posiadają broń *wyłącznie* w celach samoobrony, są Murzyni, osoby z najniższymi dochodami i ludzie w podeszłym wieku. „To są ludzie”, przestrzega trafnie Kates, „których proponuje się wsadzić do więzienia, ponieważ chcą zachować jedyny dostępny im środek, za pomocą którego mogą bronić swoich rodzin w rejonach, gdzie policja się poddała”<sup>9</sup>. A jaka nauka płynie z doświadczeń przeszłości? Czy zakaz posiadania krótkiej broni palnej rzeczywiście przyczynił się w sposób widoczny do zmniejszenia ilości przemocy w społeczeństwie, o czym zapewniają liberałowie? Dowody świadczą o czymś zupełnie przeciwnym. Zakrojone na szeroką skalę badania prowadzone przez Uniwersytet w Wisconsin, których wyniki ogłoszono jesienią 1975 roku, wykazały niezbicie, że „wprowadzenie przepisów ograniczających prawo do posiadania broni palnej nie przyczynia się do zmniejszenia liczby przestępstw z użyciem siły, ani w wymiarze indywidualnym, ani w skali całej społeczności”. W badaniach z Wisconsin poddano, na przykład, weryfikacji teorię, że osoby z natury spokojne, jeśli zezwoli im się na posiadanie broni, będą miały skłonność do strzelania, gdy tylko puszcza im nerwy. Badania nie potwierdziły występowania *żadnej korelacji* pomiędzy liczbą sztuk posiadanej broni a liczbą zabójstw w żadnym ze stanów. Wyniki te zostały ponadto potwierdzone w roku 1976 przez badania w Harvardzie w Massachusetts, które dotyczyły działania ustawy przewidującej karę bezwarunkowego pozbawienia wolności na jeden rok za posiadanie broni krótkiej bez zezwolenia. Okazało się, że przepis ten, wprowadzony w roku 1974, nie spowodował zmniejszenia liczby noszonych pistoletów ani liczby napadów przez cały rok 1975. Ale to jeszcze nie wszystko! Naukowcy z Harvardu odkryli, ku swojemu zdumieniu, że nie miało równoległe miejsca zmniejszenie liczby przypadków dopuszczenia się przemocy. Czyli, że

jak sugerowały wcześniejsze badania kryminalistyczne, obywatel pozbawiony pistoletu, w momencie gdy zostanie napadnięty, chwytą za znacznie bardziej niebezpieczny karabin. Pozbawiony wszelkiej broni palnej, zabije niemal tak samo skutecznie przy użyciu noża, młotka itd.

Z pewnością więc „jeśli zmniejszenie liczby sztuk posiadanej broni krótkiej nie powoduje redukcji liczby zabójstw lub innych przestępstw z użyciem przemocy, to wprowadzenie takiego zakazu będzie jeszcze

<sup>8</sup> *Ibid.*, s. 21.

<sup>9</sup> *Ibid.* Wyjątkowo brutalny pomysł, żeby posiadanie broni karać więzieniem, nie jest figurą retoryczną, lecz odzwierciedleniem liberalnego *beau ideal*. Propozycja poprawki do konstytucji stanu Massachusetts, na szczęście odrzucona w 1977 roku przez olbrzymią większość wyborców, przewidywała karę bezwarunkowego pozbawienia wolności na minimum 1 rok dla osób schwytanych na posiadaniu broni.

jednym sposobem na odwrócenie uwagi policji od prawdziwych przestępstw i skoncentrowanie jej uwagi na przestępstwach bez ofiary”<sup>10</sup>.

Na koniec Kates zwraca uwagę na inne interesujące zjawisko. Mianowicie w społeczeństwie, w którym spokojni obywatele mogą posiadać broń, znacznie bardziej prawdopodobne są przypadki pomocy ze strony dobrych samarytan. Ludzie znacznie chętniej będą spieszyli z pomocą ofiarom przestępstw, gdy będą wyposażeni w broń. Gdy im ją odebrać, zostawia ofiarę – na jej nieszczęście – by zajęła się nią policja. Zanim stan Nowy Jork wprowadził zakaz posiadania broni krótkiej, przypadki dobrych samarytan były znacznie częstsze niż obecnie. Według ostatnich badań 81% samarytan stanowiły osoby uzbrojone. Jeśli oczekujemy, że społeczeństwo będzie sobie pomagać w nagłych przypadkach, nie możemy mu zabierać środków potrzebnych do obrony przed napastnikami. Szczytem absurdu jest rozbieranie spokojnych ludzi, a *następnie*, jak to się zwykle dzieje, oskarżanie ich o „apatię”, gdy nie spieszą z pomocą ofierze przestępstwa.

---

<sup>10</sup> *Ibid.*, s. 22. Również w Wielkiej Brytanii badania prowadzone w 1971 roku przez Uniwersytet w Cambridge wykazały, że liczba zabójstw, przy obowiązującym zakazie posiadania broni krótkiej, podwoiła się w ciągu ostatnich piętnastu lat. Ponadto, zanim przyjęto zakaz posiadania krótkiej broni palnej w 1920 roku, liczba przypadków użycia broni do celów przestępczych (gdy nie było żadnych ograniczeń dotyczących jej posiadania) była znacznie niższa niż obecnie.



## Rozdział 7: Szkolnictwo

### *Szkoły publiczne i obowiązek szkolny*

Jeszcze do niedawna mało instytucji w Ameryce otaczano większą czcią niż szkoły publiczne. Zwłaszcza liberałowie uważali je za świętość. Wielkie przywiązanie do idei szkolnictwa publicznego przejawiali nawet pierwsi Amerykanie – zwolennicy Jeffersona i Jacksona – którzy w innych dziedzinach mieli poglądy wolnościowe. W czasach najnowszych szkoła publiczna miała stanowić zasadniczy element demokracji, źródło braterstwa i zaporę dla elitaryzmu i segregacji społecznej. Wydawało się, że szkoła publiczna realizuje prawo każdego dziecka do nauki i stanowi kuźnię zrozumienia i harmonii pomiędzy ludźmi wszystkich zawodów i klas społecznych. W takiej szkole każdy od wczesnego dzieciństwa musiał się ocierać o rówieśników z różnych środowisk.

Równoległe z rozwojem szkolnictwa publicznego wprowadzono *przepisy o obowiązku szkolnym*. Na ich mocy wszystkie dzieci, aż do osiągnięcia pewnej – stale podnoszonej – granicy wieku, musiały chodzić do szkoły publicznej lub do szkoły prywatnej zatwierdzonej przez aparat państwa. Podczas gdy dawniej niewielki procent ludzi uczęszczał do wyższych klas szkoły podstawowej, to od tej pory całe rzesze społeczeństwa zostały zmuszone przez rząd do spędzania znacznej części najciekawszych lat życia w publicznych instytucjach. Zagadnienie obowiązku szkolnego można było omówić w rozdziale o pracy przymusowej, bo nie ma chyba bardziej jaskrawego przykładu rozbudowanego systemu zniewolenia. Ostatnio Paul Goodman i inni krytycy systemu edukacyjnego zarzucili szkołom publicznym oraz – w mniejszym stopniu – prywatnym, że są dla młodzieży więzieniami wtłaczającymi do systemu szkolnego miliony dzieci, które nie chcą w nim być i do którego są nieprzystosowane. Praktykowany przez przedstawicieli Nowej Lewicy zwyczaj wpadania do szkół średnich z okrzykiem „Uciekamy z więzienia!” mógł się wydawać absurdalny i nieskuteczny, ale na pewno wyrażał głęboką prawdę o systemie szkolnym. Jeśli pod pretekstem „edukowania” zapędzamy całą młodzież do więzień z nauczycielami i administracją w roli nadzorców i strażników, to nie powinniśmy się dziwić powszechnemu niezadowoleniu, frustracji, wyobcowaniu i buntowi ze strony uczniów. Powinniśmy się raczej dziwić, że tak długo nie dochodziło do buntu. Obecnie jednak coraz więcej ludzi przyznaje, że z dumą Ameryki – powszechną edukacją – dzieje się coś bardzo złego, że szkoły publiczne – zwłaszcza w miastach – stały się wylęgarnią przestępców, drobnych złodziejasków i narkomanów. Nie oferują zaś zdeprawowanym umysłom i duszom wychowanków żadnej prawdziwej nauki<sup>1</sup>.

Za to znęcanie się nad młodzieżą częściowo jest odpowiedzialny źle ulokowany altruizm wykształconej klasy średniej. Czuła ona potrzebę, żeby robotnikom lub „niższym klasom” zapewnić dostęp do oświaty, którą sama tak bardzo ceniła. Gdyby zaś rodzice byli na tyle ciemni, żeby odrzucić wspaniałe możliwości, jakie się przed nimi i ich dziećmi otwierają, to trzeba zastosować trochę przymusu, oczywiście „dla ich własnego dobra”.

Zasadniczym błędem w rozumowaniu miłośników szkoły publicznej wywodzących się z klasy średniej jest mylenie formalnej nauki z *wykształceniem* w sensie szerszym. Wykształcenie polega na ustawicznym zdobywaniu wiedzy przez całe życie w różnych okolicznościach, a nie tylko w szkole. Gdy dziecko bawi się, słucha, co mówią rodzice lub znajomi, czyta gazetę albo pracuje, to zdobywa wykształcenie. Formalna nauka jest tylko niewielką częścią procesu kształcenia i sprawdza się jedynie w przypadku dziedzin specjalistycznych, zwłaszcza wykładu bardziej złożonych zagadnień. Przedmiotów ogólnych, takich jak czytania, pisanie, arytmetyki i ich pochodnych, można się z powodzeniem uczyć w domu i w innych miejscach poza szkołą.

Do wspaniałych cech człowieczeństwa należy to, że ludzie są tak różnorodni, że każdy jest niepowtarzalny i ma unikalne umiejętności, zainteresowania i zdolności. Przymus formalnej nauki narzucany dzieciom, które nie mają ani możliwości ani ochoty, by się nią zainteresować, stanowi bezprawne wypaczanie duszy i umysłu dziecka. Paul Goodman głośno ubolewa, że większości dzieci powodziłoby się znacznie lepiej, gdyby mogły od wczesnych lat życia pracować, uczyć się handlu i wprawiać w tym, do czego się najlepiej nadają. Amerykę stworzyli obywatele i przywódcy, z których wielu nie miało formalnego wykształcenia lub miało je tylko w stopniu podstawowym. Pomysł, że zanim się podejmie pracę i zacznie dorosłe życie, trzeba mieć koniecznie ukończone studia, a obecnie – dyplom magisterski, jest jednym z absurdów naszych czasów. Znieśmy obowiązek szkolny i pozwólmy dzieciom samym używać głowy, a przywrócimy społeczeństwu dawną

<sup>1</sup> Zobacz: Paul Goodman, *Compulsory Mis-education and the Community of Scholars* (New York: Vintage Press, 1964) oraz liczne publikacje Goodmana, Johna Holta, Jonathana Kozola, Herberta Kohla, Ivana Illicha i wielu innych.

produktywność, zaangażowanie, pomysłowość i zadowolenie z życia. Wielu żarliwych kontestatorów z Nowej Lewicy i młodych buntowników zwraca uwagę, że niezadowolenie młodzieży i jej ucieczka od rzeczywistości w dużej mierze jest rezultatem coraz dłuższych godzin spędzanych w szkole, w warunkach zależności i braku odpowiedzialności. No dobrze, ale jaka jest główna przyczyna wydłużania się tego czasu zależności? Niewątpliwie jest nią cały system, a w szczególności przymus szkolny, który każe wszystkim bez końca się uczyć – najpierw do ukończenia szkoły średniej, teraz do ukończenia *college'u*, a wkrótce być może do otrzymania tytułu doktorskiego. Przymus powszechnej edukacji powoduje niezadowolenie i nieustanną ucieczkę od rzeczywistości. Nigdy i nigdzie wcześniej mania powszechnego szkolnictwa nie ogarnęła ludzi do tego stopnia.

Znamienne, że zarówno prawica libertariańska, jak i Nowa Lewica, patrząc z różnych perspektyw i używając innych argumentów, doszły do takiego samego wniosku na temat despotycznej natury powszechnego szkolnictwa. Wielki teoretyk indywidualizmu lat dwudziestych i trzydziestych XX w., Albert Jay Nock, oskarżył system szkolnictwa o to, że w naiwnej egalitarnej wierze w równe zdolności wszystkich dzieci, zmusza „niewyuczalne” masy, by chodziły do szkoły. Zamiast żeby do szkoły chodziły tylko dzieci o odpowiednich zdolnościach i możliwościach, wszystkie dzieci zmuszone są do nauki, rzekomo dla ich własnego dobra. W rezultacie dzieci, które nie nadają się do szkoły, mają przetrącone życie, a dzieci uzdolnione nie otrzymują właściwego wykształcenia. Nock przeprowadził też wnikliwą krytykę konserwatystów, którzy zarzucali „szkolnictwu nowoczesnemu”, że spłyca normy edukacyjne, wprowadzając do programu nauczania kursy nauki jazdy, wyplatania koszy i wybierania najlepszego dentysty. Nock zauważa, że jeśli całe rzesze dzieci zmusza się do uczęszczania do szkoły, gdzie nie są w stanie przyswoić klasycznej wiedzy, to trzeba zmienić program nauczania, tak by zawierał elementy nauki zawodu i dawał szansę najsłabszym. Fatalną pomyłką jest nie tyle nowoczesne szkolnictwo, co dążenie do nauczania powszechnego, którego niedostatki postępowcy próbowali prowizorycznie naprawiać<sup>2</sup>.

Myśliciele Nowej Lewicy, tacy jak John Mc Dermott i Paul Goodman, zarzucają klasie średniej, że zmusza dzieci robotników, wyznające często zupełnie inny system wartości i mające inne uzdolnienia, by nagięły się do systemu nauki zgodnego z modelem narzuconym przez tę klasę średnią. Trzeba jasno stwierdzić, że bez względu na to, jaką klasę społeczną się preferuje i jaką koncepcję szkolnictwa uważa się za najlepszą, podstawowy problem pozostaje ten sam. Jest nim zmuszanie wszystkich dzieci do podporządkowania się rygorom instytucji, która ich nie obchodzi lub której wymaganiom nie mogą sprostać.

Jeśli przyjrzymy się historii wprowadzenia szkół publicznych i obowiązku szkolnego w Ameryce oraz w innych krajach, to zauważymy, że u jego podstaw leżał nie tyle błędnie umiejscowiony altruizm, co świadomy plan narzucenia całemu społeczeństwu modelu pożądanego przez establishment. Krnąbrne mniejszości miały się poddać kształtowaniu według wzorca większości. Społeczeństwu należało wpoić cnoty obywatelskie, zawsze na czele z cnotą posłuszeństwa wobec aparatu państwa. Jakże miałoby być inaczej? Skoro wszyscy mieli uczyć się w państwowych szkołach, to *musiały* się one stać potężnym narzędziem wdrożenia do posłuszeństwa władzom państwa. Przywódca pierwszego nowoczesnego ruchu na rzecz przymusowego państwowego szkolnictwa, Marcin Luter, w typowy sposób przedstawiał tę sprawę w liście do władców Niemiec z roku 1524:

Szanowni panujący. (...) Uważam, że władze cywilne mają obowiązek zmusić ludzi do posyłania swoich dzieci do szkół. (...) Jeśli rząd może zmusić obywateli zdolnych do służby wojskowej, by nosili włócznie lub strzelbę, wstępowali na mury obronne i wykonywali inne obowiązki w czasie wojny, to o ileż większe ma prawo żądać od ludzi, by posyłali swoje dzieci do szkoły. W tym bowiem przypadku toczymy wojnę z diabłem, który chce potajemnie wyjałowić nasze miasta i księstwa (...) <sup>3</sup>.

Państwowe szkoły miały więc być według Lutra nieodłącznym elementem „wojny z diabłem”, to znaczy z katolikami, żydami, niewiernymi i konkurencyjnymi sektami protestanckimi. Współczesny wielbiciel Lutra i zwolennik przymusowego szkolnictwa dodaje, że „nieprzemijająca i niepodważalna wartość oświadczenia Lutra z 1524 roku tkwi w tym, (...) że ustanawia ono w protestanckich Niemczech święty związek religii narodowej z obowiązkiem dbania o wykształcenie, jaki ciąży na każdym obywatelu oraz na państwie.

<sup>2</sup> Zobacz: Albert Jay Nock, *The Theory of Education in the United States* (Chicago: Henry Regnery, 1949) oraz: Nock, *Memoirs of a Superfluous Man* (New York: Harper & Bros., 1943).

<sup>3</sup> Zobacz: John William Perrin, *The History of Compulsory Education in New England*, 1896.

Niewątpliwie dzięki temu w Prusach znacznie wcześniej wykształcił się przychylny stosunek opinii społecznej do zasady obowiązku szkolnego, niż miało to miejsce w Anglii<sup>4</sup>.

Niemniej gorącym zwolennikiem powszechnego szkolnictwa był z tych samych powodów inny wielki założyciel protestantyzmu, Jan Kalwin. Nic więc dziwnego, że obowiązek szkolny w Ameryce został po raz pierwszy wprowadzony w Zatoce Massachusetts przez purytańskich kalwinistów, którzy dążyli do ustanowienia w Nowym Świecie absolutnej teokracji kalwinistycznej. W czerwcu 1642 roku, zaledwie w rok po ustanowieniu pierwszych praw przez kolonię Zatoki Massachusetts, wprowadzono w niej pierwszy system przymusowego szkolnictwa w świecie anglojęzycznym. Przepis mówił, co następuje:

Ze względu na to, że dobre wykształcenie dzieci przynosi szczególne korzyści wspólnocie i jako że wielu rodziców i opiekunów wykazuje zbyt dużą pobłażliwość i lekceważenie swoich obowiązków w tym zakresie, nakazuje się, żeby radni każdego miasta (...) baczenie się przyglądali sąsiadom, czy nie tkwią oni w barbarzyństwie, zaniedbując obowiązek dawania nauk dzieciom i terminatorom, czy to samemu ucząc czy przy pomocy innych (...)<sup>5</sup>.

W pięć lat później Zatoka Massachusetts przekształciła ten przepis w system szkolnictwa publicznego.

Widać więc, że w historii Ameryki od samego początku za ideą publicznego szkolnictwa kryje się dążenie do modelowania, instruowania i czynienia posłusznymi mas społeczeństwa. W czasach kolonii szkoły publiczne służyły do tłumienia niewłaściwych poglądów religijnych i do wpajania niesfornym sługom cnoty posłuszeństwa wobec państwa. Typowym tego przykładem może być wprowadzony przez zwalczające kwaków stany Massachusetts i Connecticut zakaz zakładania własnych szkół przez kwaków. W stanie Connecticut usiłowano bezskutecznie rozprawić się z ruchem Nowe Światło i w tym celu wprowadzono w 1742 roku zakaz otwierania szkół przez tę sektę. W przeciwnym wypadku, przekonywały władze Connecticut, zwolennicy ruchu Nowe Światło „mogliby próbować uczyć młodzież niewłaściwych zasad i praktyk oraz wprowadzać zamęt, którego skutki mogą się okazać fatalne dla spokoju społecznego i dobrobytu kolonii”<sup>6</sup>. Nie jest przypadkiem, że jedyną prawdziwie wolną kolonią Nowej Anglii była Rhode Island, gdzie nie istniało publiczne szkolnictwo.

Po uzyskaniu niepodległości zasadnicze cele publicznego i przymusowego szkolnictwa pozostały takie same. Ojciec systemu szkół publicznych w Nowej Karolinie, Archibald D. Murphey, w ten sposób nawoływał do ich wprowadzenia:

(...) będą się w nich uczyć wszystkie dzieci. (...) Szkoły będą wpajać zasady moralne i religijne, a także nawyki podporządkowania i posłuszeństwa. (...) Rodzice nie wiedzą, jak wychowywać dzieci. (...) Państwo, przepelnione miłością i troską o ich dobro, musi wziąć na siebie odpowiedzialność za te dzieci i umieścić je w szkołach, gdzie ich umysły zostaną oświecone, a serca wyćwiczą się w cnotie<sup>7</sup>.

Jednym z najbardziej powszechnych zastosowań przymusowych szkół jest ciemienie i niszczenie mniejszości narodowych i językowych oraz podbitych ludów. Ma ono na celu wykorzenienie ich kultury i języka i zastąpienie ich językiem i kulturą grup sprawujących władzę. Anglicy w Irlandii i w Quebecu, narody w Europie Środkowej i Wschodniej oraz w Azji zapędziły mniejszości do szkół publicznych, prowadzonych przez ich panów. Chęć uratowania języka i dziedzictwa kulturalnego przed orężem szkolnictwa publicznego, którym posługiwali się ich najeźdźcy, stanowiła poważną przyczynę wrzenia i buntów wśród podbitych narodów. Dlatego leseferystyczny liberał Ludwig von Mises napisał, że w państwach, w których używane są różne języki,

utrzymywanie polityki przymusu szkolnego jest jawnie sprzeczne z dążeniem do zaprowadzenia trwałego pokoju. (...)

<sup>4</sup> A. E. Twentyman, "Education; Germany", *Encyclopaedia Britannica*, wyd. XIV. (1929), VII, 999–1000.

<sup>5</sup> Zobacz: Perrin, *op. cit.*

<sup>6</sup> Zobacz: Merle Curti, *The Social Ideas of American Educators* (New York: Charles Scribner's Sons, 1935).

<sup>7</sup> *The Papers of Archibald D. Murphey* (Raleigh, N.C.: University of North Carolina Press, 1914), II, s. 53–54.

Wybór języka, jaki ma być używany w szkole, ma olbrzymie znaczenie. Decyduje on o tym, jaką narodowość będą mieli z czasem mieszkańcy danego regionu. Szkoła może zrazić dzieci do narodowości ich rodziców i działać jako narzędzie wynarodowienia całych społeczeństw. Ten, kto sprawuje kontrolę nad szkolnictwem, ma możliwość krzywdzenia innych narodowości i wspierania własnej.

Mises wskazuje, że gdy władzę w państwie wielonarodowym sprawuje jeden naród, to formalna zgoda na posyłanie dzieci do szkoły, w której używany jest język mniejszości narodowej, nie rozwiązuje problemu:

Ze względu na konieczność zdobycia środków do życia jednostka często nie może sobie pozwolić na afiszowanie się ze swoją przynależnością narodową. W systemie interwencjonizmu mogłoby to spowodować ucieczkę stałych klientów odmiennej narodowości albo utratę pracy w przedsiębiorstwie należącym do osoby o innej narodowości. (...) Pozostawiając rodzicom możliwość wyboru szkoły dla swoich dzieci, wystawiamy ich na wszelkie formy politycznego nacisku. W każdym regionie zamieszkanym przez różne narodowości szkoła jest niezwykle cennym łupem politycznym. Jej upolitycznienia nie będzie można się pozbyć tak długo, jak długo pozostanie instytucją powszechnie obowiązującą. W istocie możliwe jest tylko *jedno* rozwiązanie: państwo, rząd, prawo musi zaprzestać wtrącania się do szkolnictwa i edukacji. Nie wolno przeznaczać na te cele środków publicznych. Wychowanie i nauka młodzieży musi pozostawać całkowicie w rękach rodziców oraz prywatnych stowarzyszeń i instytucji<sup>8</sup>.

Jednym z najważniejszych powodów, dla których amerykańscy „reformatorzy oświaty” w połowie dziewiętnastego wieku wprowadzali współczesny system szkół publicznych, była chęć użycia szkół do wynarodowienia przybywających falami imigrantów i uformowania ich w – jak to powiedział reformator oświaty Samuel Lewis – „jeden naród”. Głównym impulsem do przeprowadzenia oświatowej „reformy” było dążenie anglosaskiej większości do ujarzmienia, podporządkowania i uformowania imigrantów, a zwłaszcza do zniszczenia systemu katolickich szkół parafialnych. Przedstawiciele Nowej Lewicy, którzy dostrzegają rolę szkół publicznych w ogłupianiu i kształtowaniu na jedną modłę umysłów dzieci z gett miejskich, kieruje swój atak tylko na bieżące zjawiska związane z celem do którego od dawna dążył oświatowy establishment. Jego przedstawicielami byli Horace Mann, Henry Barnard, Calvin Stowe i wielu im podobnych. To właśnie Mann i Barnard nawoływali na przykład żeby wykorzystać szkoły do wpajania niechęci wobec „rządów motłochu”, jakie rzekomo postulował ruch zwolenników Jacksona. Stowe natomiast jest autorem traktatu pełnego podziwu dla pruskiego systemu obowiązkowych szkół, zainspirowanego pierwotnie przez myśl Marcina Lutra. W charakterystycznym luterzańskim i wojskowym stylu tak pisze o szkołach:

Jeśli wzgląd na bezpieczeństwo publiczne daje rządowi prawo do zmuszania obywateli, by służyli w wojsku, gdy kraj został napadnięty, to ten sam wzgląd uprawnia rząd do zmuszenia ich, aby zapewnili swoim dzieciom naukę. (...) Człowiek nie ma prawa sprowadzać na kraj zagrożenia, jakim są ciemne i niebezpieczne dzieci, tak jak nie ma prawa wpuszczać szpiegów wrogiej armii<sup>9</sup>.

Znany pedagog Newton Bateman mówił w czterdzieści lat później, że państwo ma prawo do „szczególnego panowania”<sup>\*</sup> nad „umysłami, duszami i ciałami” dzieci. Oświata, przekonywał, „nie może być pozostawiona na łaskę kaprysów i nieprzewidywalnych zachowań jednostek (...).<sup>10</sup>

Najbardziej ambitna próba zwiększenia kontroli nad dziećmi, jaką podjęli zwolennicy szkół publicznych, miała miejsce w Oregonie na początku lat dwudziestych. Stan Oregon, niechętny istnieniu nawet zatwierdzonych przez władze szkół prywatnych, uchwalił 7 listopada 1922 roku przepis, który wprowadzał

<sup>8</sup> Ludwig von Mises, *The Free and Prosperous Commonwealth* (Princeton, NJ D Van Nostrand Co , 1962), s. 114–115.

<sup>9</sup> Calvin E Stowe, *The Prussian System of Public Instruction and its Applicability to the United States* (Cincinnati, 1830), s. 6 i n. Na temat elitarnych motywacji, którymi kierowali się reformatorzy oświatowi, pisze Michael B Katz w: *The Irony of Early School Reform* (Boston Beacon Press, 1970)

<sup>\*</sup> Dosłownie nawet: „prawo do wywłaszczenia dzieci z duszy i ciała” („*right of eminent domain 'over the 'minds and souls and bodies'*”) (przypis tłumacza).

<sup>10</sup> Cytat za: Edward C. Kirkland, *Dream and Thought in the Business Community, 1860–1900* (Chicago: Quadrangle Books, 1964), s. 54.

zakaz działania prywatnych szkół i obowiązek uczęszczania wszystkich dzieci do szkół publicznych. Był to szczyt marzeń pedagogów. Nareszcie wszystkie dzieci miały być poddane „demokratyzacji” w jednolitym systemie oświatowym. Na szczęście w 1925 roku przepis został uznany przez Sąd Najwyższy za sprzeczny z konstytucją (*Pierce v. Society of Sisters*, June 1, 1925). Sąd Najwyższy orzekł, że „dziecko nie jest wyłącznie stworzeniem należącym do państwa”, i stwierdził, że przepis wprowadzony w Oregonie podważał „podstawową teorię wolności, na której opierają się wszystkie rządy w Unii”. Fanatycy szkół publicznych nigdy już nie posunęli się ponownie tak daleko. Pouczające będzie jednak zdać sobie sprawę, jakie siły zmierzały do zakazu konkurencji ze strony prywatnych szkół w Oregonie. W czołówce zwolenników wprowadzenia tego prawa nie było – jak można by się spodziewać – liberalnych ani postępowych wychowawców czy intelektualistów. Czołówkę stanowił silny wówczas w północnych stanach Ku Klux Klan, który dążył do zniszczenia systemu katolickich szkół parafialnych i chciał zmusić wszystkie dzieci katolików i imigrantów, by poddały się ideologii neoprotestantyzmu i amerykańskiej wpajanej przez szkoły publiczne. Warto zauważyć, że Klan wyrażał przekonanie, iż wprowadzenie takiego przepisu jest konieczne „dla ochrony wolnych instytucji”. Zastanawiające, że najbardziej żarliwymi zwolennikami tak zachwalanego „postępowego” i „demokratycznego” systemu szkół publicznych były skrajnie bigoteryjne odłamy społeczeństwa amerykańskiego, ludzie, którzy z chęcią wytępiliby w Ameryce wszelką różnorodność<sup>11</sup>.

### ***Jednolitość czy różnorodność?***

Choć obecnie osoby zajmujące się szkolnictwem nie posuwają się tak daleko jak Ku Klux Klan, to trzeba zauważyć, że sama *natura* szkół publicznych *wymaga* narzucenia im jednolitej formy i wyeliminowania z edukacji wszelkiej różnorodności i indywidualizmu.

Do natury każdej biurokracji rządowej należy bowiem funkcjonowanie na podstawie zbioru reguł i jednolite narzucanie tych reguł bez wdawania się w subtelności. Gdyby biurokracja działała inaczej i urzędnik miał rozstrzygać od ręki każdy indywidualny przypadek, to słusznie by go oskarżono o nierówne i niejednakowe traktowanie podatników. Zarzucono by mu dyskryminowanie i przyznawanie specjalnych przywilejów. Urzędnikom jest ponadto wygodniej ustanowić jednolite prawa na swoim terenie. W przeciwieństwie do prywatnego przedsiębiorstwa działającego dla zysku urzędnik państwowy nie jest zainteresowany wydajnością, ani oferowaniem usług na możliwie najwyższym poziomie. Ponieważ nie musi się przejmować zyskiem i nie odczuwa na własnej skórze strat, to nie musi brać pod uwagę potrzeb i oczekiwań konsumentów-klientów. Urzędnik koncentruje się na tym, żeby „nie wzbudzać fal”, i osiąga swój cel, stosując wszędzie te same jednolite reguły, bez względu na to, czy w danym przypadku mają one jakikolwiek sens czy nie.

Urzędnik oświaty publicznej musi podjąć szereg istotnych i kontrowersyjnych decyzji dotyczących wzorca formalnego kształcenia obowiązującego na podległym mu obszarze. Musi rozstrzygnąć, czy szkoły powinny być tradycyjne czy nowoczesne, czy powinny propagować wolny rynek czy socjalizm, konkurencję czy egalitaryzm, czy powinny uczyć przedmiotów ogólnych czy przygotowywać do zawodu, czy powinny być koedukacyjne czy też męskie i żeńskie. Musi zdecydować, czy umieścić w programie wychowanie seksualne, czy nadać szkołom charakter wyznaniowy czy świecki, albo pośredni pomiędzy tymi skrajnościami. Rzecz w tym, że bez względu na to, *jak* zdecyduje, to – nawet jeśli jego decyzja zadowoli większość – zawsze pozostanie duża grupa rodziców i dzieci całkowicie pozbawionych takiej szkoły, jakiej pragną. Jeśli wybór urzędnika padnie na tradycyjne wychowanie w szkole, to stracą na tym rodzice o nowoczesnych poglądach i vice versa. Podobnie będzie w przypadku wszystkich innych istotnych decyzji. Im bardziej oświata będzie publiczna, tym bardziej rodzice i uczniowie będą pozbawieni szkół, których potrzebują, i tym częściej bezlitosna jednolitość będzie wypierać potrzeby jednostek i mniejszości.

W rezultacie, im większy jest udział szkół publicznych w oświacie, a im mniejszy – szkół prywatnych, tym większe i ostrzejsze konflikty w społeczeństwie. Jeśli jakiś urząd ma podejmować decyzję, czy w szkołach będzie wychowanie seksualne, czy szkoły będą tradycyjne albo czy będą koedukacyjne itd., to bardzo ważne się staje, żeby zdobyć przewagę w rządzie i zablokować możliwość dojścia do władzy innym. Okazuje się, że w przypadku szkolnictwa, podobnie jak w innych dziedzinach, im więcej decyzji przechodzi z rąk prywatnych w ręce rządu, tym bardziej różne grupy będą skakać sobie do gardeł w rozpaczliwym wyścigu do zapewnienia sobie decyzji zgodnej z własnymi preferencjami.

---

<sup>11</sup> Zobacz: Lloyd P. Jorgenson, "The Oregon School Law of 1922: Passage and Sequel", *Catholic Historical Review* (October 1968), s. 455–460.

Porównajmy sytuację pozbawienia wpływu na decyzje i narastającego konfliktu społecznego, właściwą dla skupienia procesów decyzyjnych w rękach rządu, z sytuacją wolnego rynku. Gdyby oświata była całkowicie prywatna, to każda grupa rodziców stanowiłaby klientelę innego rodzaju szkoły. W odpowiedzi na różne oczekiwania rodziców i uczniów powstałyby setki przeróżnych szkół. Niektóre miałyby profil tradycyjny, inne byłyby nowoczesne, a jeszcze inne – w różnym stopniu nowoczesne i tradycyjne. Część szkół eksperymentowałaby z podejściem egalitarnym i nie używałaby systemu ocen, inne stawiałyby rygorystyczne wymagania i oceniały uczniów. Byłyby szkoły świeckie i szkoły kładące nacisk na wychowanie według różnych norm wyznaniowych, byłyby wreszcie libertariańskie, podkreślające znaczenie cech przydatnych w konkurencji na wolnym rynku i takie, które wyznawałyby różne formy socjalizmu.

Przyjrzyjmy się na przykład obecnej strukturze przemysłu wydawniczego, pamiętając, że czasopisma i książki są również istotną formą kształcenia. Rynek czasopism, który jest względnie wolny, oferuje pisma wszelkich rodzajów, które odpowiadają najróżniejszym gustom i zapotrzebowaniom konsumentów. Znajdziemy pisma ogólnokrajowe o szerokiej tematyce, pisma liberalne, konserwatywne i reprezentujące inne ideologie. Są czasopisma na temat szkoły, a także całe setki pism dotyczących różnych zainteresowań, takich jak brydż, szachy, sprzęt hi-fi itd. Podobna sytuacja panuje na wolnym rynku książki. Są publikacje wielkonakładowe, książki skierowane do wąskich kręgów odbiorców, książki zachwalające określoną ideologię. Gdyby znieść szkoły publiczne, to powstałby wolny, różnorodny rynek usług szkolnych, podobny do tego, jaki panuje w dziedzinie wydawnictw prywatnych. Gdyby natomiast w każdym mieście albo stanie ukazywało się tylko jedno pismo, wybuchłyby walki i spory o to, czy czasopismo ma być konserwatywne czy liberalne, czy socjalistyczne, o to, jak dużo miejsca poświęcić literaturze i brydżowi itd. Pojawilyby się silne naciski i ostre konflikty, których nie można by rozstrzygnąć w sposób satysfakcjonujący wszystkich, ponieważ *każda* decyzja pozbawiałaby niezliczone zastępy ludzi tego, czego chcą i oczekują od pisma. Libertarianin nie postuluje więc żadnych dziwactw – jakby się mogło w pierwszej chwili wydawać – lecz opowiada się po prostu za systemem szkolnym tak nieskrępowanym i różnorodnym, jak nieskrępowana i różnorodna jest produkcja książek, czasopism i innych mediów związanych z edukacją.

Pozostając przy innych metodach kształcenia niż nauka szkolna: jak byśmy przyjęli pomysł rządu federalnego lub stanowego, żeby z pieniędzy podatników sfinansować sieć państwowych czasopism i gazet, a następnie zmusić wszystkich ludzi albo wszystkie dzieci do ich czytania? Co byśmy powiedzieli, gdyby rząd zabronił ponadto wydawania wszystkich innych gazet i czasopism, a w każdym razie tych, które nie spełniają określonych „standardów” albo są niezgodne z poglądami rządowej komisji na temat tego, co dzieci powinny czytać? Bylibyśmy takim pomysłem przerażeni. A przecież taki właśnie reżim rząd wprowadził do szkolnictwa. Przymusowe czytelnictwo prasy państwowej uważalibyśmy słusznie za naruszenie wolności prasy. Tymczasem wolność oświaty jest chyba nie mniej istotna niż wolność prasy? Zarówno prasa, jak i oświata zapewniają dostęp do informacji, możliwość kształcenia się i dociekania prawdy. W gruncie rzeczy tłumienie wolności oświaty powinno budzić większy sprzeciw i przerażenie niż ograniczanie wolności prasy, ponieważ dotyczy ono w sposób bardziej bezpośredni wrażliwych i nieuformowanych umysłów dzieci.

Zastanawiający jest fakt, że przynajmniej niektórzy zwolennicy szkół publicznych zauważyli analogię między szkolnictwem a prasą i zastosowali swój sposób rozumowania w odniesieniu do dziedziny wydawniczej. Skrajnie federalistyczna organizacja Essex Junto, skupiająca handlowców i prawników pochodzących z hrabstwa Essex w stanie Massachusetts, odgrywała ważną rolę w bostońskim świecie politycznym w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XVIII wieku. Panowie z Esseksu szczególnie zabiegali o wprowadzenie systemu szkół publicznych, gdyż miały one nauczyć młodzież „odpowiedniego posłuszeństwa”. Pochodzący z Esseksu Stephen Higginson oświadczył wprost, że „społeczeństwo trzeba nauczyć oddania i czci dla władzy”. Wychodząc z logicznego założenia, że prasa jest tak samo ważnym elementem edukacji jak szkolnictwo, inny wybitny kupiec i teoretyk z Esseksu, Jonathan Jackson, zarzucał wolnej prasie, że schlebia gustom czytelników. Postulował w związku z tym założenie państwowego dziennika, który byłby niezależny od czytelników i dzięki temu mógłby zaszczepiać obywatelom umiłowanie odpowiednich cnót<sup>12</sup>.

<sup>12</sup> Zobacz: David Hackett Fischer, "The Myth of the Esseys Junto", *William and Mary Quarterly* (kwiecień 1964), s. 191–235. Zobacz również: Murray N. Rothbard, "Economic Thought: Comment", w: D. T. Gilchrist, ed., *The Growth of the Seaport Cities, 1700–1825* (Charlottesville, Va.: University Press of Virginia, 1967), s. 178–179.

Profesor E. G. West przeprowadził pouczającą analogię pomiędzy zapewnieniem wykształcenia i zaopatrzeniem w żywność, która jest przecież co najmniej równie niezbędna dzieciom, a także dorosłym. Oto co pisze West:

Ochrona dziecka przed głodem lub niedożywieniem jest chyba równie ważna jak ochrona przed niewiedzą. Trudno jednak sobie wyobrazić rząd, który by w trosce o zapewnienie dzieciom odpowiedniej diety i odzienia wprowadził przepisy nakazujące powszechne i przymusowe żywienie albo nałożył podatki lub opłaty, z których finansowano by lokalne jadłodajnie czy sklepy oferujące dzieciom „darmowe” żywienie. Jeszcze trudniej jest wyobrazić sobie, że ludzie pogodziliby się z takim systemem bezkrytycznie, zwłaszcza gdyby kolejnym krokiem było przypisanie poszczególnych rodzin, „ze względów administracyjnych”, do sklepów położonych najbliżej ich miejsca zamieszkania. (...) Mimo że takie zasady wydają się dziwne, gdyby chcieć je zastosować do zaopatrzenia w żywność i ubranie, to są w najlepsze stosowane w... państwowym systemie oświaty (...) <sup>13</sup>.

Kilku myślicieli libertariańskich, zarówno z „prawego”, jak i z „lewego” skrzydła zwolenników myśli wolnościowej, przeprowadziło miazdzące analizy totalitarnej natury przymusowego szkolnictwa publicznego. Przytoczmy fragment krytyki lewicowego libertarianina brytyjskiego, Herberta Reada:

Ludzie są z natury różni. Podporządkowywanie ich jednemu szablónowi prowadzi nieuchronnie do niepokoju i prześladowań. Musi być wiele rodzajów szkół, posługujących się różnymi metodami dostosowanymi do różnych uzdolnień. Można argumentować, że nawet totalitarne państwo musi brać pod uwagę tę zasadę. Jednakże rozwój różnorodności jest procesem organicznym, polegającym na spontanicznych poszukiwaniach konkretnych celów (...). Cały gmach oświaty, który przedstawiliśmy jako rezultat naturalnego procesu, legnie w gruzach, gdy będziemy usiłowali zbudować go (...) sztucznie <sup>14</sup>.

A wielki angielski filozof końca dziewiętnastego wieku, wyznawca indywidualizmu, Herbert Spencer stawiał pytanie:

Co się kryje za twierdzeniem, że rząd powinien zapewnić ludziom wykształcenie? Dlaczego mają być wykształceni? Cemu ma służyć edukacja? Zapewne przygotowaniu ludzi do życia w społeczeństwie, uczynieniu z nich dobrych obywateli? Ale kto ma rozstrzygać, jak uzyskać dobrego obywatela? Rząd, bo nie ma innego sędziego. A zatem proponuje się rzecz następującą: rząd powinien wychowywać dzieci na dobrych obywateli (...). Rząd musi więc najpierw wypracować określoną koncepcję wzorca dobrego obywatela, a następnie zaprojektować system wychowania, który będzie wytwarzał obywateli najlepiej pasujących do tego wzorca. Ten system będzie musiał wprowadzić z całą bezwzględnością. W przeciwnym bowiem razie pozwoli na to, by ludzie stawiali się inni, niż powinni się stawać według jego założeń, a to by oznaczało, że nie wypełnia obowiązku swoich obowiązków <sup>15</sup>.

Dwudziestowieczna pisarka amerykańska, zwolenniczka indywidualizmu, Isabel Paterson oświadczyła:

Używane w szkołach teksty są z konieczności nieobiektywne pod względem doboru tematyki, języka i poglądów. Kiedy nauka odbywa się w prywatnych szkołach, zapewniona jest różnorodność, a rodzice – na podstawie programu – mogą sami ocenić, czy chcą, żeby ich dziecko uczyło się w danej szkole. (...) W programach dla szkół publicznych nie znajdziemy wprowadzić wskazówki, by wpajać uczniom „filozofię państwa jako dobra nadrzędnego”. Ale każdy zależny od państwa system oświatowy prędzej czy później będzie próbował zaszczerpić doktrynę o wyższości państwa – w formie wykładu o władzy monarszej pochodzącej od Boga albo władzy będącej wyrazem „woli ludu” w ustroju „demokratycznym”. Gdy raz taka filozofia zostanie wpojona, tylko nadludzkim wysiłkiem można się wyrwać z oków panowania państwa nad życiem obywatela. Państwo trzyma w swoich szponach ciało, własność i umysł jednostki od jej dzieciństwa. Prędzej by ośmiornica wypuściła swą ofiarę.

<sup>13</sup> E. G. West, *Education and the State* (London: Institute of Economic Affairs, 1965), s. 13–14.

<sup>14</sup> Herbert Read, *The Education of Free Men* (London: Freedom Press, 1944), s. 27–28.

<sup>15</sup> Herbert Spencer, *Social Statics* (London: John Chapman, 1851), s. 332–333.

Utrzymywany z podatków system obowiązkowego szkolnictwa stanowi doskonały model państwa totalitarnego<sup>16</sup>.

Jak zauważył E. G. West, względy biurokratyczne powodują, że stany wprowadzają geograficzną rejonizację szkół i zmuszają dzieci do korzystania ze szkoły, która znajduje się najbliżej miejsca zamieszkania. Gdyby istniał wolny rynek prywatnych szkół, dzieci też chodziłyby zapewne do najbliższej szkoły, ale obecny system narzuca monopol jednej szkoły w rejonie i wymusza w ten sposób jednolitość dla całej okolicy. Dzieci, które z jakiegoś powodu wołałyby chodzić do szkoły w innym rejonie, nie mogą tego zrobić. W rezultacie powstaje sztuczna geograficzna jednorodność, która oznacza również, że charakter każdej szkoły jest całkowicie zależny od tego, kto w danej okolicy mieszka. Szkoły nie są więc jednolite w ogóle, lecz jednolite wewnątrz danego rejonu. Pochodzenie społeczne uczniów, budżet szkoły i jakość nauczania zależą od systemu wartości, zamożności i wysokości podatków w danym rejonie. Nieuchronne jest więc, że w bogatszych rejonach szkoły będzie stać na lepszych nauczycieli, wyższe płace i lepsze warunki pracy niż w rejonach biedniejszych. Praca w lepszej szkole będzie oznaczała lepszą posadę dla nauczyciela i lepsi nauczyciele przejdą stopniowo do lepszych rejonów, a gorsi zostaną w rejonach biedniejszych. System rejonizacji szkolnej doprowadza więc z konieczności do zaprzeczenia egalitarnego założenia, leżącego u podstaw koncepcji szkolnictwa publicznego.

Jeśli ponadto w poszczególnych dzielnicach przeważają mieszkańcy jednej rasy – a tak często bywa – to szkolny monopol geograficzny prowadzi do przymusowej segregacji rasowej w szkołach. Rodzice, którzy wołają szkoły wielorasowe, muszą sprzeciwić się systemowi rejonizacji. Ktoś powiedział dowcipnie, że obecnie „jeśli coś nie jest zabronione, to jest przymusowe”. Jak się okazuje, najnowsza inicjatywa urzędników oświatowych polegająca na wprowadzeniu autobusów szkolnych nie ma na celu zwiększenia kontroli rodzicielskiej nad dziećmi. Przeciwnie, chodzi o przymusowe dowożenie dzieci w celu integracji rasowej w poszczególnych szkołach. Doprowadza to często do humorystycznych sytuacji, kiedy dziecko jest dowożone do szkoły położonej w dużej odległości od miejsca zamieszkania. Mamy tu znów do czynienia z rozumowaniem charakterystycznym dla rządu: albo przymusowa segregacja, albo przymusowa integracja. Logika dobrowolności – pozostawienia każdemu rodzicowi wyboru – nie mieści się w schematach myślenia biurokracji państwowej.

Co ciekawe, powstałe ostatnio stowarzyszenia rodziców na rzecz kontroli szkół publicznych bywają określane jako „skrajnie prawicowe”, a innym razem – jako „skrajnie lewicowe”, podczas gdy w obu przypadkach wolnościowy cel jest ten sam. Kiedy rodzice zaprotestowali przeciwko przymusowemu korzystaniu z autobusów szkolnych dowożących dzieci do odległych szkół, władze oświatowe oskarżyły ich stowarzyszenie o dogmatyzm i prawicowość. Gdy jednak rodzice murzyńscy zażądali – jak na przykład w Ocean Hill-Brownsville w Nowym Jorku – możliwości kontrolowania szkół publicznych, zostali z kolei okrzykami skrajnymi lewicowcami i nihilistami. Najdziwniejsze w tej sprawie jest to, że rodzice w obu przypadkach nie zauważyli, że ich wspólnym dążeniem było przejęcie lokalnej, społecznej kontroli nad szkołami, i oskarżali się nawzajem to o dogmatyzm, to o rewolucyjność. Na nieszczęście ani białym, ani czarnym rodzicom nie przyszło do głowy, że łączy ich wspólny wróg, jakim jest oświatowy establishment, i że ich wspólnym celem powinno być obalenie dyktatorskiej władzy biurokratów nad wychowaniem dzieci według wzorca, który *urzędnik* uznaje za konieczny do zaaplikowania krnąbrnym masom. Przed libertarianami stoi ważne zadanie uświadomienia rodzicom, że ich wspólnym celem jest zrzucenie państwowej tyranii oświatowej. Trzeba oczywiście podkreślać, że rodzicom *nigdy* nie uda się pozbyć państwowego garbu, jeśli nie zostanie zniesiony system szkół publicznych i nie przywróci się wolnej oświaty.

W całym kraju, a zwłaszcza w rejonach podmiejskich, zasada rejonizacji szkolnej doprowadziła do sztucznego podziału mieszkańców w zależności od wysokości dochodów i rasy. Jak wszyscy wiemy, od zakończenia drugiej wojny światowej w Stanach Zjednoczonych obserwuje się wzrost zaludnienia, ale nie w centrach miast, lecz na przedmieściach. Gdy młodzi rodzice zaczęli się sprowadzać do dzielnic podmiejskich, budżety lokalne musiały przeznaczać coraz więcej środków na szkoły publiczne dla rosnącej liczby dzieci. Pieniądze na szkoły pochodzą zawsze z systematycznie podwyższanych podatków majątkowych, które są największe w rejonach podmiejskich. Oznacza to, że im rodzina jest bogatsza i im droższy jej dom, tym większy będzie jej wkład w finansowanie lokalnej szkoły. Ponieważ szkoły potrzebują coraz więcej pieniędzy i podatki rosną, to bogatsze rodziny z podmiejskich dzielnic rezydencyjnych starają się za wszelką cenę spowodować, żeby w ich okolicy budowano nowe drogie domy i sprowadzali się do nich bogaci mieszkańcy.

<sup>16</sup> Isabel Paterson, *The God of the Machine* (New York: G. P. Putnam, 1943), s. 257–258.



Jednocześnie robią, co mogą, żeby *zniechęcić* biedniejszych obywateli do osiedlania się w ich okolicy. Powyżej określonej wartości domu przekroczony zostaje próg opłacalności, czyli rodzina płaci w podatkach więcej na każde swoje dziecko, niż wynosi średni koszt utrzymania szkoły przypadający na jednego ucznia. Rodziny mieszkające w tańszych domach płacą natomiast mniej, niż kosztuje kształcenie ich dzieci, przerzucają więc częściowo finansowanie edukacji na barki pozostałej części mieszkańców okolicy. Zdając sobie z tego sprawę, lokalne władze wprowadziły rygorystyczne przepisy strefowe, zakazujące budowy domów poniżej określonej wartości w danej strefie i w ten sposób uniemożliwiły napływ uboższych mieszkańców. Ponieważ procent osób ubogich jest dużo wyższy w populacji Murzynów niż białych, to przepisy te uniemożliwiły osiedlanie się Murzynów na bogatych przedmieściach. A że w ostatnich latach dużo zakładów pracy również przenosi się z centrów miast na obrzeża, to wzrasta bezrobocie wśród Murzynów. Tendencja ta będzie się utrzymywać, ponieważ miejsc pracy w miastach ubywa. Zniesienie szkół publicznych i związanych z ich utrzymaniem podatków majątkowych byłoby milowym krokiem na drodze do wyeliminowania przepisów strefowych i położyłoby kres rozwojowi przedmieść jako rezerwatów białych z bogatej klasy średniej.

### **Podatki i dotacje**

Istnienie szkół publicznych pociąga za sobą konieczność utrzymywania skomplikowanego systemu podatków i dotacji, którego nie można usprawiedliwić żadnymi względami moralnymi. Przede wszystkim system publicznej oświaty zmusza rodziców, którzy decydują się na posyłanie dzieci do szkół prywatnych, do ponoszenia podwójnych kosztów. Muszą oni dotować naukę dzieci w szkołach publicznych, a zarazem płacić czesne w szkołach, do których chodzą ich własne dzieci. Tylko spektakularny upadek szkół w wielkich miastach pozwolił tam na rozwój prywatnego szkolnictwa. Ponieważ na wyższych poziomach edukacji upadek ten nie był tak wyraźny, to prywatne *college'e* nie wytrzymują konkurencji dotowanych z podatków, lepiej płacących nauczycielom, darmowych szkół publicznych i są zamykane. Rodzice religijni również są zmuszeni dotować świeckie szkoły publiczne, jako że publiczna oświata na mocy konstytucji musi mieć charakter świecki. „Oddzielenie Kościoła od państwa” jest zasadą szlachetną i spełnia libertariański postulat oddzielenia od państwa *wszystkiego*. W tym przypadku zasada ta przeradza się w swoje zaprzeczenie, gdy zmusza się osoby religijne do świadczenia na rzecz ateistów, wykorzystując do tego państwowy aparat przymusu.

Istnienie szkół publicznych oznacza również, że osoby samotne i małżeństwa bezdzietne muszą dotować rodziny, które mają dzieci. Jakie jest moralne uzasadnienie dla tej praktyki? Zwróćmy uwagę na sprzeczność pojawiającą się, gdy liberał występujący przeciwko posiadaniu dużej liczby dzieci, popiera jednocześnie system szkół publicznych, który nie tylko dopłaca rodzinom posiadającym dzieci, ale dopłaca im *tym więcej, im więcej mają dzieci*. Nie musimy się przyłączać do panującej obecnie histerii przeciwko przyrostowi naturalnemu, żeby zakwestionować sens celowego dofinansowywania przez rząd rodzin wielodzietnych. Oznacza to również, że ubogie osoby samotne i ubogie pary małżeńskie dotują bogate rodziny posiadające dzieci. Czy to ma jakiekolwiek uzasadnienie moralne?

W ostatnich latach zwolennicy szkół publicznych rozpowszechniają ideę, że „każde dziecko ma prawo do nauki” i że w związku z tym podatnicy mają obowiązek finansowania szkół, które umożliwiają skorzystanie z tego prawa. Ta koncepcja całkowicie wypacza pojęcie „prawa”. W znaczeniu filozoficznym „prawo” musi być zakorzenione w naturze człowieka i w rzeczywistości. „Prawo” posiada się i zachowuje zawsze i bez względu na wiek. „Prawo” do samoposiadania, prawo do ochrony swojego życia i własności są prawami, które w sposób oczywisty spełniają te kryteria. W jednakowym stopniu przysługują neandertalczykowi z jaskini, współczesnemu mieszkańcowi Kalkuty i obywatelowi dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Tak rozumiane prawa nie zależą od miejsca i czasu. Tymczasem „prawo do pracy” albo do „trzech posiłków dziennie”, albo do „dwunastu lat nauki” nie może być w ten sposób zagwarantowane. Zauważmy, że w czasach, kiedy żył neandertalczyk, albo w dzisiejszej Kalkucie te rzeczy *nie mogą* istnieć. Gdy mówimy o prawie do czegoś, co jest możliwe do zapewnienia tylko w warunkach nowoczesnej cywilizacji przemysłowej, to nie mówimy w ogóle o prawie naturalnym. Ponadto, libertariańskie pojęcie „prawa” do samoposiadania nie pociąga za sobą konieczności zmuszania jednej grupy ludzi do tego, by zapewniła to „prawo” innej grupie. *Każdy* korzysta z prawa do samoposiadania, bez konieczności wywierania nacisku na inne osoby. Tymczasem „prawo” do nauki może być zapewnione tylko wtedy, gdy zmusi się jednych ludzi do zapewnienia go innym. Tak więc „prawo” do nauki, do pracy, do trzech posiłków dziennie itd. nie jest

zakorzenione w naturze człowieka, lecz dla swojej realizacji wymaga istnienia grupy ludzi wyzyskiwanych, którzy są zmuszani do zapewnienia tego „prawa” innym.

Mówiąc o koncepcji „prawa do nauki”, musimy też pamiętać, że nauka w szkole jest tylko niewielkim fragmentem wykształcenia, jakie człowiek zdobywa w ciągu życia. Jeśli mamy zapewnić każdemu dziecku „prawo” do nauki, to czemu nie mówimy również o „prawie” do czytania gazet i czasopism i dlaczego rząd nie wprowadzi podatku, z którego finansowałby wydawanie darmowych gazet państwowych dla wszystkich chętnych?

Ekonomista wykładający na Uniwersytecie w Chicago, profesor Milton Friedman, przeanalizował strukturę rządowych dotacji, w tym również wysokość wydatków na oświatę. Friedman jest niestety zwolennikiem poglądu, że podatnicy powinni zapewnić każdemu dziecku naukę, ale zwraca uwagę, że używanie tego argumentu na rzecz szkolnictwa publicznego obarczone jest błędem *non sequitur*. Podatnik może z powodzeniem dotować naukę każdego dziecka, co nie oznacza wcale, że muszą istnieć szkoły publiczne<sup>17</sup>! Słynny już „projekt bonów” Friedmana zakłada, że rząd wręczy każdemu rodzicowi bon służący do opłacenia określonej wysokości czesnego w *dowolnie* wybranej szkole. System bonów oświatowych utrzymywałby zasadę finansowania nauki każdego dziecka z podatków, ale umożliwiłby zniesienie monstrualnej, monopolistycznej, niewydajnej, dyktatorskiej biurokracji oświaty publicznej. Rodzice mogliby wówczas posyłać dzieci do dowolnie wybranej szkoły prywatnej, a możliwości wyboru byłyby znacznie większe. Uczeń mógłby chodzić do szkoły nowoczesnej albo tradycyjnej, religijnej albo świeckiej, wolnorynkowej lub socjalistycznej, w zależności od przekonań rodziców. Dotacje finansowe nie miałyby nic wspólnego z utrzymywaniem przez państwo systemu szkół publicznych.

Chociaż wprowadzenie w życie planu Friedmana stanowiłoby znaczący krok naprzód w porównaniu z obecną sytuacją – bo zapewniałoby możliwość większego wyboru i otwierało drogę do zniesienia szkół publicznych – to libertarianin uważa, że wielu problemów by nie rozwiązywało. Przede wszystkim nadal obowiązywałaby niemoralna zasada przymusowego dotowania szkół. Po drugie, prawo przydzielania dotacji pociąga za sobą nieuchronnie prawo do narzucania reguł i kontroli. Rząd nie będzie przecież rozdawał bonów, którymi można by opłacać całkiem *dowolny* typ szkół. Opłacałby zapewne bony tych prywatnych szkół, które by zostały uprzednio *zatwierdzone* jako spełniające określone wymagania rządu. Oznaczałoby to drobiazgową kontrolę prywatnych szkół przez państwo, nadzór nad programem, metodami, sposobami finansowania itd. Przyznawanie szkołom prawa do pobierania opłat w bonach dawałoby państwu jeszcze większą władzę nad nimi, niż ma to miejsce obecnie<sup>18</sup>.

Od czasu sprawy oregońskiej nad szkołami prywatnymi nigdy już nie zawisła groźba likwidacji, jednakże szkoły te są poddane licznym regulacjom i ograniczeniom. Ustawodawstwo każdego stanu wymaga, na przykład, żeby wszystkie dzieci uczyły się w szkołach z zatwierdzonymi uprawnieniami. Szkoły muszą więc dostosować swój program nauczania do określonego modelu wymaganego przez rząd. Żeby uzyskać akredytację, muszą spełnić mnóstwo bezsensownych kosztownych warunków. Nauczyciele są zobligowani do ukończenia bezwartościowych kursów „pedagogicznych”, by uznano ich kwalifikacje do wykonywania zawodu. Wiele prywatnych szkół działa obecnie „nielegalnie”, ponieważ odmawiają podporządkowania się często groteskowemu wymaganiu rządu. Największym chyba bezprawiem jest panujący w większości stanów zakaz nauki domowej. Stany nie mogą uznać nauczania przez rodziców za odpowiednią „szkołę”. Tymczasem jest mnóstwo rodziców, którzy mają doskonałe kwalifikacje do uczenia swoich dzieci, zwłaszcza na poziomach podstawowych. Mają nawet lepsze kwalifikacje niż jakiegokolwiek inne osoby, bo najlepiej znają możliwości swojego dziecka, jego tempo uczenia się i mogą dostosować tryb nauczania do indywidualnych potrzeb i zdolności każdego ucznia. Żadna szkoła ze sztywnym podziałem na klasy nie zapewni usług na takim poziomie.

„Darmowe” szkoły, zarówno istniejące obecnie szkoły publiczne, jak i przyszłe szkoły opłacane bonami, nie są oczywiście *naprawdę* darmowe. Ktoś, to znaczy podatnik, musi płacić za ich usługi. Usługa świadczona w oderwaniu od opłaty oznacza, że będzie nadmiar dzieci chętnych do skorzystania z niej (pomijając fakt istnienia obowiązku szkolnego, który prowadzi do tego samego), ale oznacza również brak zainteresowania

<sup>17</sup> Milton Friedman, *Capitalism and Freedom* (Chicago: University of Chicago Press, 1962), s. 85–107.

<sup>18</sup> Z krytyką systemu bonów przeprowadzoną z pozycji libertariańskich można się zapoznać w: George Pearson, *Another Look at Education Vouchers* (Wichita, Kan.: Center for Independent Education).

dziecka poziomem usług, za które rodzice nic nie płacą. W rezultacie dużo dzieci, które nie nadają się do szkoły lub nie są zainteresowane nauką, zamiast spędzać z pożytkiem czas w domu albo pracować, zapędzanych jest do szkół, gdzie przesiadują znacznie dłużej, niż powinny. Mania na punkcie powszechnej oświaty doprowadziła do tego, że mamy mnóstwo dzieci, które czują się nieszczęśliwe i uwięzione, a jednocześnie wszystkim się wydaje, że każdy *musi* skończyć szkołę średnią (a nawet *college*), żeby być zdolnym do pracy. Na to wszystko nakłada się jeszcze histeryczna propaganda „przeciw przerywaniu nauki” w mediach. Za tę sytuację odpowiadają częściowo pracodawcy, którzy chętnie przyjmują do pracy osoby wykwalifikowane, przygotowane do zawodu za pieniądze nieszczęśliwych podatników. Takie osoby nie wymagają już stażu i szkoleń za pieniądze firmy. Dzięki rozkwitowi powszechnego szkolnictwa publicznego pracodawcy przerzucają w ten sposób koszty szkoleń dla swojego personelu na barki podatników.

Można podejrzewać, że w skali kraju są to koszty olbrzymie. Trening, jaki funduje przyszłym pracownikom publiczna oświata i do którego nie dokładają się pracodawcy, jest nieefektywny i o wiele za długi. Coraz więcej jest dowodów na to, że wiedza uzyskiwana obecnie w szkołach jest w dużej mierze zbędna w późniejszej pracy. Arthur Stinchcombe stawia następujące pytanie:

Czy istnieje jakaś dziedzina, w której kwalifikacje osiągnięte przez pracownika fizycznego w szkole, mają istotne znaczenie dla pracodawcy? Czy za dobre wykształcenie kandydata w takiej dziedzinie pracodawca byłby skory zapłacić? Mówiąc ogólnie – nie. Ani predyspozycji fizycznych, ani odpowiedzialności, które są dla pracodawcy najważniejszymi cechami robotnika – nie zdobywa się w szkole. Jeśli pracodawcy zależy na wynajęciu odpowiedzialnych pracowników, może poprosić o dyplom *college'u*, by stwierdzić na jego podstawie, czy dana osoba jest zdyscyplinowana. Ale poza tym może przyuczyć robotników do zawodu lepiej i taniej niż szkoła<sup>19</sup>.

Ponadto, jak zauważył profesor Banfield, większość przydatnych w pracy umiejętności zdobywa się w trakcie jej wykonywania<sup>20</sup>.

Na względną beżużyteczność szkoły publicznej w procesie wykształcenia robotnika wskazują niezwykle interesujące badania przeprowadzone przez prywatną agencję usług edukacyjnych MIND, którą obecnie zarządza Przedsiębiorstwo Rafinerii Kukurydzy w Greenwich. Pracownicy MIND z Connecticut do swoich badań celowo wybrali osoby, które przerwały naukę w szkole średniej i nie miały kwalifikacji do wykonywania nawet prostego zawodu. W ciągu kilku tygodni intensywnego treningu nauczyli oni te osoby podstawowych czynności oraz maszynopisania i przydzielili im zadania na różnych stanowiskach w firmie. Dziesięć lat nauki w szkole dało tym młodym osobom mniej niż kilka tygodni szkolenia w zakresie wykonywania konkretnego zawodu. Gdyby pozwolono młodym ludziom zrezygnować z nauki w szkole, uzyskać niezależność i samodzielnie się utrzymywać, byłoby to z olbrzymim pożytkiem dla nich samych i dla całego społeczeństwa.

Istnieje widoczny związek między przepisami o obowiązku szkolnym a narastającym problemem przestępczości nieletnich, zwłaszcza sfrustrowanych dzieci starszych. Stinchcombe zauważył, że zachowania buntownicze i wykroczenia stanowią „w dużym stopniu reakcję na samą szkołę”. Brytyjski Komitet Crowthera stwierdził, że po wydłużeniu w 1947 roku okresu obowiązku szkolnego do ukończenia 15. roku życia (dotychczas dotyczył on dzieci do ukończenia 14 lat) natychmiast wyraźnie wzrosła liczba przestępstw popełnianych przez czternastolatków, których wcześniej ten obowiązek nie obejmował<sup>21</sup>.

Winę za przymus chodzenia do szkoły ponoszą też częściowo związki zawodowe, które w celu zmniejszenia konkurencji na rynku pracy ze strony ludzi młodych próbują ich zmusić, żeby jak najdłużej pozostawali w instytucjach oświatowych. W ten sposób związki zawodowe do spółki z pracodawcami wywierają potężny nacisk na rzecz przymusowej nauki w szkołach i – co za tym idzie – na rzecz bezrobocia większości młodzieży.

### ***Szkoły wyższe***

<sup>19</sup> Arthur L. Stinchcombe, *Rebellion in a High School* (Chicago Quadrangle Books, 1964), s. 180. Cytat za: Edward C. Banfield, *The Unheavenly City* (Boston Little, Brown & Co, 1970), s. 136.

<sup>20</sup> Banfield, *ibid.*, s. 292.

<sup>21</sup> Banfield, *ibid.*, s. 149 nn.

Wyjawszy przepisy dotyczące obowiązku szkolnego, wszystkie zarzuty przytoczone przeciwko szkołom publicznym można odnieść również do państwowych szkół wyższych. Należy je jednak uzupełnić o istotną uwagę. Coraz więcej wskazuje na to, że dotacje do państwowych szkół wyższych wymuszają finansowanie przez osoby biedniejsze nauki osób zamożniejszych! Są tego trzy zasadnicze powody. Podatek, z którego finansowana jest oświata, nie ma wyraźnej struktury „progresywnej”, tzn. nie powoduje proporcjonalnie większych obciążeń osób zamożniejszych. Studenci i uczniowie szkół pomaturalnych pochodzą zazwyczaj z rodzin bogatszych i to oni – dzięki lepszemu wykształceniu – będą lepiej zarabiać. W ten sposób, za sprawą państwowych szkół pomaturalnych, dochodzi do redystrybucji netto dochodu na rzecz bogatszej części społeczeństwa! Jakie moralne przesłanki za tym przemawiają?

Profesorowie Weisbrod i Hansen prześledzili już ten proces redystrybucji w swoich badaniach dotyczących nauki w szkołach wyższych w stanach Wisconsin i Kalifornia. Stwierdzili oni m.in., że średni dochód rodziny z Wisconsin, której dzieci nie były studentami uczelni stanowych, wynosił w latach 1964-1965 6500 dolarów; natomiast średni dochód rodzin, których dzieci *były* studentami uczelni stanowych, wynosił 9700 dolarów. Dla Kalifornii dane te wynosiły odpowiednio: 7900 dolarów i 12 000 dolarów i niewspółmierność dotacji była jeszcze większa, ponieważ podatek w Kalifornii miał strukturę mniej „progresywną”. Podobny efekt redystrybucji na korzyść bogatszych stwierdził również Douglas Windham w stanie Floryda. Weisbrod i Hansen wyciągnęli ze swoich badań następujący wniosek:

(...) ogólnie mówiąc, w wyniku tych dotacji nierówności społeczne między osobami o różnych dochodach i różnym pochodzeniu raczej się powiększają, a nie zmniejszają. Z dotacji korzystają bowiem osoby zamożniejsze, podczas gdy rodziny o niższych dochodach nie mają do nich dostępu lub nie mogą z nich skorzystać z różnych powodów związanych z ich położeniem materialnym.

Sytuacja jaką stwierdziliśmy w Kalifornii – nierównego podziału dotacji przez państwowe szkoły wyższe – w innych stanach prawdopodobnie była jeszcze bardziej widoczna. W Kalifornii istnieje największa sieć lokalnych kolegiów młodzieżowych (*Junior Colleges*) i w związku z tym największy jest odsetek młodzieży kontynuującej naukę na wyższych uczelniach państwowych. Można więc mieć pewność, że w Kalifornii najmniejszy jest odsetek młodzieży niekorzystającej w ogóle z dotacji<sup>22</sup>.

Prywatne uczelnie nie tylko znajdują się w trudnym położeniu finansowym ze względu na nieuczciwą konkurencję ze strony dotowanych szkół stanowych, ale podlegają również ścisłej kontroli i regulacjom narzuconym przez władze stanowe. W stanie Nowy Jork warunkiem otwarcia jakiejkolwiek instytucji, która miałaby w nazwie słowo „college” albo „uniwersytet”, jest zaksięgowanie zakupu obligacji stanowych na sumę 500 tysięcy dolarów. Przepis ten w sposób oczywisty krzywdzi mniejsze, biedniejsze instytucje oświatowe i uniemożliwia im prowadzenie wyższej szkoły. Regionalne stowarzyszenia kolegiów, posługując się uprawnieniami do udzielania „akredytacji”, mogą też skutecznie eliminować z rynku szkoły, które nie spełniają wymagań władz oświatowych dotyczących programu lub finansów. Organizacje te odmawiają na przykład akredytacji *jakiegokolwiek*, nawet najlepszej szkole, jeśli jest ona kierowana przez właściciela, a nie przez radę powierniczą. Szkoły zarządzane przez właściciela mają znacznie większą motywację do tego, by działać jak najsprawniej, a więc zaspokajać jak najlepiej potrzeby klientów, bo dzięki temu osiągają dobre wyniki finansowe. Przepisy akredytacyjne nakładają więc kolejny ciężar finansowy na prywatne szkoły. Ostatnio Marjorie Webster Junior College, doskonała szkoła w Waszyngtonie, o mało co nie została zamknięta z powodu odmowy akredytacji przez regionalne stowarzyszenie. Mogłoby się wydawać, że stowarzyszenia są instytucjami prywatnymi, a nie państwowymi. Tymczasem działają one tak samo jak rząd federalny, który nieakredytowanym szkołom odmawia, na przykład, przydziału stypendiów i dotacji na darmową naukę byłych żołnierzy<sup>23</sup>.

Niesprawiedliwe traktowanie przez rząd szkół kierowanych przez właścicieli (a także innych instytucji) nie ogranicza się do zasad akredytacji i przydziału stypendiów. Jeszcze bardziej niekorzystne są dla nich przepisy

<sup>22</sup> W. Lee Hansen i Burton A. Weisbrod, *Benefits, Costs, and Finance of Public Higher Education* (Chicago: Markham Pub. Co., 1969), s. 78. Na temat badań z Wisconsin oraz ich porównania z badaniami z Kalifornii zobacz: W. Lee Hansen, "Income Distribution Effects of Higher Education", *American Economic Review, Papers and Proceedings* (maj 1969), s. 335–340. Na temat zagadnienia redystrybucji dochodu narodowego w dzisiejszym „państwie opiekuńczym” na rzecz bogatych zobacz: Leonard Ross, "The Myth that Things are Getting Better", *New York Review of Books* (12 sierpnia, 1971), s. 7–9.

<sup>23</sup> O sprawie Marjorie Webster Junior College pisze James D. Koerner w artykule "The Case of Marjorie Webster", *The Public Interest* (lato 1970), s. 40–64.

dotyczące podatku dochodowego. Szkoły z zarządem powierniczym są zwolnione z podatku, a pozostałe są traktowane jak inne zyskowe przedsięwzięcia i muszą odprowadzać wysokie podatki. Rząd federalny i rządy stanowe powstrzymują w ten sposób rozwój najlepiej rokującej dziedziny prywatnego szkolnictwa. Sposobem wyeliminowania tej niesprawiedliwości, jaki zaproponowałby libertarianin, *nie* jest oczywiście nałożenie takiego samego podatku na szkoły z zarządem powierniczym, tylko zniesienie podatku od szkół prywatnych. Wolnościowa moralność nie polega na tym, żeby wszystkich jednakowo zniewolić, tylko na tym, żeby wypracować jednakową dla wszystkich wolność.

Zarząd powierniczy nie jest dobrym sposobem kierowania instytucją. Po pierwsze, w przeciwieństwie do firm nastawionych na zysk, spółek i spółek prawa handlowego, przedsiębiorstwa zarządzane powierniczo nie mają *właściciela*. Powiernicy *nie mogą* otrzymywać części zysku wypracowanego przez firmę, nie mają więc motywacji, by podnosić wydajność i jakość obsługi klientów. Utrzymują działalność szkoły na jakim takim poziomie, nie dbając szczególnie o poprawę jakości nauczania, koncentrując się tylko na tym, żeby instytucja nie przynosiła zbyt dużych strat. Dodatkowo są skrupowani w decyzjach finansowych przez zapisy statutowe. Zarządowi powierniczemu szkoły nie wolno, na przykład, ratować budżetu, czerpiąc dochody z zamiany części terenu szkoły na płatny parking.

Jeszcze bardziej nieuczciwie traktowani są studenci dzisiejszych *college'ów* zarządzanych powierniczo, które są utrzymywane tylko w niewielkiej części z chesnego, a w przeważającej części z dotacji i darowizn. Przestaje tu obowiązywać normalna wolnorynkowa zasada, że producent sprzedaje towar, a konsument płaci za niego pełną cenę. Oderwanie usługi od opłaty za nią prowadzi do niezadowolenia każdej ze stron. Klienci czują, że za wszystkie sznurki pociągają dyrektorzy. W przeciwieństwie do tej sytuacji, jak zauważył pewien libertarianin w czasie kulminacji fali strajków studenckich w latach sześćdziesiątych, „w Berlitzu nikt nie strajkuje”. Ponieważ „klientami” są w rzeczywistości rządy, fundacje i stowarzyszenia absolwentów, które pokrywają gros kosztów ich działalności, to kształcenie na poziomie wyższym odbywa się w coraz większym stopniu pod dyktando tych organizacji a nie pod kątem dobra studentów. Jak piszą profesorowie Buchanan i Devletoglou:

Zajęcie przez rząd miejsca pomiędzy uczelniami i ich studentami-klientami doprowadziło do sytuacji, w której uniwersytety nie są w stanie spełniać potrzeb i udostępniać środków zgodnie z oczekiwaniami studentów. W celu zapewnienia sobie odpowiednich środków uniwersytety muszą konkurować z innymi działami gospodarki utrzymywanymi z podatków (siłami zbrojnymi, szkołami niższego szczebla, programami opieki społecznej itd.). Potrzeby studentów stają się mniej ważne, a to powoduje niezadowolenie studentów i chaos, z którym mamy obecnie do czynienia. (...) Sama wzrastająca zależność od wsparcia finansowego ze strony rządu, które umożliwia darmową naukę, może być powodem niepokojów<sup>24</sup>.

Libertariańska recepta na bałagan w naszej oświacie jest więc prosta: należy odsunąć rząd od oświaty. Rząd usiłuje indoktrynować i kształtować umysły młodzieży za pomocą systemu szkół publicznych oraz zaprogramować przyszłych przywódców w kontrolowanych przez państwo szkołach wyższych. Zniesienie obowiązku szkolnego sprawiłoby, że szkoły przestałyby pełnić rolę strażników więziennych młodzieży, a tym, którzy lepiej się czują poza szkołą, dawałoby niezależność i możliwość pożytecznej pracy. Zniesienie szkół publicznych oznaczałoby wyeliminowanie podatków majątkowych na szkolnictwo i umożliwiłoby rozwój rozmaitych form nauczania, które spełniałyby najróżniejsze oczekiwania społeczeństwa. Zniesienie szkół państwowych położyłoby kres niesprawiedliwym dotacjom, z których korzystają duże rodziny i które często trafiają do bogatych, obciążając kieszenie biednych. Niszczycielskie koncepcje rządu zmierzające do tego, żeby młodzież ukształtować według pożądanego przez państwo modelu, zostałyby zastąpione działaniami podejmowanymi dobrowolnie – czyli przez prawdziwie wolną oświatę w ramach nauki szkolnej oraz w innych formach.

<sup>24</sup> James M. Buchanan, Nicos E. Devletoglou, *Academia in Anarchy: An Economic Diagnosis* (New York: Basic Books, 1970), s. 32–33.

## Rozdział 8: Opieka społeczna i państwo opiekuńcze

### *Przyczyny kryzysu państwa opiekuńczego*

System opieki społecznej w Stanach Zjednoczonych rozrasta się i coraz bardziej wymyka spod kontroli. Coraz więcej ludzi jest bezczynnych i pozostaje na przymusowym utrzymaniu produktywnej części społeczeństwa. Niemal wszyscy, bez względu na wyznawany światopogląd, zgadzają się, że z systemem dzieje się coś bardzo niedobrego. Kilka liczb i zestawień pozwoli nam przybliżyć niektóre aspekty tego narastającego problemu. W roku 1934, w samym środku największego kryzysu w historii Ameryki, na dzień gospodarczej zapaści, wydatki rządu na opiekę społeczną wyniosły 5,6 miliarda dolarów. Z tej sumy 2,5 miliarda dolarów stanowiły wypłaty zasiłków (*welfare payments*). W roku 1976, w czterdzieści lat po największym ożywieniu gospodarczym w historii Ameryki, kiedy jej społeczeństwo osiągnęło najwyższy poziom życia w historii świata przy stosunkowo niewielkim bezrobociu, wydatki rządu na cele społeczne wyniosły 331,4 miliarda dolarów, z czego 48,9 miliarda dolarów stanowiły zasiłki (*direct welfare*). Suma wydatków państwa na cele społeczne wzrosła w ciągu czterdziestu lat o 5614%, a suma wypłaconych zasiłków – o 1856%. Innymi słowy, wydatki na opiekę społeczną w okresie od 1934 do 1976 roku rosły każdego roku przeciętnie o 133,7%, a zasiłki – o 44,2%.

Gdy przyjrzymy się bliżej zasiłkom, to zauważymy, że w latach 1934–1956 utrzymywały się one na tym samym poziomie, by wystrzelić do niebotycznych rozmiarów wraz z nastaniem powojennej koniunktury. W latach 1950–1976 pomoc społeczna rosła o olbrzymią wartość równą 84,4% rocznie.

Częściowo ten olbrzymi wzrost spowodowany jest przez inflację, która zmniejszyła siłę nabywczą dolara. Jeśli skorygujemy podane liczby o czynnik inflacji, wyrażając wszystkie dane w „dolarach w przeliczeniu na ich wartość z roku 1958” (tzn. za wartość dolara przyjmujemy jego siłę nabywczą z roku 1958), to dane te wyniosą odpowiednio: w roku 1934 całkowite wydatki na opiekę społeczną – 13,7 miliarda dolarów, a na zasiłki – 5,9 miliarda dolarów; w roku 1976 całkowite wydatki na opiekę społeczną – 247,7 miliarda dolarów, a na zasiłki – 36,5 miliarda dolarów.

Nawet po uwzględnieniu inflacji, wydatki rządu na pomoc społeczną wzrosły więc o 1798%, czyli o 42,8%, rocznie przez czterdzieści dwa lata, a zasiłki wzrosły o 519%, czyli 12,4% na rok. Gdy zestawimy dane z lat 1950 i 1976, z uwzględnieniem korekty inflacyjnej, to okaże się, że wydatki na zasiłki wzrosły w tym okresie prosperity o 1077%, czyli o 41% na rok.

Jeśli dodatkowo uwzględnimy wzrost liczby ludności w USA (126 milionów mieszkańców w 1934 roku i 215 milionów w 1976 roku), to wciąż otrzymujemy dziesięciokrotny wzrost wydatków na pomoc społeczną (ze 108 dolarów do 1152 dolarów na osobę w cenach stałych z 1958 roku) oraz ponad trzykrotny wzrost wydatków na zasiłki (z 47 dolarów w 1934 roku do 170 dolarów na osobę w 1976 roku).

Oto porównanie kilku innych liczb. W okresie od roku 1955 do 1976, czyli w latach szybkiego wzrostu gospodarczego, liczba osób korzystających z opieki społecznej wzrosła pięciokrotnie: z 2,2 miliona do 11,2 miliona. W okresie od 1952 roku do 1970 liczba dzieci w wieku do ukończenia osiemnastu lat wzrosła o 42%, a liczba dzieci korzystających z opieki społecznej – o 400%. W okresie od 1960 roku do 1971 liczba ludności utrzymywała się na stałym poziomie, a liczba beneficjentów opieki społecznej w Nowym Jorku wzrosła w tym czasie z 330 tysięcy do 1,2 miliona. Niewątpliwie nadchodzi kryzys systemu opieki społecznej<sup>1</sup>.

Kryzys okazuje się znacznie poważniejszy, gdy do „wydatków na cele społeczne” zaliczy się również wszelkie formy pomocy biednym. Federalna „pomoc dla ubogich” wzrosła w latach 1960–1969 niemal trzykrotnie z 9,5 miliarda do 27,7 miliarda dolarów. Wydatki budżetu państwa i budżetów lokalnych na pomoc społeczną skoczyły z 3,3 miliarda dolarów w roku 1935 do 46 miliardów, czyli wzrosły o 1300%! Suma wydatków federalnych, stanowych i lokalnych na cele społeczne w roku 1969 zamknęła się zawrotną liczbą 73,7 miliarda dolarów.

Większość ludzi traktuje korzystanie z pomocy społecznej jako zjawisko niezależne od klientów systemu opieki, tak jakby było ono rodzajem klęski żywiołowej (takiej jak fala przybojowa lub wybuch wulkanu), na którą nie można mieć wpływu. W potocznym rozumieniu przyczyną korzystania z zasiłków przez pojedyncze

<sup>1</sup> Kolejne roczniki *Statistical Abstract of the United States* zawierają podstawowe dane dla całego kraju. Z danymi dla poszczególnych regionów i z analizą dotyczącą wcześniejszych okresów można się zapoznać w: Henry Hazlitt, *Man vs the Welfare State* (New Rochelle, NY Arlington House, 1969), s. 59–60.

osoby i całe rodziny jest ich „ubóstwo”. Tymczasem, bez względu na to, jakie się przyjmie kryterium ubóstwa i co się uzna za podstawę obliczenia dochodu, nie można zaprzeczyć, że liczba ludzi i rodzin znajdujących się poniżej „granicy ubóstwa” od roku 1930 stale się *zmniejsza*, a nie rośnie. Za spektakularny wzrost świadczeń społecznych nie jest więc odpowiedzialny wzrost ubóstwa.

Rozwiązanie tej zagadki stanie się oczywiste, gdy uświadomimy sobie, że liczba klientów pomocy społecznej podlega mechanizmowi „dodatniego efektu podaży”, co oznacza, że gdy wzrasta *zachęta* do korzystania z opieki społecznej, wzrasta liczba jej klientów; podobnie się dzieje, gdy maleje znaczenie czynników *zniechęcających* do przejścia na zasiłek. Co ciekawe, nikt nie polemizuje z tą prawdą, gdy dotyczy ona jakiegś *innej dziedziny* gospodarki. Przypuśćmy na przykład, że ktoś (nieważne, czy rząd czy zwariowany milioner) oferuje dodatkowych 10 000 dolarów każdemu, kto zgłosi się do pracy w fabryce obuwia. Oczywiście liczba chętnych do pracy w przemyśle obuwniczym znacznie wzrośnie. To samo się stanie, gdy zmniejszy się znaczenie czynników *zniechęcających*, na przykład jeśli rząd obieca, że pracownicy branży obuwniczej będą zwolnieni z podatku dochodowego. Gdy to samo rozumowanie zastosujemy do klientów opieki społecznej, odpowiedź na zagadkę wzrostu wydatków na cele społeczne stanie się oczywista.

Jakie są czynniki zachęcające i zniechęcające do korzystania z pomocy społecznej i jakim ulegały one zmianom? Niezwykle ważnym czynnikiem jest oczywiście *stosunek* dochodu, jaki można uzyskać z opieki społecznej, do dochodu, jaki może dać praca zarobkowa. Załóżmy dla uproszczenia, że „średni” lub rzeczywisty dochód (mówiąc w przybliżeniu: dochód możliwy do uzyskania przez „przeciętnego” pracownika) wynosi w pewnej branży 7000 dolarów na rok. Załóżmy też, że dochód, jaki można uzyskać z opieki społecznej, wynosi 3000 dolarów rocznie. Oznacza to, że zysk netto z tego, że się pracuje, (przed opodatkowaniem) wynosi średnio 4000 dolarów rocznie. Przypuśćmy teraz, że wypłaty z opieki wzrastają do 5000 dolarów (albo średnia płaca maleje do 5000 dolarów). Różnica, czyli zysk netto z pozostawania pracownikiem, zmalała teraz z 4000 dolarów do 2000 dolarów rocznie. Jest zrozumiałe, że w tej sytuacji wzrośnie liczba zarejestrowanych w opiece społecznej (tym bardziej że osoby zarabiające 7000 dolarów będą musiały odprowadzać większe podatki na zasiłki dla rosnącej rzeszy klientów opieki, którzy praktycznie nie płacą podatków). Należy się zatem spodziewać, że jeśli wypłaty z opieki społecznej będą rosły szybciej niż przeciętne płace, to więcej ludzi pobiegnie do biur opieki społecznej. I tak się faktycznie dzieje. Efekt okaże się jeszcze większy, gdy uwzględnimy, że oczywiście nie wszyscy zarabiają „średnią” płacę krajową. Zarejestrować się pobiegną przede wszystkim osoby osiągające dochody poniżej średniej. Co się stanie z osobą zarabiającą 4000 dolarów, gdy w naszym przykładzie zasiłki wzrosną do 5000 dolarów rocznie? Albo z kimś, kto zarabia 5000 dolarów, a nawet 6000 dolarów? Ten, kto osiągał dochód w wysokości 5000 dolarów, czyli w porównaniu z dochodami z opieki społecznej zyskiwał do tej pory na czysto 2000 dolarów, zorientuje się, że jego zysk zmalał do zera i że teraz nie zarabia już więcej niż utrzymywany przez państwo bezrobotny klient opieki społecznej. Ba, po opodatkowaniu zostanie mu nawet mniej! Czy będziemy zaskoczeni, że i on pobiegnie się zarejestrować, by zaczerpnąć z obfitości, jaką mu oferuje państwo opiekuńcze?

W okresie od 1952 do 1970 roku, kiedy pięciokrotnie wzrosła liczba korzystających z opieki społecznej, średni zasiłek na rodzinę wzrósł ponaddwukrotnie, z 87 dolarów do 187 dolarów miesięcznie. Oznaczało to wzrost o 130%, podczas gdy ceny towarów konsumpcyjnych wzrosły w tym czasie tylko o 50%. W roku 1968 Komisja Budżetów Domowych (Citizens Budget Commission) w Nowym Jorku porównała dziesięć stanów, w których wzrost liczby zarejestrowanych w opiece społecznej był największy, z dziesięcioma stanami, w których był on najmniejszy. Komisja stwierdziła, że średnia wypłata w dziesięciu stanach najszybciej zwiększających wydatki na opiekę była dwukrotnie wyższa niż w dziesięciu stanach najwolniej zwiększających te wydatki. (W pierwszej grupie średnia miesięczna wypłata na osobę wynosiła 177 dolarów a w drugiej – tylko 88 dolarów)<sup>2</sup>.

Inny przykład znaczenia wysokich zasiłków i relacji zasiłków do płac podaje Komisja McCone’a zajmująca się analizą rozruchów Watta w roku 1965. Komisja stwierdziła, że minimalne zarobki wynosiły wówczas 220 dolarów miesięcznie. Z tej sumy odchodziły jeszcze wydatki na takie cele związane z wykonywaniem zawodu

<sup>2</sup> Zobacz: Roger A. Freeman, "The Wayward Welfare State", *Modern Age* (jesień 1971), s. 401–402. Profesorowie Brehm i Saving, analizując sytuację w poszczególnych stanach, doszli do wniosku, że w roku 1951 60% klientów opieki społecznej zarejestrowało się ze względu na wysokie wypłaty zasiłków; pod koniec lat pięćdziesiątych było ich już ponad 80%. Por.: C. T. Brehm i T. R. Saving, "The Demand for General Assistance Payments", *American Economic Review* (grudzień 1964), s. 1002–1018.

jak odzież robocza i dojazdy. Rodzina korzystająca z opieki społecznej otrzymywała zaś 177–238 dolarów miesięcznie, z których nie musiała odkładać niczego na wydatki związane z pracą<sup>3</sup>.

Do znacznego wzrostu liczby osób korzystających z opieki społecznej przyczynia się także malejąca liczba czynników wyraźnie zniechęcających do przechodzenia na zasiłek. Przez długi czas takim czynnikiem było przede wszystkim piętno pasożyta, jakie odczuwał na sobie ten, kto żył z zasiłków i – zamiast wytwarzać dochód narodowy – przejadał go. Piętno to znikło ze świadomości społecznej wraz z rozpowszechnieniem się wartości lansowanych przez nowoczesny liberalizm\*. Ponadto różne agendy rządu i sami pracownicy socjalni rozściełali czerwone dywany na powitanie nowych klientów opieki społecznej, a nawet zachęcali ich do tego, by korzystali z pomocy jak najszybciej. Pracownik socjalny w rozumieniu „klasycznym” miał tylko wskazywać ludziom, jak samodzielnie znaleźć wyjście z trudnej sytuacji, jak osiągnąć i utrzymać samowystarczalność, w jaki sposób stanąć na własnych nogach. Klientom opieki społecznej pracownicy socjalni pomagali w tym, by ich nazwisko jak najszybciej *przestało* widnieć na listach bezrobotnych. Obecnie pracownik socjalny ma zadanie dokładnie przeciwne. Usiłuje przekonać jak największą liczbę osób do *korzystania* z opieki, wykazując, że mają do niej „prawo”. Dlatego przejście na zasiłek staje się coraz łatwiejsze, coraz łatwiej jest wykazać, że jest się do niego uprawnionym, coraz prostsze są procedury przy jego uzyskiwaniu, coraz mniej ograniczeń związanych z zameldowaniem, pracą i dochodami ubiegającego się. Gdy jednak ktoś nieśmiało zauważy, że biorący zasiłki powinni być zobligowani do podjęcia oferowanej pracy, to traktowany jest jak zadżumiony reakcjonista. Wraz z zanikaniem negatywnych skojarzeń, jakie dawniej wiązały się z pobieraniem zasiłku, ludzie coraz chętniej i szybciej decydują się na to, by przejść na państwowy garnuszek, zamiast go unikać. O „eksplozji państwa opiekuńczego” w latach sześćdziesiątych w ostrym tonie pisze Irving Kristol:

„Eksplozja” ta została spowodowana – częściowo świadomie, ale głównie przypadkowo – przez urzędników i pracowników zajmujących się polityką społeczną, którzy mieli wdrażać program „walki z ubóstwem”. Często ci sami ludzie, którzy popierali ten program i przyczyniali się do jego wprowadzenia, nie mogli się następnie nadziwić „eksplozji państwa opiekuńczego”. Sporo czasu im zajęło, zanim zauważyli, że przyczynili się do powstania problemu, któremu chcieli zaradzić.

(...) Przyczyny „eksplozji państwa opiekuńczego” w latach sześćdziesiątych były następujące:

1. Liczba osób uprawnionych do korzystania z opieki społecznej wzrasta wraz z rozszerzeniem urzędowej definicji „ubóstwa” i „pozostawania w potrzebie”. Akcja walki z ubóstwem rozszerzyła te definicje, więc uprawnionych automatycznie przybyło.
2. Liczba uprawnionych, którzy zwrócą się o pomoc, wzrasta, gdy pomoc się zwiększa – tak jak to miało miejsce w latach sześćdziesiątych. Gdy zasiłki (i inne świadczenia, takie jak talony na opiekę zdrowotną i żywność) stały się porównywalne z niższymi płacami, to wielu ubogich, kierując się racjonalnymi przesłankami, wybrało zasiłek. Obecnie w Nowym Jorku, podobnie jak w wielu innych wielkich miastach, zasiłki nie tylko konkurują z płacami, ale już je przewyższają.
3. Niechęć do ubiegania się o zasiłek – powodowana wstydem, dumą, niewiedzą lub strachem – maleje, gdy zostanie zorganizowana kampania na rzecz „zarejestrowania” uprawnionych do korzystania z opieki społecznej. Taką skuteczną kampanię przeprowadziły w latach sześćdziesiątych (a) różne organizacje społeczne wspierane i finansowane przez Urząd Pomocy Gospodarczej (*Office of Economic Opportunity*), (b) Ruch Prawa do Opieki Społecznej (*Welfare Rights Movement*), (c) pracownicy socjalni, którymi w tym czasie zostały rzesze absolwentów uczelni, pojmujących swoje zadanie jako zarejestrowanie jak największej liczby ubogich w biurach opieki społecznej, a nie jako pomoc w uniezależnieniu się od tej opieki. Do tego wszystkiego dołączyły sądy, które zniosły szereg utrudnień natury prawnej (takich jak wymaganie stałego zameldowania).

To, że więcej ubogich korzysta z pomocy społecznej, że zasiłki są wyższe niż dawniej, jakoś nie zmieniło tego kraju na lepsze. Nawet dla ubogich żyjących z zasiłku nie stał się on miejscem przyjemniejszym do mieszkania: ich sytuacja nie jest zasadniczo lepsza teraz, niż wówczas, gdy byli

<sup>3</sup> Governor's Commission on the Los Angeles Riots, *Violence in the City – An End or a Beginning?* 2 grudnia 1965, s. 72, według cytatu w: Edward C. Banfield, *The Unheavenly City* (Boston Little, Brown & Co, 1970), s. 288.

\* Należy pamiętać, że w USA termin „liberalizm” odnosi się obecnie do lewicy (*uwaga tłumacza*).



ubogimi bez zasiłków. Najwyraźniej coś poszło nie tak. Pełna współczucia liberalna polityka społeczna zaowocowała mnóstwem skutków odwrotnych do zamierzonych<sup>4</sup>.

W przeszłości pracownikowi socjalnemu przyświecały zupełnie inne cele, zgodne z zasadami libertarianizmu. Przede wszystkim: (a) pomoc i zasiłki pochodziły z dobrowolnie tworzonych funduszy prywatnych organizacji, a nie z danin ściąganych pod przymusem przez rząd; (b) zadanie polegało na tym, żeby ten, kto korzystał z pomocy, odzyskał jak najszybciej niezależność i mógł wykonywać pracę. Oczywiście w ostatecznym rachunku (b) wynika logicznie z (a), ponieważ żadna prywatna organizacja nie ma możliwości wyciskania praktycznie nieograniczonych środków z wiecznie wyzyskiwanych podatników. Fundusze prywatnych instytucji są ściśle ograniczone, w ich przypadku nie może być zatem mowy o „prawie” do pomocy społecznej jako nieograniczonych możliwościach korzystania z owoców pracy innych. Pracownicy socjalni rozumieli też, że ze względu na ograniczenia finansowe wśród korzystających z opieki nie może być miejsca dla symulantów, osób, które odmawiają podjęcia pracy lub traktują pomoc jak łup. Stąd zrodziło się pojęcie ubogiego, który „zasługuje” lub „nie zasługuje” na pomoc. Prowadzone w XIX w. na zasadach leseferystycznych angielskie Stowarzyszenie Pomocy Charytatywnej (Charity Organisation Society) do grona osób niezasługujących na pomoc zaliczało tych, którzy nie są w potrzebie, oszustów oraz osoby, które „z powodu własnej lekkomyślności i niegospodarności nie rokują nadziei na to, że kiedykolwiek będą w stanie uniezależnić się od pomocy (...)”<sup>5</sup>.

Leseferystyczni liberałowie angielscy ogólnie zgadzali się z rządowym programem opieki społecznej nakreślonym przez „ustawę dla ubogich”. Domagali się jednak, by zadbać o silny aspekt zniechęcający do korzystania z opieki społecznej, a więc nie tylko ograniczyć ją przepisami określającymi, kto jest uprawniony do pomocy, ale także stworzyć w przytułkach warunki na tyle nieprzyjemne, by raczej odstręczały niż zachęcały do zamieszkania w noclegowniach. Nadużywaniu pomocy społecznej przez „ubogich niezasługujących” miały zapobiegać warunki „możliwie jak najbardziej dla nich nieprzyjemne, tzn. wymaganie (z zasady), by wykazali się chęcią do pracy lub zamieszkali w przytułku”<sup>6</sup>.

Wyraźnie zaznaczone zniechęcanie do korzystania z opieki jest strategią znacznie lepszą niż wygłaszanie kazań na temat „praw” przysługujących klientom opieki. Z wolnościowego punktu widzenia należy zaniechać wszelkiej pomocy społecznej organizowanej przez rząd i oprzeć ją całkowicie na działalności organizacji prywatnych, których celem byłoby wspieranie „ubogich zasługujących” w ich jak najszybszym powrocie do samodzielności. Do czasu wielkiego kryzysu lat trzydziestych w Stanach Zjednoczonych nie istniała wcale albo prawie wcale państwowa opieka społeczna. Mimo to jednak – i mimo że ogólny poziom życia był wówczas znacznie niższy – ludzie nie umierali masowo z głodu. Bardzo skuteczny prywatny system opieki społecznej prowadzi obecnie trzymilionowy kościół mormonów. Ci niezwykle ludzie, nękanii niedostatkiem i prześladowani, schronili się w XIX wieku w Utah i sąsiednich stanach. Dzięki swojej gospodarności i pracowitości osiągnęli poziom dostatku podobny do reszty społeczeństwa. Tylko nieliczni mormoni korzystają z pomocy społecznej. Uczy ich się, jak być samowystarczalnym, niezależnym i unikać życia z zasiłku. Mormoni są gorliwymi wyznawcami swojej wiary i przyjmują te piękne zasady jako własne. Ponadto kościół mormonów realizuje program prywatnej pomocy społecznej dla swoich członków. Jest on oparty na zasadzie, że osobie potrzebującej należy pomagać w jak najszybszym odzyskaniu niezależności.

Przytoczmy kilka zasad z „Programu opieki społecznej” kościoła mormonów. „Od momentu założenia w roku 1830, kościół zachęca swoich członków do niezależności gospodarczej, popiera gospodarność i przedsiębiorczość dającą zatrudnienie innym osobom. Zawsze jest gotów nieść pomoc pobożnym członkom wspólnoty”. W roku 1936 kościół mormonów opracował „Program pomocy kościelnej (...) – system, dzięki któremu przekleństwo bezrobocia nie miałoby miejsca, plaga zasiłków przestałaby istnieć, a niezależność, przedsiębiorczość, gospodarność i szacunek dla samego siebie znów by zagościły wśród członków naszej wspólnoty. Kościół chce pomóc ludziom w tym, by potrafili sami sobie pomóc. Praca musi stanowić naczelną

<sup>4</sup> Irving Kristol, "Welfare: The best of intentions, the worst of results", *Atlantic Monthly* (sierpień 1971), s. 47.

<sup>5</sup> Charity Organisation Society, *15th Annual Report*, 1883, s. 54; Cytat za: Charles Loch Mowat, *The Charity Organisation Society, 1869–1913* (London: Methuen & Co., 1961), s. 35.

<sup>6</sup> Charity Organisation Society, *2nd Annual Report*, 1870, s. 5; Cytat za: Mowat, *ibid.*, s. 36.

zasadę, którą kierują się w życiu członkowie naszego kościoła”<sup>7</sup>. Pracownicy socjalni kościoła mormonów mają „zgodnie z tą zasadą gorąco przekonywać i zachęcać członków kościoła do możliwie jak największej samowystarczalności. Prawdziwy święty dnia ostatniego nie będzie się nigdy uchylał od obowiązku samodzielnego utrzymywania się, o ile tylko jest fizycznie zdolny do podłożenia mu. Jak długo jest w stanie, z woli Wszechmogącego i dzięki własnej pracy, utrzymywać się samodzielnie, tak długo ma sobie zapewniać środki do życia”<sup>8</sup>. Bezpośrednie zadania programu pomocy to: „1. Znalezienie pracy zarobkowej dla tych, którzy się do niej nadają. 2. Zatrudnienie przy realizacji samego programu pomocy tych, którym nie można znaleźć pracy zarobkowej. 3. Zdobywanie niezbędnych do życia środków, które będą następnie przekazane tym potrzebującym, za których kościół jest odpowiedzialny”<sup>9</sup>. Program powinien opierać się w jak największym stopniu na oddolnie organizowanych, zdecentralizowanych zespołach: „Rozsądne i pożyteczne będzie, jeśli „rodziny, sąsiedzi, zbory, oddziały i inne jednostki organizacyjne kościoła utworzą niewielkie grupy świadczące sobie wzajemną pomoc. Takie grupy mogą wspólnie pracować przy zasiewach i żniwach, produkować żywność, magazynować produkty żywnościowe, odzież i opał oraz wykonywać inne zadania z wzajemnym pożytkiem”<sup>10</sup>.

Do niesienia współbraciom pomocy zobowiązani byli w szczególności biskupi i rady parafialne (*priesthood quorums*): „Biskup w swej posłudze doczesnej udziela tymczasowej pomocy potrzebującym, którzy są zdolni do pracy, aż do momentu, gdy sami mogą sobie pomóc. Rada parafialna udziela stałej pomocy swoim członkom w potrzebie do czasu, gdy zaspokojone zostaną nie tylko ich doczesne potrzeby, lecz także potrzeby duchowe. Dla przykładu, biskup udziela pomocy bezrobotnemu rzemieślnikowi, który znalazł się w potrzebie; rada parafialna pomaga mu w podjęciu pracy i stara się dopilnować, by odzyskał pełną samodzielność i zdolność do wykonywania swoich obowiązków kapłańskich”. Konkretnie zadania, jakie stały przed radami parafialnymi, gdy zachodziła potrzeba pomocy ich członkom, to m.in.: „1. Zapewnienie członkom zboru i ich rodzinom stałej pracy; w niektórych wypadkach może to polegać na szkoleniu w zakresie handlu, terminowaniu lub innych formach podniesienia kwalifikacji w celu uzyskania lepszej pracy. 2. Pomoc członkom zboru i ich rodzinom w założeniu własnego przedsiębiorstwa (...)”<sup>11</sup>.

Podstawowym zadaniem kościoła mormonów jest zapewnienie pracy potrzebującym. „Za znalezienie w ramach Programu Pomocy odpowiedniej pracy dla osób, które jej potrzebują, odpowiedzialni są członkowie rady parafialnej. Wraz z członkami organizacji pomocy humanitarnej powinni stale śledzić informacje na temat możliwości zatrudnienia. Gdy każdy członek oddziałowego komitetu pomocy społecznej wykona dobrze swoje zadanie, większość bezrobotnych znajdzie pracę zarobkową”<sup>12</sup>. Osoby, które postanowią odzyskać samodzielność jako przedsiębiorcy, mogą otrzymać od kościoła niewielki kredyt; jego spłatę z własnych funduszy zagwarantuje zbor, do którego należą kredytobiorcy. Mormoni, którzy nie mogą znaleźć zatrudnienia lub podjąć własnej działalności gospodarczej, „mają wykonywać, o ile to możliwe, prace przy posiadłościach kościelnych (...)”. Kościół wymaga, by otrzymujący pomoc podjął pracę, jeśli tylko jest to możliwe: „Konieczne jest, by osoby pozostające na utrzymaniu biskupów, w miarę swych możliwości dokładały starań, by odpracować pomoc, którą otrzymują (...). Pomoc przy realizowaniu programów opieki społecznej powinna być traktowana jako zajęcie tymczasowe, a nie stała praca. Powinna jednak trwać tak długo, jak długo członek kościoła otrzymuje pomoc od biskupa. W ten oto sposób zaspokojone zostaną potrzeby doczesne i duchowe. Zniknie poczucie niepewności (...)”<sup>13</sup>. W braku innych rozwiązań biskup może

<sup>7</sup> *Welfare Plan of the Church of Jesus Christ of Latter-Day Saints* (The General Church Welfare Committee, 1960), s. i.

<sup>8</sup> *Ibid.*, s. 4.

<sup>9</sup> *Ibid.*, s. 4.

<sup>10</sup> *Ibid.*, p. 5.

<sup>11</sup> *Ibid.*, s. 19.

<sup>12</sup> *Ibid.*, s. 22.

<sup>13</sup> *Ibid.*, s. 25.

osobie potrzebującej pomocy zlecić pracę na rzecz innych członków społeczności, którzy wpłacą do kasy kościelnej równowartość zwyczajowego wynagrodzenia za wykonaną pracę. Ogólnie mówiąc osoby korzystające z pomocy, powinny się za nią odwdziaczyć, przekazując na rzecz kościoła gotówkę lub towary, albo świadcząc pracę<sup>14</sup>.

Ten wszechstronny prywatny system pomocy, oparty na zasadzie wspierania niezależności, uzupełniony jest jeszcze o wyraźne zalecenie, by członkowie kościoła mormonów nie korzystali z pomocy publicznej. „Niech miejscowi urzędnicy kościoła podkreślają, jak ważne jest, by każdy człowiek, każda rodzina i każda wspólnota kościelna była samowystarczalna i niezależna od pomocy publicznej”. Dalej zaś: „Zabieganie o zasiłki i przyjmowanie ich od publicznej opieki społecznej jakże często ściąga na ludzi przekleństwo bezrobocia i sprzyja innym plagom. Niszczy w człowieku ducha niezależności, przedsiębiorczości, gospodarności i poczucie szacunku dla samego siebie”<sup>15</sup>.

Trudno o lepszy wzór prywatnego, dobrowolnego, rozsądnego, dostosowanego do indywidualnych przypadków programu pomocy społecznej niż ten wypracowany przez kościół mormonów. Gdyby zarzucić rządowy system opieki społecznej, w całym kraju zaczęłyby zapewne powstawać, jak grzyby po deszczu, podobne racjonalne programy wzajemnej pomocy.

Pouczający przykład kościoła mormonów stanowi potwierdzenie, że o liczbie i przekroju społecznym osób korzystających z pomocy społecznej decydują przede wszystkim czynniki kulturowe i system wartości moralnych wyznawanych przez społeczność, a nie poziom dochodów. Innym przykładem może być grupa mieszkających w Nowym Jorku imigrantów albańskich.

Amerykanie pochodzenia albańskiego stanowią społeczność bardzo ubogą i w większości mieszkają w nowojorskich slumsach. Jak można sądzić z wyrywkowych danych statystycznych, ich średni dochód jest wyraźnie niższy niż dochody Murzynów i Portorykańczyków, a mimo to mniej się o nich mówi. Dlaczego? Dlatego, że mają poczucie dumy i niezależności. Jeden z ich przywódców powiedział: Albańczycy nie są żebrakami, branie zasiłków jest jak żebranie na ulicy”<sup>16</sup>.

Podobnie jest w przypadku podupadłej, zbiedniałej piętnastotysięcznej społeczności z Northside w Brooklynie (Nowy Jork), która składa się w większości z Amerykanów pochodzenia polskiego, niemal wyłącznie katolików. Jej członkowie, mimo że osiągają niskie dochody i mieszkają w starych, nędznych, rozpadających się budynkach, praktycznie nigdy nie korzystają z pomocy społecznej. Dlaczego? Odpowiedzi udzielił prezes Rady Rozwoju Społeczności Northside Rudolph J. Stobierski: „Oni uważają pomoc społeczną za zniewagę”<sup>17</sup>.

W doskonałej książce *The Unheavenly City* profesor Banfield analizuje czynniki wpływające na wyznawany system wartości. Zwraca uwagę, że istotne znaczenie, oprócz religii i cech narodowych, ma to, czy dana grupa społeczna funkcjonuje według kulturowego wzorca „klasy wyższej” czy „klasy niższej”. Pojęcie „klasy” u Banfielda nie jest ściśle związane z wysokością dochodów lub pozycją, chociaż w dużej mierze pokrywa się z tym powszechnym rozumieniem. W jego definicji „klasy” najważniejszym kryterium jest postawa wobec teraźniejszości i przyszłości. U przedstawicieli klasy wyższej i średniej dominuje działanie nastawione na przyszłość, celowe, racjonalne, uporządkowane. Natomiast przedstawiciele klasy niższej działają z silnym nastawieniem na teraźniejszość, kierują się kaprysem, pobudkami hedonistycznymi, nie mają określonego celu i dlatego nie wykazują konsekwencji w staraniach o stałą posadę ani nie dążą do kariery. W związku z tym klasa wyższa ma *zazwyczaj* lepszą pracę i wyższe zarobki, a klasa niższa jest *zazwyczaj* biedna, bezrobotna i korzysta z pomocy społecznej. Innymi słowy, okazuje się, że sukces finansowy człowieka jest jego dziełem, a nie – jak tego chcą liberałowie – rezultatem oddziaływania czynników zewnętrznych. Banfield przytacza wyniki badań Daniela Rosenblatta dotyczących braku dbałości o zdrowie u biedoty miejskiej, którego podłożem jest „ogólny brak nastawienia na przyszłość”:

<sup>14</sup> *Ibid.*, s. 25, 46.

<sup>15</sup> *Ibid.*, s. 46, 48.

<sup>16</sup> *New York Times*, 13 kwietnia 1970.

<sup>17</sup> Nadine Brozan, w: *New York Times*, 14 lutego 1972.

Na przykład w systemie wartości biedoty miejskiej brak jest miejsca dla dokonywania regularnych przeglądów samochodu, które pozwalałyby wykryć wczesne stadia awarii. Podobny jest stosunek do sprzętów gospodarstwa domowego: zamiast je naprawiać na bieżąco, używa się ich aż do zupełnego zniszczenia i wyrzuca. Chętnie dokonuje się zakupów na raty, nie biorąc pod uwagę, że potem trzeba je przez długi czas spłacać.

Ciało jest uważane za jeszcze jedną rzecz, którą można zużyć, nie reperując jej. Dlatego biedota nie chodzi do dentysty i nie używa sztucznych szczęk, nawet jeśli może je zamówić za darmo, a jeśli już je ma, to ich nie używa. Lekceważone są kontrole u okulisty, nawet przez osoby noszące okulary, chociaż badania okulistyczne są powszechnie dostępne. Przedstawiciel klasy średniej traktuje swoje ciało jak mechanizm, który trzeba konserwować i – za pomocą protetyki, rehabilitacji, chirurgii plastycznej oraz bieżących zabiegów leczniczych – utrzymywać w stanie nadającym się do użytku. Natomiast biedak uważa, że ciało ma określony czas używalności: za młodu jest zdrowe, a z wiekiem grzybieje i wtedy jedyne, co takiemu człowiekowi przychodzi do głowy, to ze stoicyzmem przyjmować ból i cierpienie<sup>18</sup>.

Banfield zauważa, że klasy niższe charakteryzują się o wiele wyższą śmiertelnością i że taki stan rzeczy utrzymuje się od wielu pokoleń. W dużej mierze jej przyczyną jest nie tyle samo ubóstwo lub niskie dochody, co system wartości i obyczajowość przedstawicieli klas niższych. Wśród przyczyn zgonów w klasach niższych na czoło wysuwają się charakterystyczne dla tych środowisk: alkoholizm, narkomania, zabójstwa, choroby weneryczne. Śmiertelność niemowląt u tych społeczności jest również znacznie wyższa i przekracza dwu- lub trzykrotnie śmiertelność niemowląt notowaną w klasach wyższych. Banfield porównuje dwie społeczności, które mieszkaly na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku w Nowym Jorku: imigrantów z Irlandii i rosyjskich Żydów. Jak wynika z tego porównania, za wyższą śmiertelność nie jest odpowiedzialny poziom dochodów, lecz uwarunkowany kulturowo system wartości. Ówczesni imigranci irlandzcy koncentrowali się na teraźniejszości i prezentowali postawę charakterystyczną dla „klas niższych”. Natomiast Żydzi rosyjscy, choć mieszkali w przeludnionych czynszówkach i prawdopodobnie mieli niższe dochody od Irlandczyków, nastawieni byli na przyszłość i prezentowali konsekwentny, charakterystyczny dla „klas wyższych” sposób myślenia. Na początku XX wieku dziesięcioletni imigrant irlandzki dożywał przeciętnie 38 lat, a rosyjski Żyd – ponad 50. Przeprowadzone w latach 1911–1916 badania w siedmiu miastach wykazały, że śmiertelność niemowląt w grupach o najniższych dochodach jest średnio ponadtrzykrotnie wyższa niż w grupach o najwyższych dochodach. Jednakże śmiertelność wśród Żydów rosyjskich była wyjątkowo niska<sup>19</sup>.

Wnioski te potwierdzają się również w przypadku bezrobocia, które wiąże się zarówno z tematem ubóstwa, jak i pomocy społecznej. Banfield powołuje się na wyniki badań profesora Michaela J. Piore'a dotyczących „syndromu bezrobotnego” charakterystycznego dla ubogich osób pozostających bez pracy. Jak ustalił Piore, osoby te nie mają trudności ze znalezieniem stałej, dobrze płatnej pracy ani z przyuczeniem się do jej wykonywania, tylko z brakiem predyspozycji do utrzymania się na stanowisku. Mają one skłonność do wysokiej absencji, porzucają pracę bez wypowiedzenia, są niezdyscyplinowane, a zdarza się, że okradają pracodawcę<sup>20</sup>. Badania rynku pracy w bostońskiej dzielnicy biedoty, prowadzone w 1968 roku przez Petera Doeringera, wykazały, że chociaż około 70% bezrobotnych otrzymało ofertę pracy od miejscowego biura zatrudnienia, to ponad połowa z tych ofert została odrzucona, a spośród osób, które podjęły pracę, tylko 40%

<sup>18</sup> Daniel Rosenblatt, "Barriers to Medical Care for the Urban Poor", w: A. Shostak i W. Gomberg, eds., *New Perspectives on Poverty* (Englewood Cliffs, N.J.: Prentice-Hall, 1965), s. 72–73; cytata za: Banfield, *The Unheavenly City*, s. 286–287.

<sup>19</sup> Zobacz: Banfield, *op. cit.*, s. 210–216, 303. Materiały na temat porównania śmiertelności niemowląt znajdują się w: O. W. Anderson, "Infant Mortality and Social and Cultural Factors: Historical Trends and Current Patterns", w: E. G. Jaco, ed., *Patients, Physicians, and Illness* (New York: The Free Press, 1958), s. 10–22, na temat badań w siedmiu miastach w: R. M. Woodbury, *Causal Factors in Infant Mortality. A Statistical Study Based on Investigation in Eight Cities*, U S Children's Bureau Publication #142 (Washington, DC US Govt Printing Office, 1925), s. 157. Na temat średniej długości życia imigrantów irlandzkich i żydowskich zobacz: James J. Walsh, "Irish Mortality in New York and Pennsylvania", *Studies An Irish Quarterly Review* (December 1921), s. 632. O konieczności zmiany systemu wartości i stylu życia dla zmniejszenia śmiertelności niemowląt pisze C. V. Wilhe i W. B. Rothney w: "Racial, Ethnic and Income Factors in the Epidemiology of Neonatal Mortality", *American Sociological Review* (August 1962), s. 526.

<sup>20</sup> Michael J. Piore, "Public and Private Responsibilities in On-the-job Training of Disadvantaged Workers", MIT Dept of Economics Working Paper #23, czerwiec 1968. Cytat za: Banfield, *op. cit.*, s. 105, 285.

utrzymało się na stanowisku dłużej niż miesiąc. Jak konkluduje Doeringer, „bezrobocie w dzielnicy nędzy jest wynikiem nieumiejętności utrzymania stałego miejsca pracy, a nie braku możliwości zatrudnienia”<sup>21</sup>.

Interesujące będzie porównanie, jak przedstawiają tę powszechną u niższych klas odmowę podjęcia stałej pracy autorzy o diametralnie różnych przekonaniach: z jednej strony chłodny i krytyczny Banfield, a z drugiej – entuzjastycznie nastawiony, lewicowy socjolog Alvin Gouldner. Oto co pisze Banfield: „Mężczyźni nawykli do spędzania życia pod budką z piwem, do utrzymywania się z zasiłków kobiet i do ‘rozrabiania’ rzadko potrafią zaakceptować monotonię, jaka się wiąże z ‘dobrą’ pracą”<sup>22</sup>. Gouldner, zastanawiając się nad tym, dlaczego bezowocne są wysiłki pracowników opieki społecznej, by „odciągnąć tych ludzi od nieodpowiedzialnego, kierującego się zmysłowością i agresją sposobu życia”, zauważa, że inny sposób życia ich nie pociąga. „Wystarczyłoby, żeby zaprzestali zawierania przypadkowych związków seksualnych, porzucili zwyczaj nieskrępowanego wyrażania agresji i niepohamowaną spontaniczność, a oni lub ich dzieci mieliby wstęp do świata z trzema solidnymi posiłkami dziennie, możliwość nauki w szkole średniej, a nawet wyższej, dostęp do rachunków debetowych, możliwość zatrudnienia na dobrych posadach i cieszyliby się szacunkiem”<sup>23</sup>. Zastanawiające jest, że przedstawiciele skrajnie odległych ideologii, jakimi są Banfield i Gouldner, w różny sposób oceniając tę samą sytuację, zgadzają się co do tego, że zasadniczą przyczyną utrzymującego się bezrobocia i ubóstwa wśród przedstawicieli niższych klas społecznych jest ich dobrowolny wybór.

Poglądy Gouldnera są typowe dla dzisiejszych liberałów i lewicowców. Uważa on za skandaliczne sugerowanie klasom niższym, by przejęły burżuazyjny system wartości i zastąpiły nim swoją wspaniałą, naturalnie spontaniczną kulturę. Można się z takim poglądem zgodzić. Tylko dlaczego trzeba jednocześnie godzić się na to, by ciężko pracujący burżuazje musieli wspierać i dotować pasożytniczy system wartości, który jest im obcy; system, który promuje lenistwo i nieodpowiedzialność i zaburza funkcjonowanie każdej społeczności. Jeśli ktoś chce być „spontaniczny”, niech taki będzie ale na własny koszt i ryzyko. Niech weźmie odpowiedzialność za konsekwencje swojej decyzji, a nie wykorzystuje machinę państwowego ucisku do zmuszenia ciężko pracujących „niespontanicznych” członków społeczeństwa do wzięcia tej odpowiedzialności na siebie. Należy po prostu znieść system państwowej opieki społecznej.

Jeśli głównym problemem, z jakim borykają się niższe klasy, jest ich nastawienie na teraźniejszość i jeśli usamodzielnienie osób korzystających z pomocy społecznej wymagałoby wpojenia im zasad „burżuazyjnych” i sposobu myślenia nastawionego na przyszłość (*zgodnie* ze wskazówkami mormonów), to niech przynajmniej te zasady będą szanowane, a nie lekceważone przez społeczeństwo. Tymczasem lewicowo-liberalne podejście pracowników socjalnych odstręcza ubogich od tych wartości, a zachęca do korzystania z pomocy społecznej, która im się „należy” i dostarcza moralnego uzasadnienia dla korzystania z owoców cudzej pracy. To, że pomoc społeczną można tak łatwo otrzymać, niewątpliwie sprzyja myśleniu zorientowanemu na teraźniejszość, niechęci do pracy i nieodpowiedzialności u tych, którzy z tej pomocy korzystają, utrwalając w ten sposób błędne koło ubóstwa i pomocy społecznej. Jak pisze Banfield, „nie ma chyba lepszego sposobu, by przekonać ludzi do myślenia w kategoriach tymczasowości, od przyznania wszystkim hojnych zasiłków”<sup>24</sup>.

Krytyka systemu opieki społecznej ze strony konserwatystów koncentruje się na braku moralnych podstaw do tego, by podatnicy składali się pod przymusem na utrzymanie próżniaków; krytyka ze strony lewicowców skupia się głównie na tym, że uzależnienie „klientów” opieki społecznej od hojności państwa i jego urzędników prowadzi do ich demoralizacji. Obydwa rodzaje krytyki są słuszne i nie przeczą sobie nawzajem. Jak widzieliśmy, programy dobrowolnej pomocy społecznej, takie jak program kościoła mormonów, biorą to

---

<sup>21</sup> Peter B Doeringer, *Ghetto Labor Markets—Problems and Programs*, Harvard Institute of Economic Research, Discussion Paper #33, czerwiec 1968, s. 9, cytata za: Banfield, *op. cit.*, s. 112, 285–286.

<sup>22</sup> Banfield, *ibid.*, s. 105. Również s. 112.

<sup>23</sup> Alvin W. Gouldner, "The Secrets of Organizations", w: *The Social Welfare Forum*, Proceedings of the National Conference on Social Welfare (New York: Columbia University Press, 1963), s. 175; cytata za: Banfield, *op. cit.*, s. 221–222, 305.

<sup>24</sup> Banfield, *op. cit.*, s. 221.

w pełni pod uwagę. Dawni leseferyści krytykowali zasiłki również ze względu na te dwa negatywne czynniki: demoralizację korzystających z pomocy i przymusowe ściąganie składek na świadczenia społeczne.

Dziewiętnastowieczny zwolennik leseferyzmu Thomas Mackay głosił, że reforma systemu opieki społecznej powinna „polegać na odbudowie i rozwinięciu kunsztu korzystania z wolności”. Uważał, że potrzeba jest „nie tyle więcej filantropii, co więcej szacunku dla życia człowieka i więcej zaufania do jego umiejętności samodzielnego odnajdywania drogi do swego zbawienia”. Mackay z pogardą wyraża się o zwolennikach rozbudowania systemu świadczeń społecznych, jako o „namiestnikach filantropii, którzy w ryzykownej pogoni za taną popularnością, posługują się pieniędzmi [podatkami] wydartymi sąsiadom dla roztoczenia złudnych miraży (...) przed tłumem, który tylko czeka na możliwość oddania się w niewolę (...)”<sup>25</sup>. Mackay dodaje, że „prawne ubezpieczenie na wypadek pozbawienia środków do życia”, które towarzyszy wprowadzeniu systemu publicznej opieki społecznej, „grozi poważnymi, niekiedy demoralizującymi, konsekwencjami dla ładu społecznego. Nie ma żadnych dowodów na to, by system taki był rzeczywiście niezbędny. Jego pozorna potrzeba wynika głównie z faktu, że sam przyczynił się do powstania zależnej od siebie grupy ludzi”<sup>26</sup>. Kontynuując rozważania na temat popadnięcia w zależność, Mackay zauważa, że „najdotkliwszym aspektem ubóstwa jest nie sama bieda, tylko poczucie zależności, które wszak z konieczności towarzyszy każdej formie pomocy społecznej. Nie da się tego czynnika wyeliminować, ale lansowana przez liberałów pomoc publiczna jeszcze potęguje jego oddziaływanie”<sup>27</sup>.

Konkludując, Mackay stwierdza, że „jedynym sposobem, jakim może się posłużyć ustawodawca lub rząd dla zmniejszenia rozmiarów ubóstwa, jest zniesienie lub ograniczenie prawnego umocowania nędzy. Nie ma wątpliwości, że w państwie znajdzie się dokładnie tylu biedaków, dla ilu przeznaczy się zasiłki. Gdy się zniesie lub ograniczy ten przepis (...), powstaną nowe instytucje powołane z ducha niezależności, z naturalnej potrzeby więzi i przyjaźni, a wśród nich widziałbym prywatne organizacje charytatywne, a nie pomoc publiczną (...)”<sup>28</sup>.

Stowarzyszenie Pomocy Charytatywnej, wiodąca prywatna organizacja charytatywna działająca pod koniec XIX wieku w Anglii, kierowało się takimi właśnie zasadami w celu stymulowania samopomocy. Jak pisze jego historyk Mowat: „Stowarzyszenie wcielało w życie ideę pomocy, która miała niwelować podziały społeczne, eliminować ubóstwo i budować szczęśliwą, samowystarczalną wspólnotę. Za najdotkliwszy aspekt ubóstwa uważało wypaczenie osobowości człowieka żyjącego w niedostatku. Pomoc przyznawana masowo z urzędu pogarszała tylko stan rzeczy, prowadziła do demoralizacji. Prawdziwe miłosierdzie opiera się na przyjaźni, trosce i polega na takim rodzaju pomocy, który pozwala na odzyskanie szacunku do samego siebie i zdolności do utrzymania swojej rodziny”<sup>29</sup>.

Jednym z najbardziej przygnębiających skutków istnienia publicznej opieki społecznej jest to, że zniechęca ona do wydobycia się z kłopotów o własnych siłach, odbierając motywację finansową do rehabilitacji. Według szacunkowych danych każdy dolar wydany na rehabilitację przez osobę niepełnosprawną, przynosi średnio 10–17 dolarów zysku w postaci zwiększenia jej przyszłych zarobków (według stałej wartości dolara). Ale ponieważ odzyskanie sprawności oznacza utratę uprawnień do zasiłku, do świadczeń z funduszu ubezpieczeń społecznych i odszkodowania pracowniczego, to brak jest motywacji do odzyskania sprawności. Dlatego większość niepełnosprawnych nie decyduje się na zainwestowanie we własną rehabilitację<sup>30</sup>. Wiele osób powstrzymuje się również od podejmowania pracy zarobkowej po osiągnięciu 62. roku życia, ponieważ

---

<sup>25</sup> Thomas Mackay, *Methods of Social Reform* (London: John Murray, 1896), s. 13.

<sup>26</sup> *Ibid.*, s. 38–39.

<sup>27</sup> *Ibid.*, s. 259–260.

<sup>28</sup> *Ibid.*, s. 268–269.

<sup>29</sup> Mowat, *op. cit.*, s. 1–2.

<sup>30</sup> Estelle James, "Review of *The Economics of Vocational Rehabilitation*," *American Economic Review* (czerwiec 1966), s. 642; zobacz też: Yale Brozen, "Welfare Without the Welfare State", *The Freeman* (grudzień 1966), s. 50–51.

system ubezpieczeń społecznych – w przeciwieństwie do prywatnych funduszy ubezpieczeniowych – karze za taką beczelność odebraniem świadczeń.

Mimo że obecnie większość ludzi niechętnie patrzy na wzrost zaludnienia, niewielu przeciwników przyrostu naturalnego zwróciło uwagę na jeszcze jeden niekorzystny aspekt opieki społecznej. Ponieważ rodziny korzystające z pomocy społecznej otrzymują zasiłek w wysokości proporcjonalnej do liczby posiadanych dzieci, to system stwarza zachętę do wielodzietności. W dodatku na tę zachętę szczególnie podatne są osoby, których nie stać na posiadanie dzieci. Nieuchronnym rezultatem jest utrwalenie zależności od pomocy społecznej i produkcja kolejnych pokoleń trwale uzależnionych od zasiłków.

W ostatnich latach dużo mówiło się na temat potrzeby zorganizowania przez rząd ośrodków opieki dziennej dla dzieci, których matki pracują. Widocznie rynek zawiódł i nie oferuje tej niezwykle potrzebnej usługi.

Ponieważ jednak zadaniem rynku jest spełnianie potrzeb konsumentów, to powstaje pytanie, *dłaczego* w tym wypadku rynek zawodzi. Otóż dlatego, że prowadzenie tego typu usług rząd obwarował mnóstwem uciążliwych i kosztownych warunków. Kiedy oddajemy dziecko pod opiekę rodziny lub znajomych, to działamy jak najbardziej zgodnie z prawem, bez względu na to, kim są te osoby, jakie mają warunki lokalowe. Możemy też zlecić opiekę nad jednym lub dwojgiem dzieci naszemu sąsiadowi, ale niech no tylko ten sąsiad zechce trochę rozwinąć działalność – natychmiast dosięgnie go zemsta ze strony państwa. Państwo uważa za konieczne, by takie ośrodki dziennej opieki były prowadzone na podstawie licencji, a licencję otrzymywałyby tylko te z nich, które zatrudniają na stałe wykwalifikowane opiekunki oraz posiadają określonej wielkości plac zabaw i pomieszczenia. Jest jeszcze mnóstwo innych absurdalnych i kosztownych warunków, które trzeba spełnić, by opiekować się dziećmi, a których rząd nie nakłada na znajomych, krewnych i sąsiadów, ani – zauważmy – na same matki. Gdyby tylko znieść te ograniczenia, rynek natychmiast zareagowałby zaspokojeniem potrzeby.

Poeta Ned O’Gorman od trzynastu lat prowadzi z powodzeniem skromny, finansowany z prywatnych pieniędzy ośrodek opieki dziennej w Harlemie. Istnieje obawa, że będzie musiał zamknąć swój interes z powodu biurokratycznych ograniczeń narzuconych przez władze Nowego Jorku. Władze przyznają wprawdzie, że ośrodek O’Goremana, The Storefront, „jest prowadzony sprawnie i z oddaniem”, ale grozi mu jednocześnie nałożeniem grzywny, a w skrajnym przypadku zamknięciem, jeśli nie zatrudni pracownika socjalnego z państwowymi uprawnieniami, który będzie obecny wszędzie tam, gdzie znajduje się pięcioro lub więcej dzieci. O’Gorman kwituje to polecenie z oburzeniem:

Dłaczego, do licha, zmusza się mnie, żebym zatrudnił kogoś, kto ma świstek stwierdzający, że uczył się zawodu pracownika opieki społecznej i że ma kwalifikacje do prowadzenia ośrodka opieki dziennej? Jeśli po trzynastu latach prowadzenia swojego ośrodka w Harlemie nie mam jeszcze odpowiednich kwalifikacji, to kto je ma?<sup>31</sup>

Przykład ośrodków opieki dziennej pokazuje ważną prawdę na temat działania rynku: jeśli wydaje się, że brak jest jakiejś usługi lub towaru na rynku, to przyczyną problemu jest zapewne rząd. Gdy pozwoli się rynkowi działać, ośrodków opieki nie będzie brakowało, tak jak nie brakuje moteli, pralek, telewizorów ani mnóstwa innych przedmiotów codziennego użytku.

### ***Podatki i dotacje państwa opiekuńczego***

Czy współczesne państwo opiekuńcze naprawdę pomaga biednym? Panuje powszechna opinia, że państwo opiekuńcze dokonuje redystrybucji dochodu i bogactwa, zabierając środki bogatym i przekazując je biednym. To przekonanie stanowi napęd i podstawę trwania systemu państwowej opieki społecznej. Dzięki progresywnym podatkom pieniądze są ściągane od bogatych, by następnie liczne instytucje rozdzieliły je między biednych. Jednakże nawet gorący zwolennicy i współtwórcy państwa opiekuńczego, jakimi są liberałowie, zaczynają się orientować, że to przekonanie jest w każdym calu zaledwie pobożnym życzeniem. Państwowe kontrakty, zwłaszcza w przemyśle zbrojeniowym, kierują fundusze uzyskane z podatków do kieszeni uprzywilejowanych korporacji i dobrze opłacanych robotników przemysłowych. Przepisy dotyczące płacy minimalnej przyczyniają się do dramatycznego wzrostu bezrobocia, zwłaszcza wśród najbiedniejszych oraz wśród niewykształconych lub niewykwalifikowanych robotników, takich jak młodzi Murzyni – mieszkańcy miejskich gett na Południu i inne osoby niezdolne do pracy. Płaca minimalna nie gwarantuje

<sup>31</sup> "Poet and Agency at Odds Over His Day-Care Center", *New York Times* (17 kwietnia 1978), s. 82.

przecież nikomu zatrudnienia. Uniemożliwia tylko, z mocy prawa, wynajęcie się do pracy za stawkę, która byłaby opłacalna dla pracodawcy. Skazuje więc na bezrobocie. Ekonomisci udowodnili, że wprowadzona przez rząd federalny podwyżka płacy minimalnej jest odpowiedzialna za powszechnie znany problem bezrobocia wśród murzyńskich nastolatków. Spowodowała wzrost liczby bezrobotnych nastolatków murzyńskich z 8% (zaraz po wojnie) do ponad 35% (obecnie). Taki poziom bezrobocia wśród czarnych nastolatków stanowi większe nieszczęście niż powszechne bezrobocie w latach trzydziestych (20–25%)<sup>32</sup>.

Pokazaliśmy już, w jaki sposób państwowe szkoły wyższe przyczyniają się do redystrybucji dochodu narodowego na niekorzyść uboższej części społeczeństwa. Mnóstwo rządowych restrykcji dotyczy coraz większej liczby zawodów, uniemożliwiając zatrudnienie na wielu stanowiskach osób o niższych kwalifikacjach. Okazuje się też, że programy odnowy miast, w założeniu mające pomóc biednym mieszkańcom dzielnic slumsów, w rzeczywistości polegają na niszczeniu ich domostw i przymusowym przesiedlaniu do jeszcze bardziej zatłoczonych i jeszcze trudniej dostępnych mieszkań. Wszystko to z korzyścią dla bogatszych, dotowanych najemców, związkowców z branży budowlanej, uprzywilejowanych deweloperów nieruchomości i zasobnych firm. Powoli dla większości ludzi staje się jasne, że związki zawodowe, do niedawna pieszczoł liberałów, wykorzystują nadane przez rząd przywileje, by pozbyć się osób biedniejszych i przedstawicieli mniejszych grup zawodowych. Dopłaty do cen produktów rolnych, wywindowane przez rząd do najwyższego poziomu w historii, wymuszają na podatnikach coraz większe obciążenia, przyczyniając się tylko do dalszego wzrostu cen żywności. Najbardziej cierpią na tym mniej zamożni konsumenci, a największe korzyści czerpią wcale *nie* ubodzy rolnicy, tylko bogaci farmerzy dysponujący największymi arealami. (Ponieważ dopłata dotyczy każdego funta lub buszla produkcji, na programie najbardziej korzystają bogaci rolnicy; a że farmerom płaci się często za to, żeby *nie* produkowali, pola obszarników leżą odłogiem, a liczba bezrobotnych w najbiedniejszej grupie rolników – dzierżawców ziemskich i robotników rolnych – jest zastraszająca). Przepisy strefowe, dotyczące rozrastających się przedmieść, służą powstrzymaniu biedniejszych obywateli od osiedlania się w dzielnicach podmiejskich. W ten sposób bariera prawna bardzo często uniemożliwia Murzynom przeniesienie się z centrum miasta na przedmieścia, gdzie jest łatwiej o pracę. Amerykańska poczta podniosła ceny na monopolistyczne usługi świadczone dla ogółu ludności, żeby dotować dostawy gazet i czasopism. Federalny Urząd Budownictwa Mieszkaniowego dopłaca do kredytów hipotecznych dobrze sytuowanych właścicieli nieruchomości. Federalne Biuro Melioracji dotuje prace melioracyjne służące bogatym farmerom na Zachodzie, pozbawiając w ten sposób wody ubogich mieszkańców miast i zmuszając ich do wyższych opłat za jej dostawę. Zarząd Elektryfikacji Wsi oraz Zarząd Doliny Rzeki Tennessee (Tennessee Valley Authority – właściciel i zarządca systemu tam na rzece Tennessee – *uwaga tłum.*) dotują usługi energetyczne dla zasobnych rolników, mieszkańców dzielnic podmiejskich i korporacji. Jak zauważa z ironią profesor Brozen: „Energia elektryczna dla dotkniętych nędzą Aluminium Corporation of America i zakładów DuPont dotowana jest przez zwolnienie podatkowe przysługujące Tennessee Valley Authority (27% ceny energii elektrycznej stanowią podatki narzucone na prywatne elektrownie)”<sup>33</sup>. Rządowe regulacje monopolizują i kartelizują dużą część przemysłu, powodując wzrost cen detalicznych, ograniczając produkcję i utrudniając konkurencję oraz podnoszenie jakości produktów (np. regulacje w dziedzinie transportu kolejowego, służb komunalnych, linii lotniczych, przepisy dotyczące kwot wydobywania ropy naftowej). Główny Inspektorat Lotnictwa Cywilnego przydziela połączenia uprzywilejowanym liniom lotniczym i nie wpuszcza na rynek mniejszych konkurencyjnych firm, a nawet je z niego wyklucza. Stanowe i federalne limity wydobywania ropy naftowej ustalają górną granicę wydobywania, przyczyniając się do wzrostu cen, które podbijane są jeszcze przez ograniczenia w imporcie. W całym kraju rząd ustanawia w poszczególnych regionach monopole gazu, elektryczności i telekomunikacji. Firmy dostarczające te produkty chronione są przed konkurencją i mają zapewniony zysk dzięki odgórnie ustalonym cennikom. Wszędzie i w każdej dziedzinie postępuje ten sam proces systematycznego obciążania społeczeństwa kosztami działania „państwa opiekuńczego”<sup>34</sup>.

<sup>32</sup> Wśród licznych opracowań na ten temat na szczególną uwagę zasługują: Yale Brozen i Milton Friedman, *The Minimum Wage: Who Pays?* (Washington, D.C.: Free Society Association, kwiecień 1966) oraz: John M. Peterson and Charles T. Stewart, Jr., *Employment Effects of Minimum Wage Rates* (Washington, D.C.: American Enterprise Institute, sierpień 1969).

<sup>33</sup> Brozen, "Welfare Without the Welfare State", s. 48–49.

<sup>34</sup> W uzupełnieniu do: Brozen, *op. cit.*, zob. Yale Brozen, "The Untruth of the Obvious", *The Freeman* (czerwiec 1968), ss 328–340. Zobacz też: Yale Brozen, "The Revival of Traditional Liberalism", *New Individualist Review* (wiosna 1965), s. 3–12, Sam Peltzman, "CAB Freedom from



Większość ludzi jest przekonana, że system podatkowy w Ameryce nakłada o wiele większe obciążenia na ludzi bogatych niż na biednych i umożliwia w ten sposób redystrybucję dochodu narodowego z korzyścią dla uboższej części społeczeństwa. (Istnieje, oczywiście, wiele *innych* rodzajów redystrybucji, np. wspieranie przez podatników zakładów Lockheed lub General Dynamics). Okazuje się jednak, że nawet federalny podatek dochodowy, który uważany jest przez wszystkich za „progresywny” (czyli ze znacznie wyższymi stawkami dla bogatych niż dla biednych i średnimi dla średniozamożnych) działa inaczej, gdy mu się przyjrzeć z bliska. Podatek na ubezpieczenia społeczne ma, na przykład, charakter jawnie i beczelnie „regresywny”. Za jego pomocą oskubuje się ubogich i średniozamożnych: dla osoby uzyskującej dochód podstawowy (8000 dolarów) wynosi tyle samo, co dla zarabiającej milion dolarów i z roku na rok jeszcze wzrasta. Zyski kapitałowe, osiągane najczęściej przez bogatych akcjonariuszy i właścicieli nieruchomości, opodatkowane są według znacznie niższych stawek niż dochody innego rodzaju. Prywatne trusty i fundacje są zwolnione z podatków. Również zyski z obligacji państwowych i samorządowych są nieopodatkowane. Podsumujmy te dane w postaci zestawienia, pokazującego, jaki procent dochodu jest odprowadzany w podatkach federalnych do kasy państwa przez poszczególne „grupy dochodów”:

1965

<i>Grupa o rocznym dochodzie:</i>	<i>Procent dochodu odprowadzony jako podatek federalny</i>
Poniżej \$2000	19
\$2000–\$4000	16
\$4000–\$6000	17
\$6000–\$8000	17
\$8000–\$10 000	18
\$10 000–\$15 000	19
Powyżej \$15 000	<u>32</u>

Średnio: 22

Trudno więc mówić o podatkach federalnych, że są „progresywne”, a wypadkowa podatku stanowego i lokalnego daje już podatek o charakterze wyraźnie „regresywnym”. Podatki majątkowe są (a) proporcjonalne, (b) uderzają tylko we właścicieli nieruchomości i (c) zależą od kaprysu miejscowych urzędników skarbowych. Podatek od wartości dodanej i akcyza uderza najbardziej w ubogich. Poniżej podajemy dane dotyczące procentu dochodu odprowadzanego w postaci zsumowanych podatków federalnego i lokalnego:

1965

<i>Grupa o rocznym dochodzie:</i>	<i>Procent dochodu odprowadzony jako podatek stanowy i lokalny</i>
Poniżej \$2000	25
\$2000–\$4000	11
\$4000–\$6000	10
\$6000–\$8000	9
\$8000–\$10 000	9
\$10 000–\$15 000	9
Powyżej \$15 000	<u>7</u>

Średnio 9

A oto zestawienie skumulowanych podatków: federalnego, stanowego i lokalnego, dla poszczególnych grup dochodów:

1965

<i>Grupa o rocznym</i>	<i>Procent dochodu odprowadzony w</i>
------------------------	---------------------------------------

Competition", *New Individualist Review* (wiosna 1963), s. 16–23, Martin Anderson, *The Federal Bulldozer* (Cambridge MIT Press, 1964). Zarys historii cen ropy naftowej znajduje się w: Hendrik S. Houthakker, "No Use for Controls", *Barrens* (8 listopada 1971), s. 7–8.

<i>dochodzie:</i>	<i>postaci wszystkich podatków<sup>35</sup></i>
Poniżej \$2000	44
\$2000–\$4000	27
\$4000–\$6000	27
\$6000–\$8000	26
\$8000–\$10 000	27
\$10 000–\$15 000	27
Powyżej \$15 000	<u>38</u>
Średnio:	31

Jeszcze bardziej aktualne dane z roku 1968, dotyczące podatków ściąganych przez wszystkie szczeble władzy, całkowicie potwierdzają wcześniejsze wnioski, a także pokazują relatywnie większy wzrost opodatkowania grup o najniższych dochodach, jaki miał miejsce w ciągu ostatnich trzech lat:

1968

<i>Grupy o rocznym dochodzie:</i>	<i>Procent dochodu odprowadzony w postaci wszystkich podatków<sup>36</sup></i>
Poniżej \$2000	50
\$2000–\$4000	35
\$4000–\$6000	31
\$6000–\$8000	30
\$8000–\$10 000	29
\$10 000–\$15 000	30
\$15 000–\$25 000	30
\$25 000–\$50 000	33
\$50 000 i więcej	45

Wielu ekonomistów próbuje pomniejszyć znaczenie tych wymownych danych, mówiąc, że podatnicy z grupy zarabiającej „poniżej 2000 dolarów” otrzymują w postaci świadczeń z opieki społecznej i innych wypłat więcej, niż płacą w podatkach. Ekonomisci lekceważą jednak istotny fakt, że do *innych* osób z każdej grupy trafiają świadczenia, a *inne* osoby płacą podatki. Tym ostatnim drenuje się kieszenie, żeby dotować tych pierwszych. Ubodzy (i średnio zarabiający) płacą podatki, z których dotowane są mieszkania komunalne *innych* ubogich i średniozamożnych. Zastraszająco duże sumy wyciskane są zatem z pracujących ubogich w celu dotowania zasiłków dla innych ubogich.

Redystrybucja dochodu narodowego odbywa się u nas na wielką skalę. Pieniądze dostaje Lockheed, dostają klienci opieki społecznej itd., itp. Nie jest wcale prawdą, że „bogaci” płacą podatki na „biednych”.

Redystrybucja odbywa się wewnątrz poszczególnych grup dochodów. Jedni ubodzy musząłożyć na innych ubogich.

<sup>35</sup> Dane znajdują się w: Joseph A. Pechman, "The Rich, the Poor, and the Taxes They Pay", *Public Interest* (jesień 1969), s. 33.

<sup>36</sup> R. A. Herriott i H. P. Miller, "The Taxes We Pay", *The Conference Board Record* (maj 1971), s. 40.

Inne dane potwierdzają ten zatrważający obraz. Fundacja Podatkowa (The Tax Foundation) ocenia na przykład, że 34% wszystkich podatków federalnych, stanowych i lokalnych pochodzi z kieszeni osób zarabiających poniżej 3000 dolarów rocznie<sup>37</sup>.

Celem tych wywodów nie jest oczywiście wykazanie, że powinno się wprowadzić „naprawdę” progresywny podatek dochodowy, który rzeczywiście drenowałby kieszenie bogatych. Chodzi tylko o zwrócenie uwagi, że współczesne państwo opiekuńcze, wbrew powszechnej opinii, wcale nie zabiera bogatym, żeby dotować biednych. Drenaż bogatych prowadziłby zresztą do katastrofalnych skutków wcale nie tylko dla bogatych, ale również dla ubogich i średniozamożnych. Albowiem to bogaci odegrali proporcjonalnie największą rolę w osiągnięciu przez całe społeczeństwo Stanów Zjednoczonych najwyższego poziomu życia spośród wszystkich krajów w historii. Bogaci dysponują oszczędnościami i kapitałem inwestycyjnym, mają wizję rozwoju gospodarczego i finansują innowacje technologiczne, niezbędne dla tak spektakularnego rozwoju. Wyciskanie pieniędzy z bogatych byłoby nie tylko z gruntu niemoralne, ale stanowiłoby karę za posiadanie zalet, dzięki którym osiągnęliśmy tak wysoki standard życia: gospodarności, wyobraźni, umiejętności inwestowania. Oznaczałoby zarzycanie kury znoszącej złote jaja.

### ***Co może zrobić rząd?***

Co w takim razie mógłby zrobić rząd, żeby pomóc biednym? Jedyna prawidłowa odpowiedź pokrywa się z rozwiązaniami proponowanymi przez libertarian: usunąć się. Gdyby tylko rząd nie stał na drodze do wykorzystania twórczych energii wszystkich grup społecznych – bogatych, średniozamożnych i biednych – nastąpiłby olbrzymi wzrost zamożności i poziomu życia wszystkich, w szczególności biednych, którym tzw. państwo opiekuńcze rzekomo pomaga.

Rząd może zejść Amerykanom z drogi na cztery zasadnicze sposoby. Po pierwsze, znosząc lub przynajmniej znacznie obniżając podatki, które osłabiają energię produkcyjną, przyczyniają się do zmniejszenia oszczędności i inwestycji oraz spowalniają postęp technologiczny. Na zniesieniu podatków skorzystałyby *najbardziej* grupy o niskich dochodach, gdyż powstałyby nowe miejsca pracy, a płace by wzrosły. Jak zauważa profesor Brozen, „Gdyby państwo powściągnęło swoje wysiłki zmierzające do zmniejszenia różnic w dochodach, to różnice te zmalałyby znacznie szybciej. Dzięki wyższym oszczędnościom i szybszemu powstawaniu kapitału najniższe pensje rosłyby szybciej i nierówności zmniejszałyby się wraz ze wzrostem płac”<sup>38</sup>. Najlepszym sposobem niesienia pomocy biednym jest cięcie podatków i umożliwienie gromadzenia oszczędności, inwestowania oraz tworzenia miejsc pracy. Jak dawno temu zauważył dr F. A. Harper, zyskowna inwestycja stanowi „najlepszą pomoc dla ubogich”. Oto, co pisze Harper:

Jedni mówią, że dobroczynność polega na dzieleniu się okruszyną chleba. Inni zaś uważają, że biednym można najlepiej pomóc przez dodatkowe oszczędności i narzędzia, które umożliwią produkcję większej ilości chleba.

Te dwa poglądy pozostają w konflikcie, a wybór jednego z nich decyduje o wszystkich codziennych wyborach człowieka (...).

Różnica między tymi poglądami odzwierciedla różne koncepcje dotyczące natury zjawisk gospodarczych. Pierwszy pogląd wynika z przekonania, że suma wszystkich dóbr jest stała. Drugi zaś wynika z wiary, że rozwój produkcji nie podlega żadnym koniecznym ograniczeniom.

Różnica między tymi poglądami jest różnicą między dwu- i trójwymiarowym sposobem spostrzegania produkcji. Z perspektywy dwuwymiarowej rozmiar produkcji pozostaje niezmienny, natomiast trzeci wymiar daje możliwość widzenia nieograniczonej głębi, czyli nieskrępowanego wzrostu dzięki oszczędnościom i narzędziom (...).

Cała historia gospodarcza ludzkości przeczy temu, żeby ilość dóbr wytworzonych przez gospodarkę miała być ograniczona. Ponadto historia ta uczy, że jedyna właściwa droga wzrostu wiedzie przez oszczędności i rozwój narzędzi produkcji<sup>39</sup>.

---

<sup>37</sup> Zobacz: William Chapman, "Study Shows Taxes Hit Poor", *New York Post* (10 lutego, 1971), s. 46; *U.S. News* (9 grudnia 1968); Rod Manis, *Poverty: A Libertarian View* (Los Angeles: Rampart College, n.d.); Yale Brozen, "Welfare Without the Welfare State", *op. cit.*

<sup>38</sup> Brozen, "Welfare Without the Welfare State", s. 47.

W obrazowy sposób ujęła to zagadnienie wolnościowa pisarka Isabel Paterson:

Porównajmy działania prywatnego filantropa i prywatnego kapitalisty. Przypuśćmy, że filantrop pomaga biednemu, ale zdolnemu do pracy człowiekowi, dając mu żywność, ubranie i mieszkanie. Gdy biedak już je zużyje, znajdzie się w punkcie wyjścia, tyle tylko, że będzie już przyzwyczajony do zależności. Tymczasem ktoś, kto nie kieruje się wcale życzliwością, tylko chce, żeby wykonać dla niego jakąś pracę, wynajmie do niej tego biedaka i zapłaci mu. Pracodawca nie spełni dobrego uczynku, a mimo to sytuacja zatrudnionego poprawi się. Na czym polega zasadnicza różnica między tymi działaniami?

Polega ona na tym, że pracodawca sprawił, iż zatrudniony przez niego człowiek znalazł się z powrotem w łańcuchu produkcyjnym i bierze udział w wielkim obiegu energii, natomiast filantrop może tylko zmienić kierunek przepływu energii w taki sposób, że niemożliwy się staje powrót do produkcji i maleje prawdopodobieństwo znalezienia pracy (...).

Gdybyśmy zsumowali wszystkie dokonania filantropów od początku dziejów, okazałoby się, że przyniosły one ludzkości jedną dziesiątą tych korzyści, które były wynikiem normalnych, nie inspirowanych miłosierdziem, działań podejmowanych przez takich ludzi jak Thomas Alva Edison i wiele znakomitych umysłów, które przyczyniły się do opracowania zastosowań jego wynalazku. Niezliczeni myśliciele, wynalazcy i organizatorzy przyczynili się do zapewnienia wygody, zdrowia i szczęścia innych ludzi, dlatego że nie było to ich celem<sup>40</sup>.

Po drugie, w następstwie radykalnego obniżenia podatków lub ich likwidacji, miałyby miejsce równoległa redukcja wydatków państwa. Rzadkie zasoby gospodarcze nie byłyby marnotrawione na bezproduktywne przedsięwzięcia, takie jak: pochłaniający miliardy dolarów program lotów kosmicznych, roboty publiczne, przemysł zbrojeniowy itd. Środki te służyłyby zamiast tego do produkcji dóbr i usług potrzebnych konsumentom. Zalew towarów i usług stymulowałby produkcję nowych, coraz doskonalszych produktów po coraz niższych cenach. Nie musielibyśmy już borykać się z niewydajnym i psującym gospodarkę systemem rządowych dotacji i zamówień publicznych. Naukowcy i inżynierowie, obecnie zatrudnieni najczęściej przy bezużytecznych programach wojskowych i badaniach zlecanych przez rząd, znaleźliby zajęcie w pokojowych gałęziach produkcji i mogliby się przyczyniać do ich rozwoju – z pożytkiem dla wszystkich konsumentów<sup>41</sup>.

Po trzecie, gdyby rząd zaprzestał wspierania na różne sposoby bogatych i wyciskania na ten cel podatków z biednych (przez dotacje do szkół wyższych, rolników, melioracji, Lockheeda itd.), zahamowałoby to rozmyślną eksploatację ludzi ubogich. Zaprzestając opodatkowania biednych w celu dotowania bogatych, rząd pomógłby ubogim, zdejmując obciążenia związane z ich produktywnymi zajęciami.

I wreszcie – rząd mógłby w znaczący sposób ulżyć grupom o niskich dochodach, gdyby usunął przeszkody bezpośrednio uniemożliwiające wykorzystanie ich możliwości produkcyjnych. Oznaczałoby to zniesienie przepisów dotyczących płac minimalnych, które są odpowiedzialne za zwiększenie bezrobocia wśród osób najbiedniejszych i najmniej produktywnych; oznaczałoby to również zniesienie przywilejów, którymi cieszą się związki zawodowe, a które uniemożliwiają dostęp do lepiej płatnej pracy osobom biednym i wykonującym rzadkie zawody. Zniesione powinny być również przepisy dotyczące przyznawania licencji, zakazu gier hazardowych i innych restrykcji powstrzymujących osoby o niskich zarobkach od otwarcia własnego małego przedsiębiorstwa, które dawałoby im zatrudnienie. Rząd musiałby unieważnić przepisy krępujące handel obnośny, które mają postać bądź to całkowitego zakazu, bądź wysokich opłat licencyjnych. Handel obnośny był klasycznym sposobem na zdobycie kapitału początkowego przez imigrantów, osoby ubogie i potrzebujące środków na to, by otworzyć własne przedsiębiorstwo i stać się poważnymi biznesmenami. Teraz ta droga jest zamknięta, w dużej mierze ze względu na monopolistyczne przywileje

<sup>39</sup> F. A. Harper, "The Greatest Economic Charity", w: M. Sennholz, ed., *On Freedom and Free Enterprise* (Princeton, N.J.: D. Van Nostrand, 1956), s. 106.

<sup>40</sup> Isabel Paterson, *The God of the Machine* (New York: G. P. Putnam's Sons, 1943), s. 248–250.

<sup>41</sup> Na temat ogromnego zaangażowania naukowców i inżynierów w programy rządowe w ostatnich latach traktuje książka H. L. Nieburg, *In the Name of Science* (Chicago: Quadrangle, 1966); o niewydajności i nietrafnych inwestycjach przemysłu zbrojeniowego pisze Seymour Melman, ed., *The War Economy of the United States* (New York: St. Martin's Press, 1971).

sklepów detalicznych w każdym mieście. Obawiają się one konkurencji ze strony obrotowych handlarzy ulicznych.

Za przykład tego, jak rząd przeszkadza osobom ubogim w rozwijaniu pożytecznej działalności, może służyć przypadek neurochirurga doktora Thomasa Matthew. Założył on organizację samopomocy dla Murzynów o nazwie NEGRO, która emitowała obligacje na pokrycie kosztów swojej działalności. Wbrew sprzeciwom władz Nowego Jorku dr Matthew otworzył w połowie lat sześćdziesiątych szpital w Queens, w części dzielnicy Jamaica zamieszkałej przez Murzynów. Wkrótce zorientował się, że transport publiczny w Jamaice jest tak fatalny, że nie mogą z niego korzystać pacjenci ani personel szpitala. Dr Matthew zakupił więc kilka autobusów i ustanowił regularne połączenia autobusowe w Jamaice. Linia była tania, punktualna i cieszyła się powodzeniem. Problem polegał na tym, że dr Matthew nie miał licencji na linie autobusowe. Przywilej ten zarezerwowany był dla marnych, ale chronionych firm monopolistycznych. Ponieważ miasto zabraniało pobierania opłat za przejazdy autobusami nieposiadającymi licencji, to genialny dr Matthew wpadł na pomysł, żeby przejazdy jego liniami były darmowe. Zamiast biletów pasażerowie mogli dobrowolnie wykupywać obligacje jego firmy o wartości 25 centów każda.

Przedsiębiorstwo autobusowe dra Matthew prosperowało tak dobrze, że postanowił on otworzyć drugą linię w Harlemlu. Wtedy jednak, w roku 1968, władze miasta przeraziły się i przeszły do ataku. Skierowały sprawę do sądu i obie linie zostały zamknięte za brak licencji.

Kilka lat później dr Matthew zajął wraz ze znajomymi opuszczony budynek w Harlemlu, który był własnością zarządu miasta. (Zarząd Nowego Jorku jest największym posiadaczem miejskich slumsów; należy do niego mnóstwo budynków w dobrym stanie, ale opuszczonych ze względu na wysokie podatki od nieruchomości i powoli niszczących; uznaje się je za bezużyteczne i nienadające się do zamieszkania). W tym budynku dr Matthew otworzył tani szpital. W innych szpitalach brakowało miejsc i rosły koszty ich utrzymania, jednakże miasto postanowiło zamknąć szpital doktora Matthew pod pretekstem „naruszenia przepisów przeciwpożarowych”. Tak oto w kolejnych dziedzinach rząd coraz skuteczniej uniemożliwia aktywność gospodarczą ludzi ubogich. Nie może więc dziwić odpowiedź, jakiej dr Matthew udzielił na pytanie białego urzędnika nowojorskich władz o to, jak można by najlepiej wesprzeć programy samopomocowe ludności murzyńskiej. Matthew odpowiedział: „Zejdźcie nam z drogi i pozwólcie działać”.

Za inną ilustrację sposobu działania władz może posłużyć zdarzenie sprzed kilku lat, kiedy to rząd federalny i zarząd Nowego Jorku oznajmiły wszem i wobec, że przystępują do odnowienia trzydziestu siedmiu budynków w Harlemlu. Zamiast jednak postąpić zgodnie z normalną praktyką i zlecić prace przy poszczególnych budynkach różnym firmom, władze podpisały jedną umowę na wykonanie robót budowlanych we wszystkich domach. Było więc pewne, że przetargu nie wygra żadna mała firma należąca do Murzynów, tylko duże przedsiębiorstwo należące do białych. Jeszcze jeden przykład. W roku 1966 Urząd ds. Drobnej Przedsiębiorczości (Small Business Administration – SBA) ogłosił program, który miał zachęcać Murzynów do otwierania małych firm. Rząd nałożył jednak istotne ograniczenia dotyczące kredytów. Po pierwsze, kredytobiorca musiał być „poniżej poziomu ubóstwa”. Ponieważ osoby bardzo ubogie nie są w stanie założyć własnej firmy, to przepis ten uniemożliwiał założenie małych firm przez nieco więcej zarabiających, chociaż to właśnie oni mieli największą szansę, by stać się właścicielami nowych przedsiębiorstw. Jak by tego było mało, nowojorski SBA dodał jeszcze jeden warunek: wszyscy Murzyni ubiegający się o kredyt musieli „udowodnić, że istnieje faktyczna potrzeba wypełnienia w ich społeczności próżni gospodarczej”; istnienie tej potrzeby i próżni należało wykazać dla potrzeb biurokratów urzędujących gdzieś z dala od prawdziwej sceny zdarzeń gospodarczych<sup>42</sup>.

Fascynującym przyczynkiem do oceny, czy i w jakim stopniu rząd „państwa opiekuńczego” wspiera biednych czy im przeszkadza, jest niepublikowana analiza Instytutu Studiów Strategicznych w Waszyngtonie. Przeprowadzono badanie dotyczące przepływu rządowych funduszy (federalnych i należących do dystryktu Columbia) do Murzynów o niskich dochodach, mieszkających w dzielnicy nędzy Shaw–Cardozo w Waszyngtonie. Chodziło o ich porównanie z *wpływami uzyskiwanymi z podatków płaconych przez tę dzielnicę rządowi*. W roku podatkowym 1967 dzielnicę Shaw–Cardozo zamieszkiwały 84 000 osób (z których 79 000 stanowili Murzyni) o średnich dochodach rocznych w wysokości 5600 dolarów na rodzinę. Całkowity dochód osobisty wszystkich mieszkańców dzielnicy wynosił w omawianym roku 126,5 miliona dolarów. Całkowita

<sup>42</sup> O sprawie Matthew i Urzędu ds. Drobnej Przedsiębiorczości pisze Jane Jacobs w: *The Economy of Cities* (New York: Random House, 1969), s. 225–228.

wartość pomocy rządowej dla dzielnic (w postaci zasiłków, szacunkowych kosztów utrzymania szkół publicznych i innych) wyniosła w roku podatkowym 1967 45,7 miliona dolarów. Wygląda więc na to, że dzielnica Shaw–Cardozo otrzymała hojną dotację o wartości 40% swojego całkowitego dochodu. Może i tak, ale trzeba wziąć pod uwagę, że w tym samym roku wartość zapłaconych przez dzielnicę podatków oszacowano na co najmniej 50 milionów dolarów, czyli że dzielnica nędzy dopłaciła budżetowi netto 4,3 miliona dolarów! Czy wobec tych danych można jeszcze twierdzić, że zniesienie całej potężnej bezproduktywnej maszyny państwa opiekuńczego ugodziłoby w biednych<sup>43</sup>?

Najlepszą zatem pomocą, jakiej rząd mógłby udzielić biednym, byłoby zejście z drogi przez zniesienie olbrzymiej, paraliżującej gospodarkę sieci podatków, dotacji, marnotrawstwa i monopolistycznych przywilejów. Profesor Brozen tak podsumował swoją analizę „państwa opiekuńczego”:

Charakterystyczne dla państwa jest to, że służy ono za narzędzie do pomnażania bogactwa nielicznych kosztem większości. Rynek zapewnia bogactwo większości przy minimalnych kosztach ponoszonych przez mniejszość. Natura państwa pozostaje niezmienna od czasów rzymskich, kiedy to dostarczano masom chleba i igrzysk, nawet jeśli się uwzględni, że dzisiejsze państwo pozornie zapewnia naukę, opiekę zdrowotną, darmowe mleko i rozrywki kulturalne. Państwo jest nadal źródłem monopolistycznych przywilejów i daje władzę nielicznym. Ukrywa to za fasadą troski o powszechny dobrobyt, który to dobrobyt byłby znacznie większy, gdyby politycy nie wyzuwali ludzi ze środków, które służą do stwarzania pozorów troszczenia się o wyborców<sup>44</sup>.

### ***Ujemny podatek dochodowy***

Na nieszczęście, postulowane ostatnio zmiany zmierzają do zniesienia państwa opiekuńczego, ale nie w celu powiększenia zakresu swobód, tylko wręcz *przeciwnie*. Postulaty te przyjmowane są niemal przez wszystkich (z nielicznymi wyjątkami), od prezydenta Nixona i Milтона Friedmana na prawicy po licznych przedstawicieli lewicy. Tą nowością mają być „gwarantowany dochód roczny”, „ujemny podatek dochodowy” albo zgłoszony przez prezydenta Nixona „plan pomocy rodzinie”. W porównaniu z niewydolnością i przerostem biurokracji właściwymi dla obecnego systemu gwarantowany dochód roczny byłby zasiłkiem „skutecznym” i automatycznym: urzędnicy podatkowi co roku przekazywaliby pieniądze rodzinom, które uzyskały dochód poniżej minimalnego poziomu. Ten automatyczny zasiłek byłby, oczywiście, finansowany z podatków płaconych przez rodziny, które osiągnęły dochody wyższe od minimalnych. Koszty tego przejrzystego i prostego systemu ocenia się zaledwie na kilka miliardów dolarów rocznie.

Jest tu jednak pewien szkopuł, polegający na założeniu, że wszyscy – zarówno korzystający z nowych zasiłków, jak i finansujący je – będą pracowali tak samo jak w starym systemie. Jest to założenie wątpliwe, ponieważ gwarantowany dochód roczny miałby niezwykle silny aspekt demotywujący – i dla płacących podatki, i dla pobierających zasiłek.

Jedynym czynnikiem, który zapobiega ostatecznemu zawaleniu się obecnego systemu, jest właśnie biurokracja i napiętnowanie towarzyszące braniu zasiłków. Osoba pozostająca na zasiłku wciąż jeszcze odczuwa dyskomfort psychiczny – choć ostatnio coraz mniejszy – i musi stawić czoło jak zawsze bezdusznej, źle zorganizowanej, skomplikowanej biurokracji. Gwarantowany dochód roczny zniósłby główną przeszkodę, najważniejszy czynnik zniechęcający do pobierania zasiłków, *właśnie* dlatego, że byłby skuteczny, prosty i automatyczny. Doprowadziłoby to do masowego przechodzenia na zasiłek gwarantowany, tym bardziej że uważano by go za automatycznie przysługujące „prawo”, a nie za przywilej czy podarunek – i w związku z tym nie byłby on obciążony piętnem.

Założmy, że za „granicę ubóstwa” uzna się poziom 4000 dolarów dochodu rocznie. Każdy, kto zarabia mniej, otrzymuje od Wujka Sama wyrównanie, przyznawane automatycznie na podstawie zeznania podatkowego. Osoby wykazujące dochód zerowy otrzymałyby od rządu 4000 dolarów; ci, którzy zarobili 3000 dolarów, dostaliby 1000 dolarów itd. Oczywiście jest, że *nikt*, kto by zarabiał poniżej 4000 dolarów, nie miałby żadnego powodu, żeby w ogóle pracować. Po co ktoś miałby pracować, skoro te same cztery tysiące dostanie, nic nie

<sup>43</sup> Dane opracowane na podstawie niepublikowanych badań Earla F. Mellora, "Public Goods and Services: Costs and Benefits, A Study of the Shaw–Cardozo Area of Washington, D.C." (przedstawione Instytutowi Studiów Strategicznych w Waszyngtonie 31 października 1969).

<sup>44</sup> Brozen, "Welfare Without the Welfare State", s. 52.

robiąc? Dochód netto uzyskany w postaci podatku od pracujących nie zwiększyłby się, a wszyscy zarabiający poniżej magicznej granicy 4000 dolarów porzuciliby pracę i pobiegli po „należny” zasiłek.

Ale to jeszcze nie wszystko. Jak by się zachowali ci, którzy zarabiają niewiele ponad 4000 dolarów? Ktoś z dochodem 4500 dolarów zorientowałby się szybko, że leniwy nierób mieszkający obok dostaje od państwa 4000 dolarów za nic. Tymczasem on, pracując ciężko czterdzieści godzin tygodniowo, zarobił *netto* tylko 500 dolarów przez cały rok. Porzuciłby więc pracę i przeszedł na zasiłek w postaci podatku ujemnego. Podobnie byłoby w przypadku zarabiających 5000 dolarów rocznie itd.

Na tym kłopoty się nie kończą. Ponieważ wszyscy zarabiający poniżej 4000 dolarów, a także część zarabiających sporo powyżej 4000 dolarów, zaprzestaną pracy i przejdą na zasiłki, to koszty wypłaty zasiłków gwałtownie się zwiększą, co pociągnie za sobą konieczność podwyższenia podatków tym, którzy pracują. Ale wówczas *ich* dochód netto po opodatkowaniu raptownie zmaleje, do tego stopnia, że i *oni* zaczną porzucać pracę i przechodzić na zasiłek. Wyobraźmy sobie kogoś, kto zarabia 6000 dolarów rocznie. Przede wszystkim musi sobie zdać sprawę, że jego rzeczywisty dochód osiągnięty dzięki pracy wyniósł 2000 dolarów. Powiedzmy, że na zasiłki dla niepracujących musi przekazać 500 dolarów rocznie, czyli że jego dochód netto wynosi 1500 dolarów. Jeśli będzie musiał zapłacić jeszcze *dodatkowo* 1000 dolarów w związku z szybkim wzrostem liczby osób na zasiłku, to otrzyma dochód zmniejszony do 500 dolarów i przejdzie na zasiłek. Logiczną konsekwencją wprowadzenia gwarantowanego dochodu rocznego będzie więc błędne koło, szaleńczy wir ciągnący ku katastrofie, polegającej na tym, że praktycznie wszyscy przestaną pracować i przejdą na zasiłek, co jest sytuacją niemożliwą.

Są jeszcze inne czynniki, które należy wziąć pod uwagę. W praktyce zasiłek nie pozostałby oczywiście na stałym poziomie 4000 dolarów; nieuchronne naciski ze strony klientów opieki społecznej i innych musiałyby doprowadzić do corocznej podwyżki podstawowej granicy, przyspieszając obroty błędnego koła wzrostu wydatków budżetowych i przybliżając nadejście katastrofy. W rzeczywistości gwarantowany dochód *nie zastąpi* – wbrew nadziejom konserwatystów, którzy się za nim opowiadają – mozaiki obecnego systemu opieki społecznej, tylko będzie stanowił *uzupełnienie* istniejących już programów. Tak właśnie było ze stanowymi programami pomocy dla osób starszych. Zasadniczym argumentem na rzecz programu ubezpieczeń społecznych Nowego Ładu miało być to, że *zastąpią* one dotychczasową mozaikę stanowych programów ubezpieczeniowych dla osób w podeszłym wieku. Oczywiście tak się nie stało; pomoc dla osób starszych jest teraz znacznie większa niż w latach trzydziestych. Rozdęty program ubezpieczeń społecznych został po prostu dołączony do dotychczas realizowanych programów. Obietnica Nixona, że osoby zdolne do pracy i otrzymujące zasiłek będą musiały pracować, to wierutne kłamstwo – ochłap rzucony konserwatystom. Osoby te byłyby zatrudniane tylko na „odpowiednich” stanowiskach, a – jak wiadomo – stanowiska biura pośrednictwa pracy niemal nigdy nie oferują „odpowiedniej” pracy<sup>45</sup>.

Różne programy gwarantowanych świadczeń nie stanowią prawdziwego remedium na powszechnie zauważane wady obecnego systemu. Ich wprowadzenie pogрузiłoby nas jeszcze bardziej. Jedynym realnym rozwiązaniem jest rozwiązanie wolnościowe: zniesienie systemu pomocy społecznej, zapewnienie wolności i swobody działania wszystkim, zarówno bogatym, jak i ubogim.

---

<sup>45</sup> Doskonałą krytykę teoretyczną gwarantowanego dochodu rocznego, ujemnego podatku dochodowego i projektów Nixona znajdzie czytelnik w: Hazlitt, *Man vs. Welfare State*, s. 62–100. Szczegółową i aktualną krytykę empiryczną wszystkich projektów gwarantowanych świadczeń i innych eksperymentów, włącznie z projektem reformy systemu opieki społecznej prezydenta Cartera, przeprowadza Martin Anderson w: *Welfare the Political Economy of Welfare Reform in the United States* (Stanford, Calif Hoover Institution, 1978).

## Rozdział 9: Inflacja i cykl koniunkturalny: krach paradygmatu Keynesowskiego

Aż do 1973–1974 roku pozycja keynesizmu – kierunku królującego w ekonomii od lat trzydziestych – wydawała się niezachwiana<sup>1</sup>. Praktycznie wszyscy przyjęli pogląd Keynesa, że w gospodarce wolnorynkowej tkwi czynnik, który powoduje, że przechodzi ona przez fazy to zbyt małego, to nadmiernego popytu (keynesiści zajmują się właściwie tylko *zbyt małym popytem*). Zadaniem rządu miałyby być naprawienie tej rzekomej usterki rynku przez manipulowanie wydatkami budżetowymi i deficytem (w praktyce zwiększaniem jednego i drugiego). Temu „makroekonomicznemu” zadaniu rządu mieliby oczywiście przewodniczyć keynesistowscy ekonomiści („Zespół Doradców Ekonomicznych”), którzy potrafiliby „dostrajać” gospodarkę w taki sposób, by zapobiegać inflacji i recesji oraz ustalać właściwą wielkość wszystkich wydatków tak, żeby zapewnić stałe pełne zatrudnienie i nie wywoływać inflacji.

Na przełomie lat 1973–1974 nawet keynesiści zauważyli w końcu, że w tym solidnie wyglądającym modelu tkwią jakieś bardzo, bardzo poważne błędy i że czas zacząć wszystko od nowa. Okazało się bowiem, że jakieś czterdzieści lat Keynesowskiego dostrajania nie tylko nie położyło kresu uporczywej inflacji, która nastąpiła wraz z drugą wojną światową, ale że właśnie w tym czasie inflacja wyrażała się nieraz dwucyfrowymi liczbami (dochodząc do 13% rocznie). Również w tych latach (1973–1974) Stany Zjednoczone pogrążyły się w najgłębszej i najdłuższej recesji od lat trzydziestych (którą niechybnie nazwanoby „kryzysem”, gdyby ekonomiści nie zarzucili dawno tego terminu, ponieważ brzmiał niedyplomatycznie). Dla zjawiska *jednoczesnego* występowania wysokiej inflacji i głębokiej recesji w keynesistowskim obrazie świata *nie było miejsca*. Ekonomiści wiedzieli, że gospodarka jest *albo* w fazie *boomu* – i wtedy ceny rosną, *albo* w fazie recesji lub depresji, przejawiającej się wzrostem bezrobocia – i wtedy ceny spadają. W fazie *boomu* – według recepty keynesistów – rząd ma za zadanie „wchłonać nadmierną siłę nabywczą”, podwyższając podatki i wycofując nadmiar pieniądza z gospodarki. Natomiast w fazie recesji rząd powinien zwiększyć wydatki i deficyt budżetowy w celu wpompowania pieniędzy do gospodarki. Ale co ma, do diabła, robić rząd, gdy inflacja i recesja z wysokim bezrobociem pojawiają się *jednocześnie*? Jakim cudem ma *zarazem* wciskać pedał przyspieszenia gospodarczego i hamować?

Już w czasie recesji w roku 1958 zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Po raz pierwszy w środku fazy recesji ceny detaliczne zaczęły rosnąć. Ich wzrost nie był jednak duży i keynesistów ta pierwsza mała chmurka nie zaniepokoiła.

Ceny detaliczne wzrosły ponownie w czasie załamania w roku 1966, ale recesja ta miała tak łagodny przebieg, że wtedy również nikt się nie zaniepokoił. Gwałtowny wzrost inflacji w latach recesji 1969–1971 był już jednak poważnym wstrząsem. Dopiero jednak dwucyfrowa inflacja, która pojawiła się w czasie recesji w latach 1973–1974, na dobre wprowadziła zamęt w szeregi keynesistowskiego establishmentu ekonomicznego. Keynesiści przekonali się, że nie tylko zawiodło dostrajanie i nie udało się zażegnać cyklicznych kryzysów, ale na dodatek gospodarka znajdowała się teraz w stanie permanentnej inflacji i sytuacja jeszcze się pogarszała. Wciąż też pojawiały się nawroty recesji połączonej z inflacją, czyli „stagflacji”. Zjawisko to było nie tylko nowe, ale też nie sposób go było wyjaśnić, bo w świetle dominującej teorii ekonomicznej nie powinno w ogóle *zaistnieć*.

Inflacja zaś nadal rosła. Za czasów Eisenhowera wynosiła około 1–2% rocznie, za Kennedy’ego – 3–4%, za Johnsona – 5–6%, a w latach 1973–1974 – około 13%. Następnie „powróciła” do poziomu około 6%, ale tylko dlatego, że przydusił ją ciężar głębokiego i długotrwałego kryzysu (mniej więcej w latach 1973–1976).

Kilka zagadnień wymaga więc wyjaśnienia: (1) Skąd się wzięła uporczywa i rosnąca inflacja? (2) Dlaczego inflacja utrzymuje się nawet w czasie głębokiego kryzysu? Właśnie tego doświadczamy, więc warto by to wyjaśnić, tylko czy potrafimy? (3) Skąd w ogóle bierze się cykl koniunkturalny? Dlaczego występowanie kolejnych faz *boomu* i kryzysu wydaje się nie mieć końca?

Na szczęście znamy odpowiedzi na te pytania. Dostarczyła ich teoria pieniądza i cyklu koniunkturalnego autorstwa ekonomistów ze „szkoły austriackiej”, których głos niestety zlekceważono. Teorię przedstawił w Austrii Ludwig von Mises, a rozwijał ją jego uczeń Friedrich A. Hayek, który przeniósł ją na początku lat trzydziestych na grunt brytyjski, do London School of Economics. Austriacka teoria cyklu koniunkturalnego

<sup>1</sup> Keynesizm – kierunek wyznawany przez keynesistów, czyli uczniów lorda Keynesa, zamożnego i charyzmatycznego ekonomisty z Uniwersytetu w Cambridge, którego dzieło pt. *General Theory of Employment, Interest, and Money* (New York: Harcourt Brace, 1936) [Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza] stało się kamieniem węgielnym tego kierunku ekonomicznego. Keynesiści są twórcami „makroekonomii”.



przedstawiona przez Hayeka wyparła teorie młodych ekonomistów brytyjskich, dlatego że oferowała całościowe wyjaśnienie Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych. Późniejsi wiodący keynesiści: John R. Hicks, Abba P. Lerner, Lionel Robbins i Nicholas Kaldor z Anglii, a także Alvin Hansen z USA, byli początkowo zwolennikami Hayeka. Dopiero *Ogólna teoria* Keynesa spowodowała zwrot po roku 1936, wywołując prawdziwą „rewolucję Keynesowską”. Głosiła ona bezczelnie, że nikt wcześniej nie zaproponował żadnego wyjaśnienia cyklu koniunkturalnego ani Wielkiego Kryzysu. Należy zauważyć, że teoria Keynesa nie zwyciężyła ze stanowiskiem Austriaków na drodze naukowej dyskusji i odrzucenia argumentów strony przeciwnej, tylko wyparła ją – jak to się często w historii nauk społecznych zdarza – bo keynesizm stał się modny. Teoria szkoły austriackiej nie została więc odrzucona, lecz zignorowana i zapomniana.

Przez czterdzieści lat podtrzymywali ją przy życiu tylko Mises (na Uniwersytecie w Nowym Jorku) i Hayek (w Chicago) oraz grupka ich uczniów. Większość ekonomicznego świata nie przejmowała się jej losem, nie miała dla niej szacunku ani miejsca w podręcznikach. Zapewne nie przypadkiem odrodzenie ekonomii austriackiej ma miejsce właśnie teraz, gdy występuje zjawisko stagflacji i na oczach wszystkich chwieje się teoria keynesistów. Pierwsza od wielu lat konferencja ekonomistów szkoły austriackiej odbyła się w Royalton College w Vermont w roku 1974. W tym samym roku, ku zdumieniu świata ekonomistów, Nagrodę Nobla otrzymał Hayek. Odtąd regularnie odbywają się konferencje na temat ekonomii Austriaków na Uniwersytecie Hartforda, w Windsor Castle w Anglii i na Uniwersytecie Nowojorskim. Pojawiają się na nich nawet Hicks i Lerner, zdradzając oznaki przynajmniej częściowego powrotu do swoich dawnych poglądów. Odbyły się również konferencje regionalne na Wschodnim Wybrzeżu, na Zachodnim Wybrzeżu, na Środkowym Zachodzie i na Południowym Zachodzie. Drukuje się książki i – co może najważniejsze – pojawiło się wielu uzdolnionych studentów i młodych profesorów związanych ze szkołą austriacką. Na pewno przyczynią się oni w przyszłości do jej rozwoju.

### ***Pieniądz i inflacja***

Co ma nam zatem do powiedzenia odradzająca się teoria Austriaków?<sup>2</sup> Przede wszystkim stwierdza, że inflacja nie jest nieuchronnie wbudowana w gospodarkę, ani nie stanowi koniecznego warunku rozwoju i pomyślności. Przez większą część XIX wieku (wyjąwszy okres wojny 1812 roku i wojnę secesyjną) ceny spadały, a *mimo to* gospodarka rozwijała się i postępowało uprzemysłowienie. Spadek cen wcale nie zahamował rozwoju przedsiębiorczości i wzrostu dobrobytu.

Wygląda więc na to, że spadek cen jest normalnym zjawiskiem towarzyszącym rozwojowi gospodarki rynkowej. W takim razie dlaczego wyobrażenie spadających cen kłóci się z naszym doświadczeniem do tego stopnia, że uważamy je za jakąś bajkę nie z tego świata? Dlaczego od czasu zakończenia drugiej wojny światowej ceny w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie stale i szybko rosły? Wcześniej nagły wzrost cen miał miejsce w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej. Pomiędzy wojnami, pomimo koniunktury lat dwudziestych, ceny lekko spadły, a w czasie Wielkiego Kryzysu w latach trzydziestych spadły gwałtownie. Widzimy więc, że inflacja, jako zjawisko występujące w czasach pokoju, stała się normą dopiero po drugiej wojnie światowej.

Niektórzy lubią przedstawiać inflację jako rezultat zabiegów chciwych przedsiębiorców, którzy wciąż podnoszą ceny na swoje produkty, żeby zwiększyć zyski. Ale przecież stopień „chciwości” wśród producentów nie mógł gwałtownie skoczyć od zakończenia wojny. Czy przedsiębiorcy nie byli równie „chciwi” w XIX wieku i do roku 1941? Dlaczego więc wtedy nie było inflacji? Ponadto, jeśli przedsiębiorców tak trawi żądza zysku, że windują ceny o 10% rocznie, to czemu na tym poprzestają? Na co czekają? Dlaczego nie podniosą cen o 50%? Albo ich nie podwoją, nie potroją? *Co ich powstrzymuje?*

Podobnie nedorzeczne jest inne popularne wyjaśnienie przyczyn inflacji. Według niego winne są związki zawodowe, które wymuszają na pracodawcach coraz wyższe płace, więc ci muszą podnosić ceny na swoje produkty. Pomińmy fakt, że inflacja pojawiła się już w starożytnym Rzymie, na długo zanim zaistniały związki zawodowe; pomińmy też, że brak jest dowodów na to, iż płace osób niezrzeszonych w związkach

<sup>2</sup> Krótkie omówienie austriackiej teorii cyklu gospodarczego znajduje się w: Murray N. Rothbard, *Depressions: Their Cause and Cure* (Lansing, Mich.: Constitutional Alliance, March 1969). Teoria jest również przedstawiona oraz zastosowana do wyjaśnienia Wielkiego Kryzysu 1929–1933 oraz krótkiego omówienia obecnej stagflacji w: Rothbard, *America's Great Depression*, 3rd ed. (Kansas City, Kans.: Sheed and Ward, 1975). Najlepszym tekstem źródłowym dotyczącym austriackiej teorii cyklu pozostaje wciąż pierwotne jej ujęcie: Ludwig von Mises, *Theory of Money and Credit*, 3rd ed. (Irvington-on-Hudson, N.Y.: Foundation for Economic Education, 1971). Zwięzłe omówienie w: Rothbard, *What Has Government Done to Our Money?* 2nd ed. (Los Angeles: Libertarian Publishers, 1974), wydanie polskie w: M. N. Rothbard, *Złoto, banki ludzie...* (Warszawa, Fijorr Publishing, 2004).

rosną wolniej, a ceny w branżach, w których działają związki, rosną szybciej. I tak pozostaje pytanie, dlaczego przedsiębiorcy nie podnoszą swoich cen dowolnie. Dlaczego mogą sobie pozwolić na podwyżkę o pewien procent a *nie* o większy? Jeśli związki mają tak wielką siłę oddziaływania, a przedsiębiorcy są od nich tak bardzo zależni, to dlaczego płace i ceny nie rosną o 50% albo 100% rocznie? *Co stoi na przeszkodzie?*

Kilka lat temu przez telewizję przetoczyła się fala inspirowanych przez rząd propagandowych audycji, które zbliżyły się nieco do prawdy. Stwierdzono mianowicie, że za inflację odpowiedzialni są „żarłocznicy” konsumenci, którzy za dużo jedzą, za dużo wydają i przyczyniają się w ten sposób do wzrostu cen. Tu przynajmniej zaczyna się pojawiać hipoteza, dlaczego przedsiębiorcy i związki zawodowe powstrzymują się od żądania jeszcze wyższych cen: konsumenci by ich nie zaakceptowali. Kilka lat temu skoczyły gwałtownie ceny kawy. W rok czy dwa później nagle spadły z powodu oporu, jaki stawili konsumenci – do pewnego stopnia ze względu na hałaśliwą akcję „bojkotu” – ale przede wszystkim dlatego, że klienci zaczęli kupować tańsze produkty zastępujące kawę. Powstrzymuje ich więc granica popytu.

W takim razie musimy się cofnąć o jeden krok. Skoro bowiem popyt jest w danym momencie ograniczony – co wydaje się zrozumiałe – to dlaczego rok w rok rośnie, powodując wzrost cen i płac? I jeśli rośnie o 10%, to co sprawia, że nie rośnie o 50%? Dlaczego rokrocznie popyt wzrasta, ale tylko do pewnych granic?

Żeby posunąć się w naszym śledztwie dalej, musimy zbadać znaczenie słowa „cena”. Czym właściwie jest cena? Cena pewnej ilości produktu to ilość pieniędzy, jaką kupujący musi za niego zapłacić. Jeśli za siedem dolarów kupuję dziesięć bochenków chleba, to „cena” tych dziesięciu chlebów wynosi 7 dolarów lub – zgodnie ze zwyczajem podawania ceny za jednostkę produktu – cena bochenka wynosi 70 centów. Są więc dwie strony tej wymiany: kupujący, który ma pieniądze, i sprzedający, który ma chleb. Cena rynkowa zostaje ustalona w zależności od wzajemnych stosunków między stronami. Jeśli na rynku pojawi się więcej chleba, to jego cena spadnie (zwiększenie podaży powoduje obniżenie ceny). Jeśli zaś kupujący będą mieli więcej pieniędzy w portfelach, cena chleba wzrośnie (wzrost popytu wywołuje wzrost ceny).

Ustaliliśmy w ten sposób, jaki czynnik jest odpowiedzialny za ograniczenie popytu ze strony konsumentów i – co za tym idzie – ceny. Jest nim ilość pieniędzy znajdujących się w posiadaniu konsumentów. Jeśli ilość ta wzrośnie o 20%, to granice ich popytu również poszerzą się o 20%. Znaleźliśmy decydujący czynnik: ilość, czyli podaż pieniądza.

Jeśli weźmiemy pod uwagę wszelkie ceny w całej gospodarce, to czynnikiem decydującym o ich poziomie będzie ogólna ilość lub podaż pieniądza w całej gospodarce. Podaż pieniądza w analizie inflacji w skali całej gospodarki ma takie samo znaczenie, jak w naszym przykładzie z kawą czy chlebem. W przypadku *każdej* ceny jej wysokość jest odwrotnie proporcjonalna do podaży towaru i wprost proporcjonalna do popytu na ten towar. Ilość produktów, dzięki rozwojowi gospodarczemu, zwiększa się z roku na rok. A zatem, gdy spojrzymy na proces kształtowania się cen od strony podażowej równania, większość cen powinna spadać i powinniśmy mieć do czynienia z powolnym spadkiem cen („deflacją”), podobnie jak to miało miejsce w XIX wieku. Gdyby za inflację miała być odpowiedzialna strona podaży, czyli jakieś działania producentów lub związków zawodowych, to podaż towarów musiałaby stale *maleć*, powodując wzrost cen. Ale ponieważ podaż dóbr w sposób widoczny rośnie, to źródło inflacji musi znajdować się po stronie popytu. A najistotniejszym czynnikiem decydującym o wielkości popytu są – jak zauważyliśmy – ogólne zasoby lub, inaczej mówiąc, podaż pieniądza.

I rzeczywiście, jeśli porównamy sytuację obecną z przeszłością, to zauważymy, że podaż pieniądza szybko rosła. W XIX wieku też rosła, ale wolniej, znacznie wolniej niż podaż towarów i usług. Tymczasem po drugiej wojnie światowej wzrost podaży pieniądza w USA i w innych krajach był znacznie szybszy niż wzrost podaży towarów. Stąd wzięła się inflacja.

Powstaje więc zasadnicze pytanie: kto lub co kontroluje i określa podaż pieniądza, zwiększając stale jego ilość, zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy na początek zbadać, w jaki sposób pieniądze zostały wprowadzone do gospodarki rynkowej. Pieniądze pojawiają się na rynku, gdy ludzie zaczynają posługiwać się jednym lub kilkoma rodzajami odpowiednich towarów jako pieniędzmi. Najlepiej nadają się na pieniądze te towary, na które jest duży popyt, które mają wysoką cenę za jednostkę wagową, które nie ulegają zniszczeniu i mogą być przez długi czas przechowywane, które można łatwo transportować, które są łatwo rozpoznawalne i które można dzielić na dowolne części, nie powodując utraty wartości. Na przestrzeni wieków na różnych rynkach rozmaite społeczności używały wielu towarów

jako pieniądze. Były wśród nich: sól, cukier, muszelki kauri\*, bydło, tytoń, a nawet papierosy w obozach jenieckich w czasie drugiej wojny światowej. Ale z biegiem czasu dwa towary zawsze wygrywały z innymi w konkursie o miano pieniądza, o ile tylko były dostępne. Były nimi złoto i srebro.

Metale sprzedawane są zawsze na wagę – mamy *tonę* żelaza, *funt* miedzi itd. – a ich ceny są podawane w odniesieniu do jednostki wagowej danego metalu. Tak jest również w przypadku złota i srebra. Wszystkie jednostki obecnie używanych walut pochodzą od jednostek wagowych złota albo srebra. Jednostka używana w Wielkiej Brytanii, „funt szterling”, nazwę zawdzięcza temu, że oznaczał on pierwotnie *jeden funt srebra*. (Żeby zdać sobie sprawę z tego, jak wiele funt stracił na wartości przez te wszystkie wieki, powinniśmy wiedzieć, że obecnie wartość rynkowa funta szterlinga wynosi dwie piąte uncji srebra. Taki jest rezultat inflacji w Wielkiej Brytanii – *deprecjacji* funta). „Dolar” był początkowo monetą czeską zawierającą uncję srebra. Później dolara zdefiniowano jako jedną dwudziestą uncji złota.

Gdy społeczność lub kraj wybiera jakiś towar na pieniądz i jednostka wagowa tego towaru staje się jednostką walutową, używaną do rozliczeń w życiu codziennym, wówczas mówimy, że ten kraj przyjął „standard” danego pieniądza towarowego. Ponieważ na wszystkich rynkach złoto i srebro, jeśli tylko były dostępne, najlepiej sprawdzały się jako standard, to naturalną kolejną rzeczą było, że gospodarka została oparta na standardzie złota lub srebra. W takim razie podaży złota określać będą czynniki rynkowe: możliwości techniczne wydobywania i dostawy, ceny innych towarów itd.

Od momentu, gdy rynek wybrał złoto i srebro na pieniądza, państwo usiłowało przejąć kontrolę nad podażą pieniądza. Chciało decydować o podaży i dostarczać społeczeństwu pieniądze. Nie ma wątpliwości, dlaczego państwu tak na tym zależało: oznaczało to bowiem odebranie rynkowi kontroli nad podażą pieniądza i przekazanie jej grupie związanej z aparatem państwa. Cel był oczywisty: można było w ten sposób zastąpić podatki, które dla płatników zawsze są uciążliwe.

Teraz rządzący państwem mogą sami produkować pieniądze i wydawać je lub pożyczać najlepszym sojusznikom. Do czasu wynalezienia druku nie było to takie proste. Ale później państwo wymyśliło, że można zmienić definicję „dolaru”, „funta”, „marki” itd. Zamiast oznaczać jednostkę wagową złota lub srebra, stały się po prostu *nazwami* drukowanymi na kawałkach papieru przez rząd centralny. Rząd mógł je drukować praktycznie w dowolnych ilościach i nie ponosząc żadnych kosztów, wydawać lub pożyczać wedle uznania. Sfinalizowanie tego skomplikowanego proceduru zajęło całe stulecie, ale teraz całkowita kontrola nad pieniądzem i jego emisją znajduje się w rękach rządów centralnych. Coraz wyraźniej odczuwamy skutki tej sytuacji.

Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby rząd wystąpił wobec kogoś – powiedzmy rodziny Jonesów – z następującą propozycją: „Oto dajemy wam absolutne i nieograniczone uprawnienia do drukowania dolarów i do decydowania o ich ilości w obiegu. Będziecie mieli nienaruszalny monopol. Jeśli ktokolwiek inny spróbuje go naruszyć, pójdzie na długie lata do więzienia za nikczemne, zdradzieckie fałszerstwo. Mamy nadzieję, że będziecie z tego uprawnienia korzystali roztropnie”. Łatwo przewidzieć, w jaki sposób Jonesowie skorzystaliby z tych nowo nabytych możliwości. Z początku postępowaliby z namysłem i ostrożnie. Drukowanymi przez siebie pieniędzmi spłaciliby długi, kupiliby pewnie jakieś rzeczy, o których zawsze marzyli. Ale z czasem, gdy od możliwości drukowania pieniędzy zaczęłoby im szumieć w głowie, poszliby na całość. Kupowaliby luksusowe produkty, dawali pieniądze znajomym itd. Spowodowałoby to stały i coraz szybszy wzrost podaży pieniądza i stały, coraz szybszy wzrost inflacji.

Właśnie to *zrobiły* rządy. I to wszystkie rządy. Z tą tylko różnicą, że rząd, zamiast przyznać prawo monopolu na fałszowanie pieniędzy Jonesom, „przyznał” je *sam sobie*. Na takiej samej zasadzie, na jakiej rości sobie prawo do monopolu na zalegalizowane porywanie ludzi, nazywając to *poborem*; tak samo, jak zdobył monopol na zalegalizowaną grabież, którą nazywa *ściągnięciem podatków* – rząd uzyskał monopol na fałszowanie pieniędzy i nazywa to zwiększaniem podaży dolarów (franków, marek itd.). W miejsce standardu złota, zamiast pieniądza, którego źródłem pochodzenia jest wolny rynek i którego podaż określa wolny rynek, mamy dyktaturę pustego pieniądza papierowego. Oznacza to, że dolar, frank itd. są po prostu kawałkami papieru z wypisanymi na nich odpowiednimi nazwami. Wypuszcza je według uznania rząd centralny – aparat państwa.

---

\* Kauri lub monetka (*Cypraea moneta*) – drobny ślimak żyjący w rejonie Oceanu Indyjskiego; jego muszle były używane przez ludy pierwotne jako moneta obiegowa (*przypis tłumacza*).

Podobnie jak w interesie fałszerza jest drukowanie możliwie największej ilości pieniędzy – dopóki uchodzi mu to na sucho – tak w interesie państwa będzie drukowanie tylu pieniędzy, ile tylko mu się uda. Analogicznie zresztą państwo będzie korzystać ze swoich uprawnień do nakładania podatków: wycisnie tak dużo pieniędzy, jak to tylko możliwe bez wywoływania głośnych protestów.

A zatem kontrola rządu nad podażą pieniądza ze swej natury musi powodować inflację, ponieważ każdy system, w którym jakaś grupa ludzi sprawuje kontrolę nad podażą pieniądza, musi wywoływać inflację.

### **Rezerwa Federalna i system rezerw częściowych**

Obecnie wywoływanie inflacji przez drukowanie pieniądza jest już uważane za metodę przestarzałą. Przede wszystkim ten sposób zbyt *rzuca się w oczy*. Społeczeństwo zauważyłoby, że do obiegu trafiają wielkie ilości banknotów o wysokich nominałach, i zaczęłoby podejrzewać rząd o wywoływanie inflacji za pomocą drukowania tych pieniędzy. Wówczas rząd mógłby utracić przywilej drukowania pieniądza. Zamiast tego rządy wymyśliły znacznie bardziej skomplikowaną, wyrafinowaną, a jednocześnie mniej widoczną metodę i osiągają za jej pomocą ten sam cel. Jest nim zwiększanie podaży pieniądza służącego do pokrycia wydatków i do subsydiowania uprzywilejowanych grup politycznych. Pomysł był następujący. Zamiast koncentrować się na drukowaniu pieniędzy, należało pozostawić papierowe dolary, marki lub franki jako podstawową walutę („prawny środek płatniczy”), a na nich nadbudować piramidę tajemniczych i niewidzialnych, ale mających taką samą moc „pieniędzy z książeczki czekowej” albo bankowych wkładów płatnych na żądanie. Powstał w ten sposób kontrolowany przez rząd motor napędzający inflację. Jego działanie rozumieją tylko bankierzy, ekonomiści i specjaliści z rządowych banków centralnych. Zgodnie zresztą z intencją architektów systemu.

Należy zauważyć, że system banków komercyjnych w Ameryce i w innych państwach znajduje się pod całkowitą kontrolą rządu centralnego. Banki chętnie się na nią godzą, ponieważ daje ona możliwość kreowania pieniądza. Pozostają więc pod całkowitą kontrolą instytucji rządowej, jaką jest bank centralny. Władza banku centralnego wynika zaś w głównej mierze z nadanego mu przez państwo monopolu na drukowanie pieniędzy. Rolę banku centralnego w Stanach Zjednoczonych pełni System Rezerwy Federalnej. Rezerwa Federalna („Fed”) pozwala bankom komercyjnym na budowanie piramidy depozytów bankowych na żądanie („pieniędzy z książeczki czekowej”) w oparciu o ich własne „rezerwy” (depozyty złożone w Rezerwie Federalnej) przez pomnożenie ich w stosunku 6 : 1. Innymi słowy, jeśli rezerwy w Fed wzrosną o 1 miliard dolarów, to banki zwiększają piramidę pieniężną o 6 miliardów.

Dlaczego bankowe depozyty na żądanie są głównym czynnikiem odpowiedzialnym za podaż pieniądza? Oficjalnie nie są one pieniędzmi w takim znaczeniu jak banknoty Rezerwy Federalnej. Stanowią jednak przyrzeczenie banku, że w dowolnym momencie, w którym deponent (właściciel rachunku bieżącego) tego zażąda, otrzyma od banku wypłatę depozytu w gotówce (banknotach Rezerwy Federalnej). Sęk w tym, że banki oczywiście *nie mają* tych pieniędzy, bo same są zadłużone na sumę sześciokrotnie przekraczającą ich rezerwy złożone w Banku Rezerw Federalnych na ich własnych rachunkach bieżących. Utrzymuje się jednak wszystkich w przekonaniu o nieskazitelnej uczciwości i świętości banków jako namaszczonej świętością samego Systemu Rezerwy Federalnej. I Fed rzeczywiście ratuje banki, gdy znajdują się w kłopotach. Gdyby ludzie zrozumieli, co tu się dzieje, i przypuścili szturm na banki, żądając wypłaty swoich pieniędzy, przyparty do muru Fed mógłby zawsze wydrukować tyle pieniędzy, ile byłoby trzeba do wybawienia banków z kłopotu.

Fed kontroluje więc wskaźnik inflacji pieniężnej przez określenie proporcji (6 : 1), według której banki kreują pieniądze, lub – co istotniejsze – przez wyznaczenie całkowitej ilości rezerw bankowych. Czyli że jeśli Fed zechce zwiększyć podaż pieniądza o 6 miliardów dolarów, zamiast je drukować, może spowodować, że banki zwiększą rezerwy o 1 miliard i pozwolą im samym wykreować 6 miliardów nowych pieniędzy z książeczki czekowej. Tymczasem ludzie nie wiedzą, co się dzieje, albo nie uświadamiają sobie znaczenia tego procesu.

W jaki sposób banki tworzą nowe depozyty? Pożyczając je w procesie kreacji. Wyobraźmy sobie, że banki otrzymują 1 miliard dolarów nowych rezerw. Banki udzielą kredytów w wysokości 6 miliardów dolarów i wykreują tym samym nowe depozyty. Kiedy bank komercyjny pożycza pieniądze prywatnej osobie, przedsiębiorstwu albo rządowi, to *nie* puszcza w obieg już istniejących pieniędzy, wypracowanych w pocie czoła przez ludzi i złożonych przez nich w bankowym skarbcu. Ludziom tylko się wydaje, że tak jest. Bank pożycza nowy depozyt na żądanie wykreowany w trakcie udzielania kredytu. Ogranicza go tylko „obowiązkowa rezerwa”, wymagana górna granica stosunku depozytów do rezerwy (np. 6 : 1). Nie drukuje przecież sam dolarów, ani nie wykopuje spod ziemi sztabek złota, tylko wydaje zaświadczenia o depozycie

czy pieniądzech z książeczki czekowej, do których wypłacenia w gotówce sam się zobowiązuje. To zobowiązanie byłoby bez znaczenia, gdyby społeczeństwo ruszyło któregoś dnia do banków i zażądało likwidacji swoich rachunków.

W jaki sposób Fed określa poziom (z reguły podwyższając go) całkowitych rezerw banków komercyjnych? Fed bankom te rezerwy *pożycza* i to na bardzo niski procent (równy „stopie redyskontowej”). Jednakże banki nie chcą być poważnie zadłużone w Rezerwie Federalnej i dlatego ich zaległości wobec Fed nigdy nie są zbyt duże. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że najważniejszym narzędziem, jakim posługuje się Fed w celu określenia wysokości rezerw bankowych, jest metoda „zakupów na rynku otwartym”. Polega ona na tym, że Bank Rezerwy Federalnej wchodzi na otwarty rynek i kupuje aktywa. Nie ma przy tym znaczenia, jakie to będą aktywa. Może to być kieszonkowy kalkulator za 20 dolarów. Załóżmy, że Fed kupuje kalkulator od XYZ Electronics za 20 dolarów. Fed wchodzi w posiadanie kalkulatora, ale najistotniejsze dla nas jest to, że XYZ Electronics otrzymuje od Banku Rezerwy Federalnej czek na 20 dolarów. Fed nie prowadzi rachunków dla osób prywatnych, tylko dla banków i samego rządu federalnego. XYZ Electronics może więc ze swoim czekiem zrobić tylko jedną rzecz: zdeponować go w swoim banku, powiedzmy w Banku Acme. W tym momencie następuje druga transakcja: XYZ powiększa swój stan konta, swoje „depozyty na żądanie” o dwadzieścia dolarów. Bank Acme otrzymuje w zamian czek wystawiony na jego dobro przez Bank Rezerwy Federalnej.

Zasoby pieniężne XYZ wzrosły więc o 20 dolarów. O tę sumę powiększyło się w Banku Acme konto firmy XYZ i niczyje inne. A zatem ta wstępna faza – faza I – zakończyła się podwyższeniem podaży pieniądza o 20 dolarów, czyli o sumę, za którą Fed nabył aktywa. Jeśli ktoś zapyta, skąd Fed wzięł te 20 dolarów na zakup kalkulatora, odpowiedź brzmi: *z powietrza*, za pomocą wystawienia czeku na siebie samego. Nikt, ani Fed, ani żadna inna osoba *nie miała* tych dwudziestu dolarów, zanim Fed nie wykreował ich, dokonując zakupu.

Ale to jeszcze nie wszystko. Teraz Bank Acme, ku swemu zadowoleniu, znalazł się w posiadaniu czeku Rezerwy Federalnej. Pędzi więc do Fed, deponuje czek i podwyższa tym samym swoje rezerwy, czyli „bankowy depozyt na żądanie”, o 20 dolarów. Ponieważ system bankowy został zasilony 20 dolarami, to może poszerzyć akcję kredytową, czyli wykreować więcej depozytów na żądanie w formie kredytów dla przedsiębiorstw (albo dla konsumentów, względnie dla rządu), aż całkowity wzrost ilości pieniędzy z książeczek czekowych wyniesie 120 dolarów. Pod koniec fazy II mamy więc przyrost rezerw bankowych o 20 dolarów, wygenerowany zakupem za tę sumę kalkulatora przez Fed, wzrost bankowych depozytów na żądanie o 120 dolarów i wzrost sumy kredytów udzielonych przedsiębiorcom i innym podmiotom o 100 dolarów. Podaż pieniądza wzrosła o 120 dolarów, z czego 100 dolarów zostało wykreowane przez banki w postaci przyznania kredytów w pieniądzech z książeczki czekowej, a 20 dolarów wykreował Fed, kupując kalkulator.

W praktyce Fed nie dokonuje, oczywiście, zakupów przypadkowych aktywów. Aktywa, które kupuje, muszą mieć olbrzymią wartość i dużą płynność. Tylko wtedy nadają się dobrze do wywoływania inflacji w gospodarce. W rzeczywistości Fed kupuje obligacje państwowe lub inne papiery wartościowe rządu USA. Rynek rządowych papierów wartościowych jest olbrzymi i ma dużą płynność. Dzięki temu Fed nie musi wchodzić w polityczne konflikty, które wiązałyby się z zakupami prywatnych akcji lub obligacji. Dodatkową korzyścią, jaka wynika stąd dla rządu, jest umocnienie rynku rządowych papierów wartościowych i utrzymanie wysokiej ceny obligacji rządowych.

Przypuśćmy jednak, że któryś z banków, być może pod naciskiem swoich deponentów, zechciałby wycofać w gotówce część swoich rezerw na rachunku bieżącym, żeby móc dysponować twardą walutą. Co wówczas robi Fed, którego czeki wykreowały nowe rezerwy bankowe z powietrza? Czy nie będzie zmuszony do ogłoszenia bankructwa? Nie, ponieważ ma monopol na drukowanie gotówki i wypłaciłby depozyt za pomocą dodrukowania odpowiedniej ilości banknotów Rezerwy Federalnej. Gdyby więc jakiś bank zażądał wypłaty swoich 20 dolarów rezerwy w gotówce (lub raczej 20 milionów dolarów), Fed musiałby tylko wydrukować tę ilość gotówki i wypłacić ją. Jak widać, możliwość drukowania własnych pieniędzy stawia Rezerwę Federalną w niezwykle uprzywilejowanej sytuacji.

Doszliśmy więc wreszcie do sedna zagadki współczesnych procesów inflacyjnych. Polegają one na stałym zwiększaniu podaży pieniądza przez Fed za pomocą systematycznych zakupów papierów wartościowych rządu na rynku otwartym. Gdy tylko Fed zechce zwiększyć podaż pieniądza o 6 miliardów dolarów, kupuje na rynku otwartym papiery wartościowe rządu za 1 miliard dolarów (jeśli wymagana rezerwa ma stanowić jedną szóstą depozytów) i cel zostaje szybko osiągnięty. Każdego tygodnia, nawet teraz, gdy czytacie te słowa, Fed

dokonywa na rynku otwartym w Nowym Jorku zakupów obligacji rządowych w ilości, którą uznał za pożądaną i wpływa w ten sposób na poziom inflacji pieniężnej.

Dzieje pieniądza w dwudziestym wieku naznaczone są stałą tendencją do łagodzenia ograniczeń, jakie krępowały dążenie państwa do dowolnego rozdymania podaży pieniądza i, co za tym idzie, do podnoszenia cen. Żeby ten wyrafinowany system budowania piramid finansowych mógł zaistnieć, w roku 1913 powołano do życia System Rezerwy Federalnej. Nowy system pozwalał na znaczne zwiększenie podaży pieniądza i inflacji, czego wymagała konieczność sfinansowania pierwszej wojny światowej. Kolejnym brzemieniem w skutki krokiem było zniesienie przez rząd USA standardu złota w roku 1933. Oznaczało to, że dolary nadal były definiowane prawnie jako jednostki wagowe złota, ale nie można już ich było wymieniać na złoto. Do roku 1933 w swoich inflacyjnych zapędach Fed miał ręce skrupowane przez to, że banknoty Rezerwy Federalnej były wymienialne na złoto według kursu wagowego.

Istnieje oczywiście zasadnicza różnica między złotem i banknotami Rezerwy Federalnej. Rząd nie może tworzyć dowolnych ilości złota. Złoto trzeba wydobyć spod ziemi przy użyciu kosztownych metod. Tymczasem banknoty Rezerwy Federalnej można emitować do woli, nie ponosząc praktycznie żadnych nakładów. W 1933 roku rząd Stanów Zjednoczonych zniósł ograniczenie swoich możliwości w dziedzinie wywoływania inflacji, usuwając standard złota i wprowadzając pusty pieniądz, czyli dolara papierowego, który sam miał stanowić standard pieniądza. Rząd uzyskał też monopol na ustalanie podaży dolara. Zniesienie standardu złota utorowało drogę do olbrzymiej inflacji pieniądza i inflacji cenowej w USA, która miała miejsce w czasie drugiej wojny światowej i w latach powojennych.

Jeden jeszcze drobiazg psuł nastrój tej inflacyjnej zabawy, jeden czynnik hamował inflacyjne zapędy rządu. Chociaż w Stanach Zjednoczonych zniesiono standard złota dla pieniędzy używanych w kraju, to nadal pozostawało w mocy zobowiązanie do wypłacenia równowartości w złocie za dolary papierowe (a ostatecznie dolary na kontach bankowych) znajdujące się w posiadaniu rządów innych państw, gdyby tylko zgłoszono takie żądanie. Nadal więc państwo stosowało ograniczoną i ułomną formę standardu złota w rozliczeniach *międzynarodowych*. Z tego powodu, gdy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Stany Zjednoczone zwiększyły podaż pieniądza i ceny, w rękach rządów europejskich rosły stosy dolarów i roszczeń dolarowych (w pieniądzach papierowych i pieniądzach z książeczki czekowej). Za pomocą wielu ekonomicznych machlojek i politycznych chwytów mających na celu przekonanie rządów, by nie skorzystały z prawa do wymiany swoich dolarów na złoto, w roku 1971 Stany Zjednoczone ogłosiły całemu światu, że są bankrutem, ponieważ unieważniły swoje solenne zobowiązania i „zamknęły okienko ze złotem”. Nie było przypadkiem, że po usunięciu przez rządy resztek ograniczeń dyktowanych przez standard złota, inflacja w latach 1973–1974 wyrażała się dwucyfrową liczbą. Podobnie było w innych krajach na całym świecie.

Wyjaśniliśmy jak dotąd przyczyny stałej i wciąż rosnącej inflacji panującej obecnie na świecie i w Stanach Zjednoczonych. Pokazaliśmy, że jest ona wynikiem konsekwentnego odchodzenia rządu od złota i wprowadzania standardu drukowanych przez rząd pieniędzy papierowych oraz rozwoju banku centralnego i budowania piramid pieniędzy z książeczki czekowej w oparciu o inflacyjny pieniądz papierowy. Oba związane ze sobą procesy sprowadzają się do jednej rzeczy: przejęcia przez rząd kontroli nad podażą pieniądza.

Po wyjaśnieniu zagadnienia inflacji musimy jednak powrócić do problemu cyklu koniunkturalnego, czyli nawrotów recesji oraz recesji połączonej z inflacją zwanej stagflacją. Skąd wziął się cykl koniunkturalny i nowe tajemnicze zjawisko stagflacji?

### ***Kredyt bankowy i cykl koniunkturalny***

Cykl koniunkturalny pojawił się na Zachodzie w drugiej połowie osiemnastego wieku. Był zjawiskiem dziwnym, ponieważ wyglądało na to, że pojawia się bez przyczyny i nigdy wcześniej nie występował. W cyklu koniunkturalnym powtarzał się szereg razy (choć nieregularnie) wzrost (*boom*) i załamanie (*bust*), okres inflacji odznaczający się podwyższoną aktywnością gospodarczą, zwiększonym zatrudnieniem i wyższymi cenami, a następnie gwałtowna recesja lub kryzys ze spadkiem aktywności gospodarczej, podwyższonym bezrobociem i spadkiem cen. Po okresie recesji gospodarka się odradzała i następował kolejny okres wzrostu.

Nie ma żadnych apriorycznych przesłanek, które stanowiłyby o konieczności występowania takich cyklicznych zmian poziomu aktywności gospodarczej. Występują, oczywiście, okresowe fale w niektórych działach gospodarki. Po siedmioletniej pladze szarańczy nastąpi siedmioletni okres walki z szarańczą, lata

produkcji odpowiedniego sprzętu i preparatów niszczących szarańczę itd. Nie ma jednak powodu, żeby oczekiwać cyklicznych wzrostów i załamań w całej gospodarce. Przeciwnie, należałoby się raczej spodziewać, że wolny rynek będzie funkcjonował bez zakłóceń i wydajnie, a już na pewno nie powinno nastąpić wyraźne nagromadzenie chybionych decyzji gospodarczych w jednym czasie, jak to ma miejsce, gdy faza *boomu* przechodzi w okres załamania i przedsiębiorcy odnotowują duże straty. I aż do drugiej połowy osiemnastego wieku rzeczywiście takie cykle nie występowały. Gospodarka rozwijała się na ogół bez zakłóceń, spokojnie, chyba że nastąpiło jakieś nagłe zdarzenie: klęska nieurodzaju powodowała upadek rolniczego kraju, król przejmował większość pieniędzy należących do finansistów, powodując nagły kryzys, albo wojna przerywała kontakty handlowe. W każdym z tych przypadków miał miejsce wyraźny wstrząs wywołany łatwą do ustalenia jednorazową przyczyną. Nie było powodu, żeby doszukiwać się innych przyczyn.

Skąd więc nagle pojawia się cykl koniunkturalny? Widoczne było, że cykl występował w najbardziej rozwiniętych gospodarczo regionach kraju: w miastach portowych, na obszarach prowadzących szczególnie intensywną wymianę handlową ze światowymi ośrodkami gospodarczymi. W Europie Zachodniej, właśnie w ośrodkach najbardziej ożywionej produkcji i handlu, zaczęły się wówczas rozwijać na dużą skalę dwa bardzo istotne zjawiska: industrializacja i banki komercyjne. Działalność banków komercyjnych była oparta na omówionym już systemie „rezerw częściowych”. W Londynie powstał na przełomie wieku XVII i XVIII pierwszy na świecie bank centralny, Bank of England. Do początku XIX wieku przedstawiciele nowej dziedziny nauki, ekonomii, a także specjaliści od finansów i komentatorzy wypracowali dwa rodzaje wytłumaczenia nowego zjawiska. Według jednych główną przyczyną było istnienie przemysłu, według drugich – system bankowy. Ci pierwsi doszukiwali się przyczyny cyklu koniunkturalnego głęboko w samym systemie gospodarki wolnorynkowej i nawoływali do zniesienia rynku (jak na przykład Karol Marks) albo do silnej kontroli i regulacji ze strony rządu, która zmniejszałaby znaczenie cyklu (jak na przykład lord Keynes). Natomiast ci ekonomiści, którzy uważali, że winy należy szukać w systemie rezerw częściowych, przyczynę zjawiska umieszczali poza gospodarką rynkową – w sferze pieniądza i bankowości, której nawet klasycznym liberałom angielskim nigdy nie udało się uniezależnić od ścisłej kontroli rządu. Już w dziewiętnastym wieku zarzuty wobec banków były zasadniczo równoznaczne z oskarżaniem rządu o powodowanie cyklicznych wzrostów i załamań.

Nie możemy wdawać się tutaj w szczegóły dotyczące licznych błędów, jakie zawierają teorie mówiące, że za cykle koniunkturalne odpowiedzialna jest gospodarka rynkowa. Wystarczy powiedzieć, że teorie te nie potrafią wyjaśnić wzrostu cen w okresie *boomu* i ich spadku w fazie recesji ani występowania w tym samym czasie licznych chybionych decyzji, co doprowadza do dużych strat w momencie, gdy faza wzrostu przechodzi w fazę załamania.

Pierwszymi ekonomistami, którzy rozwinęli teorię cyklu koniunkturalnego koncentrującą się na pieniądzu i systemie bankowym, byli klasyczni ekonomiści angielscy z początku XIX wieku – David Ricardo oraz jego uczniowie. Była to „teoria pieniężna” cyklu koniunkturalnego<sup>3</sup>. Myśl Ricardo była następująca: banki oparte na systemie rezerw częściowych, zachęcane i kontrolowane przez rząd i jego bank centralny, rozszerzają akcję kredytową. Gdy kredyty rosną na piramidzie zbudowanej w oparciu o papierowe pieniądze i złoto, podaż pieniądza (w formie rachunków bankowych lub w tamtych czasach – not bankowych) również rośnie. Wzrost podaży pieniądza powoduje wzrost cen i wprawia w ruch inflację. Gdy *boom* utrzymuje się dzięki stałemu podsycaniu przez budowanie piramidy not bankowych i rachunków w oparciu o złoto, wzrastają ceny krajowe. Oznacza to, że krajowe produkty stają się coraz droższe w porównaniu z towarami importowanymi. Wzrośnie więc import, a zmaleje eksport. Pojawi się deficyt bilansu płatniczego, który powiększy się i będzie wymagał spłaty w złocie. Złoto zacznie odpływać z kraju ogarniętego inflacją do krajów o twardej walucie. Ale w miarę odpływu złota za granicę powiększające się zasoby pieniędzy i bankowa piramida zaczną tracić podstawę i bankom zagrozi bankructwo. W końcu rząd i banki będą musiały przerwać swoją ekspansję. W obawie o swoją skórę banki będą musiały zredukować ilość kredytów i pieniędzy z książki czekowej.

Nagle przejście od bankowej ekspansji kredytowej do skurczenia podaży kredytu diametralnie zmienia obraz gospodarki i po wzroście następuje załamanie. Banki muszą spuścić z tonu, a przedsiębiorstwa i wszelka działalność gospodarcza popadają w kłopoty, w miarę jak wzrasta nacisk na spłatę kredytów i ograniczenie

<sup>3</sup> Dokładniejszą analizę tematów zawartych w pozostałej części rozdziału Czytelnik znajdzie w: Rothbard, *Depressions: Their Cause and Cure*, s. 13–26.

inwestycji. Załamanie podaży pieniądza powoduje z kolei ogólny spadek cen, towary krajowe zaczynają znów konkurować z importowanymi, a bilans płatniczy zmienia znak, wykazując nadwyżkę zamiast deficytu. Do kraju zaczyna napływać złoto, a w miarę jak góra not bankowych i rachunków zaczyna topnieć na krzepnącym fundamencie złota, kondycja banków poprawia się i nadchodzi uzdrowienie.

Teoria Ricardo miała kilka godnych uwagi elementów. Zachowanie cen wyjaśniała, koncentrując się na zmianach w podaży pieniądza z banków. Podaż pieniądza rzeczywiście zawsze rosła w okresach ożywienia i malała podczas kryzysów. Teoria wyjaśniała również zmiany w bilansie płatniczym. Ponadto wykazywała związek między fazą wzrostu i fazą załamania. Załamanie było wynikiem poprzedzającego je wzrostu, ale także zbawiennym sposobem na dostosowanie gospodarki do lekkomyślnej interwencji, która wywołała nadmierne ożywienie gospodarcze.

Po raz pierwszy kryzys został przedstawiony nie jako rezultat wizyty wysłanników piekieł ani jako katastrofa wywołana wewnętrznymi procesami uprzemysłowionej gospodarki rynkowej. Zwolennicy Ricardo zrozumieli, że podstawowym złem jest uprzedni wobec recesji inflacyjny *boom* wywołany interwencją rządu w system pieniądza i bankowości. Zrozumieli też, że chociaż objawy recesji są nieprzyjemne, to stanowi ona niezbędny proces przystosowawczy, dzięki któremu system gospodarczy oczyszcza się z wywołanego interwencją *boomu*. Dzięki kryzysowi gospodarka rynkowa dostosowuje się, pozbywa się deformacji inflacyjnego wzrostu i wraca do zdrowia. Depresja jest nieprzyjemną, ale konieczną reakcją na wypaczenia i przerosty wcześniejszego ożywienia.

Dlaczego cykl koniunkturalny powtarza się? Dlaczego kolejne wzrosty i załamania powracają? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy zrozumieć, jakimi pobudkami kierują się banki i rząd. Banki komercyjne żyją z ekspansji kredytowej i z kreowania nowych pieniędzy, więc mają naturalną skłonność do „monetyzacji kredytu”, jeśli tylko nadarza się okazja. Również rząd zainteresowany jest zwiększeniem ilości pieniądza. Dzięki jego większej podaży może podwyższyć własne dochody (albo za pomocą drukowania pieniędzy, albo przez ułatwienie bankom finansowania deficytu). Może też dotować uprzywilejowane gałęzie gospodarki i wybrane grupy polityczne, korzystając z łatwo dostępnego, taniego kredytu. Wiemy już, czemu pojawił się pierwszy *boom* pierwszego cyklu. Rząd i banki musiały się wycofać, gdy zawisła nad ich głowami katastrofa i wtedy nastąpiło załamanie. Ale w miarę jak do kraju napływało złoto, sytuacja banków poprawiała się. A gdy banki miały się już całkiem dobrze, odzyskały pewność siebie i znów uległy naturalnej skłonności do powiększania podaży pieniądza i kredytu. I tak pojawił się *kolejny* wzrost, siejąc ziarno, z którego nieuchronnie musiał wykiełkować *kolejny* kryzys.

A zatem teoria Ricardo wyjaśniała również ciągłe nawroty cyklu koniunkturalnego. Nie wyjaśniała jednak dwóch rzeczy. Przede wszystkim nie wskazywała przyczyn nagromadzenia chybionych decyzji gospodarczych, które przedsiębiorcy podejmują nagle, gdy zaczyna się faza załamania. Przecież przedsiębiorcy mają wprawę w prognozowaniu i wydaje się dziwne, że tak wielu z nich w jednym czasie popełnia poważne błędy, których skutkiem są duże straty. Po drugie, charakterystyczną cechą wszystkich cykli koniunkturalnych było to, że zarówno ożywienie, jak i kryzys miały znacznie gwałtowniejszy przebieg w „przemysle dóbr kapitałowych” (przemysle produkującym maszyny, sprzęt, urządzenia przemysłowe i surowce) niż w gałęziach gospodarki produkujących dobra konsumpcyjne. Teoria Ricardo w żaden sposób nie radziła sobie z wyjaśnieniem tego zjawiska.

Opis cyklu koniunkturalnego autorstwa szkoły austriackiej lub Misesa opierał się na analizie Ricardo i przedstawiał własną „teorię monetarnego przeinwestowania”, a mówiąc ściślej – „monetarną teorię chybionych inwestycji” związanych z cyklem koniunkturalnym. Teoria Austriaków wyjaśniała nie tylko te zjawiska, które zanalizował już Ricardo, ale również pojawienie się w jednym czasie wielu chybionych decyzji gospodarczych i większą gwałtowność przebiegu cyklu w przemyśle dóbr kapitałowych. Przekonamy się również, że jest to jedyna teoria, która wyjaśnia zjawisko stagflacji.

Mises zaczyna od tego samego, co Ricardo: rząd i bank centralny pobudzają ekspansję kredytową banków, dokonując zakupu aktywów i zwiększając w ten sposób rezerwy bankowe. Banki zwiększają kredyt i podaż pieniądza w postaci rachunków bankowych (banknoty prywatnych banków przestały praktycznie istnieć). Podobnie jak Ricardo i jego zwolennicy, Mises uważa, że ta ekspansja powoduje wzrost cen i inflację.

Ale, jak zauważył Mises, Ricardo nie docenił zgubnych konsekwencji inflacji wywołanej bankowym kredytem. Dzieje się bowiem coś bardzo złego. Rozszerzenie akcji kredytowej banków nie tylko powoduje



wzrost cen, ale wpływa także na obniżenie stóp procentowych. W ten sposób do przedsiębiorców wysłany zostaje fałszywy sygnał, który skłania ich do dokonywania niewłaściwych, gospodarczo nieuzasadnionych inwestycji.

Na wolnym, niezakłócanym interwencjami rynku stopa procentowa kredytu wyznaczana jest przez „preferencję czasową” wszystkich podmiotów, które uczestniczą w gospodarce rynkowej. Istota kredytu polega na tym, że „dobro teraźniejsze” (pieniądze, których można użyć teraz) zostaje wymienione na „dobro przyszłe” (rewers, którego można użyć w przyszłości). Ponieważ wszyscy wolą mieć teraz pieniądze, a nie tylko perspektywy na otrzymanie ich w przyszłości, to na wolnym rynku za dobra teraźniejsze trzeba zapłacić nieco wyższą cenę niż za dobra przyszłe. Ta premia lub „agio”<sup>\*</sup>, jest stopą procentową, a jej wysokość jest zmienna i zależy od tego, jak bardzo ludzie wolą teraźniejszość niż przyszłość, czyli od ich preferencji czasowej.

Preferencja czasowa decyduje również o tym, jaką część pieniędzy ludzie będą oszczędzać i inwestować z myślą o przyszłości, a jaką ich część przeznaczą na bieżącą konsumpcję. Jeśli preferencja czasowa zmaleje, czyli zmniejszy się skłonność do wybierania teraźniejszości kosztem przyszłości, wówczas ludzie będą mniej konsumować na bieżąco, a więcej oszczędzać i inwestować. Jednocześnie z tego samego powodu stopa procentowa, wysokość premii czasowej, również zmaleje. Wzrost gospodarczy jest w znacznej mierze wynikiem spadku poziomu preferencji czasowej. Gdy preferencja czasowa jest niższa, wzrasta skłonność do oszczędzania, a jednocześnie maleje stopa procentowa.

Co się jednak stanie, gdy stopa procentowa zmaleje *nie* dlatego, że nastąpił niewymuszony spadek preferencji czasowej i ludzie więcej oszczędzają, tylko z powodu działań rządu, który wspiera ekspansję kredytową banków? Nowe pieniądze z książeczki czekowej, wykreowane w momencie udzielania przedsiębiorcom kredytów, znajdą się na rynku jako źródło kredytów, co przynajmniej początkowo spowoduje spadek stopy procentowej. Co się stanie, gdy stopa procentowa spadnie w sposób nienaturalny, w wyniku interwencji, a nie w wyniku zmian w sferze wartościowania i preferencji konsumentów?

Otóż wtedy pojawią się kłopoty. Gdy przedsiębiorcy zorientują się, że stopa procentowa spada, zareagują tak, jak powinni zareagować na taki sygnał płynący z rynku: zainwestują więcej w dobra kapitałowe. Będą mieli złudzenie, że inwestycje, zwłaszcza w czasochłonne przedsięwzięcia, które *do tej pory* wydawały się nieopłacalne, stały się opłacalne dzięki spadkowi stopy procentowej. Przedsiębiorcy zachowują się tak, jak by się zachowali, gdyby *rzeczywiście* wzrosły oszczędności: przeznaczają te rzekome oszczędności na inwestycje. Inwestują w środki trwałe, w dobra kapitałowe, surowce do produkcji, budowy, zamiast inwestować w produkcję dóbr konsumpcyjnych.

Tak więc przedsiębiorcy cieszą się z nowych możliwości pożyczania pieniędzy przy niższych stopach procentowych. Pieniądze inwestowane są w dobra kapitałowe, a w końcu, w postaci wyższych płac, trafiają też do pracowników zakładów produkujących te dobra. Rozwój wymaga zwiększenia nakładów na pracę, ale przedsiębiorcy są przekonani, że będzie ich na to stać, bo zwiódł ich sygnał wywołany przez interwencję rządu i banków na rynku kredytów. W szczególności zostali zmyleni przez fakt, że w wyniku interwencji zmieniły się stopy procentowe, których wysokość jest sygnałem określającym proporcje między inwestycjami w produkcję dóbr kapitałowych a inwestycjami w produkcję dóbr konsumpcyjnych.

Problemy dają o sobie znać, gdy robotnicy zaczynają wydawać nowe pieniądze, które otrzymali w postaci podwyższonych wynagrodzeń. Preferencja czasowa w społeczeństwie w *rzeczywistości* nie zmalała. Ludzie nie *chcą* oszczędzać więcej niż do tej pory. Robotnicy zabierają się więc do konsumpcji i wydają większość nowych dochodów. Przywracają stare proporcje między konsumpcją i oszczędzaniem. Oznacza to, że kierują teraz strumień wydatków z powrotem do gałęzi gospodarki produkujących towary konsumpcyjne. Nie oszczędzają ani nie inwestują wystarczająco dużo, by kupić nowo wyprodukowane maszyny, wyposażenie, surowce przemysłowe itd. Ponieważ brak jest oszczędności i kapitału inwestycyjnego, za który mogłyby zostać kupione nowe dobra kapitałowe (po oczekiwanych, aktualnych cenach), to następuje nagły ostry kryzys w przemyśle dóbr kapitałowych. Gdy konsumenci przywrócili preferowane proporcje między konsumpcją a inwestycjami, okazuje się, że przedsiębiorstwa zainwestowały zbyt dużo środków w dobra kapitałowe (stąd „*teoria monetarnego przeinwestowania*”), a zbyt mało w dobra konsumpcyjne.

<sup>\*</sup> Agio – azio, prowizja, różnica kursu pieniądza kruszcowego i banknotu. Rothbard stosuje termin "agio" w nawiązaniu do słynnej teorii procentu wypracowanej przez Eugena Böhm-Bawerka, reprezentującego drugie pokolenie ekonomistów szkoły austriackiej. Zobacz: Eugen Böhm-Bawerk, *Positive theory of capital*, Księga V i passim (*przypis tłumacza*).

Przedsiębiorcy dali się zwieść rządowym zabiegom i sztucznej obniżce stopy procentowej i zareagowali tak, jakby istniało więcej oszczędności do zainwestowania niż naprawdę. Gdy tylko nowe pieniądze, wykreowane przez banki, przejdą przez cały system, a konsumenci przywrócą stare proporcje preferencji czasowej, stanie się oczywiste, że oszczędności nie były wystarczające do tego, by inwestować w zakup takiej ilości środków produkcji. Okaże się, że przedsiębiorcy zainwestowali ograniczone oszczędności w sposób nietrafny („monetarna teoria chybionych inwestycji”). Zbyt dużo zainwestowano w dobra kapitałowe, a zbyt mało w dobra konsumpcyjne.

Inflacyjny *boom* powoduje zniekształcenia w systemie cen i produkcji. Ceny pracy, surowców i maszyn w przemyśle dóbr kapitałowych w okresie *boomu* zostają wywindowane zbyt wysoko i po powrocie do starych proporcji między konsumpcją i inwestowaniem nie zapewniają zysków. „Depresja” stanowi więc – nawet wyraźniej niż u Ricardo – fazę konieczną i ozdrowieńczą. Dzięki niej gospodarka rynkowa odrzuca i likwiduje nietrafne, nieuzasadnione ekonomicznie inwestycje poczynione w fazie wzrostu i powraca do pożądanego przez ludzi poziomu proporcji między konsumpcją a inwestycjami. Depresja jest zjawiskiem przykrym, ale koniecznym. Wolny rynek zostaje uwolniony od przesady i błędów okresu *boomu*, a gospodarka znów zaczyna pełnić skutecznie rolę usługową wobec konsumentów. Ponieważ ceny czynników produkcji (ziemi, pracy, maszyn, surowców) w przemyśle dóbr kapitałowych zostały podczas *boomu* wywindowane zbyt wysoko, to w czasie recesji powinny spadać aż do momentu, w którym przywrócone zostaną właściwe, dyktowane przez rynek proporcje między cenami a produkcją.

Mówiąc jeszcze inaczej, inflacyjny *boom* spowoduje nie tylko ogólny wzrost cen, ale zdeformuje też ceny względne, zniekształci relacje między cenami. Wprawdzie wzrosną wszystkie ceny, ale ceny i płace w przemyśle dóbr kapitałowych będą rosły szybciej niż ceny w przemyśle dóbr konsumpcyjnych. *Boom* będzie zatem bardziej intensywny w przemyśle dóbr kapitałowych. Z drugiej strony istotą depresji, czyli fazy dostosowawczej, jest to, że ceny i płace w przemyśle dóbr kapitałowych maleją bardziej niż w przemyśle dóbr konsumpcyjnych. Rozdęte inwestycje w dobra kapitałowe wracają do niedoinwestowanego przemysłu dóbr konsumpcyjnych. Ze względu na skurczenie się kredytu bankowego wszystkie ceny spadną, ale ceny i płace w przemyśle dóbr kapitałowych będą spadać szybciej. Zarówno *boom*, jak i załamanie będą przebiegały gwałtowniej w sferze produkcji dóbr kapitałowych niż w przemyśle dóbr konsumpcyjnych. W ten sposób wyjaśniliśmy, dlaczego cykl koniunkturalny jest bardziej intensywny w przemyśle dóbr kapitałowych.

Wydaje się jednak, że w tej teorii tkwi pewien błąd. Jeśli robotnicy względnie szybko otrzymują większe ilości pieniędzy w formie podwyższonych płac i przywracają preferowane proporcje między konsumpcją a inwestowaniem, to dlaczego *boom* utrzymuje się bezkarnie latami? Dlaczego przez wszystkie te lata nie dają o sobie znać chybione inwestycje i nie wychodzą na wierzch błędy spowodowane manipulacjami banków wokół sygnałów rynkowych? Dlaczego upływa tyle czasu, zanim rozpoczną się procesy dostosowawcze związane z depresją? Otóż *boom* trwałby rzeczywiście bardzo krótko (powiedzmy kilka miesięcy), *gdyby* ekspansja kredytowa banków i związane z nią zbijanie stóp procentowych poniżej poziomu wyznaczanego przez wolny rynek było jednorazowym wybrykiem. Ale problem polega na tym, że ekspansja kredytowa *nie* jest działaniem jednorazowym, lecz trwa uporczywie, nie dając konsumentom szansy na przywrócenie preferowanych proporcji między konsumpcją a oszczędzaniem. Trwa i nie pozwala na to, by wzrost cen na rynku dóbr kapitałowych dogonił inflację cenową. W swoim galopie ku nieuchronnej katastrofie *boom* jest podtrzymywany zastrzykami coraz częściej aplikowanych dawek kredytu bankowego, niczym koń, którego szprycuje się środkami dopingującymi przed wyścigiem. Dopiero gdy banki zaczynają się chwiać lub społeczeństwo ma dość ciągłej inflacji i ekspansja kredytowa zatrzymuje się albo gwałtownie zwalnia tempo – dopiero wtedy kara może osiągnąć rozszalałego do tej pory *boomu*. Gdy tylko ekspansja kredytowa zostaje wstrzymana, nadchodzi czas płacenia rachunków. Niezbędne zabiegi naprawcze muszą spowodować likwidację nieuzasadnionych nadmiernych inwestycji z okresu *boomu* i skierowanie gospodarki w stronę produkcji dóbr konsumpcyjnych. Oczywiście im dłużej trwał *boom*, tym więcej pozostawił po sobie chybionych inwestycji do zlikwidowania i tym więcej mogoło wymagać będzie naprawa.

Teoria Austriaków wyjaśnia, dlaczego następuje nagromadzenie w jednym czasie chybionych decyzji gospodarczych (nadmierne inwestowanie w przemysł dóbr kapitałowych, które zostaje zdemaskowane, gdy tylko znika sztuczny bodziec w postaci ekspansji kredytowej). Wyjaśnia również, dlaczego w sferze dóbr kapitałowych *boom* i załamanie przebiegają z większą intensywnością niż w przemyśle dóbr konsumpcyjnych. Nawroty kryzysów i zapoczątkowanie *boomu* opisuje podobnie, jak czyniła to teoria

Ricardo. Po okresie likwidacji i bankructw, gdy zakończy się proces korygowania produkcji, gospodarka i banki zaczynają wracać do zdrowia. Banki znów mogą zająć się normalną działalnością kredytową.

Szkół austriacka daje też jedyne sensowne wyjaśnienie zjawiska stagflacji, czyli odpowiada na pytanie, dlaczego w czasie ostatnich recesji ceny nadal rosły. Trzeba od razu uściślić, że właściwie w trakcie recesji rosły ceny *dóbr konsumpcyjnych*, co wywoływało u ludzi konsternację, ponieważ musieli się zmierzyć z dwiema katastrofami jednocześnie: wysokim bezrobociem oraz wzrostem kosztów utrzymania. W czasie ostatniej depresji w latach 1974–1976 ceny dóbr konsumpcyjnych wzrosły bardzo szybko, ceny hurtowe pozostały na tym samym poziomie, a ceny surowców przemysłowych spadły gwałtownie i wyraźnie. Dlaczego w takim razie koszty utrzymania w czasie ostatnich kryzysów wzrastały?

Cofnijmy się w czasie, by prześledzić, jak zachowywały się ceny w trakcie „klasycznych”, staromodnych cykli koniunkturalnych (w latach przed drugą wojną światową). Podczas *boomu* podaż pieniądza zwiększała się, w związku z czym ceny też rosły, ale ceny dóbr kapitałowych rosły *bardziej* niż dóbr konsumpcyjnych. Wycofywano więc środki z przemysłu dóbr konsumpcyjnych i lokowano w przemyśle dóbr kapitałowych. Pominąwszy ogólny wzrost cen i biorąc pod uwagę wyłącznie ceny *jednych towarów względem innych*, należy stwierdzić, że w czasie *boomu* drożały dobra kapitałowe, a taniały dobra konsumpcyjne. A co się działo w czasie kryzysu? Sytuacja odwracała się. Podaż pieniądza spadała, wszystkie ceny w związku z tym również szły w dół, ale ceny dóbr kapitałowych spadały *bardziej* niż ceny dóbr konsumpcyjnych, co sprawiało, że wycofywano środki z przemysłu dóbr kapitałowych i lokowano w przemyśle dóbr konsumpcyjnych. Znów więc, abstrahując od ogólnego spadku cen, w czasie kryzysu ceny dóbr kapitałowych *względnie* spadały, a ceny dóbr konsumpcyjnych *względnie* rosły.

Według szkoły austriackiej zmiany względnych cen w czasie *boomu* i załamania zachodzą w dalszym ciągu według tego samego scenariusza. Podczas *boomu* ceny dóbr kapitałowych nadal względnie rosną, a ceny dóbr konsumpcyjnych względnie spadają. Podczas kryzysu odwrotnie. Różnica polega na tym, że – jak zauważyliśmy wcześniej w tym rozdziale – teraz mamy nowy świat monetarny. Ponieważ zniesiony został standard złota, Bank Rezerwy Federalnej może zwiększać podaż pieniądza *przez cały czas*, zarówno w czasie *boomu*, jak i w czasie recesji. Od lat trzydziestych nie zmniejszono podaży pieniądza i jest mało prawdopodobne, by miało się to zdarzyć w dającej się przewidzieć przyszłości. Teraz, gdy podaż pieniądza wzrasta *bez przerwy*, ceny rosną *stale*, czasami tylko nieco wolniej, a kiedy indziej szybciej.

W czasie klasycznego kryzysu ceny dóbr konsumpcyjnych w porównaniu z cenami dóbr kapitałowych zawsze rosły. Jeśli ceny dóbr konsumpcyjnych spadły w czasie kryzysu o 10%, a ceny dóbr kapitałowych – o 30%, oznaczało to poważny wzrost *względnych* cen dóbr konsumpcyjnych. Jednakże z punktu widzenia konsumenta spadek kosztów utrzymania był błogosławieństwem. Witano go z radością, jako ośłodę gorzkiej pigułki recesji lub depresji. Nawet w latach Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych, gdy było bardzo wysokie bezrobocie, dla tych, którzy jeszcze mieli pracę, czyli 75–80% siły roboczej, ceny dóbr konsumpcyjnych były atrakcyjne.

Gdy jednak w robocie jest Keynesowskie dostrajanie, gorzką pigułkę trzeba przełknąć już bez cukrowej polewy. Obecnie podaż pieniądza nie spada *nigdy*. W związku z tym ogólny poziom cen też nigdy nie spada. Dlatego w czasie recesji względny wzrost cen dóbr konsumpcyjnych uderza w konsumenta również jako widoczna podwyżka cen nominalnych. W czasie dzisiejszych depresji rosną też koszty utrzymania, co sprawia, że konsument doświadcza najgorszych skutków obu plag jednocześnie. W klasycznym wariacie cyklu koniunkturalnego, zanim władzę objął Keynes i Zespół Doradców Ekonomicznych, konsument miał do czynienia tylko z jedną klęską w tym samym czasie.

Jakie wnioski dotyczące strategii postępowania można natychmiast wyciągnąć z austriackiej analizy cyklu koniunkturalnego? Dokładnie przeciwne do tych, które proponują przedstawiciele Keynesowskiego establishmentu. Ponieważ zarzewiem choroby wypaczającej produkcję i ceny jest wywołująca inflację ekspansja kredytowa banków, Austriacy proponują następującą receptę. Po pierwsze w fazie *boomu* banki i rząd muszą natychmiast zaprzestać zwiększania inflacji. Przerwanie sztucznej stymulacji doprowadzi nieuchronnie do zakończenia inflacyjnego *boomu* i do recesji lub depresji. Jednak im dłużej rząd będzie zwlekał z tą decyzją, tym drastyczniejszy będzie przebieg procesów naprawczych. Im szybciej przeprowadzi się naprawę, tym lepiej. Oznacza to również, że rząd nie powinien nigdy opóźniać nadejścia depresji, lecz pozwolić jej zadziałać jak najszybciej, żeby zrobić miejsce dla prawdziwego procesu odnowy. Oznacza to również, że rząd musi przede wszystkim powstrzymać się od interwencji, które tak uwielbiają keynesiści. Nie

wolno mu wspierać wątpliwych gospodarczo przedsięwzięć, nie wolno poręczać za firmy będące w kłopotach ani pożyczać im pieniędzy. Takie działania przedłużą tylko agonię i spowodują, że depresja, zamiast ostrego i szybkiego, będzie miała charakter długotrwały i chroniczny. Rządowi nie wolno wpływać na wzrost płac ani cen, zwłaszcza w przedsiębiorstwach produkujących dobra kapitałowe. Jeśli to zrobi, spowoduje przedłużenie depresji i przesunięcie w nieokreśloną przyszłość związanych z nią procesów naprawczych. Spowoduje również niekończącą się depresję i wysokie bezrobocie w przemyśle najważniejszych dóbr kapitałowych. Rząd musi powstrzymać się od ponownego wywoływania inflacji w celu wyjścia z depresji. Nawet jeśli powrót inflacji da jakieś rezultaty (co wcale nie jest pewne), to posieje tylko ziarno przyszłych kłopotów i depresji, które uderzą z tym większą siłą. Rząd ma nie robić niczego, co pobudzałoby konsumpcję i nie wolno mu zwiększać własnych wydatków, ponieważ pogłębiłoby to jeszcze dysproporcję między konsumpcją i inwestowaniem na niekorzyść inwestowania, gdy tymczasem tylko zwiększenie oszczędności może przyspieszyć proces naprawczy. Tylko zwiększenie oszczędności w stosunku do konsumpcji może spowodować, że obecnie nieuzasadnione gospodarczo inwestycje nabrają uzasadnienia i staną się sensowne z ekonomicznego punktu widzenia. Rząd może pomóc jedynie przez obniżenie własnego budżetu, co zwiększy stosunek inwestycji do konsumpcji w gospodarce (ponieważ wydatki rządu można uważać za wydatki konsumpcyjne na biurokratów i polityków).

Jak widzimy, w świetle austriackiej analizy cyklu koniunkturalnego zadaniem rządu byłoby nierobienie absolutnie niczego. Rząd powinien zaprzestać wywoływania *samemu* inflacji i konsekwentnie prowadzić leseferystyczną politykę niewtrącania się. Jakiegokolwiek działanie z jego strony opóźni i utrudni procesy naprawcze rynku. Im mniej będzie robił, tym szybciej rynkowe procesy naprawcze zadziałają i gospodarka powróci do zdrowia.

Austriacka recepta na depresję różni się więc diametralnie od recepty keynesistów. Rząd ma się trzymać od gospodarki z daleka i zająć się tym, by samemu nie wywoływać inflacji, oraz obciąć własny budżet.

Należy podkreślić, że dokonana przez szkołę austriacką analiza cyklu koniunkturalnego doskonale współgra z wolnościowymi poglądami na rolę rządu i gospodarkę wolnorynkową. Ponieważ państwo zawsze chce pobudzać inflację i wtrącać się do gospodarki, to recepta libertarian kładłaby nacisk na całkowite oddzielenie pieniędzy i banków od państwa. W najłagodniejszym wariantcie oznaczałoby to zniesienie Systemu Rezerwy Federalnej i powrót do pieniądza towarowego (na przykład złota lub srebra), dzięki czemu jednostka pieniężna byłaby znów jednostką wagową towaru wyprodukowanego przez rynek, a nie nazwą kawałka papieru wydrukowanego przez państwowy aparat fałszerzy pieniędzy.

## Rozdział 10: Sektor publiczny I: rząd w gospodarce

Ludzie mają skłonność do myślenia w sposób stereotypowy, zgodnie z utartymi przyzwyczajeniami. Jest to szczególnie widoczne w przypadku poglądów na rolę rządu. W kwestiach dotyczących gospodarki rynkowej społeczeństwo przygotowane jest na zmiany, na przyjęcie nowinek i usprawnień cywilizacyjnych; przystosowuje się do nich błyskawicznie. Z otwartymi ramionami przyjmuje nowe produkty i skwapliwie podchwytuje nowe mody i idee. Natomiast w sprawach dotyczących rządu podążamy na oślep ścieżkami wydeptanymi przez wieki. Zadowolamy się wiarą, że jeśli coś od dawna trwa, to musi być dobre. W szczególności uważamy, że rząd Stanów Zjednoczonych i inne rządy świadczą nam od wieków, a właściwie od niepamiętnych czasów, pewne ważne i niezbędne usługi. Niemal wszyscy zgadzają się, że do tych usług o specjalnym znaczeniu należą: obrona (obejmująca armię, policję, sądownictwo i ustawodawstwo), ochrona przeciwpożarowa, ulice i drogi, dostawy wody, kanalizacja i wywóz śmieci, usługi pocztowe itd. W społecznym odbiorze usługi te są tak dalece utożsamiane z państwem, że wszelka krytyka finansowania ich przez państwo *traktowana jest* przez wielu ludzi jako atak na same usługi. Jeśli ktoś mówi, że państwo nie powinno zajmować się sądownictwem i że prywatni wolnorynkowi usługodawcy mogą zapewnić usługi sądownicze lepszej jakości i egzekwować prawo w sposób bardziej zgodny z moralnością, to ludzie myślą, że kwestionuje on w ten sposób znaczenie sądów.

Wolnościowiec, który postuluje zastąpienie w tych dziedzinach rządu przez prywatnych przedsiębiorców, postrzegany jest tak, jak byłby postrzegany, gdyby postulował odsunięcie rządu od produkcji butów, na którą państwo miałoby odwieczny monopol. Gdyby rząd i tylko rząd miał monopol na produkcję i sprzedaż detaliczną obuwia, to jak potraktowano by libertarianina, który żądałby wycofania się rządu z przemysłu obuwniczego i oddania tej branży w prywatne ręce? Nie ulega wątpliwości, że ludzie podnieśli by krzyk: „Jak możesz? Sprzeciwiasz się większości, występujesz przeciwko biednym ludziom, którzy używają butów! A *kto* dostarczy butów społeczeństwu, gdy rząd zostanie odsunięty od ich produkcji? No, powiedz! Bądź konstruktywny! Łatwo ci krytykować i mędrkować na temat rządu, ale powiedz, kto by nas zaopatrywał w buty? Jacy konkretnie ludzie? Ile dokładnie sklepów obuwniczych miałyby każde miasto i miejscowość? W jaki sposób byłyby one finansowane? Ile byłoby firm produkujących buty? Jakich używano by surowców? Jakich szewskich kopyt? Jakie byłyby zasady ustalania cen? Czy nie byłyby konieczne regulacje, które zagwarantowałyby, że produkt będzie zdrowy? A kto zapewniłby obuwiu dla biednych? Wyobraź sobie, co się stanie, jeśli kogoś ubogiego nie będzie stać na buty...”.

Gdy te pytania dotyczą przemysłu obuwniczego, to wydają się niedorzeczne. Ale tak samo absurdalne są pytania, którymi zasypuje się libertarianina, gdy domaga się on wolnego rynku w pożarnictwie, policji, usługach pocztowych i innych dziedzinach, które są domeną rządu. Problem polega na tym, że zwolennik wolnego rynku w *jakiegokolwiek* dziedzinie produkcji lub usług nie jest w stanie przedstawić zawczasu „konstruktywnej” wizji tego wolnego rynku. Istotą wolnego rynku i cechą stanowiącą o jego pięknie jest to, że poszczególne firmy i przedsiębiorstwa, konkurując ze sobą, posługują się całą gamą środków służących do produkcji coraz to nowszych towarów i usług: doskonałą jakość, usprawniają technologię, obniżają koszty, błyskawicznie reagują na oczekiwania konsumentów. Wolnościowy ekonomista może tylko w ogólnych zarysach nakreślić, jak wolny rynek *mógłby* się rozwijać, gdyby nie był krępowany obowiązującymi obecnie ograniczeniami. Może zaledwie wskazywać drogę do wolności i wzywać rząd do usunięcia się z niej, do zaprzestania praktyk krępujących moce produkcyjne i siły twórcze społeczeństwa, które mogą ujawnić się wyłącznie przez dobrowolną działalność na wolnym rynku. Nikt nie jest w stanie przewidzieć liczby firm na wolnym rynku danej branży, ich wielkości, strategii cenowej itd. Dzięki teorii ekonomicznej i historycznym doświadczeniom wiemy tylko, że wolny rynek w każdej dziedzinie radzi sobie bez porównania lepiej niż przymusowy monopol biurokratycznego rządu.

Pytanie o to, jak ubogich będzie stać na straż pożarną, pocztę itd., można odwrócić. Można się zapytać, jak to się dzieje, że biednych stać na *którąkolwiek* z rzeczy, w jakie zaopatrują się na wolnym rynku. Różnica polega na tym, że – jak wiemy – wolny rynek zapewniłby te dobra i usługi po znacznie niższych cenach, w większych ilościach i w lepszym standardzie jakościowym niż obecny monopol rządowy. Całe społeczeństwo odniosłoby korzyści, ale *zwłaszcza* biedni. Wiadomo też, że olbrzymie podatki, z których finansuje się te i inne usługi, byłyby zdjęte z pleców społeczeństwa, w tym ludzi ubogich.

Jak przekonaliśmy się wcześniej, zauważane powszechnie problemy, które nękają nasze społeczeństwo, mają związek z działalnością rządu. Widzieliśmy, że poważnych konfliktów społecznych związanych ze szkołami

publicznymi można by uniknąć, gdyby tylko każda z grup rodziców mogła finansować i wspierać dowolnie wybrany model edukacji swoich dzieci. Działania rządu są z natury obciążone niewydajnością i z natury powodują ostre konflikty. Kiedy rząd ma monopol na pewne usługi (na przykład na szkolnictwo albo dostawę wody), to nieszczęsne mniejszości muszą się godzić na wszelkie decyzje rządu, które ten wciela w życie pod przymusem. Wyboru nie ma ani w sprawach dotyczących wychowania (integracja czy segregacja, nowoczesność czy tradycja, religijność czy świeckość itd.), ani w kwestiach takich jak rodzaj dostarczanej do domów wody (np. czy ma być fluoryzowana czy nie). Takie kontrowersje nie mają oczywiście miejsca, gdy każda grupa konsumentów może zakupić towar lub usługę, której potrzebuje. Nie ma na przykład między konsumentami wojen o to, jaka prasa powinna być wydawana, jakie kościoły budowane, jakie książki drukowane, jakie płyty sprzedawane, jakie samochody produkowane. Wszystko to, czego dostarcza rynek, odzwierciedla różnorodność i siłę popytu zgłaszanego przez konsumentów.

Królem wolnego rynku jest konsument, a każda firma, która oczekuje zysków i chce uniknąć strat, dąży do jak najdoskonalszego zaspokojenia jego potrzeb przy możliwie jak najniższych kosztach. Gdy działalność prowadzi rząd, wszystko ulega zmianie. *Każda działalność rządu związana jest nieuchronnie z oderwaniem usługi od opłaty za nią.* Dochody agend rządowych nie zależą od dobrej obsługi klientów, ani nie pochodzą ze sprzedaży towarów po cenach przewyższających koszty produkcji. Nie, urzędy uzyskują swoje dochody przez nałożenie danin na udrczonego podatnika. Ich działalność będzie więc mało wydajna, a koszty dowolnie wysokie, ponieważ urzędy nie muszą się obawiać strat ani bankructwa. Wszelkie straty urzędnicy pokrywają, sięgając po kolejne środki z państwowej kasy. Nie zabiegają o klienta i nie starają się obsłużyć go jak najlepiej, tylko uważają go za natręta, który przeszkadza w pracy rządu i „marnuje” jego cenne zasoby. Konsument jest traktowany przez instytucje rządowe jak niechciany intruz, przeszkadzający urzędnikowi w jego spokojnym zarabianiu pieniędzy.

Prywatna firma jest zachwycona, gdy popyt na jej produkty lub usługi rośnie. Zabiega o nowe zamówienia i rozwija działalność, żeby tylko sprostać nowym potrzebom. Rząd przeciwnie – reaguje na taką sytuację niechętnie, namawiając ludzi lub nawet nakazując im, by „kupowali” mniej, oraz dopuszczając do powstania niedoborów, a także do obniżenia jakości swoich usług. Gdy rośnie liczba użytkowników ulic, które należą do rządu, powoduje to tylko coraz większy tłok i wywołuje pogroźki pod adresem osób, które jeżdżą własnymi samochodami. Władze Nowego Jorku wciąż grożą, że najbardziej zatłoczony Manhattan zostanie zamknięty dla ruchu prywatnych pojazdów. Tylko rząd może wpaść na pomysł takiego rozprawienia się z klientami; tylko rząd może mieć czelność, by problem nadmiernego zatłoczenia ulic „rozwiązywać” przez wprowadzenie zakazu ruchu dla prywatnych samochodów (lub ciężarówek, taksówek i innych). Zgodnie z tą zasadą „najlepszym” rozwiązaniem problemu korków na ulicach byłoby wprowadzenie zakazu używania wszelkich pojazdów!

Tego typu postawa w stosunku do konsumentów prezentowana jest również w innych dziedzinach. W Nowym Jorku na przykład co jakiś czas występują „braki” wody. Władze miasta mają od lat przymusowy monopol na zaopatrywanie mieszkańców w wodę i ani nie są w stanie dostarczyć odpowiednich ilości wody, ani nie mogą ustalić na nią cen, które zapewniłyby równowagę między popytem i podażą (co prywatne firmy robią automatycznie). Gdy pojawiają się problemy, władze Nowego Jorku nigdy nie biorą odpowiedzialności na siebie, tylko zawsze zrzucają winę na konsumentów, którzy zużywają „za dużo” wody. Wprowadzają więc zakazy podlewania trawników, ograniczenia w zużyciu wody i żądają, żeby mieszkańcy mniej pili. W ten sposób rząd przenosi odpowiedzialność za własną nieudolność na kozła ofiarnego, jakim są użytkownicy. Grozi im i nakazuje, zamiast ich dobrze i sprawnie obsłużyć.

Z podobną reakcją władz mamy do czynienia w przypadku narastającego problemu przestępczości w Nowym Jorku. Miasto, zamiast zapewnić odpowiednią ochronę policyjną, zmusza mieszkańców do omijania niebezpiecznych rejonów. Gdy Central Park stał się nocami miejscem częstych napadów i innych przestępstw, władze „rozwiązały” ten problem, wprowadzając godzinę policyjną, czyli zamykając wstęp do parku w godzinach nocnych. Jeśli jakiś Bogu ducha winny mieszkaniec zechce spędzić noc w Central Parku, to zostanie aresztowany za niepodporządkowanie się godzinie policyjnej. Oczywiście łatwiej jest go wsadzić do aresztu, niż oczyścić park z przestępców.

Hasłem prywatnych przedsiębiorców jest z dawien dawna „klient ma zawsze rację”, natomiast rząd przyjmuje milcząco maksymę: „wina leży zawsze po stronie klienta”.

W odpowiedzi na narastającą krytykę lichy i niesprawnej obsługi biurokracji posługują się standardowym argumentem: „Podatnicy muszą nam dać więcej pieniędzy!” To nic, że „sektor publiczny” i związane z nim podatki rosły w tym stuleciu znacznie szybciej niż dochód narodowy. To nic, że działalność rządu coraz bardziej szwankuje i mnożą się związane z nią problemy, a budżet rządu wciąż rośnie. I tak mamy sypać coraz więcej pieniędzy do dziurawego rządowego worka!

Pytanie, jakie należy skierować pod adresem tych, którzy domagają się podwyżki podatków, jest następujące: „Jak to się dzieje, że prywatni przedsiębiorcy nie mają tych problemów?”. Jak to możliwe, że producenci sprzętu hi-fi, wytwórcy fotokopiarek, firmy komputerowe i inni przedsiębiorcy nie mają trudności ze znalezieniem kapitału potrzebnego na rozwój produkcji? Dlaczego *oni* nie występują z odezwaniami potępiającymi inwestorów za to, że nie dostarczają *im* odpowiedniej ilości pieniędzy na potrzeby ich działalności usługowej? Ponieważ konsumenci płacą za zestawy hi-fi, za fotokopiarki, za komputery i dzięki temu inwestorzy otrzymują informację, że opłaca się lokować swoje środki w tych działach gospodarki. Na rynku prywatnej przedsiębiorczości firmy, które potrafią zaspokoić potrzeby klientów, nie mają trudności ze zgromadzeniem kapitału potrzebnego na rozwój. Takie trudności mają tylko firmy słabe, które muszą w końcu zamknąć działalność. Ten mechanizm rachunku zysków i strat nie steruje działalnością rządu. Rząd nie ma żadnych wskazówek dotyczących tego, jakie inwestycje są opłacalne, a jakie mogą się okazać nietrafne lub zbędne. W działalności rządu nie ma zysków i strat, które skłaniałyby do rozwoju albo do powstrzymania się od dalszych inwestycji. Nie można więc w rząd „zainwestować” i nie można mieć pewności, że przedsięwzięcia opłacalne będą rozwijane, a nieopłacalne – poniecane. Przeciwnie: rząd musi podwyższać swój „kapitał”, pobierając go za pomocą przymusowego trybu ściągania podatków.

Wielu ludzi, nie wyłączając niektórych przedstawicieli rządu, sądzi, że wszystkie te problemy dałoby się rozwiązać, gdyby „sprawowanie rządów upodobnić do zarządzania firmą”. W związku z tym rząd powołuje monopolistyczne pseudokorporacje, którymi sam zarządza. Mają one działać zgodnie z zasadami obowiązującymi w „biznesie”. Taką operację przeprowadzono, na przykład, z pocztą, która nosi obecnie nazwę Poczta Stanów Zjednoczonych (U.S. Postal Service) oraz z wiecznie rozpadającym się i niszczącym transportem miejskim w Nowym Jorku (New York City Transit Authority)<sup>1</sup>. „Korporacje” te mają zerwać z tradycją kreowania chronicznego deficytu i mogą wypuszczać obligacje. Dzięki temu bezpośredni użytkownicy rzeczywiście zdejmują częściowo ciężary z ogółu podatników, wśród których są zarówno użytkownicy, jak i niekorzystający z usług „korporacji”. Ten pseudobiznesowy wynalazek nie pozwala jednak uniknąć fatalnych słabości tkwiących w każdej działalności podejmowanej przez rząd. Przede wszystkim usługi rządu stanowią zawsze monopol lub półmonopol. Często – jak na przykład w przypadku Poczty Stanów Zjednoczonych lub Transportu Miejskiego – jest to monopol przymusowy, ponieważ wszelka lub prawie wszelka konkurencja ze strony przedsiębiorców prywatnych jest zakazana. Monopol oznacza, że rządowa usługa pochłonie znacznie większe środki, będzie droższa i gorsza jakościowo, niż gdyby była dostępna na wolnym rynku. Prywatny przedsiębiorca osiąga zysk dzięki cięciu kosztów, na ile tylko jest to możliwe. Rząd, który nie może zbankrutować ani odczuć na własnej skórze strat, nie musi redukować kosztów ani podnosić cen. Drugą fatalną słabość stanowi fakt, że korporacja rządowa – choćby nie wiem jak się starała – *nigdy* nie będzie zarządzana jak prawdziwe przedsiębiorstwo, ponieważ jej kapitał jest nadal pobierany od podatników. Jest to nie do uniknięcia i niczego tu nie zmienia fakt, że korporacja rządowa może wypuszczać własne obligacje, gdyż emisja obligacji opiera się ostatecznie na systemie podatków, z których pokrywany jest wykup tych obligacji.

Jest jeszcze jeden zasadniczy problem nieodłącznie związany z działalnością gospodarczą prowadzoną przez rząd. Jedną z przyczyn wzorcowej wydajności firm prywatnych jest to, że w swojej ocenie kosztów kierują się informacjami o cenach dostarczanych przez wolny rynek. Pozwala im to na dokonywanie *obliczeń* i ustalanie, co należy zrobić w celu osiągnięcia zysku i uniknięcia straty. Dzięki takiemu systemowi cen oraz dzięki motywacji do zwiększania zysków i unikania strat dobra i usługi są na wolnym rynku odpowiednio rozdysponowane wśród uczestników skomplikowanej sieci różnych branż i producentów, która stanowi nowoczesną „kapitalistyczną” gospodarkę przemysłową. Ta sztuka jest możliwa dzięki kalkulacji ekonomicznej. Centralne planowanie, które usiłują wprowadzić kraje socjalistyczne, pozbawione jest precyzyjnego systemu cen i dlatego nie daje możliwości obliczenia kosztów i cen. Jest to główna przyczyna coraz bardziej widocznych niepowodzeń centralnego planowania socjalistycznego w krajach

<sup>1</sup> Krytykę Urzędu Poczty (Post Office) i Poczty Stanów Zjednoczonych (Postal Service) przeprowadza John Haldi w: *Postal Monopoly* (Washington, D.C.: American Enterprise Institute for Public Policy Research, 1974).

komunistycznych rozwijających przemysł. Komunistyczne kraje Europy Wschodniej szybko odchodzą od centralnego planowania i zmierzają w kierunku gospodarki wolnorynkowej właśnie dlatego, że plan centralny nie daje możliwości ustalenia rzeczywistych cen i kosztów.

Planowanie centralne skazuje gospodarkę na beznadziejny chaos w sferze kalkulacji ekonomicznej oraz na irracjonalną alokację środków i przedsięwzięć. Dlatego zwiększenie aktywności rządu prowadzi nieubłaganie do rozrastania się *obszarów* takiego chaosu w gospodarce i powoduje, że racjonalna alokacja środków produkcji staje się coraz trudniejsza.

W miarę jak rozrasta się działalność rządu, a kurczy się gospodarka wolnorynkowa, chaos w sferze kalkulacji ekonomicznej staje się coraz bardziej uciążliwy, a prowadzenie działalności gospodarczej coraz bardziej utrudnione.

Zasadniczy program wolnościowy można streścić w jednym zdaniu: *znieść* sektor publiczny, wszelką działalność i usługi rządu oddać w ręce przedsiębiorców działających dobrowolnie na wolnym rynku. Od ogólnego porównania działalności rządu i przedsiębiorczości prywatnej przejdziemy teraz do analizy głównych rodzajów aktywności rządu. Pokażemy, w jaki sposób te same zadania mogłyby być wykonane przez podmioty działające na wolnym rynku.



## Rozdział 11: Sektor publiczny II: ulice i drogi

### *Bezpieczeństwo na ulicach*

Zniesienie sektora publicznego oznaczałoby oczywiście, że każdy skrawek powierzchni ziemi byłby prywatną własnością. Również ulice i drogi należałyby do osób prywatnych, korporacji, spółek lub dowolnych innych dobrowolnie zawiązanych zrzeszeń lub grup kapitałowych. Samo to, że wszystkie ulice i grunty byłyby prywatne, rozwiązywałoby już wiele trudności, które z pozoru wydają na nierozwiązywalne problemy towarzyszące prywatnej działalności. Musimy przeorientować nasze myślenie i wyobrazić sobie świat, w którym każdy skrawek ziemi ma swojego prywatnego właściciela. Weźmy pod uwagę ochronę policyjną. Jak byłaby zorganizowana policyjna ochrona ulic w całkowicie wolnej gospodarce? Część odpowiedzi na to pytanie staje się oczywista, gdy wyobrażymy sobie, że wszystkie grunty i ulice mają swoich prywatnych właścicieli. Zastanówmy się, jak by wyglądał rejon Times Square w Nowym Jorku. W tym miejscu popełniane są notorycznie przestępstwa, a ochrona policyjna organizowana przez miasto jest niewystarczająca. W gruncie rzeczy każdy nowojorczyk zdaje sobie sprawę, że mieszka w aglomeracji znajdującej się praktycznie w stanie „anarchii” i że swoje bezpieczeństwo na ulicy zawdzięcza wyłącznie pokojowemu nastawieniu i dobrej woli współmieszkańców. Ochrona policyjna w Nowym Jorku jest żadna. Można się było o tym przekonać podczas niedawnego tygodniowego strajku policji, gdy – a jakże! – przestępczość ani trochę nie wzrosła w porównaniu ze stanem normalnym, kiedy wydaje się, że policja pracuje i czuwa. W każdym razie przypuśćmy, że rejon Times Square, włącznie z ulicami, należy do prywatnego właściciela, powiedzmy do „Stowarzyszenia Kupców z Times Square”. Kupcy doskonale zdawaliby sobie sprawę z tego, że jeśli na ulicach w ich rejonie rozszaleje się przestępczość i bez przerwy będzie dochodziło do napadów i rozbojów, to ich klienci uciekną i zaczną odwiedzać sklepy konkurencji w innych dzielnicach. W interesie stowarzyszenia byłoby zapewnienie licznej i skutecznej ochrony policyjnej, która zachęciłaby klientów do odwiedzania ich dzielnicy. Prywatni przedsiębiorcy zawsze przecież dążą do tego, żeby przyciągnąć i utrzymać klientów. Ale na co by się zdały piękne wystawy sklepowe, atrakcyjne opakowania, przytulne oświetlenie i uprzejma obsługa, jeśli klienci mogliby być w każdej chwili zaatakowani i obrabowani w trakcie zakupów w tej okolicy?

Stowarzyszenie kupców, w dążeniu do osiągnięcia zysków i uniknięcia strat, starałoby się zapewnić ochronę policyjną, która byłaby nie tylko skuteczna, ale także uprzejma i przyjazna. Policja rządowa ani nie ma motywacji do tego, żeby się przejmować potrzebami swoich „klientów”, ani nie musi powściągać swoich skłonności do brutalnego i bezwzględnego demonstrowania własnej siły. „Brutalność policji” to dobrze znana właściwość systemu policyjnego. Tylko dzięki temu, że brutalnie traktowani obywatele nadsyłają zażalenia, udaje się ją utrzymać w ryzach. Gdyby policja prywatnych kupców pozwoliła sobie na brutalne traktowanie klientów, to klienci w krótkim czasie by uciekli i poszli do innych sklepów. Kupcy dopilnowaliby zatem, żeby ich policja była zarazem skuteczna i uprzejma.

Większość terenów, w tym wszystkie prywatne ulice, byłaby objęta skuteczną i utrzymaną na wysokim poziomie ochroną policyjną. Zakłady przemysłowe strzegłyby przyległych rejonów, kupcy – swoich ulic, a właściciele dróg zapewnialiby bezpieczeństwo i ochronę policyjną na płatnych szosach i innych drogach. Podobnie byłoby w dzielnicach mieszkalnych. Prywatna własność ulic w takich dzielnicach mogłaby być dwojakiego rodzaju. Jeden typ własności polegałby na tym, że wszyscy właściciele działek w danym rejonie byłiby *współwłaścicielami* danego odcinka ulicy, stanowiąc, powiedzmy, „Spółkę 85. Ulicy”. Taka spółka zapewniałaby ochronę policyjną opłacaną bezpośrednio przez właścicieli domów lub z czynszów najemców, jeśli na ulicy znajdowałyby się domy czynszowe. Właściciele domów jednorodzinnych będą oczywiście bezpośrednio zainteresowani bezpieczeństwem w najbliższej okolicy, a właściciele kamienic czynszowych będą się starali przyciągnąć najemców zapewnieniem spokoju i porządku na ulicy, a nie tylko wyposażeniem swoich domów w standardowe instalacje wodociągów i ogrzewania oraz dyżurnego dozorcę. Pytanie o to, *dłaczego* właściciele domów czynszowych mieliby zapewniać bezpieczeństwo na ulicy w wolnościowym społeczeństwie, jest tak samo niemądre jak pytanie o to, *dłaczego obecnie* wyposażają swoje mieszkania pod wynajem w centralne ogrzewanie i ciepłą wodę. Postarają się o to pod naciskiem konkurencji, w odpowiedzi na oczekiwania najemców. Ponadto *zarówno* właściciele domów jednorodzinnych, jak i właściciele kamienic czynszowych będą zainteresowani tym, żeby wartość ich działek i domów była jak najwyższa. A wartość ta jest zależna nie tylko od wyglądu i położenia domu, ale również od bezpieczeństwa w okolicy. Bezpieczna, odpowiednio strzeżona ulica ma takie samo znaczenie dla wartości gruntu i domu jak właściwe utrzymanie

budynku. Ulice pełne opryszków obniżają wartość gruntów i domów, tak samo jak doprowadzenie domu do ruiny obniża jego cenę. Ponieważ właściciel gruntu woli, żeby jego działka miała wyższą wartość rynkową, to ma naturalną motywację, by zapewnić na swojej ulicy bezpieczeństwo i utrzymać jej nawierzchnię w nienagannym stanie.

Ulice w dzielnicach mieszkaniowych mogłyby też należeć do prywatnych spółek drogowych, których własnością byłyby same ulice, bez znajdujących się przy nich budynków. Firmy takie pobierałyby opłaty od właścicieli działek za utrzymanie, naprawy i ochronę swoich ulic. Te ulice, które byłyby bezpieczne, dobrze utrzymane, odpowiednio oświetlone i miałyby równą nawierzchnię, cieszyłyby się zainteresowaniem inwestujących w nieruchomości i najemców. Natomiast te, które byłyby niebezpieczne, źle oświetlone, byle jak utrzymane, odstręczałyby potencjalnych kupców i najemców. Zadowolenie właścicieli działek i zmotoryzowanych użytkowników ulic zwiększałoby zyski i ceny akcji spółek drogowych. Niezadowolenie zaś z zaniedbanych ulic powodowałoby spadek zysków i cen akcji tych spółek. Spółki drogowe dokładałyby zatem starań, by ulice utrzymywać w jak najlepszym stanie i zapewnić im odpowiednią ochronę policyjną. Dzięki temu mogłyby liczyć na zadowolenie użytkowników. Kierowałyby się przy tym chęcią zysku i dążeniem do podniesienia wartości swojego kapitału oraz równie silnym dążeniem do uniknięcia strat i zmniejszenia wartości kapitału. Znacznie bezpieczniej jest polegać na ekonomicznej motywacji właścicieli działek i spółek drogowych niż na wątpliwym „altruizmie” biurokratów i przedstawicieli rządu.

Ktoś mógłby w tym miejscu postawić następujące pytanie: Jeśli ulice będą należały do prywatnych spółek drogowych, których celem będzie możliwie najlepsze zaspokojenie potrzeb swoich klientów, to co się stanie, jeśli jakiś szurnięty albo bezwzględny właściciel ulicy postanowi nagle uniemożliwić wstęp na swoją ulicę właścicielowi przylegającej do niej posesji? Czy można by było zablokować komuś dostęp na stałe albo żądać wysokich opłat za wejście lub wyjście? Odpowiedź na to pytanie jest podobna do rozstrzygnięcia problemu z własnością ziemi: Co by było, gdyby właściciele posesji położonych wokół czyjejś działki, nagle zabronili jej właścicielowi wychodzenia lub wchodzenia na swój teren? Rozwiązanie polega na dopilnowaniu, by warunki umowy kupna lub wynajmu gwarantowały swobodny dostęp do nieruchomości przez określony czas. W wolnościowym społeczeństwie każda osoba kupująca dom lub usługi związane z utrzymaniem ulicy zadbałaby o to, żeby taki punkt znalazł się w kontrakcie. Tego rodzaju „prawo dostępu” określone w umowie gwarantowałoby, że nie będzie dozwolona nagła blokada, ponieważ stanowiłaby ona naruszenie prawa własności przysługującego właścicielowi gruntu.

*Zasady*, na jakich opierałoby się takie wolnościowe społeczeństwo, nie zawierają niczego nowego ani niezwykłego. Dobrze jest przecież znane motywujące oddziaływanie konkurencji pomiędzy regionami i pomiędzy środkami transportu. Kiedy na przykład w dziewiętnastym wieku przez cały kraj poprowadzono linie kolejowe, każda spółka kolejowa starała się zachęcić ludzi do tego, by zagospodarowali przylegające do linii kolejowej tereny. Przekonywano do osiedlania się i próbowano pobudzić rozwój gospodarczy na tych terenach, żeby zwiększyć zyski spółek oraz podnieść wartość ich ziemi i kapitału. Każdy właściciel linii kolejowej gorączkowo o to zabiegał i starał się robić wszystko, żeby ludzie i życie gospodarcze nie uciekało do portów, miast i w rejony, w których operowały konkurencyjne linie kolejowe. Taka sama zasada miałaby zastosowanie w przypadku, gdyby wszystkie drogi i ulice stały się prywatną własnością. Niczym nowym nie jest również policyjna ochrona wynajmowana przez prywatnych kupców i organizacje. Sklepy zapewniają *na swoim terenie* ochronę sprawowaną przez strażników i wyspecjalizowane firmy. Banki mają swoich strażników. Zakłady przemysłowe zatrudniają ochroniarzy. Centra handlowe utrzymują ochronę itd. W społeczeństwie wolnościowym ta zdrowa i funkcjonalna zasada zostałaby po prostu rozszerzona i objęłaby również *ulice*. Nie jest zapewne przypadkiem, że napady i kradzieże zdarzają się znacznie częściej na *ulicach* na zewnątrz sklepów niż w samych sklepach. Dzieje się tak, ponieważ w sklepach zapewniona jest solidna prywatna ochrona, a na ulicy jesteśmy zdani na „anarchię” ochrony rządowej policji. W ostatnich latach w odpowiedzi na narastający problem przestępczości w Nowym Jorku właściciele domów składają się nawet dobrowolnie na wynajem prywatnych ochroniarzy, którzy patrolują przyległe ulice. Liczba przestępstw popełnianych w tych miejscach już się wyraźnie zmniejszyła. Problem w tym, że te działania są niezdecydowane i niewystarczające, ponieważ ulice nie *należą* do mieszkańców i w związku z tym brak jest skutecznego mechanizmu gromadzenia kapitału potrzebnego na zapewnienie stałej ochrony. Ponadto patrolujący ulicę strażnik nie może mieć legalnie broni, ponieważ nie znajduje się na terenie prywatnym. Nie wolno mu reagować (jak może to robić właściciel prywatnego sklepu lub innej własności) na każde

podejrzane zachowanie, które nie ma jeszcze znamion przestępstwa. Nie może podejmować działań w sferze finansowej i administracyjnej, do których ma prawo *właściciel*.

Gdyby policja była opłacana przez właścicieli gruntów i mieszkańców dzielnicy, położyłoby to kres brutalnym zachowaniom policji wobec klientów. Taki system położyłby również kres trwającemu teraz spektaklowi, w którym policja jest traktowana jako siła reprezentująca obcych „imperialistycznych” kolonizatorów, nasłanych, by znęcać się nad ludźmi, a nie służyć im pomocą. W dzisiejszej Ameryce dzielnice zamieszkałe przez czarnych są patrolowane przez policję wynajętą przez centralne władze miejskie, władze postrzegane przez czarną społeczność jako obce. Policja wynajęta, kontrolowana i opłacana przez mieszkańców i właścicieli gruntów z danej dzielnicy, byłaby czymś zupełnie innym. Świadczyłaby klientom usługi, a nie przymuszała do wykonania poleceń obcych władz. I tak też by ją postrzegano.

Diametralną różnicę między zasadami działania ochrony publicznej a zasadami, na jakich opiera się ochrona prywatna, zilustruje przykład z Harlemu. Na ul. 135. Zachodniej, pomiędzy alejami Siódmą i Ósmą znajduje się posterunek 82. rejonu policji nowojorskiej. Jego dostojna obecność nie zapobiegła jednak pojawieniu się plagi nocnych włamań do różnych sklepów w najbliższej okolicy. W końcu, zimą 1966 roku, piętnastu właścicieli sklepów złożyło się na wynajęcie prywatnej ochrony do patrolowania okolicy przez całą noc. Patrole zlecono firmie ochroniarskiej Leroy V. George, która miała zapewnić ochronę policyjną, której nie zapewniły płacone przez właścicieli podatki od nieruchomości<sup>1</sup>.

W historii Ameryki najskuteczniejszą i najlepiej zorganizowaną formacją policyjną była policja kolejowa, utrzymywana przez wiele linii kolejowych dla ochrony pasażerów i ładunku przed napadem i kradzieżą. Nowoczesna policja kolejowa została powołana pod koniec pierwszej wojny światowej przez Sekcję Ochrony Związku Kolei Amerykańskich. Była ona tak skuteczna, że wypłaty odszkodowań za skradzione ładunki zmniejszyły się do roku 1929 o 93%. Na początku lat trzydziestych, kiedy przeprowadzano badania jej skuteczności, policja kolejowa aresztowała w sumie 10 tysięcy osób. 83% do 97% z nich zostało następnie skazanych, co stanowiło znacznie lepszy rezultat niż wyniki osiągane przez policję rządową. Policja kolejowa była uzbrojona i miała prawo aresztować podejrzanych. Pewien nieprzychylny policji kolejowej kryminolog pisał, że powszechnie się uważa, iż policjanci kolejowi mają dobry charakter i są operatywni<sup>2</sup>.

### ***Przepisy dotyczące korzystania z ulic***

Niewątpliwą konsekwencją tego, że wszystkie grunty w państwie należałyby do prywatnych osób i instytucji, byłoby bogactwo miejscowych zwyczajów i większe różnice pomiędzy poszczególnymi dzielnicami. Specyfika ochrony policyjnej oraz przepisy stosowane przez prywatną policję zależałyby od właścicieli gruntów, właścicieli ulicy lub danego obszaru. Tam, gdzie mieszkańcy byliby podejrzliwi, wprowadzano by zasadę, że osoby i samochody przekraczające granicę posesji lub osiedla muszą być uprzednio zapowiedziane lub ich wjazd musi być przez mieszkańca uzgodniony telefonicznie z wartownikiem. Po prostu te zasady, które obowiązują obecnie w wielu blokach mieszkalnych i domach jednorodzinnych, byłyby stosowane do całych odcinków ulic. Z kolei w innych miejscach, zamieszkałych przez mniej ostrożne osoby, wpuszczany byłby każdy, kto miałby ochotę wejść na dany teren. Pomiedzy tymi skrajnościami byłaby cała gama różnych pośrednich stopni kontroli. Najprawdopodobniej, w obawie przed utratą klientów, na tereny handlowe wpuszczano by każdego bez kontroli. Wszystko to służyłoby zaspokojeniu różnorodnych potrzeb mieszkańców i właścicieli w poszczególnych zakątkach kraju.

Można by zarzucić temu projektowi, że zezwala na „dyskryminację” w użytkowaniu budynków i korzystaniu z ulic. Z pewnością tak jest. Podstawowym postulatem libertariańskiego kredo jest prawo każdego człowieka do decydowania o tym, kto może wkraczać na teren jego własności i kto może jej używać, o ile oczywiście istnieją osoby chętne do jej używania.

---

<sup>1</sup> Zobacz: William C Wooldridge, *Uncle Sam the Monopoly Man* (New Rochelle, NY Arlington House, 1970), s. 111 nn.

<sup>2</sup> Zobacz: Wooldridge, *op. cit.*, s. 115–117. Badanie kryminologiczne przeprowadził Jeremiah P Shalloo, *Private Police* (Philadelphia Annals of the American Academy of Political and Social Science, 1933). Wooldridge komentuje, że wzmianka Shalloo na temat dobrej reputacji policji kolejowej „kontrastuje z dzisiejszymi opiniami na temat publicznych sił porządkowych w wielu miastach, w których sankcje za wykroczenia są tak nieskuteczne albo pobłażliwe, że równie dobrze mogłoby ich w ogóle nie być, mimo że zapewnienia o służebnej roli policji brzmią pięknie”. Wooldridge, *op. cit.*, s. 117.

„Dyskryminacja”, jako decyzja na czyjaś korzyść lub niekorzyść, podjęta według dowolnie wybranych kryteriów, stanowi integralny składnik wolności wyboru. Jest zatem warunkiem wolnego społeczeństwa. Oczywiście na wolnym rynku każda taka dyskryminacja jest kosztowna i właściciel będzie musiał zapłacić za jej egzekwowanie.

Przypuśćmy, że w wolnym społeczeństwie ktoś jest właścicielem kamienicy lub osiedla mieszkaniowego. Taka osoba *mogłaby* po prostu ustalać czynsz według cen wolnorynkowych i resztą się nie przejmować. Ale jest przecież czynnik ryzyka. Wynajmujący może podjąć decyzję o dyskryminacji najemców z małymi dziećmi, wychodząc z założenia, że dzieci mogą zniszczyć jego lokal. Albo postanawia, że skompensuje to ryzyko podwyżką czynszu i w związku z tym ustali wyższe opłaty dla rodzin z dziećmi niż dla pozostałych najemców. Z taką sytuacją będziemy mieli do czynienia w przypadku większości transakcji na wolnym rynku. Ale co zrobić z „dyskryminacją” o charakterze osobistym, a nie ściśle ekonomicznym? Przypuśćmy, na przykład, że właściciel domu uwielbia Amerykanów pochodzenia szwedzkiego, wzrostu 180 cm i postanawia wynajmować mieszkania tylko takim rodzinom. W wolnym społeczeństwie miałby pełne prawo tak zrobić, ale z pewnością wiązałoby się to z poważnymi konsekwencjami finansowymi. Oznaczałoby to bowiem, że musi odmawiać kolejnym potencjalnym najemcom w oczekiwaniu na zgłoszenie się wysokich Amerykanów pochodzenia szwedzkiego. Chociaż powyższy przykład może się wydawać skrajny, to pokazuje, jakie są konsekwencje ekonomiczne każdej osobistej dyskryminacji na rynku. Różnice mogą dotyczyć tylko ich rozmiarów. Jeśli wynajmujący nie lubi, na przykład, rudych i nie wynajmuje im swoich mieszkań, to też poniesie straty, choć nie tak dotkliwe jak w pierwszym przypadku.

W każdym razie, ktokolwiek praktykuje tego rodzaju „dyskryminację” na wolnym rynku, musi ponieść jej konsekwencje w postaci utraty zysków lub rezygnacji z usługi – jeśli jest konsumentem. Gdy konsument postanowi bojkotować towary sprzedawane przez osoby, których nie lubi, to – bez względu na powody swojej niechęci – będzie musiał zrezygnować z pewnych towarów lub usług, które by normalnie kupił.

W wolnym społeczeństwie każdy właściciel ustalałby kryteria używania swojej własności lub wstępu na swój teren. Im ostrzejsze byłyby te kryteria, tym mniej byłoby chętnych do używania własności. Właściciel musiałby poszukiwać równowagi między rygoryzmem ograniczeń wstępu a utratą zysków. Wynajmujący może wprowadzić, jak uczynił to pod koniec XIX wieku George Pullman w swoim „osiedlu zakładowym” w stanie Illinois, „dyskryminującą” zasadę, że wszyscy najemcy muszą nosić marynarki i krawaty. Wolno mu tak zrobić, ale prawdopodobnie niewielu będzie chętnych do zamieszkania albo pozostania w takim budynku lub osiedlu i właściciel poniesie wysokie straty.

Zasada, że nieruchomościami zarządzają ich właściciele, pozwala też odeprzeć argument za tym, by rząd interweniował w gospodarkę. Zwolennicy tego argumentu powiadają, że „mimo wszystko rząd ustala przepisy ruchu drogowego – czerwone i zielone światła, ruch prawostronny, ograniczenia prędkości itd. Każdy musi oczywiście przyznać, że ruch drogowy bez tych przepisów popadłby w kompletny chaos. Dlaczego więc rząd nie miałby interweniować również w innych dziedzinach gospodarki?” Błąd tego rozumowania nie polega na tym, że opowiada się ono za regulacją ruchu. Jej konieczności nikt nie kwestionuje. Chodzi o to, że przepisy są zawsze ustalane przez tego, kto jest właścicielem i w związku z tym zarządza drogami. Przepisy ruchu drogowego ustala rząd, bo rząd był zawsze właścicielem i administratorem ulic i dróg. W społeczeństwie wolnościowym prywatni właściciele ustalaliby reguły korzystania ze swoich dróg.

Czy jednak przepisy ruchu drogowego w całkowicie wolnym społeczeństwie nie byłyby „chaotyczne”? Czy nie doszłoby do tego, że niektórzy właściciele kazaliby zatrzymywać się na czerwonym świetle, inni – na zielonym, niebieskim itd.? Czy nie byłoby tak, że na części dróg obowiązywałby ruch prawostronny, a na części lewostronny? Takie pytania są absurdalne. W interesie wszystkich właścicieli dróg leżałoby ujednolicenie przepisów w tych sprawach, żeby ruch drogowy mógł się odbywać płynnie i bez zakłóceń. Każdy oryginał, który chciałby wprowadzić na swojej drodze ruch lewostronny albo zasadę, że zielone światło oznacza „stop”, a nie „jedź”, wkrótce miałby u siebie pełno wypadków. Klienci zaś zaczęliby unikać korzystania z takiej drogi. W dziewiętnastym wieku podobny problem musieli rozwiązać właściciele prywatnych linii kolejowych. Rozwiązali go w pełnej zgodzie i bez żadnych trudności. Każdy z nich zezwolił pozostałym na przejazd ich pociągów jego torami. W celu osiągnięcia wzajemnych korzyści właściciele kolei uzgodnili wykonanie połączeń między swoimi liniami i jednolite rozmiary torów. Wprowadzili ujednoliconą klasyfikację ładunku dla 6000 różnych towarów. To oni, a nie rząd, wystąpili z inicjatywą utworzenia

przejrzystych stref czasowych w miejsce dotychczasowej chaotycznej mozaiki czasów miejscowych. Było to konieczne do ustalenia dokładnych rozkładów jazdy i w 1883 roku uzgodniono, że zamiast istniejących do tej pory w całym kraju 54 stref czasowych obowiązywać będą cztery, które istnieją do dziś. Nowojorski dziennik finansowy *Commercial and Financial Chronicle* obwieszczał, że „reguły handlu i instynkt samozachowawczy zdecydowały o wprowadzeniu reform i usprawnień, na które nie potrafiły się zdobyć wszystkie instancje ustawodawcze razem wzięte”<sup>3</sup>.

### **Oplaty za korzystanie z ulic i dróg**

Jeśli dla porównania przyjrzymy się, w jaki sposób rząd administruje w Ameryce ulicami i szosami, to trudno nam będzie wyobrazić sobie, żeby prywatny zarząd mógł spowodować większy bałagan. Powszechnie wiadomo, że rząd federalny i władze stanowe, pod wpływem lobby producentów samochodów, rafinerii, producentów opon, firm budowlanych i związków zawodowych, pobudowały o wiele za dużo szos. Użytkownicy szos otrzymują potężne dotacje, co w znacznej mierze przyczyniło się do upadku kolei jako liczącego się środka transportu. Samochody ciężarowe jeżdżą po drogach, których budowa ma status uprzywilejowany i które utrzymywane są z podatków. Tymczasem koleje muszą same budować i utrzymywać tory. Dotacje do szos i programy budowy dróg doprowadziły do nadmiernego rozwoju przedmieść, w których mieszkają użytkownicy samochodów, do przymusowego wyburzenia mnóstwa domów i zniszczenia wielu firm oraz do sztucznego przeciążenia ruchu w centrach miast. Związane z tym koszty dla podatników i dla gospodarki są olbrzymie.

Z dotacji korzystają szczególnie właściciele samochodów dojeżdżający do pracy w miastach. Właśnie w miastach nadmierny ruch samochodowy wystąpił równolegle z dotacjami do ich dojazdów. Profesor Vickrey z Uniwersytetu w Columbii obliczył, że koszt wybudowania trasy szybkiego ruchu w mieście, w przeliczeniu na jedną milę pokonaną przez samochód, wynosi od 6 do 27 centów, podczas gdy użytkownicy takiej trasy płacą w podatku od benzyny i innych podatkach drogowych około 1 centa za milę od samochodu. Za drogi w mieście płaci przeciętny podatnik, a nie podatnik zmotoryzowany. Podatek doliczany do benzyny płacony jest od mili, bez względu na to, z jakiej drogi lub ulicy korzysta kierowca i w jakich godzinach po niej jedzie. A zatem, ponieważ szosy finansowane są z podatku od benzyny, to użytkownicy tanich dróg wiejskich są opodatkowani w celu dotowania użytkowników jeżdżących po kosztownych trasach szybkiego ruchu w mieście. Koszt budowy i utrzymania szosy poza miastem wynosi tylko 2 centy na milę od samochodu<sup>4</sup>.

Podatek od benzyny jest mało racjonalnym systemem ustalania cen i pobierania opłat za korzystanie z dróg. Żadna prywatna firma nie ustaliłaby w ten sposób cen za używanie dróg. Prywatna firma prowadzi swoją politykę cenową w taki sposób, żeby umożliwić „oczyszczenie rynku”, czyli żeby podaż równoważyła popyt, nie powodując ani braków zaopatrzenia, ani nadmiaru niesprzedanych towarów. Pobieranie podatku od przejechanej mili (w cenie benzyny), bez względu na to, jakiej drogi używa pojazd, oznacza, że ulice w miastach i szosy, na które jest większy popyt, mają cenę ustaloną znacznie poniżej poziomu ceny wolnorynkowej. Konsekwencją takiej sytuacji jest olbrzymie i wciąż wzrastające natężenie ruchu na uczęszczanych ulicach i drogach, zwłaszcza w godzinach szczytu, oraz praktycznie brak ruchu na drogach wiejskich. Racjonalny system cen pozwoliłby na maksymalizację zysków właścicieli dróg, a jednocześnie zapewniłby ich przejezdność o każdej porze. Obecnie rząd utrzymuje ceny za korzystanie z przeciążonych dróg na poziomie znacznie niższym od cen wolnorynkowych. Powoduje to chroniczny brak miejsca na drogach i powstawanie korków drogowych. Rząd reaguje na tę sytuację w jeden niezmienny sposób. Zamiast wprowadzić racjonalny system cen, buduje coraz więcej dróg, łapiąc z podatnika coraz wyższe daniny na rzecz użytkowników dróg i powiększając jeszcze niedobór przestrzeni na drogach. Historyczne zwiększanie podaży przy zachowaniu cen poniżej poziomu rynkowego powoduje chroniczny i nasilający się problem nadmiernego natężenia ruchu<sup>5</sup>. Przypomina to psa, który goni mechanicznego królika. *Washington Post* tak opisuje wpływ rządowego programu budowy dróg na sytuację w stolicy państwa:

<sup>3</sup> Zobacz: Edward C. Kirkland, *Industry Comes of Age: Business, Labor, and Public Policy, 1860–1897* (New York: Holt, Rinehart i Winston, 1961), s. 48–50.

<sup>4</sup> Na podstawie niepublikowanych badań Williama Vickreya, „Transit Fare Increases a Costly Revenue”.

<sup>5</sup> O podobnych konsekwencjach nieracjonalnego systemu cen za użytkowanie pasów startowych na lotniskach należących do rządu można przeczytać w: Ross D. Eckert, *Airports And Congestion* (Washington, D.C.: American Enterprise Institute for Public Policy Research, 1972).

Waszyngtońska Obwodnica Stołeczna była jednym z pierwszych oddanych do użytku ważnych ogniw systemu. Gdy latem 1964 roku otwarto jej ostatni odcinek, chwalono ją jako najwspanialszą szosę, jaka kiedykolwiek została zbudowana.

Obwodnica miała (a) rozładować korki w centrum Waszyngtonu, umożliwiając objazd dla ruchu z północy i południa, oraz (b) połączyć ze sobą podmiejskie hrabstwa i miasta wokół stolicy.

W rzeczywistości obwodnica stała się (a) szosą dojazdową i lokalnym ciągiem komunikacyjnym oraz (b) przyczyną olbrzymiego *boomu* budowlanego, który przyspieszył ucieczkę zamożnych białych z centrum miasta.

Obwodnica, zamiast rozładować ruch, jeszcze go wzmogła. Razem z szosami I-95, 70-S i I-66 stworzyła możliwość coraz dalszych dojazdów do pracy w mieście.

Przyczyniła się również do tego, że różne instytucje rządowe oraz firmy handlowe i usługowe przeniosły się z centrum miasta na przedmieścia. Oferowane przez te instytucje miejsca pracy stały się w ten sposób nieosiągalne dla wielu mieszkańców miasta<sup>6</sup>.

Jak miałyby wyglądać racjonalny system cen ustanowiony przez prywatnych właścicieli dróg? Po pierwsze, obowiązywałyby opłaty za korzystanie z autostrad, zwłaszcza na wygodnych odcinkach dojazdowych do miast, takich jak mosty i tunele, ale inne niż obecnie. Znacznie wyższe opłaty obowiązywałyby, na przykład, w godzinach szczytu i w innych okresach wzmożonego ruchu (np. latem w niedziele). Na wolnym rynku większy popyt na korzystanie z autostrad w godzinach szczytu powodowałby podwyższanie opłat aż do momentu, gdy zlikwidowane by zostały korki i przywrócona stała płynność ruchu. Ale – powie Czytelnik – ludzie *muszą* przecież dojechać do pracy. Oczywiście, że tak. Nie *muszą* jednak dojeżdżać własnymi samochodami. Niektórzy dojeżdżający całkiem zrezygnują i przeprowadzą się z powrotem do miasta. Inni będą się wzajemnie podwozić. Jeszcze inni skorzystają z autobusów pospiesznych albo z kolei. W ten sposób liczba korzystających z autostrad w godzinach szczytu ograniczy się do tych osób, które gotowe są za przejazd zapłacić cenę na poziomie równowagi rynkowej. Znajdą się również tacy, którzy postarają się o zmianę godzin pracy, tak żeby ominąć największy ruch. Wyjeżdżający na weekendy ograniczą wyjazdy albo zaplanują je na godziny, kiedy ruch jest mniejszy. W końcu prywatne firmy, które będą teraz osiągać wyższe zyski, dadmy na to, z mostów i tuneli, rozpoczną budowę kolejnych mostów i tuneli. Budową dróg nie będą sterowały hałaśliwe grupy nacisku ani dotowani użytkownicy, tylko skuteczny system rynkowej kalkulacji popytu i kosztów.

Wielu ludzi potrafi sobie wprawdzie wyobrazić prywatne autostrady, ale wzdraga się na myśl o prywatnych ulicach w mieście. W jaki sposób ustalano by opłaty za *ich* użytkowanie? Czy na każdym rogu znajdowałyby się punkty pobierania opłat? Oczywiście, że nie, bo taki system byłby nieopłacalny, zbyt kosztowny zarówno dla właściciela, jak i kierowców. Właściciele ulic wprowadziliby przede wszystkim znacznie bardziej racjonalny system opłat za parkowanie niż ten, który obowiązuje obecnie. Opłaty za parkowanie w zatłoczonym centrum byłyby znacznie wyższe, żeby zrównoważyć ogromny popyt. W przeciwieństwie do powszechnej praktyki stosowanej obecnie parkowanie przez dłuższy czas i postoje całodienne byłyby wyceniane proporcjonalnie znacznie *drożej*, a nie taniej. Właściciele ulic stymulowaliby w ten sposób jak największy obrót w rejonach o najwyższym natężeniu ruchu. Zostawmy parkowanie. Tu sprawa jest prosta. Ale co będzie z *jeżdżeniem* po najbardziej uczęszczanych ulicach? Jaki system pobierania opłat zastosować w tym przypadku? Jest mnóstwo możliwych rozwiązań. Po pierwsze właściciele ulic śródmiejskich mogą żądać, by wszyscy korzystający z nich kierowcy wykupywali licencje, które umieszczaliby za szybą samochodu, podobnie jak teraz umieszczają licencje i znaczki samoprzylepne. W godzinach szczytu mogłyby być wymagane dodatkowe, bardzo drogie licencje. Możliwe są również inne sposoby. Dzięki nowoczesnej technologii sensowne może się okazać obowiązkowe wyposażenie samochodów w liczniki, które nie tylko będą mierzyć przejechaną odległość, ale także – zgodnie z zadanym programem – naliczą dodatkowe impulsy za przejazd ulicami i drogami o wysokim natężeniu ruchu w godzinach szczytu. Właściciel samochodu

<sup>6</sup> Hank Burchard, "U.S. Highway System: Where to Now?", *Washington Post* (29 listopada, 1971). Albo, jak pisze John Dyckman: „każde udoskonalenie (...) w ruchu drogowym powoduje zwiększenie ruchu. Otwarcie autostrady, która ma spełnić istniejące zapotrzebowanie, może zwiększyć do zapotrzebowania do tego stopnia, że tłok na autostradzie wzrośnie i w końcu podróż nową drogą będzie trwała tak samo długo jak przed jej otwarciem”. John W. Dyckman, "Transportation in Cities", w: A. Schreiber, P. Gatons i R. Clemmer, eds., *Economics of Urban Problems; Selected Readings* (Boston: Houghton Mifflin, 1971), s. 143. Zobacz również doskonałą analizę tego, jak zwiększenie podaży nie zmniejsza natężenia ruchu, gdy ceny pozostają na poziomie znacznie poniżej cen wolnorynkowych w: Charles O. Meiburg, "An Economic Analysis of Highway Services", *Quarterly Journal of Economics* (listopad 1963), s. 648–656.

otrzymywałyby na koniec miesiąca rachunek. Podobny projekt przedstawił dziesięć lat temu profesor A. A. Walters:

Wśród przyrządów, które mogłyby służyć do naliczania opłat, należy wymienić m.in. (...) specjalny licznik mil (podobny do tych, które są używane w taksówkach). (...) Licznik mil, po włączeniu i podniesieniu flagi, rejestrowałby liczbę przejechanych mil i zgodnie z jego stanem pobierano by opłatę. Stosowano by go w dużych aglomeracjach, takich jak Nowy Jork, Londyn, Chicago itd. Wyszczególniono by ulice, na których obowiązywałoby włączenie licznika w określonych godzinach. Zamiast instalować licznik można by też wjeżdżać na płatną ulicę po wykupieniu dziennego abonamentu i naklejeniu znaczka. Znaczki, wykupywane przez kierowców korzystających z ulicy jednorazowo, byłyby droższe niż maksymalne opłaty dla samochodów z licznikami. Kontrola byłaby dość łatwa. Kamery rejestrowałby przypadki wjazdu samochodu bez znaczka lub bez flagi i nakładano by odpowiedni mandat za naruszenie przepisów<sup>7</sup>.

Profesor Vickrey zaproponował też, żeby kamery zainstalowane na skrzyżowaniach najbardziej uczęszczanych ulic nagrywały numery rejestracyjne wszystkich samochodów. Kierowcy otrzymywaliby co miesiąc rachunek proporcjonalny do liczby przejazdów przez dane skrzyżowanie. Inną możliwością byłoby wyposażenie każdego samochodu w oksfordzki przyrząd pomiaru elektronicznego. Każdy samochód emitowałby unikalny sygnał rejestrowany przez urządzenie zainstalowane na skrzyżowaniu<sup>8</sup>.

Zagadnienie racjonalnej polityki cenowej przy ustalaniu opłat za korzystanie z ulic i autostrad byłoby w każdym razie zadaniem prostym do rozwiązania przez prywatne firmy korzystające z nowoczesnych technologii. Przedsiębiorcy działający na wolnym rynku rozwiązywali już trudniejsze problemy. Wystarczy umożliwić im tylko działanie.

W całkowicie sprywatyzowanym systemie, gdy transport byłby uwolniony od kontroli, gdy drogi, koleje i szlaki wodne nie zależałyby od zawilej sieci dotacji, sterowania i regulacji, konsumenci dysponowałiby swoimi pieniędzmi przeznaczonymi na transport inaczej niż obecnie. Jak? Czy nie wrócilibyśmy, na przykład, do transportu kolejowego? Według najrzetelniejszych kalkulacji kosztów i popytu w sferze transportu kolej stałaby się podstawową formą przewozu ładunków na długich dystansach, transport lotniczy odgrywałby największą rolę w przewozie pasażerskim na dużych odległościach, samochody ciężarowe woziłyby ładunki na krótkich dystansach, a autobusami dojeżdżano by do pracy. Kolej miałaby więc istotny udział w przewozie ładunków na większych odległościach, ale w ruchu pasażerskim nie odgrywałaby takiego znaczenia jak dawniej. Wielu liberałów, rozczarowanych w ostatnich latach nadmierną rozbudową sieci autostrad, wzywa do rezygnacji z ich używania oraz do subsydiowania i rozbudowy metra i kolei dojazdowych w miastach. Jednakże te bardzo ambitne postulaty lekceważą fakt, że ich realizacja wiązałaby się z olbrzymimi kosztami i marnotrawstwem. Chociaż nie należało budować tylu autostrad, to teraz te szosy już *istnieją* i byłoby szaleństwem nie korzystać z nich. Ostatnio niektórzy inteligentni ekonomiści zajmujący się zagadnieniami transportu zaprotestowali przeciwko olbrzymiemu marnotrawstwu, jakim jest budowa szybkich kolei dojazdowych (na przykład w rejonie Zatoki San Francisco) i przekonywali, że zamiast tego należałoby wykorzystać istniejące autostrady i puścić nimi pospieszne autobusy, którymi ludzie mogliby dojeżdżać do pracy<sup>9</sup>.

Bez trudu można sobie wyobrazić sieć prywatnych, niedotowanych i nieobjętych regulacjami linii kolejowych i lotniczych, ale czy możliwe by było istnienie prywatnych dróg? Czy taki system dałoby się wprowadzić? W odpowiedzi musimy zaznaczyć, że prywatne drogi istniały i funkcjonowały znakomicie w przeszłości. Na przykład w Anglii do osiemnastego wieku wszystkie drogi należące do lokalnych władz były źle zbudowane i

<sup>7</sup> Profesor Walters dodaje, że w przypadku powszechnego stosowania liczników koszt pojedynczego licznika mógłby się zmieścić w granicach 10 dolarów. A. A. Walters, "The Theory and Measurement of Private and Social Cost of Highway Congestion", *Econometrica* (październik 1961), s. 684. Zobacz też: Meiburg, *op. cit.*, s. 652; Vickrey, *op. cit.*; Dyckman, "Transportation in Cities", *op. cit.*, s. 135–151; John F. Kain, "A Re-appraisal of Metropolitan Transport Planning", in Schreiber, Gatons, and Clemmer, *op. cit.*, s. 152–166; John R. Meyer, "Knocking Down the Straw Men", w: B. Chinitz, ed., *City and Suburb* (Englewood Cliffs, N.J.: Prentice-Hall, 1964), s. 85–93 oraz James C. Nelson, "The Pricing of Highway, Waterway, and Airway Facilities", *American Economic Review, Papers and Proceedings* (maj 1962), s. 426–432.

<sup>8</sup> Douglass C. North i Roger LeRoy Miller, *The Economics of Public Issues* (New York: Harper & Row, 1971), s. 72.

<sup>9</sup> Zobacz m.in.: cytowane wyżej prace Meyera i Kaina oraz Meyer, Kain i Wohl, *The Urban Transportation Problem* (Cambridge: Harvard University Press, 1965).

jeszcze gorzej utrzymane. Te publiczne drogi nie mogłyby sprostać potrzebom, jakie pojawiły się wraz z rewolucją przemysłową w Anglii w XVIII wieku; tą rewolucją, która zapoczątkowała erę nowoczesności. Zadanie ulepszenia prawie nieprzejezdnych dróg angielskich wzięli na siebie prywatni przedsiębiorcy – właściciele rogatek. Poczynając od roku 1706 zaplanowali oni i wybudowali olbrzymią sieć dróg, które stały się obiektem zazdrości całego świata. Właściciele rogatek byli najczęściej kupcami, przemysłowcami lub posiadaczami ziemskimi, którzy mieszkali w okolicy, dokąd prowadziła budowana przez nich droga. Pobierając opłaty za korzystanie z drogi, odzyskiwali pieniądze wydane na jej budowę. Pobieranie opłat oddawano często w dzierżawę osobom wybranym w drodze przetargu. Dzięki tym właśnie drogom w Anglii rozwinął się handel wewnętrzny i znacznie zmalały koszty transportu węgla i innych towarów o dużej objętości. Ze względu na wzajemne korzyści właściciele rogatek budowali między nimi połączenia i w ten sposób stworzyli sieć drogową pokrywającą cały kraj. Wszystko to było wynikiem działania prywatnej przedsiębiorczości<sup>10</sup>.

Niewiele później w Stanach Zjednoczonych, podobnie jak w Anglii, nieprzejezdne praktycznie drogi, zbudowane przez lokalne władze, zastąpiono gęstą siecią dróg, które sfinansowali i wybudowali prywatni właściciele rogatek w północno-wschodnich stanach mniej więcej w latach 1800–1830. Jeszcze raz okazało się, że prywatna przedsiębiorczość jest niezastąpiona przy budowie i utrzymaniu dróg i że prywatna własność w tej dziedzinie zdecydowanie góruje nad działalnością rządu. Prywatne spółki wybudowały drogi i dbały o ich utrzymanie. Za korzystanie z nich pobierano opłaty. Tu także udziałowcami spółek rogatkowych byli w większości kupcy i właściciele posiadłości położonych wzdłuż dróg. Z własnej inicjatywy budowali między sobą połączenia, które utworzyły z czasem sieć drogową. Dzięki systemowi rogatek powstały pierwsze naprawdę dobre drogi w Stanach Zjednoczonych<sup>11</sup>.

---

<sup>10</sup> Zobacz: T. S. Ashton, *An Economic History of England: the 18th Century* (New York: Barnes and Noble, 1955), s. 78–90. W tym samym dziele na stronach 72–90 znajduje się opis potężnej sieci prywatnych kanałów budowanych w tym samym okresie w całej Anglii.

<sup>11</sup> Zobacz: George Rogers Taylor, *The Transportation Revolution, 1815–1860* (New York: Rinehart & Co., 1951), s. 22–28. Zobacz też: W. C. Wooldridge, *Uncle Sam the Monopoly Man*, s. 128–136.



## Rozdział 12: Sektor publiczny III: policja, prawo i sądy

### Ochrona policyjna

Rynek i prywatna przedsiębiorczość istnieją i większość ludzi bez trudu wyobraża sobie, jak funkcjonują one w różnych dziedzinach produkcji i usług. Być może najtrudniej jest zrozumieć, dlaczego należy również znieść kontrolę rządu nad bezpieczeństwem, policją, sądami itd., czyli nad usługami związanymi z ochroną jednostki i jej mienia przed atakiem i kradzieżą. Jak prywatne przedsiębiorstwa i wolny rynek mogłyby zapewnić *takie* usługi? Czy zadania policji, systemu prawnego, sądów, egzekucję prawa, więziennictwo mogłyby przejąć prywatne przedsiębiorstwa działające na wolnym rynku? Widzieliśmy już, w jaki sposób przynajmniej znaczną część usług policyjnych mogliby zapewnić właściciele ulic i gruntów. Teraz jednak przejdziemy do systematycznej analizy całej tej dziedziny.

Przede wszystkim musimy się zająć powszechnie głoszoną błędną opinią, że rząd musi zapewnić „ochronę policyjną”. Pogląd ten, wyznawany nawet przez większość zwolenników leseferyzmu, zakłada, że ochrona policyjna jest absolutną jednością, ustaloną porcją czegoś, co rząd zapewnia wszystkim. Tymczasem w rzeczywistości całościowy towar o nazwie „ochrona policyjna” istnieje najwyżej w takim znaczeniu jak towar o nazwie „żywność” albo „schronienie”. Wydaje się wprawdzie, że wszyscy płacą za podobną ilość ochrony, ale jest to mit. Naprawdę jest nieskończenie wiele stopni różnych rodzajów ochrony. Każdej osobie i każdej instytucji policja może zapewnić ochronę różnego rodzaju: od jednego policjanta, który wykona jeden obchód przez całą noc, przez dwóch policjantów, którzy będą patrolować bez przerwy poszczególne kwartały budynków lub lotny patrol samochodowy, aż do całodobowej ochrony osobistej sprawowanej przez jednego lub kilku strażników. Jest jeszcze wiele innych decyzji, które musi podjąć policja. O tym, jak bardzo są one złożone, przekonamy się, gdy tylko zajrzymy za zasłonę mitu o całościowej „ochronie”. W jaki sposób policja rozdysponowuje fundusze, które oczywiście są zawsze ograniczone, tak jak ograniczone są fundusze każdej innej osoby, organizacji i instytucji? Jak dużo zainwestuje policja w sprzęt elektroniczny? A ile w przyrządy do zdejmowania odcisków palców? Ile wyda na detektywów a ile na umundurowanych funkcjonariuszy? Ile na samochody, a ile na patrole piesze itd.?

Problem leży w tym, że rząd nie dysponuje racjonalną metodą rozdysponowania tych funduszy. Rząd ma tylko świadomość, że jego budżet jest ograniczony. Decyzje dotyczące przyznawania funduszy zależą więc od różnorodnych gier politycznych, księżycowych pomysłów i niewydajnej maszyny biurokratycznej. Nie mają natomiast żadnego związku z tym, czy działania policji odpowiadają zapotrzebowaniom i czy są skuteczne. Sytuacja byłaby zupełnie inna, gdyby usługi policyjne zapewniał wolny, konkurencyjny rynek. Wówczas konsumenci płaciliby za taki stopień ochrony, jakiego by sobie życzyli. Konsumenci, którzy potrzebowaliby policjanta tylko raz na jakiś czas, płaciliby mniej niż osoby, które życzyłyby sobie całodobowej ochrony osobistej. Na wolnym rynku zapewniałoby ochronę w takim wymiarze i w taki sposób, na jaki stać by było konsumentów. Na pewno dbano by o wysoką efektywność, jak zwykle na wolnym rynku, gdzie decyduje konieczność osiągania zysku i zmniejszania kosztów. Utrzymywano by więc niskie koszty i starano by się zaspokoić najwymyślniejsze oczekiwania klientów. Firma policyjna, której działalność stawałaby się nieopłacalna, szybko by bankrutowała i zniknęła z rynku.

Każda policja rządowa staje przed wielkim zagadnieniem: które przepisy *naprawdę* egzekwować?

Teoretycznie zadaniem policji ma być pilnowanie, by „przestrzegano wszystkich przepisów”, ale ograniczony budżet zmusza ją w praktyce do tego, by koncentrować się na walce z przestępstwami najbardziej w danej chwili dającymi się we znaki. Ale nakaz walki z wszelką przestępczością pozostaje aktualny i uniemożliwia racjonalną alokację środków. Na wolnym rynku ścigano by przestępstwa zgodnie z życzeniami klientów. Przypuśćmy, na przykład, że niejaki Jones jest posiadaczem drogocennego klejnotu i powziął podejrzenie, że wkrótce ktoś będzie próbował mu go ukraść. Może sobie zażyczyć całodobowej ochrony policji w dowolnej sile, uzgodnić z policjantami wszystkie niezbędne środki bezpieczeństwa i zapłacić im za pilnowanie skarbu. Może jednak być właścicielem prywatnej ulicy, na którą niewielu ludzi ma wstęp, gdyż nie *zależy* mu na tym, by ulica była przejezdna. Wówczas nie będzie się zwracał do policji w sprawie zapewnienia ochrony na ulicy. Jak zwykle na wolnym rynku – wyłącznie od konsumenta będzie zależało, jakie środki przeznaczyć na ochronę i jakiego rodzaju ochronę wybrać. Ponieważ wszyscy jesteśmy konsumentami, to każdy decydowałby indywidualnie, jakiej chce ochrony i ile wydać na nią pieniędzy.

Wszystko, co powiedzieliśmy o policji działającej na zlecenie właścicieli gruntów, obowiązuje również w odniesieniu do prywatnej policji w ogóle. Policja wolnorynkowa byłaby nie tylko skuteczna, ale miałaby silną

motywację do tego, by okazywać swoim klientom uprzejmość i powstrzymywać się od brutalnych zachowań wobec nich oraz wobec ich znajomych i interesantów. W Central Parku wprowadzono by odpowiednią ochronę (pozwalającą właścicielowi na zwiększenie zysków), a nie godzinę policyjną, zakazującą niewinnym obywatelom wstępu do parku (mimo że za niego płacą). System wolnorynkowych usług policyjnych zachęcałby policjantów do skutecznego działania i uprzejmości wobec klientów, a karałby postawy odbiegające od tych wzorców. Przestałoby istnieć – właściwe dla każdego działania rządu – oddzielenie usługi od zapłaty za nią. Oddzielenie to oznacza, że policja – podobnie jak inne agendy rządowe – otrzymuje wynagrodzenie nie od klientów płacących dobrowolnie za wybraną na konkurencyjnym rynku usługę lecz od wszystkich płacących pod przymusem podatki.

W miarę jak policja rządowa staje się coraz mniej skuteczna, konsumenci coraz częściej korzystają z usług prywatnych firm ochroniarskich. Wspominaliśmy już o ochronie budynków i osiedli. Istnieją też prywatni strażnicy, firmy ubezpieczeniowe, prywatni detektywi i coraz bardziej wyszukane sejfy, zamki, systemy monitoringu telewizyjnego oraz alarmy antywłamaniowe. Prezydencka Komisja ds. Wdrażania Ustaw i Wymiaru Sprawiedliwości obliczyła w 1969 roku, że policja rządowa kosztuje podatników amerykańskich 2,8 miliarda dolarów rocznie; jednocześnie społeczeństwo wydaje 1,35 miliarda dolarów rocznie na ochronę prywatną i 200 milionów dolarów na sprzęt. Wysokość wydatków na ochronę prywatną równa więc była ponad połowie wydatków na policję rządową. Te liczby powinny dać do myślenia naiwnym, którzy wierzą, że ze względu na jakieś tajemnicze prawo czy niewidzialną moc ochrona policyjna po wsze czasy powinna pozostawać w gestii państwa<sup>1</sup>.

Każdy, kto czytuje powieści detektywistyczne, wie, że detektywi zatrudnieni przez firmy ubezpieczeniowe w celu odnalezienia skradzionych przedmiotów działają znacznie skuteczniej niż policja. Firmy ubezpieczeniowe nie tylko mają ekonomiczny interes w działaniu dla dobra klienta (gdyż dzięki temu mogą uniknąć konieczności wypłacenia odszkodowania), ale koncentrują się ponadto na innym zadaniu niż policja. Policja, działając dla dobra mitycznego „społeczeństwa”, dąży przede wszystkim do ujęcia i ukarania przestępcy. Odzyskanie skradzionego łupu i oddanie go ofierze przestępstwa jest dla niej sprawą drugoplanową. Natomiast podstawowym celem firmy ubezpieczeniowej jest odzyskanie skradzionych przedmiotów, a schwytanie i ukaranie przestępcy jest dla niej kwestią mniejszej wagi niż niesienie pomocy poszkodowanemu. Jeszcze raz widzimy tu różnicę między firmą prywatną, której działania muszą być podporządkowane dobru klienta-ofiary przestępstwa, a państwową policją, która nie podlega takiemu przymusowi ekonomicznemu.

Nie możemy zaplanować funkcjonowania wolnego rynku, który istnieje tylko jako hipoteza. Możemy jednak przypuszczać, że ochrona policyjna w społeczeństwie wolnościowym byłaby sprawowana na zlecenie właścicieli gruntów i firm ubezpieczeniowych. Firmy ubezpieczeniowe muszą wypłacać odszkodowania ofiarom przestępstw. Jest więc wielce prawdopodobne, że starałyby się zapewnić ochronę policyjną w celu zmniejszenia przestępczości i kosztów związanych z wypłatami odszkodowań. Najprawdopodobniej firmy ubezpieczeniowe lub inne podmioty płaciłyby miesięczne składki za usługi świadczone przez prywatną policję, a agenci ochrony zjawialiby się na każde żądanie.

Otrzymujemy tym samym pierwszą prostą odpowiedź na pytanie, które zadaje zwykle z przerażeniem na twarzy każdy, kto usłyszał po raz pierwszy o pomysle całkowicie prywatnej policji: „Jak to? To przecież oznacza, że gdy ktoś mnie zaatakuję albo okradnie, to będę musiał targować się z policjantem o to, ile będzie kosztować jego interwencja”. Wystarczy chwila zastanowienia, by zdać sobie sprawę, że żadna usługa na wolnym rynku nie jest sprzedawana w ten sposób. Oczywiście jest, że ten, kto będzie chciał korzystać z ochrony agencji A lub firmy ubezpieczeniowej B, będzie opłacał regularne składki, a nie czekał z wykupieniem ochrony, aż zostanie napadnięty. „Ale przypuśćmy, że chodzi o nagły przypadek, gdy policjant z firmy A zauważy, że ma miejsce napad. Czy ten policjant przed podjęciem interwencji będzie żądał od napadniętego potwierdzenia, że jest ubezpieczony w firmie A?”. Po pierwsze, na taki uliczny napad zareaguje, jak mówiliśmy wcześniej, policja wynajęta przez właściciela ulicy, na której zdarzenie miało miejsce. Ale co się stanie, gdy zajdzie mało prawdopodobny przypadek, że okolica nie będzie miała swojej ochrony, a policjant z firmy A zauważy, że ktoś został napadnięty? Czy pospieszy ofierze z pomocą? To będzie, oczywiście, zależało od firmy A, ale trudno sobie wyobrazić, by prywatne firmy ochroniarskie nie kierowały się zasadą dobrej woli i nie udzielały darmowej pomocy w nagłych przypadkach. W zamian oczekiwałyby

<sup>1</sup> Zobacz: Wooldridge, *op. cit.*, s. 111 nn.

może dobrowolnej opłaty od osoby poszkodowanej w takim zajściu. Gdyby napadnięto lub obrabowano właściciela domu, to oczywiście zwróciłby się on o pomoc do tej firmy ochroniarskiej lub ubezpieczeniowej, z której usług korzysta. W każdym razie nie zadzwoniłby na „policję”, do której musi dzwonić obecnie, tylko do firmy policyjnej A.

Konkurencja gwarantuje skuteczność, niskie ceny oraz wysoką jakość i nie ma powodu, by zakładać *a priori*, jak to niektórzy czynią, że utrzymywanie w danym rejonie geograficznym *jednej* policji jest jakimś boskim nakazem. Ekonomiści twierdzili często, że w przypadku pewnych rodzajów produkcji i usług mamy do czynienia z „naturalnym monopolem”, czyli że na danym terenie nie może się utrzymać więcej niż jedno prywatne przedsiębiorstwo takiej branży. Możliwe, ale tylko całkowicie wolny rynek może tę kwestię rozstrzygnąć raz na zawsze. Tylko rynek może decydować o tym, jakie i ile firm powinno przetrwać w konkurencji z innymi, jaki powinny one mieć zasięg terytorialny i jaki standard jakościowy. Nie ma powodu, by z góry zakładać, że ochrona policyjna stanowi „naturalny monopol”. Przecież nie są takim monopolem firmy ubezpieczeniowe. Jeśli mogą obok siebie istnieć takie przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe jak Metropolitan, Equitable, Prudential itd., to dlaczego nie mogłyby istnieć jednocześnie firmy ochrony policyjnej Metropolitan, Equitable, Prudential? Pierwszym, który rozważał możliwość wprowadzenia wolnego rynku w dziedzinie usług policyjnych i opowiadał się za takim systemem, był dziewiętnastowieczny ekonomista francuski Gustave de Molinari<sup>2</sup>. Molinari przewidywał, że w końcu pozostanie na rynku kilka prywatnych agencji policyjnych w miastach i jedna w każdym rejonie wiejskim. Być może, ale musimy wziąć pod uwagę, że dysponujące nowoczesną technologią duże firmy działające w miastach mogłyby z powodzeniem utrzymywać oddziały w najodleglejszych nawet rejonach wiejskich. Mieszkaniec małego miasteczka w Wyoming mógłby zatem zlecić ochronę miejscowej firmie *lub* udać się do pobliskiego biura firmy Metropolitan Protection.

Jak ktoś ubogi będzie mógł sobie pozwolić na płatną prywatną ochronę, która miałaby zastąpić bezpłatną obecnie policję? Jest to najczęściej podnoszony zarzut wobec idei całkowicie prywatnej ochrony policyjnej. Można nań odpowiedzieć na wiele sposobów. Jedną z możliwych odpowiedzi jest następująca: zagadnienie, czy kogoś będzie na coś stać, można odnieść do każdego towaru i każdej usługi w wolnościowym społeczeństwie, a nie tylko do policji. Ale czy ochrona nie jest koniecznością? Możliwe, ale żywność, ubranie, mieszkanie itd. są również niezbędne. Ich potrzeba jest nawet bardziej oczywista niż potrzeba ochrony policyjnej, a jednak prawie nikt nie mówi, że *wobec tego* faktu należy żywność, ubranie, mieszkanie itd. znacjonalizować i oferować za darmo w ramach przymusowego monopolu. Ludzi bardzo biednych wspierałyby, jak widzieliśmy w rozdziale o opiece społecznej, prywatne organizacje charytatywne. W przypadku policji istniałyby też różne sposoby na zapewnienie ubogim bezpłatnej ochrony. Być może same agencje ochrony wykazywałyby się dobrą wolą (podobnie jak czynią to obecnie szpitale i lekarze), a w pozostałych przypadkach z pomocą przychodziłyby specjalne stowarzyszenia „pomocy policyjnej”, podobnie jak teraz czynią to stowarzyszenia „pomocy prawnej”. (Stowarzyszenia pomocy prawnej udzielają ubogim darmowych porad prawnych w przypadku konfliktu z władzami).

Są jeszcze inne czynniki, na które należy zwrócić uwagę. Jak widzieliśmy, usługi policyjne nie są „darmowe”. Płacą za nie podatnicy, którymi często są osoby ubogie. Jest wielce prawdopodobne, że ubodzy płacą obecnie więcej na policję w podatkach, niż płaciliby w postaci rachunków za usługi prywatnych, znacznie skuteczniejszych firm. Prywatne agencje ochrony obsługiwałyby rynek masowego odbiorcy. Na rynku o tak dużej skali ochrona policyjna stałaby się zapewne znacznie tańsza. Żadna firma policyjna nie chciałaby pozbawić się poważnej grupy klientów, ustalając zbyt wysokie ceny na swoje usługi. Koszty ochrony nie byłyby bardziej zniechęcające, niż – powiedzmy – obowiązujące obecnie koszty ubezpieczeń. (W rzeczywistości byłyby znacznie niższe, gdyż branża ubezpieczeń podlega teraz szczegółowym regulacjom rządowym, które mają zapobiec konkurencji ze strony tanich firm ubezpieczeniowych).

Większość ludzi, którzy zetknęli się z pomysłem prywatnej ochrony policyjnej, powołuje się na ostatecznie rozstrzygający w ich mniemaniu argument przeciwko tej idei. Jest nim koszmar chaosu, który by powstał wskutek wiecznych konfliktów między poszczególnymi agencjami. Czyż nie doprowadziłoby to do „anarchii”, do tego, że ludzie wzywali by „swoją” policję przeciwko policji „innych” rywalizujących z nimi osób?

---

<sup>2</sup> Por.: Gustave de Molinari, *The Production of Security* (New York: Center for Libertarian Studies, 1977).

Odpowiedzi na ten ważki argument można udzielić na kilku poziomach. Przede wszystkim, ponieważ nie istniałby jeden ogólnokrajowy rząd, nie byłoby ani centralnych, ani nawet lokalnych władz, to system prywatnej policji oddalałby *przynajmniej* koszmar wojen między państwami, w których używa się potwornych ilości niezwykle niszczycielskiej broni, ostatnio broni jądrowej. Czy nie jest znamieny bolesny fakt, że – jak pokazuje historia – w lokalnych, izolowanych potyczkach i konfliktach zginęło nieporównanie mniej ludzi niż w wyniszczających wojnach między państwami? Nie jest to przypadek. By uniknąć emocji, odwołajmy się do przykładu hipotetycznych krain: „Rurytanii” i „Walldavii”. Zarówno Rurytanię, jak i Walldavię zamieszkują libertariańskie społeczeństwa nieposiadające rządów, z mnóstwem prywatnych podmiotów, firm i agencji policyjnych. Jeśli w *ogóle* dochodziłoby do jakichkolwiek konfliktów, to miałyby one zasięg lokalny, a ilość i niszcząca siła użytej w nich broni byłaby z konieczności ograniczona. Przypuśćmy, że w pewnym mieście Rurytanii dochodzi do konfliktu i strzelaniny między dwiema agencjami policyjnymi. Przynajmniej *nie* mogą one zastosować bombardowań ani posłużyć się bronią jądrową lub biologiczną, ponieważ spowodowałyby eksterminację własnych szeregów. Do zniszczeń na wielką skalę prowadzi podział na wielkie jednostki terytorialne z monopolistycznym rządem, bo dopiero *wówczas* jedyny, monopolistyczny rząd Walldavii staje do walki z odwiecznym przeciwnikiem, rządem Rurytanii – i każda ze stron może użyć broni masowej zagłady, z bronią jądrową włącznie. Wtedy bowiem straty dotknęłyby tylko „drugiej strony”, „obcego kraju”. Ponadto obecnie każdy człowiek – jako poddany monopolistycznego rządu – *utożsamiany* jest na zawsze przez rządy innych krajów z „jego” rządem. Obywatela Francji utożsamia się z „jego” rządem i jeśli inny rząd zaatakuje Francję, to zaatakuje również wszystkich jej obywateli, a nie tylko rząd Francji. Tymczasem gdy firma A prowadzi bitwę z firmą B, *najgorsze*, co się może wydarzyć, to wciągnięcie ich klientów do tego konfliktu, ale *nikogo poza tym*. Widać więc, że nawet jeśli dojdzie do najgorszego i wolnościowy świat stanie się raczej światem „anarchii”, to *wciąż jeszcze* nasza sytuacja będzie znacznie lepsza niż teraz, gdy jesteśmy zdani na łaskę monstrualnych, „anarchicznych” państw narodowych, z których każde dysponuje przerażającym monopolem na broń masowej zagłady. Nie wolno zapominać, że wszyscy żyjemy i zawsze żyliśmy w świecie „anarchii międzynarodowej”, w świecie przymusowych państw narodowych, które nie podlegają, i zapewne nie będą nigdy podlegały, kontroli jakiegokolwiek rządu ogółnoświatowego.

Wolnościowy świat, nawet jeśli byłby światem anarchii, to *przynajmniej* nie doświadczałby brutalnych wojen, ogromnych zniszczeń, ataków jądrowych, których od wieków doświadczamy w świecie zdominowanym przez władzę państw. Nawet jeśli lokalne konflikty między siłami policyjnymi będą się toczyły nieustannie, to nie doprowadzą one nigdy do tragedii Drezna lub Hiroshimy.

To jednak nie wszystko. Nie ma powodu, by przyjmować, że wystąpienie takiej „anarchii” byłoby prawdopodobne. Podzielmy konflikty między siłami policyjnymi na poszczególne grupy: na uczciwe spory oraz na próby „wyrugowania” i przejęcia zysków lub narzucenia siłą swojej władzy. Przypuśćmy, że siły policyjne będą uczciwe i konflikty będą uczciwymi sporami o rację. Zostawmy na chwilę problem policji, która walczy o dominację. Dla klientów ważnym czynnikiem decydującym o jakości ochrony policyjnej jest zapewnienie jej w sposób niezakłócony. Każdy konsument, każdy, kto płaci za ochronę policyjną, chciałby przede wszystkim, żeby ochrona była skuteczna i spokojna, niezakłócana konfliktami. Każda agencja ochrony miałaby pełną świadomość tego istotnego faktu. Zakładanie, że policja byłaby pogrążona w nieustannych konfliktach i walkach, jest absurdem, ponieważ lekceważy fakt, że taka chaotyczna „anarchia” miałaby zgubny wpływ na wyniki finansowe wszystkich firm policyjnych. Mówiąc bez ogródek, takie wojny i spory byłyby niekorzystne, bardzo niekorzystne, dla interesów. Dlatego na wolnym rynku agencje policyjne dbałyby o to, żeby do konfliktów nie dochodziło, a wszelkie różnice zdań byłyby rozstrzygane w prywatnych sądach, przez prywatnych sędziów lub sędziów polubownych.

Mówiąc bardziej precyzyjnie, po pierwsze – jak powiedzieliśmy – konflikty występowałyby niezwykle rzadko, gdyż właściciel ulicy miałby swoich strażników, sklepikarz – swoich, a właściciel domu własną firmę policyjną. W praktyce, w życiu codziennym niewiele byłoby okazji do bezpośrednich konfliktów między agencjami ochrony. Przypuśćmy jednak, że między dwoma właścicielami sąsiednich posesji – co może się wydarzyć – dochodzi do sporu. Jeden oskarża drugiego o napad lub użycie siły, każdy wzywa swoją formację policyjną (jeśli korzystają z usług różnych agencji). Co się wówczas stanie? Wszczynanie strzelaniny przez agentów przeciwnych stron byłoby szkodliwe dla obu policji, bo groziłoby ujemnymi skutkami ekonomicznymi, a także stratami w ludziach. Zamiast tego każda firma policyjna, która chciałaby się w ogóle utrzymać na rynku, korzystałaby z pomocy prywatnych sądów lub sędziów polubownych w celu ustalenia,

kto ma rację. Taki sposób rozstrzygania konfliktów reklamowałaby jako *ważny rodzaj* świadczonych przez siebie usług.

## **Sądy**

Przypuśćmy więc, że sędzia lub sędzia polubowny orzekł, iż wina w sporze leży po stronie Smitha, który zaatakował Jonesa. Jeśli Smith zgodzi się z tym orzeczeniem, to dla libertarianina jest obojętne, jakie zapłaci odszkodowanie i jaką odbędzie karę. Co się jednak stanie, jeśli *nie* zaakceptuje wyroku? Albo weźmy inny przykład. Jones zostaje okradziony. Zleca swojej policji dochodzenie w celu znalezienia sprawcy. Policja stwierdza, że kradzieży dokonał niejaki Brown. Co wtedy? Jeśli Brown przyzna się do winy, wówczas znów problem zostaje zamknięty i sąd nakłada odpowiednią karę, kierując się zasadą, że należy zadbać przede wszystkim o zadośćuczynienie ofierze przestępstwa. Ale co się stanie, jeśli Brown zaprzeczy oskarżeniu?

Analiza tych przypadków przenosi nas już z dziedziny zagadnień dotyczących ochrony policyjnej do równie ważnej problematyki związanej z ochroną, jaką są usługi *sądownicze*, czyli zapewnienie możliwie najlepszych metod sądenia, które będą zgodne z ogólnie przyjętymi procedurami i które pozwolą na wskazanie w przypadku dowolnego przestępstwa i sporu, *kto* jest przestępcą lub *kto* złamał umowę. Wiele osób, nawet wśród tych, które dopuszczają możliwość prywatnego rynku konkurencyjnych usług policyjnych, wzdraga się przeciwko pomysłowi całkowicie prywatnych sądów. Jakim cudem *sądy* mogłyby być prywatne? Jaką siłą dysponowałyby sądy w świecie pozbawionym rządu? Czy z *tego* nie wynikłyby niekończące się konflikty i „anarchia”?

Przede wszystkim monopolistyczne sądy rządowe borykają się z tymi samymi poważnymi problemami, są tak samo nieskuteczne i tak samo pogardzają konsumentem jak wszelkie inne instytucje rządowe. Wiadomo, na przykład, że sędziowie nie są wybierani na swoje stanowisko dlatego, że są mądrzy, uczciwi i sprawnie obsługują klientów, lecz są politycznymi najemnikami, wyłonionymi według kryteriów politycznych. Sądy są ponadto monopolami. Jeśli w jakimś mieście sądy są skorumpowane, przekupne, nieskuteczne i opresyjne, to obywatel nie ma od nich ucieczki. Poszkodowany mieszkaniec Deep Falls w stanie Wyoming musi zwrócić się ze swoją sprawą do rejonowego sądu w Wyoming albo w ogóle jej nie wnosić. W społeczeństwie wolnościowym będzie wiele sądów i sędziów, którym będzie mógł powierzyć swoją sprawę. W tym przypadku również nie ma powodu, by zakładać, że mamy do czynienia z „naturalnym monopolem” na mądrość sądowniczą. Mieszkaniec Deep Falls mógłby się zwrócić, na przykład, do miejscowego oddziału firmy Prudential Judicial.

W jaki sposób sądy w wolnym społeczeństwie byłyby finansowane? Jest wiele możliwości. Każdy mógłby płacić miesięczny abonament za usługi sądowe i skorzystać z nich w potrzebie. Albo – ponieważ usług sądów potrzebowano by zapewne rzadziej niż policji – mógłby wносить opłatę w momencie złożenia pozwu, a następnie otrzymać jej zwrot od przestępcy lub osoby winnej złamania umowy. Jeszcze innym rozwiązaniem byłoby wnoszenie opłat przez agencje ochrony, które składałyby wnioski o rozstrzygnięcie sporów. Mogłyby też powstawać przedsiębiorstwa „usług zintegrowanych” zapewniające obsługę *zarówno* policyjną, jak i sądową. W firmie Prudential Judicial mógłby istnieć dział policyjny i sądowniczy. O tym, które z tych metod byłyby najwłaściwsze, decydowałby wyłącznie rynek.

Wszyscy powinniśmy nauczyć się korzystania z prywatnego arbitrażu, nawet w dzisiejszych warunkach. Państwowe sądy są już tak przeciążone, nieskuteczne i rozrzutne, że coraz więcej ludzi zwraca się o rozstrzygnięcie sporu do tańszych i znacznie sprawniejszych prywatnych sędziów polubownych. Prywatny arbitraż rozwija się i stał się w ostatnich latach wysoce opłacalnym zajęciem. Dzięki temu, że arbitraż ma charakter dobrowolny, jego zasady mogą być ustalane błyskawicznie przez same strony sporu, bez potrzeby odwoływania się do ociążałego, skomplikowanego systemu prawnego, przeznaczonego dla wszystkich obywateli. Arbitraż pozwala więc, by sprawę rozstrzygali polubownie eksperci z branży, której spór dotyczy. Amerykański Związek Arbitrażowy, którego motto brzmi „uścisk dłoni jest silniejszy niż pięść”, ma 25 biur rejonowych w całym kraju i zatrudnia 23 000 sędziów polubownych. W roku 1969 związek przeprowadził 22 000 postępowań rozjemczych. Oprócz tego firmy ubezpieczeniowe załatwiają rocznie 50000 roszczeń drogą dobrowolnego arbitrażu. Z powodzeniem rozwija się również arbitraż w sprawach o odszkodowania komunikacyjne.

Można podnieść zarzut, że chociaż postanowienia sądów rozjemczych mają coraz większe znaczenie w sądownictwie, to muszą być zatwierdzane przez sądy, bo dopiero wtedy ugoda między stronami sporu staje

się prawnie wiążąca. Tak jest rzeczywiście, ale tak *nie* było przed rokiem 1920 i w latach 1900 – 1920 sędziów polubownych przybyło tylu, ilu przybyło przez wszystkie lata od tamtego czasu do dziś. Właściwych początków nowoczesnego arbitrażu należy szukać w Anglii w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej, kiedy kupcy coraz częściej odwoływali się do rozstrzygnięć dobrowolnego arbitrażu „prywatnych sądów”, mimo że ich decyzje nie miały mocy prawnej. Do roku 1900 dobrowolne sądy rozjemcze rozpowszechniły się w Stanach Zjednoczonych. Cały system prawa handlowego w średniowiecznej Anglii rozwinął się w prywatnych sądach kupieckich, a nie w byle jak działających sądach rządowych. Sądy kupieckie były instytucjami całkowicie dobrowolnego arbitrażu i ich orzeczenia nie miały mocy prawnej. Dlaczego więc cieszyły się takim powodzeniem?

Dlatego, że kupcy od Średniowiecza aż do roku 1920 polegali wyłącznie na systemie ostracyzmu i bojkotu ze strony miejscowych handlarzy. Inaczej mówiąc, jeśli jakiś kupiec nie akceptował decyzji sądu rozjemczego, albo ją ignorował, inni kupcy rozpowszechniali tę wiadomość w kręgach handlowych i odmawiali robienia interesów z takim opornym przedstawicielem swojego stanu, doprowadzając go do rychłego upadku. Wooldridge przytacza przykład takiego bojkotu:

Sądy kupieckie mogły działać dzięki temu, że kupcy umówili się, że będą akceptować ich orzeczenia. Kupiec, który złamał tę umowę, nie szedł wprawdzie do więzienia, ale wkrótce przestawał być kupcem, ponieważ zgodne współdziałanie jego kolegów i ich pełna władza nad losami jego towarów okazywały się nie mniej skuteczne niż przymus fizyczny. Weźmy na przykład Johna z Homing, który zajmował się hurtowym handlem rybami. Kiedy John sprzedał większą ilość śledzi zapewniając, że ich ilość odpowiada trzem baryłkom, a tymczasem – jak ustalili inni kupcy – były one wymieszane z „ciernikami i gnijącymi śledziami”, odczuł dotkliwie skutki ekonomicznego ostracyzmu<sup>3</sup>.

W czasach współczesnych ostracyzm jest jeszcze skuteczniejszy i przewiduje również, że ten, kto zlekceważy wyrok sędziego polubownego, nigdy już nie będzie mógł skorzystać z usług sądów arbitrażowych. Przemysłowiec Owen D. Young, szef General Electric, podsumowuje zagadnienie, mówiąc, że potępienie moralne ze strony innych przedsiębiorców jest sankcją znacznie skuteczniejszą niż wyrok sądowy. W dzisiejszym świecie, gdy dysponujemy nowoczesną technologią, komputerami i rankingami wiarygodności, ogólnokrajowy ostracyzm powinien być jeszcze bardziej skuteczny niż dawniej.

Jednakże nawet jeśli dobrowolny arbitraż będzie wystarczający do rozstrzygania sporów handlowych, to co zrobić ze sprawami o charakterze czysto kryminalnym, takimi jak napady, gwałty, włamania do banków? Trzeba przyznać, że w tych przypadkach ostracyzm nie byłby prawdopodobnie wystarczający – nawet jeśli oznaczałby, jak pamiętamy, że prywatni właściciele ulic odmawialiby kryminalistom wstępu na swój teren. W sprawach karnych konieczne byłyby sądy i egzekucja prawa.

W jaki sposób działałyby sądy w wolnościowym społeczeństwie? W szczególności – jak byłyby egzekwowane ich wyroki? Tym bardziej, że musiałyby przestrzegać nadrzędnej libertariańskiej zasady, iż nie wolno używać siły wobec osoby, która nie została uznana za przestępcę. Gdyby policja lub sądy łamały tę zasadę, to same byłyby uznane za napastników, jeśliby się okazało, że osoba, wobec której użyto siły, jest niewinna. W przeciwieństwie do obecnie panujących zasad żaden policjant ani sędzia nie miałby specjalnego immunitetu pozwalającego mu na użycie siły w zakresie przekraczającym granice obowiązujące każdego innego członka społeczeństwa.

Przyjrzyjmy się teraz przykładowi, o którym była mowa wcześniej. Pan Jones zostaje okradziony, wynajęta przez niego agencja detektywistyczna dochodzi do wniosku, że kradzieży dopuścił się niejaki Brown, a Brown odmawia przyznania się do winy. Co teraz? Przede wszystkim musimy wziąć pod uwagę fakt, że nie istnieje obecnie ogólnoprawny sąd lub rząd, który egzekwowałby swoje ustawy. A jednak, choć żyjemy w stanie „międzynarodowej anarchii”, to rozstrzyganie prywatnych sporów między obywatelami dwóch różnych państw nie nastręcza niemal żadnych trudności. Wyobraźmy sobie, na przykład, że właśnie teraz pewien mieszkaniec Urugwaju zarzuca jakiemuś obywatelowi Argentyny, że tamten go oszukał. Do którego sądu ma się udać? Do swojego, czyli do sądu właściwego dla kraju zamieszkania poszkodowanego lub powoda. Rozprawa odbywa się przed sądem w Urugwaju, a wyrok jest honorowany przez sąd argentyński. Tak samo się stanie, jeśli Amerykanin uzna, że został oszukany przez Kanadyjczyka itd. W Europie, po upadku Cesarstwa Rzymskiego, gdy różne plemiona germańskie żyły na sąsiadujących ze sobą terenach, jeśli

<sup>3</sup> Wooldridge, *op. cit.*, s. 96. Zobacz też s. 94–110.

Wizygot uznał, że został obrażony przez Franka, wnosił przeciwko niemu sprawę do swojego sądu. Wyrok tego sądu był powszechnie respektowany przez Franków. Wnoszenie sprawy do sądu powoda zgodne jest również z logiką libertariańską, ponieważ powód lub ofiara przestępstwa jest stroną pokrzywdzoną i jest naturalne, że zwraca się do swojego sądu. A zatem, w naszym przypadku, Jones zwróci się do firmy Prudential Court, by osądziła Browna za kradzież.

Może się zdarzyć, że Brown jest również klientem Prudential Court i wtedy sprawa jest prosta. Orzeczenie firmy Prudential obejmuje obie strony i staje się wiążące. Istotne jest, by nie został złamany warunek, że wobec Browna nie wolno zastosować żadnego przymusowego środka prewencyjnego, ponieważ dopóki nie zostanie skazany, musi być traktowany jako niewinny. Ale Brown będzie mógł się stawić w sądzie dobrowolnie, gdyż otrzyma zawiadomienie, że toczy się przeciwko niemu postępowanie w takiej to a takiej sprawie i że on lub jego pełnomocnik jest zaproszony do stawienia się na rozprawie. Jeśli się nie stawi, to będzie sądzony *in absentia*, co spowoduje, że sąd nie weźmie pod uwagę jego stanowiska. Jeśli Brown zostanie uznany za winnego, sąd i jego egzekutorzy doprowadzą Browna siłą i dopilnują wykonania orzeczonej kary. Oczywiście celem kary będzie przede wszystkim zadośćuczynienie poszkodowanemu.

Co się jednak stanie, jeśli Brown nie zechce respektować orzeczeń sądu Prudential? Jeśli jest klientem firmy Metropolitan Court? Wtedy sprawa się nieco komplikuje. Najpierw poszkodowany Jones zakłada sprawę w sądzie Prudential. Jeśli Brown zostaje uznany za niewinnego, oznacza to zakończenie konfliktu. Założmy jednak, że oskarżonemu Brownowi dowiedziono winy. Jeśli Brown nie zaprotestuje, wyrok zostanie wykonany. Przypuśćmy jednak, że Brown zwraca się z tą samą sprawą do sądu Metropolitan, oskarżając sąd Prudential o nieudolność lub przekupstwo. Wówczas sprawa zostaje rozpatrzona przez sąd Metropolitan. Jeśli Metropolitan również uzna Browna za winnego, to sprawa jest zakończona i Prudential zajmie się egzekucją wyroku. Co jednak będzie, jeśli Metropolitan oczyści Browna z zarzutów? Czy oba sądy i ich uzbrojeni egzekutorzy rozpoczną strzelaninę na ulicach?

Jak stwierdziliśmy wcześniej, takie zachowanie ze strony sądów byłoby całkowicie irracjonalne i autodestrukcyjne. Istotnym aspektem ich usług sądowych jest zapewnienie sprawiedliwego, bezstronnego i pokojowego sposobu orzekania, który jest najlepszą drogą do ustalenia obiektywnej prawdy o tym, kto popełnił przestępstwo. Gdyby sąd ogłosił wyrok, a następnie przeszedł do bezładnej strzelaniny, klienci uznaliby zapewne, że jego usługi są nic niewarte. Istotną pozycją w ofercie sądów byłaby usługa polegająca na prowadzeniu postępowania odwoławczego. Wszystkie sądy zobowiązywałyby się do honorowania wyroków sądów apelacyjnych. Do takiego sądu apelacyjnego zwróciłyby się teraz Metropolitan i Prudential z wnioskiem o arbitraż. Sędzia apelacyjny podejmuje decyzję i wynik tego trzeciego procesu staje się wiążący dla skazanego. Sąd Prudential przystępuje do wykonania wyroku.

Sąd apelacyjny! Ależ to chyba oznacza ponowne ustanowienie przymusowego monopolu rządowego? Nie, ponieważ nie istnieje żaden powód, żeby sądem apelacyjnym miał być tylko jeden sąd albo jedna osoba. Obecnie Sąd Najwyższy jest *jedynym* sądem w Stanach Zjednoczonych, do którego można wnieść ostateczne odwołanie. Sędziowie Sądu Najwyższego są więc ostatecznymi rozstrzygającymi, bez względu na to, czy powód i pozwany sobie tego życzą, czy nie. W systemie libertariańskim, inaczej niż w obecnym, poszczególne konkurujące ze sobą prywatne sądy będą mogły zwrócić się do *dowolnego* sędziego apelacyjnego, którego uznają za sprawiedliwego, kompetentnego i obiektywnego. Żaden pojedynczy sędzia ani żadna grupa sędziów nie będzie społeczeństwu narzucana pod przymusem.

W jaki sposób będzie finansowana działalność sędziów apelacyjnych? Jest wiele możliwości, ale najprawdopodobniej byłiby oni opłacani przez różne sądy podstawowego szczebla, które pobierałyby od swoich klientów opłaty za prowadzenie postępowań odwoławczych w formie składek lub honorariów.

Ale Brown może się upierać przy kolejnych apelacjach. Czy odwołując się bez końca, nie uniknie odpowiedzialności? Oczywiście w *żadnym* społeczeństwie postępowanie sądowe nie może być kontynuowane bez ograniczeń. Musi być *jakiś* sposób na jego przerwanie. W obecnym społeczeństwie etatystycznym, w którym rząd ma monopol na usługi sądowe, instancją przerywającą postępowanie jest Sąd Najwyższy. Taka granica musiałaby również istnieć w społeczeństwie libertariańskim. Ponieważ w każdej sprawie karnej i cywilnej występują tylko dwie strony – powód i pozwany, to wydaje się najrozsądniejsze, żeby kodeks postanawiał, iż *orzeczenie, na które godzą się jakiekolwiek dwa sądy*, ma moc wiążącą. Dotyczyłoby to zarówno sytuacji, w której sądy powoda i pozwanego wydają ten sam werdykt, jak i sytuacji, kiedy sąd apelacyjny rozstrzyga spór pomiędzy sądami pierwszej instancji.

## Prawo i sądy

Teraz widzimy, że w wolnościowym społeczeństwie konieczne będzie ustalenie kodyfikacji prawnej. Ale jak? Jak jest możliwy kodeks, system prawny *bez* rządu, który by go ogłosił i który wyznaczyłby sędziów lub powołał władzę ustawodawczą do opracowania przepisów? A przede wszystkim, czy idea kodyfikacji prawnej nie kłóci się z libertariańskimi zasadami?

Odpowiadając na ostatnie pytanie, trzeba jasno stwierdzić, że kodyfikacja byłaby niezbędna do określenia ogólnych zasad, którymi powinny kierować się prywatne sądy. Jeśli sąd A wyda orzeczenie, że wszyscy rudzi są z natury źli i należy ich ukarać, to będzie to wyrok sprzeczny z zasadami libertarianizmu, ponieważ będzie naruszał prawa przysługujące rudym. Tego typu orzeczenie będzie w świetle wolnościowych zasad nielegalne i nie uzyska aprobaty społecznej. Powstaje więc konieczność opracowania kodeksu praw, który byłby powszechnie akceptowany i do którego przestrzegania zobowiązałyby się wszystkie sądy. Kodeks zawierałby po prostu libertariańską zasadę zabraniającą naruszania nietykalności osobistej i własności, określałby prawa własności zgodnie z pryncypiami wolnościowymi, ustalałby reguły dopuszczania dowodów (podobne do obowiązujących obecnie) w postępowaniu zmierzającym do wskazania winnych oraz wyznaczałby maksymalne kary dla poszczególnych przestępstw. Poruszając się w obrębie takich ustaleń kodeksowych, sądy konkurowałyby między sobą stosując najbardziej skuteczne procedury; rynek decydowałby, które z tych procedur – sądy, sądy przysięgłych itd. – zapewniają najlepszą obsługę w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości.

Czy takie niezmiennie i jednolite kodeksy są w ogóle możliwe? Czy wystarczy, że konkurujący ze sobą sędziowie będą je sami interpretować i stosować, nie odwołując się do pomocy rządu lub władz ustawodawczych? Otóż taki kodeks praw jest nie tylko *możliwy*, ale najlepsze elementy obecnego systemu prawnego zostały wypracowane z biegiem czasu właśnie w taki sposób. Władza ustawodawcza, podobnie jak królowie, bywała zmienna, zaborcza i niekonsekwentna. Wprowadzała tylko do systemu prawnego anomalie i despotyzm. Rząd ma tak samo nikłe kwalifikacje do ustanawiania i stosowania prawa, jak słabe są jego kwalifikacje do świadczenia jakichkolwiek innych usług. Tak jak oddzielona została religia od państwa i jak należy oddzielić od niego gospodarkę, tak też można uczynić z każdym innym aspektem działalności państwa, nie wyłączając policji, sądów *oraz* samego prawa!

Jak już wskazywaliśmy, całe prawo handlowe zostało stworzone nie przez państwo ani państwowe sądy, tylko przez sądy kupieckie. Rząd odebrał sądom kupieckim możliwość rozwijania kodeksu handlowego znacznie później. To samo miało miejsce w przypadku całego systemu prawa morskiego, dotyczącego żeglugi handlowej, ratownictwa itd. Tą dziedziną państwo też nie było zainteresowane. Państwowa jurysdykcja nie miała zastosowania do pełnego morza i dlatego przewoźnicy morscy sami podjęli się nie tylko stosowania, lecz także wypracowania w swoich prywatnych sądach całego systemu prawa morskiego. Dopiero później rząd przejął kontrolę nad prawem morskim i sprawy z tego zakresu rozstrzygane są w rządowych sądach.

Wreszcie, zasadnicza część prawa anglosaskiego, *prawo zwyczajowe (common law)* rozwinęło się przez wieki dzięki temu, że konkurujący sędziowie kierowali się w orzekaniu zasadami uświęconymi tradycją, a nie zmieniającymi się dekrety władz państwowych. O tych zasadach nie decydował arbitralnie król ani władza ustawodawcza. Wyrosły one z upływem wieków na gruncie racjonalnych – bardzo często wolnościowych – metod orzekania w sprawach sądowych. Rozwój idei orzekania na podstawie precedensu *nie* stanowi ślepej uległości wobec przeszłości, lecz jest wynikiem tego, że wszyscy sędziowie stosowali w przeszłości powszechnie przyjęte prawa zwyczajowe do rozstrzygania konkretnych spraw i problemów. Powszechnie uważano, że sędzia nie *tworzy* prawa (jak to się często dzieje dzisiaj); rolą sędziego, jego zadaniem było *znalezienie* odpowiedniego prawa wśród zasad prawa zwyczajowego i zastosowanie go do konkretnych przypadków albo do nowych warunków technicznych i instytucjonalnych. Wspaniała wielowiekowa tradycja prawa zwyczajowego jest najlepszym potwierdzeniem skuteczności takiego systemu.

Sędziowie stosujący prawo zwyczajowe działali na podobnych zasadach jak sędziowie polubowni. Byli specjalistami w zakresie prawa i rozstrzygali spory między prywatnymi stronami, które zgłaszały się do nich. Nie istniał narzucony arbitralnie „sąd najwyższy”, którego decyzje byłyby wiążące. Precedensy były wprowadzone szanowane, ale również nie miały *automatycznej* mocy wiążącej. Włoski prawnik libertariański Bruno Leoni pisze:



(...) Sądy orzekające w Anglii nie mogły stosować własnych arbitralnych reguł, gdyż nie miały ku temu nigdy bezpośrednich uprawnień, to znaczy możliwości stałego, władczego rozstrzygania spraw na wzór ustawodawcy. Ponadto sądy w Anglii były tak liczne i tak zawistne wobec siebie nawzajem, że aż do niedawnych stosunkowo czasów nie przestrzegały nawet znanej zasady wiążącego precedensu. Nie wydawały też orzeczeń w sprawach, które nie były im uprzednio przedstawione przez prywatne osoby. I wreszcie, rzadko się zdarzało, żeby ktoś występował do sądu z prośbą o podanie zasady, którą sąd kierował się przy rozpatrywaniu ich sprawy<sup>4</sup>.

A tak pisze na temat braku „sądów najwyższych”:

(...) Nie można zaprzeczyć, że praktyka sądowa lub prawo precedensowe może przybierać formę ustawodawstwa wraz z niepożądanymi tego skutkami. Dzieje się tak, gdy prawnicy lub sędziowie mają uprawnienia do wydawania ostatecznych wyroków. (...) W dzisiejszych czasach skutkiem działania mechanizmu precedensu w krajach, które mają „sąd najwyższy”, jest narzucenie subiektywnych poglądów członków składu sędziowskiego (albo większości sędziów tych sądów) wszystkim osobom zainteresowanym, jeśli tylko w sprawie występuje zasadnicza różnica stanowisk między sądem a tymi osobami. Jednakże (...) taka ewentualność nie wypływa z natury praktyki sądowej lub prawa precedensowego, lecz stanowi raczej jej wypaczenie (...)<sup>5</sup>.

Pomijając te odstępstwa, możliwość narzucenia subiektywnych poglądów sędziów była ograniczona do minimum przez to, że: (a) sędziowie mogli wydawać orzeczenia tylko wówczas, gdy prywatne osoby zwracały się do nich z wnioskiem o rozpatrzenie sprawy, (b) każde orzeczenie sędziego odnosiło się wyłącznie do konkretnej sprawy, (c) sędziowie i prawnicy, opierając się na prawie zwyczajowym, odwoływali się zawsze do precedensów z wielu wieków. Jak podkreśla Leoni, w przeciwieństwie do władz ustawodawczej i wykonawczej, które liczą się wyłącznie ze zdaniem przeważającej większości lub grup nacisku kosztem lekceważonej mniejszości, sędziowie ze względu na swoją rolę są zobligowani do wysłuchania i porównania wagi argumentów każdej ze stron sporu. „Strony są wobec sędziego *równe*, to znaczy mają takie samo prawo przedkładania argumentów i dowodów. Nie tworzą grup, w których mniejszości o odmiennych poglądach muszą ustąpić zwycięskiej większości (...)”. Leoni zwraca uwagę na analogię między tym zjawiskiem a gospodarką wolnorynkową: „Argumenty mogą mieć oczywiście większą lub mniejszą siłę, ale fakt, że każda ze stron ma prawo je przedstawić, można porównać do wolnego rynku, na którym każdy samodzielnie konkuruje z innymi w celu sprzedania lub kupienia jakiegoś dobra”<sup>6</sup>.

Według profesora Leoniego w dziedzinie *prawa prywatnego* sędziowie w starożytnym Rzymie działali w taki sam sposób jak sądy prawa zwyczajowego w Anglii:

Sędzia rzymski był kimś w rodzaju naukowca; celem jego dociekań było znajdowanie rozwiązań przypadków, które przedstawiali mu do rozpatrzenia obywatele. Podobnie przedsiębiorca może się w dzisiejszych czasach zwrócić do fizyka albo inżyniera o pomoc w rozwiązaniu problemu technicznego związanego z jego zakładem lub procesem produkcyjnym. Prywatne prawo rzymskie było więc przedmiotem opisanego lub odkrywania, a nie czymś, co należało uchwalić. Było światem rzeczy istniejących, częścią wspólnego dziedzictwa wszystkich obywateli Rzymu. Nikt nie mógł tego prawa uchwalać; nikt nie był go w stanie z własnej woli zmienić (...). Taka jest odwieczna koncepcja lub, jeśli ktoś woli, rzymska koncepcja pewności prawa<sup>7</sup>.

Dzięki swojej wiedzy o tym, jak działało prawo w starożytności i prawo zwyczajowe, profesor Leoni mógł odpowiedzieć na następujące żywotne pytanie: kto w społeczeństwie wolnościowym „będzie mianował sędziów (...), których zadaniem byłoby definiowanie prawa?”. Odpowiedź profesora brzmi: *ludzie*, tak jak ludzie zwracali się w przeszłości do sędziów mających najlepszą opinię, o najwyższych kompetencjach,

<sup>4</sup> Bruno Leoni, *Freedom and the Law* (Los Angeles: Nash Publishing Co., 1972), s. 87.

<sup>5</sup> *Ibid.*, s. 23–24.

<sup>6</sup> *Ibid.*, s. 188.

<sup>7</sup> *Ibid.*, s. 84–85.

największej mądrości i wiedzy w sprawach dotyczących stosowania podstawowych zasad prawa zwyczajowego obowiązującego w społeczeństwie.

Rozstrzyganie zawczasu, kto będzie wyznaczał sędziów, byłoby bezzasadne, ponieważ – w pewnym sensie – może to zrobić każdy. Przecież tak się w pewnym stopniu dzieje, gdy ludzie zwracają się do prywatnych sędziów polubownych z prośbą o rozstrzygnięcie sporów między sobą. (...) Wyznaczanie sędziów nie jest tak trudne, jak dajmy na to „wyznaczanie” fizyków, lekarzy lub innych wykształconych i doświadczonych specjalistów. Tylko z pozoru pojawienie się w społeczności dobrych fachowców zawdzięczamy urzędowemu mianowaniu. W rzeczywistości opiera się ono na powszechnej aprobachie klientów, kolegów z branży i ogółu społeczeństwa. Bez tej aprobaty mianowanie nie może być skuteczne. Ludzie mogą się oczywiście mylić co do trafności swojego wyboru, ale problemy związane z wyborem są nieuniknione w przypadku każdej selekcji<sup>8</sup>.

Oczywiście w wolnościowym społeczeństwie przyszłości podstawowe zasady prawne nie będą się opierać na bezkrytycznie przyjmowanych obyczajach, z których wiele może się kłócić z libertarianizmem. Kodeks praw musiałby się wspierać na przyjęciu podstawowej zasady libertarianizmu, zakazującej agresji wobec innych osób i ich własności. Za podstawę miałby więc rozum, a nie samą – choćby zasadniczo zdrową – tradycję. Dzięki temu, że możemy wykorzystać zasadnicze elementy gmachu prawa zwyczajowego, stojące przed rozumem zadanie wprowadzenia niezbędnych poprawek będzie znacznie łatwiejsze niż próba budowania gmachu uporządkowanych zasad prawnych *de novo*, z niczego.

Najbardziej spektakularny przykład społeczeństwa, w którym działały libertariańskie prawo i sądy, aż do niedawna pozostawał niezauważony przez historyków. W społeczeństwie tym nie tylko sądy i prawo były w dużym stopniu libertariańskie, ale działały w czysto wolnościowym, bezpieczeństwa środowisku. Chodzi o starożytną Irlandię, która kroczyła po wolnościowej ścieżce przez ponad tysiąc lat, aż do XVII wieku, kiedy podbili ją Anglicy. W przeciwieństwie do wielu innych, pierwotnych plemion zorganizowanych na podobnych zasadach (takich jak Ibos w Afryce zachodniej i liczne plemiona europejskie) Irlandia przed panowaniem angielskim nie była w żadnej mierze społeczeństwem „prymitywnym”. Społeczeństwo to miało bardzo złożoną strukturę; przez wieki było najwyżej rozwiniętym, najmądrzejszym i najbardziej cywilizowanym społeczeństwem Europy Zachodniej.

Przez tysiąc lat starożytna celtycka Irlandia nie miała państwa ani żadnej podobnej do niego struktury. Jak pisze największy autorytet w dziedzinie prawa starożytnej Irlandii: „Nie było władzy ustawodawczej, urzędników sądowych, publicznie wykonywanych wyroków. (...) Nie było śladu państwowego wymiaru sprawiedliwości”<sup>9</sup>.

W jaki sposób egzekwowano sprawiedliwość? Podstawową jednostką polityczną starożytnej Irlandii było *tuath*. Wszyscy „wolni” obywatele, którzy posiadali ziemię, wykonywali jakiś zawód lub byli rzemieślnikami, mieli prawo zostać członkami *tuath*. Członkowie każdego *tuath* zbierali się raz do roku i uzgadniali wspólną politykę, decydowali o wypowiedzeniu wojny lub zawarciu pokoju z innymi *tuatha* oraz wybierali lub usuwali „króla”. Istotne jest, że – w przeciwieństwie do plemion prymitywnych, nikt nie był na stałe przypisany do konkretnego *tuath* – ani ze względu na więzy pokrewieństwa, ani w sensie terytorialnym. Poszczególni członkowie mogli swobodnie opuszczać jedno *tuath* i dołączać do konkurencyjnego. Często zdarzało się, że dwa lub więcej *tuatha* postanawiały połączyć się w jedno o większej sile. Jak twierdzi profesor Peden, „*tuath* stanowiło grupę złożoną z osób, które dobrowolnie się zjednoczyły ze względu na korzyści społeczne. Jego terytorium stanowiły wszystkie grunty należące do poszczególnych członków łącznie”<sup>10</sup>. Nie mieli więc państwa – w jego współczesnym znaczeniu – które rościłoby sobie pretensje do panowania nad jakimś terytorium (zwykle coraz większym) i które byłoby niezależne od praw do własności ziemskiej swoich poddanych. Przeciwnie, *tuatha* były dobrowolnymi związkami, które składały się wyłącznie

---

<sup>8</sup> *Ibid.*, p. 183.

<sup>9</sup> Cytat z najlepszego wprowadzenia do anarchistycznych instytucji starożytnej Irlandii: Joseph R. Peden, "Property Rights in Celtic Irish Law", *Journal of Libertarian Studies*, 1 (wiosna 1977), s. 83; Zobacz też s. 81–95. Streszczenie w: Peden, "Stateless Societies: Ancient Ireland", *The Libertarian Forum* (kwiecień 1971), s. 3–4.

<sup>10</sup> Peden, "Stateless Societies," s. 4.

z gruntów należących do jego członków. Według historyków w Irlandii występowało zwykle jednocześnie od 80 do 100 *tuatha*.

Ale jaka była rola wybranego „króla”? Czy *on* nie stanowił namiastki władzy państwowej? Król sprawował głównie funkcje religijne, jako arcykapłan przewodniczył obrzędom *tuath*, które odgrywało rolę organizacji społecznej i politycznej, ale także dobrowolnej wspólnoty religijnej. Władza królewska była dziedziczna, podobnie jak w przypadku duchowieństwa w innych przedchrześcijańskich społecznościach. Zasadę dziedziczności przejmie później chrześcijaństwo. Króla wybierano spośród członków rodu królewskiego (*derbfine*), któremu przysługiwały dziedziczne uprawnienia kapłańskie. W dziedzinie *politycznej* król miał jednak bardzo ograniczoną władzę. Był zwierzchnikiem wojskowym *tuath* i przewodniczył zebraniom *tuath*. Jeśli prowadził rozmowy dotyczące wojny lub negocjacje pokojowe, to działał tylko jako przedstawiciel uczestników zebrania *tuath* i w żadnym razie nie był suwerenem ani nie miał władzy sądowniczej nad członkami *tuath*. Nie miał też władzy ustawodawczej i jeśli sam był stroną w sprawie sądowej, to musiał oddać swoją sprawę w ręce niezależnego sędziego.

Jak stosowano prawo i wymierzano sprawiedliwość? Przede wszystkim samo prawo opierało się na starych, odwiecznych obyczajach, przekazywanych z pokolenia na pokolenie w formie ustnej, a następnie pisanej, przez grupę fachowych prawników, zwanych *brehons*. Brehoni nie byli w żadnym sensie urzędnikami państwowymi lub rządowymi. Strony konfliktu wybierały ich po prostu jako arbitrów w sporze, biorąc pod uwagę ich mądrość, wiedzę dotyczącą prawa zwyczajowego i sprawiedliwość ich wyroków. Jak pisze profesor Peden:

„(...) strony sporu zasięgały rady u zawodowych prawników, żeby się dowiedzieć, co mówi prawo w ich konkretnym przypadku. Ci sami prawnicy rozstrzygali często spór polubownie. Przez cały czas pozostawali prywatnymi osobami, a nie urzędnikami; w swojej pracy polegali wyłącznie na znajomości prawa i nieposzlakowanej opinii sprawiedliwych sędziów<sup>11</sup>.

Brehoni nie mieli *żadnych* związków z poszczególnymi *tuatha* ani koneksji z ich królami. Byli całkiem zwykłymi obywatelami, a ich działalność miała zasięg ogólnokrajowy. Z ich usług korzystały zwaśnione strony w całej Irlandii. Co więcej – i co bardzo istotne – inaczej niż w systemie prywatnych prawników rzymskich, brehoni stanowili cały wymiar sprawiedliwości; poza nimi nie było w starożytnej Irlandii innych sędziów ani żadnych „powszechnych” sądów.

Brehoni mieli wykształcenie prawnicze i uzupełniali prawo oraz dostosowywali je do zmieniających się warunków. Nie istniał żaden rodzaj monopolu prawniczego; przeciwnie: działało kilka konkurencyjnych szkół prawniczych, które starały się zdobyć uznanie Irlandczyków.

W jaki sposób egzekwowano orzeczenia brehonów? Służył temu wyrafinowany, oddolnie wypracowany system „ubezpieczeń” lub rękojmi. Ludzie byli powiązani między sobą różnymi rodzajami poręczeń, które dawały gwarancję, że wyrządzone zło zostanie naprawione, a sprawiedliwe wyroki brehonów będą przestrzegane. Sami brehoni nie brali udziału w wykonywaniu wyroków. To należało do zwykłych obywateli powiązanych siecią rękojmi. Istniały poręczenia wielu różnych rodzajów. Udzielający rękojmi mógł na przykład ręczyć własnym majątkiem spłatę czyjegoś długu i wspólnie z powodem dopilnować by wyrok w sprawie zwrotu należności został wykonany, gdyby dłużnik odmawiał zapłaty. W takim przypadku dłużnik musiałby zapłacić podwójnie: pierwotnemu kredytodawcy zwróciłby dług, a poręczycielowi zapłaciłby odszkodowanie. Taki system stosowano do wszystkich rodzajów przestępstw, zarówno rabunków, napadów, jak i umów handlowych. Były nim objęte – jakbyśmy dziś powiedzieli – sprawy z zakresu prawa „cywilnego” i „karnego”. Wszyscy przestępcy byli uważani za „dłużników”, winnych zadośćuczynienie i odszkodowanie swoim ofiarom, które były ich „wierzycielami”. Poszkodowany zwracał się o pomoc do swoich poręczycieli i chwycił przestępcę albo ogłaszał publicznie, że domaga się, by oskarżony oddał się w ręce sprawiedliwości. Przestępca mógł zareagować, przysyłając swoich poręczycieli w celu negocjacji warunków ugody lub zgodzić się na rozstrzygnięcie sporu przez brehonów. Jeśli tego nie zrobił, cała społeczność uznawała go za „wyjętego spod prawa”. Nie mógł już się zwracać z własnymi skargami do sądów i był przez wszystkich uważany za okrytego hańbą<sup>12</sup>.

Zdarzały się, oczywiście, „wojny” w tysiącletniej historii celtyckiej Irlandii, ale były to niewielkie potyczki o nieporównywalnie mniejszym znaczeniu niż wyniszczające wojny, które przeorały pozostałą część Europy.

<sup>11</sup> *Ibid.*

Jak podkreśla profesor Peden, „bez państwowego aparatu przymusu, który za pomocą opodatkowania i poboru może zmobilizować olbrzymie ilości broni i ludzi, Irlandczycy nie byli w stanie utrzymywać w pogotowiu większych sił zbrojnych przez dłuższy czas. Według standardów europejskich (...) irlandzkie wojny były żalosnymi bójkami, awanturami o stado bydła”<sup>13</sup>.

Pokazaliśmy, że zarówno w teorii, jak i z historycznego punktu widzenia, możliwe jest stworzenie skutecznej i uprzejmej policji, kompetentnych sądów z mądrymi sędziami, uporządkowanego systemu powszechnie akceptowanego prawa i że żadna z tych rzeczy nie musi być dziełem stosującego przemoc rządu. Rząd, który uzurpuje sobie prawo do monopolu na zapewnienie bezpieczeństwa w granicach pewnego obszaru geograficznego i który uzyskuje swoje dochody przy użyciu siły, może nie mieć w ogóle nic wspólnego z całą dziedziną bezpieczeństwa. Rząd nie jest potrzebny do zapewnienia ochrony bardziej niż do zapewnienia czegokolwiek innego. Nie wspomnieliśmy jeszcze o istotnym fakcie dotyczącym rządu, mianowicie o tym, że obowiązkowy monopol na stosowanie środków przymusu popchnął rządy do wywołania nieskończonej większych rzezi i wprowadzenia nieskończonej groźniejszych tyranii i systemów ucisku, niż byłaby to w stanie zrobić jakakolwiek niezależna, prywatna agencja ochrony. Gdy przyjrzymy się dokonaniom w przeszłości masowym mordom, wyzyskowi i tyranii narzucanej społeczeństwom przez rządy na przestrzeni wieków, to bez żalu rozstaniemy się z państwowym lewiatanem, by... zakosztować wolności.

### ***Stróże wyjęci spod prawa***

Na koniec zostało nam jeszcze następujące zagadnienie: Co się stanie, jeśli policja, sędziowie i sądy będą przekupni i stronnicy? Co się stanie, jeśli będą sprzyjać na przykład szczególnie zamożnym klientom? Pokazaliśmy już, w jaki sposób w gospodarce całkowicie wolnorynkowej mógłby działać libertariański system prawny i sądowniczy, który zapewniałby uczciwe rozstrzygnięcie sporu. Ale co by się stało, gdyby jedna lub kilka agencji policyjnych lub sądowych zostało wyjętych spod prawa? Co wtedy?

Przede wszystkim trzeba zauważyć, że libertarianie nie uciekają przed tym zagadnieniem. W przeciwieństwie do takich utopistów, jak marksiści albo lewicowi anarchości (anarcho-komuniści i anarcho-syndykaliści) libertarianie *nie* zakładają, że wprowadzenie czysto wolnościowego społeczeństwa ich marzeń stworzy zarazem nowego, magicznie odmienionego libertariańskiego człowieka. Nie zakładamy, że lew położy się spokojnie obok jagnięcia albo że nikt nie będzie knuł podstępnie przeciwko swoim sąsiadom. Oczywiście im „lepsi” będą ludzie, tym lepiej będzie funkcjonował *każdy* system społeczny i tym mniej pracy będzie miała *każda* policja i *każdy* sąd. Ale libertarianie nie przyjmują takich założeń. Twierdzimy tylko, że przy dowolnie określonym poziomie „dobra” lub „zła” wśród ludzi społeczeństwo czysto libertariańskie stanie się z miejsca społeczeństwem najbardziej moralnym i wydajnym, z najmniejszą przestępczością oraz najlepiej chronionym prawem własności i nietykalności osobistej.

Rozważmy zagadnienie przekupnych lub nieuczciwych sędziów i sądów. Co się stanie, jeśli sąd będzie działał na korzyść własnego, zamożnego klienta, który wszedł w kolizję z prawem? Po pierwsze, takie działanie będzie mało prawdopodobne ze względu na system nagród i kar istniejący w gospodarce rynkowej. Egzystencja sądu i samego sędziego będzie zależała od tego, czy sędzia będzie się cieszyć opinią uczciwego, sprawiedliwego, obiektywnego i oddanego prawdzie w każdym przypadku. Na tym buduje on swoją „markę”. Gdy tylko rozejdzie się wiadomość o jego przekupstwie, natychmiast straci klientów i sąd zostanie bez środków. Nawet bowiem klienci-kryminaliści nie będą wspierać sądu, którego wyroki społeczeństwo przestało brać poważnie albo którego sędziowie siedzą w więzieniu za nieuczciwość i machlojki. Jeśli na przykład Joe Zilch jest oskarżony o przestępstwo lub złamanie umowy i zwraca się do „sądu”, na którego czele stoi jego szwagier, to nikt, a w szczególności żaden uczciwy sąd, nie weźmie poważnie wyroku takiego „sądu”. Nikt już, oprócz Joe’ego Zilcha i jego rodziny, nie będzie go uważał za „sąd”.

Porównajmy ten wewnętrzny mechanizm korygujący z dzisiejszymi sądami rządowymi. Sędziowie są mianowani albo wybierani na długie lata, nawet na całe życie, i mają monopol na wydawanie wyroków w danym rejonie. Poza przypadkami ewidentnej korupcji nie można niczego zrobić, jeśli sąd został przekupiony.

<sup>12</sup> Profesor Charles Donahue z Fordham University twierdzi, że podobieństwa między świeckim prawem starożytnej Irlandii a tradycją stoicką nie są przypadkiem, lecz świadomym nawiązaniem do stoickiej koncepcji prawa naturalnego odkrywanego przez ludzki rozum. Charles Donahue, "Early Celtic Laws" (niepublikowana praca przedstawiona na seminarium „Historia myśli prawniczej i politycznej”, które odbyło się na uniwersytecie Columbia jesienią 1964 roku), s. 13 nn.

<sup>13</sup> Peden, "Stateless Societies", s. 4.

Przez całe lata nikt nie kontroluje wyroków sędziów ani ich wykonywania. Sędziowie otrzymują stałe wynagrodzenie finansowane z pieniędzy zabranych pod przymusem biednemu podatnikowi. W całkowicie wolnym społeczeństwie jakiegokolwiek podejrzenie, które by padło na sędziego lub sąd, spowodowałoby natychmiastowy odpływ klientów i lekceważenie „wyroków” przez taki sąd ferowanych. Jest to znacznie skuteczniejszy sposób zapewnienia uczciwości sędziów niż zwierzchnictwo rządu.

Pokusa przekupstwa i stronnictwa byłaby znacznie mniejsza z jeszcze jednego powodu: na wolnym rynku przedsiębiorstwa zarabiają na sobie *nie* dzięki temu, że mają bogatych klientów, tylko dzięki klientowi masowemu. Zyski firmy Macy’s generowane są przez wielką liczbę drobnych klientów, a nie przez kilku zamożnych. W podobnej sytuacji, w jakiej dzisiaj jest Metropolitan Life Insurance, jutro będzie dowolny system sądowy „Metropolitan”. Byłoby głupotą ze strony sądów, gdyby ryzykowały utratę zaufania ze strony olbrzymiego klienta zbiorowego i obdarzały przywilejami kilku bogatych klientów. Tymczasem w obecnym systemie sędziowie, podobnie jak inni politycy, mogą mieć zobowiązania wobec bogatych osób finansujących kampanie polityczne ich partii.

Istnieje mīt, że „system amerykański” zapewnia respektowanie doskonałej zasady „kontroli i równowagi”. Władze: wykonawcza, ustawodawcza i sądownicza równoważą się i kontrolują wzajemnie, co zapobiega osiągnięciu zbyt dużego wpływu przez jedną z nich. Ale amerykański system „kontroli i równowagi” jest w znacznej mierze oszustwem. Każda z tych władz stanowi przymusowy monopol w swojej dziedzinie, a wszystkie składają się na jeden rząd, kontrolowany zawsze przez jedną partię polityczną. Zresztą w najlepszym razie są tylko dwie partie, zbliżone do siebie pod względem ideologii i bliskie personalnie, i często działające w zмовie. Codzienne obowiązki spełniają urzędnicy służby cywilnej, których wyborcy *nie mogą* usunąć. Porównajmy tę mityczną kontrolę i równowagę z *prawdziwą* kontrolą i równowagą, którą zapewnia gospodarka wolnorynkowa! A&P postępuje uczciwie ze względu na istniejącą i potencjalną konkurencję ze strony Safeway’a, Pioneera i ogromnej liczby innych sklepów spożywczych. Wie, że nieuczciwe postępowanie może spowodować odpływ klientów. Wolnorynkowe sądy i sędziowie kroczyliby ścieżką uczciwości ze względu na realne ryzyko, że ich klienci pofatygują się do *innego* sądu za rogiem albo naprzeciwko, gdy tylko na któregoś z nich padnie cień podejrzenia. Na tej drodze utrzymywałyby ich groźba utraty klientów i dochodów. To jest *prawdziwa*, skuteczna kontrola i równowaga, którą zapewnia gospodarka rynkowa i wolne społeczeństwo.

Taka sama analiza ma zastosowanie do możliwości złamania prawa przez prywatną policję, czyli do ewentualnych przypadków wymuszenia okupu lub organizowania „gangów ochroniarzy” itd. Oczywiście takie przypadki *mogłyby* się zdarzać. Ale, w przeciwieństwie do sytuacji obecnej, społeczeństwo miałoby pod ręką mechanizm kontroli i równowagi; byłyby inne formacje policyjne, które użyłyby broni, żeby przywołać do porządku prześladowców ich klientów. Jeśli policja Metropolitan stałaby się gangiem wymuszającym okupy, to społeczeństwo zwróciłoby się do policji Prudential, Equitable itd., które zjednoczyłyby się i ukróciły jej praktyki. Zupełnie inaczej jest w przypadku państwa. Jeśli grupa bandytów przejęłaby kontrolę nad aparatem państwa i jego monopolem na używanie środków przymusu, nie byłoby obecnie sposobu, by ich powstrzymać – oprócz niezwykle trudnej do przeprowadzenia rewolucji. W wolnościowym społeczeństwie nie byłoby konieczności organizowania rewolucji w celu ukrócenia grabieży państw-rozbójników. Wystarczyłoby się zwrócić do uczciwych sił policyjnych, by przejęły kontrolę nad agencją, która przerodziła się w grupę bandytów.

A czymże innym w istocie jest państwo niż zorganizowanym bandytyzmem? Czym są podatki, jeśli nie złodziejstwem na gigantyczną, niekontrolowaną skalę? Czym jest wojna, jeśli nie masowym mordem w skali niemożliwej do osiągnięcia przez prywatną policję? Czym jest pobór, jeśli nie masowym niewolnictwem? Czy można sobie wyobrazić prywatną formację policyjną, której uszłoby na sucho popełnienie choćby małej części tego, co państwa robią bezkarnie, rutynowo, rok po roku i stulecie po stuleciu?

Z jednego jeszcze względu wyjęta spod prawa policja nie byłaby w stanie popełnić niczego, co by przypominało bandytyzm uprawiany przez współczesne rządy. Jednym z istotnych czynników, które pozwalają rządowi popełniać notorycznie te potworności, jest wywoływane u ogłupiałego społeczeństwa wrażenie *legalności*. Przeciętnemu obywatelowi może się nie podobać polityka i przymusowe praktyki stosowane przez jego rząd. Może nawet być ich zdecydowanym przeciwnikiem. Ale – za pomocą starannej wielowiekowej indoktrynacji ze strony rządowej propagandy – wpojono mu przekonanie, że rząd jest legalnym władcą i że nieposłuszeństwo jego rozkazom byłoby czymś niegodziwym albo szalonym. Nad

wywołaniem tego wrażenia legalności od wieków pracują intelektualiści, wspomagani i wspierani przez wszystkie złudne atrybuty legalności: flagi, rytuały, ceremonie, nagrody, konstytucje itd. Gang kryminalistów – *nawet jeśli wszystkie* siły policyjne zawiązałyby spisek i utworzyły wielki gang – nigdy nie dysponowałby taką legitymacją. W oczach społeczeństwa byłby tylko gangiem, którego wyludzenia i okupy nie mogłyby nosić miana legalnych, choć uciążliwych, „podatków”, które należy automatycznie płacić. Społeczeństwo szybko przeciwstawiłoby się tym nielegalnym żądaniom i bandyci zostaliby obalen. Gdyby ludzie zaznali radości, dobrobytu, wolności i sprawności bezpieczeństwa systemu libertariańskiego, powrót państwowego ucisku byłby już praktycznie niemożliwy. Gdy ludzie zakosztują raz pełnej wolności, trudno ich zmusić do jej oddania.

*Przypuśćmy* jednak – tylko przypuśćmy – że pomimo tych wszystkich trudności i przeszkód, pomimo umiłowania świeżo uzyskanej wolności i mimo wbudowanego w wolnorynkowy system mechanizmu kontroli i równowagi, przypuśćmy, że *mimo wszystko* państwo się odradza. *Wtedy*, jak powiedział pewien filozof libertariański, „świat będzie przynajmniej wspominał wspaniałe święto”. Żarliwa deklaracja Karola Marksa znacznie lepiej pasuje do społeczeństwa libertariańskiego niż do komunizmu: Próbuąc wolności bez państwa, nie mamy niczego do stracenia, a zyskać możemy wszystko.

### **Obrona narodowa**

Rozważmy teraz argument, który często przywołuje się jako ostatecznie przemawiający za odrzuceniem libertarianizmu. W rozmowie z życzliwym, ale krytycznym, słuchaczem każdy libertarianin wcześniej czy później usłyszy: „Dobrze. Rozumiem, że ten system można by wprowadzić w lokalnej policji i sądach. Ale w jaki sposób libertariańskie społeczeństwo obroniłoby nas przed Rosjanami?”.

W takim pytaniu kryje się, oczywiście, kilka wątpliwych założeń. Jest w nim co najmniej wątpliwe założenie, że Rosjanie są gotowi zaatakować Stany Zjednoczone. Jest założenie, że chcieliby to zrobić również po wprowadzeniu w Stanach Zjednoczonych systemu czysto libertariańskiego. Rozumowanie to lekceważy historycznie udowodnioną prawdę, że przyczynami wojen są konflikty między uzbrojonymi po zęby państwami narodowymi, które podejrzewają się nawzajem o chęć ataku. Ale libertariańska Ameryka nie byłaby dla nikogo zagrożeniem. Nie dlatego, że brakowałoby jej broni, lecz dlatego, że kierowałaby się zasadą nieagresji wobec osób i państw. Gdybyśmy przestali być państwem narodowym – które samo w sobie niesie zagrożenie – prawdopodobieństwo zaatakowania przez inne państwo stałoby się niewielkie. Jednym z groźnych aspektów państwa narodowego jest to, że identyfikują się z nim wszyscy obywatele. W związku z tym, w czasie międzynarodowego konfliktu, niewinni cywile, poddani poszczególnych krajów, stają się przedmiotem agresji ze strony wrogiego państwa. W społeczeństwie libertariańskim nie istniałaby taka identyfikacja i dlatego prawdopodobieństwo wybuchu wojny byłoby niewielkie. Przypuśćmy na przykład, że nasza wyjęta spod prawa agencja policyjna Metropolitan przypuściła atak nie tylko na Amerykanów, ale także na Meksykanów. Gdyby Meksyk miał rząd, to zdawałby on sobie sprawę z tego, że Amerykanie nie mają nic wspólnego z przestępstwami Metropolitan i nie żyją w symbiotycznej współzależności z tą policją. Gdyby policja meksykańska przedsięwzięła karną wyprawę przeciwko siłom Metropolitan, to – w przeciwieństwie do stanu obecnego – nie znalazłaby się w stanie wojny z całą Ameryką. Prawdopodobnie inne siły amerykańskie przyszłyby nawet z pomocą Meksykanom w odparciu najeźdźcy. Idea wojny przeciwko państwu libertariańskiemu lub pewnemu obszarowi geograficznemu najprawdopodobniej by znikła. Wspominanie w takich pytaniach Rosjan jest samo w sobie poważnym błędem filozoficznym. Gdy zajmujemy się *jakimkolwiek* nowym systemem, *najpierw* musimy się zdecydować, czy chcemy go wprowadzić. Aby podjąć decyzję, czy *chcemy* libertarianizmu, komunizmu, lewicowego anarchizmu, teokracji czy jeszcze innego systemu, musimy najpierw założyć, że został on już wprowadzony i *wtedy* dopiero zastanowić się, czy taki system będzie działał, czy utrzyma się i jaką efektywnością będzie się charakteryzował. Pokazaliśmy już, jak sędzę, że system libertariański – po jego wprowadzeniu – utrzymałby się i stałby się z miejsca o wiele efektywniejszy i bardziej moralny niż inne systemy. Stworzyłyby od razu lepsze warunki do pomnażania dobrobytu i korzystania z wolności. Nie powiedzieliśmy jednak nic na temat tego, jak *przejsć* od obecnego systemu do systemu idealnego, ponieważ są to dwa zupełnie różne zagadnienia. Czym innym jest pytanie, jaki *jest* ideał, do którego dążymy, a czym innym pytanie o strategię i taktykę, której należy użyć, by przejść od obecnego systemu *do* tego ideału. Kwestia Rosji powoduje pomieszanie tych dwóch poziomów dyskusji. Wprowadza założenie, że libertarianizm *nie* zostanie wprowadzony na całym świecie, lecz z jakichś powodów *wyłącznie* w Ameryce i nigdzie indziej. Ale dlaczego mamy robić takie założenie? Dlaczego nie założyć najpierw, że zostanie wprowadzony wszędzie, i sprawdzić, czy to nam

odpowiada? Przecież filozofia libertariańska jest wieczna, nie zależy od czasu i miejsca. Opowiadamy się za wolnością dla każdego i wszędzie, a nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Jeśli ktoś się zgadza, że światowe społeczeństwo libertariańskie, gdy stanie się już faktem, będzie najlepszym, które może sobie wyobrazić – możliwym do zrealizowania, efektywnym, moralnym – to pozwólmy mu *zostać* libertarianinem, pozwólmy, by obrał razem z nami wolność jako idealny cel, a dopiero *wtedy* razem z nami zrobił następny – i oczywiście trudny – krok, którym będzie zaplanowanie, jak ten ideał osiągnąć.

Jeśli chodzi o strategię, to oczywiste jest, że na im większym obszarze zapanuje wolność, tym większa jest szansa, że przetrwa, i tym większe prawdopodobieństwo, że będzie mogła się oprzeć próbom jej obalenia. Jeśli wolność zapanuje w jednej chwili na całym świecie, *nie* przestanie oczywiście istnieć problem „obrony narodowej”. *Wszystkie* problemy staną się problemami rozwiązywanymi przez lokalną policję. Jeśli jednak libertarianizm zostanie wprowadzony tylko w Deep Falls w stanie Wyoming, a reszta Ameryki i świata pozostanie pod panowaniem etatyzmu, to jego szanse na przetrwanie będą mizerne. Jeśli Deep Falls ogłosi niezależność od rządu Stanów Zjednoczonych i ustanowi wolne społeczeństwo, to najprawdopodobniej Stany Zjednoczone zaatakują i zniszczą nową wolną społeczność, tak jak z całą surowością rozprawiały się z innymi próbami secesji w przeszłości. *Żadna* policja Deep Falls nie miałaby wielkiej szansy obrony. Pomiędzy tymi skrajnościami jest nieskończenie wiele możliwych przypadków. Oczywiście, im większy obszar wolności, tym lepiej będzie się mogła bronić przed zewnętrznymi zagrożeniami. „Kwestia Rosji” jest więc zagadnieniem z dziedziny strategii, a nie pytaniem, które należy rozważać w związku z określaniem podstawowych zasad i głównego celu, do którego chcemy dążyć.

Po tym wszystkim, co powiedzieliśmy, zastanówmy się mimo wszystko nad kwestią Rosji. Załóżmy, że Związek Sowiecki byłby zdecydowany zaatakować wolnościowe społeczeństwo mieszkające w granicach dzisiejszych Stanów Zjednoczonych (oczywiście nie istniałby już rząd Stanów Zjednoczonych i jednolite państwo narodowe). O sposobie i sile obrony decydowałiby sami amerykańscy konsumenci. Ci, którym podobają się okręty podwodne Polaris i obawiają się Związku Sowieckiego, finansowałiby budowę takich jednostek. Ci, którzy wierzą bardziej w system pocisków antybalistycznych, inwestowałiby w taką broń defensywną. Ci, którzy gwizdzą na rzekome zagrożenie albo są zdeklarowanymi pacyfistami, nie wspieraliby żadnego rodzaju obrony „narodowej”. W zależności od przyjętej postawy oferowano by różne teorie obrony tym, którzy chcieliby się bronić. Ponieważ, jak wiemy z historii, marnotrawstwo związane z przygotowaniami państw do obrony było zawsze olbrzymie, nie wydaje się niedorzecznością przypuszczenie, że prywatna, ochotnicza organizacja działań obronnych byłaby znacznie efektywniejsza niż bezsensowne szastanie pieniędzmi przez rząd. Z pewnością zaś miałyby znacznie solidniejsze podstawy moralne.

Założmy jednak, że dojdzie do najgorszego. Założmy, że w końcu Związek Sowiecki zaatakuje i podbije terytorium Ameryki. Co wtedy? Musimy zdać sobie sprawę, że wtedy kłopoty Związku Sowieckiego dopiero się zaczną. Głównym motywem stojącym za okupacją podbitego państwa jest przejęcie jego aparatu i przekazywanie przezeń poleceń oraz egzekwowanie rozkazów kierowanych do społeczeństwa. Wielka Brytania, będąc o wiele mniejszym i mniej ludnym krajem, rządziła przez wieki w Indiach, ponieważ miała możliwość przekazywania rozkazów indyjskim książętom, a ci egzekwowali je od poddanych. Ale wtedy, gdy podbity kraj *nie miał* rządu, zwycięzcom było niezwykle trudno nim rządzić. Gdy Brytyjczycy podbili, na przykład, Afrykę zachodnią, mieli olbrzymie trudności z kontrolowaniem plemienia Ibo (które utworzyło później Biafrę), gdyż był to lud zasadniczo libertariański; nie miał zwierzchnictwa w postaci wodzów plemiennych, nie było więc komu przekazywać poleceń tubylcom. Być może też głównym powodem, dla którego Anglicy przez tyle wieków nie mogli podbić starożytnej Irlandii, było to, że Irlandczycy nie mieli państwa; nie było więc rządowej struktury władzy, która dotrzymywałaby traktatów, przekazywała rozkazy itd. Dlatego właśnie Anglicy utrzymywali, że „dzicy”, „niecywilizowani” Irlandczycy są „zdrajcami” i nie dotrzymują z nimi żadnych umów. Anglicy nigdy nie mogli pojąć, że nie mając żadnej struktury państwowej, wojownicy Irlandczycy, którzy zawarli z Anglikami porozumienie, robili to *tylko* w swoim imieniu. Nie mogli przemawiać w imieniu żadnej innej grupy Irlandczyków<sup>14</sup>.

Życie rosyjskich okupantów byłoby jeszcze trudniejsze ze względu na nieuchronne powstanie partyzantki amerykańskiej. Jest to lekcja, której nauczył nas XX wiek – wcześniej dostało ją potężne Imperium Brytyjskie od rewolucji amerykańskiej. Żadne siły okupacyjne nie mogą długo rządzić podbitym narodem, który jest

<sup>14</sup> Peden, "Stateless Societies", s. 3; zobacz też: Kathleen Hughes, wstęp do: A. Jocelyn Otway-Ruthven, *A History of Medieval Ireland* (New York: Barnes & Noble, 1968).

zeterminowany do stawienia oporu. Jeśli olbrzymie Stany Zjednoczone, państwo dysponujące znacznie większym potencjałem i potężniejszą armią, nie mogły zwyciężyć w walce z małym i słabo uzbrojonym narodem Wietnamczyków, to jakim cudem Związek Sowiecki miałby zapanować nad Ameryką? Żaden żołnierz okupacyjnych sił rosyjskich nie uszedłby przed gniewem walczących Amerykanów. Partyzantka okazała się nie do pokonania właśnie dlatego, że jej źródłem nie jest dyktatorski rząd centralny, tylko sama ludność, która walczy przeciwko obcemu państwu o swoją wolność i niezależność. Bezmiar problemów, olbrzymie koszty i nieuniknione straty własne, które wiązałyby się z takim podbojem, powstrzymałyby przed inwazją nawet hipotetyczny rząd sowiecki, zdecydowany dokonać zbrojnego podboju.



## Rozdział 13: Ochrona środowiska, ekologia i wzrost

### *Lament liberalów*

Lewicowi liberalowie bywają doprawdy niezwykli. Przez ostatnie 3–4 dekady ciskali pełne oburzenia gromy pod adresem kapitalizmu wolnorynkowego. Co ciekawe, każdy ich zarzut był sprzeczny z zarzutami, które stawiali wcześniej. Te sprzeczności nie budzą jednak niepokoju u liberalnych intelektualistów ani nie osłabiają impetu ich krytyki – nawet jeśli sprzeczności pojawiają się między dwiema wypowiedziami tej samej osoby, wygłoszonymi w tym samym niemal czasie. Nagle wolty poglądów nawet o jotę nie nadwątlają ich przekonania o własnej racji ani poczucia pewności siebie. Przyjrzyjmy się ich dokonaniom z ostatnich kilkudziesięciu lat:

1. Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych liberalni intelektualiści doszli do wniosku, że kapitalizm cierpi na nieuleczalną „wieczną stagnację”, marazm spowodowany spadkiem przyrostu naturalnego, upadkiem starego ducha Zachodu oraz tym, iż rzekomo niemożliwe były dalsze wynalazki. Wszystko to zaowocowało przekleństwem wiecznej stagnacji, stałego wysokiego bezrobocia i rodziło potrzebę wprowadzenia socjalizmu albo drobiazgowego planowania państwowego, które zastąpiłoby wolnorynkowy kapitalizm. Tego rodzaju poglądy pojawiły się u progu największego *boomu* w historii Ameryki!
2. W latach pięćdziesiątych, pomimo wielkiego *boomu* powojennego, liberalni intelektualiści nie przestawali utyskiwać: na scenie pojawił się teraz kult „wzrostu gospodarczego”. Kapitalizm oczywiście rozwijał się, ale zbyt powoli. Dlatego, w celu odgórnego nadania gospodarce rozpędu, należało porzucić kapitalizm wolnorynkowy i zastąpić go socjalizmem albo interwencją rządu. One to miały doprowadzić do zwiększenia inwestycji i oszczędności, i spowodować podwyższenie stopy wzrostu, nawet jeśli nie *chcielibyśmy* się aż tak szybko rozwijać. Konserwatywni ekonomiści, tacy jak Colin Clark, krytykowali ten program, nazywając go „gorączką wzrostu” (*growthmanship*).
3. Nagle, w 1958 roku, na liberalnej scenie pojawił się John Kenneth Galbraith ze swoim bestsellerem *Spółczesność dobrobytu*. Tak samo raptownie odwróciły się o 180 stopni oskarżenia liberalnych intelektualistów. Teraz okazało się, że problem z kapitalizmem polega na tym, iż rozwinął się *za bardzo*; nie doświadczyliśmy już stagnacji, lecz zbyt dużego bogactwa, przez co – pośród supermarketów i lśniących limuzyn – zatraciliśmy duchowość. Do akcji musiał więc wkroczyć rząd, żeby wprowadzić daleko idący interwencjonizm lub socjalizm i nałożyć na konsumentów wysokie podatki w celu uwolnienia ich od nadmiernego bogactwa.
4. Ale czas teorii nadmiernego dobrobytu też dobiegł kresu. Jej miejsce zajął prąd przeciwny – zaniepokojenie ubóstwem, wywołane książką Michaela Harringtona *The Other America (Inna Ameryka)* wydaną w roku 1962. Nagle okazało się, że problemem Ameryki nie jest nadmiar dobrobytu, lecz rozprzestrzeniająca się skrajna nędza. I tym razem rozwiązanie miało polegać na wkroczeniu rządu, opracowaniu całłościowego planu i nałożeniu podatków na bogatych w celu podźwignięcia z nędzy biednych. Przez kilka lat trwała więc walka z ubóstwem.
5. Stagnacja; niewystarczający wzrost; nadmierny dobrobyt; nadmierne ubóstwo: mody intelektualne zmieniały się jak mody na spódniczki. I wtedy, w roku 1964, powołany *ad hoc* komitet Potrójnej Rewolucji, który na szczęście wkrótce upadł, ogłosił swój słynny manifest, który doprowadził nas – i liberalnych intelektualistów – do punktu wyjścia. Przez dwa–trzy szalone lata raczono nas poglądem, że problem Ameryki nie polegał wcale na stagnacji, lecz – wręcz przeciwnie – na tym, że w ciągu kilku lat produkcja zostanie zautomatyzowana i skomputeryzowana, zyski i produkcja osiągną niebywały poziom, *ale* ludzie zostaną bez pracy. Ponownie okazało się, że kapitalizm wolnorynkowy prowadzi do olbrzymiego bezrobocia. Można temu zaradzić *tylko* w jeden sposób – tak, zgadliście! – przez wszechstronną interwencję państwa albo po prostu przez wprowadzenie socjalizmu. W połowie lat sześćdziesiątych cierpieliśmy zatem na chorobę, którą trafnie nazwano „histerią automatyzacji”<sup>1</sup>.
6. Pod koniec lat sześćdziesiątych dla wszystkich stało się jasne, że histeria wokół automatyzacji nie miała żadnych podstaw, że proces automatyzacji nie przebiegał szybciej niż staromodna „mechanizacja” oraz że

<sup>1</sup> Jak na ironię, konserwatywny ekonomista dr George Telborgh, który o pokolenie wcześniej napisał poważne dzieło przeciwko teorii stagnacji (*The Bogey of Economic Maturity* [1945]), teraz wydał książkę *The Automation Hysteria* (1966), w której krytykował nowe prądy myślowe.

recesja w roku 1969 spowodowała spowolnienie wzrostu produkcji. Zagrożenia automatyzacji znikły więc z rozmów; teraz weszliśmy w siódmą fazę fikołków liberalnej ekonomii.

7. Ponownie okazuje się, że mamy do czynienia z nadmiernym dobrobytem i że z punktu widzenia ochrony środowiska, ekologii oraz w świetle kurczenia się zasobów naturalnych kapitalizm wolnorynkowy rozwija się o wiele za szybko. Konieczna jest, oczywiście, gospodarka planowa albo socjalizm, które umożliwią przerwanie rozwoju i doprowadzą do powstania społeczeństwa i gospodarki o zerowej stopie wzrostu. Dzięki temu zapobiegniemy zjawisku wzrostu ujemnego, cofania się, które czekałoby nas w przyszłości! Wracamy w ten sposób do czystego galbraityzmu, tyle że wzbogaconego o naukowo brzmiące wywody na temat bogactwa, ekologii, „statku kosmicznego Ziemi” oraz o gwałtowny atak na samą technologię jako przyczynę zanieczyszczenia środowiska. Kapitalizm spowodował pojawienie się technologii i wzrostu (w tym również przyrostu naturalnego, przemysłu i zanieczyszczenia środowiska), dlatego teraz rząd musi wyplenić to zło.

Całkiem często zdarza się, że ci sami ludzie głoszą mieszaną sprzecznych ze sobą poglądów 5. i 7., a *jednocześnie* utrzymują, iż (a) żyjemy w erze, w której nie ma już problemu niedostatku zasobów („*post-scarcity*” age), gdy nie potrzebujemy prywatnej własności, kapitalizmu ani bodźców materialnych, by produkować; (b) chciwość kapitalistów powoduje wyczerpywanie się zasobów i ich permanentny niedostatek na świecie. Oczywiście środkiem zaradczym na oba te problemy, a właściwie na wszystkie problemy, jest według liberałów to, co zawsze: socjalizm albo centralne planowanie w miejsce kapitalizmu wolnorynkowego. Trzydzieści lat temu wielki ekonomista Joseph Schumpeter całkowicie obnażył tandetność liberalnej ekwilibrystyki, pisząc: „Kapitalizm staje przed obliczem sędziów, którzy mają na niego wyrok śmierci w kieszeni. Ogłoszą go bez względu na to, jakie będą argumenty obrony. Jedynym sukcesem obrony może być zmiana kwalifikacji czynu”<sup>2</sup>. Tak więc oskarżenia i zarzuty mogą się zmieniać i przeczyć poprzednim oskarżeniom, ale rozwiązanie proponuje się zawsze, do znudzenia, to samo.

### ***Napaść na technologię i wzrost***

Moda na krytykowanie wzrostu i dobrobytu została ewidentnie wylansowana przez dobrze sytuowanych, zadowolonych liberałów z wyższych klas społecznych. Korzystając z wygod i dostatku, o jakich w przeszłości nie śniło się nawet najbogatszym ludziom, z upodobaniem szydzą oni z „materializmu” i wzywają do powstrzymania dalszego rozwoju gospodarczego<sup>3</sup>.

Jeszcze bardziej nieodpowiedzialna jest powszechnie uprawiana krytyka technologii. Gdyby technologia miała powrócić do poziomu „wspólnoty pierwotnej” i do stadium z ery przedindustrialnej, to na świecie zapanowałaby powszechny głód i śmierć zbierałaby obfite żniwo. Życie olbrzymiej większości ludzi zależy od nowoczesnej technologii i przemysłu. Na kontynencie prekolumbijskiej Ameryki Północnej było w stanie utrzymać się około miliona Indian, wszyscy na granicy minimum egzystencji. Obecnie ten sam kontynent jest miejscem zamieszkania dla kilkuset milionów ludzi, a standard ich życia jest o niebo wyższy. Przyczyną jest nowoczesna technologia i przemysł. Ich likwidacja oznaczałaby zarazem likwidację ludzi. Można przypuszczać, że takie „rozwiązanie” zagadnień demograficznych byłoby korzystne dla naszych fanatyków walczących z przeludnieniem, ale dla większości z nas byłoby ono rozwiązaniem „ostatecznym”.

Nieodpowiedzialny atak na technologię to jeszcze jedna wołta liberałów. Jego autorami są ci sami liberalni intelektualiści, którzy ponad trzydzieści lat temu zarzucali kapitalizmowi, że nie oddaje nowoczesnej technologii na użytek centralnego planowania i nawoływali do całkowitego przejęcia władzy przez nowoczesną elitę „technokratyczną”. Teraz zaś ci sami intelektualiści, którzy jeszcze nie tak dawno tęsknili do totalnej technokratycznej dyktatury, próbują nas pozbawić życiodajnych owoców samej technologii.

<sup>2</sup> Joseph A. Schumpeter, *Capitalism, Socialism, and Democracy* (New York: Harper & Bros., 1942), s. 144.

<sup>3</sup> Por. interpretację w artykule Williama Tuckera, „Environmentalism!! and the Leisure Class,” *Harper's* (grudzień 1977), s. 49–56, 73–80. Na szczęście wzrasta świadomość znaczenia liberalnej ideologii antywzrostowej wśród społeczności Czarnych. W roku 1978 zarząd Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Awansu Ludności Kolorowej zaprotestował przeciwko programowi energetycznemu prezydenta Cartera i wezwał do zniesienia regulacji cen oleju i gazu ziemnego. Prezes stowarzyszenia Margaret Bush Wilson tak tłumaczyła nowe stanowisko Stowarzyszenia: „Jesteśmy zaniepokojeni strategią powolnego wzrostu wyrażoną w programie energetycznym prezydenta Cartera. Powstaje pytanie, jakiego rodzaju strategia ma być zastosowana, by wspierać silną, ekspansywną gospodarkę, która nie podlegałaby restrykcjom. Politykę powolnego wzrostu najdotkliwiej odczuwają Czarni”.

Paul Delaney, „NAACP in Major Dispute on Energy View,” *New York Times* (30 stycznia 1978).

Poszczególne, sprzeczne ze sobą fazy myśli liberalnej nigdy do końca nie zanikają; wielu przeciwników technologii, dokonując zwrotu o 180 stopni względem historii dotyczącej automatyzacji, z przekonaniem głosi *jednocześnie*, że oto teraz nastąpi zastój technologiczny. Prorokują oni beztrzęsco, że przyszłość rodzaju ludzkiego rysuje się ponuro, ponieważ technologia, zamiast rozwijać się, ugrzęźnie w bezruchu. Stosuje się tutaj zabieg pseudonaukowego prognozowania, charakterystyczny dla szeroko lansowanego Raportu Klubu Rzymskiego. Jak piszą w swojej krytycznej pracy na temat raportu Passell, Roberts i Ross, „gdyby operatorzy telefoniczni mieli stosować technologię ograniczoną do jej możliwości z przełomu wieków XIX i XX, to dzisiejszy ruch telefoniczny musiałoby obsługiwać 20 milionów pracowników centrali”. Albo, jak zauważa brytyjski wydawca Norman Macrae, „rozwój tendencji z lat osiemdziesiątych XIX wieku musiałby się skończyć pogrzebaniem dzisiejszych miast pod warstwą końskiego nawozu”<sup>4</sup>. Lub:

Przewidując wykładniczy wzrost zapotrzebowania na produkcję przemysłową i rolną, zespół [Klub Rzymski] rozstrzyga jednocześnie w sposób arbitralny, że postęp techniczny będzie wolniejszy i nie będzie w stanie zaspokoić tych potrzeb (...).

Wielebny Thomas Malthus poczynił podobne spostrzeżenie dwieście lat temu, nie korzystając jeszcze z dobrodziejstw technologii wydruku komputerowego. (...) Malthus uważał, że ludzie rozmnażają się w tempie wykładniczym, podczas gdy żywności przybywa co najwyżej stała ilość. Przewidywał, że równowagę będą co jakiś czas przywracać klęski głodu i wojny. (...)

Oprócz zwykłej krótkowzroczności nie można dopatrzeć się w tym rozumowaniu żadnych konkretnych argumentów. Malthus mylił się. Ilość żywności rosła proporcjonalnie do wzrostu zaludnienia. Chociaż nie można mieć co do tego pewności, to postęp techniczny nie zdradza oznak spowolnienia. Według najbardziej wiarygodnych danych ekonometrycznych technologia rozwija się w rzeczywistości w tempie wykładniczym<sup>5</sup>.

W rzeczywistości potrzebujemy większego wzrostu gospodarczego a nie mniejszego; potrzebujemy coraz więcej coraz lepszych technologii, nie zaś niewykonalnych i absurdalnych prób odrzucenia technologii i powrotu do prymitywnego życia plemiennego. Doskonalsza technologia i większe inwestycje kapitałowe zaowocują poprawą poziomu życia wszystkich ludzi oraz zapewnią większy komfort materialny i umożliwią przeznaczenie większej ilości czasu na odkrywanie „duchowej” strony życia i delektowanie się nią. Kultura i cywilizacja są niedostępne dla ludzi, którzy muszą całymi dniami ciężko pracować, by związać koniec z końcem. Rzeczywistym problemem jest to, że produktywnie inwestycje kapitałowe zostają wessane przez podatki, restrykcje i zamówienia rządowe, a następnie zmarnowane na nieproduktywne wydatki rządu, w tym – na bezsensowne cele, takie jak wojsko i loty kosmiczne. Kreatorzy myśli technicznej – naukowcy, inżynierowie – w coraz większym stopniu pracują na potrzeby produkcji rządowej, zamiast na potrzeby „cywilnej” produkcji towarów konsumpcyjnych. To, co rzeczywiście należałoby zrobić, to usunąć z drogi rząd, uwolnić gospodarkę od zmyślnych podatków i państwowych wydatków, a wszystkie środki produkcji i zaplecze techniczne zaprząć ponownie w służbę pomnażania dobrobytu ogółu konsumentów. Potrzebujemy wzrostu, lepszych warunków życia, a także środków technicznych i kapitałowych, które pozwoliłyby sprostać oczekiwaniom i potrzebom konsumentów. Aby zrealizować te potrzeby musimy odrzucić zmorę etatyzmu i uwolnić energię wszystkich ludzi, tak by wyraziła się ona w pełni na wolnym rynku. Potrzebujemy wzrostu gospodarczego i postępu technologicznego, które pojawiają się – jak to przedstawiła Jane Jacobs – spontanicznie, jako rezultat działania gospodarki wolnorynkowej. Nie potrzebujemy natomiast wynaturzenia i marnotrawstwa narzuconego światowej gospodarce przez liberałów, z ich przymusowym zasilaniem gospodarki z lat pięćdziesiątych. Potrzebujemy, krótko mówiąc, prawdziwie wolnorynkowej, libertariańskiej gospodarki.

### **Ochrona zasobów**

Jak wspominaliśmy, ci sami liberałowie, którzy uważają, że wkroczyliśmy w wiek, w którym nie ma już problemu niedostatku zasobów, stoją w forpoczcie protestujących przeciwko „chciwości kapitalistów”. Chciwość ta jest odpowiedzialna, ich zdaniem, za niszczenie ograniczonych zasobów naturalnych. Wróżbici z

<sup>4</sup> D. Meadows, et al., *The Limits to Growth* (New York: Universe Books, 1972); P. Passell, M. Roberts i L. Ross, "Review of *The Limits to Growth*", *New York Times Book Review* (2 kwietnia 1972), s. 10.

<sup>5</sup> Passell, Roberts, Ross, *op. cit.*, s. 12.

Klubu Rzymskiego, wieszczący klęskę wyłącznie na podstawie ekstrapolacji bieżących trendów zużycia surowców naturalnych, twierdzą z niezachwianą pewnością siebie, że surowce wyczerpią się w ciągu czterdziestu lat. Jednakże równie pewne – i całkowicie fałszywe – prognozy dotyczące wyczerpania zasobów naturalnych czyniono już niezliczoną ilość razy w poprzednich stuleciach.

Wróżbici lekceważą fakt, że olbrzymią rolę w ochronie i powiększaniu zasobów naturalnych odgrywa gospodarczy mechanizm wolnego rynku. Weźmy na przykład pod uwagę typową kopalnię miedzi. Dlaczego nieposkromiony apetyt naszej cywilizacji przemysłowej nie spowodował już dawno temu wyczerpania złóż rudy miedzi? Dlaczego gdy górnicy trafią na żyłę miedzi, nie wydobywają natychmiast całej rudy? Dlaczego zamiast tego zabezpieczają kopalnię, rozbudowują i wydobywają miedź stopniowo, rok po roku? Ponieważ właściciele kopalni wiedzą, że jeśli, na przykład, potroiliby w *tym roku* produkcję miedzi, to być może potroiliby też tegoroczne zyski, *ale* z drugiej strony wiedzą, że uszczupleniu uległyby złoża, a to odbiłoby się negatywnie na *przyszłych* zyskach z eksploatacji kopalni. Na wolnym rynku utrata przyszłych zysków ma natychmiastowe odzwierciedlenie w wartości pieniężnej, czyli cenie, całej kopalni. Wartość pieniężna, wyrażająca się ceną zbytu kopalni, a następnie ceną pojedynczych akcji tej kopalni, opiera się na oczekiwanym zysku z produkcji miedzi w przyszłości. Uszczuplenie złóż spowoduje obniżenie wartości kopalni i – co za tym idzie – ceny jej akcji. Każdy właściciel kopalni musi więc oszacować korzyści z natychmiastowej eksploatacji kopalni i porównać je ze stratami, jakie przyniesie obniżenie „wartości kapitałowej” kopalni jako całości i związane z tym obniżenie wartości jej akcji.

Decyzje właścicieli kopalni są zdeterminowane przez ich oczekiwania dotyczące przyszłych zysków i popytu, aktualnych i przyszłych stóp procentowych itd. Przypuśćmy, na przykład, że przewiduje się, iż w ciągu kilku lat miedź zostanie zastąpiona nowym metalem syntetycznym, co spowoduje, że stanie się ona bezużyteczna. W takim przypadku właściciele kopalni zaczną produkować więcej miedzi już teraz, kiedy jej wartość jest wyższa, a pozostawią mniejsze zapasy na przyszłość, kiedy jej wartość zmaleje. W ten sposób będą działali dla dobra konsumentów i całej gospodarki, gdyż dostarczą więcej miedzi teraz, czyli wtedy, gdy jest bardziej potrzebna. I odwrotnie, jeśli w przyszłości spodziewany jest niedostatek miedzi, właściciele kopalni będą jej produkować mniej teraz, odkładając zwiększenie produkcji do czasu, gdy ceny miedzi wzrosną. Ich działanie będzie korzystne dla społeczeństwa, gdyż wyprodukują więcej miedzi wtedy, gdy będzie na nią większe zapotrzebowanie. Widzimy więc, że w gospodarkę rynkową wbudowany jest wspaniały mechanizm, dzięki któremu decyzje właścicieli zasobów dotyczące ilości bieżącego i przyszłego wydobywania są korzystne nie tylko z punktu widzenia ich własnych zysków, lecz także z punktu widzenia wszystkich konsumentów i całej gospodarki.

Jednakże ten wolnorynkowy mechanizm ma jeszcze więcej zalet. Przypuśćmy, że spodziewane są w przyszłości coraz większe niedobory miedzi. Spowoduje to zmniejszenie bieżącego wydobywania i oszczędzanie złóż na przyszłość. Bieżąca cena miedzi wzrośnie. Wzrost ceny miedzi będzie miał kilka skutków natury „ochronnej”. Przede wszystkim podwyższenie ceny miedzi jest sygnałem dla jej użytkowników, że miedź staje się towarem rzadziej występującym i droższym. Będą więc ją oszczędzać. Ograniczą zużycie miedzi, zastępując ją innymi metalami i plastikiem. Miedź będzie wykorzystywana bardziej racjonalnie i stosowana tylko tam, gdzie nie można jej zastąpić innymi materiałami. Podwyższony koszt miedzi będzie ponadto zachętą do: (a) poszukiwań nowych złóż rudy miedzi oraz (b) badań w celu wynalezienia tańszych substytutów, czego owocem mogą być nowe odkrycia technologiczne. Ze względu na wyższą cenę miedzi propagowane będą również metody oszczędzania i powtórnego użycia (*recycling*) tego metalu. Dzięki takiemu właśnie wolnorynkowemu mechanizmowi cen miedzi i inne surowce naturalne nie znikły już dawno temu. Jak piszą w swojej krytycznej pracy na temat Klubu Rzymskiego Passell, Roberts i Ross:

Rezerwy surowców naturalnych i zapotrzebowanie na surowce są w tym modelu obliczane bez (...) stosowania cen jako zmiennych. Sposób użytkowania złóż określony jest przez „limity”. W rzeczywistym świecie wzrost cen stanowi sygnał ekonomiczny, zachętę do oszczędzania rzadkiego surowca i poszukiwania tańszych materiałów zastępczych. Stymuluje starania zmierzające do zmniejszenia zużycia; sprawia, że nowe poszukiwania stają się bardziej opłacalne<sup>6</sup>.

Wbrew przewidywaniom czarnowidzów ceny materiałów i surowców naturalnych pozostają niskie, a w porównaniu z innymi cenami spadły. Dla liberałów i marksistów oznacza to, że kapitaliści dopuszczają się „wyzysku” krajów zacofanych, które są często producentami surowców. Jest to jednak rezultat zupełnie

<sup>6</sup> Passell, Roberts, Ross, *op. cit.*, s. 12.

innego zjawiska, mianowicie tego, że zasoby wcale się nie kurczą, lecz stają się coraz bogatsze i w związku z tym względne ceny surowców spadają. Wynalezienie tanich substytutów, takich jak plastik i włókna syntetyczne, spowodowało, że surowce naturalne pozostały tanie i że jest ich pod dostatkiem. Można się spodziewać, że w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat, dzięki nowoczesnej technologii, zostanie wynalezione bardzo tanie źródło energii – synteza nuklearna. Umożliwi ona automatycznie wytwarzanie olbrzymich ilości surowców do różnych zastosowań.

Dzięki wynalazkowi materiałów syntetycznych i taniej energii widoczny się staje, pomijany przez czarnowidzów, ważny aspekt nowoczesnej technologii: technologia i produkcja przemysłowa *stwarzają* zasoby, które nigdy wcześniej nie istniały jako źródło przydatnych surowców. Zanim na przykład została wynaleziona lampa naftowa, a zwłaszcza samochód, ropa naftowa nie była surowcem, tylko bezużytecznym odpadem, wielkim ciekłym „chwastem”. Dopiero rozwój nowoczesnego przemysłu spowodował, że ropa naftowa *stała się* użytecznym surowcem. Oprócz tego, nowoczesna technologia, dzięki udoskonaleniu technik geologicznych i dzięki zachętom rynkowym, umożliwiła *odkrycie* w krótkim czasie nowych rezerw ropy naftowej.

Jak już nadmieniliśmy, przewidywanie rychłego wyczerpania się surowców nie jest niczym nowym. W 1908 roku prezydent Teodor Roosevelt zwołał konferencję gubernatorów na temat surowców naturalnych. Ostrzegał, że „wkrótce ulegną one wyczerpaniu”. Przemysłowiec z branży stalowej Andrew Carnegie mówił na tej samej konferencji, że przewiduje wyczerpanie złóż żelaza nad Jeziorem Górnym do roku 1940. Magnat kolejowy James J. Hill prognozował, że w ciągu dziesięciu lat zniknie znaczna część zasobów drewna. Hill przewidywał nawet, że w niedługim czasie niewystarczająca będzie produkcja pszenicy w Stanach Zjednoczonych – w kraju, w którym wciąż nie możemy sobie poradzić z nadwyżkami pszenicy, powstającymi w wyniku stosowania programu dotacji rolniczych. Dzisiejsze czarne przepowiednie opierają się na tych samych podstawach: niedocenianiu możliwości nowoczesnej technologii i lekceważeniu mechanizmów gospodarki rynkowej<sup>7</sup>.

Prawdą jest, że niekiedy dochodziło i dochodzi do nadmiernej eksploatacji niektórych surowców naturalnych. W żadnym z tych przypadków przyczyna nie leży jednak w „chciwości kapitalistów”. Przeciwnie, powodem wyczerpania zasobów jest *nieumiejętność* rządu, który nie potrafi przystać na prywatną własność surowców, nie umie kierować się logiką prawa własności prywatnej wystarczająco konsekwentnie.

Za przykład mogą posłużyć zasoby drewna. Większość lasów na zachodzie Ameryki i w Kanadzie nie jest prywatną własnością, tylko należy do rządu federalnego albo rządu prowincji. Rząd *dzierżawi* użytkowanie lasów prywatnym przedsiębiorstwom drzewnym. Prywatna własność dotyczy więc tylko rocznego *korzystania* z zasobu, a nie samego lasu, samego surowca. W tej sytuacji prywatna spółka drzewna nie jest właścicielem wartości kapitałowej i nie musi się przejmować wyniszczeniem samego źródła surowca. Nie ma bodźców ekonomicznych, które skłaniałyby ją do dbałości o zasoby, do ponownego zadrzewiania wyeksploatowanych terenów itd. Jedynym celem przedsiębiorstwa jest wycięcie jak największej ilości drzew w jak najkrótszym czasie, a podtrzymywanie wartości kapitałowej lasu nie ma w jego przypadku żadnego sensu ekonomicznego. W Europie, gdzie znacznie częściej można się spotkać z prywatną własnością lasów, przypadki zniszczenia zasobów leśnych są rzadkie. Gdy zezwoli się na prywatną własność samego lasu, właścicielowi opłaca się go chronić i dbać o jego odnawianie. Dzięki temu może on pozyskiwać drewno, nie powodując spadku wartości kapitałowej lasu<sup>8</sup>.

W Stanach Zjednoczonych głównym winowajcą jest Służba Leśna Departamentu Rolnictwa USA, która jest właścicielką lasów i oddaje w roczną dzierżawę prawa do wyrębu, co prowadzi do zniszczenia drzewostanu. Natomiast w lasach będących własnością prywatną dużych firm handlujących tarcicą, takich jak Georgia–

---

<sup>7</sup> Na temat tych błędnych przewidywań pisze Thomas B. Nolan w: "The Inexhaustible Resource of Technology", w: H. Jarrett, ed., *Perspectives on Conservation* (Baltimore: Johns Hopkins Press, 1958), s. 49–66.

<sup>8</sup> Na temat drewna i oszczędzania zasobów w ogóle zobacz: Anthony Scott, *Natural Resources: The Economics of Conservation* (Toronto: University of Toronto Press, 1955), s. 121–25 *et passim*. O tym, w jaki sposób rząd federalny przyczynia się do niszczenia, a nie ochrony zasobów drewna (poczynając od budowy autostrad, a kończąc na masowo stawianych tamach i innych pomysłach wojskowego korpusu inżynierskiego), można przeczytać w: Edwin G. Dolan, TANSTAAFL (New York: Holt, Rinehart & Winston, 1971), s. 96.

Pacific i U.S. Plywood, stosuje się naukowe metody wyrębu i zalesienia w celu zapewnienia dostaw surowca w przyszłości<sup>9</sup>.

Inną negatywną konsekwencją tego, że amerykański rząd nie zezwalał na prywatną własność surowców, było zniszczenie pod koniec XIX wieku prerii na Zachodzie. Każdy, kto oglądał westerny, wie, co oznaczają owiane nimbem tajemniczości „tereny otwarte”, i zna problem brutalnych „wojen” o parcele rolne między hodowcami bydła, hodowcami owiec i farmerami. „Tereny otwarte” były wynikiem błędnego zastosowania przez rząd polityki osadnictwa do warunków suchszego klimatu panującego na zachód od Mississipi. 160 akrów, które osadnik otrzymywał na Wschodzie z puli gruntów rządowych, w wilgotniejszym klimacie stanowiło jednostkę wystarczająco dużą jak na potrzeby racjonalnej gospodarki rolnej. Ale w suchym klimacie, który panował na Zachodzie, nie sposób było prowadzić opłacalnej hodowli bydła lub owiec na 160 akrach. Mimo to rząd federalny nie zgodził się na powiększenie jednostki ponad 160 akrów, by umożliwić zakładanie większych farm hodowlanych. Stąd wziął się pomysł „terenów otwartych”. Dzięki niemu właściciele bydła i owiec mogli przepędzać swobodnie swoje stada po pastwiskach należących do rządu. Oznaczało to jednak, że nikt nie był właścicielem pastwisk, ziemia nie należała do nikogo. Każdy hodowca miał więc ekonomiczny interes w tym, żeby jego stado pasło się i wyjadało trawę jak najszybciej, zanim stado innego hodowcy ogołoci prerię z trawy. Rezultatem tragicznie krótkowzrocznej decyzji o odmowie przyznania prawa własności do pastwisk była nadmierna eksploatacja prerii i całkowite ich wyniszczenie spowodowane zbyt wczesnym wypasaniem na wiosnę. Nie było też możliwości rekultywacji terenów, na których wypasano bydło. Jeśli ktoś próbował obsiewać trawą jakiś teren, musiał później bezradnie patrzeć, jak kto inny wypasa w tym miejscu swoje bydło lub owce. W ten sposób doszło do wyeksploatowania Zachodu i do powstania „rejonu burz piaskowych” („*dust bowl*”). Stąd również wzięły się – podejmowane przez wielu farmerów i hodowców – nielegalne próby wzięcia spraw w swoje ręce – grodzenie i wyznaczanie prywatnych gruntów oraz związane z tym częste wojny o tereny do wypasu.

W dobrze udokumentowanej pracy dotyczącej ruchu ochrony środowiska w Ameryce profesor Samuel P. Hays tak pisze o problemie terenów do wypasu:

Gospodarka hodowlana na Zachodzie była w znacznej mierze uzależniona od wypasu na terenach „otwartych”. Należały one do rządu, ale każdemu wolno było z nich korzystać. (...) Kongres nigdy nie uchwalił przepisów regulujących zasady wypasu i zezwalających właścicielom bydła na przejmowanie pastwisk na własność. Hodowcy bydła i owiec przeganiali zwierzęta po terenach publicznych. (...) Grodzili tereny na swój użytek, ale konkurencja przecinała druty. Kowboje uciekali się więc do metod siłowych i „rozwiązywali” spory o pastwiska, wyrzynając stada swoich przeciwników i mordując rywali. (...) Brak podstawowych instytucji prawa własności doprowadził do zamętu, waśni i zniszczeń.

Wśród tego zamieszania publiczne tereny ulegały szybko postępującej dewastacji. Z powodu nadmiernej eksploatacji porośnięte pierwotnie bujną roślinnością ziemie dostarczały coraz mniej paszy. Na publicznych terenach wypasało się więcej zwierząt, niż ziemia była w stanie wykarmić. Każdy hodowca, w obawie przed tym, że w wyścigu do zapewnienia zwierzętom pokarmu ubiegą go inni, zaczynał wypasać swoje stado jak najwcześniej i przez to nie pozwalał, by młoda trawa dojrziała i wydała nasiona. W takich warunkach jakość i ilość paszy gwałtownie spadała. Bujna roślinność wieloletnia ustąpiła miejsca roślinom jednorocznym, a te – chwastom<sup>10</sup>.

Podsumowując, Hays stwierdza, że zasoby państwowych terenów pod wypas zmniejszyły się prawdopodobnie o ponad dwie trzecie w porównaniu z warunkami panującymi pierwotnie.

Istnieje inny ważny obszar, w którym brak prywatnej własności surowców nie tylko przyczynia się do uszczuplenia zasobów, ale uniemożliwia ponadto pełne wykorzystanie olbrzymiego źródła surowców. Mowa tu o potencjalnie niezwykle bogatym w surowce *oceanie*. Oceany stanowią międzynarodowe dobro publiczne, czyli żadna osoba, przedsiębiorstwo ani nawet rząd nie ma praw własności do części oceanu. W konsekwencji oceany nadal znajdują się w prymitywnym stanie, podobnym do tego, w jakim znajdowała się ziemia w czasach przed pojawieniem się cywilizacji i rolnictwa. Produkcja człowieka pierwotnego polegała na

<sup>9</sup> Zobacz: Robert Poole, Jr., "Reason and Ecology", w: D. James, ed., *Outside, Looking In* (New York: Harper & Row, 1972), s. 250–251.

<sup>10</sup> Samuel P. Hays, *Conservation and the Gospel of Efficiency* (Cambridge: Harvard University Press, 1959), s. 50–51. Zobacz też: E. Louise Peffer, *The Closing of the Public Domain* (Stanford: Stanford University Press, 1951), s. 22–31, i *passim*.

„zbieractwie i łowiectwie”. Polował on na dzikie zwierzęta i zbierał owoce, jagody, orzechy, nasiona dzikich roślin, warzywa. Człowiek pierwotny czerpał biennie ze środowiska, zamiast aktywnie je przekształcać, żył z owoców, jakie rodziła ziemia, nie próbując jej przekształcać. Taka gospodarka była mało wydajna i tylko niewielka liczba ludzi mogła się dzięki niej utrzymać na granicy egzystencji. Dopiero rozwój rolnictwa, uprawa ziemi i przekształcenie jej w grunty orne pozwoliły na zwiększenie produktywności i znaczną poprawę poziomu życia. Dopiero dzięki rolnictwu możliwe było zapoczątkowanie rozwoju cywilizacji. Rolnictwo zawdzięcza jednak swoje powstanie prawu własności prywatnej, które dotyczyło początkowo pól i zbiorów, a następnie samej ziemi.

Tymczasem jeśli chodzi o oceany, to znajdujemy się wciąż na etapie prymitywnego, mało produktywnego łowiectwa i zbieractwa. Każdy może złowić rybę w oceanie, każdy może korzystać z jego zasobów, ale tylko na zasadzie wyścigu, podobnie jak czynili to myśliwi i zbieracze. Nikt nie gospodaruje na oceanie, nikt nie zajmuje się *uprawą wód*. Z tego powodu pozbawieni jesteśmy możliwości korzystania z olbrzymich zasobów ryb i surowców mineralnych znajdujących się w morzach. Gdyby ktoś próbował na przykład podnieść wydajność łowisk, byłby natychmiast pozbawiony owoców swojej pracy, ponieważ nie mógłby zabronić innym rybakom wpłynięcia i odłowienia ryb.

Nikt więc nie próbuje pomnażać płodów mórz tak jak się użyźnia ziemię. Nie ma też ekonomicznej zachęty – istnieją wręcz czynniki *zniehęcające* – do tego, by prowadzić badania nad technicznymi możliwościami zwiększenia wydajności łowisk lub udoskonaleniem metod wydobywania minerałów z oceanu. Takie bodźce pojawią się dopiero wówczas, gdy wprowadzi się prawo własności do poszczególnych części oceanów, na takich samych zasadach, jakie obowiązują w przypadku praw własności gruntów. Możliwość zwiększenia produktywności mórz istnieje nawet obecnie. Można by zastosować prostą, ale skuteczną metodę elektronicznego grodzenia obszarów morskich. Dzięki zastosowaniu tej łatwo dostępnej techniki ryby byłyby segregowane według rozmiarów, co zapobiegałoby zjadaniu małych ryb przez duże i umożliwiało olbrzymi wzrost produkcji. Gdyby zezwolono na prywatną własność poszczególnych części oceanu, potężny rozkwit upraw morskich stworzyłby nowe zasoby i pomnożył już istniejące. Nastąpiłby rozwój w kierunkach, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

Rządy próbowały bezskutecznie zapobiec zmniejszaniu się zasobów ryb, wprowadzając irracjonalne i ekonomicznie nieuzasadnione ograniczenia wielkości połowów lub wyznaczając okresy, w których połowy są dozwolone. Metody połowu łososia, tuńczyka i halibuta pozostały w związku z tym prymitywne i mało wydajne. Bezpodstawne skrócenie sezonu połowów obniżyło ich jakość i spowodowało nadmierny rozwój floty rybackiej, która przez część roku musi być bezczynna. Takie rządowe restrykcje nie pobudzają oczywiście w najmniejszym stopniu rozwoju kultury wykorzystania zasobów morskich. Profesorowie North i Miller ujmują to w następujący sposób:

Rybacy są biedni, ponieważ muszą używać mało wydajnego sprzętu i wypływać na łowiska tylko w określonych sezonach [ze względu na regulacje rządowe] oraz dlatego, że jest ich, oczywiście, za dużo. Konsumenci płacą za czerwonego łososia znacznie więcej, niż by płacili, gdyby zastosowano wydajne metody połowu. Coraz większy gąszcz przepisów wcale nie zapewnił ochrony ławicom łososia.

Źródłem problemu jest obowiązująca obecnie zasada, że nie ustanawia się własności. Poszczególni rybacy nie są zainteresowani w tym, żeby ławicom łososia zapewnić przetrwanie. Ich celem jest złowienie jak największej ilości ryb w sezonie<sup>11</sup>.

North i Miller wskazują, że prawo prywatnej własności wód oceanicznych, które zachęcałoby właściciela do używania najtańszych i najbardziej wydajnych technik połowu *oraz* do zapewnienia ochrony i produktywności samych zasobów, jest teraz łatwiejsze do wprowadzenia niż kiedykolwiek. „Wynalazek nowoczesnych elektronicznych detektorów ruchu pozwala w stosunkowo łatwy i tani sposób kontrolować duże zbiorniki wodne<sup>12</sup>”.

<sup>11</sup> Douglass C North and Roger LeRoy Miller, *The Economics of Public Issues* (New York Harper & Row, 1971), s. 107.

<sup>12</sup> *Ibid.*, s. 108. Zobacz też: James A. Crutchfield i Giulio Pontecorvo, *The Pacific Salmon Fisheries: A Study of Irrational Conservation* (Baltimore: Johns Hopkins Press, 1969). O podobnej sytuacji w połowach tuńczyka pisze Francis T. Christy, Jr., w: "New Dimensions for Transnational Marine Resources", *American Economic Review, Papers and Proceedings* (maj 1970), s. 112; natomiast o połowach halibuta na Oceanie Spokojnym – James A. Crutchfield i Arnold Zellner w: *Economic Aspects of the Pacific Halibut Industry* (Washington, D.C.: U.S. Dept.

Mnożące się międzynarodowe konflikty wokół korzystania z pewnych obszarów oceanu wskazują na tym większą potrzebę prawa prywatnej własności w tej dziedzinie. Jeśli Stany Zjednoczone i inne kraje ustanawiają strefę wód terytorialnych o szerokości 200 mil; gdy firmy prywatne i rządy kłócą się o obszary na oceanie; skoro trawlerzy, rybacy, wydobywający ropę naftową i eksploatujący złoża minerałów toczą wojny o te same rejony na oceanie – to jest oczywiste, że prawo własności staje się coraz bardziej nieodzowne. Jak pisze Francis Christy:

Z szybów pod dnem oceanu wydobywa się węgiel, z platform wiertniczych umocowanych do dna i wyrastających nad poziom morza – ropę naftową, z dna oceanu pozyskuje się minerały (...), usuwa żyjące na nim zwierzęta, by położyć kable telefoniczne; zwierzęta żerujące przy dnie chwytają się w sidła albo włoki; zwierzęta żyjące na średnich głębokościach odławia się za pomocą haków na linie albo trałów, które niekiedy wchodzi w kolizję z łodziami podwodnymi; gatunki żyjące blisko powierzchni chwytają się za pomocą sieci i harpunów; a powierzchnię oceanu wykorzystuje się do transportu i umieszczania jednostek używanych przy wydobywaniu surowców<sup>13</sup>.

Ten narastający konflikt interesów skłania Christy do przypuszczenia, że „oceany znajdują się w fazie przeobrażeń. Przechodzą od stadium, w którym prawa własności do ich wód praktycznie nie istniały, do stanu, w którym wprowadzi się je lub umożliwi się ich funkcjonowanie”. W końcu, podsumowuje Christy, „w miarę jak zasoby mórz będą zyskiwać na wartości, przyznawane będą prawa wyłączności<sup>14</sup>”.

### **Zanieczyszczenie środowiska**

No tak, ale nawet jeśli uznamy, że całkowite objęcie surowców prywatną własnością i wolnym rynkiem umożliwi ochronę i pomnożenie zasobów – i uczyni to znacznie skuteczniej niż regulacje rządowe – to pozostaje jeszcze problem zanieczyszczenia środowiska. Czy niekontrolowana „chciwość kapitalistów” nie spowoduje wzrostu zanieczyszczenia?

Musimy przede wszystkim wziąć pod uwagę fakt czysto doświadczalny: okazało się, że własność państwowa, nawet w ustroju socjalistycznym, w żadnym stopniu nie rozwiązuje problemu zanieczyszczenia środowiska. Nawet najbardziej zapaleni orędownicy planu centralnego przyznają, że zatrucie Bajkału w Związku Sowieckim stanowi pomnikowy przykład bezmyślnego zniszczenia cennego źródła surowców przez zanieczyszczenie odpadami przemysłowymi. Zagadnienie jest jednak bardziej złożone. Należy zwrócić uwagę, że zanieczyszczenie środowiska stało się istotnym problemem przede wszystkim w przypadku powietrza i szlaków wodnych, zwłaszcza rzek. A to są właśnie dwie dziedziny, które wyłączono spod działania prawa prywatnej własności.

Najpierw zajmiemy się rzekami. Rzeki, a także oceany, stanowią własność rządów. Własność prywatna – chodzi tu o własność całkowicie prywatną – nie jest w tej sferze dozwolona. W istocie zatem właścicielem rzek jest rząd. Ale własność rządowa nie jest prawdziwą własnością, bo chociaż przedstawiciele rządu mogą kontrolować zasoby naturalne, to nie mogą korzystać z owoców ich wartości kapitałowej na rynku. Urzędnicy nie mogą sprzedawać rzek ani udziałów w rzekach. Nie mają więc ekonomicznej motywacji do tego, by dbać o czystość ich wód i ogólną wartość. W sensie ekonomicznym rzeki są „niczyje”. Dlatego władze pozwoliły na ich zniszczenie i zanieczyszczenie. Każdy mógł wyrzucać do rzeki śmiecie i zrzucić ścieki. Zastanówmy się, co by się stało, gdyby firmy prywatne miały prawo własności rzek i jezior. Jeśliby, na przykład, jezioro Erie było prywatną własnością, to każdy, kto by je zanieczyścił, byłby niezwłocznie pozwany do sądu pod zarzutem naruszenia prywatnej własności. Następnie byłby zobligowany przez sąd do pokrycia wyrządzonych szkód i do zaniechania podobnych praktyk. A zatem tylko prawo prywatnej własności może położyć kres zanieczyszczaniu zasobów naturalnych. Obecnie nikt nie może chronić rzeki przed zanieczyszczeniem, ponieważ nie jest ona niczyją własnością i nie ma komu zająć się ochroną jej cennych zasobów. Gdyby natomiast ktoś wyrzucał odpady lub powodował skażenie prywatnego jeziora (a niektóre małe jeziora

---

of the Interior, 1961). Pełen rozmachu projekt prywatnej własności poszczególnych części oceanu przedstawił – jeszcze przed wynalezieniem techniki elektronicznych przegród – Gordon Tullock w: *The Fisheries – Some Radical Proposals* (Columbia, S.C.: University of South Carolina Bureau of Business and Economic Research, 1962).

<sup>13</sup> Christy, *loc. cit.*, s. 112.

<sup>14</sup> *Ibid.*, s. 112–113. Najlepsze omówienie aspektów ekonomicznych, technicznych i prawnych całej problematyki oceanów i łowisk oferuje Francis T. Christy, Jr., i Anthony Scott, *The Common Wealth in Ocean Fisheries* (Baltimore Johns Hopkins Press, 1965).



stanowią własność prywatną), to musiałby szybko tego zaprzestać – z całą stanowczością domagałby się tego właściciel<sup>15</sup>. Jak pisze profesor Dolan:

Gdyby właścicielem rzeki Mississippi był jakiś General Motors, to zakładom przemysłowym i miastom groziłyby zapewne surowe kary za zrzucanie do niej ścieków. Woda byłaby na tyle czysta, że można by czerpać zyski z dzierżawy prawa do wykorzystywania jej w celach spożywczych, rekreacyjnych i do połowu ryb<sup>16</sup>.

Rząd nie tylko dopuszcza do zanieczyszczenia rzek, które są jego własnością, ale sam jest głównym sprawcą zanieczyszczenia wód, odpowiadając w szczególności za odprowadzanie ścieków miejskich. Istnieją już tanie toalety chemiczne, które spalają ścieki nie zanieczyszczając powietrza, ziemi ani wody. Ale kto by inwestował w chemiczne ustępy, skoro lokalne władze zapewniają klientom darmowe odprowadzanie ścieków?

Powyższy przykład wyraźnie wskazuje na problem podobny do tego, z jakim mamy do czynienia w rolnictwie, gdzie rozwój technologii hamowany jest przez brak prywatnej własności. Jeśli rządy, jako właściciele rzek, pozwalają na zanieczyszczanie wody, to technologie przemysłowe będą technologiami powodującymi takie zanieczyszczenia. Jeśli dopuszcza się, by powstałe w procesie produkcyjnym zanieczyszczenia odprowadzano do rzek bez przeszkód ze strony ich właściciela, to można się spodziewać, że taka właśnie będzie technologia produkcji.

Jeśli problem zanieczyszczenia wody można rozwiązać dzięki wprowadzeniu prywatnej własności jej zbiorników, to czy nie można by w podobny sposób rozwiązać kwestii zanieczyszczenia powietrza? Jak libertarianie poradzą sobie z tym poważnym problemem? Przecież z pewnością nie da się ustanowić prywatnej własności *powietrza*? A jednak jest to możliwe. Widzieliśmy już, w jaki sposób zakresy fal radiowych i telewizyjnych mogą stanowić prywatną własność. Podobnie może być w przypadku korytarzy powietrznych dla linii lotniczych. Komercyjne szlaki powietrzne mogłyby należeć do prywatnych właścicieli. Do przydzielania korytarzy łączących różne miasta – i do ograniczania ich użycia – nie jest potrzebny Główny Inspektorat Lotnictwa Cywilnego. Ale w przypadku zanieczyszczenia powietrza chodzi nie tyle o prywatną własność *powietrza*, co o ochronę prywatnej własności pól, łąk i sadów. Zasadniczym problemem dotyczącym zanieczyszczenia powietrza jest to, że emitent zanieczyszczeń wysyła niechciane i niepotrzebne substancje – od dymu do pyłu radioaktywnego i tlenków siarki – *za pośrednictwem* powietrza do płuc niewinnych ofiar i na powierzchnię przedmiotów, które do nich należą. Wszelkie wyziewy, które są szkodliwe dla ludzi i ich własności, stanowią naruszenie prywatnej własności poszkodowanych. Zanieczyszczenie powietrza jest przecież takim samym zamachem na cudzą własność jak podpalenie albo zranienie. Jeśli jest szkodliwe dla innych osób, to stanowi zwykły przejaw czystej agresji. Podstawowym zadaniem rządu – sądów i policji – ma być przeciwdziałanie agresji. Tymczasem rząd nie wywiązuje się z niego, poważnie ponadto zaniedbując obowiązek ochrony powietrza przed zanieczyszczaniem.

Należy zauważyć, że *nie* jest to wynikiem zwykłej niewiedzy ani niemożności nadążenia z rozwiązywaniem coraz to nowych problemów technicznych. Wprawdzie niektórych producentów zanieczyszczeń powietrza poznaliśmy dopiero niedawno, ale dymy z fabryk i ich niekorzystne oddziaływanie – znane są od czasów rewolucji przemysłowej; znane są do tego stopnia, że amerykańskie sądy od początku XIX wieku – a zwłaszcza pod koniec XIX wieku – rozmyślnie wydawały wyroki zezwalające na naruszanie praw własności polegające na emisji dymów przemysłowych. W tym celu sądy systematycznie osłabiały ochronę praw własności, tak charakterystyczną dla anglosaskiego prawa zwyczajowego. Do połowy, a nawet do końca XIX wieku zanieczyszczenie powietrza było uważane za wyrządzenie szkody, naruszenie porządku publicznego, które mogło być ścigane z powództwa osoby pokrzywdzonej. Ofiara mogła się domagać, by sąd zakazał naruszania jej praw własności i nakazał powstrzymanie się od tego w przyszłości. Jednak w ciągu XIX wieku sądy systematycznie zmieniały prawo dotyczące przestępstw zaniedbania i naruszenia porządku publicznego, żeby *dopuszczyć* możliwość zanieczyszczania powietrza w pewnych granicach, wyznaczonych zwykle przez emisję typowego zakładu produkcyjnego danej branży.

---

<sup>15</sup> Istniejące w zachodnich stanach prawo „przywłaszczenia” stwarza już podstawę do ustanowienia pełnego „osadniczego” prawa własności prywatnej rzek. Pełne omówienie zagadnienia znajduje się w: Jack Hirshleifer, James C DeHaven, and Jerome W Milhman, *Water Supply, Economics, Technology, and Policy* (Chicago University of Chicago Press, 1960), Chapter IX

<sup>16</sup> Edwin G. Dolan, "Capitalism and the Environment", *Individualist* (marzec 1971), s. 3.

Gdy zaczęły powstawać fabryki i dymy niszczyły położone w pobliżu sady, farmerzy pozywali przemysłowców do sądu, domagając się odszkodowań i zakazu dalszego naruszania ich własności. Wtedy sędziowie mówili: „Przykro nam. *Wiemy*, że dym przemysłowy (tj. zanieczyszczenie powietrza) narusza wasze prawa własności. Jednakże istnieje coś *ważniejszego* niż prawa własności, mianowicie polityka społeczna, ‘dobro ogółu’. A z punktu widzenia interesu ogółu przemysł jest czymś dobrym, rozwój przemysłu jest czymś dobrym. Dlatego też wasze zwykłe prawa własności muszą ustąpić miejsca na rzecz ogólnego dobrobytu”. I teraz wszyscy słono płacimy za to, że prawo własności prywatnej zostało zepchnięte na drugi plan. Płacimy chorobami płuc i milionem innych dolegliwości. A wszystko to dla „wspólnego dobra”<sup>17</sup>!

Wyrok w sprawie *Antonik* przeciwko *Chamberlain*, prowadzonej przez sąd stanu Ohio (1947 rok), może służyć za ilustrację faktu, że sądy kierowały się taką właśnie zasadą. Mieszkańcy przedmieść Akron wystąpili z wnioskiem o wydanie nakazu zamknięcia prywatnego lotniska. W uzasadnieniu podali, że lotnisko narusza ich prawa własności, ponieważ jest źródłem nadmiernego hałasu. Odrzucając wniosek, sąd stwierdził, co następuje:

Rozpatrując niniejszą sprawę i opierając się na prawie słuszności, musimy wziąć pod uwagę nie tylko konflikt interesów między właścicielem lotniska a właścicielami sąsiednich gruntów, ale także istniejącą obecnie politykę społeczną. Musimy wziąć pod uwagę, że istnienie tego lotniska (...) ma wielkie znaczenie społeczne i wygaszenie jego działalności albo niedopuszczenie do jego powstania miałyby nie tylko poważne negatywne konsekwencje dla właściciela lotniska, lecz oznaczałoby również istotną stratę dla całej społeczności<sup>18</sup>.

Zwieńczeniem tych przestępczych praktyk sędziów jest zapis w ustawodawstwie federalnym i stanowym, który zabrania występowania z pozwem zbiorowym przeciwko zatruwającym powietrze i w ten sposób na dobre utrwała zasadę dopuszczającą pogwałcenie praw własności. Jest oczywiste, że jeśli fabryka emituje zanieczyszczenia, które trafiają do atmosfery nad miastem, gdzie mieszkają dziesiątki tysięcy poszkodowanych, to występowanie z indywidualnymi pozwami o odszkodowania jest niepraktyczne (choć o wydanie *sądowego zakazu* może się zwrócić pojedyncza osoba poszkodowana). Prawo zwyczajowe uznaje zasadność „pozwu zbiorowego”, z którym jedna lub kilka osób poszkodowanych może wystąpić nie tylko w imieniu własnym, ale także całej *grupy* ludzi poszkodowanych w podobny sposób. Jednakże ustawodawca konsekwentnie zakazywał takich pozwów w przypadku spraw o zanieczyszczenie powietrza. Skuteczny pozew przeciwko trucieliowi może więc złożyć tylko pojedyncza osoba poszkodowana. Sprawa toczy się wówczas z powodztwa prywatnego o „sąsiedzkie naruszenie praw własności”. Prawo zabrania jednak złożenia pozwu przeciwko trucieliowi, który działa na szkodę wielkiej liczby ludzi na pewnym obszarze! Jak pisze Frank Bubb, „To zupełnie tak, jakby rząd mówił, że będzie (próbował) cię chronić przed złodziejem, który okrada tylko ciebie, ale nie zapewni ci ochrony przed złodziejem, który napada na wszystkich mieszkańców dzielnicy...”<sup>19</sup>.

*Hałas* jest również rodzajem skażenia powietrza. Hałas polega na wzbudzeniu fal dźwiękowych, które wędrują przez powietrze i atakują inne osoby i ich własność. Dopiero niedawno lekarze zaczęli badać szkodliwy wpływ hałasu na organizm ludzki. Również w tym przypadku – w sprawach dotyczących nadmiernego i szkodliwego hałasu, czyli „skażenia hałasem” – wolnościowy system prawny dopuszczałby odszkodowania, pozwy zbiorowe i wnioski o zakaz sądowy.

A zatem jest oczywiste, w jaki sposób można zaradzić zanieczyszczeniu powietrza i oczywiste jest, że tym sposobem nie są prowizoryczne programy rządowe pochłaniające wielomiliardowe sumy dolarów wyciąganych z kieszeni podatnika i niedotykające nawet sedna problemu. Recepta polega na tym, żeby sądy znów zaczęły spełniać swoją rolę polegającą na obowiązku obrony praw osoby i praw własności przed ich naruszeniem, a więc wydawały stosowny zakaz każdemu, kto powoduje zanieczyszczenie powietrza. Tylko

<sup>17</sup> Zobacz: E. F. Roberts, "Plead the Ninth Amendment!", *Natural History* (sierpień–wrzesień 1970), s. 18 nn. Historię i analizę zmian w systemie prawnym dotyczącym rozwoju przemysłu i praw własności w pierwszej połowie XIX wieku najlepiej przedstawia Morton J. Horwitz, *The Transformation of American Law, 1780–1860* (Cambridge: Harvard University Press, 1977).

<sup>18</sup> Cytat za: Milton Katz, *The Function of Tort Liability in Technology Assessment* (Cambridge: Harvard University Program on Technology and Society, 1969), s. 610.

<sup>19</sup> Frank Bubb, "The Cure for Air Pollution", *The Libertarian Forum* (15 kwietnia 1970), s. 1. Zobacz też: Dolan, TANSTAAFL, s. 37–39.

jak zareagują obrońcy rozwoju przemysłowego i związanych z nim koniecznych zanieczyszczeń? I jakie nieuniknione koszty będzie musiał ponieść konsument? Co mamy zrobić z istniejącymi technologiami powodującymi zanieczyszczenie środowiska?

Argument mówiący, że sądowy zakaz zanieczyszczania powietrza podniesie koszty produkcji przemysłowej zasługuje na takie samo potępienie, jak wysuwany przed wojną secesyjną argument przeciwko zniesieniu niewolnictwa. Zniesienie niewolnictwa miało spowodować wzrost kosztów uprawy bawełny, co czyniło abolicję „niepraktyczną”, nawet jeśli była słuszną z moralnego punktu widzenia. To by oznaczało, że trucicielom wolno przerzucać wszelkie koszty zanieczyszczania atmosfery na tych, których płuca i własność mogą bezkarnie niszczyć.

Argument powołujący się na koszty i względy techniczne lekceważy ponadto istotny fakt, że jeśli zatrucie atmosfery pozostanie bezkarne, to nadal nie będzie istnieć ekonomiczna zachęta do poszukiwań i rozwoju technologii, które *nie* powodują zanieczyszczeń. Zachęta będzie iść w dokładnie przeciwnym kierunku – tak jak przez całe ubiegłe stulecie. Wyobraźmy sobie, na przykład, że w czasach, kiedy wchodziły do użytku pierwsze auta i samochody ciężarowe, sądy wydałyby następujące orzeczenie: „Normalnie nie pozwolilibyśmy, żeby ciężarówki wjeżdżały na prywatne trawniki i łamały w ten sposób prawo własności. Nakazalibyśmy, żeby ruch kołowy odbywał się tylko po drogach, nawet gdyby powodowało to zatory. Ale samochody ciężarowe odgrywają niezwykle ważną rolę w budowie powszechnego dobrobytu, dlatego też postanawiamy, że ciężarówki mają prawo przejeżdżać bez przeszkód przez dowolny trawnik, jeśli ułatwi im to poruszanie się”. Gdyby sądy wydały takie orzeczenie, to mielibyśmy obecnie do czynienia z systemem transportu, w którym trawniki byłyby systematycznie niszczone przez samochody ciężarowe. Gdyby ktokolwiek próbował się temu przeciwstawić, byłby zakrzyczany w imię rozwoju nowoczesnego transportu! Rzecz w tym, że sądy wydały właśnie takie orzeczenie w sprawie zanieczyszczania atmosfery. A skażenie powietrza stanowi dla wszystkich o wiele większe zagrożenie niż rozjeżdżanie trawników. Na samym starcie rząd zapalił tym samym zielone światło dla technologii powodujących skażenie środowiska. Nic więc dziwnego, że mamy taką właśnie technologię. Jedyna recepta polega na zmuszeniu trucicieli, by przestali gwałcić prawa własności i skierowaniu tym samym zainteresowania ku technologiom czystym, a nawet redukującym zanieczyszczenia (*antipolluting*).

Nawet teraz, gdy znajdujemy się z konieczności w prymitywnym stadium rozwoju technologii redukujących skażenia, dysponujemy już technicznymi możliwościami walki z hałasem i zanieczyszczeniem powietrza. Hałaśliwe urządzenia można wyposażyć w tłumiki, wysyłające fale, które mają dokładnie odwrotny cykl niż fale emitowane przez maszynę i dzięki temu znoszą je i tłumią przeraźliwe dźwięki. Substancje gazowe można już teraz przechwytywać u wylotu kominów i używać jako surowca do produkcji przemysłowej. Dwutlenek siarki, który stanowi najbardziej szkodliwe skażenie powietrza, może być przechwytywany i używany ponownie do produkcji kwasu siarkowego<sup>20</sup>. Silnik benzynowy, który powoduje wysoki stopień zanieczyszczenia, będzie musiał przejść „odnowę” przy zastosowaniu udoskonaleń, albo zostanie zastąpiony przez takie rodzaje motorów niepowodujących skażeń jak silniki Diesla, turbiny gazowe lub parowe albo przez napęd elektryczny. Jak zauważa libertariański inżynier systemów Robert Poole, koszty wdrożenia czystych lub redukujących skażenia technologii byłyby „ostatecznie ponoszone przez konsumentów nabywających produkty określonej firmy, czyli przez tych, którzy *decydują się* na wejście w relację z tą firmą. Koszty te nie byłyby przerzucane – w postaci zanieczyszczeń (lub podatków) – na niewinne osoby trzecie”<sup>21</sup>.

Robert Poole definiuje trafnie zanieczyszczenie środowiska, „jako przesyłanie szkodliwej substancji lub energii do innych osób lub na teren czyjejś własności bez uzyskania zgody tych osób”<sup>22</sup>. Libertariańskie – i zarazem jedyne zadowalające – rozwiązanie problemu zanieczyszczania atmosfery polegałoby na wykorzystaniu sądów i systemu prawnego do zapobiegania i zwalczania tego rodzaju przestępstw. Ostatnio pojawiają się sygnały, że system prawny zaczyna zmierzać w tym kierunku. Świadczą o tym nowe wyroki sądowe i zniesienie ustaw zakazujących wnoszenia pozwów zbiorowych. Ale to dopiero początek<sup>23</sup>.

---

<sup>20</sup> Zobacz: Jane Jacobs, *The Economy of Cities* (New York: Random House, 1969), s. 109 nn.

<sup>21</sup> Poole, *op. cit.*, s. 251–252.

<sup>22</sup> Poole, *op. cit.*, s. 245.

W odróżnieniu od libertarian konserwatyści proponują w odpowiedzi na problem zanieczyszczenia atmosfery dwa rozwiązania, które ostatecznie sprowadzają się do jednego. Reakcja Ayn Rand i Roberta Mosesa polega na stwierdzeniu, że problem w ogóle nie istnieje, a autorami całego zamieszania są lewicowcy, którzy dążą do zniszczenia kapitalizmu i technologii w imię plemiennej odmiany socjalizmu. Chociaż diagnoza ta może być częściowo słuszna, to samo zaprzeczenie istnienia problemu oznacza odrzucenie również nauki i wręczenie lewicowcom argumentu, że obrońcy kapitalizmu „przenoszą prawa własności nad prawa człowieka”. Poza tym obrona prawa do zanieczyszczania powietrza *nie* stanowi nawet obrony praw własności; przeciwnie: oznacza tylko aprobatę konserwatystów dla tych przemysłowców, którzy nic sobie nie robią z praw własności znakomitej większości obywateli.

Drugą, bardziej wyrafinowaną odpowiedź konserwatywną dają ekonomiści wolnorynkowi, tacy jak Milton Friedman. Zwolennicy Friedmana przyznają, że problem skażenia atmosfery istnieje, ale proponują rozwiązać go *nie* na drodze obrony praw własności, lecz przy użyciu rzekomo utylitarystycznej metody szacowania „zysków i strat”. Metodą tą powinien się posłużyć rząd, by podjąć „decyzję o wymiarze społecznym”, która określałaby, *jak duże* zanieczyszczenie jest dopuszczalne. Wdrażano by ją albo przez przyznawanie licencji na emisję określonej ilości zanieczyszczeń (przyznawanie „prawa do zanieczyszczania”) w zamian za podatek w proporcjonalnej wysokości, albo przez opłaty dla firm za *powstrzymywanie* się od zanieczyszczania, finansowane przez podatników. Tego rodzaju rozwiązania nie tylko przyczyniłyby się do ogromnego wzrostu władzy biurokracji rządowej w imię ochrony „wolnego rynku”, ale oznaczałyby dalsze łamanie praw własności w imię kolektywnej decyzji narzuconej przez rząd. Są one dalekie od prawdziwego „wolnego rynku” i pokazują, że – podobnie jak w innych sferach gospodarki – tu także niemożliwa jest *rzeczywista* obrona wolności i wolnego rynku bez konsekwentnej obrony prawa własności prywatnej. Groteskowa wypowiedź Friedmana, że mieszkańcy miast, którzy nie chcą zapaść na rozedmnę płuc, mogą się przenieść na wieś, przywodzi bardzo żywo na myśl słynne powiedzenie Marii Antoniny: „Niech jedzą ciastka”<sup>\*</sup> – i obnaża brak wrażliwości na prawa człowieka i prawa własności. Stwierdzenie Friedmana utrzymane jest w tym samym stylu, co konserwatywne: „Jeśli ci się tutaj nie podoba, to się wynieś”, oświadczenie, w którym zakłada się, że rząd ma prawo do posiadania całego „tutaj” i że ktoś, komu się to nie podoba, musi tutejszy teren opuścić. Na tym tle obiecującą świeżością tchnie libertariańska krytyka pomysłów Friedmana, którą przeprowadza Robert Poole:

Niestety, mamy tu do czynienia z przykładem bardzo poważnej słabości ekonomii konserwatywnej: nigdzie w tej propozycji nie wspomina się o *prawach*. Jest to ten sam błąd, który osłabia argumenty zwolenników kapitalizmu od dwustu lat. Jeszcze dzisiaj termin „*laissez-faire*” przywodzi niekiedy na myśl obraz przemysłowych miast osiemnastowiecznej Anglii pogrążonych w dymach i pokrytych sadzą. Pierwsi kapitaliści uzgodnili z sądami, że dym i sadza stanowią „cenę”, którą trzeba zapłacić za korzyści płynące z uprzemysłowienia. (...) Tymczasem leseferyzm bez praw pozostaje terminem wewnętrźnie sprzecznym. Leseferyzm jest stanowiskiem, które opiera się na prawach człowieka i wynika z nich. Jest do utrzymania tylko wtedy, gdy chronione są prawa. Obecnie, w dobie wzrastającego zainteresowania sprawami środowiska naturalnego, ta stara sprzeczność powraca, by prześladować kapitalizm.

To *prawda*, że powietrze jest rzadkim surowcem [jak powiada Friedman], ale należy się zapytać, *dlaczego* tak jest. Jeśli jest dobrem rzadkim, ponieważ systematycznie łamane są prawa, to rozwiązanie nie powinno polegać na podniesieniu ceny za status quo i zatwierdzeniu tym samym bezprawia, lecz na pełnym uznaniu praw i żądaniu ich ochrony. (...) Gdy fabryka emituje olbrzymie ilości cząsteczek dwutlenku siarki, które wnikają do czyichś płuc i powodują obrzęk, oznacza to, że właściciele zakładu dopuścili się wobec tego człowieka takiej samej agresji, jakiej dopuściliby się, łamiąc mu nogę. Jest to sprawa szczególnie istotna dla stanowiska libertariańskiego leseferyzmu. Leseferystyczny truciciel jest pojęciem wewnętrźnie sprzecznym i trzeba sobie z tego jasno zdawać

<sup>23</sup> Zobacz: Dolan, TANSTAAFL, s. 39 oraz: Katz, *passim*.

<sup>\*</sup> „Jeśli nie mają chleba, niech jedzą ciastka” – powiedzenie o głodujących chłopach błędnie przypisywane królowej Francji Marii Antoninie (1755–93) (*przypis tłumacza*).

sprawę. Społeczeństwo libertariańskie byłoby społeczeństwem pełnej odpowiedzialności. Każdy musiałby w pełni odpowiadać za swoje działania i za ich ewentualne szkodliwe konsekwencje<sup>24</sup>.

Rząd nie tylko sprzeniewierza się roli obrońcy własności prywatnej, którą ma jakoby pełnić, ale bierze aktywny udział w zanieczyszczaniu powietrza. Nie tak dawno temu departament rolnictwa przeprowadził z helikopterów opryski olbrzymich terenów środkiem DDT, nie zważając na sprzeciw poszczególnych rolników. Nadal rozpyła tony trujących i rakotwórczych środków owadobójczych na całym Południu, usiłując w ten kosztowny i nieskuteczny sposób zwalczyć mrówkę ognistą<sup>25</sup>. Komisja Energii Atomowej zanieczyszcza powietrze i ziemię odpadami radioaktywnymi powstającymi w trakcie prób jądrowych. Atmosferę zatrują na potęgę miejskie elektrownie i licencjonowane monopolistyczne zakłady użyteczności publicznej. Główne zadanie rządu w tej dziedzinie powinno więc polegać na tym, żeby *samemu* zaprzestać zatruwania atmosfery.

Gdy odrzucimy nieporozumienia i błędną filozofię współczesnych ekologów, to widzimy, jaki jest podstawowy zarzut przeciwko istniejącemu systemowi. Okazuje się, że nie jest to zarzut zwrócony przeciwko kapitalizmowi, prywatnej własności, wzrostowi lub technologii jako takiej, lecz przeciwko rządowi, który nie umożliwia korzystania z praw i nie chroni prawa prywatnej własności przed jego pogwałceniem. Gdyby prawa własności były w pełni chronione, zarówno przed naruszeniem ze strony osób prywatnych, jak i ze strony rządu, zobaczylibyśmy, że w tej dziedzinie – podobnie jak w przypadku innych zagadnień gospodarczych i społecznych – prywatna przedsiębiorczość i nowoczesna technologia może być dla ludzkości wybawieniem, a nie przekleństwem.

---

<sup>24</sup> Poole, *op. cit.*, s. 252–253. Stwierdzenie Friedmana można znaleźć w: Peter Maiken, "Hysterics Won't Clean Up Pollution", *Human Events* (25 kwietnia 1970), s. 13, 21–23. Pełniejsze omówienie stanowiska Friedmana znajduje się w: Thomas D. Crocker i A. J. Rogers III, *Environmental Economics* (Hinsdale, Ill.: Dryden Press, 1971); podobne poglądy można znaleźć w: J. H. Dales, *Pollution, Property, and Prices* (Toronto: University of Toronto Press, 1968), a także w: Larry E. Ruff, "The Economic Common Sense of Pollution", *Public Interest* (wiosna 1970), s. 69–85.

<sup>25</sup> Glenn Garvin, "Killing Fire Ants With Carcinogens", *Inquiry* (6 lutego 1978), s. 7–8.

## Rozdział 14: Wojna i polityka zagraniczna

### *Lewicowy i prawicowy „izolacjonizm”*

Termin „izolacjonizm” wymyślono, by oczernić przeciwników zaangażowania się Ameryki w drugą wojnę światową. Ponieważ używano go często w negatywnym kontekście, na określenie postawy pronazistowskiej, „izolacjonista” zaczął być kojarzony z „prawicowcem” i miał konotację ogólnie ujemną. Nawet jeśli „izolacjonistów” nie uważano za czynnie sprzyjających nazizmowi, to traktowano ich w najlepszym razie jako ograniczonych ignorantów niezdających sobie sprawy z tego, co się wokół nich dzieje. Ich przeciwnostwem byli wyrafinowani, światowi, *zatoskani* „internacjoniści”, którzy opowiadali się za tym, by Ameryka prowadziła krucjaty na całym świecie. W ostatnim dziesięcioleciu siły antywojenne określa się oczywiście mianem „lewicowych”. Interwencjoniści, od Lyndona Johnsona do Jimmy’ego Cartera i ich zwolenników, usiłują przykleić etykietkę „izolacjonistów”, lub przynajmniej „neoizolacjonistów” dzisiejszym lewicowcom.

Prawicowi czy lewicowi? W czasie pierwszej wojny światowej przeciwników zaangażowania wojennego atakowano ostro jako „lewicowców” – tak samo jak teraz. Działo się tak, mimo że byli wśród nich także libertarianie i zwolennicy leseferystycznego kapitalizmu. Trzon opozycji przeciwko wojnie z Hiszpanią i przeciwko stłumieniu przez Amerykę powstania na Filipinach na początku XX wieku stanowili liberałowie leseferyści, ludzie tacy jak socjolog i ekonomista William Graham Sumner oraz bostoński handlowiec Edward Atkinson, którzy założyli „Ligę Antyimperialistyczną”. Atkinson i Sumner otwarcie nawiązywali do tradycji klasycznych liberałów angielskich XVIII i XIX wieku, w szczególności takich „ekstremistów” leseferyzmu, jak Richard Cobden i John Bright ze „szkoły manchesterskiej”. Cobden i Bright przewodzili wystąpieniom przeciwko wszystkim wojnom i interwencjom, które za ich czasów prowadziła Wielka Brytania. Z uwagi na to Cobdena nazywano już nie „izolacjonistą”, lecz „międzynarodowcem” („*International Man*”)<sup>1</sup>. Aż do czasu oszczerczej kampanii pod koniec lat trzydziestych przeciwników wojny uważano za „internacjonalistów”, za ludzi, którzy sprzeciwiali się rozrostowi państwa narodowego i opowiadali się za pokojem, swobodą handlu i przemieszczania się oraz za pokojową wymianą kulturalną między wszystkimi ludami i narodami. Międzynarodowa interwencja jest „internacjonalistyczna” tylko w tym sensie, że wojna ma charakter internacjonalistyczny: przymus – w postaci groźby użycia siły lub jako faktyczny ruch wojsk – zawsze będzie przekraczał granice między narodami.

„Izolacjonizm” brzmi prawicowo; „neutralność” i „pokojuwe współistnienie” brzmią lewicowo. Ale ich sens jest taki sam: sprzeciw wobec wojny i międzynarodowej interwencji politycznej. Przez dwa stulecia takie stanowisko zajmowały siły antywojenne, zarówno klasyczni liberałowie w XVIII i XIX wieku, jak „lewicowcy” w czasie pierwszej wojny światowej i podczas zimnej wojny czy „prawicowcy” w trakcie drugiej wojny światowej. W nielicznych tylko przypadkach „antyinterwencjoniści” opowiadali się za dosłowną „izolacją”. Na ogół chodziło im o powstrzymanie się od interwencji politycznej w sprawy innych państw, które powinno iść w parze z internacjonalizmem w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej, czyli z wolnością handlu, inwestowania i wymiany między obywatelami wszystkich państw. Taka jest również istota stanowiska libertarianieńskiego.

### *Ograniczanie rządu*

Libertarianie opowiadają się za powszechnym zniesieniem państw i za tym, by wszystkie prawne funkcje pełnione obecnie byle jak przez państwo (policja, sądy itd.) były przejęte przez wolny rynek. Wolność uważają za naturalne prawo człowieka, które przysługuje nie tylko Amerykanom, ale wszystkim narodom. W świecie czysto libertarianieńskim nie będzie „polityki zagranicznej”, bo nie będzie państw i rządów dzierżących monopol na stosowanie przymusu w obrębie określonego terytorium. Ponieważ jednak żyjemy w świecie państw narodowych i nie wygląda na to, by system ten miał się szybko rozpaść, to musimy sobie zadać pytanie o stanowisko libertarian wobec polityki zagranicznej w obecnym świecie rządzonym przez państwa narodowe.

W oczekiwaniu na rozwiązanie państw libertarianie chcą jak najbardziej *ograniczyć* zakres władzy państwa, jego wpływ sprowadzić we wszystkich dziedzinach niemal do zera. Pokazaliśmy już, w jaki sposób zasada „odpaństwowienia” mogłaby być stosowana w rozwiązywaniu różnych ważnych problemów

<sup>1</sup> Zobacz: William H. Dawson, *Richard Cobden and Foreign Policy* (London: George Alien and Unwin, 1926).

„wewnętrznych”, gdy chodzi o to, by odsunąć państwo od pełnienia niektórych zadań i pozwolić, by spontanicznie, w pełnym zakresie ujawniły się naturalne umiejętności wolnych ludzi. Byłoby to możliwe w szczególności przez pokojową współpracę i wymianę, przede wszystkim w ramach gospodarki wolnorynkowej. W polityce zagranicznej założenie byłoby to samo: chodziłoby o odsunięcie rządu od wpływania na sprawy innych rządów i państw. „Izolacjonizm” polityczny i pokojowe współistnienie – powstrzymywanie się od wpływania na inne państwa – jest tym samym w libertariańskiej polityce zagranicznej, czym leseferyzm w polityce wewnętrznej. Idea polega na skrępowaniu działań państwa na arenie międzynarodowej w podobny sposób, jak próbujemy je skrępować w polityce wewnętrznej. Izolacjonizm lub pokojowe współistnienie to zasada poważnego ograniczenia działalności rządu zastosowana do polityki zagranicznej.

Wszystkie lądy Ziemi podzielone są obecnie pomiędzy różne państwa i każdy obszar podlega władzy centralnego rządu, który ma monopol na stosowanie przemocy na tym terytorium. Celem libertarianina w sferze stosunków między państwami jest powstrzymanie państw od używania siły wobec innych krajów. Chodzi o to, żeby *przynajmniej* ograniczyć działanie tyranii państwa do jego własnego rewiru. Libertarianin jest zainteresowany tym, by jak najbardziej zawęzić obszar agresji państwa przeciwko zwykłym ludziom. Jedyną drogą do tego celu w sferze stosunków międzynarodowych jest wywieranie przez obywateli nacisku na własne państwo w celu ograniczenia jego aktywności do obszaru, który okupuje, i niedopuszczenia do napaści na inne państwa i ich obywateli. Krótko mówiąc, libertarianin dąży do tego, by rozmiary naruszania przez państwo nietykalności osobistej i własności prywatnej jak najbardziej ograniczyć. To zaś oznacza całkowite zaniechanie wojen. Obywatele powinni wywierać nacisk na władze „własnych” państw, by nie atakowały się one nawzajem lub, w przypadku wybuchu konfliktu, jak najszybciej się z niego wycofały.

Wyobraźmy sobie przez chwilę, że na świecie istnieją tylko dwa hipotetyczne kraje: Graustark i Belgravii. Każde jest rządzone przez własne państwo. Co się stanie, jeśli rząd Graustarku napadnie na terytorium Belgravii? Z libertariańskiego punktu widzenia pojawiają się natychmiast dwie fatalne konsekwencje. Po pierwsze, armia Graustarku zaczyna wyrzynać niewinnych cywilnych obywateli Belgravii, którzy mogą nie mieć nic wspólnego z przestępstwami, jakich dopuścił się rząd Belgravii. Wojna jest masowym morderstwem i stanowi pogwałcenie na olbrzymią skalę prawa do życia i samoposiadania ogromnej liczby ludzi. Z punktu widzenia libertarianina jest więc nie tylko zbrodnią, ale zbrodnią najwyższego stopnia. Po drugie, w związku z tym, że wszystkie rządy czerpią dochody ze złodziejstwa polegającego na przymusowym opodatkowaniu, każda mobilizacja i wysłanie wojsk pociąga za sobą wzrost podatków w Graustarku. Z tych dwu powodów – ponieważ wojny między państwami w sposób nieuchronny prowadzą do masowego morderstwa i ponieważ powodują wzrost przymusowych podatków – libertarianin sprzeciwia się wojnie. Koniec i kropka.

A nie zawsze tak było. W Średniowieczu wojny prowadzono na znacznie mniejszą skalę. Zanim wynaleziono nowoczesne rodzaje broni, rządy mogły się ograniczyć – i często *ograniczały się* ściśle – do używania przemocy wyłącznie wobec *armii* konkurujących rządów, ponieważ dysponowały ograniczoną ilością broni. Prawdą jest, że rozwijał się przymus podatkowy, ale przynajmniej nie miały miejsca masowe mordy na niewinnych ludziach. Poza tym, że ze względu na małą siłę rażenia broni przemoc ograniczała się do armii zwaśnionych stron, nie było też w erze przednowoczesnej scentralizowanego państwa narodowego, które przemawiałoby nieuchronnie w imieniu wszystkich mieszkańców danego obszaru. Kiedy jedni królowie lub baronowie walczyli przeciwko innym, nie oznaczało to, że wszyscy mieszkańcy w okolicy muszą się opowiedzieć po którejś stronie. Armie nie składały się z poborowych niewolników służących poszczególnym władcom, lecz były niewielkimi zgrajami najemników. Obserwowanie bitwy zza murów miasta było ulubioną rozrywką sportową ludności, a wojnę uważano za rodzaj sportowego pojedynku. Jednakże wraz z powstaniem scentralizowanego państwa i rozwojem nowoczesnej broni masowej zagłady rzezie ludności cywilnej, a także armii poborowych stały się głównym elementem międzypaństwowych działań wojennych.

Założmy, że – pomimo ewentualnego sprzeciwu ze strony opozycji libertariańskiej – wybuchła wojna. Libertarianie będą, oczywiście, stali na stanowisku, że dopóki trwa wojna, trzeba dokładać wszelkich starań, by zminimalizować liczbę ofiar wśród niewinnej ludności cywilnej. Staromodne prawo międzynarodowe używało w tym celu dwóch znakomitych narzędzi: „prawa wojny” oraz „prawa neutralności” albo „prawa państw niezaangażowanych”. Prawo neutralności miało na celu ograniczenie każdej wojny wyłącznie do państw zaangażowanych w konflikt i zapobieżenie atakowi na państwa nieuczestniczące w wojnie, a zwłaszcza na mieszkańców innych krajów. Na tym polegało znaczenie takich starodawnych i zapomnianych dzisiaj amerykańskich zasad jak „wolność mórz” i surowe ograniczenia dotyczące prawa blokowania

neutralnej wymiany handlowej z wrogim państwem. Libertarianin stara się skłonić państwa neutralne do tego, by w każdym konflikcie międzypaństwowym *pozostały* neutralne; jednocześnie dąży do tego, żeby państwa toczące wojnę ściśle przestrzegały praw przysługujących obywatelom państw neutralnych. „Prawo wojny” z kolei miało ograniczyć w możliwie największym stopniu gwałcenie praw ludności cywilnej przez państwa toczące wojnę. Jak pisze brytyjski prawnik F. J. P. Veale:

Podstawą tego prawa była zasada, że działania wojenne prowadzone pomiędzy cywilizowanymi narodami należy ograniczyć do sił zbrojnych zaangażowanych stron. (...) Operowało ono ścisłym rozróżnieniem pomiędzy walczącymi a niewalczącymi. Walczący byli zdefiniowani jako ci, których jedynym zajęciem jest walka ze sobą nawzajem. W związku z tym wszyscy niewalczący musieli być wykluczeni z wszelkich operacji wojennych<sup>2</sup>.

W zmodyfikowanej wersji – jako zakaz bombardowania miast położonych za linią frontu – reguła ta obowiązywała podczas wojen toczonych w Europie Zachodniej w ostatnich stuleciach, aż do drugiej wojny światowej, kiedy Brytyjczycy dokonali strategicznych nalotów na cele cywilne. Obecnie cała ta koncepcja okryta jest niemal całkowitym zapomnieniem, ponieważ nowoczesna wojna nuklearna z natury nastawiona jest na eksterminację ludności cywilnej.

Wracając do naszych hipotetycznych państw Graustarku i Belgravii, przypuśćmy, że Graustark zaatakował Belgravię i że trzeci rząd, rząd Walldavii, przystępuje do wojny, żeby bronić Belgravii przed „agresją Graustarku”. Czy to działanie jest usprawiedliwione? Tu właśnie docieramy do źródła szkodliwej dwudziestowiecznej teorii „bezpieczeństwa zbiorowego” – pomysłu, że w reakcji na „agresję” jednego rządu przeciwko drugiemu inne rządy mają moralny obowiązek zjednoczyć siły w celu obrony państwa „napadniętego”.

W tak rozumianym pojęciu zbiorowego zabezpieczenia się przed „agresją” tkwi kilka poważnych błędów. Po pierwsze, gdy Walldavia, albo inne państwo, włącza się do bójki, to sama szerzy i powiększa agresję, ponieważ (1) dokonuje nieuzasadnionej rzezi ludności cywilnej Graustarku, (2) powoduje zwiększenie przymusowych podatków nakładanych na Walldavian. Ponadto (3) w erze silnej skłonności do identyfikowania państw z ich obywatelami Walldavia naraża swoich obywateli na zemstę bombowców i rakiet Graustarku. Przystąpienie Walldavii do wojny sprowadza na jej obywateli ryzyko utraty życia i majątku. A przecież rząd Walldavii *powinien* swoich obywateli chronić. I wreszcie (4) zwiększają się zwykle rozmiary poboru – niewolniczej służby mieszkańców Walldavii.

Gdyby zasady takiego „bezpieczeństwa zbiorowego” były stosowane na całym świecie, to wszystkie Walldavie spieszące z odsieczą w lokalnych konfliktach doprowadziłyby do tego, że każda potyczka zamieniałaby się w krótkim czasie w ogólnoświatową pożogę.

W koncepcji bezpieczeństwa zbiorowego tkwi jeszcze jeden poważny błąd. Pomysł, żeby przystąpić do wojny w celu powstrzymania „agresji” stanowi oczywistą analogię do sytuacji, gdy agresji dopuszcza się *jednostka*. Widzimy, że Smith bije Jonesa – napada go. Znajdujący się nieopodal policjanci ruszają na pomoc Jonesowi, który jest ofiarą agresji. Podejmują „policyjną interwencję” w celu powstrzymania agresji. Do tego mitu uparcie nawiązywał na przykład prezydent Truman, gdy poszukiwał uzasadnienia dla udziału Amerykanów w wojnie koreańskiej. Mówił o „policyjnej interwencji”, wspólnym wysiłku Narodów Zjednoczonych w celu odparcia „agresji”.

Ale pojęcie „agresji” ma sens wyłącznie na poziomie indywidualnego konfliktu między Smithem i Jonesem; podobnie „policyjna interwencja”. Na poziomie walki między państwami terminy te tracą sens. Przede wszystkim – jak widzieliśmy – rządy przystępujące do wojny same stają się agresorami, wręcz ludobójcami, w stosunku do niewinnej ludności cywilnej. *Poprawną* analogią do wojny byłaby następująca sytuacja rozgrywająca się między jednostkami: Smith napada Jonesa, policja staje w obronie Jonesa i usiłując pojmać Smitha, bombarduje osiedle i uśmierca tysiące ludzi albo otwiera ogień z broni maszynowej w kierunku niewinnego tłumu. *Ta* analogia jest znacznie bardziej adekwatna, ponieważ tak właśnie zachowuje się rząd, gdy przystępuje w XX wieku do wojny; tyle że w gigantycznej skali. Gdyby jednak policja działała w ten sposób, *sama* stałaby się zbrodniczym napastnikiem i to jeszcze większym niż Smith, który rozpętał cały konflikt.

<sup>2</sup> F. J. P. Veale, *Advance to Barbarism* (Appleton, Wise.: C. C. Nelson Publishing Co., 1953), s. 58.



Analogia z napaścią dokonaną przez jednostkę zawiera jeszcze jeden zasadniczy błąd. Gdy Smith napada Jonesa albo kradnie jego własność, możemy powiedzieć o nim, że jest agresorem w stosunku do osoby lub własności poszkodowanego. Ale gdy państwo Graustarku dokonuje najazdu na terytorium państwa Belgravii, nie możemy już zastosować pojęcia „agresji” w analogiczny sposób. Z libertariańskiego punktu widzenia żaden rząd nie może uzurpować sobie prawa do własności albo „zwierzchnictwa” na określonym terenie. Pretensje państwa Belgravii do jego terytorium są więc czymś zupełnie innym niż prawo Jonesa do jego własności (choć w toku śledztwa może się okazać, że ta ostatnia znalazła się w jego posiadaniu również dzięki kradzieży). Żadne państwo nie posiada prawowitego tytułu do jakiegokolwiek własności. Istnienie jego terytorium jest rezultatem jakiegoś rodzaju agresji i zbrojnego podboju. Napaść państwa Graustarku jest bitwą pomiędzy dwiema grupami złodziei i agresorów. Jedyny problem stanowi fakt, że po obu stronach tratuje się niewinnych obywateli.

Niezależnie od tego ogólnego sprzeciwu wobec rządów trzeba dopuścić możliwość, że tzw. państwo „agresor” ma uzasadnione roszczenia wobec swojej „ofiary”. „Uzasadnione” w znaczeniu właściwym dla kontekstu państw narodowych. Przypuśćmy, że Graustark przekroczył granice Belgravii, ponieważ Belgravia sto lat wcześniej najechała na Graustark i oderwała od niego północno-wschodnie prowincje. Pod względem kulturowym, narodowościowym i językowym mieszkańcy tych prowincji są Graustarkianami. Nawiasem mówiąc, w tej sytuacji libertarianin, potępiając oba rządy za wzniecenie wojny i zabijanie cywilów, musiałby stanąć po stronie Graustarkian, jako tych, których żądania są bardziej uprawnione lub mniej bezprawne. Ujmijmy to w ten sposób: zakładając mało prawdopodobną ewentualność, że oba państwa wróciłyby do przednowoczesnych metod prowadzenia wojny, a więc, że: (a) siła rażenia broni byłaby ograniczona i ani ludność cywilna, ani należąca do niej własność nie byłyby narażone na straty i zniszczenia oraz (b) armie składałyby się z ochotników, a nie poborowych, a także (c) wojna byłaby finansowana z dobrowolnych składek a nie przymusowych podatków – gdyby spełnione były te wszystkie warunki, libertarianin mógłby bez zastrzeżeń stanąć po stronie Graustarku.

Z wszystkich ostatnio prowadzonych wojen najbliższa spełnienia powyższych trzech kryteriów wojny „sprawiedliwej” – choć nie spełniała ich do końca – była wojna Indii o wyzwolenie Bangladeszu pod koniec roku 1971. Rząd Pakistanu powstał jako ostatnia koszmarna pozostałość Imperium Brytyjskiego na subkontynencie indyjskim. Ludność Pakistanu składała się z Pendżabów w Pakistanie Zachodnim sprawujących imperialną władzę nad liczniejszymi i bardziej gospodarnymi Bengalczykami w Pakistanie Wschodnim (a także nad Patanami z pogranicza północno-zachodniego). Bengalczyki od dawna tęsknili za niezależnością od swoich imperialnych ciemnych. Na początku roku 1971 zawieszono działanie parlamentu, ponieważ Bengalczyki wygrali wybory. Od tego czasu oddziały wojskowe Pendżabów systematycznie mordowały ludność cywilną Bengalu. Przystąpienie Indii do konfliktu wzmocniło pozycję cieszącego się poparciem Bengalczyków ruchu oporu Mukhti Bahini. Choć nie obyło się oczywiście bez podniesienia podatków i poboru, to indyjskie wojska nie używały broni przeciwko ludności cywilnej Bengalu. Przeciwnie, była to prawdziwa rewolucyjna wojna społeczeństwa bengalskiego *przeciwko* okupującemu państwu Pendżabom. Celem ognia indyjskich karabinów byli wyłącznie żołnierze Pendżabu.

Powyższy przykład wskazuje na jeszcze jedną właściwość działań wojennych, mianowicie że rewolucyjna wojna partyzancka *może być* prowadzona w sposób znacznie bliższy zasadom libertariańskim niż jakakolwiek wojna między państwami. Partyzantka ze swej natury nastawiona jest na obronę ludności cywilnej przed rozbojem i złodziejstwem państwa. Dlatego partyzanci, którzy zamieszkują obszar wrogiego im państwa, *nie mogą* użyć bomby jądrowej ani innej broni masowej zagłady. Ponadto, ponieważ sukces wojny partyzanckiej zależy od poparcia i pomocy ludności cywilnej, to jedną z podstawowych zasad jej strategii *musi* być oszczędzanie cywilów i przeprowadzanie precyzyjnych akcji wymierzonych przeciwko aparatowi państwa i jego siłom zbrojnym. Wojna partyzancka nawiązuje więc do starożytnej, honorowej zasady walki, która nie powoduje strat wśród ludności cywilnej. Partyzanci, w celu zyskania jak największego spontanicznego poparcia ze strony cywilów, powstrzymują się zwykle od poboru wojskowego i nakładania podatków, polegając wyłącznie na zaciągu ochotniczym i dobrowolnej pomocy materialnej.

Libertariańskie zasady prowadzenia wojny partyzanckiej cechują tylko stronę rewolucyjną. Państwowe siły kontrewolucji zachowują się już zupełnie inaczej. Państwo nie może posunąć się do zrzucenia bomby jądrowej na własnych obywateli, więc z konieczności wobec ludności cywilnej stosuje głównie kampanię powszechnego terroru: zabójstw, zastraszania, obław. Ponieważ sukces partyzantów zależy od wsparcia większości społeczeństwa, państwo musi koncentrować się w swoich działaniach wojennych na niszczeniu

społeczeństwa albo zamknąć cywilów w obozach koncentracyjnych w celu odseparowania ich od sprzymierzonych z nimi partyzantów. Taką taktykę stosował hiszpański generał „Rzeźnik” Weyler w walce przeciwko powstańcom kubańskim w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, a później wojska amerykańskie na Filipinach oraz Brytyjczycy w wojnie Burów. Ostatnio wykorzystywano ją w nieszczej polityce „strategicznej klasyfikacji wiosek” („*strategic hamlet*” policy)\* w Wietnamie Południowym.

Polityka zagraniczna zgodna z zasadami libertariańskimi *nie* jest więc polityką pacyfistyczną. Nie uważamy, jak czynią to pacyfiści, że jednostka nie ma prawa użyć siły w obronie własnej w celu odparcia brutalnego ataku. *Twierdzimy* natomiast, że nikt nie ma prawa do przeprowadzania pboru, nakładania podatków, mordowania ani używania siły wobec osób trzecich w celu zorganizowania samoobrony. Ponieważ państwa zawdzięczają swoje istnienie agresji wobec własnych obywateli i zdobyciu określonego terytorium i ponieważ wojny między państwami powodują rzeź niewinnej ludności cywilnej, to wojny takie są zawsze niesprawiedliwe – choć niektóre mogą być bardziej niesprawiedliwe niż inne. Wojna partyzancka przynajmniej potencjalnie spełnia kryteria libertariańskie, gdyż koncentruje swoje działania na walce przeciwko państwu i jego armiom oraz korzysta z ochotniczego zaciągu i dobrowolnego wsparcia finansowego.

### ***Amerykańska polityka zagraniczna***

Jak widzieliśmy, głównym zadaniem libertarian jest walka z inwazją i przemocą *własnego* państwa. Wolnościowcy z Graustarku muszą się skupić na próbie ograniczenia i zminimalizowania państwa Graustarku. Wolnościowcy z Walldavii muszą dążyć do kontroli nad państwem Walldavii itd. W dziedzinie polityki zagranicznej libertarianie z poszczególnych krajów muszą wywierać nacisk na *swój* rząd, by powstrzymać go od wojny i interwencji w sprawy innych krajów oraz spowodować wycofanie się z prowadzonych aktualnie wojen. Choćby z tego powodu libertarianie w Stanach Zjednoczonych muszą się skoncentrować na krytyce imperialistycznych i wojennych działań własnego rządu.

Istnieją jednak jeszcze inne powody, dla których amerykańscy libertarianie powinni się skupić przede wszystkim na przypadkach naruszania prawa przez Stany Zjednoczone i na interwencjach międzynarodowych przez nie dokonywanych. Z danych empirycznych wynika, że w XX wieku traktowanym jako całość najbardziej wojowniczym, interwencjonistycznym i imperialistycznym rządem był rząd Stanów Zjednoczonych. To stwierdzenie będzie zapewne szokiem dla Amerykanów, którzy przez dziesiątki lat poddawani byli oficjalnej propagandzie i utrzymywani w przekonaniu, że w polityce zagranicznej rząd Stanów Zjednoczonych kieruje się wyłącznie szlachetnością, pokojowymi intencjami i umiłowaniem sprawiedliwości.

Tendencje ekspansjonistyczne w polityce Stanów Zjednoczonych zaczęły się nasilać pod koniec XIX wieku, kiedy stały się wyraźnie widoczne w wielu miejscach na świecie. Wtedy to Ameryka wydała wojnę Hiszpanii, przejęła władzę na Kubie, zajęła Puerto Rico i Filipiny, a następnie brutalnie stłumiła powstanie Filipińczyków. Imperialistyczna ekspansja Stanów Zjednoczonych rozwinęła się w pełni podczas pierwszej wojny światowej. Włączając się do konfliktu, prezydent Woodrow Wilson przedłużył działania wojenne i masakry, a także przyczynił się do powstania przerażających zniszczeń, które doprowadziły bezpośrednio do triumfu bolszewików w Rosji i zwycięstwa nazistów w Niemczech. Wilson był geniuszem w dziedzinie strojenia amerykańskiej polityki światowej interwencji i dominacji w pozory pobożności i moralności. W rzeczywistości polityka ta polegała na naginaniu wszystkich państw do modelu amerykańskiego, na poskramianiu z jednej strony skrajnych i marksistowskich reżimów, a z drugiej – tradycyjnych rządów monarchistycznych. To nie kto inny niż Woodrow Wilson zdecydował o charakterze amerykańskiej polityki zagranicznej na resztę tego stulecia. Niemal każdy następny prezydent uważał się za zwolennika Wilsona i kontynuował jego politykę. Nie przypadkiem zarówno Herbert Hoover, jak i Franklin D. Roosevelt – przez długi czas uważani za krańcowo odmiennych polityków – odegrali istotną rolę w pierwszej amerykańskiej krucjacie globalnej, jaką była pierwsza wojna światowa. Nie przypadkiem również odwoływali się oni stale do swoich doświadczeń związanych z tą interwencją i z planowaniem jej jako do drogowskazów w polityce zagranicznej i wewnętrznej. Jedną z pierwszych decyzji Richarda Nixona było umieszczenie na swoim biurku portretu Woodrowa Wilsona.

\* System Oceny Wiosek (*Hamlet Evaluation System*) – system stosowany przez armię amerykańską w Wietnamie dla oceny stanu bezpieczeństwa poszczególnych osad w zależności od proporcji między lojalnymi mieszkańcami a mieszkańcami sprzyjającymi komunistom (stosowano skalę od 1 – 5) (*przypis tłumacza*).

W imię zapewnienia „samostanowienia narodów” i „zbiorowego bezpieczeństwa” rząd amerykański systematycznie realizował na całym świecie politykę światowej dominacji i tłumienia siłą każdego sprzeciwu wobec status quo. W imię walki z „agresją” – występując w roli światowego „żandarma” – sam stawał się wielkim, ustawicznym agresorem.

Jeśli ktoś nie może się pogodzić z takim opisem polityki amerykańskiej, to niech zwróci uwagę, w jaki sposób Ameryka reaguje zazwyczaj na *jakikolwiek* kryzys wewnętrzny lub międzynarodowy w dowolnym zakątku świata, nawet wówczas, gdy ma on miejsce w tak odległym rejonie, że trudno sobie wyobrazić, by stanowił bezpośrednie lub nawet pośrednie zagrożenie dla życia i bezpieczeństwa Amerykanów. Wojskowy dyktator „Bleblestanu” znalazł się w niebezpieczeństwie – być może jego poddanym znudziło się być przedmiotem wyzysku dyktatury. Stany Zjednoczone traktują sprawę z całą powagą. Dziennikarze przychylni Departamentowi Stanu i Pentagonowi piszą alarmistyczne artykuły o tym, jakie konsekwencje dla „stabilizacji” w Bleblestanie i w całym regionie może mieć obalenie dyktatora. Tak się składa, że dyktator jest „proamerykański” albo „prozachodni”, to znaczy, że jest jednym z „naszych”, a nie jednym z „nich”. Miliony, a nawet miliardy dolarów amerykańskich idą na pomoc wojskową i gospodarczą w celu wsparcia bleblestańskiego marszałka. Gdy „naszego” dyktatora uda się wyratować, następuje głębokie westchnienie ulgi i wszyscy gratulują sobie, że uchroniliśmy „nasze” państwo od niebezpieczeństwa. Oczywiście stały lub zwiększony jeszcze ucisk amerykańskiego podatnika i obywateli Bleblestanu nie jest w tym równaniu brany pod uwagę. Jeśli dyktator Bleblestanu upadnie, w prasie i w kręgach urzędniczych może się rozpętać chwilowa histeria. Ale po pewnym czasie okaże się, że Amerykanie mogą jednak żyć po „utracie” Bleblestanu mniej więcej tak samo jak przedtem, a może nawet lepiej, jeśli okaże się, że oszczędzą kilka miliardów dolarów wyciskanych z nich do tej pory na pomoc dla państwa Bleblestanu.

Gdy zrozumiemy i przyjmiemy do wiadomości fakt, że Stany Zjednoczone będą usiłowały narzucić swoją wolę w każdym kryzysie, w każdym zakątku świata, to staje się oczywiste, że Ameryka jest wielkim mocarstwem interwencyjnym. Jedynym regionem, w którym Stany Zjednoczone nie próbują obecnie przeprowadzać żadnych akcji, jest Związek Sowiecki i państwa komunistyczne. Ale oczywiście próbowały to czynić w przeszłości. Woodrow Wilson razem z Wielką Brytanią i Francją oraz siłami sojuszniczymi próbowali przez kilka lat zniszczyć bolszewizm w zarodku, posyłając do Rosji wojsko, które miało wesprzeć siły caratu (białych) przeciwko czerwonym. Po drugiej wojnie światowej Stany Zjednoczone robiły, co mogły, żeby wyrzucić Sowieców z Europy Wschodniej. Udało im się przepędzić ich z Azerbejdżanu w północno-wschodnim Iranie. Pomogły też Brytyjczykom rozprawić się z reżimem komunistycznym w Grecji. Stany Zjednoczone starały się również za wszelką cenę utrzymać dyktatorskie rządy Chiang Kai-sheka w Chinach, przerzucając wojska Chianga na północ w celu okupacji Mandżurii, z której wycofali się po drugiej wojnie Rosjanie. W dalszym ciągu USA nie pozwalają Chińczykom na zajęcie przybrzeżnych wysp Quemoy i Matsu. Po zainstalowaniu na Kubie dyktatora Batisty Stany Zjednoczone próbowały następnie pozbyć się komunistycznego reżimu Castro, przeprowadzając różne akcje, poczynając od zmontowanej przez CIA inwazji w Zatoce Świń, a kończąc na próbie zamachu na Castro przeprowadzonej przez CIA we współpracy z mafią.

Pośród wszystkich wojen prowadzonych w ostatnich czasach przez Amerykę najbardziej bolesnym dla Amerykanów doświadczeniem była wojna w Wietnamie. Stanowiła ona również przełom w ich postawie wobec polityki zagranicznej. W imperialistycznej wojnie wietnamskiej w miniaturowej wersji widać wszystkie błędy amerykańskiej polityki zagranicznej tego stulecia. Amerykańska interwencja w Wietnamie nie rozpoczęła się, jak sądzi większość ludzi, za Kennedy’ego albo Eisenhowera, ani nawet nie za Trumana. Rozpoczęła się najpóźniej wtedy, gdy 26 listopada 1941 roku rząd amerykański za prezydentury Franklina Roosevelta wystosował ostre i obraźliwe ultimatum wobec Japonii. Żądał w nim wycofania japońskich sił zbrojnych z Chin i Indochin (czyli późniejszego Wietnamu). Ultimatum to prowadziło nieuchronnie do Pearl Harbor. Stany Zjednoczone, które zaangażowały się w wojnę na Oceanie Spokojnym, żeby wyrzucić Japończyków z kontynentu azjatyckiego, posłużyły się OSS (poprzedniczka CIA) i wsparły antyjapoński komunistyczny ruch oporu Ho Chi Minha. Po zakończeniu drugiej wojny światowej komunistyczny Viet Minh kontrolował całą północ Wietnamu. Wtedy Francja, która sprawowała do tej pory imperialną władzę w Wietnamie, złamała umowę z Ho i zmasakrowała siły Viet Minhu. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone pomogły Francji w realizacji tego podstępu.

Gdy Francuzi przegrali z siłami odbudowanej partyzantki Viet Minhu dowodzonymi przez Ho, Stany Zjednoczone podpisały umowę genewską z roku 1954, w myśl której Wietnam miał być w krótkim czasie

zjednoczony. Istniała bowiem powszechna zgoda co do tego, że powojenny podział na północną i południową strefę okupacyjną był całkowicie arbitralny i służył jedynie wygodzie wojskowych. Kiedy jednak Stanom Zjednoczonym udało się podstępnie przegnać Viet Minh z południowej części Wietnamu, złamały umowę genewską i Francuzów z ich marionetkowym cesarzem Bao Dai zastąpili własną klientelą. W południowym Wietnamie zainstalowały dyktatorski rząd Ngo Dinh Diema i jego rodziny. Kiedy Diem stał się niewygodny, CIA zorganizowała na niego zamach i wprowadziła nowy dyktatorski reżim. Dla zdławienia Viet Congu, narodowego ruchu niepodległościowego pod wodzą komunistów, Stany Zjednoczone doszczętnie spustoszyły zarówno Wietnam Północny, jak i Południowy. Przeprowadziły bombardowania, wymordowały milion Wietnamczyków i zawlokły pół miliona amerykańskich żołnierzy na trzęsawiska i w dżungle Wietnamu.

W trakcie tragicznego konfliktu wietnamskiego Stany Zjednoczone utrzymywały kłamliwą wersję zdarzeń, według której przyczyną wojny była „agresja” komunistycznego państwa Wietnamu Północnego przeciwko pokojowemu i „prozachodniemu (cokolwiek by to miało znaczyć) państwu Wietnamu Południowego, które zwróciło się do nas o pomoc. W rzeczywistości wojna była skazaną na niepowodzenie, ale długotrwałą próbą zdławienia przez Stany Zjednoczone dążeń przeważającej części Wietnamczyków. Miała zapewnić utrzymanie się przy władzy niepopularnych satelickich dyktatorów w południowej części kraju nawet za cenę ludobójstwa, gdy uznano to za konieczne.

Amerykanie nie przywykli do tego, by działania rządu Stanów Zjednoczonych nazywać „imperializmem”, ale jest to termin niezwykle trafny. W szerszym znaczeniu *imperializm* można zdefiniować jako agresję państwa A przeciwko mieszkańcom kraju B oraz następującą po niej okupację. W przykładzie, którym posłużyliśmy się wcześniej, utrzymująca się kontrola państwa Graustarku nad terenami stanowiącymi dawniej północno-wschodnią Belgravię jest właśnie przypadkiem takiego imperializmu. Ale imperializm nie musi występować w formie bezpośredniej władzy nad inną społecznością. W XX wieku forma pośrednia, „neoimperializm”, w coraz większym stopniu zastępuje staroświecką formę bezpośrednią. Posługując się nią, państwo imperialistyczne sprawuje władzę przez skuteczną kontrolę nad miejscowymi satelickimi kacykami. Tę wersję nowoczesnego imperializmu zachodniego trafnie demaskuje libertariański historyk Leonard Liggio:

Imperialistyczne panowanie państw Zachodu (...) narzuciło narodom świata podwójny lub wzmocniony system wyzysku – imperializm – w którym władze państw zachodnich wspierają lokalne klasy panujące w zamian za możliwość nałożenia dodatkowego wyzysku na istniejący wyzysk lokalnego państwa<sup>3</sup>.

Pogląd, że Ameryka jest od dawna imperialistycznym mocarstwem, rozpowszechnił się w ostatnich latach wśród historyków dzięki przekonującym pracom naukowym grupy wybitnych historyków rewizjonistycznych z Nowej Lewicy, którym przewodzi profesor William Appleman Williams. Jednakże ten sam pogląd wyznawali i konserwatyści, i klasyczni liberalni „izolacjoniści” z czasów drugiej wojny światowej i początków zimnej wojny<sup>4</sup>.

### ***Krytyka ze strony izolacjonistów***

Ostatnie nasilenie antyinterwencjonistycznych i antyimperialistycznych wystąpień izolacjonistów wywodzących się z szeregów starych konserwatystów i klasycznych liberałów miało miejsce w czasie wojny koreańskiej.

Konserwatysta George Morgenstern, najważniejszy autor artykułów wstępnych do *Chicago Tribune* oraz autor pierwszej rewizjonistycznej książki na temat Pearl Harbor, w prawniczym waszyngtońskim tygodniku

<sup>3</sup> Leonard P. Liggio, *Why the Futile Crusade?* (New York: Center for Libertarian Studies, 1978), s. 3.

<sup>4</sup> Wśród rewizjonistów „Nowej Lewicy”, oprócz samego Williamsa, na uwagę zasługują również tacy autorzy, jak: Gabriel Kolko, Lloyd Gardner, Stephen E. Ambrose, N. Gordon Levin, Jr., Walter LaFeber, Robert F. Smith, Barton Bernstein i Ronald Radosh. Do podobnych wniosków jak oni, ale w oparciu o inną tradycję rewizjonistyczną, doszli Charles A. Beard i Harry Elmer Barnes, libertarianin James J. Martin oraz klasyczni liberałowie John T. Flynn i Caret Garrett.

Ronald Radosh w dziele pt. *Prophets on the Right: Profiles of Conservative Critics of American Globalism* (New York: Simon & Schuster, 1975) z zachwytem opisuje sprzeciw konserwatywnych izolacjonistów wobec przystąpienia Stanów Zjednoczonych do drugiej wojny światowej. Justus D. Doenecke w licznych artykułach zebranych w jego dziele pt.: *Not to the Swift: The Old Isolationists in the Cold War Era* (Lewisburg, Pa.: Bucknell University Press, 1979) starannie i z życzliwością analizuje, jak izolacjoniści z czasów drugiej wojny światowej przeciwstawiali się

następnie zimnej wojnie w jej wczesnym stadium. Do wspólnego antyinterwencjonistycznego i antyimperialistycznego ruchu lewicy i prawicy wzywają Carl Oglesby i Richard Shaull, *Containment and Change* (New York: Macmillan, 1967). Krytyczną bibliografię pism izolacjonistów zawiera: Doenecke, *The Literature of Isolationism* (Colorado Springs, Colo.: Ralph Myles, 1972).

*Human Events* opublikował artykuł, który przedstawiał przerażające dane dotyczące imperialistycznych praktyk rządu Stanów Zjednoczonych od czasów wojny amerykańsko-hispańskiej aż do wojny koreańskiej. Jak zauważa Morgenstern, „egzaltowane brednie”, którymi prezydent McKinley uzasadniał konieczność wojny przeciwko Hiszpanii, „brzmia znajomo dla tych, którzy słuchali później ewangelicznych racjonalizacji Wilsona usprawiedliwiających przystąpienie do wojny w Europie albo Roosevelta obiecującego nowe tysiąclecie, (...) albo Eisenhowera sławiącego ‘krucjatę europejską’, która przerodziła się w rozgoryczenie, albo Trumana, Stevensona, Paula Douglasa z nowojorskiego *Timesa*, który wygłaszał kazania na temat świętej wojny w Korei”<sup>5</sup>.

Konserwatywny izolacjonista Joseph P. Kennedy w swoim znanym przemówieniu, wygłoszonym w momencie przesilenia, jakim było poddanie Korei Chińczykom pod koniec roku 1950, wezwał Stany Zjednoczone do wycofania się z Korei. Kennedy mówił: „Byłem oczywiście przeciwnikiem komunizmu, ale twierdziłem, że jeśli niektóre rejony Europy i Azji chcą komunizmu albo są zmuszone go przyjąć, to nic na to nie poradzimy”. Rezultaty zimnej wojny, doktryny Trumana i planu Marshalla były – według Kennedy’ego – katastrofalne. Nie przysporzyły one Ameryce przyjaciół, tylko przyniosły groźbę wojny w Europie i Azji. Kennedy przestrzegał, że:

(...) nigdy połowa świata nie podda się dyktatowi drugiej połowy. (...) Jaki mamy interes, żeby wspierać francuską politykę kolonialną w Indochinach, albo żeby realizować w Korei koncepcję demokracji pana Syngmana Rhee? Czy teraz wyślemy piechotę morską w góry Tybetu, żeby utrzymać na tronie dalajlamę?

Kennedy dodawał, że z powodu zimnej wojny obciążamy gospodarkę niepotrzebnym zadłużeniem. Jeśli w dalszym ciągu będziemy osłabiać gospodarkę „hojnymi datkami dla innych państw i ogromnymi wydatkami na wojny innych państw, przyspieszymy powtórkę z roku 1932 i zniszczenie systemu, który chcemy ocalić”.

W konkluzji Kennedy stwierdzał, że jedyną racjonalną drogą dla Ameryki jest całkowite odrzucenie polityki zimnej wojny: „wyjście z Korei”, z Berlina i z Europy. Stany Zjednoczone nie mogą powstrzymać armii rosyjskiej przed marszem na Europę i jeśli w Europie zapanuje komunizm, to komunizm „może się załamać pod własnym ciężarem (...). Im większą liczbą ludzi będzie rządził, tym bardziej rządzący będą musieli się uwiarygodnić wobec rządzonych. Im więcej narodów znajdzie się w jego niewoli, tym większe prawdopodobieństwo przewrotu”. I oto w tym samym czasie, gdy zwolennicy zimnej wojny przepowiadali powstanie wiecznego monolitu komunistycznego, Joseph Kennedy, wskazując drogę do ewentualnego rozłamu w świecie komunistycznym, zacytował marszałka Tito, który mówił, że „Mao raczej się nie podda rozkazom Stalina (...)”.

Kennedy zdawał sobie sprawę z tego, że taka polityka będzie oczywiście narażona na zarzut ustępliwości. „[Jednak] (...) czy wycofanie się z niemądrych przedsięwzięć jest ustępstwem? (...) Jeśli jest roztropne, byśmy w naszym interesie powstrzymali się od działań, które mogą spowodować na nas zagrożenie, i będzie to ustępstwem, to jestem zwolennikiem ustępstw”. W zakończeniu Kennedy mówił: „moje propozycje mogłyby uratować Amerykanów, którzy żyliby dla Ameryki, a nie ginęli w mroźnych górach Korei lub na równinach Niemiec Zachodnich, które pokryte są świążymi bliznami po bitwach”<sup>6</sup>.

Jednym z najzagorzalszych krytyków amerykańskiej polityki międzynarodowej po wojnie koreańskiej był doświadczony klasyczny liberał, dziennikarz Caret Garrett. Swoją broszurę zatytułowaną *The Rise of Empire* (1952) Garrett rozpoczyna od stwierdzenia: „Przekroczyliśmy granicę dzielącą republikę od imperium”. Nawiązując wyraźnie tą tezą do swojej znakomitej książki z lat trzydziestych *The Revolution Was*, w której zapowiada nastanie tyranii władzy wykonawczej i państwa w ramach republiki rządzącej się zasadami Nowego Ładu, Garrett ponownie dostrzega „rewolucję w ramach” starej republiki konstytucyjnej. Interwencję Trumana w Korei bez wypowiedzenia wojny Garrett nazywa na przykład „uzurpowaniem” sobie uprawnień przysługujących Kongresowi.

<sup>5</sup> George Morgenstern, "The Past Marches On", *Human Events* (22 kwietnia 1953). Rewizjonistyczna praca o Pearl Harbor to: Morgenstern, *Pearl Harbor: Story of a Secret War* (New York: Devin-Adair, 1947). Więcej informacji na temat konserwatywnych izolacjonistów i ich krytyki zimnej wojny można znaleźć w: Murray N. Rothbard, "The Foreign Policy of the Old Right", *Journal of Libertarian Studies* (zima 1978).

<sup>6</sup> Joseph P. Kennedy, "Present Policy is Politically and Morally Bankrupt", *Vital Speeches* (1 stycznia 1951), s. 170–173.

W swojej pracy Garrett przedstawił w ogólnych zarysach kryteria, oznaki nadejścia imperium. Pierwszą jest dominacja władzy wykonawczej; przejawiała się ona w niezatwierdzonej decyzji prezydenta o interwencji w Korei. Drugą jest podporządkowanie polityki wewnętrznej polityce zagranicznej. Trzecią – „wzrost nastrojów militarnych”. Czwartą – „system państw satelickich”. Wreszcie piątą – „kompleks pychy i strachu”, szczytowanie się nieograniczoną potęgą kraju połączone ze stałą obawą, obawą przed wrogiem, „barbarzyńcą”, a także przed niesolidnością satelickich sprzymierzeńców. Garrett uważa, że Stany Zjednoczone spełniają wszystkie te kryteria.

Po wykazaniu, że w Stanach Zjednoczonych można odnaleźć wszystkie oznaki imperium, Garrett dodaje, że Ameryka, tak jak imperia w przeszłości, uważa się za „więźnia historii”. Na fundamencie strachu wyrasta „zbiorowe bezpieczeństwo” i przekonanie o rzekomym powołaniu Ameryki do odgrywania szczególnej roli w świecie. Garrett kończy w ten sposób:

Teraz nasza kolej.

Nasza kolej, by co zrobić?

Nasza kolej, by przyjąć odpowiedzialność wynikającą z moralnego przywództwa na świecie.

Nasza kolej, by dbać o zapewnienie przeciwwagi dla sił zła na całym świecie – w Europie, Azji, Afryce, na Atlantyku i na Pacyfiku, w powietrzu i na morzu – przy czym zło w tym wypadku to barbarzyńcy z Rosji.

Nasza kolej, by utrzymywać pokój na świecie.

Nasza kolej, by uratować cywilizację.

Nasza kolej, by służyć ludzkości.

Ale to jest język imperium. Imperium rzymskie nigdy nie wątpiło, że stoi na straży cywilizacji. Jego intencją było utrzymywanie pokoju, praworządności i porządku. Imperium hiszpańskie dodało do tego jeszcze zbawienie. Ale im więcej doda się do tej listy, tym bardziej będzie ona reprezentować ten język. Język mocarstwa<sup>7</sup>.

### ***Wojna jako źródło siły państwa***

Wielu libertarian niechętnie zajmuje się sprawami polityki zagranicznej i woli oddawać się podstawowym zasadom teorii libertariańskiej albo takim sprawom „wewnętrznym” jak wolny rynek lub prywatyzacja usług pocztowych czy wywozu śmieci. Tymczasem krytyka wojny i polityki zagranicznej uprawianej w duchu wojennym ma dla libertarian podstawowe znaczenie. Są po temu dwa ważne powody. Jeden jest banalny, niemniej jednak bardzo prawdziwy: konieczność zapobieżenia zagładzie nuklearnej. Tradycyjnie wymieniano wiele moralnych i gospodarczych względów, które przemawiają przeciwko polityce międzynarodowej interwencji. Teraz doszła jeszcze stała groźba zniszczenia całego świata. Gdyby świat miał być zniszczony, wszystkie problemy i wszystkie „-izmy” – socjalizm, kapitalizm, liberalizm i libertarianizm – straciłyby wszelkie znaczenie. Dlatego pokojowa polityka zagraniczna i zażegnanie groźby nuklearnej mają pierwszorzędne znaczenie.

Drugim – obok groźby wojny jądrowej – powodem jest to, że – mówiąc słowami libertarianina Randolpha Bourne’a – „państwo czerpie z wojny swoje siły”. Wojna zawsze dawała państwu sposobność do znacznego – i zwykle nieodwracalnego – zwiększenia swojej władzy nad społeczeństwem. Wojna stanowi doskonały pretekst do zmobilizowania wszystkich sił i środków narodu – w imię patriotycznych hasel, pod egidą i pod rozkazami aparatu państwa. Dopiero w czasie wojny państwo ukazuje swoje prawdziwe oblicze: rozrasta się jego potęga, mnożą się jego zastępy, rośnie duma i krzepnie całkowita kontrola nad gospodarką i społeczeństwem. Społeczeństwo staje się stadem żądnym zabijania rzekomych wrogów; tępi i tłumi każde odstępstwo od oficjalnej polityki wojennej, nie waha się poświęcić prawdy w imię rzekomego interesu publicznego. Społeczeństwo zamienia się w obóz wojenny, przejmuje wartości i obyczaje właściwe dla – jak to ujął libertarianin Albert Jay Nock – „maszerującej armii”.

Na szczególną ironię zakrawa fakt, że wojna zawsze umożliwia państwu mobilizację energii obywateli pod hasłem spieszenia krajowi na ratunek i obrony przed bestialskimi siłami zewnętrznymi. Podstawowym mitem, którym posługuje się państwo dla wybielenia wojny, jest plotka, jakoby wojna była prowadzona *przez* państwo w obronie *jego* obywateli. Tymczasem jest dokładnie odwrotnie. Chociaż wojna daje państwu siły, to

<sup>7</sup> Gareth Garrett, *The People's Pottage* (Caldwell, Idaho: Caxton Printers, 1953), s. 158–159, 129–174. Więcej przykładów krytyki zimnej wojny ze strony antyimperialistów: konserwatystów i klasycznych liberałów zawiera: Doenecke, *Not to the Swift*, s. 79.

jest dla niego również śmiertelnym zagrożeniem. Państwo może „polec” tylko w wyniku kapitulacji lub rewolucji. Dlatego w przypadku wojny państwo mobilizuje histerycznie swoich obywateli do walki przeciwko innemu państwu w *swojej* obronie, stwarzając pozory, że to *ono* walczy w ich obronie<sup>8</sup>.

W historii Stanów Zjednoczonych wojna stanowiła w zasadzie główną sposobność do wzmocnienia panowania państwa nad społeczeństwem, a wiele regulacji wprowadzonych w czasie jej trwania obowiązywało już na stałe. Jak podawaliśmy wcześniej, w czasie wojny 1812 roku przeciwko Wielkiej Brytanii po raz pierwszy na dużą skalę wprowadzono inflacyjny system częściowej rezerwy bankowej. Również wtedy pojawiły się cła ochronne, krajowy podatek federalny, stała armia i marynarka wojenna. Bezpośrednim skutkiem inflacji czasu wojny było ponowne założenie banku centralnego, Drugiego Banku Stanów Zjednoczonych. Właściwie wszystkie te etatystyczne przepisy i instytucje zadomowiły się już na trwałe, i istniały nadal także po zakończeniu wojny. W wyniku wojny secesyjnej i związanego z nią praktycznie jednopartyjnego systemu utrwaliła się neomerkantylistyczna polityka wielkiego rządu i zasada subsydiowania różnych dużych przedsiębiorstw przez cła ochronne na różne produkty, przez wielkie nadania ziemi i inne dotacje dla kolei oraz przez wprowadzenie federalnego podatku akcyzowego i kontrolowanego przez rząd federalny systemu bankowego. Po raz pierwszy przeprowadzono pobór wojskowy i nałożono podatek dochodowy, stwarzając groźny precedens. Pierwsza wojna światowa przyniosła zmiany o decydującym znaczeniu i fatalnych skutkach. Nastąpił odwrót od gospodarki względnie wolnej, leseferystycznej ku obecnie panującemu systemowi korporacyjnych monopolii państwowych w polityce wewnętrznej i ciągłej interwencji w polityce zagranicznej. Kolektywistyczna wojenna mobilizacja gospodarki, której przewodził prezes Rady Przemysłu Wojennego Bernard Baruch, spełniła najnowsze marzenia dużych przemysłowców i postępowych intelektualistów o skartelizowanej i zmonopolizowanej gospodarce zarządzanej przez władze federalne w ścisłej współpracy z wielkim biznesem. Tymczasowy kolektywizm stał się drogowskazem i modelem dla wielkich przedsiębiorców i polityków korporacyjnych, którzy widzieli w nim wzór dla gospodarki Stanów Zjednoczonych w czasie pokoju. Król zaopatrzenia w żywność, sekretarz handlu i późniejszy prezydent Herbert C. Hoover pomógł wprowadzić w życie zasady trwale zmonopolizowanej gospodarki etatystycznej, a realizacji wizji dopełnił Franklin D. Roosevelt, wznawiając w czasie Nowego Ładu działanie wszystkich powołanych na czas wojny agencji rządowych, a nawet przywracając do pracy ich kadry<sup>9</sup>. Pierwsza wojna światowa zaowocowała także stałym interwencjonizmem, wzmocnieniem wprowadzonego właśnie Systemu Rezerwy Federalnej i podatku dochodowego, podwyższeniem budżetu federalnego, ustanowieniem powszechnego poboru i powstaniem ścisłych zależności między *boomem* gospodarczym, kontraktami wojennymi i pożyczkami dla państw zachodnich.

Druga wojna światowa stanowiła kulminację i spełnienie tych wszystkich dążeń. Franklin D. Roosevelt założył wreszcie Amerykanom dyby, spełniając gorące obietnice zawarte w programie polityki wewnętrznej i zagranicznej Wilsona: trwałego przymierza między wielkim rządem, wielkim biznesem i wielkimi związkami zawodowymi; trwałego i stale rozwijanego przemysłu zbrojeniowego; poboru; stałej i wzrastającej inflacji. Spełnił też obietnicę, że Ameryka będzie po wieczne czasy pełnić rolę światowego „żandarma” kontrrewolucji. Świat Roosevelta, Trumana, Eisenhowera, Johnsona, Nixona, Forda, Cartera (a między ich administracjami nie ma zasadniczych różnic) to „liberalizm korporacyjny”, realizacja ideału państwa korporacyjnego.

Na ironię zakrawa fakt, że konserwatyści, którzy przynajmniej werbalnie opowiadają się za gospodarką wolnorynkową, zachwyceni są potęgą naszego przemysłu zbrojeniowego (*military-industrial complex*). Tymczasem stanowi on największe wypaczenie wolnego rynku w dzisiejszej Ameryce. Zastępy naukowców i inżynierów odrywa się od podstawowych badań dla potrzeb cywilnych, od pracy na rzecz wzrostu wydajności i poprawy jakości życia konsumentów i posyła do realizacji bzdurnych, bezowocnych, nieefektywnych,

<sup>8</sup> Więcej na temat libertariańskiej teorii polityki zagranicznej można znaleźć w: Murray N. Rothbard, "War, Peace and the State," in *Egalitarianism As A Revolt Against Nature and other Essays* (Washington, D.C.: Libertarian Review Press, 1974), s. 70–80.

<sup>9</sup> Ku takiej interpretacji historii Ameryki w XX wieku skłania się ostatnio wielu rewizjonistycznych historyków. Na szczególną uwagę zasługują prace m.in. takich autorów, jak: Gabriel Kolko, James Weinstein, Robert Wiebe, Robert D. Cuff, William E. Leuchtenburg, Ellis D. Hawley, Melvin I. Urofsky, Joan Hoff Wilson, Ronald Radosh, Jerry Israel, David Eakins, i Paul Conkin—pozostający, podobnie jak w dziedzinie rewizji polityki zagranicznej, pod wpływem Williama Applemana Williamsa. Seria esejów reprezentujących takie podejście znajduje się w: Ronald Radosh, Murray N. Rothbard, eds., *A New History of Leviathan* (New York: Dutton, 1972).

bezproduktywnych programów na potrzeby wojska i lotów kosmicznych. Te bezsensowne projekty są tak samo zbędne jak piramidy budowane przez faraonów, ale nieskończenie bardziej szkodliwe niż te egipskie budowle. Nie przypadkiem ekonomia lorda Keynesa okazała się ekonomią państwa korporacyjnego liberalizmu. Keynesiści są zwolennikami wszelkich form wydatków rządowych – zarówno na piramidy, jak i na rakiety czy stalownie; każdy taki wydatek z definicji wpływa na wzrost produktu narodowego brutto – bez względu na to, jak bardzo jest marnotrawny. Dopiero od niedawna wielu liberałów zauważa zło, marnotrawstwo, inflację i militarizm, które keynesizm przyniósł Ameryce.

Gdy rosły wydatki rządu – zarówno na cele wojskowe, jak i na cywilne – naukę i przemysł w coraz większym stopniu zaprzęgano do realizacji bezproduktywnych celów i zmuszano do działania w sposób wysoce niewydajny. Na dalszy plan zszedł podstawowy cel, jakim jest możliwie najlepsze zaspokojenie potrzeb konsumentów, a coraz ważniejsze stawało się nadszkakiwanie rządowi w celu uzyskania od niego zamówień – często realizowanych na podstawie umów typu „cost-plus”<sup>\*</sup>, czyli powodujących marnotrawstwo. W kolejnych gałęziach przemysłu decydującego znaczenia nabierała polityka zamiast ekonomii. W miarę jak całe dziedziny produkcji i całe regiony kraju stawały się zależne od zamówień rządu i wojska, inwestowano olbrzymie kapitały w przedsięwzięcia, których celowość była znikoma. Nasza gospodarka uzależniła się od narkotyku, jakim są bezproduktywne i antyproduktywne wydatki rządu<sup>10</sup>.

Jednym z najbardziej spostrzegawczych i przewidujących krytyków przystąpienia Ameryki do drugiej wojny światowej był klasyczny liberał John T. Flynn. Swoją pracę *As We Go Marching* pisał podczas wojny, której tak bardzo chciał zapobiec. Twierdzi w niej, że Nowy Ład, który osiągnął swą pełną realizację w czasie wojny, przyczynił się do ustanowienia państwa korporacyjnego. Takiego państwa oczekiwały od początku dwudziestego wieku wiodące gałęzie wielkiego biznesu. „Ogólne założenie”, pisze Flynn, „polegało na tym, żeby życie społeczne zorganizować zgodnie z wymaganiami planowej gospodarki nakazowej, która miała zastąpić wolny rynek. Przedsiębiorstwa łączyłyby się w olbrzymie cechy albo gigantyczne struktury korporacyjne, częściowo zarządzane samodzielnie, a częściowo nadzorowane przez rząd, który wdrażałby swoje decyzje zgodnie z założeniami państwowej polityki gospodarczej. (...) Okazuje się, że ta wizja nie odbiega zaledwie od pomysłów zgłaszanych wcześniej przez biznes (...)”<sup>11</sup>.

Nowy Ład był próbą stworzenia takiego nowego społeczeństwa. Miały temu służyć Urząd Odrodzenia Narodowego (National Recovery Administration) i Urząd Reformy Rolnictwa (Agricultural Adjustment Administration)<sup>\*</sup> – potężne motory „zaprowadzenia porządku” z zadowoleniem przyjęte zarówno przez robotników, jak i przez biznes. Wraz z wybuchem drugiej wojny światowej ten kolektywistyczny program został odnowiony. Był to program „gospodarki wspieranej przez szeroką rzeszę całkowicie kontrolowanego pieniądza dłużnego, z urzędami planowania mającymi niemal totalitarną władzę biurokratyczną”. Flynn przepowiadał, że po wojnie Nowy Ład będzie miał tendencję do trwałego rozszerzenia tego systemu na sprawy międzynarodowe. Słusznie przewidywał, że olbrzymi rozwój wydatków rządu po wojnie będzie nadal związany przede wszystkim z wojskiem, ponieważ wydatkom na wojsko nie sprzeciwią się nigdy konserwatyści, a i robotnicy powitają je z zadowoleniem jako szansę na utworzenie nowych miejsc pracy. „Militaryzm jest rodzajem przedsięwzięcia publicznego, które ma tę wspaniałą właściwość, że porządkuje jednocześnie rozmaite elementy życia społecznego”<sup>12</sup>.

Flynn przewidział, że powojenna polityka amerykańska będzie „internacjonalistyczna”, to znaczy imperialistyczna. Imperializm „jest oczywiście internacjonalistyczny (..) w tym sensie, w jakim

---

<sup>\*</sup> Umowa, w której cenę usługi oblicza się na podstawie kosztów produkcji i dodaje pewien określony w umowie procent (*przypis tłumacza*).

<sup>10</sup> Na temat nieprawidłowości w gospodarce związanych z polityką wobec sektora zbrojeniowego – zobacz: Seymour Melman, ed., *The War Economy of the United States* (New York: St. Martin's Press, 1971).

<sup>11</sup> John T. Flynn, *As We Go Marching* (New York: Doubleday, Doran & Co., 1944), s. 193–194.

<sup>\*</sup> Ustanowione w latach 1933–1934 urzędy, których zadaniem było wprowadzenie regulacji dotyczących konkurencji, zatrudnienia, podstawowych upraw rolnych itp. Niektóre przepisy, na mocy których działały te agendy, zostały po pewnym czasie uchylone przez Sąd Najwyższy (*przypis tłumacza*).

<sup>12</sup> *Ibid.*, s. 198, 201, 207.



internacjonalistyczna jest wojna” i będzie występował jako konsekwencja militaryzmu. „Postąpimy podobnie, jak postępowały inne narody; będziemy podtrzymywać w ludziach strach przed agresywnymi zamiarami innych krajów i sami wplączemy się w imperialistyczne przedsięwzięcia”. Imperializm powoła do życia wiecznych „wrogów”, wywoła – jak to później ujmie Charles A. Beard – „nieustającą wojnę o nieustający pokój”. Jak zauważa bowiem Flynn, „zainstalowaliśmy na całym świecie bazy. (...) Nie ma zakątka Ziemi, gdzie nie upomnielibyśmy się o swoje interesy w razie wybuchu konfliktu. Po zakończeniu wojny takie zagrożenie musi stale dostarczać imperialistom argumentu za obecnością militarną w różnych miejscach świata i za utrzymywaniem olbrzymiej armii. Armia musi być gotowa do przeprowadzenia ataku w każdej części świata i do odparcia ataku wszystkich wrogów, których istnienie jest nam niezbędne”<sup>13</sup>.

Jednym z najbardziej poruszających opisów zmian, jakie odcisnęła na Ameryce druga wojna światowa, jest napisana po wojnie powieść Johna Dos Passosa *The Grand Design*. Dos Passos, przez całe życie radykał i indywidualista, przeszedł od postawy „skrajnie lewicowej” do „skrajnie prawicowej” za sprawą triumfalnego pochodu Nowego Ładu. Dos Passos w ten sposób wyraża swoje rozgoryczenie:

Zorganizowaliśmy w kraju banki krwi i obronę cywilną. Postanowiliśmy naśladować resztę świata, zakładając obozy koncentracyjne (nazywając je tylko ośrodkami przesiedleń), w których umieściliśmy obywateli amerykańskich pochodzenia japońskiego (...) nie przestrzegając zasady *habeas corpus* (...).

Prezydent Stanów Zjednoczonych był zdeklarowanym demokratą. Podobnie członkowie Kongresu. W administracji zasiadali gorący orędownicy swobód obywatelskich. „Teraz musimy się zająć wojną, ale później będziemy rozwijać wszystkie cztery rodzaje wolności”, stwierdzili. (...)

Wojna to czas Cezarów. (...)

Amerykanie mieli być wdzięczni za to, że wiek Prostego Człowieka odszedł w przeszłość i że znaleźli się za drutem kolczastym, tak im dopomóż Bóg.

Nauczyliśmy się. Nauczyliśmy się robić pewne rzeczy, ale nie nauczyliśmy się – pomimo konstytucji, Deklaracji Niepodległości, wielkich debat w Richmond i Filadelfii – w jaki sposób jednemu człowiekowi oddać władzę nad życiem innych i sprawić, by użył tej władzy mądrze<sup>14</sup>.

### ***Polityka zagraniczna Związku Sowieckiego***

Problemem obrony narodowej zajmowaliśmy się już w poprzednim rozdziale. Abstrahowaliśmy wówczas od zagadnienia, czy Rosjanie *rzeczywiście* są zdecydowani na zbrojny atak przeciwko Stanom Zjednoczonym. Od czasu drugiej wojny światowej amerykańska polityka wojskowa i zagraniczna – przynajmniej na poziomie werbalnym – opierała się na założeniu, że istnieje groźba ataku ze strony Rosji. Dzięki temu założeniu amerykańska polityka światowego interwencjonizmu oraz wydatki wojskowe idące w dziesiątki miliardów dolarów zyskały powszechną aprobatę społeczeństwa. Czy jednak to założenie jest realistyczne, czy jest dobrze uzasadnione?

Po pierwsze, nie ma wątpliwości, że Sowieci, podobnie jak wszyscy inni marksiści-leniniści, *chcieliby* zastąpić wszystkie istniejące systemy społeczne reżimami komunistycznymi. Ale oczywiście takie marzenie nie pociąga za sobą żadnej realistycznej groźby ataku – podobnie jak czyjeś złe intencje nie mogą stanowić podstaw do realistycznego przewidywania, że pociągną one za sobą agresję. Przeciwnie, sami marksiści-leniniści wierzą, że zwycięstwo komunizmu jest nieuchronne i *nie* zostanie przyniesione na bagnietach sił zewnętrznych, tylko pojawi się wraz z narastaniem napięcia i „sprzeczności” wewnątrz każdego społeczeństwa. Marksisci-leniniści uważają, że rewolucja wewnętrzna (lub według obowiązującej obecnie „eurokomunistycznej” wersji – demokratyczne zmiany) zmierzająca do wprowadzenia komunizmu jest nieunikniona. Jednocześnie utrzymują, że jakakolwiek próba przymusowego wprowadzenia komunizmu z zewnątrz byłaby w najlepszym razie podejrzana, a w najgorszym – wprowadzałaby zamieszanie i hamowała prawdziwe, naturalnie zachodzące przemiany w społeczeństwie. Pomysł „eksportu” komunizmu na bagnietach sowieckiego wojska jest całkowicie sprzeczny z teorią marksizmu-leninizmu.

---

<sup>13</sup> *Ibid.*, s. 212–213, 225–226.

<sup>14</sup> John Dos Passos, *The Grand Design* (Boston: Houghton Mifflin Co., 1949), s. 416–418.

Oczywiście nie twierdzimy, że przywódcy sowieccy nigdy nie zrobią niczego sprzecznego z teorią marksizmu–leninizmu. Jednakże w tej mierze, w jakiej pełnią oni rolę normalnych przywódców potężnego rosyjskiego państwa narodowego, nie stanowią aż takiego zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych. Jedyną podstawą, na której zwolennicy zimnej wojny opierają swoje twierdzenie o rzekomym sowieckim zagrożeniu, ma być wierność Związku Sowieckiego wobec teorii marksizmu–leninizmu i wobec ostatecznego celu tej ideologii, jakim jest ogólnoswiatowy triumf komunizmu. Gdyby przywódcy sowieccy działali jako zwykli rosyjscy dyktatorzy, kierujący się wyłącznie interesami własnego państwa narodowego, to cały fundament, na którym opiera się polityka odstraszenia Związku Sowieckiego jako diabolicznego źródła zagrożenia militarnego, legnie w gruzach.

Gdy w 1917 roku bolszewicy przejęli władzę w Rosji, nie myśleli za wiele o przyszłej sowieckiej polityce zagranicznej, ponieważ byli przekonani, że rewolucja komunistyczna ogarnie wkrótce rozwinięte uprzemysłowione kraje Europy Zachodniej. Gdy te nadzieje rozwiały się po zakończeniu pierwszej wojny światowej, Lenin i inni bolszewicy za podstawę polityki zagranicznej państwa komunistycznego przyjęli teorię „pokojuowego współlistnienia”. Pomysł był następujący: jako pierwszy zwycięski ruch komunistyczny Rosja Sowiecka będzie stanowiła drogowskaz i posłuży za wsparcie dla innych partii komunistycznych na świecie. *Jednocześnie* jednak państwo sowieckie *jako* państwo będzie utrzymywało pokojowe stosunki z wszystkimi innymi państwami i nie podejmie prób eksportowania komunizmu na drodze wojennej. Chodziło tu nie tylko o realizację teorii marksizmu–leninizmu, lecz także o wysoce praktyczny sposób na przetrwanie istniejącego państwa komunistycznego, które stanowiło naczelny cel polityki zagranicznej. Sposób ten polegał na tym, by nigdy nie doprowadzić do zagrożenia państwa sowieckiego przez sprowokowanie konfliktu między państwami. Inne kraje miały wprowadzić u siebie komunizm na drodze wewnętrznych przemian.

A zatem, przypadkowo, z mieszanki motywów teoretycznych i celów praktycznych Sowietów wypracowali politykę zagraniczną, którą libertarianie uznają za jedynie słuszną i uzasadnioną. Z biegiem czasu polityka ta ugruntowała się jeszcze dzięki „konserwatyzmowi” właściwemu wszystkim ruchom, które zdobędą władzę i utrzymają się przy niej przez pewien czas. Po jakimś czasie dążenie do utrzymania władzy nad narodem zaczyna spychać w cień początkowy ideał światowej rewolucji. Wzrost konserwatyzmu za Stalina i jego następców umocnił jeszcze zasadę powstrzymania się od agresji i „pokojuowego współlistnienia” w polityce zagranicznej.

Bolszewicy osiągnęli sukces właśnie dzięki temu, że byli dosłownie jedyną partią polityczną w Rosji, która od początku pierwszej wojny światowej wzywała głośno do natychmiastowego wycofania się Rosji z wojny. Posunęli się nawet dalej i nawoływali do poddania się „ich własnego” rządu („defetyzm rewolucyjny”), przez co stali się w społeczeństwie bardzo niepopularni. Gdy Rosja zaczęła ponosić olbrzymie straty wojenne, którym towarzyszyły masowe dezercje z frontu, i gdy wojna stała się skrajnie niepopularna, bolszewicy pod wodzą Lenina wciąż byli jedyną partią nawołującą do natychmiastowego zakończenia wojny. Inne partie nadal przysięgały, że będą walczyć z Niemcami aż do końca. Gdy władzę przejęli bolszewicy, Lenin wbrew historycznej opozycji, w której szeregach znalazła się nawet większość komitetu centralnego jego własnej partii, obstawał przy podpisaniu zawierającego „ustępstwa” traktatu pokojowego w Brześciu Litewskim w 1918 roku. W ten sposób Leninowi udało się wycofać Rosję z wojny, chociaż za cenę oddania zwycięskiej armii niemieckiej wszystkich terenów imperium rosyjskiego, które Niemcy w tym momencie okupowali (włącznie z Białorusią i Ukrainą). Lenin i bolszewicy rozpoczęli urzędowanie nie tylko jako partia pokoju, ale wręcz jako partia „pokoju za wszelką cenę”.

Po pierwszej wojnie światowej i przegranej Niemców nowe państwo polskie zaatakowało Rosję. Udało mu się zająć dużą część Białorusi i Ukrainy. Korzystając z zamieszania i wojny domowej w Rosji pod koniec wojny, różne inne kraje – Finlandia, Estonia i Łotwa – postanowiły odłączyć się od przedwojennego imperium rosyjskiego i ogłosić niepodległość. Leninizm nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do samostanowienia narodów i dla sowieckich przywódców było od początku jasne, że granice starego państwa rosyjskiego mają pozostać nienaruszone. Armia Czerwona odbiła Ukrainę nie tylko z rąk białych, ale też od ukraińskich nacjonalistów, a także od lokalnej armii anarchistycznej Nestora Machno. Jeśli chodzi o resztę, było oczywiste, że Rosja, podobnie jak Niemcy w latach dwudziestych i trzydziestych, była krajem „rewizjonistycznym” wobec powojennych postanowień wersalskich. Głównym motywem polityki zagranicznej obu tych państw była odbudowa terytorialna w granicach przedwojennych, które i Rosja, i Niemcy uważały za „prawdziwe” granice swoich państw. Należy zauważyć, że *wszystkie* partie i opcje

polityczne w Rosji i Niemczech, zarówno te u władzy, jak i te znajdujące się w opozycji, za wspólny cel miały odbudowę terytorium państwa.

Trzeba jednak podkreślić, że podczas gdy hitlerowskie Niemcy przedsięwzięły drastyczne środki w celu odzyskania utraconych ziem, ostrożni i konserwatywni przywódcy sowieccy nie zrobili w tym celu absolutnie niczego. Dopiero po zawarciu paktu Stalin–Hitler\* i podbiciu Polski przez Niemcy Sowieci odzyskali swoje utracone terytoria, nie narażając się już na żadne niebezpieczeństwo. W szczególności Rosjanie odzyskali Estonię, Łotwę i Litwę, a także należące od dawna do Rosji terytoria na Białorusi i Ukrainie, które stanowiły wschodnią część Polski. I zrobili to bez walki\*. Rosja została w ten sposób odbudowana w granicach sprzed pierwszej wojny światowej, z wyjątkiem terytoriów Finlandii. Finlandia była gotowa walczyć. W tym przypadku Rosja nie żądała ponownego wcielenia całej Finlandii, lecz tylko tych części Przesmyku Karelskiego, które były etnicznie rosyjskie. Gdy Finowie odrzucili te żądania, nastąpiła wojna zimowa (1939–1940) między Rosją i Finlandią, która zakończyła się odstąpieniem przez Finów rosyjskiej Karelii<sup>15</sup>.

22 czerwca 1941 roku Niemcy, po podbiciu całej Zachodniej Europy oprócz Wielkiej Brytanii, przypuścili nagły, zmasowany i niesprowokowany atak na Rosję Sowiecką. Był to akt agresji, w którym uczestniczyły również inne wschodnioeuropejskie państwa proniemieckie: Węgry, Bułgaria, Słowacja i Finlandia. Wkrótce miało się okazać, że ta ofensywa Niemców i ich sojuszników będzie jednym z przełomowych momentów w historii Europy. Stalin był tak dalece nieprzygotowany do wojny, tak bardzo wierzył w racjonalność niemiecko–rosyjskiego układu dotyczącego pokoju w Europie Wschodniej, że dopuścił do rozbicia armii rosyjskiej. Stalin do tego stopnia nie myślał o wojnie, że dzięki olbrzymiej przewadze Niemcy były bliskie zwycięstwa nad Rosją. Hitler, wiedziony syrenim śpiewem ideologii antykomunistycznej, porzucił drogę rozsądku i umiaru i rozpoczął batalię, która była początkiem jego ostatecznej klęski. Gdyby nie to, mógłby bez końca utrzymywać kontrolę nad Europą.

Zwolennicy zimnowojennej mitologii przyznają często, że Sowieci nie przejawiali agresji wobec innych państw do czasu drugiej wojny światowej. Są nawet zmuszeni tak utrzymywać, ponieważ większość zwolenników zimnej wojny z całego serca popiera przymierze Stanów Zjednoczonych i Rosji przeciwko Niemcom w czasie drugiej wojny. Twierdzą oni, że w czasie wojny i po jej zakończeniu Rosja stała się państwem ekspansjonistycznym i sięgnęła po panowanie nad Europą Wschodnią.

Taki zarzut nie bierze pod uwagę faktu o zasadniczym znaczeniu, mianowicie tego, że Niemcy wraz ze współnikami napadli na Rosję w czerwcu 1941 roku. Nie ma wątpliwości co do tego, że ta wojna została wywołana przez Niemców i ich sojuszników. Żeby pokonać najeźdźców Rosjanie musieli odeprzeć wrogie armie i podbić Niemcy oraz inne walczące u ich boku kraje Europy Wschodniej. Łatwiej jest powiedzieć, że Stany Zjednoczone praktykowały ekspansjonizm, okupując Włochy i część Niemiec, niż że czyniła to Rosja – mimo wszystko Stany Zjednoczone nigdy nie zostały przez Niemców zaatakowane bezpośrednio.

W trakcie drugiej wojny światowej trzech największych sojuszników, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Rosja, uzgodnili, że wszystkie zdobyte terytoria znajdą się pod wspólną potrójną okupacją wojskową. Stany Zjednoczone pierwsze złamały tę umowę w czasie wojny, nie pozwalając Rosjanom na odegranie jakiegokolwiek roli w okupacji Włoch. Pomimo tego poważnego naruszenia umowy Stalin konsekwentnie przejawiał więcej troski o konserwatywne interesy rosyjskie niż o wierność ideologii rewolucyjnej i wielokrotnie zdradzał miejscowe ruchy komunistyczne. W celu utrzymania pokojowych stosunków między Rosją i Zachodem Stalin konsekwentnie dążył do powstrzymania sukcesów różnych ruchów komunistycznych. Udało mu się to we Francji i Włoszech, gdzie partyzantka komunistyczna mogła bez trudu przejąć władzę po wycofujących się Niemcach. Ale Stalin odwiódł od tego miejscowych komunistów i przekonał ich, by weszli do rządów koalicyjnych, którym przewodziły partie antykomunistyczne. W obydwu

---

\* Autor ma zapewne na myśli umowę znaną w Polsce pod nazwą paktu Ribbentrop–Mołotow (23 VIII 1939) (*przypis tłumacza*).

\* Cały wywód Rothbarda na temat rzekomo pokojowej polityki Związku Sowieckiego jest oczywiście mocno kontrowersyjny. Teza o tym, że w roku 1939 Sowieci zajęli wschód Polski bez walki, podobnie jak twierdzenie, że wojna 1920 roku była agresją Polski i innych państw przeciwko Rosji Sowieckiej, jest – najdelikatniej mówiąc – daleko idącym uproszczeniem. Podobnie wybielony obraz sowieckiej polityki wyłania się z następnych akapitów, co polskiego czytelnika wprawi zapewne w zadumę (*przypis tłumacza*).

<sup>15</sup> Pouczające spojrzenie na konflikt rosyjsko–fiński daje praca Maxa Jakobsona *The Diplomacy of the Winter War* (Cambridge: Harvard University Press, 1961).

krajach komuniści zostali szybko wyrzuceni z koalicji. W Grecji, gdzie partyzantka komunistyczna omal nie *przejęła* władzy, Stalin ostatecznie ich pograżył, opuszczając ich i wzywając do oddania władzy w ręce wkraczających właśnie wojsk brytyjskich.

W innych krajach, zwłaszcza tam, gdzie grupy partyzantów komunistycznych były silne, komuniści kategorycznie sprzeciwili się żądaniom Stalina. W Jugosławii zwycięski Tito odrzucił rozkaz Stalina, by podporządkować się antykomunistycznemu Michajłowiczowi i wejść do rządu koalicyjnego. Mao odmówił wykonania podobnego polecenia, by podporządkować się Chiang Kai-shekowi. Niewątpliwie te przypadki odmowy były załącznikiem późniejszych niezwykle ważnych prądów schizmatycznych w łonie światowego ruchu komunistycznego.

Tak więc Rosja sprawowała władzę na terenie Europy Wschodniej, jako okupant wojskowy po zwycięstwie odniesionym w wojnie, którą prowadzono przeciwko niej. Pierwotnym celem Rosji nie było komunizowanie wschodniej Europy przy użyciu bagnetów. Jej celem było uzyskanie gwarancji, że Europa Wschodnia nie stanie się szeroką bramą dla ewentualnego najazdu na Rosję, tak jak miało to miejsce trzy razy w tym stuleciu – ostatnio w czasie wojny, w której zginęło ponad 20 milionów Rosjan. Rosja chciała mieć przy swojej granicy państwa, które nie byłyby antykomunistyczne w sensie wojskowym i których terytoria nie zostałyby wykorzystane jako trampolina do kolejnego najazdu. Sytuacja polityczna w Europie Wschodniej była tego rodzaju, że Rosja mogła ufać tylko niekomunistycznemu rządowi stosunkowo nowoczesnej Finlandii, co dawało szansę na rozwój pokojowych stosunków dwustronnych z tym krajem. Po stronie fińskiej osiągnięto taką sytuację dzięki zabiegom jednego dalekowzrocznego męża stanu, którym był przywódca chłopski Julio Paasikivi. To, że Rosja była skłonna wycofać swoje wojska z Finlandii i nie obstawała przy wprowadzeniu komunizmu w tym kraju, Finlandia zawdzięczała i zawdzięcza polityce prowadzonej według „wytycznych Paasikiviego”. Okazało się to możliwe, mimo że w ciągu poprzednich sześciu lat Rosja stoczyła z Finlandią dwie wojny.

Nawet w innych państwach wschodnioeuropejskich przez kilka lat po wojnie Rosja poprzestała na wprowadzeniu rządów koalicyjnych. Skomunizowała je w pełni w roku 1948, po trzech latach bezlitosnej zimnej wojny, za pomocą której Ameryka usiłowała zmusić Rosję do opuszczenia tych krajów. Z innych rejonów, z Austrii, Azerbejdżanu, Rosjanie wycofali się bez ociągania.

Zwolennicy zimnej wojny mają kłopoty z wyjaśnieniem rosyjskich działań w Finlandii. Jeśli Rosja jest zdecydowana wprowadzać komunizm zawsze i wszędzie, gdzie tylko to możliwe, to czemu zastosowała „miękką strategię” wobec Finlandii? Jedynym wiarygodnym wyjaśnieniem jest to, że Rosji chodzi tylko o ochronę swojego państwa narodowego przed atakiem, natomiast światowe zwycięstwo komunizmu znajduje się na znacznie dalszym miejscu wśród priorytetów polityki zagranicznej.

Zwolennicy polityki zimnowojennej nigdy nie mogli wytłumaczyć ani pogodzić się z faktem, że w łonie światowego ruchu komunistycznego istnieją głębokie podziały. Jeśli komunistów ożywia ta sama ideologia, to wszyscy komuniści na całym świecie powinni stanowić jeden wielki monolit, który ze względu na chronologicznie pierwsze zwycięstwo bolszewików byłby podporządkowany Moskwie lub jej „agentom”. Gdyby komuniści kierowali się głównie niewolniczym przywiązaniem do marksizmu-leninizmu, to skąd by się wziął głęboki podział między Rosją i Chinami, który każe na przykład Rosjanom utrzymywać w gotowości bojowej milion żołnierzy na granicy chińsko-rosyjskiej? Skąd bierze się wrogość między komunistycznymi państwami Jugosławii i Albanii? Jakie są przyczyny zbrojnego konfliktu między komunistami kambodżańskimi a wietnamskimi? Oczywiście dzieje się tak dlatego, że gdy ruch rewolucyjny przejmie władzę w państwie, szybko nabiera cech klasy panującej, kierującej się klasowym interesem, jakim jest utrzymanie władzy. Dążenie do ogólnoswiatowej rewolucji powoli znika z jego pola widzenia, by w końcu całkowicie utracić znaczenie. Ponieważ zaś elity państw miewają spreczne interesy dotyczące władzy i pieniędzy, to nie jest niczym dziwnym, że konflikty między komunistami przerodziły się w konflikty lokalne.

Po zwycięstwie nad Niemcami i ich sojusznikami w drugiej wojnie światowej Sowieci kontynuowali zachowawczą politykę wojskową. Swoich sił zbrojnych używali wyłącznie do *obrony własnych* terytoriów w bloku komunistycznym, a nie do zdobywania nowych terenów. Gdy Węgry zagroziły wystąpieniem z bloku komunistycznego w 1956 roku, a Czechosłowacja – w 1968 roku, Sowieci odpowiedzieli interwencją zbrojną. Postąpili tym samym nagannie, ale nadal działali w sposób zachowawczy i obronny, a nie ekspansjonistyczny. (Jak się wydaje, Sowieci poważnie zastanawiali się nad zajęciem Jugosławii, gdy Tito wyprowadził ją z bloku

sowieckiego, ale odstraszały ich doskonale umiejętności prowadzenia wojny partyzanckiej, jakimi mogła się pochwalić armia jugosłowiańska). W żadnym przypadku Rosja nie użyła sił zbrojnych do rozszerzenia swojego bloku lub do podbicia kolejnych terytoriów.

Profesor Stephen F. Cohen, dyrektor programowy studiów rosyjskich w Princeton, opisał ostatnio naturę sowieckiej zachowawczości w polityce zagranicznej:

Może się wydawać niedorzecznością, że system, który zrodził się z rewolucji i który nadal głosi rewolucyjne hasła, stał się jednym z najbardziej konserwatywnych systemów na świecie. Złożyły się na to różne czynniki uważane za kluczowe dla polityki sowieckiej: biurokratyczne tradycje rządu rosyjskiego z czasów przedrewolucyjnych; późniejsza biurokratyzacja życia w państwie sowieckim, która rozpowszechniła konserwatywne normy i wykształciła klasę okopanych na swoich pozycjach, zagorzałych obrońców przywilejów urzędniczych; geriatryczna natura obecnie panującej elity; a nawet oficjalna ideologia, której głównym zadaniem już od wielu lat nie jest budowanie nowego ładu społecznego, tylko wychwalanie istniejącego porządku.

Innymi słowy, zasadniczą ideą sowieckiego konserwatyizmu jest obecnie zachowanie stanu posiadania w kraju i zagranicą i nienarażanie go na szwank. Konserwatywny rząd zdolny jest oczywiście do przeprowadzenia niebezpiecznych akcji wojskowych, jak widzieliśmy w Czechosłowacji (...), ale działania te noszą cechy imperialnego protekcjonizmu, są rodzajem militarystyki obronnej, a nie rewolucyjnej lub zaborczej. Prawdą jest oczywiście, że dla większości przywódców sowieckich, podobnie jak zapewne dla większości ich odpowiedników amerykańskich, odprężenie nie jest wyrazem altruizmu, tylko leży w narodowym interesie. W pewnym sensie napawać to może smutkiem. Z drugiej jednak strony działanie powodowane wzajemnymi korzyściami daje zapewne większą szansę na odprężenie niż podniosły i w ostatecznym rachunku pusty altruizm<sup>16</sup>.

Również niewątpliwie antykomunistycznie nastawiony był dyrektor CIA William Colby uważa, że dominującym celem Sowietów jest zapewnienie sobie bezpieczeństwa i uniknięcie kolejnego katastrofalnego najazdu na swoje terytorium. Oto co zeznawał Colby przed senacką komisją ds. stosunków międzynarodowych:

[U Sowietów] widoczna jest troska, a nawet paranoja na punkcie własnego bezpieczeństwa. Widoczne jest usilne dążenie do tego, by nigdy nie dopuścić do kolejnego najazdu i zamieszania, jakiego doświadczyli ostatnio i jaki nieraz miał miejsce w przeszłości. (...) Myślę, że (...) chcą się zabezpieczyć z nadmiarem, żeby mieć absolutną pewność, że to się nie powtórzy (...)<sup>17</sup>.

Nawet Chińczycy, mimo całej swojej buńczuczności, uprawiają zachowawczą i spokojną politykę zagraniczną. Nie dość, że nie udało im się zająć Tajwanu, który uznawany jest przez inne państwa za część Chin, to małe przybrzeżne wysepki Quemoy i Matsu zostawili w rękach Chiang Kai-sheka. Nie podjęli żadnych kroków przeciwko okupowanym przez Wielką Brytanię i Portugalię enklawom Hongkongu i Makao. Chińska inwazja komunistycznego Wietnamu okazała się krótkotrwałym incydentem zakończonym jednostronnym odwrotem. Chiny już wcześniej zachowały się niecodziennie, gdy ogłosiły *jednostronne* zawieszenie broni i wycofanie wojsk na własne terytorium po łatwym zwycięstwie nad armią indyjską w nasilającej się wojnie przygranicznej<sup>18</sup>.

### ***Unikanie aprioryzmu w historii***

W zaakceptowaniu analizy przedstawionej w tym rozdziale może przeszkadzać jeszcze jeden mit, który funkcjonuje powszechnie w Ameryce, nawet wśród niektórych libertarian. Jest nim wysunięta przez Woodrowa Wilsona teza, że państwa demokratyczne z konieczności miłują pokój, a dyktatury są systemami nieuchronnie zmierzającymi do wojny. Teza ta służyła oczywiście jako bardzo wygodne rozgrzeszenie dla

<sup>16</sup> Stephen F. Cohen, "Why Detente Can Work", *Inquiry* (19 grudnia 1977), s. 14–15.

<sup>17</sup> Cytat za: J. Barnet, "The Present Danger: American Security and the U.S.–Soviet Military Balance", *Libertarian Review* (listopad 1977), s. 12.

<sup>18</sup> Zobacz: Neville Maxwell, *India's China War* (New York: Pantheon Books, 1970). Zajęcie przez Chiny Tybetu i stłumienie powstania narodowego też nie podważa naszej tezy. Również Chiang Kai-shek – podobnie jak od wieków wszyscy Chińczycy – uważał Tybet za część Wielkich Chin. Działania Chin na tym polu wynikały z tych samych zachowawczych pobudek właściwych dla państwa narodowego, co przedstawione wcześniej działania Sowietów.

Wilsona, który wciągnął Amerykę w niepotrzebną, potworną wojnę. pPoza tym jednak nie przemawiają za nią żadne dowody. Wiele dyktatur kierowało swą aktywność do wewnątrz, oddając się mniej ryzykownemu gnębieniu własnych obywateli. Wśród przykładów można wymienić dawną Japonię, komunistyczną Albanię i niezliczone współczesne dyktatury Trzeciego Świata. Dyktator Ugandy Idi Amin jest prawdopodobnie najbardziej brutalnym i bezwzględny dyktatorem w dzisiejszych czasach, a nie przejawia żadnej chęci, by zaatakować sąsiednie kraje i tym samym narazić na niebezpieczeństwo swój reżim. Z drugiej strony Wielka Brytania, kraj niewątpliwie demokratyczny, w wieku XIX i wcześniej narzucała swoje imperialne zwierzchnictwo krajom na całej ziemi.

Teoretyczne dociekania dotyczące tego, czy wybrać demokrację czy dyktaturę, pomijają fakt, że zasadniczą kwestią jest władza państwa – każdego państwa – nad obywatelami i przysługujące mu prawo decydowania o wojnie i pokoju. We *wszystkich* państwach, bez względu na to, czy są formalnie demokracjami, dyktaturami czy jeszcze innymi systemami, rządzą elity. Decyzja o wypowiedzeniu w konkretnej sytuacji wojny innemu państwu zależy od skomplikowanej sieci wzajemnie powiązanych czynników, m.in. od temperamentu rządzących, od siły ich wrogów, od motywów przemawiających za podjęciem wojny, od opinii publicznej. Opinia publiczna musi być brana pod uwagę w przypadku obydwu ustrojów, a jedyna różnica między podejmowaniem decyzji o wojnie w demokracji i w dyktaturze polega na tym, że w przypadku tej pierwszej konieczna jest bardziej intensywna propaganda, by skłonić obywateli do zaakceptowania decyzji. Wzmocniona propaganda jest konieczna w każdym przypadku – jak wiadomo nad urabianiem opinii zawzięcie pracują wszystkie nowoczesne państwa prowadzące wojnę. Ale państwo demokratyczne musi pracować więcej i szybciej. Musi się także w większym stopniu opierać na hipokryzji przy wymyślaniu chwytów propagandowych, które odwoływałyby się do powszechnie uznawanych wartości, takich jak: sprawiedliwość, wolność, interes narodowy, patriotyzm, pokój na świecie itd. W państwach demokratycznych sztuka propagandowego urabiania obywateli musi być nieco bardziej wymyślna i wyrafinowana. To jednak – jak widzieliśmy – dotyczy *wszystkich* decyzji rządu, a nie tylko spraw wojny i pokoju. Każdy rząd – ale szczególnie rząd demokratyczny – musi ciężko pracować, by przekonać swoich poddanych o tym, że ciemiężą ich *naprawdę* w ich najlepiej pojętym interesie.

To, co powiedzieliśmy na temat demokracji i dyktatury, odnosi się również do braku korelacji między stopniem wolności wewnętrznej w danym kraju a jego agresywnością wobec innych państw. W niektórych krajach panuje względnie duży zakres swobód wewnętrznych, choć na zewnątrz przejawiają dużą dozę agresji. W innych państwach totalitarne rządy wewnątrz kraju nie przeszkadzają w uprawianiu pokojowej polityki zagranicznej. Potwierdzają to przykłady Ugandy, Albanii, Chin, Wielkiej Brytanii itd.

Libertarianie i reszta Amerykanów muszą się zatem wystrzegać uprawiania apriorycznej historii: w tym przypadku chodzi o to, by nie przyjmować założenia, że państwo, które jest bardziej demokratyczne lub które zapewnia większe swobody wewnętrzne, musi być lub jest z założenia ofiarą agresji dokonanej przez państwo o ustroju bardziej dyktatorskim lub totalitarnym. Nie ma po prostu żadnych historycznych dowodów na potwierdzenie takiego przypuszczenia. Przy rozstrzyganiu względnych racji, względnego stopnia agresji w sporze na arenie międzynarodowej niezastąpione jest szczegółowe empiryczne badanie samego sporu. Nie będzie więc wielką niespodzianką, jeśli w wyniku takiego badania okaże się, że demokratyczne i cieszące się względnie dużymi swobodami Stany Zjednoczone uprawiały znacznie bardziej agresywną i imperialistyczną politykę zagraniczną niż względnie totalitarna Rosja i Chiny. I odwrotnie – pochwała państwa za to, że w polityce zagranicznej jest mało agresywne, w żadnym razie nie oznacza, iż obserwator sympatyzuje z dokonaniem tego państwa na arenie wewnętrznej. Jest sprawą niezwyklej wagi, kwestią życia i śmierci, żeby Amerykanie potrafili spojrzeć chłodnym okiem na dokonania swojego rządu w dziedzinie polityki zagranicznej, żeby uwolnieni od mitów przyjrzeni im się dokładnie, tak jak umieją to w coraz większym stopniu zrobić przy ocenie polityki wewnętrznej. Wojna i rzekome „zagrożenie zewnętrzne” stanowią od dawna główny sposób na zdobywanie przez państwo lojalności swoich obywateli. Jak widzieliśmy, wojna i militarystyka stały się gwoździem do trumny klasycznego liberalizmu. Nie możemy pozwolić państwu, żeby kiedykolwiek udało mu się ponownie użyć tego podstępu<sup>19</sup>.

### ***Program polityki zagranicznej***

<sup>19</sup> Krytykę najnowszych prób wyjęcia z lamusa zimnowojennego straszaka sowieckiego zagrożenia militarnego przeprowadza Barnett w: *The Present Danger*.

Podsumowując naszą dyskusję: pierwszym punktem libertariańskiego programu w polityce zagranicznej musi być wezwanie Stanów Zjednoczonych do porzucenia polityki światowego interwencjonizmu, do natychmiastowego i całkowitego wycofania się – w wymiarze wojskowym i politycznym – z Azji, Europy, Ameryki Łacińskiej i Bliskiego Wschodu, *zawszqd*. Amerykańscy libertarianie powinni głośno nawoływać do niezwłocznego wycofania się Stanów Zjednoczonych ze wszystkich przedsięwzięć, w które zaangażowany jest rząd USA. Stany Zjednoczone powinny zdemontować swoje bazy, wycofać żołnierzy, zaprzestać nieustannego mieszania się do polityki innych państw i rozwiązać CIA. Powinny również zaprzestać udzielania pomocy zagranicznej, która jest po prostu sposobem na zmuszenie podatnika amerykańskiego do subsydiowania amerykańskiego eksportu i dotowania faworyzowanych państw, a wszystko to w imię „niesienia pomocy głodującym”. Rząd Stanów Zjednoczonych powinien ograniczyć swoje działanie do realizowania polityki całkowitej „izolacji” albo neutralności wobec wszystkich.

W latach trzydziestych w tym samym „ultraizolacjonistycznym” libertariańskim duchu wypowiadał się na temat polityki zagranicznej emerytowany generał korpusu piechoty morskiej Smedley D. Butler. Pod koniec roku 1936 generał Butler zaproponował – o czym już się nie pamięta – wprowadzenie poprawki do konstytucji, która napęłniłaby radością serca libertarian, gdyby tylko potraktowano ją poważnie. Poniżej przytaczamy w całości propozycję poprawki konstytucyjnej autorstwa Butlera:

1. Niniejszym zabrania się przemieszczania z jakichkolwiek przyczyn oddziałów wchodzących w skład lądowych sił zbrojnych poza granice kontynentalnego terytorium USA i strefy Kanału Panamskiego.
2. Jednostki marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych oraz jednostki należące do innych formacji zbrojnych nie mają prawa oddalać się z jakichkolwiek powodów od naszych wybrzeży na odległość większą niż 500 mil, chyba że zaistnieje konieczność podjęcia akcji ratunkowej.
3. Samoloty armii, marynarki wojennej i piechoty morskiej nie mają prawa latania w żadnym celu na odległość większą niż 750 mil od wybrzeża Stanów Zjednoczonych<sup>20</sup>.

## Rozbrojenie

A zatem naczelnym postulatem libertariańskiej polityki zagranicznej jest ścisły izolacjonizm i neutralność, a także uznanie, że państwo amerykańskie ponosi największą odpowiedzialność za zimną wojnę i za udział we wszystkich innych konfliktach, jakie miały miejsce w tym stuleciu. Jaką politykę wojskową miałyby prowadzić Stany Zjednoczone, gdyby znalazły się już w izolacji? Wielu pierwszych izolacjonistów opowiadało się także za tym, by „uzbroić się po zęby”. Ale w dobie nuklearnej taki program nadal byłby obciążony ryzykiem światowej zagłady oraz umożliwiałby państwu dysponowanie potężną bronią, a bezsensowne wydatki rządu powodowałyby olbrzymie obciążenie gospodarki marnotrawstwem i błędami.

Nawet z czysto wojskowego punktu widzenia Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki mają dość siły, by wielokrotnie zniszczyć się nawzajem. Dla zachowania swojej siły odwetowej Stanom Zjednoczonym wystarczyłyby niezniszczalne okręty podwodne Polaris wyposażone w wielozadaniowe pociski jądrowe. Ale libertarianinowi, a w zasadzie każdemu, kto obawia się totalnej zagłady jądrowej, nie wystarczy rozbrojenie nuklearne z wyłączeniem łodzi podwodnych Polaris. Światowy pokój nadal by zależał od chwiejnej „równowagi strachu”, równowagi, którą może w każdej chwili zburzyć przypadek albo działanie szaleńca, który znajdzie się u władzy. Nie, jeśli chcemy czuć się bezpieczni i oddalić zagrożenie nuklearne, musimy dążyć do rozbrojenia nuklearnego w skali całego świata. Traktat SALT z roku 1972 i i negocjacje SALT II są tylko nieśmiałym wstępem do takiego rozbrojenia.

W interesie wszystkich ludzi, nawet przywódców państw, leży, by *nie* zginąć w zagładzie nuklearnej. Ten wzajemny interes daje silną racjonalną podstawę do budowania i realizowania wspólnej polityki światowego „powszechnego i całkowitego rozbrojenia” w zakresie broni jądrowej i innych nowoczesnych broni masowego rażenia. Takie wspólne rozbrojenie jest możliwe do przeprowadzenia od czasu, gdy Związek Sowiecki zaakceptował 10 maja 1955 roku zachodnie propozycje w tej sprawie. Akceptacja ta spowodowała tylko całkowite i paniczne wycofanie się Zachodu z jego własnej propozycji<sup>21</sup>!

<sup>20</sup> *The Woman's Home Companion* (wrzesień 1936), s. 4. Przedruk w: Mauritz A. Hallgren, *The Tragic Fallacy* (New York: Knopf, 1937), s. 194.

<sup>21</sup> Szczegóły haniebnego zachowania się Zachodu w tych negocjacjach i sprostowanie ich obrazu odmalowanego w amerykańskiej prasie znajdują się w: Philip Noel-Baker, *The Arms Race* (New York: Oceana Publications, 1958).

Strona amerykańska przez długi czas utrzymywała, że my chcieliśmy rozbrojenia i inspekcji, a Sowieci domagali się rozbrojenia bez inspekcji. Prawdziwa wersja jest zupełnie inna: od maja 1955 roku Związek Sowiecki opowiadał się za całkowitym rozbrojeniem i nieograniczoną inspekcją wszelkich urządzeń podlegających rozbrojeniu; tymczasem Amerykanie chcieli nieograniczonej inspekcji przy jednoczesnym braku rozbrojenia lub z minimalnym rozbrojeniem! Do tego sprowadzała się zgłoszona przez Eisenhowera spektakularna, ale merytorycznie nieuczciwa propozycja „otwartego nieba”, która zastąpiła propozycje rozbrojeniowe wycofane natychmiast po ich zaakceptowaniu przez Sowietów w maju roku 1955. Nawet teraz, gdy zasada otwartego nieba została wcielona w życie dzięki amerykańskim i sowieckim satelitom, kontrowersyjny układ SALT z roku 1972 nie mówi nic o rozbrojeniu, tylko o ograniczeniu rozbudowy potencjałów nuklearnych. Ponieważ potęga strategiczna Stanów Zjednoczonych opiera się na broni jądrowej i siłach powietrznych, należy się spodziewać, że Związek Sowiecki przejawia szczere zamiary w każdym porozumieniu, które przewiduje likwidację rakiet jądrowych i bombowców strategicznych.

Konieczne jest nie tylko wspólne rozbrojenie nuklearne, ale także rozbrojenie w zakresie wszelkiego sprzętu, który służy do rażenia ponad granicami państw; dotyczy to zwłaszcza bombowców. Właśnie taka broń, jak rakiety i bombowce, powoduje olbrzymie zniszczenia i nigdy nie może być użyta precyzyjnie, w taki sposób, żeby uniknąć strat wśród niewinnej ludności cywilnej. Ponadto całkowity zakaz rakiet i bombowców *zmusiłby* wszystkie rządy, w tym rząd amerykański, do izolacjonizmu i neutralności. Tylko odbierając rządowi broń ofensywną, można je zmusić do uprawiania pokojowej polityki izolacjonistycznej. Oczywiście wobec czarnej historii dokonań wszystkich rządów, z rządem amerykańskim włącznie, byłoby głupotą pozostawianie tych narzędzi masowej zbrodni i zniszczenia w rękach rządzących. Nierozsądnie byłoby wierzyć władzom, że nigdy nie użyją tych potwornych broni. Gdyby użycie takiej broni było bezprawne, to po co rząd miałby ją – gotową do użycia – przetrzymywać w swoich niezbyt czystych łapach?

Różnicę między konserwatywnym a libertariańskim stanowiskiem wobec wojny i amerykańskiej polityki zagranicznej doskonale oddaje dyskusja Williama F. Buckleya Jr. z libertarianinem Ronaldem Hamowym, którą prowadzili, gdy odradzał się współczesny ruch libertariański. Szydząc z libertariańskiej krytyki konserwatywnych poglądów na politykę zagraniczną, Buckley pisał: „W każdym społeczeństwie jest miejsce dla ludzi, których interesują tylko własne myśli. Ale powinni oni zdawać sobie sprawę z tego, że tylko dzięki konserwatystom, gotowym poświęcić się dla odparcia [sowieckiego] nieprzyjaciela mogą siedzieć zadowoleni w swojej pustelni i organizować krzykliwe zebranka na temat prywatyzacji zakładów oczyszczania miasta”. Hamowy odpowiedział na to celnie:

Być może zostanie mi to poczytane za nieuprzejmość, ale nie mogę złożyć panu Buckleyowi podziękowań za to, że ratuje mi życie. Obawiam się ponadto, że jeśli pozostanie on przy swoim stanowisku i nadal – nieproszony – będzie udzielał mi pomocy, to najprawdopodobniej doprowadzi do mojej śmierci (a także śmierci dziesiątek milionów innych ludzi) w wojnie jądrowej lub do uwięzienia mnie jako nie-Amerykanina. (...)

Bardzo sobie cenię swoją wolność osobistą i właśnie dlatego twierdzę z naciskiem, że nikt nie ma prawa przymuszać innych do podążania za swoimi wyborami. Pan Buckley uważa, że lepiej być martwym niż czerwonym. Ja też. Ale uważam, że wszyscy ludzie mają prawo dokonać własnego wyboru w tej sprawie. Zagłada nuklearna byłaby wyborem dokonany w ich imieniu<sup>22</sup>.

Można dodać, że każdy jest uprawniony do dokonywania osobistych wyborów dotyczących tego, czy „lepiej być martwym niż czerwonym”, albo rozstrzygnięć typu „dajcie mi wolność albo śmierć”. *Nie* jest natomiast uprawniony do podejmowania tych decyzji *za* innych, jak by tego chcieli prowokacyjnie nastawieni konserwatyści. W gruncie rzeczy konserwatyści mówią tak: „Lepiej, żeby *oni* byli martwi niż czerwoni” oraz „dajcie mi wolność albo dajcie *im* śmierć”. Nie są to zawołania bitewne padające z ust szlachetnych bohaterów, lecz okrzyki ludobójców.

W jednej sprawie pan Buckley ma rację: w dobie atomowej należy więcej uwagi poświęcać niebezpieczeństwu wojny niż prywatyzacji zakładów oczyszczania miasta, choć i to zagadnienie nie jest bez znaczenia. Ale jeśli tak postąpimy, to nieuchronnie dojdziemy do wniosku, który będzie zaprzeczeniem konkluzji Buckleya. Zrozumiemy, że ponieważ nowoczesna broń raketowa *nie może* być bronią precyzyjnego rażenia, która nie powodowałaby strat wśród ludności cywilnej, to należy wykluczyć samo jej istnienie.

<sup>22</sup> Ronald Hamowy i William F. Buckley Jr., „National Review: Criticism and Reply”, *New Individualist Review* (listopad 1961), s. 9, 11.



Rozbrojenie w zakresie broni atomowej i rakietowej staje się wielkim i naczelnym dobrem, do którego należy dążyć dla niego samego z jeszcze większym zapalem niż do prywatyzacji miejskich zakładów oczyszczania.

## Część III: Epilog

### Rozdział 15: Strategia dla wolności

#### *Edukacja: teoria i działanie*

Tak oto doszliśmy do prawdy, która ma solidny fundament teoretyczny i którą można stosować do rozwiązywania naszych problemów politycznych – do nowego libertarianizmu. Teraz, gdy poznaliśmy już prawdę, powstaje pytanie, w jaki sposób możemy odnieść zwycięstwo. Mamy tu do czynienia z poważnym strategicznym problemem wszystkich „radikalnych” poglądów politycznych w historii: jak przejść od tego, co jest, do tego, co ma być, od dzisiejszego niedoskonałego świata zdominowanego przez państwo do wspianego celu, jakim jest wolność?

Nie istnieje żaden magiczny przepis na strategię. Każda strategia przemian społecznych musi się opierać na perswazji i konwersji. Jest więc raczej rodzajem sztuki, a nie nauką ścisłą. Mimo to jednak nie jesteśmy pozbawieni wskazówek na drodze do naszych celów. Użyteczna teoria *jest możliwa*, a przynajmniej możliwa jest teoretyczna dyskusja na temat odpowiedniej strategii wprowadzania zmian.

Co do jednego nie ma wątpliwości: naczelnym i koniecznym warunkiem zwycięstwa libertarianizmu (a w gruncie rzeczy *jakiegokolwiek* ruchu społecznego – od buddyzmu do wegetarianizmu) jest *edukacja*: przekonanie dużej ilości ludzi i przejście ich na stronę naszej sprawy. Edukacja ma z kolei dwa ważne zadania: *zwrócenie uwagi ludzi*, że system libertariański istnieje oraz przekonanie ich do jego przyjęcia. Gdyby nasz ruch polegał na głoszeniu sloganów, reklamie i innych sztuczkach służących zwróceniu uwagi, to wielu ludzi by o nas *usłyszało*, ale wkrótce potem okazałoby się, że nie mamy nic do powiedzenia – zdobylibyśmy posłuch kapryśny i przejściowy. Libertarianie muszą więc poświęcić się poważnej pracy teoretycznej i publicystycznej, wydawać książki dotyczące teorii, opracowania syntetyczne, publikować artykuły i czasopisma, brać udział w konferencjach i seminariach. Z drugiej jednak strony, praca czysto teoretyczna nie zaprowadzi nas donikąd, jeśli nikt się nie dowie o tych książkach i artykułach. Wynika stąd potrzeba rozgłosu, haseł, ruchu studenckiego, wykładów, reklam radiowych i telewizyjnych itd. Prawdziwa edukacja nie może się obyć bez teorii i praktycznych działań, bez ideologii i ludzi, którzy tchną w nią życie.

Trzeba zwrócić uwagę publiczności na teorię, a teoria potrzebuje *ludzi*, którzy poniosą transparent, będą dyskutować, agitować, pójść w świat z przesłaniem i będą je otwarcie głosić. Teoria i działanie staną się daremne i jałowe, gdy nie będą się uzupełniać. Bez ruchu społecznego świadomie dążącego do rozpowszechniania idei wolnościowych i do osiągnięcia wytyczonego celu teoria zawiśnie w próżni i zginie. Ruch stanie się działaniem bezcelowym, jeśli zapomni o ideologii i straci z pola widzenia cel. Niektórzy teoretycy libertariańscy uważają, że w ruchu i jego działaczach jest coś nieczystego lub niestosownego. Ale jak mamy osiągnąć wolność bez wolnościowców, którzy będą orędownikami za sprawą? Z drugiej strony niektórzy wojowniczo nastawieni aktywiści rwący się do działania – *jakiegokolwiek* działania – podśmiewają się z salonowych w ich pojęciu dyskusji teoretycznych. Jednakże ich działanie będzie tylko stratą energii, jeśli nie ożywi go klarowna świadomość, *czemu* ma ono służyć.

Często się słyszy, jak libertarianie (a także przedstawiciele innych ruchów społecznych) skarżą się, że „mówią sami do siebie”. Ich książki, czasopisma i konferencje rzadko spotykają się z zainteresowaniem „świata zewnętrznego”. Ale ten częsty zarzut lekceważy różnorodność celów, jakim służy szeroko pojęta „edukacja”. Trzeba kształcić nie tylko *innych*. Ustawiczne samokształcenie jest również (i równie) konieczne. W gronie libertarian trzeba oczywiście dbać o zasilanie swoich szeregów nowymi ludźmi, ale trzeba się *również* starać, by szeregi te były prężne i zdrowe. Kształcenie „samych siebie” spełnia dwa ważne zadania. Jedno polega na udoskonalaniu i rozwijaniu „teorii” libertariańskiej – to jest cel i zamysł całego naszego przedsięwzięcia. Zasady libertarianizmu, choć dotyczą podstawowych zagadnień i są z gruntu prawdziwe, nie mogą pozostawać martwą literą wykutą w kamieniu. Muszą być teorią żywą i rozwijaną w dziełach pisanych i w dyskusjach, w walce poglądów i odrzucaniu błędów, gdy się takie pojawią. Ruch libertariański wydaje dziesiątki biuletynów i czasopism, od powielonych na luźnych kartkach kopii do eleganckich publikacji. Jedne pisma powstają, inne znikają. Jest to oznaką zdrowego, rozwijającego się ruchu, w którym uczestniczy mnóstwo myślących, spierających się, zaangażowanych jednostek.

Istnieje jeszcze inny argument za tym, żeby „mówić do samych siebie”, *nawet jeśli* tylko do tego sprowadzałoby się całe nasze mówienie. Chodzi o *umocnienie się* – konieczną ze względów

psychologicznych świadomość, że istnieją inni podobnie myślący ludzie, z którymi można porozmawiać, podyskutować, spotkać się i wzajemnie na siebie oddziaływać. Obecnie poglądy libertariańskie wyznaje wciąż niewielka mniejszość. W poglądach tych zawarty jest postulat radykalnych zmian istniejącego *status quo*. Najprawdopodobniej będą to poglądy odosobnione i umocnienie się, polegające na budowaniu ruchu, „mówieniu do samych siebie”, może uchronić przed izolacją i przełamać ją. Dzisiejszy ruch istnieje już na tyle długo, że zdążył odnotować wiele przypadków wystąpienia ze swoich szeregów. Niemal w każdym z nich zbiegły libertarianin znajdował się wcześniej w izolacji, był odcięty od wspólnoty i pozbawiony kontaktu z kolegami. Najlepszym antidotum na chęć porzucenia wolności jako sprawy beznadziejnej i „niepraktycznej” jest kwitnący ruch, w którym rozwija się poczucie wspólnoty i *esprit de corps*.

### ***Czy jesteście utopistami?***

A więc dobrze, potrzebna nam edukacja przez teorię i działanie w ruchu politycznym. Ale jaka będzie *zawartość merytoryczna* tej edukacji? Wszystkie radykalne stanowiska polityczne spotykały się z oskarżeniem o „utopijność” i ruch libertarian nie jest tu wyjątkiem. Niektórzy libertarianie sami twierdzą, że nie powinniśmy odstraszać ludzi „zbyt radykalizmem” i że w związku z tym libertariańska ideologia i program w pełnej wersji powinny pozostawać w ukryciu. Tacy ludzie odwołują się do „fabiańskiego” programu gradualizmu i koncentrują się wyłącznie na stopniowym ograniczaniu władzy państwa. Na przykład w dziedzinie podatków zamiast domagać się „radykalnych” środków w postaci zniesienia wszelkiego opodatkowania albo choćby podatku dochodowego, powinniśmy się zająć walką o drobne zmiany na lepsze, powiedzmy o dwuprocentową obniżkę.

W dziedzinie myśli strategicznej libertarianie powinni skorzystać z lekcji, jaką oferują marksiści, ponieważ oni zastanawiali się nad strategią wprowadzenia radykalnych zmian społecznych dłużej niż jakakolwiek inna grupa. Marksisci zauważają dwa niezwykle ważne błędy strategiczne, które powodują „odchylenie” od właściwego kursu: jeden nazywają „lewicowym sekciarstwem”, a drugi, przeciwny – „prawicowym oportunistem”. Krytycy libertariańskich „ekstremistycznych” zasad stanowią odpowiednik marksistowskich „prawicowych oportunistów”. Kłopot z oportunistami polega na tym, że, ograniczając się wyłącznie do programów stopniowych i „praktycznych”, które jednak można by zrealizować natychmiast, narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwo utraty z pola widzenia podstawowego wolnościowego celu. Ten, kto ogranicza się do żądania dwuprocentowej obniżki podatków, przyczynia się do zaprzepaszczenia zasadniczego celu, jakim jest zniesienie wszelkich podatków. Koncentrując się na środkach doraźnych, pomaga usunąć w niebyt cel podstawowy, pozbawiając tym samym libertarian racji bytu. Jeśli libertarianie nie będą chcieli trzymać wysoko transparentu z wypisanymi na nim czystymi zasadami i podstawowym celem, to *kto* za nich to zrobi? Odpowiedź brzmi: nikt. Drugą główną przyczyną dezercji z szeregów ruchu w ostatnich latach jest błędna ścieżka oportunistu.

Znanym przypadkiem odejścia spowodowanego oportunistem jest dezercja osoby, którą będziemy nazywali „Robertem”. Robert został żarliwym i wojowniczym libertarianinem jeszcze w latach pięćdziesiątych. Poszukując skutecznych form działania i dążąc do natychmiastowych sukcesów, doszedł do wniosku, że ze względów strategicznych należy mniej mówić o podstawowym libertariańskim celu, w szczególności trzeba minimalizować wrogość w stosunku do rządu. Kładł nacisk na działania „pozytywne” i na dążenie do celów, które ludzie mogli osiągnąć dzięki ochotniczym akcjom. W miarę jak Robert rozwijał swoją działalność, coraz bardziej mu zawadzali libertarianie bezkompromisowi. Zaczął więc wyrzucać z organizacji każdego, kto został przyłapany na „negatywnym” stosunku do rządu. Wkrótce Robert otwarcie i wyraźnie odszedł od ideologii libertarianizmu i zaczął wzywać do „współpracy” między rządem i prywatną przedsiębiorczością – między przymusem i dobrowolnością. Krótko mówiąc, postanowił otwarcie zająć miejsce w szeregach establishmentu. W swoim zamroczeniu będzie się nawet określał jako „anarchista”, ale chyba anarchista w jakimś abstrakcyjnym księżycowym świecie, niemającym nic wspólnego z rzeczywistością.

Wolnorynkowy ekonomista F. A. Hayek, który w żadnym razie nie jest sam „ekstremistą”, pisze ze swadą o tym, jak wielką rolę w dążeniu do wolności odgrywa trzymanie się czystej i „ekstremistycznej” ideologii jako kredo, o którym nigdy nie wolno zapomnieć. Jak pisze Hayek, jedną z najbardziej pociągających cech socjalizmu jest to, że zawsze kładzie nacisk na „idealny” cel, na ideał, który przenika działania wszystkich o niego walczących, kieruje tymi działaniami i nadaje im formę. Hayek dodaje:

Z budowania wolnego społeczeństwa musimy ponownie uczynić przygodę intelektualną, czyn bohaterski. Potrzebna jest nam liberalna utopia, program, który nie byłby samą obroną rzeczy takich,

jakimi są, ani rodzajem rozwodnionego socjalizmu, tylko prawdziwie liberalnym radykalizmem, który nie patyczkowałby się z potęgami (takimi jak związki zawodowe), który nie byłby zbyt pragmatyczny i który nie ograniczałby się do tego, co w dniu dzisiejszym wydaje się możliwe. Potrzebujemy intelektualnych przywódców, którzy umieliby się oprzeć pokusom władzy i wpływu i którzy byliby gotowi pracować dla idei, nawet gdyby z początku nie było wielkich nadziei na wcielenie jej w życie. Muszą to być ludzie wierni zasadom i chętni do podjęcia walki o ich pełne urzeczywistnienie, bez względu na to, kiedy to się stanie. (...) Wolny handel i wolność wyboru to idee, które wciąż mogą rozbudzić wyobraźnię wielu ludzi, natomiast „umiarkowana wolność handlu” i „poluzowanie kontroli” to pojęcia, które ani nie są wyzwaniem intelektualnym, ani nie są w stanie wzbudzić żadnego entuzjazmu. Nauka, która płynie z sukcesu socjalistów, polega na tym, że mieli oni odwagę być utopistami. Zyskali dzięki temu poparcie intelektualistów i – co za tym idzie – wpływ na opinię publiczną, dla której dziś jest możliwe to, co jeszcze niedawno wydawało się niewyobrażalnie odległe. Ci, którzy zajmowali się wyłącznie rzeczami, które wydawały się osiągalne przy istniejącym stanie opinii publicznej, odkrywali, że nawet one stają się nagle politycznie nieosiągalne. Działo się tak, ponieważ zmianom uległa opinia publiczna, którą w żaden sposób nie kierowali. Jeśli z budowy filozoficznych podstaw wolnego społeczeństwa nie uczynimy znów żywotnego zagadnienia intelektualnego, a wcielenie w życie tej wolności nie stanie się wyzwaniem dla pomysłowości i wyobraźni naszych najlepszych umysłów, to przyszłość wolności rysuje się czarno. Jeśli jednak zdołamy odzyskać wiarę w moc idei, wiarę charakterystyczną dla liberalizmu w jego najlepszym wydaniu, to bitwa nie jest jeszcze przegrana<sup>1</sup>.

Hayek zwraca tu uwagę na istotną prawdę i ważny powód, dla którego trzeba mieć zawsze przed oczami podstawowy cel: spójny logicznie system wywołuje ekscytację i entuzjazm. Kto będzie siedł na barykadzie, by walczyć o dwuprocentową obniżkę podatków?

Jest jeszcze jeden argument taktyczny za tym, żeby mieć stale na uwadze czyste pryncypia. Prawdą jest, że codzienne wydarzenia życia społecznego i politycznego są wynikiem ścierania się różnych sił, często stanowią niedoskonałą wypadkową oddziaływania zwalczających się ideologii i interesów. Choćby z tego względu dla libertarianina powinno być tym bardziej istotne, żeby podwyższać stawkę. Żądanie dwuprocentowej obniżki podatków może zaowocować co najwyżej drobną korektą w projekcie planowanej *podwyżki* podatku. Żądanie radykalnych cięć podatków może spowodować istotną ich redukcję. Jak pokazuje doświadczenie wielu lat, na tym właśnie polega strategiczna rola „ekstremisty”, że wywiera on stały nacisk na sieć codziennych działań i powoduje, że przybierają one pożądaną kierunek. Szczególnie biegli w stosowaniu tej strategii są socjaliści. Gdy przyjrzymy się programom socjalistów sprzed sześćdziesięciu, a nawet sprzed trzydziestu lat, to zobaczymy, że rozwiązania, które uważano wówczas za niebezpiecznie socjalistyczne, obecnie uważa się za niezbywalny składnik „głównego nurtu” amerykańskich osiągnięć. W ten oto sposób drobne kompromisy rzekomo „pragmatycznej” polityki wiodą nieubłagane w stronę kolektywizmu. Nie ma żadnych przeszkód, by libertarianie osiągnęli takie same rezultaty. Jednym z powodów tego, że konserwatywna opozycja przeciwko kolektywizmowi była tak słaba, jest charakterystyczny dla konserwatyizmu brak spójnej filozofii politycznej. Konserwatyści posługują się tylko „pragmatycznymi” argumentami w obronie istniejącego *status quo*, uświęconego przez amerykańską „tradycję”. W miarę jednak jak etatyzm rozwija się i zapuszcza coraz głębiej korzenie, staje się z definicji coraz lepiej obwarowany i, co za tym idzie, „tradycyjny”. Konserwatystom może zabraknąć intelektualnej broni, by go pokonać.

Wierność zasadom oznacza coś więcej niż otwarte ich głoszenie i nieodstępowanie od podstawowych libertarianskich ideałów. Oznacza ona *także* dążenie do osiągnięcia głównego celu możliwie jak najszybciej. Innymi słowy, libertarianin nie może się nigdy opowiadać za zmianami stopniowymi i nie może ich przedkładać ponad natychmiastową, błyskawiczną realizację celu. Gdyby przyjął taki punkt widzenia, podkopałby naczelne znaczenie własnych celów i zasad. A jeśli on sam odnosiłby się z lekceważeniem do swoich celów, to jak mieliby się do nich odnosić *inni*?

Żeby prawdziwie zmierzać do celu, jakim jest wolność, libertarianin musi obrać drogę jak najefektywniejszą i jak najszybszą. Wygłaszając przemówienie, klasyczny liberał Leonard E. Read w tym właśnie duchu opowiadał się za natychmiastowym i całkowitym zniesieniem kontroli cen i płac po drugiej wojnie światowej:

<sup>1</sup> F. A. Hayek, "The Intellectuals and Socialism", w: *Studies in Philosophy, Politics, and Economics* (Chicago: University of Chicago Press, 1967), s. 194.

„Gdyby na tej mównicy znajdował się guzik, którego naciśnięcie powodowałoby natychmiastowe uwolnienie wszystkich płac i zniesienie kontroli cen, położyłbym na nim palec i nacisnął!”<sup>2</sup>

Libertarianin powinien być człowiekiem, który naciśnie guzik (gdyby taki guzik istniał) powodujący natychmiastowe zniesienie wszelkich przejawów naruszania wolności. Oczywiście zdaje on sobie sprawę z tego, że taki magiczny guzik nie istnieje, ale jego podstawowe przekonania nadają barwę i kształt całej strategii.

Takie „abolicjonistyczne” podejście nie oznacza, że libertarianin kieruje się nierealistyczną oceną dotyczącą tego, w jaki sposób i jak szybko jego cel zostanie osiągnięty. Libertariański abolicjonista opowiadający się za zniesieniem niewolnictwa William Lloyd Garrison nie był „nierealistyczny”, gdy w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku wprowadził po raz pierwszy chlubną normę, że wyzwolenie niewolników powinno się przeprowadzić natychmiast. Jego cel był moralnie słuszny, a strategiczny realizm jego postulatów wynikał z faktu, że nie oczekiwał, iż cel zostanie osiągnięty szybko. Jak pamiętamy z rozdziału pierwszego, Garrison sam był tego świadom: „Z jak największą żarliwością domagamy się natychmiastowej abolicji, mimo że – niestety – doprowadzi to tylko do abolicji stopniowej. Nigdy nie twierdziliśmy, że niewolnictwo zostanie zniesione z dnia na dzień; ale zawsze będziemy twierdzić, że z dnia na dzień zniesione być powinno”<sup>3</sup>. W przeciwnym razie, jak trafnie przestrzega Garrison, „gradualizm w teorii przeradza się w niezmienną w praktyce”.

Teoretyczny gradualizm rzeczywiście niweczy sam cel, ponieważ uznaje, że cel ten musi się znaleźć na drugim lub trzecim miejscu za innymi nielibertariańskimi albo antylibertariańskimi postulatami. Wybór gradualizmu oznacza, że inne względy są ważniejsze niż wolność. Wyobraźmy sobie, że zwolennik abolicji niewolnictwa powiedziałby: „Opowiadam się za zniesieniem niewolnictwa, ale dopiero za dziesięć lat”. To by przecież oznaczało, że abolicja za osiem bądź dziewięć lat lub – tym bardziej – natychmiastowa byłaby *nieuprawniona*, i że w związku z tym *lepiej*, żeby niewolnictwo trwało jeszcze przez jakiś czas. Byłoby to równoznaczne z uznaniem, że względy sprawiedliwości odłożono na bok i że sam cel nie jest już celem naczelnym dla abolicjonisty (lub libertarianina). Zarówno w przypadku abolicjonisty, jak i libertarianina, oznaczałoby to, że opowiadają się oni za dalszym tolerowaniem praktyk przestępczych i niesprawiedliwości.

Mimo że jest niezwykle ważne, by libertarianin pozostawał wierny swoim podstawowym, „ekstremistycznym” ideałom, nie oznacza to, wbrew temu, co pisze Hayek, że jest on „utopistą”. Prawdziwy utopista to ktoś, kto opowiada się za systemem sprzecznym z prawem naturalnym rządzącym ludźmi i światem realnym. System utopijny to system, który nie mógłby funkcjonować, nawet gdyby wszyscy zostali przekonani, że należy go wprowadzić. System utopijny nie mógłby funkcjonować, czyli nie zapewniałby podtrzymywania swojego działania. Utopijny cel lewicy, komunizm – odrzucenie specjalizacji i przyjęcie jednolitości – nie mógłby funkcjonować, nawet gdyby wszyscy chcieli go natychmiast wcielić w życie. Nie działałby, ponieważ stoi w sprzeczności z samą naturą człowieka i świata, w szczególności z wyjątkowością i niepowtarzalnością każdej osoby, jej zdolności i zainteresowań. Nie działałby również dlatego, że oznaczałby radykalny spadek produkcji dobrobytu do tego stopnia, że w krótkim czasie skazałby dużą część rodzaju ludzkiego na głód i śmierć.

W języku potocznym termin „utopijny” oznacza dwie różne trudności na drodze do realizacji programu radykalnie odmiennego od *status quo*. Pierwsza polega na tym, że utopia przeczy naturze człowieka i świata i w związku z tym nie mogłaby funkcjonować. Przykładem może być utopijność komunizmu. Druga polega na trudności *przekonania* odpowiednio dużej liczby ludzi, że utopijny program powinien być przyjęty. Pierwsza oznacza, że mamy do czynienia z błędną teorią, która sprzeciwia się naturze ludzkiej. Druga odnosi się do problemu ludzkiej woli, chęci, by przekonać odpowiednio wielu ludzi o spójności doktryny. W potocznym pejoratywnym znaczeniu słowo „utopijny” odnosi się tylko do pierwszej trudności. W głębokim sensie doktryna libertariańska nie jest zatem utopijna, tylko wybitnie realistyczna, ponieważ jest jedyną teorią prawdziwie zgodną z naturą człowieka i świata. Libertarianin nie zaprzecza różnorodności i wielości świata ludzi, lecz cieszy się z niej i dąży do tego, by umożliwić jej pełną ekspresję w świecie doskonałej wolności. Tym samym przyczynia się do olbrzymiego wzrostu produktywności i znacznej poprawy warunków życia

<sup>2</sup> Leonard E. Read, *I'd Push the Button* (New York: Joseph D. McGuire, 1946), s. 3.

<sup>3</sup> Cytat według: William H. Pease i Jane H. Pease, eds., *The Antislavery Argument* (Indianapolis: Bobbs-Merrill Co., 1965), s. xxxv.

wszystkich ludzi, co stanowi rezultat wybitnie „praktyczny”, choć pogardzany przez prawdziwych utopistów jako paskudny „materializm”.

Libertarianin jest zdecydowanym realistą również dlatego, że jako jedyny w pełni rozumie prawdziwą naturę państwa i jego dążenie do panowania. W przeciwieństwie do niego pozornie dużo bardziej realistyczny konserwatysta wierzący w „ograniczony rząd” jest prawdziwym utopistą. Taki konserwatysta wciąż powtarza litanie, że rząd centralny powinien być poważnie ograniczony przez konstytucję. Ale, ubolewając nad zepsuciem konstytucji w jej pierwotnym brzmieniu i rozszerzeniem uprawnień rządu w porównaniu z rokiem 1789, konserwatysta nie potrafi wyciągnąć prawidłowych wniosków z tej degeneracji. Idea państwa ściśle ograniczonego przez konstytucję była szlachetnym eksperymentem, który nie powiódł się nawet w warunkach niezwykle sprzyjających. Skoro nie powiódł się, to dlaczego kolejny podobny eksperyment miałby tym razem zakończyć się powodzeniem? Nie, to właśnie konserwatywny leseferysta, człowiek, który w ręce centralnego rządu składa całą broń i wszelką władzę decydowania, a *potem* wydaje temu rządowi polecenie: „Ogranicz się” – to *on* jest prawdziwie niepraktycznym utopistą.

Libertarianie gardzą utopijnymi poglądami lewicy w innym jeszcze, głębokim sensie. Lewicowi utopiści niezmiennie postulują radykalną zmianę natury człowieka. Dla lewicowca człowiek *nie ma* natury. Jednostka ma być poddawana nieustannemu formowaniu przez instytucje. Dlatego komunistyczny ideał (albo przejściowy system socjalistyczny) ma przynieść narodziny Nowego Człowieka Komunistycznego. Libertarianin wierzy, że w świetle dogłębnej analizy każda jednostka ma wolną wolę i kształtuje się sama. Błędem jest oczekiwać, że jednolita i radykalna przemiana dokona się w ludziach dzięki wprowadzeniu zaplanowanego nowego porządku. Libertarianin chętnie by widział rozwój moralny każdego człowieka, chociaż jego założenia moralne na ogół różnią się zasadniczo od poglądów socjalistów. Na przykład byłby wielce uradowany, gdyby cała chęć agresji człowieka wobec innych znikła z powierzchni Ziemi. Jest jednak zbyt wielkim realistą, by wierzyć w możliwość takiej przemiany. Zamiast tego system libertariański od momentu swojego zaistnienia będzie znacznie moralniejszy i sprawniejszy od wszystkich pozostałych *bez względu* na to, jakie wartości i postawy będą reprezentowali poszczególni ludzie. Oczywiście im mniej agresji, tym lepiej będzie funkcjonował *każdy* system społeczny, z libertariańskim włącznie. Mniejsza będzie wówczas potrzeba odwoływania się na przykład do policji i sądów. Ale system libertariański niczego nie buduje na założeniu, że taka zmiana się dokona.

A zatem jeśli libertarianin musi się opowiedzieć za natychmiastowym wprowadzeniem wolności i za zniesieniem etatyzmu oraz jeśli gradualizm teoretyczny jest sprzeczny z tym naczelnym założeniem, to jaką dalszą strategię powinien w dzisiejszym świecie przyjąć zwolennik wolności? Czy musi się koniecznie *ograniczyć* do żądania natychmiastowego zniesienia różnych instytucji? Czy „żądania przejściowe”, praktyczne kroki *w kierunku* wolności są zdecydowanie nieuprawnione? Nie, ponieważ to by oznaczało wpadnięcie w drugą pułapkę strategicznego samounicestwienia, mianowicie w „lewicowe sekciarstwo”. Chociaż niektórzy libertarianie bywali aż nazbyt często oportunistami i tracili z oczu swój główny cel, albo go niweczyli, to inni popadali w drugą skrajność: z obawą i niechęcią traktowali każdy postęp na drodze do celu jako z konieczności równoznaczny ze zdradą samego celu. Tragedia polega na tym, że sekciarze, potępiając każde działanie, które nie prowadzi wprost do celu, stwarzają wrażenie, jakoby sam wymarzony cel nie miał sensu i głębi. Nie posiadalibyśmy się wszyscy z radości, gdyby całkowitą wolność można było osiągnąć jednym susem, ale nie ma zbyt dużych szans na taki skok. Przemiany społeczne nie zawsze polegają na drobnych, stopniowych zmianach, ale z drugiej strony rzadko mają charakter pojedynczego wielkiego przeskoku. Sekciarscy libertarianie, odrzucając pośrednie kroki na drodze do celu, uniemożliwiają jego osiągnięcie. W ten oto sposób sekciarze mogą się w końcu stać takimi samymi „likwidatorami” czystego celu jak oportuniści.

Zdarza się, o dziwo, że ta sama osoba popada na przemian w jedną z tych dwu skrajności, i w jednym, i w drugim przypadku pogardzając właściwą strategią. Po latach bezowocnego podążania ścieżką nieskazitelności, nie poczyniwszy żadnych praktycznych postępów, lewicowy sekciarz rzuca się w upajające opary prawicowego oportunizmu w poszukiwaniu *jakiegokolwiek* doraźnego sukcesu. Czyni tak nawet za cenę odejścia od podstawowego celu. Z kolei prawicowy oportunista, zde gustowany tym, że wraz z kolegami sprzeniewierzył się uczciwości intelektualnej i podstawowym celom, może popaść w lewicowe sekciarstwo i potępiać wyznaczanie *jakichkolwiek* pośrednich celów strategicznych. W ten sposób oba skrajne odchylenia wzmacniają się nawzajem i przeszkadzają w wypełnianiu zadania, jakim ma być skuteczne dążenie do libertariańskiego celu.

Skąd mamy wiedzieć, czy określone półśrodki lub tymczasowe rozwiązania mają być przyjmowane z radością jako krok do przodu, czy potępione jako oportunistyczna zdrada? Są dwa niezwykle ważne kryteria, które pomagają rozstrzygnąć ten problem: (1) bez względu na to, jakie są zadania pośrednie, zasadniczy cel wolnościowy musi zawsze pozostawać na pierwszym miejscu; (2) żadne kroki ani środki nie mogą nigdy w sposób jawny lub ukryty stać w sprzeczności z zasadniczym celem. Rozwiązania doraźne mogą nas nie zadowalać w pełni, ale muszą zawsze pozostawać w zgodzie z ostatecznym celem. W przeciwnym razie cel doraźny będzie przeszkadzał w realizacji dalekosiężnego i będziemy mieli do czynienia z oportunistyczną likwidacją libertariańskich założeń.

Przykład takiej szkodliwej oportunistycznej strategii można zaczerpnąć z dziedziny systemu podatkowego. Libertarianin oczekuje ostatecznego zniesienia podatków w przyszłości. Ma pełne prawo, by w ramach dążenia do tego celu wywierać strategiczny nacisk na radykalne obniżenie albo zniesienie podatku dochodowego. Ale libertarianinowi nigdy nie wolno popierać wprowadzenia nowego podatku ani podwyżki istniejącego. Nie może, na przykład, domagać się poważnych cięć podatku dochodowego, a jednocześnie postulować zastąpienia go podatkiem obrotowym albo jeszcze innym. Obniżka, a jeszcze lepiej zniesienie, podatku oznacza zawsze pożądane zmniejszenie władzy państwa i znaczący krok w kierunku wolności. Ale zastąpienie go nowym podatkiem albo zrekompensowanie podwyżką innego podatku oznacza działanie ze skutkiem przeciwnym, ponieważ przyczynia się do rozszerzenia wpływów państwa w innym obszarze. Nałożenie nowego podatku lub podwyżka już istniejącego jest jawnie sprzeczne z libertariańskim celem i go niweczy.

Z podobnym zagadnieniem mamy do czynienia w dziedzinie deficytu budżetu federalnego. Powstaje bowiem pytanie, czy powinniśmy zgodzić się na obniżenie podatków, mimo że prawdopodobnie spowoduje to wzrost deficytu? Konserwatyści, którzy mają specyficzny punkt widzenia, wolą zrównoważony budżet niż cięcia podatkowe i niezmiennie sprzeciwiają się jakiegokolwiek obniżce podatków, której nie towarzyszą natychmiastowe i rygorystyczne cięcia wydatków rządu o tę samą lub większą sumę. Ponieważ jednak ściąganie podatków stanowi akt bezprawnej agresji, odrzucenie cięć podatkowych – jakichkolwiek cięć podatkowych – podkopuje cel libertariański i jest z nim sprzeczne. Czas na wyrażenie sprzeciwu dotyczącego wydatków rządu jest wtedy, gdy trwają obrady nad jego uchwaleniem albo głosowanie w sprawie jego przyjęcia. Wtedy libertarianin powinien się również domagać radykalnych cięć w wydatkach. Działalność rządu należy ograniczać przy każdej nadarzającej się sposobności: niedopuszczalny jest jakikolwiek sprzeciw wobec cięć podatkowych albo obniżenia wydatków, ponieważ kłóci się on z zasadami libertarianizmu i z wolnościowym celem.

Niektórych libertarian, zwłaszcza członków Partii Libertariańskiej, do popadnięcia w oportunizm skłania chęć, by uchodzić za „odpowiedzialnych” i „realistów”. W tym celu przedstawiają oni coś w rodzaju „czteroletniego planu” ograniczania władzy państwa (*destatization*). Istotna jest tutaj nie tyle liczba lat, na które opiewa plan, ile pomysł, by w ogóle występować z wszechstronnym i systematycznym programem przechodzenia do celu, jakim jest całkowita wolność; na przykład z projektem, żeby w pierwszym roku znieść przepis A, zmodyfikować przepis B i obniżyć podatek C o 10% itd., w drugim roku znieść przepis D, obniżyć podatek C o dalsze 10% itd. Poważny problem z takim planem, jego jaskrawa sprzeczność z zasadami libertarianizmu polega na tym, że stoi za nim mocne założenie, iż np. przepis D *nie* powinien być uchylony *przed* upływem pierwszego roku planu. Groziłoby to ugrzęźnięciem na dobre w pułapce teoretycznego gradualizmu. Niedoszli libertriańscy planiści musieliby udawać, że sprzeciwiają się podjęciu szybszych, niż przewiduje to ich plan, działań na rzecz osiągnięcia wolności. Tymczasem nie ma uzasadnionego powodu, żeby działania miały być wolniejsze, a nie szybsze; jest wręcz przeciwnie.

W idei ogólnego programu działań zmierzających do wolności kryje się jeszcze jeden poważny błąd. Starannie opracowane, wystudiowane tempo zmian przewidzianych planem oraz jego wszechogarniający charakter zakłada, że państwo nie jest wspólnym wrogiem rodzaju ludzkiego, że można i należy *wykorzystać* państwo do przedsięwzięcia zaplanowanych kroków na drodze ku wolności. Tymczasem zrozumienie, że państwo jest głównym wrogiem ludzkości, prowadzi do całkiem odmiennego stanowiska dotyczącego strategii, mianowicie do wniosku, że libertarianie powinni wywierać nacisk na ograniczenie władzy państwa i przyjmować z entuzjazmem *każdy* przejaw tego ograniczenia lub wycofania się państwa z działalności na jakimś polu. Każde takie ograniczenie powinno być zawsze witane jako zmniejszenie obszarów przestępstwa i agresji. Dlatego libertarianom nie powinno zależeć na tym, żeby wykorzystać państwo do wkroczenia na

przeżyłaną ścieżkę ograniczania jego roli, tylko na tym, żeby co do jednego rozbijać w pył wszelkie przejawy etatyzmu – zawsze, gdy nadarzy się sposobność, i wszędzie, gdzie to tylko możliwe.

Zgodnie z tym rozumowaniem w październiku 1977 roku Krajowy Komitet Partii Libertariańskiej uchwalił deklarację dotyczącą strategii, w której czytamy między innymi:

Musimy być wierni czystym zasadom i nie wolno nam zdradzić naszego celu. (...) Imperatyw moralny libertariańskich zasad wymaga, żeby ukrócone zostały: tyrania, niesprawiedliwość, brak pełnej wolności oraz łamanie praw.

Wszelkie pośrednie rozwiązania muszą być traktowane, zgodnie z założeniami programowymi Partii, jako bieżące osiągnięcie na drodze do czystego celu i jako zdobycz podrzędna wobec tego celu. Dlatego każde takie rozwiązanie powinno być przedstawiane jako prowadzące do ostatecznego celu, a nie jako cel sam w sobie.

Wierność naszym zasadom oznacza, że należy bezwzględnie wystrzegać się ugrzęźnięcia w narzuconym sobie, obowiązkowym gradualizmie. Musimy wystrzegać się poglądu, że na drodze do wolności, w imię uczciwości, dla zmniejszenia cierpień lub w celu spełnienia oczekiwań, mamy grać na zwłokę i stosować taktykę uników. Osiągnięcie wolności musi być naszym celem nadrzędnym.

Nie wolno nam zakładać, że ograniczanie władzy państwa będzie przebiegało w konkretnej kolejności, ponieważ zostałyby to zrozumiane jako aprobata etatyzmu z naszej strony i byłoby łamaniem prawa. Ponieważ nigdy nie powinniśmy godzić się na dalsze trwanie tyranii, musimy wyrażać przychyłność wobec wszelkich sposobów ograniczania władzy państwa zawsze i wszędzie, gdzie to możliwe.

Libertarianin nie może nigdy dać się złapać w pułapkę pomysłów dotyczących tego, jak rząd mógłby działać „pozytywnie”. Z jego punktu widzenia jedynym zadaniem rządu powinno być jak najszybsze usunięcie się z wszystkich sfer życia społecznego.

Nie powinna też mieć miejsca jakakolwiek sprzeczność w dziedzinie deklaracji. Libertarianin nigdy nie powinien wygłaszać poglądów, ani tym bardziej politycznych rekomendacji, które byłyby sprzeczne z ostatecznym celem. Wyobraźmy sobie, że ktoś prosi libertarianina o zajęcie stanowiska wobec konkretnego projektu cięć podatkowych. Nawet jeśli w tym akurat momencie nie może z całym przekonaniem wzywać do całkowitego zniesienia podatków, to *nie wolno* mu dorzucić do swojej wypowiedzi popierającej cięcia podatkowe zdania: „No, oczywiście jakieś podatki muszą istnieć...” itd. Takie łamańce retoryczne mogą wyłącznie zaszkodzić nadrzędnemu celowi, wprawiając publiczność w zakłopotanie i pozostając w sprzeczności z libertariańskimi zasadami.

### ***Czy sama edukacja wystarczy?***

Wszyscy libertarianie, bez względu na frakcję i poglądy w szczegółowych kwestiach, przywiązują dużą wagę do edukacji, do przekonywania coraz większej liczby ludzi, by zostali libertarianami i to oddanymi sprawie. Problem polega jednak na tym, że duża część libertarian w sposób uproszczony widzi rolę i zakres takiej edukacji. Nie próbują nawet sobie odpowiedzieć na pytania: Co po edukacji? Jaki ma być następny krok? Co się stanie, gdy X ludzi będzie już przekonanych? Jak wielu trzeba przekonać, żeby przejść do następnego etapu? *Wszystkich?* Większość? Dużą liczbę?

Wielu libertarian milcząco zakłada, że potrzebna jest tylko edukacja, ponieważ wszyscy w równym stopniu roszą nadzieje na przyjęcie nowych poglądów. *Każdego* można nawrócić. W sensie *logicznym* jest to oczywiście prawda, natomiast w sensie *socjologicznym* jest to słaba strategia. *Przekonanie* grupy rządzącej o jej niegodziwości jest z logicznego punktu widzenia możliwe (a nawet w pojedynczych przypadkach wykonalne), ale jest prawie niemożliwe w praktyce. Jak duże jest na przykład prawdopodobieństwo, że uda się przekonać dyrektorów General Dynamics albo Lockheeda, by nie korzystali z hojności rządu? Jak duże jest prawdopodobieństwo, że tę książkę albo inną publikację libertariańską przeczyta prezydent Stanów Zjednoczonych, a następnie wykrzyknie: „Oni mają rację. Byłem w błędzie. Podaję się do dymisji”? Prawdopodobieństwo przekonania tych, którzy obrastają w piórka dzięki państwowemu wyzyskowi, jest w najlepszym razie minimalne. Nasze nadzieje należy wiązać z przekonaniem mas społecznych, które są ofiarami przemocy państwa, a nie tych, którzy z tej przemocy czerpią korzyści.

Ale gdy to mówimy, to mamy jednocześnie na myśli, że za problemem edukacji kryje się problem władzy. Po przekonaniu dużej liczby ludzi staniemy przed kolejnym zadaniem, jakim będzie znalezienie sposobu na



zdjęcie władzy państwa ze społeczeństwa. Ponieważ państwo nie zrezygnuje łaskawie z władzy, trzeba będzie użyć innych środków niż edukacja – środków nacisku. To, jakich dokładnie środków użyć – głosowania, alternatywnych nietkniętych przez państwo instytucji czy powszechnego nieposłuszeństwa obywatelskiego – będzie zależało od sytuacji w danej chwili i od tego, co uznamy za skuteczne, a co nie. W przeciwieństwie do kwestii związanych z teorią i zasadami wybór konkretnej taktyki – o ile tylko taktyka pozostaje w zgodzie z zasadami i ostatecznym celem – jest sprawą pragmatyzmu, zależy od oceny sytuacji i od niedającego się ująć w ramy precyzyjnych przewidywań „artyzmu” taktyka.

### ***Które grupy?***

Należy się jednak spodziewać, że edukacja pozostanie aktualnym problemem strategicznym na bliżej nieokreśloną przyszłość. Powstaje istotne pytanie strategiczne o to, *kto*: jeśli nie możemy mieć nadziei na to, że przekonamy wystarczającą liczbę naszych władców, to *kogo* udałoby nam się z największym prawdopodobieństwem pozyskać? Które klasy społeczne, zawodowe, ekonomiczne lub jakie grupy narodowościowe?

Konserwatyści największe nadzieje pokładali zawsze w dużych przedsiębiorcach. Ten pogląd na wielki biznes został najdobitniej wyrażony w stwierdzeniu Ayn Rand, że „wielki biznes jest najbardziej prześladowaną mniejszością w Ameryce”. Prześladowaną? Nie licząc kilku chlubnych wyjątków, przedstawiciele wielkiego biznesu przepychają się jeden przez drugiego, by stanąć w kolejce do państwowego koryta. Czy Lockheed, General Dynamics, AT&T albo Nelson Rockefeller czują się prześladowani?

Wsparcie, jakiego wielki biznes udziela korporacyjnemu państwu wojenno-opiekuńczemu na wszystkich poziomach, od lokalnego do federalnego, jest tak ostentacyjne i tak daleko idące, że musiało to przyznać nawet wielu konserwatystów, przynajmniej do pewnego stopnia. Jak wytłumaczyć to gorliwe poparcie ze strony „najbardziej prześladowanej mniejszości w Ameryce”? Jedynym wyjściem dla konserwatystów jest uznanie, że (a) biznesmeni są tępi i nie rozumieją, na czym polega ich własny interes ekonomiczny; (b) biznesmeni przeszli pranie mózgu u lewicowych intelektualistów, którzy wsączyli im w dusze poczucie winy i źle pojęty altruizm. Żadne z tych wyjaśnień nie da się utrzymać. Wystarczy spojrzeć na AT&T albo Lockheeda, żeby w mig zrozumieć, że wielcy biznesmeni nie dlatego uwielbiają etatyzm i są „liberałami korporacyjnymi”, że ich dusze zatruli intelektualiści, lecz dlatego, że etatyzm jest dla nich rzeczą korzystną. Od czasu wzmoczonego rozwoju etatyzmu na początku dwudziestego wieku wielcy biznesmeni wykorzystują potężne narzędzia, jakimi są zamówienia państwowe, dotacje, kartelizacja, do tego, by wypracować dla siebie przywileje kosztem reszty społeczeństwa. Nie będzie chyba błędem, jeśli przyjmiemy, że Nelson Rockefeller kieruje się przede wszystkim własnym interesem, a nie bezrozumnym altruizmem. Nawet liberałowie przyznają na ogół, że wielka sieć rządowych agencji regulujących rynek wykorzystywana jest do kartelizacji poszczególnych branż dla dobra wielkich firm, a ze stratą dla społeczeństwa. Chcąc jednak ocalić obraz świata nakreślony przez Nowy Ład, liberałowie pocieszają się myślą, że za powstaniem tych agencji oraz za wprowadzeniem w okresie rządów postępowców Wilsona i Roosevelta innych podobnych „reform” stały dobre intencje i troska o „interes publiczny”. Idea i początki państwowych agencji oraz innych liberalnych reform były więc „dobre”. Jedynie praktyka spowodowała, że agencje z jakiegoś powodu uległy zepsuciu i zaczęły służyć prywatnym korporacyjnym interesom. Jednakże, jak dowiedli jasno i wyczerpująco Kolko, Weinstein, Domhoff oraz inni historycy rewizjonistyczni, taki pogląd należy do liberalnej mitologii. W rzeczywistości wszystkie te reformy, zarówno na poziomie krajowym, jak i lokalnym, zostały wymyślone, napisane i przeforsowane przez przedstawicieli tych samych uprzywilejowanych grup. Prace tych historyków bezsprzecznie wykazują, że przed wkradnięciem się zepsucia żaden złoty wiek reform nie istniał. Zepsucie było obecne od samego początku ich istnienia, od momentu powzięcia myśli o nich. Liberalne reformy związane z postępem, Nowym Ładem, państwem opiekuńczym zaprojektowano w celu stworzenia tego, co rzeczywiście stworzyły: świata scentralizowanego etatyzmu, „spółki” rządu i przemysłu, świata, który utrzymuje się z przyznawania dotacji i monopolistycznych przywilejów biznesowi i innym faworyzowanym grupom.

Na próżno oczekiwaliśmy, że Rockefellerowie i legion innych faworyzowanych wielkich biznesmenów dadzą się przekonać do poglądów libertariańskich czy choćby leseferystycznych. Nie oznacza to jednak, że na straty należy spisać *wszystkich* wielkich biznesmenów albo biznesmenów w ogóle. Wbrew temu, co mówią marksiści, nie wszyscy biznesmeni ani nawet nie wszyscy wielcy biznesmeni tworzą jednolitą klasę ekonomiczną o identycznych klasowych interesach. Przeciwnie, gdy Główny Inspektorat Lotnictwa

Cywilnego (CAB) nadaje monopolistyczne przywileje kilku wielkim liniom lotniczym albo gdy Federalna Komisja Łączności (FCC) przyznaje monopol firmie AT&T, wiele innych firm i wielu biznesmenów, małych i dużych, zostaje poszkodowanych i *wyłączonych* z dostępu do tych przywilejów. Przyznanie AT&T monopolu na usługi telekomunikacyjne spowodowało na przykład, że rozkwitająca obecnie branża przesyłu danych przez długi czas pozostawała w powijakach. Dopiero gdy FCC zezwoliła na konkurencję, branża ta zanotowała skokowy rozwój. Przywilej oznacza również wykluczenie, dlatego zawsze będzie istnieć mnóstwo biznesów i biznesmenów, dużych i małych, którzy będą mieli żywotny interes ekonomiczny w tym, żeby przerwać państwową kontrolę nad ich branżą. Jest więc bardzo wielu biznesmenów potencjalnie podatnych na idee wolnego rynku i libertarianizmu, zwłaszcza wśród tych, którzy nie mają związków z uprzywilejowanym „establishmentem wschodniego wybrzeża” („*Eastern Establishment*”).

Po których grupach można by oczekiwać, że będą szczególnie otwarte na przyjęcie idei libertariańskich? Gdzie znajduje się, jak by to ujęli marksiści, nasza domniemana „agencja przemiany społeczeństwa”? Dla libertarian jest to ważne pytanie z dziedziny strategii, ponieważ odpowiedź na nie będzie wskazówką, w którą stronę mamy skierować nasze wysiłki edukacyjne.

Jedną z grup wyróżniających się przy powstawaniu ruchu libertariańskiego jest oczywiście młodzież uniwersytecka. Nie jest to niespodzianką: szkoła wyższa to czas, kiedy ludzie są najbardziej otwarci na refleksję i zgłębianie podstawowych problemów dotyczących społeczeństwa. Młodzi ludzie, rozkochani w logice i czystej prawdzie, studenci nawykli do świata wiedzy i pojęć abstrakcyjnych, a nieobciążeni jeszcze troskami i węższym często sposobem widzenia dorosłej osoby pracującej, ci młodzi ludzie stanowią żyzną glebę dla przyjęcia libertariańskich idei. W przyszłości możemy oczekiwać znacznego rozwoju libertarianizmu w miasteczkach akademickich w całym kraju. Ten wzrost już teraz jest widoczny w postaci coraz większej liczby młodych pracowników naukowych, profesorów i magistrantów, którzy stają się wiernymi wyznawcami poglądów libertariańskich.

Większość młodzieży powinno też przyciągać libertariańskie stanowisko w dziedzinach, które znajdują się często w centrum jej zainteresowania: w szczególności nasze żądania całkowitego zniesienia zasadniczej służby wojskowej, wycofania się z zimnej wojny, powszechnych swobód obywatelskich oraz legalizacji narkotyków i innych przestępstw bez ofiary.

Również media wykazały duże zainteresowanie ideami nowego libertariańskiego kredo. Libertarianizm przyciąga tych ludzi, którzy są najbardziej wyczuleni na nowe prądy społeczne i polityczne. Dzieje się tak nie tylko ze względu na jego walory publicystyczne, ale także dlatego, że charakteryzuje się spójnością. Tymczasem liberałowie są wyczuleni przede wszystkim na błędy i niepowodzenia liberalizmu w wydaniu establishmentu. Ludzi pracujących w mediach na ogół nie pociąga ruch wrogo usposobionych konserwatystów, którzy automatycznie spisują na straty dziennikarzy jako lewicowców i zwolenników nieodpowiednich poglądów na politykę zagraniczną i swobody obywatelskie. Ale ci sami dziennikarze są przychylnie nastawieni do ruchu libertariańskiego, z którym zgadzają się całym sercem w takich sprawach jak pokój, swobody obywatelskie i rola wielkiego rządu w tych dziedzinach. Dostrzegają też związek pomiędzy negatywną rolą wielkiego rządu a interwencją rządu w dziedzinie ekonomii i praw własności. Coraz więcej dziennikarzy prasy, radia i telewizji ujawnia te nowe i wiele mówiące związki. Wpływ dziennikarzy na społeczeństwo i opinię publiczną jest oczywiście nie do przecenienia.

A z jakim przyjęciem mogą się spotkać nasze idee wśród przedstawicieli „Ameryki Środkowej” („*Middle America*”) – szerokich kręgów warstw średnich i pracowniczych, które stanowią większą część społeczeństwa amerykańskiego i które często pozostają w skrajnej opozycji wobec młodzieży uniwersyteckiej? Czy jesteśmy dla nich jakkolwiek atrakcją? Logicznie rzecz biorąc, nasza atrakcyjność dla klasy średniej powinna być jeszcze większa. Odwołujemy się otwarcie do niewątpliwego chronicznego niezadowolenia, którym dotknięte są masy Amerykanów: do niezadowolenia z rosnących podatków, inflacji, zatłoczenia miast, przestępczości, skandali związanych z opieką społeczną. Tylko libertarianie oferują konkretne i logiczne rozwiązania tych palących problemów: rozwiązania, które koncentrują się na wyrwaniu tych dziedzin spod kontroli rządu i przekazaniu ich dobrowolnej inicjatywie prywatnej. Potrafimy wykazać, że za te bolączki odpowiedzialny jest rząd i etatyzm oraz że środkiem zaradczym będzie zrzucenie represyjnego rządu z naszych grzbietów.

Drobnym biznesmenom możemy obiecać świat prawdziwie wolnej przedsiębiorczości, pozbawiony monopolistycznych przywilejów, karteli oraz uzgodnionych przez państwo i establishment dotacji. Małym i dużym przedsiębiorcom spoza monopolistycznego establishmentu możemy obiecać świat, w którym znajdą

wreszcie pełną przestrzeń dla rozwijania swoich talentów i możliwości i będą mogli dostarczać nowych technologii oraz doskonalić wydajność z korzyścią dla siebie i dla nas wszystkich. Różnym grupom narodowościowym i mniejszościom możemy pokazać, że tylko w warunkach wolności nieograniczone i nierepresjonowane przez prawo większości będą mogły całkiem swobodnie kultywować swoje zainteresowania i prowadzić własne instytucje.

Potencjalnym adresatem libertarianizmu są więc różne klasy społeczne. Nasze przesłanie skierowane jest do wszystkich ras, grup zawodowych, klas ekonomicznych i pokoleń; jego potencjalnymi odbiorcami są wszyscy ludzie niezwiązani bezpośrednio z elitą władzy. Każda osoba i każda grupa, która ceni sobie wolność i dobrobyt, jest potencjalnym orędownikiem libertariańskiego kredo.

Wolność stanowi potencjalnie przedmiot zainteresowania wszystkich grup społecznych. Z doświadczenia życiowego wynika jednak, że gdy wszystko układa się dobrze, większość ludzi nie przejawia wystarczającego zainteresowania sprawami publicznymi. Dla radykalnych zmian społecznych – zmian polegających na wprowadzeniu innego systemu społecznego – konieczne jest zaistnienie tzw. „sytuacji kryzysowej”. Musi się załamać obecny system, co spowoduje potrzebę znalezienia alternatywnych rozwiązań. Gdy dojdzie do ogólnego poszukiwania społecznych alternatyw, wtedy działacze ruchów spoza głównego nurtu muszą być gotowi do zaprezentowania tych radykalnych rozwiązań. Muszą umieć powiązać kryzys z wewnętrznymi defektami samego systemu i wskazać, w jaki sposób system alternatywny zaradziłby bieżącemu kryzysowi i zapobiegł podobnym problemom w przyszłości. Byłoby też dobrze, gdyby mogli wówczas przedstawić dane dowodzące, że przewidywali ten kryzys i przestrzegali przed nim<sup>4</sup>.

Charakterystyczną cechą sytuacji kryzysowych jest to, że nawet elita władzy słabiej wtedy broni systemu. Z powodu kryzysu nawet państwo zaczyna częściowo tracić ochotę i entuzjazm do rządzenia. Poszczególne człony państwa tracą wtedy animusz. W sytuacji załamania nawet przedstawiciele rządzącej elity mogą przyjąć system alternatywny albo mogą przynajmniej stracić zapał do istniejącego systemu.

Jak podkreśla historyk Lawrence Stone, warunkiem radykalnych zmian jest osłabienie woli u elity władzy. „Elita może utracić umiejętność sterowania lub zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi, albo pewność siebie, lub jedność. Może zrazić do siebie ludzi spoza elity albo może się pogrążyć w kryzysie finansowym, może być niekompetentna, słaba lub brutalna”<sup>5</sup>.

### ***Dlaczego wolność zwycięży***

Gdy przedstawiliśmy już libertariańskie kredo i pokazaliśmy, w jaki sposób odpowiada ono na żywotne problemy współczesności, oraz opisaliśmy, które grupy społeczne i w jakim czasie najłatwiej będzie zainteresować naszymi poglądami, musimy zająć się oceną, jakie są szanse na wolność. W szczególności musimy zbadać, czy uprawnione jest głębokie i wciąż umacniające się przekonanie autora, że libertarianizm *nie tylko* w końcu zatriumfuje i odniesie zwycięstwo w dłuższej perspektywie, lecz że odniesie ponadto sukces w bardzo krótkim czasie. Jestem bowiem przekonany, że nadchodzi kres czarnej nocy tyranii i że jutro wolności jest już blisko.

Wielu libertarian wyraża się z dużym pesymizmem na temat szans wolności. Gdy przyglądamy się postępowi etatyzmu w XX wieku i upadkowi klasycznego liberalizmu, którego przebieg nakreśliliśmy w rozdziale wstępnym, możemy łatwo ulec pesymistycznym przewidywaniom. Ten pesymizm może się jeszcze pogłębić, gdy badając historię ludzkości, ujrzymy ją jako czarną kronikę despotyzmu, tyranii i wyzysku obecnych w kolejnych cywilizacjach. Można by nam wybaczyć, że uważamy, iż nagły rozkwit klasycznego liberalizmu na Zachodzie od XVII do XIX wieku okaże się nietypowym chwalebny wyłomem w ponurych annałach przeszłości i przyszłości. Jednakże w ten sposób popadlibyśmy w błąd, który marksiści nazywają

<sup>4</sup> Jak pisze Fritz Redlich, „(...) często się zdarza, że grunt [dla zwycięstwa idei] musi być przygotowany przez wypadki. Pamiętamy, jak trudno było przebić się z pomysłem centralnego banku Ameryki, zanim nastąpił kryzys w roku 1907, i jak stosunkowo łatwe to się stało po tym kryzysie”. Fritz Redlich, „Ideas: Their Migration in Space and Transmittal Over Time”, *Kyklos* (1953), s. 306.

<sup>5</sup> Lawrence Stone, *The Causes of the English Revolution, 1520–1642* (New York: Harper & Row, 1972), s. 9. Podobną analizę „sytuacji rewolucyjnej” przeprowadza Lenin:

„(...) kiedy w takiej czy innej formie wystąpi kryzys wśród ‘klasy wyższej’, kryzys polityki uprawianej przez klasę rządzącą prowadzi do pęknięcia, przez które wdzierają się niezadowolone i oburzone klasy uciskanych. Żeby wybuchła rewolucja, zazwyczaj nie wystarcza, że ‘klasy niższe nie chcą’ żyć w starym porządku; konieczne jest jeszcze, żeby ‘klasy wyższe nie były w stanie’ żyć w starym porządku (...). W.I. Lenin, „The Collapse of the Second International” (June 1915), in *Collected Works*, vol. 21 (Moscow: Progress Publishers, 1964), s. 213–214.

„impresjonizmem”: powierzchownym skoncentrowaniem się na wypadkach z przeszłości jako takich, bez głębszej analizy rządzących nimi praw przyczynowych i trendów.

Obronę libertariańskiego optymizmu można przedstawić w postaci szeregu koncentrycznych okręgów, rozpoczynając od rozważań najogólniejszych i najbardziej perspektywicznych i stopniowo przechodząc do szczegółowego rozpatrzenia tendencji krótkoterminowych. W sensie najogólniejszym i w perspektywie długoterminowej libertarianizm ostatecznie zwycięży, ponieważ tylko i wyłącznie on jest zgodny z naturą człowieka i świata. Tylko wolność jest w stanie zapewnić człowiekowi dobrobyt, spełnienie i szczęście. Libertarianizm zwycięży, ponieważ jest prawdziwy i proponuje właściwą strategię dla ludzkości, a prawda musi w końcu zwyciężyć.

Jednakże może się zdarzyć, że plany dotyczące tak dalekiej perspektywy ziszczą się dopiero w naprawdę odległej przyszłości. Perspektywa kilkusetletnich oczekiwań na zwycięstwo prawdy może stanowić marną pociechę dla nas, którzy żyjemy w konkretnym momencie historii. Na szczęście w krótszej perspektywie również istnieje podstawa do optymizmu. Przede wszystkim możemy odrzucić ponure doświadczenia historii sprzed XVIII wieku jako niemające związku z przyszłością wolności.

Wyrażamy w tym miejscu przekonanie, że w historii nastąpił ogromny krok naprzód, całkowita przemiana, gdy rewolucje klasycznych liberałów popchnęły nas do rewolucji przemysłowej XVIII i XIX wieku<sup>6</sup>. W czasach przedindustrialnych, w świecie Starego Porządku i gospodarki rolnej, nie było powodu, żeby władza despotyczna nie trwała w jeszcze przez wiele stuleci. Chłopi produkowali żywność, a królowie, szlachta i właściciele ziemscy wyciskali z nich wszelką nadwyżkę ponad to, co było konieczne do tego, by chłopi utrzymali się przy życiu i pracowali. Okrutny, oparty na wyzysku, ponury despotyzm agrarny mógł się utrzymać z dwóch głównych powodów: (1) gospodarka mogła bez trudu funkcjonować dalej, chociaż na poziomie bliskim minimum egzystencji, (2) masy nie znały i nie doświadczyły nigdy żadnego lepszego systemu i można je było nakłonić do pełnienia roli zwierząt pociągowych swoich panów.

Ale rewolucja przemysłowa była wielkim przełomem w historii, ponieważ stworzyła warunki i oczekiwania, których nie można już było unieważnić. Po raz pierwszy w dziejach świata stworzyła społeczeństwo, w którym standard życia mas podskoczył od poziomu równego granicy przetrwania do poziomu, o jakim wcześniej nie można było marzyć. Liczba ludności na Zachodzie, do tej pory niezmienna, zwiększyła się teraz, by ludzie mogli spożytkować znacznie lepsze możliwości zatrudnienia i dostatniego życia.

Nie można już cofnąć zegara do czasów przedindustrialnych. Byłoby to niemożliwe, gdyż masy nie zgodziłyby się na to, by w tak drastyczny sposób zawieść ich nadzieje na podniesienie poziomu życia, ale również dlatego, że powrót do świata gospodarki rolnej oznaczałby śmierć głodową dla olbrzymiej części obecnej populacji. Jesteśmy skazani na wiek uprzemysłowienia, czy nam się to podoba, czy nie.

Jeśli prawda tak się przedstawia, to sprawa wolności jest wygrana. Nauki ekonomiczne wykazały bowiem – co przedstawiliśmy skrótowo w tej książce – że gospodarka industrialna może funkcjonować *tylko* w warunkach wolności i wolnego rynku. Chociaż wolna gospodarka i wolne społeczeństwo byłyby pożądane i sprawiedliwe w świecie przedindustrialnym, to w świecie uprzemysłowionym są oprócz tego w sposób zasadniczy niezbędne. Jak wykazał Ludwig von Mises i inni ekonomiści, w gospodarce uprzemysłowionej etatyzm po prostu się nie sprawdza. Ponieważ powszechne jest zaangażowanie w rozwój świata uprzemysłowionego, to w końcu – i to znacznie bardziej „w końcu”, niż tylko w postaci prostego ukazania się prawdy – stanie się jasne, że świat musi przyjąć wolność i wolny rynek jako konieczne warunki dla przetrwania i rozkwitu przemysłu. Dostrzegli tę prawdę Herbert Spencer i inni dziewiętnastowieczni myśliciele wolnościowi, czyniąc rozróżnienie pomiędzy społeczeństwem „militarnym” i „industrialnym”, pomiędzy społeczeństwem „stanu” i „umowy” (*a society of „status” and a society of „contract”*). W XX wieku Mises udowodnił, że: (a) wszelka interwencja państwa wypacza i psuje rynek oraz prowadzi, jeśli nie do załamania, to do socjalizmu; (b) socjalizm jest katastrofą, ponieważ nie jest w stanie zaplanować uprzemysłowionej gospodarki z powodu braku bodźców zysku i straty oraz braku prawdziwego systemu cen, praw własności do kapitału, ziemi i innych środków produkcji. Mises przewidział, że ani socjalizm, ani różne pośrednie formy etatyzmu i interwencjonizmu nie sprawdzą się. Biorąc pod uwagę ogólną tendencję do

<sup>6</sup> Bardziej wyczerpująca analiza historyczna w: Murray N. Rothbard, "Left and Right: The Prospects for Liberty", w: *Egalitarianism as a Revolt Against Nature, and Other Essays* (Washington, D.C.: Libertarian Review Press, 1974), s. 14–33.

uprzemysłowienia gospodarki, należy się spodziewać, że te formy etatyzmu zostaną ponieczone i zastąpione przez wolność i wolne rynki.

Wszystko to okazało się prawdą znacznie szybciej niż przewidywali klasyczni liberałowie z początku XX wieku – Sumnerowie, Spencerowie, Pareto, którym możliwość dotarcia z ową prawdą do powszechnej świadomości wydawała się nieznosnie odległa. I nie należy ich za to winić, ponieważ byli świadkami upadku klasycznego liberalizmu i narodzin nowych rodzajów despotyzmu, którym sprzeciwiali się wytrwale i z całą stanowczością. Byli obecni – niestety! – przy ich powstawaniu. Wydawało im się, że świat będzie musiał czekać, jeśli nie stulecia całe, to dziesiątki lat, aż socjalizm i korporacyjny etatyzm okażą się drogą donikąd.

Tymczasem okazało się to znacznie wcześniej. Nie musimy już przepowiadać zgubnych skutków etatyzmu; widać je jak na dłoni. Lord Keynes drwił kiedyś z ekonomistów wolnorynkowych, którzy zarzucali mu, że jego inflacjonistyczna strategia okaże się w dłuższej perspektywie zgubna. W swojej słynnej polemice śmiał się, że „w dłuższej perspektywie wszyscy będziemy martwi”. Ale teraz *Keynes* jest martwy a my – żyjemy, żyjemy w *jego* długiej perspektywie. Etatyści muszą wypić piwo, którego nawarzyli.

Na przełomie XIX i XX wieku i w pierwszych dekadach XX wieku wszystko to było zdecydowanie mniej oczywiste. Etatystyczny interwencjonizm, w różnych postaciach, próbował zachować, a nawet rozwijać gospodarkę przemysłową, uciekając od zasad wolności i wolnego rynku, które w dłuższej perspektywie są niezbędne do jej przetrwania. Przez pół wieku etatystyczny interwencjonizm dawał upust swoim łupieskim zapędom przez planowanie, kontrolę, zabójczo wysokie podatki i inflacyjny pieniądz papierowy. Nie spowodowało to widocznych, *ewidentnych* kryzysów i zaburzeń, ponieważ wolnorynkowe uprzemysłowienie w XIX wieku wytworzyło w gospodarce potężną poduchę „tłuszczy”, która amortyzowała tę grabież. Rząd nakładał podatki, stosował restrykcje i wywoływał inflację, a mimo to nie pojawiały się natychmiastowe fatalne skutki.

Ale teraz etatyzm rozwinął się do tego stopnia i panuje już tak długo, że poduszka stała się cieniutka. Jak powiedział jeszcze w latach czterdziestych Mises, „fundusz rezerwowy” wykreowany przez leseferyzm został „wyczerpany”. Dlatego obecnie każde działanie rządu powoduje natychmiastowy negatywny efekt – efekt, który jest dobrze widoczny dla wszystkich, nawet dla najbardziej zagorzałych zwolenników etatyzmu.

W państwach komunistycznych Europy Wschodniej, a obecnie również w Chinach, nawet komuniści coraz częściej zauważają, że socjalistyczne planowanie centralne po prostu się nie sprawdza w gospodarce uprzemysłowanej. Dlatego w ostatnich latach nastąpił gwałtowny odwrót od centralnego planowania i zwrot w kierunku wolnego rynku, widoczny zwłaszcza w Jugosławii. Również w świecie zachodnim państwowy kapitalizm znalazł się wszędzie w kryzysie. Jest coraz bardziej widoczne, że rządowi zaczynają – w najgłębszym sensie – brakować pieniędzy: podwyżka podatków zniszczy bezpowrotnie przemysł i motywację, a zwiększenie podaży nowych pieniędzy doprowadzi do katastrofalnej galopującej inflacji. Z ust najzagorzalszych zwolenników państwa coraz częściej słychać o „konieczności ograniczenia oczekiwań wobec rządu”. Socjaldemokratyczna Partia Niemiec dawno już porzuciła socjalistyczne hasła. W Wielkiej Brytanii, której gospodarkę niszczą wysokie podatki i rosnąca inflacja – co sami Brytyjczycy nazywają „angielską chorobą” – w Partii Torysów, której od lat przewodzili zdeklarowani etatyści, górę wzięła frakcja wolnorynkowa. Nawet Partia Pracy wycofuje się z planowanego chaosu galopującego etatyzmu.

Ze szczególnym optymizmem możemy spoglądać ku Stanom Zjednoczonym, gdyż w tym przypadku zasięg optymizmu wystarczy ograniczyć do wymiaru krótkoterminowego. Możemy z przekonaniem powiedzieć, że Stany Zjednoczone wkroczyły obecnie w okres permanentnego kryzysu. Możemy nawet precyzyjnie wskazać lata narodzin tego kryzysu: 1973–1975. Na szczęście dla sprawy wolności kryzys etatyzmu nie tylko pojawił się w Stanach Zjednoczonych, ale uderzył z całą siłą we wszystkie warstwy społeczeństwa, w różnych dziedzinach życia mniej więcej w tym samym czasie. Dlatego też wszystkie te etatystyczne zaburzenia dały sumaryczny efekt, wzmacniając się wzajemnie i potęgując ogólny skutek. Nie tylko były przejawami kryzysu etatyzmu, ale zostały też odebrane przez wszystkich jako skutki etatyzmu, a nie wolnego rynku, chciwości społeczeństwa lub działania innych czynników. Wreszcie widać, że zaradzić tym kryzysom można jedynie przez wykluczenie państwa z gry. Potrzeba nam tylko libertarian, którzy wskażą drogę.

Zróbmy szybko przegląd obszarów, w których wciąż występują kryzysy, i zobaczymy, jak wiele spośród nich przypadało na lata 1973–1975 i lata następne. Od jesieni 1973 do roku 1975 w Stanach Zjednoczonych miała miejsce inflacyjna depresja. Stało się to po czterdziestu latach rzekomego dostrajania Keynesowskiego, które

miało wyeliminować oba te problemy raz na zawsze. W tym samym okresie inflacja osiągnęła zastraszający dwucyfrowy poziom.

Również w 1975 roku w Nowym Jorku miał miejsce pierwszy potężny kryzys zadłużenia. Kryzys ten doprowadził do częściowej niewypłacalności. Unikano oczywiście okropnego *terminu* „niewypłacalność”. Faktyczne bankructwo nazwano zamiast tego „przedłużeniem” (zmuszając krótkoterminowych pożyczkodawców do przyjęcia długoterminowych obligacji miejskich). Ten kryzys jest tylko pierwszym spośród wielu stanowych i lokalnych kryzysów wykupu obligacji, które wystąpią w całym kraju. Rządy stanowe i władze lokalne będą coraz częściej stawiały przed koniecznością nieprzyjemnych „kryzysowych” wyborów: między radykalnymi cięciami wydatków, podwyżką podatków, która spowoduje ucieczkę przedsiębiorców i klasy średniej z regionu, a niewypłacalnością.

Od początku lat siedemdziesiątych staje się również coraz bardziej oczywiste, że wysokie opodatkowanie dochodów, oszczędności i inwestycji osłabia aktywność gospodarczą i produktywność. Księgowi dopiero teraz zauważają, że te podatki w połączeniu z zakłóceniem kalkulacji ekonomicznej przez inflację doprowadziły do pogłębiającego się braku kapitału i do groźby, że znaczną część swoich zasobów kapitałowych Ameryka przeje, nawet tego nie zauważywszy.

Przez kraj przetacza się fala buntów przeciwko płaceniu podatków. Jest to reakcja na wysokie stawki podatku majątkowego, dochodowego i obrotowego. Można mieć pewność, że każda dalsza podwyżka podatków byłaby samobójstwem politycznym dla polityków wszystkich szczebli władzy.

System opieki społecznej, który dawniej stanowił w opinii Amerykanów taką świętość, iż pozostawał praktycznie poza zasięgiem jakiegokolwiek krytyki, uważany jest teraz za całkowicie nienaprawialny, przed czym od dawna przestrzegali libertarianie i autorzy piszący na temat wolnego rynku. *Teraz* nawet establishment przyznaje, że system opieki społecznej jest bankrutem, że nie jest on w żadnym sensie prawdziwym programem „ubezpieczeniowym”.

Do tego stopnia stało się widoczne, że regulacje w przemyśle są pomyłką, iż nawet taki etatysta jak senator Edward Kennedy wzywa do deregulacji linii lotniczych. Prowadzi się nawet poważne rozmowy na temat rozwiązania ICC i CAB (Międzystanowej Komisji Handlu\* i Inspektoratu Lotnictwa Cywilnego).

Na froncie społecznym czczony dawniej system szkolnictwa publicznego wystawiony jest na coraz cięższy ostrzał. Szkoły publiczne, które z konieczności w imieniu całego społeczeństwa podejmują decyzje dotyczące edukacji, przyczyniają się do powstawania poważnych konfliktów na tle rasy, płci, religii i zawartości programów nauczania. Pod ostrzałem jest działalność rządu w dziedzinie przestępczości i więziennictwa: libertarianin dr Thomas Szasz niemal w pojedynkę uwolnił wielu obywateli od pracy przymusowej, a teraz rząd przyznaje, że jego ulubiona zabawa w „reedukację” przestępców poniosła zupełną klęskę. Zupełnie załamała się egzekucja takich przepisów jak zakaz narkotyków, w tym marihuany, oraz zakaz niektórych zachowań seksualnych. W całym kraju przybiera na sile protest przeciwko przepisom dotyczącym przestępstw bez ofiary, czyli przepisów definiujących przestępstwa, w których nikt nie jest ofiarą. Coraz bardziej oczywiste się staje, że próby egzekwowania tych przepisów wywołują tylko problemy i prowadzą do budowy państwa policyjnego. Nadchodzi czas, gdy polityka zakazów w dziedzinach należących do osobistych wyborów moralnych zostanie uznana za równie nieskuteczną i niesprawiedliwą jak swego czasu prohibicja alkoholu.

Jednocześnie z katastrofalnymi dla społeczeństwa i gospodarki skutkami etatyzmu pojawiło się bolesne doświadczenie, jakim była klęska w Wietnamie. Jej szczytowy punkt przypada na rok 1975. Całkowite niepowodzenie amerykańskiej interwencji w Wietnamie wywołało ponowną dyskusję na temat interwencjonistycznej polityki zagranicznej, którą Stany Zjednoczone prowadziły od czasów Woodrowa Wilsona i Franklina D. Roosevelta. Wzrastająca świadomość, że należy ograniczyć potęgę Ameryki, że rząd amerykański nie może zawiadywać skutecznie całym światem, jest „neoizolacjonistycznym” odpowiednikiem przekonania, że trzeba powstrzymać interwencje wielkiego rządu w kraju. Wprowadzie amerykańska polityka zagraniczna jest nadal w sposób agresywny globalistyczna, ale nastawienie neoizolacjonistyczne spowodowało ograniczenie rozmiarów amerykańskiej interwencji w Angoli w 1976 roku.

---

\* Interstate Commerce Commission – komisja sprawująca kontrolę nad transportem towarowym między stanami USA; jedna z pierwszych agencji federalnych (*przypis tłumacza*).

Najlepszym chyba sygnałem, najwyraźniejszą wskazówką, że aura podniosłości otaczająca państwo amerykańskie oraz fundamenty moralne tego państwa legły w gruzach, było ujawnienie afery Watergate w latach 1973–1974. Daje nam ono wielką nadzieję na zwycięstwo wolności w Ameryce w krótkiej perspektywie czasowej. Watergate, jak zapewniają nas od czasu tej afery politycy, zniszczyło społeczne „zaufanie do rządu” – a był już po temu wielki czas. Spowodowało radykalną zmianę w mocno ugruntowanej postawie wszystkich – bez względu na wyznawaną ideologię – wobec samego rządu. Watergate uświadomiła wszystkim, że rząd gwałci wolność osobistą i własność prywatną. Do wszystkich dotarło nagle, że rząd truje, podsłuchuje, czyta cudze listy, prowokuje, a nawet organizuje zamachy. Afera Watergate zdjęła wreszcie aureolę świętości z uważanych do tej pory za nieskalane FBI i CIA. Sprawiała, że przyglądamy się tym instytucjom bacznie i chłodnym okiem. Co ważniejsze, doprowadziła do wszczęcia procedury impeachmentu (odwołania) prezydenta, co na zawsze pozbawiło waloru świętości urząd, który Amerykanie uważali praktycznie za równoznaczny z funkcją władcy udzielnego. Prezydent nie będzie już stał ponad prawem i poza wszelkim podejrzeniem.

Najważniejsze jednak, że *sam* rząd przestał być uważany w Ameryce za świętość. Nikt już nie ufa politykom ani rządowi. Wobec całej władzy utrzymuje się postawa powstrzymywanej wrogości. Dzięki temu powracamy do stanu zdrowej nieufności wobec rządu, która była charakterystyczna dla społeczeństwa amerykańskiego i rewolucjonistów amerykańskich w XVIII wieku.

Przez moment wydawało się, że Jimmy Carter, zgodnie ze swoimi obietnicami, odbuduje zaufanie ludzi do rządu. Ale dzięki kompromitacji Berta Lance’a\* oraz innym grzeszkom Carter na szczęście nie dotrzymał słowa. Permanentny kryzys rządowy trwa.

Sytuacja w Stanach Zjednoczonych dojrzała już zatem do tego, by teraz i w przyszłości zwyciężyła wolność. Potrzeba tylko wzrastającego, prężnego ruchu libertariańskiego, który wyjaśniłby systemowe przyczyny obecnego kryzysu i wskazałby libertariańską drogę wyjścia z bagna, w które wpakował nas rząd. Jak ukazaliśmy na początku tej książki, właśnie teraz ma to miejsce. W ten sposób doszliśmy nareszcie do momentu, w którym – zgodnie z obietnicą – udzielimy odpowiedzi na pytanie postawione w rozdziale wstępnym: Dlaczego *teraz*? Jeśli w Ameryce żywe są głęboko zakorzenione tradycje libertariańskie, to dlaczego ujawniły się one *teraz*, w ciągu ostatnich czterech–pięciu lat?

Nasza odpowiedź jest następująca. Powstanie i szybki rozwój ruchu libertariańskiego nie jest przypadkiem, lecz funkcją kryzysowej sytuacji, która dotknęła Amerykę w latach 1973–1975 i utrzymuje się do tej pory. Sytuacje kryzysowe zawsze wywołują zwiększone zainteresowanie możliwymi rozwiązaniami i zachęcają do poszukiwania tych rozwiązań. Ten kryzys spowodował, że wielu myślących Amerykanów zdało sobie sprawę z tego, do jakiego chaosu doprowadził rząd, oraz zrozumiało, że tylko wolność – czyli odsunięcie rządu – może nas uratować. Wzrastamy, ponieważ sytuacja jest dojrzała. W pewnym sensie, podobnie jak na wolnym rynku, popyt wywołał odpowiadającą mu podaż.

Z tego powodu Partia Libertariańska uzyskała 174 000 głosów w swoim pierwszym starcie do objęcia urzędu prezydenta w 1976 roku. Z tego też powodu miarodajne pismo zajmujące się polityką waszyngtońską, *The Baron Report* – w żadnym sensie nie związane z libertarianami – zaprzeczyło w ostatnim wydaniu doniesieniom mediów, mówiącym o rzekomych konserwatywnych sympatiach elektoratu. Artykuł wskazuje na to, że jest wręcz przeciwnie: „jeśli zauważalny jest jakiś trend, to jest nim skłonność do poglądów libertariańskich – do filozofii, która przeciwstawia się interwencji rządu i opowiada za prawami jednostki”. Autorzy raportu dodają, że libertarianizm jest atrakcyjny dla przedstawicieli obydwu krańców sceny politycznej: „Konserwatystom podoba się, że libertarianie wskazują na sceptycyzm społeczeństwa wobec programów federalnych; liberałom – że zwracają uwagę na wzrastającą akceptację społeczeństwa dla wolności osobistej w takich dziedzinach jak narkotyki, zachowania seksualne itd. oraz na powściągliwość społeczeństwa w udzielaniu poparcia zagranicznym interwencjom”<sup>7</sup>.

---

\* Thomas Bertam Lance (ur. 1931) – bankier i polityk, jeden z najbliższych doradców Cartera w jego kampanii wyborczej w 1976 roku. Został dyrektorem urzędu administracji i budżetu. W 1977 roku zmuszony do rezygnacji po oskarżeniach o nieprawidłowości w zarządzaniu niektórymi podległymi mu bankami (*przypis tłumacza*).

<sup>7</sup> *The Baron Report* (February 3, 1978), s. 2.

O sile obecnego ruchu libertarian może świadczyć intensywność ostatnich ataków przeciwko niemu. Przypuścili je obrońcy etatyzmu z lewa, z prawa i centrum. Od połowy marca do połowy czerwca 1979 liberalno-katolicki *Commonweal*, lewicowy *Nation* i prawicowy *National Review*, zaatakowały libertarianizm – każdy po swojemu – i ogłosiły wyższość państwa nad jednostką. W artykule wstępnym w *Commonweal* z 16 marca, zatytułowanym „W obronie rządu”, autor podsumował wszystkie niepokoje, załamując ręce nad faktem, że od pokoleń „nie było tylu inteligentnych ludzi zdecydowanych głosić, że państwo jest wrogiem”.

### ***W kierunku wolnej Ameryki***

Libertariańskie credo oferuje spełnienie tego, co najlepsze w amerykańskiej tradycji, a także obiecuje znacznie lepszą przyszłość. Libertarianie – w jeszcze większym stopniu niż konserwatyści, którzy są przywiązani do zarzuconych na szczęście monarchistycznych tradycji Europy – pozostają w ścisłym nurcie tradycji klasycznego liberalizmu. Tego liberalizmu, który zbudował Stany Zjednoczone i dał nam w spadku amerykańską tradycję wolności osobistej, pokojowej polityki zagranicznej, minimalnego rządu i gospodarki wolnorynkowej. Libertarianie są obecnie jedynymi prawdziwymi spadkobiercami Jeffersona, Paine’a, Jacksona i abolicjonistów.

Jednakże chociaż jesteśmy bardziej tradycyjni niż konserwatyści i głębiej niż oni tkwimy korzeniami w amerykańskiej glebie, to jednocześnie w niektórych dziedzinach jesteśmy bardziej radykalni od radykałów. *Nie* w tym znaczeniu, że mielibyśmy ochotę lub nadzieję na przekształcenie ludzkiej natury środkami politycznymi, tylko w takim sensie, że wyłącznie my bierzemy prawdziwy i radykalny rozbrat z zaborczym dwudziestowiecznym etatyzmem. Stara lewica chce tylko jeszcze więcej tego, co jest przyczyną naszych dzisiejszych utrapień; Nowa Lewica w swoich ostatnich wypowiedziach proponuje tylko coraz więcej nieznosnego etatyzmu albo obowiązkowego egalitaryzmu i jednolitości. Libertarianizm stanowi kulminację opozycji zapomnianej obecnie „starej prawicy” (z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku), sprzeciwiającej się Nowemu Ładowi, wojnie, centralizacji i interwencji państwa. Tylko my chcemy zerwać ze *wszystkimi* aspektami liberalnego państwa: z jego opieką społeczną i militarystką, z jego monopolistycznymi przywilejami i z jego egalitaryzmem, z represjami wobec sprawców przestępstw bez ofiary – *zarówno* przestępstw przeciwko osobom, jak i przestępstw gospodarczych. Tylko my proponujemy technologię bez technokracji, rozwój bez zanieczyszczenia środowiska, wolność bez chaosu, prawo bez tyranii, obronę prawa do samoposiadania i prawa posiadania przedmiotów materialnych. Wątki i ślady doktryn wolnościowych są wszędzie wokół nas, zajmują poczesne miejsce w naszej wspaniałej przeszłości, a także w systemie wartości i gąszczu poglądów, z jakimi mamy do czynienia obecnie. Ale tylko libertarianizm zbiera wszystkie te wątki i pozostałości i tworzy z nich potężny zintegrowany, logiczny i spójny system. Olbrzymi sukces Marksa i marksizmu nie wynikał z wartości jego idei – wszystkie one są błędne – lecz z faktu, że na bazie socjalistycznej teorii umiał zbudować potężny system. Wolność nie odniesie sukcesu bez odpowiedniej, wyrazistej, systematycznej teorii. Mimo naszej wspaniałej tradycji myśli gospodarczej i politycznej i mimo bogatych doświadczeń aż do ostatnich lat nie dorobiliśmy się całościowej spójnej teorii wolności. Teraz mamy już taką usystematyzowaną teorię: przybywamy uzbrojeni w naszą wiedzę, przygotowani, by nieść nasze przesłanie i przyciągnąć uwagę wszystkich grup i odłamów społeczeństwa. Wszystkie inne teorie i systemy poniosły oczywistą porażkę: socjalizm jest wszędzie w odwrocie, zwłaszcza w Europie Wschodniej, liberalizm pogrążył nas w bagnie nierozwiązywalnych problemów, konserwatyzm nie ma do zaoferowania niczego oprócz czystej obrony *status quo*. Współczesny świat nie zna w pełni smaku wolności; libertarianie proponują spełnienie amerykańskiego marzenia i marzenia całego świata o wolności i dobrobycie całego rodzaju ludzkiego.